

MARIUSZ WOLINY

KREW INKÓW

Pamięci Ireny Barbary Jaskowskiej, mojej teściowej i najwierniejszej
czytelniczki

Wypróbowanym przyjaciołom:

Witkowi Kaczmarczykowi,

który mnie natchnął,

Pawłowi Jodłowskiemu i Olkowi Placie,

którzy mnie skomputeryzowali,

oraz

panu Stanisławowi Urbaniakowi z nieistniejącego już wydawnictwa

Przygoda,

który odkrył we mnie zadatki na pisarza,

niniejszym składam serdeczne podziękowanie

za pomoc i życzliwość.

Prolog

Wenecja, początek marca 1796 roku

Tego roku Republika Św. Marka dożywała swego tysiącletniego istnienia, nie zaprzatając sobie tym zbytnio głowy. Francuzi właśnie gotowali się do wojny z Austrią o północne Włochy, a za rok Bonaparte miał położyć kres niepodległości Wenecji, ale zamartwianie się z powodu takiej błażostki nie leżało w naturze Najjaśniejszej, która godności pozbyła się dawno temu i bez żalu. Żwawa tysiąclatka schodziła z tego padołu bynajmniej nie w aurze cnoty i przy wtórze anielskich chórów, albowiem nie bez kozery dumną ongiś Serenissimę u schyłku XVIII wieku powszechnie nazywano oberżą Europy. Karnawał trwał tu pół roku, a domy gry i rozkoszy, opery,

teatry i najrozmaitsze widowiska przyciągały - cudzoziemców. To tutaj szlifował swój uwodzicielski talent Casanova; tu incognito, po znojnym trudzie codziennej tyranii, zarzywali zasłużonych wywczasów cesarz austriacki Józef II i car Paweł; tu folgowali geniuszowi Goethe, Mozart, Haendel czy Volter.

Wśród różnojęzycznych tłumów wypełniających miasto łatwo było zniknąć bez śladu, stąd Wenecję upodobali sobie nie tylko zwykli poszukiwacze przygód, lecz także aferzyści oraz uchodźcy polityczni z wszystkich stron świata. Władze republiki każdemu gwarantowały azyl i swobodę działania, także szpiegom (z agentami inkwizycji na czele), od których się roiło. Skrytobójcze mordy i porwania zdarzały się niemal codziennie, wzbogacając miejscowy folklor i podnosząc atrakcyjność miasta w oczach odwiedzających.

Niepewna sytuacja polityczna bynajmniej nie spędzała Wenecjanom snu z oczu, zwłaszcza że sypiali niewiele, obecny karnawał bowiem był najbardziej szalony ze wszystkich. Zacni mieszkańcy miasta Złotego Lwa schodzili ze sceny dziejowej tanecznym krokiem i z pieśnią na ustach, a nie w huku armat i bitewnym gwarze, jak mniej od nich cywilizowane narody, na przykład Polacy.

„Istny Rzym przed upadkiem”, pomyślał Andres Tupać Amaru, z pobłażliwą wyrozumiałością spoglądając na zaułki i kanały zatłoczone różnobarwną rozbawioną cizbą. Być może wielu Wenecjan i gości nie zdawało sobie sprawy z dramatycznego położenia republiki, ale nie on, który przeżył upadek własnego państwa i klęskę wyczuwał jak inni zmianę pogody. Los miasta nie trapił go zresztą zbyt, ponieważ miał je wkrótce opuścić po wieloletnim gnuśnym pobycie. Decyzję podjął pół roku temu,

gdy urodził mu się długo oczekiwany syn. Jeszcze ta ostatnia wyprawa, a potem - do ojczyzny!

Apu Atoc, uważnie obserwujący swego pana, czytał w jego twarzy jak w otwartej księdze. On też cieszył się na powrót do domu, mimo iż w razie niepowodzenia czekał tam ich wszystkich topór kata albo i co gorszego. Andres Tupac Amaru był bowiem ostatnim królem Peru z rodu Inków, od piętnastu lat przebywającym na wygnaniu w Europie. Podczas nieudanego powstania, które miało położyć kres hiszpańskiemu panowaniu, zginęła niemal cała jego rodzina. Tylko on jeden ocalał i odtąd wraz z najbliższymi umykał przed siepaczami hiszpańskiej inkwizycji, równocześnie szukając sojuszników, gdzie tylko się dało. Anglicy, zawsze radzi szkodzić Hiszpanom, obiecali Andresowi dyskretne poparcie dla przygotowywanego powstania w zamian za udział w eksploatacji peruwiańskich kopalń srebra i bazy dla angielskiej marynarki. Najpierw jednak należało dotrzeć bezpiecznie do Peru, a to wymagało zgromadzenia odpowiednich środków. Właśnie w tym celu wyprawili się dzisiaj i dlatego Apu Atoc, dowódca gwardii królewskiej, miał uwagę jeszcze bardziej napiętą niż zwykle. Zajęty lustrowaniem otoczenia nie dosłyszał pytania.

O co pytałeś?

I dokąd teraz? - powtórzył gondolier.

Czarna, lecz barwnie przyozdobiona i niczym niewyróżniająca się gondola wpływała na szerokie wody Wielkiego Kanału na wysokości zbudowanego przez Marina Contariniego sławnego Ca'd'Oro. Złoty Pałac, ongiś chluba rodu i miasta, straszył liszajami odpadłego tynku i oblażonych złoceń niczym podstarzały libertyn, ukrywający zmarszczki pod grubą warstwą

szminki. Pasowali do siebie z Najjaśniejszą jak oblubieniec do oblubienicy.

- Wpłyn w Rio di San Felice - polecił gondolierowi Andres Tupać Amaru, którego nieodmiennie bawiło nazywanie kanałów mianem rio, gdyż w jego ojczyźnie rio po hiszpańsku oznaczało rzekę, z reguły kilka razy potężniejszą nawet od Canal Grandę.

Uśmiechnął się do przewoźnika, który odwzajemnił uśmiech. Paolo był młodym chłopcem, który rok temu zastąpił starego Giacoma, gdy ten zniknął bez pożegnania. Wszyscy od razu polubili wesołego chłopaka, jeden tylko Atoc nigdy nie zapominał zrewidować go przed podróżą, nie podobało mu się bowiem tajemnicze zniknięcie Giacoma. Stary żołnierz nie wierzył w przypadki. Taką już miał naturę: na życzliwość i ufność zabrakło w niej miejsca.

Teraz także spod oka obserwował gondoliera. Mimo iż ani gondola, ani jej pasażerowie, chociaż ubrani w peruwiańskie barwne poncza i kolorowe wełniane czapki chullo, nie wyróżniali się pośród tęczowego tłumu, Atoc nawet na moment nie tracił czujności. Nie życzył sobie jakiegos nieszczęścia, zwłaszcza teraz, podczas ostatniej wyprawy na północne wybrzeże, gdzie corocznie w porze ostatków, gdy szaleństwo karnawałowe sięgało zenitu, spotykali się z messer Ricardem, aby wymienić peruwiańskie rubiny i szmaragdy na angielskie gwinee i hiszpańskie dublony. Ricardo, ceniony wytwórca szkła z Murano, traktował swój warsztat jako przykrywkę dla rozlicznych nielegalnych interesów, płacił dobrze i o nic nie pytał. Tym razem chodziło jednak o sumę, która mogłaby skusić nawet świętego, sumę potrzebną na zakup i wyposażenie okrętu, którym mieli popłynąć do Peru,

z przystankiem w Anglii, gdzie zamierzali uzupełnić załogę, załadować broń i amunicję.

Dopiero po wpłynięciu w boczny kanał i w miarę oddalania się od centrum miasta ich gondola zaczęła odróżniać się od pozostałych, zmierzających w przeciwnym kierunku. Im bardziej zbliżali się do laguny, tym bardziej szlak pustoszał. W końcu zostali sami. Zabudowa też rzedniała. Im bliżej wybrzeża, tym więcej rozpiętych sieci suszyło się przed ubogimi chałupami rybaków. Zima, jak zwykle w tych stronach, nie była zbyt mroźna, zwłaszcza teraz, gdy miała się ku końcowi i w powietrzu czuło się już nadchodzącą wiosnę. Tylko zmrok wciąż zapadał dość wcześnie.

Wpłynęli na wody laguny, tak spokojne, że nawet gondola utrzymywała się na nich bez kłopotów. Wymianę organizowano zawsze w innym miejscu, ale najczęściej na nabrzeżu, bo tu stało najwięcej opuszczonych chałup, szop lub składów.

- W prawo. I trzymaj się jak najbliżej brzegu - poinstruował gondoliera Atoc.

Tylko on i król znali miejsce spotkania. Teraz obaj wypatrywali trzech zielonych świateł, znaku, że można bezpiecznie lądować.

- Od morza idzie mgła - odezwał się Andres Tupać Amara. - Możemy ich nie zauważyć.

- Są - odparł Apu Atoc, wyciągniętą ręką wskazując migocące płomyki. - Dziwne... - mruknął. - Poruszają się, jakby były na łodzi, a przecież...

- Apu Atoc - odezwał się jeden z Indian. - Niech pan spojrzy! Za gondolą, z oparów mgły, wynurzał się ciemny kształt dużej łodzi wiosłowej.

- Biorą nas w dwa ognie - spokojnie stwierdził Atoc, zawsze gotów na

wszelkie niespodzianki, i zgasił latarnię na dziobie. - Przygotować się do walki. A ty - zwrócił się do gondoliera - zawracaj!

Zanim ocieężała gondola wykonała zwrot, nadpływająca z tyłu łódź zdążyła znacznie się przybliżyć. Z wciągniętymi wiosłami sunęła w stronę gondoli siłą rozpędu, a załoga stała przy burcie z kordelasami w rękach. Nikt nie strzelał, widać napastnikom nie zależało na rozgłosie.

- Chłopcy, czas powitać gości - powiedział Apu Atoc, w złowieszcym uśmiechu obnażając białe zęby, bo uwielbiał walkę ponad wszystko, choć nigdy bez potrzeby nie naraziłby swego pana na niebezpieczeństwo.

Rzadko więc miał okazję pofolgować swym upodobaniom i dlatego teraz nie zamierzał zmarnować okazji.

Sześciu Indian z królewskiej eskorty sięgnęło równocześnie pod opończe i wydobyło rzemieńne proce. Nabili je kamiennymi kulami wyjętymi z wełnianych ładownic. Na przemian, gdy jeden ładował broń, drugi, stojąc nad nim, kołysał procą nad głową i wypuszczał pocisk. Niemal każda kula trafiała w ledwo widoczny w ciemności cel, o czym świadczyły jęki i pluski ciał wpadających do wody. Nie udało się jednak uniknąć zderzenia. Rozpędzona łódź wbiła się w bok gondoli, ale ani jeden z ocalałych napastników nie zdążył do niej wskoczyć. Indianie byli szybsi. Cicho jak duchy rzucili się na wrogów i zaczęła się rzeź, tym straszniejsza, że nie było nic widać ani słyszeć oprócz rżenia konających.

Atoc nie brał udziału w bitwie i to on zauważył nowe niebezpieczeństwo. Zapomniana już niemal łódź z latarniami podpływała ku walczącym, aby przechylić szalę na korzyść napastników.

- Najjaśniejszy panie - zwrócił się Atoc do króla, który wydobył szpadę i gotował się do boju. - Jeśli dasz się zabić, męstwo naszych ludzi nie

przyda się na nic.

Po chwili wahania, uznawszy słuszność argumentu, władca schronił się w namiocie na środku gondoli, a Atoc opuścił za nim zasłonę i zawołał rozkazująco:

- Chuncho!

Kupka łachmanów leżąca dotąd bez ruchu zafalowała i przybrała kształt małego człowieczka w długiej do kolan workowatej koszuli zwanej kuźmą, noszonej w peruwiańskiej Montanii przez nieposkromionych Indian z tamtejszej dżungli. Zielonkawe światło latarni wydobyło z mroku pomarszczoną okrutną twarz, okoloną strzechą rozczochranych kudłów. Potworny gnom przytknął do ust długą rurę, po czym z błyskawiczną szybkością zaczął wypuszczać w stronę nowych wrogów jedną małą strzałkę za drugą. Każdy trafiony łapał się za szyję lub gardło, oczy wychodziły mu na wierzch, rysy tężały w okropnej męce, po czym martwy zwał się do wody.

- Diabeł! Diabeł! - rozdarły ciszę wrzaski ostrzeliwanych.

Pół tuzina ocalałych z pogromu napastników rzuciło się do morza, by ratować życie ucieczką w pław. W kilka minut było po bitwie. Powracający Indianie przeskakiwali burzę gondoli.

- Ktoś zginął? - zapytał Atoc.

- Nikt. Tylko Kokchi ranny, ale wylize się - odparł któryś.

- Mielśmy szczęście - odetchnął Atoc z ulgą, która wnet przerodziła się w rozpacz, gdy okazało się, że króla w pozycji siedzącej utrzymuje kotara, przez którą przebito mu serce sztyletem bez jelca. Wydobyli go z pleców zmarłego i z uszanowaniem ułożyli na deskach pokładu ciało przedostatniego Inki.

Tymczasem Paolo, który wcale się tak nie nazywał i mimo młodego wieku cieszył się zaufaniem weneckiej komórki Supremy, czyli centrali hiszpańskiej inkwizycji, bezpiecznie dopływał do brzegu. Nie był z siebie zadowolony. Jego plan okazał się do niczego. Dopuścił do masakry swoich ludzi, a przecież ostrzegano go, jak niesłychanie niebezpieczni są Inkowie. Nie zdołał ich pojmać ani zabić, nie przechwycił skarbu, nie porwał królewskiego synka, co zamierzał uczynić, rozprawiwszy się wprzód z ojcem. Zabił jedynie samego uzurpatora sztyletem ukrytym w wydrążonym drzewcu drąga sterowniczego, gdzie nie wypatrzyło go nawet argusowe oko Atoca. Wątpliwe, by Suprema uznała to za wielki sukces. Ostatecznie przecież zawiódł, a na dodatek ostrzegł zbiegów. Teraz będą jeszcze ostrożniejsi i licho wie, ile znów upłynie czasu, nim inkwizycji uda się po raz drugi odnaleźć trop.

Przemykając w stronę ludniejszej okolicy, agent obawiał się o własną skórę. Suprema nie wybaczała błędów. Trzeba chyba będzie cichaczem zniknąć z miasta.

Faktycznie, zniknął, acz niezupełnie tak, jak sobie umyślił. Tydzień później jego zwłoki zaplątały się w rybacką sieć. Inkwizycja hiszpańska nie tolerowała fuszerki ani też nie zapewniała ochrony beużytecznym już zdrajcom, czego boleśnie doświadczył messer Ricardo, żywcem obdarty ze skóry przez Apu Atoca, który tego rodzaju nauczek udzielał z zacięciem prawdziwego pedagoga.

Spisz, początek marca 1796 roku

Spisz, górską krainą u podnóża Tatr, w ciągu wieków przechodził najdziwniejsze koleje losów, w wyniku czego zamieszkiwała go ludność

przeróżnych nacji i religii. Od czasów średniowiecznych podzielony między Węgry i Polskę, został tej ostatniej odebrany w 1769 roku, co dało początek późniejszym rozbirom Rzeczypospolitej. W 1796 minął rok od III rozbioru, po którym Polska przestała istnieć, a dwa lata od upadku powstania kościuszkowskiego, które nie zdołało temu zapobiec. Polacy bowiem, w odróżnieniu od wyrafinowanych Wenecjan, schodzili z areny dziejowej w sposób prostacki i hałaśliwy, do wtóru armatnich wystrzałów i w kłębach prochowego dymu.

Wielu uczestników insurekcji uciekło do Francji lub ukrywało się w zaborze austriackim, nazwanym Galicją. Uaktywnili się, gdy Bonaparte rozpoczął z Austrią wojnę o północne Włochy. Wówczas pomiędzy paryską emigracją a krajowymi patriotami z Centralizacji, tajnej organizacji z siedzibą we Lwowie, zaczęli krążyć kurierzy.

Przygotowywali dywersję, która odciągnęłaby Austriaków od frontu włoskiego i ułatwiła zwycięstwo Francuzom, ci zaś mieli w zamian pomóc Polakom wyzwolić ojczyznę.

Kurierskie szlaki przecinały całą Galicję, krzyżując się na Spiszu. Mimo pomocy rosyjskiej tajnej policji, Austriakom długo nie udawało się wykryć polskiego sprzysiężenia. Sprawy nie ułatwiało im bujnie rozplenione w tych okolicach rozbójnictwo, z którym nie radzili sobie od dziesięcioleci.

Tego marcowego popołudnia wyraźnie czuło się nadciągające powoli przedwiośnie. Mróz zelżał, lód na Dunajcu popękał tu i ówdzie. Z nieba leciały wielkie płaty mokrego śniegu. W śnieżnej zadymce pustym traktem podążał szczelnie opatulony jeździec. Był tak młody, że nie przyjęto go do insurekcji kościuszkowskiej, ale jego patriotyczny zapal znalazł ujście w

konspiracji. Obdarzony zaufaniem przełożonych, został wysłany z misją na Spisz, gdzie miał nawiązać kontakt z lokalnymi patriotami. Samotny w obcych stronach i przemarznięty, spieszył pod wskazany adres, na plebanie w Niedzicy, gdzie miejscowemu proboszczowi miał dostarczyć akt konfederacji zawiązanej w styczniu tego roku w Krakowie. Oślepiiony zacinającym śniegiem nie zauważył, że oddalił się od rzeki i wjechał na główny gościniec, od stuleci łączący Polskę z Węgrami.

Dragoni kapitana Kaunitza też mieli za sobą ciężki dzień. Od rana, jak zwykle bezskutecznie, uganiali się za bandą nieuchwytnego Baczyńskiego. Oslawiony watażka drwił sobie z nich od wielu miesięcy, tak że co bardziej zabobonni żołnierze byli gotowi uwierzyć w bajdy miejscowej ludności. Według ludowej legendy Baczyński przybierał postać czarnoksiężnika, który licząc sobie ponad sto lat, wygląd miał młodzieniaszka, a przy tym zmieniał go z największą łatwością. Potrafił też znikać na zawołanie lub pojawiać się w kilku miejscach naraz. Podziwiano go za to, mimo iż nie miał w sobie nic z dobrodzieja i po równo grabił zarówno bogatych, jak i biednych. Napadał na dwory, karczmy, plebanie, a nawet gospodarstwa chłopskie, grasował na drogach. Strach padł na całe Podtatrze. Kupcy bali się wyjeżdżać na gościńce, zamierał handel.

Starosta spiski urzędujący w dawnym zamku Lubomirskich w Lubowli, choć nominalną stolicą cyrkułu była Nowa Wieś, miał już powyżej uszu skarg tubylców i napomnień z Wiednia. Dlatego tym razem nawet nie słuchał nieudolnych tłumaczeń Kaunitza, niedwuznacznie grożąc kapitanowi odesłaniem na front włoski w przypadku kolejnego niepowodzenia.

Dwojga imion August Aleksander von Kaunitz, potomek znaczącego rodu i daleki krewny barona Kaunitza, długoletniego kanclerza Austrii za panowania Marii Teresy i jej syna Józefa II, miał o sobie wysokie mniemanie, którego nikt inny nie podzielał, a już najmniej możny krewniak. Magia wielkiego nazwiska sprawiała jednak, że choć kapitana pomijano w awansach i przierzucano z kąta w kąt, zawsze były to ciepłe kąty, odległe od linii frontu. Dlatego gdy armia cesarska zbierała ciężki od Francuzów, Kaunitz znajdował się dokładnie na przeciwległym krańcu przerośniętej monarchii. I choć uważał się za wybitnego oficera, cenił sobie święty spokój, który tym razem był zagrożony nie na żarty. Zamordowany ostatnio przez bandę Baczyńskiego opodal Niedzicy bogaty kupiec węgierski miał szerokie koneksje w Wiedniu, więc ujęcie sprawców zbrodni stało się dla starosty sprawą prestiżową; Kaunitz nie mógł zatem liczyć na pobłażliwość z jego strony. Tymczasem, jak zwykle, nie miał żadnego conceptu na wykonanie zadania i wierzył jedynie w pomysłowość wachmistrza Chowańca. Ten pół Polak, pół Słowak od ćwierćwiecza wojował z rozbójnikami. Zaczynał jeszcze w czasach Potockiego, ostatniego polskiego starosty czorsztyńskiego, kiedy to na pograniczu polsko-węgierskim do zwalczania bandytyzmu starostowie lub sejmiki ziemskie organizowali rotę pieszych smolaków i konnych harników. Urodzony na Spiszu, znał teren jak własną kieszeń i biegle władał wszystkimi używanymi w tych stronach językami: polskim, słowackim, ruskim, węgierskim i niemieckim. Starosta mu nie ufał, ale to dzięki Chowańcowi Kaunitz mógł się przynajmniej wykazać schwytaniem kilku drobnych rzezimieszków, mimo iż żaden nie należał do bandy Baczyńskiego.

Przysypiający emisariusz i zmęczeni dragoni wpadli na siebie na zakręcie traktu. Zaskoczenie było obopólne, lecz kurier zareagował szybciej i już mknął ku rzece co koń wyskoczy. Pogoń, spóźnioną z powodu sprzecznych rozkazów dowódcy, poprowadził Chowaniec,

15

ponieważ kapitan przezornie, zapalczywość bowiem nie należała do jego licznych przywar, zawsze w takich sytuacjach brał na siebie ciężar osłaniania tyłów.

Na dźwięk palby, która rozdarła przedwieczorną ciszę, Kaunitz poczuł się trochę niepewnie. Na wszelki wypadek wyjął z olstra pistolet i mocno ścisnął kolbę. Kiedy z kurzawy wyłonił się pierwszy jeździec, palec kapitana nerwowo zgiął się na cynglu.

- Jezus, Maria! - rozległ się przerażony głos. - Nie strzelać, swoi!

Wachmistrz podjechał do dowódcy.

- To ty? - upewnił się Kaunitz.

- A któżby inny? - burknął Chowaniec i zdjawszy z głowy kaszkiet, demonstracyjnie przepchnął palec przez okrągłą dziurę, uczynioną w czapce przez kulę. - Niewiele brakowało...

Nadjechali pozostali żołnierze, więc kapitan uznał, iż niewychowawczo byłoby deliberować nad skutkami jego niefortunnego wystrzału.

- Co z tamtym?

- Ubilim pod nim konia. Zwalił się do rzeki i lód pod nim trzasnął, ale mam to. Odpięła się podczas upadku. - Wachmistrz podał dowódcy skórzaną raportówkę.

- Więc trup?

- Zimny - odparł Chowaniec ubawiony swoim dowcipem. - W taki ziąb w

wodzie nie ma prawa przeżyć.

Kapitan zaczął grzebać w torbie i wydobył złożony papier.

- Nuże, poświęć który!

W migotliwym świetle płomyka osłanianego dłońmi dragona obaj z wachmistrzem pochylili się nad dokumentem.

- Wiesz, co to jest? - spytał kapitan, który znał tylko niemiecki i trochę francuski, a i to znacznie lepiej w mowie niż w piśmie.

- Hmm... - zamruczał niepewnie Chowaniec, który był analfabetą. - Na mój rozum wygląda tak samo, jak ta polska odezwa, co ją pan starosta pokazywał nam onegdaj... Panie kapitanie - dodał, macając torbę - tu chyba jest jeszcze coś.

Odpruł nożem podszewkę i wydobył złożoną na czworo kartkę.

- Nie wiem, co tu pisze, ale musi coś ważnego. Wie wasza miłość, co ja myślę? Myślę, że my ubili szpiega!

Po raz pierwszy od miesiąca Kaunitz i jego oddział wracali do koszar w dobrych humorach. Nareszcie kapitan miał się czym wykazać, a jeśli podejrzenia Chowańca by się potwierdziły, widmo frontu włoskiego oddaliło się ostatecznie.

Dwóch wędkarzy ze Sromowiec nad Dunajcem, łowiących ryby w przerębli, przeraziło się wielce, ujrawszy w wodzie ludzką rękę, która okazała się przynależeć do topielca dryfującego pod lodem z prądem rzeki.

Intensywna reanimacja podjęta przy ognisku, głównie za pomocą śliwowicy o mocy spirytusu, dała nieoczekiwany efekt i topielec ożył.

Cudownie ocalony emisariusz, wdychając smród prze poczonej derki, w którą zostało owinięte jego nagie ciało, i wsłuchując się w dzwonienie własnych zębów, solennie przyrzekł sobie w duchu już nigdy nie wdawać

się w żadne awantury i czym prędzej powrócić na rodziny wytęsknione łono. Zwłaszcza że nie podobał mu się jego pseudonim, dobry dla gajowego, ale nie żołnierza. Trzymając się odtąd od polityki z daleka, przetrwał dwa duże i kilka pomniejszych powstań narodowych i w dobrym zdrowiu dożył sędziwego wieku.

Dokument przywieziony przez Kaunitza rzeczywiście okazał się kopią „aktu konfederacji” wydanego szóstego stycznia tego roku, w której to odezwie paryska Deputacja, jedna z polskich organizacji emigracyjnych, wzywała wszystkich rodaków do walki o niepodległość, obiecując wsparcie ze strony Francuzów i Turków. Starosta już ją widział, ponieważ wywiadowi austriackiemu udało się zdobyć taki dokument, o co nie było zresztą trudno - pojawiły się w wielu miejscach i całą Galicję zaczęło ogarniać wrzenie. Co gorsza, miał dowód czarno na białym, że Polacy próbują rozszerzyć konfederację na Spisz, o czym świadczyła znaleziona przy zabitym tajna instrukcja

wystawiona na nazwisko Brzozowicz, uprawniająca posiadacza do założenia lokalnej komórki sprzysiężenia nazwanego Centralizacją.

Dokument zaopatrzono w rozmazaną, niestety, w wodzie pieczęć i rozmyte podpisy, które i tak zapewne były pseudonimami.

Sprawa była na tyle poważna, że starosta, chcąc nie chcąc, musiał powiadomić Wiedeń. Problem bandytyzmu zszedł na drugi plan i Kaunitzowi znów się upiekło, otrzymał nawet pochwałę. Dyрекcję policji w Wiedniu, jak należało się spodziewać, bardzo zaniepokoiła możliwość rozszerzenia się polskiej rebelii na obszar Spiszu i już po dwóch tygodniach w Lubowli pojawił się incognito komisarz do specjalnych poruczeń z niemal nieograniczonymi kompetencjami.

Zbójnicy

dziś jest tu, jutro tam. Nigdy nie wiada, gdzie się

pojawi i jaką postać przybierze. Powiadają, że pakt

z diabłem ma i... - Ambaje mi tu, Żydzie, prawisz niestworzone

- parsknął młodzian z niedowierzaniem. Ale już od godziny nie ruszał się z

karczmy, choć talerz był wymieciony do czysta, w szklanicy

prześwitywało dno, a karczmarz nie kwapił się do borgowania. Rad, że ma

wdzięcznego słuchacza, nie skąpił mu za to mrozących krew w żyłach

opowieści o postrachu okolicy, zbójnickim hetmanie Baczyńskim.

- Ambaje, ambaje... - zamruczał arendarz urażony, wycierając kielich z

grubego szkła nieokreślonej barwy ścierką, która uparcie zostawiała na

szkle brudne smugi. - A co panicz powiesz na to, co zdarzyło się tu, w

Czorsztynie, nie dalej jak dwa roki nazad, ha? - zawiesił głos tajemniczo.

Młodzieniec nie wytrzymał i zapytał:

- No co? - Równocześnie sprytnie podsunął pustą szklanę. Karczmarz

odruchowo wziął ją do napełnienia, ale równie szybko

odstawił z powrotem, nie powstrzymując potoku wymowy:

- Podnajął ci tutejszy rządcą, pana Potockiego podstarości, człeka

luźnego¹ do roboty w polu, a ten w danku córkę mu zbałamucił.

Człowiek luźny - włóczęga. (Wszystkie przypisy pochodzą od autora -

jeżeli nie podano inaczej, objaśnienia dotyczą słów pochodzących z języka staropolskiego, a dziś wyszłych już z użycia).

Do sądu przyszło i wtenczas w bałamucie ktoś rozpoznał Baczyńskiego.

Ale ów kłam temu zadał, za wędrownego znachora się podając i torbę

zielska na dowód prezentując. Za czym córkę owego rządcy, która nagle

boleści dostała, ziołami swymi do zdrowia przywiódł, a na koniec zbiegł,

gdy go do aresztu odprowadzali. Zaraz też hultajstwo rozplenilo się w okolicy, po czym poznano, że ów zielarz rzekomy to w rzeczy samej Baczyński był. Nu, i co wasze na to, panie niedowiarek? - dokończył tryumfalnie.

Chłopak wzruszył ramionami, po czym widząc, że na darmochę nie ma nadziei, zaczął się zbierać do wyjścia.

- Ajajaj! Panicz sam ruszać w drogę zamiaruje?! - Załamał ręce gospodarz, któremu wdzięczny słuchacz przypadł do serca. - Toć dopiero co popod zamkiem Dunajec zbójcy kupca madziarskiego do cna ograbili i żywota pozbyli, choć ostrzeżony był i w żebraczym odzieniu się do dom przebierał. Zasię w moim obejściu już dwie noce z rzędu psy bez przerwy ujadają, a po gościńcu jakoweś nocne marki krążą, aż strach za próg wyglądnąć. Ludziska powiadają - ściszył głos - że Baczyński zagiął parol na jakiegoś możnego pana, któren na dniach ma tędy przejeżdżać. Ech, zaczekałby panicz na kogo, we dwóch zawsze bezpieczniej, zwłaszcza gdy jeden na wojennego człeka patrzy - zakończył, wymownie zerkając na milczącego gościa, któremu zza pasa wystawały rękojeści pistoletów, a koniec szabli rysował gliniane klepisko.

Wacław nie usłyszał aluzji, a gdyby nawet, wcale by go nie obeszała.

Podczas pożegnalnej biesiady z przyjaciółmi pod czaszkę zakradła mu się gromada skrzatów, które teraz oskardami wyrąbywały sobie powrotną drogę. Z tej przyczyny opuścił gościnny dom, nie kładąc się na noc ani nawet nie czekając świtu, który zastał go pod Czorsztynem, skąd miał już niedaleko do celu. Ale głód i pragnienie, zwłaszcza ono, skłoniły go do zatrzymania się w tym obskurnym zajeździe, gdzie podłe jedzenie i cienkie piwo bynajmniej nie poprawiły mu humoru. Sącząc cienkuszka,

śluchał piąte przez dziesiąte, o czym mówili tamci dwaj, ale nic go to nie obchodziło. Nawet gdy młodzian okazał się studentem pijarskiego kolegium w Podolińcu, dokąd zmierzał z rodzinnego Nowego Targu po okresie letniej kanikuły. Przed laty Waclaw także studiował w tej uczelni. Już wówczas miała ona za sobą okres świetności, kiedy to uczęszczał do niej Stanisław Konarski, późniejszy reformator polskiej oświaty, „ten, który odważył się być mądrym” w czasach powszechnej głupoty. Ostatnio uczelnia podobno mocno podupadła, gdyż Austriacy represjonowali pijarów za ich polski patriotyzm. Waclaw zachował spoty sentyment dla swej dawnej alma mater i kiedy indziej może miałby ochotę wspominać beztroskie szkolne lata, lecz na pewno nie dziś.

- Nie jedź sam, chłopcze, z serca radzę. Uwierz staremu. - Poczciwy Żyd nie dawał za wygraną. - Nu, niech stracę. Naści, siadaj i zaczekaj, aż ci się jaki towarzysz podróży trafi.

Zaczął nalewać studentowi piwo do szklanki, ale ponieważ żałując marnotrawstwa, napełnił naczynie tylko do połowy. Młodzian wypił ze smakiem i zuchowatym tonem zapewniwszy arendarza, iż żadnych zbójców się nie lęka, bo i po cóż mieliby dybać na ubogiego żaka, opuścił gospodę. Waclaw całkowicie podzielał rozumowanie chłopaka, dlatego zignorowawszy pełne wyrzutu spojrzenie karczmarza, zaszył się w swoim kącie ciemnej izby i nasunawszy tylko głębiej kapelusz na oczy, próbował pozbyć się upartych krasnoludków, które chwilowo jakby zbastowały. Może miały fajrant albo szykowały się do odpalenia ładunków wybuchowych. Na tę drugą ewentualność aż się wzdrygnął.

Może kwadrans po odjeździe studenta do karczmy weszło dwoje nowych

podróżnych, młody mężczyzna z pacholikiem. Nie wzbudzili zainteresowania Wacława, dopóki domniemany młodzieniec nie zdjął kołpaka i nie okazał się dziewczyną o bujnych miedzianych włosach, która odgarnęła je z twarzy niecierpliwym ruchem. Wacław natychmiast zapomniał, że dotąd gustował raczej w brunetkach, a i pracowite skrzaty całkiem ustały w robocie.

Karczmarz rozpromienił się na widok przybyłej.

- Witam jasną panienkę najuniżeniej. Czym mogę usłużyć?

- Dzień dobry, Izaaku. Nie przejeżdżał aby tędy młody człowiek? - Głos miała miły i dźwięczny. On także spodobał się Wacławowi.

- A jakże, wyjechał dopiero co. Pewnie dojeżdża do brodu.

- Musielim się minąć. Juraj, jedziemy! - ponagliła pacholka, który łakomym wzrokiem pieścił beczkę z piwem. - Czy pan podstarości jak zwykle odsypia na sianie nocną hulankę? To powiedz mu, że zabieram jego karego, bo moja kasztanka skaleczyła się w nogę. Odeślę za niedługo.

- A... Ale... - wyjąkał arendarz, rzucając Wacławowi trwożne spojrzenie i puszczając się biegiem ku drzwiom. Lecz dziewczyna zakręciła się jak fryga i już jej nie było. Nie dość jednak szybko, by Wacław nie zdążył zauważyć, że męski strój leżał na niej jak ulał.

Żydowi nie udało się jej zatrzymać, krzyknął więc tylko gromko od drzwi:

- Uwaga na zbójców! - I machnąwszy ręką z rezygnacją, powlókł się do izby, unikając wzroku Wacława.

Aż się skurczył, gdy ten podszedł do szynkwasu i bawiąc się monetą, zagadnął:

- Kto zacz ta dziewczyna?

- Panienska Rubinowska z dunajeckiego zamku. Bardzo przyjemna osoba,

tylko trochę... jakby tego... osobliwa...

- To znaczy?

- Nu, po męsku odziana chodzi, jak Kozak konia ujeżdża, interesa dworskie lepiej od samego rządcy prowadzi... - Zmitygował się nagle. - A zresztą, ja tam nic nie wiem.

- A na imię wypadkiem nie ma Anna?

- A jużci, Anna.

Wacław powtórzył je sobie w myślach i uznał, że pasowało do dziewczyny, a poza tym było jednym z tych, które lubił najbardziej. Wciąż podrzucając w dłoni monetę, dał znak karczmarzowi i obaj wyszli na zewnątrz. Koniowiąz był pusty, dziewczyna zabrała ze sobą również skaleczoną kasztankę.

- Izaak, bo zdaje się, że takie imię nadał ci twój szlachetny ojciec, czy widzisz to samo co ja?

Nieszczęsny Żyd wytrzeszczył oczy.

- Daruj, jasny panie, kiedy nic nie widzę - wystękał płacząco.

- W tym sęk. A przecież widziałeś, jakem przed godziną wiązał tu swego karego, boś wyszedł nas powitać. Chyba żeś mi go podał na śniadanie? - Spojrzał na gospodarza podejrzliwie.

- Nie ośmieliłbym się, wasza łaskawość. - Arendarz otarł pot z czoła.

- To ładnie z twojej strony, zresztą na piecyste poświęciłeś raczej starą podeszwę. Ale w takim razie jak wytłumaczysz zniknięcie mego konia?

- Aj-waj, łaski, jasny panie - załkał Żyd, wznosząc ręce w błagalnym geście. - To panienska zabrała rumaka waszej wielmożności, mniemając, że należy do tutejszego rządcy, który odkąd mu zbój Baczyński córkę pohanił, w mojej karczmie topić smutki zwykł. Jakżem ją mógł

powstrzymać? Ajajaj, wszystko na biednego Żyda...

Wacław odzyskał wigor, ale sumienie mu nie pozwalało pastwić się dłużej nad karczmarzem, skoro zajęty walką ze skrzatami nie domyślił się w porę, że dziewczynie chodziło o jego karego. Lecz jeśli mieszkała w Dunajcu, wszystko układało się znakomicie, więc humor mu dopisywał.

- I co teraz? - spytał z surową miną. - Na czym dalej pojedę? Może na tobie? - Krytycznym wzrokiem zlustrował przygarbioną sylwetkę arendarza, udając, że poważnie rozważa taką ewentualność. - Ostatecznie może być, byle nie na oklep. Skocz no po siodło, tylko migiem!

- Wasza wielmożność zbyt łaskaw dla mnie! - wykrzyknął przerażony Izraelita. - Niech wasza łaskawość raczy zaczekać chwilkę, duchem wracam.

Pędem rzucił się ku stajni, która przytykała do karczmy. Po kilku minutach doszło stamtąd ni to rzenie, ni charkot, ni ryk zarzynanego osła, po czym pojawił się Żyd, wiodący za sobą opierającego się ze wszystkich sił najbardziej szkaradnego stwora, jakiego Wacław widział kiedykolwiek.

Krótkie, guzowate a cienkie piszczele dźwigały

wychudzony szkielet z widocznymi wszystkimi żebrami i obwisłym

brzuchem. Wielki i nieforemny łeb zwieszał się ku ziemi, posyłając

Wacławowi pełne wyrzutu spojrzenie kaprawych oczu, on zaś zawstydził się, że za jego przyczyną wyrwano biedne zwierzę ze śmiertelnej drzemki.

- Oto Krasna - obwieścił Izaak takim tonem, jakby chwalił się arabem pełnej krwi. - Niemłoda ci ona, ale do zamku stąd niedaleko i bez ochyby waszą wielmożność tam dowiezie.

Na dowód klepnął szkapę po grzbiecie, ona zaś niemal przełamała się na pół.

- Widzę - powiedział kwaśno Waclaw - że prędzej ja bym ją zaniósł do zamku, niż na odwrót. Już lepiej zachowaj ją na to podłe jadło, którym trujesz ludzi w swojej oberży.

- Cha, cha, dobry żart tynfa wart - ubawił się Żyd. - Aleć to pewne, że lepiej jej dosiąść, niżli nogi na przeprawie zamoczyć, a rzeka po burzy wezbrana. Tyle że siodła nie mam...

Mimo wszystko Waclawowi nie uśmiechało się brodzić w wodzie na piechotę, musiał więc pogodzić się z nieuniknionym. Poza tym zaczynała go bawić ta komiczna sytuacja. Ostrożnie dosiadł czworonoga, któremu jakimś cudem udało się przeżyć tę operację, i już miał ruszać, gdy karczmarz zastąpił mu drogę.

- Jasny panie - zaskomlał przymilnie. - Jeśli, czego Boże broń, zacne bydlę jednak padnie w drodze, nic mi straty nie nagrodzi, ale parę grajcarów żal uczyniłoby lżejszym...

- Masz. - Waclaw rzucił mu monetę, po czym błyskawicznym ruchem złapał go za poły chałatu i przyciągnął ku sobie, mówiąc złowieszczco: - Lecz jeśli mi zdechnie, bądź pewien, że dopilnuję, byś ją zeżarł razem z kopytami.

Zostawił przestraszonego arendarza i ruszył w drogę, nie oglądając się za siebie i pogwizdując fałszywie, nie miał bowiem słuchu za grosz.

Grajcar - drobna moneta austriacka, miedziak.

Napadli nań u brodu. Wskoczyli z nadrzecznych zarośli i otoczyli, nim zdążył pomyśleć o ucieczce, bo o obronie nie było co nawet marzyć.

Zbójów było sześciu. Jedni odziani byle jak, drudzy nosili cyfrowane portki i węgierskie kurtki, każdego zaś opasywał szeroki trzos z pozatykanymi zań pistoletami i nożami o trzonkach nabijanych

mosiądzem. Niektórzy wymachiwali siekierkami na długich styliskach, zwanymi w tych stronach ciupagami lub wałaškami, herszt zaś, ponury drab o śniadym licu przeciętym szpetną blizną, miał na ramieniu wyborny sztucer. To on indagował jeńca.

- Więc powiadasz, żeś nie baron Dondangen? - zapytał po raz wtóry.

- Jaki ze mnie baron! - Głos studenta drżał ze strachu. - Żak ubogi jestem, do Podolińca zdążający.

- Cheba nie łze, Kłapciuch - odezwał się bandyta przeszukujący juczne torby młodzieńca. - Ino papierzyska i księgi jakoweś.

Student odetchnął, a herszt zadumał się ponuro. Przesunął na tył głowy duży czarny kapelusz, któremu zawdzięczał przyzwisko. Takie bowiem, uherskie, czyli węgierskie kapelusze polscy górale nazywali kłobukami lub pogardliwie kłapciuchami, przenosząc to miano na ich nosicieli.

Kłapciuch zaś był przy tym półkrwi Madziarem.

- Widzi mi się - rzekł w końcu - że prawdę powiadasz, i to nie ciebie szukamy, synku...

Poklepał po ramieniu chłopaka, któremu zaświtała nadzieja na szczęśliwe zakończenie niebezpiecznej przygody, ponieważ nic nie wiedział o sadystycznych upodobaniach Kłapciucha.

- Ale - ciągnął zbir - znaczy to również, że okupu za ciebie nikt nie da, a wypuszczony, gotowyś narobić rabanu.

Pokiwał głową z udawanym żalem i nim młodzian zdążył się zorientować w jego zamiarach, wbił mu nóż prosto w serce.

- Nieee!!!

Bandyci tak byli zajęci swoją ofiarą, że przegapili pojawienie się dziewczyny, ona zaś stała zaszokowana popełnionym na jej oczach

morderstwem. Obie strony jakby zamarły na chwilę. Dziewczyna pierwsza oprzytomniała i wyszarpnąwszy z cholewy buta małą króciwą, dała ognia, o włos chybiając Kłapciucha, któremu kula zerwała z głowy kapelusz. Nim wystrzeliła drugi raz, zbrojcy rzucili się na nią i ściągnęli z karego. Krzyknęła tylko:

- Uciekaj, Juraj, i sprowadź pomoc!

Lecz pachółka zbyt sparaliżował strach, by mógł wykonać polecenie. Na szczęście jego podjezdek spłoszył się i pomknął z powrotem w stronę Czorsztyna, nim zbrojnicy zdążyli go pochwycić.

Koścista kobyła poruszała się z prędkością żółwia, co rusz próbując zawrócić do domowych pieleszy. Wacławowi jednak nie przeszkadzało ani to, ani konieczność ciągłego podkurczania nóg, by nie włożyć nimi po ziemi, ani nawet świadomość, że wygląda jak Don Kichot na osie pożyczonym od Sancho Pansy. Nic nie było w stanie wyprowadzić go z błogostanu, skoro u mety czekała Dulcynea. Ciągnął zatem niespiesznie, rozkoszując się pięknym październikowym dniem. Po bólu głowy nie zostało nawet wspomnienie.

Jeszcze wczoraj lało jak z cebra, dlatego o całą dobę opóźnił swój przyjazd. Teraz zaś, mimo przedpołudnia, słońce przygrzewało jak w lecie, a od rzeki wiał przyjemny, rześki wietrzyk. Las po obu stronach traktu mienił się wieloma barwami. Droga łagodną pochyłością schodziła ku Dunajcowi. Rzeki nie było jeszcze widać, ponieważ zasłaniał ją las i ciągnący się wzdłuż brzegu pas oczeretów, ale ze szczytu wzniesienia, ponad wierzchołkami drzew, wyłaniał się położony na drugim brzegu cel jego wędrówki - Zamek Dunajec. Sterczał na wysokiej skale niby lew sprężony do skoku. Emanował ponurym dostojęństwem i tajoną groźbą.

Wtem ciszę i miły nastrój przerwał huk wystrzału. Wacław natychmiast zatrzymał czworonoga, który powitał to z wdzięcznością, i zaczął nasłuchiwać. Inne strzały już nie padły, za to z lasu wyskoczył Arx Dunajetz lub częściej Castrum Dunajecz (z łac.) - dawna nazwa zamku w Niedzicy.

jak z procy podjezdek z pachołkiem dziewczyny, rozpaczliwie uczepionym siodła. Nie zatrzymując się na widok Wacława, | u raj wrzasnął:

- Zbójcy! Rety! - I popędził dalej.

Wacław piorunem zeskoczył z kobyły i otwartą dłonią uderzył ją po zadzie. Szkapą tylko na to czekała, pokraczynym galopem pognęła wślad za uciekinierami, Wacław zaś skoczył w las i pod osłoną zarośli, pistoletami w obu garściach, jął się przekradać ku rzece.

Kłapciuch... - odezwał się wąsaty zbój, drapiąc się z zakłopotaniem po skołtunionej czuprynie. - Toć to panienka z zamku.

Nie jestem ślepy! - warknął herszt.

I co teraz? - wtrącił inny bandyta. - Da nam harnaś do wiwatu, li jej choćby włos z głowy spadnie. A bo to raz przykazywał, > >by jej nawet palcem nie tykać?

- Krucafuks! - zaklął dowódca, który w przeszłości był wędrownym mnichem. - Wiem to dobrze. Diabli nadali! Skibaczyk, a obacz no, zali Ślusarczyk nie ścisnął jej za mocno.

Wąsaty zbój pochylił się nad dziewczyną.

- Dycha, omgłała ino.

- Majerczyk, daj znać do zamku, że znów się nie udało i mamy kłopoty.

- Teraz? - zdziwił się barczysty, brodaty rozbójnik. - Toć jescie nie

południe. Nikt nie увидzi.

- Spróbuj.

Brodacz wyjął z kieszeni małe zwierciadło i po dłuższym manewrowaniu zdołał skupić promienie słoneczne i wysłać serię błysków w kierunku zamkowej wieży. Wszyscy w napięciu czekali na odpowiedź, która nie nadchodziła.

- Nic z tego - zniechęcił się w końcu sygnalista i schował lusterko.

- Trudno - rzekł Kłapciuch. - Nie uwiadomim harnasia wcześniej jak pod wieczór. Trza zabrać dziewczkę do rudery i czekać rozkazów.

Pojawiły się zbiry wysłane w pogoń za pachółkiem. - Ucik, psiajucha!
Zara bedziem mieli na karku kupę luda!

- Dobra, uczynim tak - zdecydował herszt: - Ślusarczyk z Majerczykiem wezmą czołno, wyrzucą trupa na środku rzeki, żeby ślad j po nim zaginął, i wodą wrócą do rudery, a reszta się przeprawia, ino migiem, nim pachół posiłki ściągnie!

Dosiadł karego i przełożył przed sobą na siodło nieprzytomną dziewczynę, drugi zbój wskoczył na konia studenta. Kiedy wjechali w rzekę, pozostała dwójka uczepiła się końskich ogonów. Wyznaczeni przez dowódcę bandyci wyciągnęli tymczasem z zarośli ukrytą tam łódź i powlekli ją ku wodzie. Musiała być ciężka, bo choć bardzo się spieszyli, co rusz z niepokojem oglądając się wstecz, szło im niesporo.

Ukryty w zaroślach Waclaw obserwował uprowadzenie dziewczyny i nie uczynił nic, by temu zapobiec. Ktoś mógłby zarzucić mu tchórzostwo, ale byłoby to krzywdzące i pochopne pomówienie. Był jedynie człowiekiem przezornym i dbającym o własną skórę, a sześciu zdecydowanych na wszystko morderców stanowiło widok zdolny ostudzić najbardziej

rozpaloną głowę. Poza tym wcale nie podjął jeszcze decyzji, czy ma ochotę dać się zabić dla dziewczyny, której na dobrą sprawę wcale nie znał. Bijąc się z myślami, spojrzął na rzekę i nagle przypomniał mu się tamten dzień sprzed ponad czterech lat. Tylko Bug pod Dubienką był o wiele szerszy i głębszy, ale jego wody miały taką samą brudną barwę jak Dunajec po wczorajszej burzy. Owego lata Bug stał się dla niego Rubikonem, którego przekroczenie zadecydowało o dalszych losach Wacława.

W lipcu 1792 roku miał dwadzieścia dwa lata, gdy pod Dubienką, podczas wojny w obronie majowej konstytucji, generał Kościuszko stał się z przeważającymi siłami Moskali. Zdradzieccy Austriacy pozwolili Rosjanom przekroczyć swoją granicę i w ten sposób zaskoczyć polskie prawe skrzydło. Piechota i konnica ze straży przedniej pułkownika Karwickiego dały wrogom zacięty odpór, lecz spanikował dowódca niesfornej kawalerii narodowej, pułkownik Biernacki, który zaczął wrzeszczeć: Cofnąć się, cofnąć! Ratuj się, kto może! Wacław, podówczas podporucznik prosto po Szkole Kadetów, dał się pociągnąć uciekinierom. Kościuszko próbował ich powstrzymać, lecz Biernacki wraz ze swoim pocztowym wzięli generała pomiędzy siebie i porwali z pola bitwy. Wacław gnał tuż za nimi. Wtem wybuch kartacza powalił pocztowego i Kościuszkę, Biernacki zaś popędził dalej. Wacław mógł podążyć za nim, ale pochwyciwszy błagalne spojrzenie Kościuszki, bez namysłu zeskoczył z konia i oddał wodze generałowi, który natychmiast zawrócił i zdążył jeszcze przeprowadzić wojsko na drugi brzeg bez większych strat. Wacław zaś, ponieważ nie mogąc się nadziwić swojej głupocie, osłaniał odwrót i cudem uniknął ogarnięcia przez Moskali.

To po tej kampanii król Stanisław ustanowił order Virtuti Militari i jako pierwszych odznaczył nim księcia Józefa, swego bratanka i naczelnego wodza, oraz generała Kościuszkę. A wkrótce sam przystąpił do zdrajców-targowiczów, kładąc kres oporowi i godząc się na II rozbiór Polski.

Wacław zakończył tę wojnę w stopniu porucznika, osobiście awansowany przez Kościuszkę, na którego przychylność zawsze mógł liczyć. Jako prawdziwy patriota odniósł kilka ran, pochował paru przyjaciół, ale za to stwardniał i oswoił się ze śmiercią, a klęski nauczyły go, jak podnosić się z kolan. Miał jednak poczucie, że niezupełnie o to mu szło, gdy pod Dubienką przekroczył swój Rubikon. Dlatego po upadku insurekcji wrócił w rodzinne pielesze, porzuciwszy patriotyzm dla prywaty i solennie sobie obiecawszy pilnować wyłącznie własnego nosa.

I aż do dziś kiwał palcem w bucie z rzadka, tylko dla siebie i swoich najbliższych, co też okazało się zajęciem dość jałowym i nudnym. Zdążył się już do tego przyzwyczaić, aż tu masz ci los! Kiedy jego niezdecydowany wzrok padł na okaleczoną kasztankę, smętnie pochylającą łeb nad zabitym studentem, a później na dziewczynę uwożoną na swoim karym w siną dal, pojął, że w odróżnieniu od Juliusza Cezara dostał następną szansę i Dunajec to nowy Rubikon. Głupio mu było tylko go przekraczać bez pewności, czy robi to bardziej dla ogiera, czy dziewczyny, ale ten problem mógł poczekać, w przeciwieństwie do bandytów.

Zbójnicy na drugim brzegu właśnie znikali w zaroślach, gdy tymczasem pozostała dwójka wciąż marudziła. Chciwość okazała się silniejsza od widma pościgu, więc przed odpłynięciem postanowili zrewidować kieszenie nieboszczyka. Na tym zajęciu zaskoczył ich Wacław. Brodacz

próbował sięgnąć po nóż, w czym Waclaw wcale mu nie przeszkadzał. Nawet nie wyjął pistoletów, odchylił tylko poły koletu tak, by kolby były widoczne, i uprzedził lojalnie:

- Od rana swędzi mnie prawa ręka. Chyba nie na witanie, ale możemy się przekonać...

Mimo lekkiego tonu, z jego oczu widać było, że zlikwidowanie paru bandytów stanowiło dlań jedynie problem techniczny, a nie dylemat moralny. Od czasu insurekcji warszawskiej nienawidził pospolitych złoczyńców jak zarazy. Kiedy większość mieszkańców stolicy brała udział w walce lub pomagała powstańcom, jak mogła, hołota wszelkiej maści, korzystając z wojennego zamieszania, dopuszczała się niezliczonych rabunków, gwałtów i mordów. Nikt nie pochwycił wówczas więcej zbrodniarzy i nie oddał katu od Waclawa. Tym razem nie miał jednak czasu ani ochoty rozglądać się za najbliższym trybunałem, zresztą nie był już na służbie. Zbóje pojęli to w lot, bo nawet bez zachęty odrzucili wszystką posiadaną broń. Spojrzeli tylko rozpaczliwie na drugą stronę rzeki, ale po kompanach nie pozostał nawet ślad. Waclaw wybrał idealny moment.

- Co to za rudera, o której wspominał Kłapciuch? Milczeli. Wzruszył ramionami.

- Możemy tam popłynąć albo tu zaczekać na pościg z Czorsztyna. Wybór należy do was.

- Czerwony Klasztor - odzyskał nagle mowę starszy ze zbójników, któremu spod czapki wystawały tłuste siwe włosy. - Będzie stąd wodą ze dwie mile...

- Wiem, gdzie to jest - uciął; w czasach studenckich zjeździł niemal cały

Spisz. - Ruszajmy zatem.

Pochwycił ich porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechnął się złośliwie. Na pewno brali go za szaleńca i planowali pozbyć się po drodze, a najdalej w swoim gnieździe. Graniczące z pewnością przekonanie, iż w sposób być może brutalny i definitywny przyjdzie mu odebrać im nadzieję, nie obudziło w jego nieczułym sercu łagodniejszej struny.

Łódź już na nich czekała. Była to dłubanka zwana cołnem, taka jaką polscy górale ze Sromowiec wyrabiali z jednego ogromnego pnia świerkowego, który dźwigało z lasu minimum sześciu chłopa. Mogła pomieścić kilka osób, do obsługi zaś wymagała dwóch flisów, jednego u dziobu, czyli nosa, i drugiego na tępo ściętej rufie, czyli styrze, obu posługujących się długimi żerdziami do odpychania - spryskami. Waclaw usiadł okrakiem na środkowej ławce, a bandyci naparli na drągi, odpychając łódkę od brzegu. Pozostawili za sobą kulawą kasztankę i rozciągnięte na trawie ciało studenta. Waclaw odwrócił wzrok, bo wydało mu się, że martwe oczy chłopaka patrzą nań z wyrzutem. Czuł się winny tej śmierci, mimo iż rozum mówił mu, że nie byłby w stanie jej zapobiec, nawet gdyby studentowi towarzyszył. A teraz mógł jedynie go pomścić. Znow weszło w nim uczucie takie samo, jak na widok jadowitych gadów - absolutny brak sympatii.

- Który z was go zabił? - W takim nastroju mógłby na miejscu zastrzelić winowajcę, choćby mu przyszło samemu poprowadzić czołno, cechowała go bowiem pewna bezwzględność, której czasem ulegał, nawet, jak w tym wypadku, kosztem niedogodności. A przy tym, nad czym ubolewał jego spowiednik, ani mu to nie zalegało na sercu, ani snu nie odbierało, za to odbijało się na twarzy. Przerażeni zbóje wrzasnęli więc jednym głosem:

- Kłapciuch!

Dłubanka wpłynęła w główny nurt i dunajecki zamek zaczął się oddalać, nic nie tracąc ze swego złowieszczego wyglądu. Flisowie zręcznie manewrowali, sprawnie operując spryskami, lecz wiedział, że tylko czekają na dogodny moment, by go zaatakować. Nie martwił się tym, bo od dawna nie uczestniczył w porządnej awanturze i naprawdę już zaczynała go świerzbic ręka. Nie mógł tylko ustalić która, ale to nie miało znaczenia, bo był oburęczny.

Wyminęli szerokie zakole i w oddali przed nimi pokazał się potężny masyw Trzech Koron, a bliżej pierwsze chałupy Sromowiec Wyżnich. Grupka kobiet w podkasanych zapaskach prała przy brzegu bieliznę na kamieniach, z rozmachem okładając ją kijankami. Na widok przepływających jedne piszczwały i umykały w popłochu, drugie wołały coś i machały rękoma, lecz szum rzeki zagłuszał słowa. Waclaw pokiwał im przyjaźnie, nic bowiem nie napełniało go taką sympatią do bliźnich, jak nadzieja rychłej bijatyki.

Zaraz za wsią Dunajec nabrał rozpędu. Rwał bystro, tocząc spienione wody, wezbrane po burzy, zwążającym się korytem. W dali, z wielobarwnej ściany lasu, wyłoniły się zbocza nagich białych skał wapiennych, schodzących ku wodzie niemal pionowymi urwiskami. Ze znaczną prędkością wpłynęli między skały, prawie ocierając się o nie burtami. Czólno przechyliło się niebezpiecznie, lecz Waclaw zachował czujność i mocno trzymał się łódki.

Szybko zbliżali się do położonego na bezludziu samotnego wzgórza, na którym leżał klasztor, od koloru dachówek biorący nazwę. Waclaw nie wiedział, czy Kłapciuch już tam dotarł ani czy zbójnicy obserwowali

rzekę, więc postanowił ominąć klasztor i wylądować poniżej.

Obaj bandyci na wyprzódki, słownie i gestami, próbowali mu to wyperswadować, pokazując, że odwlekanie lądowania staje się niebezpieczne i należałoby przybić do zrujnowanej przystani. Zignorował to i nakazał płynąć naprzód, co okazało się faktycznie trudnym zadaniem. Woda wokół kipiała, przelewając się przez wąską gardziel przełomu.

Flisowie naparli na drągi z całych sił, aż twarze im pokraśniały z wysiłku, i gdy zdawało się już, że topiel wciągnie łódź i pochłonie z kretesem, ta powoli, lecz nieustępliwie jęła się kierować ku brzegowi. Kiedy znalazła się na w miarę spokojnej wodzie, brodaty zbój na rufie nagle pochylił się i nie puszczając spryski, sięgnął po ukrytą pod stertą łachmanów wałaskę. Takie siekierki spełniały w górach wielorakie funkcje. Mogły służyć za łaski albo do ścinania gałęzi na ognisko lub jako broń na niedźwiedzie. Albo na ludzi, jak w tym przypadku.

Zbir jeszcze brał zamach, gdy czujny Waclaw, znający wszystkie zastosowania wałaski, już leżał plackiem na dnie dłubanki. Ciupaga z furkotem przemknęła mu nad głową i ugodziła w środek pleców drugiego bandytę, który zwałił się do rzeki. Pozbawiona steru łódka zaczęła się kręcić w koło i uderzać o wystające z bystrzyny skały. Silniejszy od innych wstrząs wymiół z czoła brodacza, w chwili gdy podnosił żerdź, by ugodzić nią Waclawa. Wpadł prosto na ostry głaz niby ostroga sterczący ponad wodą i wisiał na nim nabity, aż rzeka litościwie porwała bezwładne ciało.

Zanim prąd zepchnął czołno z powrotem na środek nurtu, Waclaw, który ze sztuki pływackiej opanował jedynie bezpowrotne nurkowanie na dno, wyskoczył z łodzi i tocząc morderczą walkę z wirami, zupełnie

wyczerpany dobrnął wreszcie na zbawczy łód za pomocą ciupagi, która znalazła się w jego ręku niewiadomym sposobem.

Klasztor

Kłapciuch nie marudził niepotrzebnie. Wnet dotarł do klasztoru, swoich ludzi rozstawiwszy po drodze, by zatarli ślady i ostrzegli go przed ewentualnym pościgiem, w który zresztą nie bardzo wierzył. Rudera, jak lubił nazywać zrujnowaną budowlę, nie była wprawdzie tak wygodna jak poprzednia kryjówka, którą banda musiała niespodziewanie opuścić przed paroma miesiącami, lecz równie •bezpieczna. Od czasu do czasu, a Baczyński słynął ze specyficznego poczucia humoru, bandyci dawali nocny spektakl na wieży kościelnej i murach klasztornych, dlatego opuszczony monastyr uchodził za miejsce nawiedzone przez duchy i miejscowa ludność unikała go jak ognia. Za dnia jeden strażnik w zupełności wystarczał do odstraszenia zabłąkanych wędrowców.

Dwukrotnie do ruin zapuścił się oddział kapitana Kaunitza, ale ostrzeżeni w porę bandyci zawsze zdołali umknąć na czas i pozacierać za sobą ślady, zwłaszcza że łupy trzymali gdzie indziej. Klasztor służył im głównie za noclegownię i miejsce zbiórek.

Kłapciuch nie lubił tego miejsca, albowiem przed kilkunastu laty, zanim w 1782 roku cesarz Józef skasował wszystkie zakony żebrzące i kontemplacyjne, był wędrownym mnichem. Niechętnie wracał myślą do tamtych czasów, a klasztor stale mu je przypominał. Zbójca stawał się wtedy, jakby krwią chcąc ugasić pożar obudzonego sumienia, jeszcze okrutniejszy niż zazwyczaj. Bestialstwo Kłapciucha, nad którym czasem tracił kontrolę, sprawiło, iż harnaś swym podhetmanim uczynił nie jego,

lecz Łazarczyka, któremu z kolei nie ufał. Kłapciuch nie miał żalu do Baczyńskiego i był mu, jedynej osobie na świecie, szczerze oddany.

Dlatego sprawa z dziewczyną tak go zirytowała. Doprawdy, było to godne ukoronowanie całej zupełnie spartaczonyj akcji. Nie dość, że nie udało się ująć człowieka, na którego polowali dwa dni, to jeszcze śmierć studenta postawi na nogi cyrkuły po obu stronach Dunajca, a jakby i tego było mało - dziewczyna. Zawiązał jej oczy, ale w końcu zorientuje się, dokąd ją porwano. Wyglądała na rezolutną pannicę. A co potem? Nikomu nie uśmiechała się następna przeprowadzka, i to z rozjuszonymi starościńskimi na karku. A tu zima za pasem i o dobrą kryjówkę niełatwo.

- Krucafuks! - zmiął w ustach ulubione przekleństwo, bardzo stosowne dla eks-mnicha. - Diabli nadali!

Gdyby to od niego zależało, wiedziałby, co z nią zrobić. Jednak Baczyński miał do tej dziewczki dziwną słabość, mimo iż na pewno nie była ani jego frajerką¹, ani córką. Cała banda w głowę zachodziła kim zatem? W tej chwili jęknęła, wracając do przytomności. Obrzucił ją wrogim spojrzeniem i splunął z irytacją. Istna chłopczyca. Co harnaś widział w takim szkielecie? Poruszyła się i bezsilnie szarpnęła więzy.

- Jest tu kto? Wypuście mnie natychmiast!

Nawet w takim położeniu w jej głosie nie słyszał strachu, który z pewnością musiała odczuwać. Miała ikrę, chętnie to przyznał. O niewielu mężczyznach, którzy znaleźli się w jego mocy, mógł to powiedzieć.

Najczęściej szlochali i błagali o litość, bezskutecznie zresztą. Ona była inna. Chyba że liczyła na protekcję harnasia, co zdawało mu się wielce prawdopodobne. Zdarł jej opaskę z oczu i poczuł satysfakcję, gdy na jego

widok zachnęła się z odrazą. Lubił wzbudzać bojaźń. Spojrzał na nią odrobinę przychylniej, bo go nie zawiodła. W innej sytuacji w nagrodę zabiłby ją bezboleśnie.

- To ty! Morderca! Będziesz wisiał, dopilnuję tego!

Frajerka (gwar.) - dziewczyna zbójnika.

Ręce go zaświerzbiły, bo przebrała miarę. Zgrzytnął zębami. W innej sytuacji zabijałby ją powoli i w wyszukany sposób.

- Lepiej nie przeciągaj struny, moja panno, bo nawet konfidencja z harnasiem zda ci się na nic! - warknął.

- Jaka konfidencja?! Nie mam znajomych wśród hultajstwa!

Teraz już nic nie rozumiał. Jeśli nie wiedziała o względach, jakimi darzył ją Baczyński, była odważniejsza, niż przypuszczał, a to tylko pogarszało sprawę. Do tej pory liczył, że dojdą do jakiegoś porozumienia, teraz stracił nadzieję. Musiał pozostawić decyzję harnasiowi.

- Dobra, skoroś taka harda, posiedź tu sobie w szczurzej kompanii, aż będziesz grzeczniejsza.

Jeszcze się łudził, że wzmianka o szczurach ją zmiękczy, ale prychnęła tylko pogardliwie. Zły jak lichy opuścił zakrystię, zamykając drzwi na skobel. Niech sobie diablina posiedzi w ciemnościach i pozachodzi w głowę, co z nią uczynią. A może szczury faktycznie ją nieco poskubią. Na tę myśl prawie się uśmiechnął, lubił bowiem niewyszukane rozrywki.

W nieco lepszym humorze wielkimi krokami przemierzał pusty kościół. W zrujnowanej świątyni przez wybite okna hulał wiatr, przewalając z kąta w kąt sterty śmieci i zeschniętych liści. Po odejściu zakonników miejscowe chłopstwo do cna rozkradło sprzęty i ogołociło ściany, reszty dokonali zbójnicy. Tylko w bocznej kaplicy dziwnym trafem ocalał krucyfiks, może

dlatego, że wisiał bardzo wysoko, był stary i zniszczony. Raptem Kłapciuchowi wydało się, że Ukrzyżowany spogląda na niego z góry, ale wcale nie z potępieniem, tylko z litością i niemym wyrzutem. To wystarczyło, by wprawić zbója na powrót we wściekłość. Błyskawicznie podrzucił sztucer do oka i wystrzelił. Strzaskany krucyfiks runął na posadzkę i rozsypał się w proch. Grzmot wystrzału rozszedł się echem po całym kościele.

- To się nazywa grom z jasnego nieba! - rzucił chełpliwie Kłapciuch w stronę resztek krzyża. - Oddaj mi, jeśli potrafisz.

Zarzucił sobie broń na ramię i pogwizdując, pospieszył do wyjścia, jasne światło dnia oślepiło go na chwilę, a gdy otworzył oczy, nie mógł dać wiary temu, co ujrzał.

- Ki diabeł? - wykrztusił niebotycznie zaskoczony.

Wylazszy z wody, Waclaw otrząsnął się jak zmokły pies i nie tracąc czasu, rozpoczął wspinaczkę na zalesione zbocze, po którego drugiej stronie rozłożył się klasztor. Szperając wzdłuż muru, wypatrzył dziurę, przez którą przedostał się do środka. Nikt go tu nie mógł dojrzeć, ponieważ dawny ogród porastała bujnie rozpleniona dzika roślinność.

Kompleks klasztorny składał się z głównego budynku, połączonego w całość z kościołem, oraz z kilkunastu domków-celek, rozrzuconych w obrębie murów. Monastyr pobudował przodek Waclawa, magister Kokosz, w XIV wieku i odtąd klasztor przechodził burzliwe koleje losów.

Pierwotnie był to erem kartuzów. W połowie XVIII stulecia chylący się ku ruinie klasztor przejęli kameduli. Do istniejącego hospitium dobudowali salę jadalną-refektarz, szpital, a także odnowili gotycką świątynię na barokową modłę, kryjąc dachy czerwoną karpiówką. Nazwali klasztor

Eremus Conventus Montis Coronas - Pustelnią Góry Korony, jednak miejscowa ludność wolała mniej uczenie zwać go Czerwonym Klasztorem. W 1782 cesarz Józef II skasował zakon kamedułów, a budynki i dobra zgromadzenia przeznaczył na fundusz religijny. Pozbawiona opieki budowla niszczała w szybkim tempie.

Dzieje klasztoru Waclaw poznał przed laty, zawitawszy tu jeszcze jako konwiktork podolinieckiego kolegium, od mnicha starszaka, który postanowił w nim dokonać żywota, co i zapewne udało mu się do tego czasu. Już wtedy monastyr sprawiał przygnębiające wrażenie

Konwiktork - uczeń mieszkający w konwikcie, czyli w szkole ze wspólnym mieszkaniem uczniów (dziś powiedzielibyśmy - internatem).

kompletnie opuszczonego, a nieubłagany żąb czasu nie próżnował od tamtej pory.

Upewniwszy się, że od strony ogrodu nie ma nikogo, Waclaw odważył się zerknąć zza węgła na dziedziniec. Rozświetlony słońcem kusił, bo choć Waclaw obsechł już trochę po wierzchu, to wciąż mokra koszula ziębiła mu ciało. Przy na wpół rozwalonej bramie wjazdowej sterczał strażnik, niedbale oparty o wyłamane wierzeje i zajęty nabijaniem fajki, acz niewątpliwie dość czujny, by w porę pochwycić stojącą obok fuzję i zastrzelić intruza. Opodal, przy studni, przywiązane do kołowrotu stały dwa konie, znak, że Kłapciuch dotarł już do klasztoru. On, strażnik przy bramie i Bóg wie, ilu zbirów czających się nie wiadomo gdzie, a tymczasem Waclaw dysponował jedynie szablą i ciupagą, bo pistolety na pewno zamokły w wodzie. Arsenał w sam raz na wojnę z całą bandą. Każdy samobójca oddałby życie, by znaleźć się na miejscu Waclawa, on zaś wolałby być gdzieś indziej, bo poniewczasie doszedł do wniosku, że

chyba przecenił swe siły.

Uznawszy jednak, iż prędzej umrze z głodu (a potężnie burczało mu już w brzuchu), niż proporcje sił odmienią się na lepsze, rozpiął kolet, by nie krępował mu ruchów, i odkleił od ciała mokrą koszulę, po czym rzucił garść żwiru w nieodległą kępę krzaków. Początkowo strażnik nie zareagował, ale za drugim razem wziął fuzję i niespiesznie ruszył w stronę źródła hałasu, pewnie nie spodziewając się spłoszyć nic groźniejszego od lisa bądź borsuka, a już na pewno nie desperata, konającego z głodu i chłodu. Uderzony gracko w tył głowy obuchem siekierki, nie zdążył nawet uświadomić sobie pomyłki i upadł jak długi w wysoką trawę, znikając w niej zupełnie.

Wacław nie miał czasu sięgnąć po fuzję, bo z kościoła dobiegł huk wystrzału, pognał więc co sił ku drzwiom świątyni, by korzystając z zaskoczenia, powalić przynajmniej pierwszego przeciwnika, ale nim do nich dotarł, Kłapciuch wyszedł na zewnątrz i stanęli twarzą w twarz.

- Ki diabeł?! - zdziwił się bandyta, kiedy oczy przywykły mu do światła. Próbował zdjąć sztucer z ramienia, lecz uświadomił sobie, że go nie nabił po wystrzale, a kolby pistoletów za pasem Wacława zniechęcały do daremnych wysiłków.

- Człowieku - powiedział perswadującym tonem - nie wiem, ktoś zacz i jakżeś się tu dostał, ale lepiej odejdz, nim przywołam swoich ludzi.

Oczy mu biegały w poszukiwaniu strażnika.

- Wołaj - poradził mu Wacław życzliwie, nie chowając urazy za przyrównanie do diabła, ponieważ miał świadomość, jak wygląda, a poza tym żywił do zbója znacznie poważniejszą anse. - Im większa kompania, tym weselej, a jestem dziś w wyjątkowo podłym humorze.

- Czego chcesz? - warknął zbój, tracąc spokój.
 - Mojego konia, dziewczynę... - zastanowił się chwilę. - Nie. Najpierw dziewczynę, potem konia. I ciebie. Najlepiej żywego, ale nie będę się upierał.
 - Mnie? - W oczach Kłapciucha malowało się zdziwienie. - A cóż ty masz do mnie? Spotkaliśmy się już kiedy?
 - Rankiem nad rzeką.
 - A, o to ci idzie - odetchnął bandyta i chcąc zyskać na czasie, zaproponował: - Posłuchaj: dam ci konia, dziewczkę, okup za siebie i pozwolę odjechać. No jak?
- Wacław pokręcił głową i lewą ręką wyjął pistolet.
- Żywy lub martwy, wybieraj. Mnie za jedno.
- Nie był szczery, co mu się, niestety, czasami zdarzało. Wcale nie uśmiechało mu się odstawianie jeńca do starosty i chyba Kłapciuch też to rozumiał, bo pozwolił, by sztucer zsunął mu się z ramienia. Szydercza nonszalancja prześladowcy robiła na nim większe wrażenie niż najgorsze groźby. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się bał, lecz wciąż nie rezygnował.
- Chyba nie zastrzelisz bezbronnego? - Nieproszony założył ręce na kark.
 - Czasem robię wyjątki - wyznał wstydliwie Wacław, niedbale kręcąc młynki ciupagą trzymaną w prawicy. - Na dwoje babka wróżyła. Uważaj! Szybkim ruchem uniósł pistolet i pociągnął za spust. Kurek opadł z cichym trzaskiem. Wystrzału nie było. Kłapciuch otworzył zaciśnięte powieki i głośno przełknął ślinę. Czoło miał zroszone potem, a na portkach rozszerzała się mokra plama.
 - Pardon. Powinienem się tego spodziewać - powiedział Wacław

przepraszająco. - Pistolety zamokły, kiedy twoi ludzie próbowali utopić mnie w rzece.

Nagle źrenice bandyty rozszerzyły się. Niedostrzegalnie dłoń ześliznęła mu się z karku na rękojeść noża, zawieszzonego w pochwie na plecach. Błyskawicznie wydobył go i wziął zamach, ale rzucić nie zdołał. Ciupaga zatoczyła w powietrzu pełny obrót i ugodziła zbira w głowę. Upadł na wznak. Na ostrzu noża igrał promień słońca, w oczach Kłapciucha zastygło bezmierne zaskoczenie.

Wacław zatknął za pas bezużyteczny pistolet i podszedł do trupa, dla pewności trącając ciało butem. Zlikwidowanie zbója nie zrobiło na nim większego wrażenia niż zabicie wściekłego psa, może z tą różnicą, że zwierzęcia byłoby mu żal. Z kieszeni bandyty wypadło małe zwierciadło, podobne do tego, którym brodacz usiłował porozumieć się z kimś w zamku. Wacław schylił się po nie i wtedy usłyszał znajomy gwizd. Zamarł, bo tego dźwięku nie słyszał od dwóch lat i nigdy już nie spodziewał się usłyszeć. W tej samej chwili zobaczył w lusterku dwóch skradających się za plecami zbójników. Kiedy się ku nim gwałtownie odwrócił, w garści trzymał już szablę. Tego z lewej ciał przez głowę, drugiego pchnął sztychem w gardło.

- To już wszyscy, nikogo więcej teraz tu nie ma. Miło znów oglądać pana rotmistrza przy robocie.

Oddalony o kilka kroków, ze strzelbą zwieszoną ku ziemi, stał kudłaty strażnik.

- Ręka pewna jak dawniej - dodał z uznaniem, rozcierając obolałą czaszkę.

- Dawniej trafiłbym Kłapciucha akuratnie między oczy, a nie dwa palce w

lewo - odparł Waław samokrytycznie, ponieważ był perfekcjonistą, a poza tym z wszystkich rodzajów estetyki najbardziej lubił symetrię, po czym zreflektował się i zmarszczył czoło w namyśle.

Głos brzmiał znajomo, ale niechlujna broda i długie kudły, w strąkach opadające na kark... Gdyby nie gwizd, nigdy by go nie rozpoznał.

- Kacper, Kacper Głowacz - powiedział wreszcie. - Dzięki za ostrzeżenie.

- Nic to. Nie lubiłem ich. Z panem rotmistrzem insza sprawa. Ile to już czasu minęło?

Waław szybko obliczył w myślach i aż się zdumiał.

- Nie do wiary! Dziś mija dokładnie dwa lata...

- Zatem gdyby nie pan, gryzłbym piach od dwóch lat. Waław nie wierzył w cudowne zbiegi okoliczności, ale teraz był gotów pomyśleć, że nad Dunajec przywiodło go przeznaczenie. Od dwóch lat starał się usilnie zapomnieć o przeszłości, pozrywał dawne kontakty, a tu najpierw rzeka przypomniała mu Dubienkę, a teraz spotkał starego towarzysza broni...

Było to także dziesiątego października, tyle że dziewięćdziesiątego czwartego roku. Leżał w błocie, przygnieciony przewróconą armatą, opodał osnutego dymem zamku maciejowickiego. Było już praktycznie po bitwie, która zadecydowała o klęsce insurekcji kościuszkowskiej. Moskale uwijali się po poboju, dobijając rannych i grabiąc poległych. Jakiś kozak podjechał do leżącego niedaleko Waława grenadiera krakowskiego w powalanej krwi i ziemią sukmanie i dźgnął go piką. Kosynier jęknął. Kozak zeskoczył z konia i zamierzył się szablą, by uciąć głowę żołnierzowi. Waław miał przygniecioną stopę, ale sprawne ręce i nieodstępny czekanik. Trafiony w czoło kozak ani zipnął. Uratowany

kosynier przyczołgał się do Waclawa. Zapewne zginęliby zaraz obaj, gdyby o sto kroków od nich grzebiący w stercie trupów Moskał nie ciął w głowę powstańca w chłopskiej czamarze. Wtedy udający trupa dragon mirowski zawołał z rozpaczą: Zabili Naczelnika! Zabili Kościuszkę! Natychmiast uczyniło się zbiegowisko. Śmiertelnie bladego Kościuszkę wyniesiono z placu boju na noszach z pik i płaszczy. Nikt już nie zwracał uwagi ani na zabitego przez Waclawa kozaka, ani na jego karego, wiernie trwającego przy panu, ani na dwóch powstańców ukrytych pod przewróconą lawetą. Po zmierzchu opuścili pole bitwy z pomocą kozackiego konia, który bez oporu dał się pochwyć, i po niewyobrażalnych trudach i niebezpieczeństwach dotarli do Warszawy. Bez poświęcenia Głowacza Waclaw, utykający i gorączkujący, nie zdołałby ominąć posterunków moskiewskich i dostać się do lazaretu, nim gangrena wdała mu się w nogę. Mimo to odparł sucho:

- Może tak byłoby lepiej. Zresztą to Kum uratował nas obu. Kumem nazwał konia „odziedziczonego” po kozaku.

- Ma go pan jeszcze?

- Tam stoi - Waclaw kiwnął głową. - Twoi kompani próbowali mi go odebrać.

Głowacz uśmiechnął się krzywo.

- Gdyby wiedzieli, na kogo się porywają, przyjęliby wiatyk1. Jak pan rotmistrz tu trafił?

- Rzeką. Poprosiłem Majerczyka i Ślusarczyka, by mnie zabrali ze sobą. Zbój pokiwał głową domyślnie.

- To dlatego nie wrócili do rudery. Pan rotmistrz nie zmienił się nic a nic przez te lata.

- Obaj się zmieniliśmy, jeno ty bardziej. Jakżeś trafił do tej zakazanej kompanii?

Głowacz machnął ręką i skrzywił się.

- Zwyczajnie. Gdym wrócił z wojny, dziedzic wyrugował mnie z ziemi i chciał wydać Moskałom jako buntownika. Tom uciekł i błąkał się po świecie, aż mnie harnaś Baczyński przygarnął. Tak i mu służę.

Wiatyk - ostatnia komunia przed śmiercią.

Taki właśnie na ogół był los insurgenta¹. Walczył za ojczyznę, gdy spokojni ludzie pilnowali własnych spraw, a po klęsce słusznie stawał się wyrzutkiem ściganym przez swoich i obcych. Waclaw również tego doświadczył i dlatego nie rozczulał się nad Kacprem ani nad sobą, ponieważ obaj zasłużyli na to, co ich spotkało. Bohaterowie wojenni winni ginąć na wojnie, a nie kłuć współobywateli w oczy swoim bohaterstwem. Martwy bohater jest poza tym o wiele tańszy do utrzymania i pożyteczniejszy - można o nim pisać pieśni i stawiać go dzieciom za wzór. Jako bohater, który przeżył, Waclaw miał dość przyzwoitości, by odczuwać wstyd z tego powodu.

- Gdzie znajde Baczyńskiego? - rzucił podchwytliwie. Głowacz popatrzył nań z wyrzutem, Waclaw zresztą nie oczekiwał odpowiedzi. Kacper zawsze był lojalny wobec ludzi, którym służył.

- Nie powiedziałbym, nawet gdybym wiedział. Ale tego nie wie nikt. No, może jeden Łazarczyk, podhetmani. I Kłapciuch też wiedział...

- W takim razie, gdzie jest dziewczyna?

- W zakrystii. Cała i zdrowa, bo i wcale nie o nią szło Kłapciuchowi.

- A o kogo?

- O barona Dą... gę... gę..., tfu, na psa urok, język można połamać! Harnaś

wywieźli go, że ma w gości na zamek dunajecki zjechać, i zasadzili się na niego. Ale nie przyjechał ani wczoraj, ani dziś. A ponoć wielki to pan, za którego i tysiąc talarów okupu by się wzięło jak nic.

- Aż tyle? - zdumiał się Waclaw.

- Albo i więcej. Jak nie on, to dałby stryj jego, podobnie bogacz nad bogacze.

To stawiało sprawy w zupełnie innym świetle i Waclaw chętnie by się nad tym zastanowił, tymczasem jednak miał pilniejszą robotę.

- Pomóż mi zrobić tu porządek. Nieprzyjemny to widok i nie chcę przerazić dziewczyny, a muszę ją stąd zabrać, nim twoi wrócą.

- Bez obawy. Nie wrócą przed wieczorem.

Insurgent - uczestnik insurekcji, powstaniec.

Zawlekli więc trójkę nieboszczyków do dołu pod murem i przykryli gałęziami. Wcześniej Kacper wymienił swoją flintę na sztucer Kłapciucha. Waclaw zaś odrzucił niepotrzebną już ciupagę, bo przy siodle czekał nań ulubiony czekanik, podsypał świeżego prochu na panewki swoich pistoletów i powiedział:

- Pora się rozstać. Nie powiem: idź i nie grzesz więcej, bo uczynisz, jak zechcesz, ale lepiej już tu nie wracaj.

Przyglądał się brodatemu obliczu, na którym rozbójniczy żywot zdążył już odcisnąć piętno, i zrobiło mu się żal czegoś, co obaj utracili dawno temu - wiary w sens swoich poczynań.

- No, idź - powtórzył łagodnie, gdy tamten się nie ruszał, spoglądając na pistolety trzymane przez Waclawa.

Za bramą rozbójnik oglądał się, jakby wciąż nie dowierzając, że naprawdę wolno mu odejść. Waclaw uśmiechnął się cierpko do siebie.

Nikommu nie potrafiłby strzelić w plecy, a już na pewno nie staremu druhowi. Jego dawny ordynans okazał się łotrem, lecz Wacław nie czuł się powołany, by go osądzać. Ludziom, którzy wojowali przez pół dorosłego życia, trudno było znaleźć swoje miejsce w czas pokoju. Sam jeszcze przed tygodniem parał się kontrabandą, na potrzeby rodzinnego interesu przemycając zakazane angielskie sukno z Niemiec do Turcji i jedwab w odwrotnym kierunku, bo to dawało mu namiastkę dawnych emocji. No i nie oszukiwał się - to całkiem niezły zarobek. Nieraz wymykał się z zasadzek zastawianych przez celników, a w ostatniej strzelaninie ranił dwóch. Gdyby ich zabił, czym różniłby się od Kacpra, który na tej samej drodze posunął się tylko o krok dalej?

Zły, że się zaczyna nad sobą użalać, schował broń i poszedł w stronę kościoła.

Anna bała się straszliwie. Nadrabiała miną, ale naprawdę chciało jej się płakać. Jednak wrodzona przekora i odraza do Kłapciucha kazały jej rozdrażnić groźnego bandytę. Kiedy odszedł wściekły, po dziecięcemu radowała się, że mu dopiekła. Potem uczucie euforii wyparowało bez śladu, do czego przyczyniła się wzmianka o szczurach. Była kobietą w sam raz na tyle, żeby się lękać obrzydliwych gryzoni. Ale kiedy czas mijał i żaden szmer nie zakłócił ciszy, zaczęła ją męczyć bezsilność. Nawet o cal nie udało się rozluźnić fachowo zapętionych więzów. Siedziała na kupie cuchnących szmat, czuła się brudna i upokorzona, a o najbliższej przyszłości wołała nawet nie myśleć, żeby nie popaść w rozpacz.

Jedyną pociechę stanowiła myśl, że ojciec nie widzi jej w tak poniżającym położeniu. Piotr Rubinowski, stary żołnierz, w oczach córki był

najlepszym rycerzem Rzeczypospolitej. Po pierwszym rozbiorze za jednym zamachem stracił majątek na wschodzie i żonę, która osierociła roczną córeczkę. Odtąd brał odwet na Moskalach, gdzie się tylko dało, wychowanie Anny powierzywszy przyjaciołom. Odwiedzał córkę z rzadka i karmił ją wtedy bohaterskimi historiami, Wyrosła więc na gorącą patriotkę. Kiedy jej rówieśnice bawiły się lalkami, ona pobierała lekcje fechtów i strzelała jak prawdziwy mistrz, rozczytując się w książkach historycznych i romansach i marząc o roli heroiny w prawdziwym życiu. Wyrosła na dziewczynę dziką, o nieposkromionym i zgoła męskim temperamentem, co, mimo urody, w czasach, gdy ceniono kobiety omdlewające i uległe, zredukowało liczbę jej adoratorów niemal do zera. Nie przejmowała się tym, bo i tak ojciec pozostawał dla niej ideałem mężczyzny, a nie spotkała dotąd żadnego rówieśnika podobnego do niego.

Tymczasem Rubinowski pielęgnował w sercu żal do żony, że nie dała mu syna, a do córki, że nie urodziła się chłopcem. Dlatego, pomimo starań dziewczyny, nie okazywał jej zbyt wiele uczucia. Ona zaś w wieku dwudziestu czterech lat była bezpośrednia i samodzielna, ale mało kobieca.

W tej chwili jednak czuła się najzwyklejszą słabą i bezradną kobietą, i ta nowa, nieznośna sytuacja doprowadzała ją do płaczu. Pociągnęła nosem i zlizwała z warg płynące z oczu łzy.

Pchnął drzwi.

- Jest tu kto?

W kiepskim świetle padającym z małego okratowanego okna dostrzegł jakiś tłumok. Kiedy się nad nim pochylił, toból wierzgnął i wyjrzała z

niego para błyszczących jak szmaragdy oczu.

- Czego chcesz?! - warknęła na powitanie.

- Też rad cię widzę, pani. - Ukłonił się grzecznie. - Anim się spodziewał w tak podłym miejscu spotkać tak ułożoną osobę.

- Patrzcie go, jaki szarmancki! - prychnęła pogardliwie. - Mów, coś za jeden, łobuzie!

- Przebóg, zostałem rozpoznany! I to w tak marnym świetle - powiedział z podziwem.

- Nie drwij ze mnie, bo tego nie lubię.

- Peregrinus sum \ do usług - odparł posłusznie.

Peregrinus sum (łac.) - jestem wędrowcem.

- Powiedz raczej - bandyta!

- Nie, żebym był drażliwy - zastrzegł się - lecz wybawca podobałby mi się bardziej.

- Akurat! Wybawca się znalazł! A gdzie zgubił pozostałych?

- Oprócz nas dwojga w całym klasztorze nie masz nikogo. Zmarszczyła brwi z niedowierzaniem.

- Naprawdę chcesz mnie oswobodzić?

- To moja specjalite. Jeżdżę sobie po świecie, zabijam smoki i uwalniam piękne księżniczki.

Wyjął szablę i ostrożnie, aby dziewczyny w ciemnościach nie zranić, zaczął przecinać pęta.

- Błazen. Taki z ciebie smokobójca, jak ze mnie księżniczka!

- W samej rzeczy, w tych ciemnościach łatwo o pomyłkę. - Przerwał robotę, wyprostował się i zrobił ruch, jakby miał wychodzić.

- Ejże! - zawołała. - Co robisz?

- Nic - odparł zgodnie z prawdą. - Jeśli nie jesteś księżniczką, uwolnienie cię byłoby poniżej mojej godności.

- Natychmiast wracaj! Przystanął w drzwiach.

- Ostatecznie... - rzekł po namyśle. - Dziś poniedziałek, a w poniedziałki czynię wyjątki dla panien niżej urodzonych. Jesteś przynajmniej panną? - zaniepokoił się.

- Jestem - syknęła przez zaciśnięte zęby.

Chwilowo zaniechawszy słownych gier, rozciął więzy do końca. Chciał jej pomóc rozetrzeć nadgarstki, ale go osadziła:

- Łapy przy sobie!

Po paru minutach wstała, podniosła z kąta kołpak ze złamanym orlim piórem, otrzepała go, nasadziła energicznie na głowę i zadysponowała:

- Możemy iść.

Przemaszerowali przez kościół ona przodem, on za nią, i wyszli na zewnątrz. Rozejrzała się czujnie.

- Dziwne. Chyba naprawdę jesteśmy sami.

- Przecież mówiłem.

- O tak, mówiłeś, mój ty prawdomówny wybawco... Uśmiechnęła się do niego promiennie i tak od tego zgłupiał, że nim zorientował się, co zamierza, już trzymała w rękach jego pistolety.

- ... tylko że ja ci nie wierzę nic a nic! - Parsknęła drwiąco i nagle ujrzała w trawie porzucony powróż. W jej oczach błysnął diablikowaty niebieski płomyk.

Gapił się na nią z przyjemnością. Choć twarz miała umorusaną, dodawało jej to tylko uroku. Węgierski obcisły strój doskonale podkreślał zgrabną sylwetkę, a szelmowski uśmiech na pięknie wykrojonych ustach sprawił,

że naszła go wielka ochota przygarnąć dziewczynę... Ona jednak miała całkiem inne plany.

- Wyciągnij łapska przed siebie i zadzierzgnij sznur na lewym nadgarstku
- rozkazała, rzucając mu powróż i potrząsając groźnie bronią. - Już ja ci dam naigrawać się ze mnie!
- Ostrożnie, są nabite.
- Mam nadzieję. Tylko drgnij, a zastrzelę jak psa. Prawa!

Zupełnie sprawnie, mimo iż mogła użyć tylko jednej ręki, przywiązała mu dłoń do dłoni. Nie przeszkadzał jej, bo dobrze wiedział, jakie dziury w plecach potrafi uczynić kula wystrzelona z tak bliska, a miał tylko jedną koszulę na zmianę. Z rozrzewnieniem przyglądał się dziewczynie, bo na wiązanie jeńcowi rąk z przodu mogła wpaść tylko stuprocentowa kobieta. Nie odebrała mu też szabli. Ostatecznie pozbywszy się wątpliwości co do płci swojej pogromczynie, mógł wreszcie zacząć się napawać własnym położeniem. Wzięty do niewoli przez niewiastę! Będą mieli w przyszłości co opowiadać swoim wnukom... Jednak na wszelki wypadek, aby owej świetlanej przyszłości nie zostawiać całkowicie w kobiecych dłoniach, tak manewrował rękoma, by więzy stały się jak najluźniejsze.

- Gotowe - oznajmiła z zadowoleniem, skończywszy dzieło. Odstąpiła dwa kroki i teraz ona przyjrzała mu się z uwagą. - Cóżes taki mokry?
- Miałem wypadek na rzece.
- A czegoś tam szukał?
- Konia, którego mi zabrano.
- Czy to był koń morski? - zadrwiła.
- Zwyczajny.
- I znalazłeś go?

- Owszem. Tam stoi. - Kiwnął głową w kierunku studni. Zmarszczyła brwi, a w oczach znów pojawił się groźny błysk.

- Łżesz! Wiem na pewno, że żaden z tych koni nie należy do ciebie. I jeśli miała jakieś wątpliwości, teraz się ich wyzbyłam. Jesteś jednym z nich, może nawet samym Baczyńskim! Wszystko pasuje, nawet broń. - Oglądnęła pistolet. - Le Page?

- Boutet1.

- No, właśnie. Zaczyna broń jak na łotrzyka. Nie wiem, coś knuł, ale to teraz nieważne. Pojedziesz, bratku, ze mną do starosty i jemu będziesz się tłumaczył. Oby mniej głupio niż mnie. Ruszaj do koni!

W połowie drogi, tknięta jakąś myślą, zatrzymała się.

- Powiadasz, że jesteśmy tu sami? Skinął głową.

- Lepiej dla ciebie, żeby tak było, bo inaczej zginiesz pierwszy. Słyszałeś o ojcu Cyprianie, tutejszym kamedule?

- O tym, co sfrunął z Trzech Koron na maszynie latającej własnego konceptu?

- Aha. Był z niego także medyk i zielarz przewyborny. Sporządził herbarz2 i pomieścił w nim aż trzysta ziół rozmaitych, które w większej części sam wykrył i wypróbował. Wiele bym dała, żeby dostać ten herbarz. Kameduści opuścili klasztor w pośpiechu, zbójców księgi nie ciekawiły, może się gdzie uchował... Wiesz coś o tym?

Le Page, Boutet - słynni paryscy rusznikarze z przełomu XVIII i XIX wieku. Herbarz - dawniej: zielnik. Powstał w latach 1766-1768 zielnik, o którym tu mowa, zawiera 98 kart z wklejonymi 282 roślinami opisanymi po łacinie, grecku, polsku, słowacku i niemiecku; obecnie znajduje się w muzeum regionalnym w Łomnicy Tatrzańskiej na Słowacji.

- Skąd mam wiedzieć? Panna masz o mnie krzywdząco mylne wyobrażenie. Czuję się urażony do głębi mojego jestestwa i niniejszym uroczyście protestuję przeciw takiemu traktowaniu.
- Jaki wrażliwy, pomyślałby kto! Nie to nie, sama poszukam, skoro już tu jestem.
- Lepiej nie przeciągać struny. Zbójcy mogą wrócić w każdej chwili - ostrzegł już całkiem poważnie.
- Mam ciebie, jesteś moim glejtem. Ruszaj!

Wzięła go na postronek jak kozę i poszli penetrować klasztor. Ani w piwnicach, ani w komnatach na parterze i piętrze nie znaleźli nic ciekawego oprócz śladów pobytu bandytów: rozbabrane barłogi, puste flaszki, rozbite skorupy, złamany nóż i zepsuta fajka oraz masa śmieci. Dopiero na strychu, na widok rozwieszonych pod dachem pęków ziół, dziewczyna wydała okrzyk zachwyty:

- Przebóg! Mącznica, waleriana, a ja ich próżno szukałam po górach całe lato! A tu co? Jejku, toż to cała apteka!

Na zbitej z prostych desek półce, w idealnym porządku, stały flaszki z przeróżnymi płynami, każda odręcznie opisana. Dziewczyna porwała jedną i przytuliła do piersi. Oczy błyszczały jej radośnie.

- Skarb, prawdziwy skarb! - W uniesieniu zapomniała się i podetkała flaszkę pod nos Wacławowi. - Masz, czytaj!
- Digitalis purpurea - odczytał z trudem niewyraźne pismo. - Purpurowe coś tam.
- Nie coś tam, tylko naparstnica purpurowa, wyborny lek nasercowy. - Pociągnęła nosem, z lubością wciągając odurzający zapach wypełniający strych. - Dziwne, pachnie świeżo, a przecież mnisi dawno się stąd

wynieśli...

Popatrzyła nań podejrzliwie, a on przypomniał sobie opowieść karczmarza, jak to Baczyński wcielił się kiedyś w rolę zielarza czy też znachora.

- Znasz łacinę?

- Trochę, lecz o ziołach nie wiem zgoła nic.

- Może tak, a może nie, kto cię tam wie. Dziwny z ciebie zbój... - powiedziała w zamyśleniu.

- Dziwny, bo żaden. Zbyła go machnięciem ręki.

- W cyrkule będziesz się tłumaczył. A teraz wyciągnij łapska!

- Ejże, ładnie to tak wykorzystywać jeńca wojennego? - zaprotestował.

- Przynajmniej raz zrobisz coś pożytecznego. A skarżyć się możesz staroście.

Naładowała mu pełne naręcze zielska, sama wzięła flaszkę z naparstnicą i zeszli na dziedziniec. Upchnęła zdobycz do jucznych toreb studenta, z których zbójnicy wyrzucili książki, przywiązała luźny koniec więzów Wacława do łąku swego siodła, otrzepała się z kurzu, obmyła twarz i ręce w studni, po czym dosiadła karego, a Wacławowi kazała wsiąść na drugiego wierzchowca. Kum rzucił swemu panu zdziwione spojrzenie. Ten cmoknął i zwierzę się uspokoiło.

- Pojedziesz przodem - oznajmiła Anna surowym tonem. - Ale uciekać nie radzę. Chybam rzadko i lepiej na to nie licz.

Ujechali może z milę, gdy nagle kazała mu stanąć i odwróciła się w stronę klasztoru.

- Czyżbyśmy zapomnieli o jakimś zielsku? - jęknął. - Miejże, pani, litość, jeśli nie nade mną, to choć nad moim biednym żołądkiem, który ci nic nie

zawinił. Od świtu nic nie jadłem okrom starej podeszwy udającej pieczeń. A tortury, o ile mi wiadomo, zostały zniesione jeszcze za króla Stasia.

- Nie na Spizu1. I nie odzywaj się niepytany. Właśnie przyszedł mi do głowy pewien koncept, co takim jak ty pewnie się nie zdarza.

- Nigdy na czczo. Tym więcej podziwiam tę umiejętność u innych. Jakież to zatem koncept, jeśli wolno wiedzieć?

- Jak z pożytkiem wykorzystać klasztor dla lepszych niżli bandycka kryjówka celów - odparła zjadliwie. - A teraz koniec dyskursu i w drogę! Tak dawniej wymawiano i pisano tę nazwę.

Poruseństwo1

odróżnych było dwóch, mało podobnych do siebie. Przodem jechał trzydziestoparoletni blondyn, solidnej budowy, z wąsami zawadiacko zakręconymi do góry, ubrany na modłę węgierską. Ciągnął za sobą luzaka objuczonego linami, czekanami, skrzynkami i tobołami. Za nimi podążał jeździec wysoki i kościsty, przyodziany w kraciasty strój podróżny i sznurowane buty na grubej podeszwie. Blondyn był węgierskim arystokratą. Nazywał się baron Gregor de Berzeviczy i pochodził z niedalekiej Łomnicy, gdzie posiadał znaczny majątek, który prowadził bardzo nowoczesnie. Jako pierwszy w okolicy zarzucił pańszczyznę, wcale nie z sympatii do chłopów, ale ze względów czysto ekonomicznych, a i tak uważano go za dziwaka i odmieńca. Utrwalił tę opinię, trudniąc się handlem na dużą skalę, co u szlachty węgierskiej uchodziło za spostponowanie klejnotu i czego mu nie wybaczone, zwłaszcza że na kupiectwie wzbogacił się niesłychanie. Dużo podróżował w interesach, w tym do Polski, którą darzył dużą sympatią, jako że sam należał do wrogów Austrii i zwolenników detronizacji Habsburgów. Miał także żyłkę

eksplorera i naukowca. Ogłosił drukiem pracę o torfowiskach na Spiszu oraz relację o swej podróży ze Spiszu do Warszawy. Lubił wspinaczki w Tatry i jako jeden z pierwszych wdrapał się na Kępak². Zwykle odbywał wędrówki w towarzystwie

Poruseństwo (gwar.) - bunt, powstanie.

Kępak - dawna nazwa Łomnicy (2632 m n.p.m.), szczytu długo uważanego za najwyższy

w Tatrach, zdobytego dopiero w 1793 r. przez Townsona.

dwójki wypróbowanych przyjaciół, tym razem jednak uległ prośbom Anglika i zgodził się być mu przewodnikiem w tej eskapadzie.

Robert Townson był mineralogiem, botanikiem i lekarzem, który wiele podróżował po całej Europie. Z obecnej ekspedycji w Tatry przywoził sporo wrażeń, a także próbki minerałów i kilkadziesiąt okazów rzadkiej flory. Wyniki i obserwacje miał zamiar wydać drukiem ' zaraz po powrocie do Anglii.

Towarzystwo mrukliwego Anglika czasem irytowało barona, który wszak umiał docenić wielką wiedzę przyrodniczą swego gościa oraz jego zimną krew, gdyż wielu jej dowodów doświadczył podczas niebezpiecznych wspinaczek na trudno dostępne szczyty.

Przy rozstajach, gdzie główny trakt prowadził do Starej Wsi i dalej na

południe, odchodziła w bok droga wiodąca wzdłuż Dunajca do

Czerwonego Klasztoru, rzadko używana i zarośnięta. W tym miejscu, pod rozłożystą lipą, usadowiła się nędzna karczma, wyglądająca jak zwykła chłopska chałupa. Przez otwarte okna, mimo dość wczesnej pory, dobiegały z wnętrza śmiechy i chóralne śpiewy.

Anglik skrzywił się z odrazą na widok podłej gospody, ale Węgier już

zsiadał z wierzchowca.

- Zaszło mi w gardle - oznajmił. - Chodź pan, napijemy się czegoś.

- Wygląda jak Czerwona Oberża - wycedził Townson wyborną francuszczyznę, która była ich wspólnym językiem.

- Bez obawy. Chłopstwo tutejsze zahukane jest i mores zna.

Mimo postępowych poglądów baron pozostał arystokratą do szpiku kości, a szlachta węgierska nawet polskiej nie ustępowała w pogardzie dla przedstawicieli niższych stanów.

Anglik wzruszył ramionami i z flegmą zlął z konia. Uwiązali zwierzęta do najniższego konaru lipy i skierowali się ku gospodzie. Wtem drzwi rozwarły się z hukiem i na dwór wytoczyła się dwójka podchmielonych wieśniaków. Jeden z nich stracił równowagę i wsparł się na Angliku, zionąc mu w twarz odorem podłego trunku.

Dzieło to, po angielsku i francusku, ukazało się w 1797 r.

- Damned! - zaklął rudzielec z odrazą, tracąc zwykłą flegmę. - Co za bydlę!

Tymczasem Węgier, szczęśliwie ominąwszy zawalidrogi, zderzył się w progu z odzianym w czerń grubasem, który w pojedynkę mógłby zatarasować wrota od stodoły.

- Z drogi, klecho! - warknął po węgiersku.

- Czemu ja, a nie ty? - odparł grubas w tym samym języku i równie zaczepnym tonem. Jego puciołowata, czerwona od alkoholu twarz ściągnęła się w gniewnym grymasie.

Zamiast odpowiedzi, baron chwycił księdza za kołnierz i jednym szarpnięciem wywlókł na zewnątrz. Zakonnik potknął się i z rozmachem klapnął w błącko przed karczmą.

- Wchodzimy! - zawołał Węgier do towarzysza i puściwszy go przodem, zatrzasnął za sobą drzwi.

Grubas pozbierał się z ziemi dzięki pomocy dwóch pijaków i wszyscy trzej wrócili do karczmy.

Kiedy Wacław wspomniał o jedzeniu, Anna poczuła ssanie w pustym żołądku, ale za nic by się do tego nie przyznała. Jej ojciec wytrzymał kiedyś o głodzie trzy dni, gdy ukrywał się przed Moskalami, sam jej o tym opowiadał.

- Cały dzień zmarnowany! - wybuchnęła. - A wszystko przez tego niesłownego draba. Dwa razy wyjeżdżałam mu naprzeciw nadaremnie! Jeszcze nikt mnie tak nie zlekceważył.

- Łotr i przeniewierca! - zgodził się Wacław rad, że może dopiec rywalowi, kimkolwiek tamten był, zwalniając i zrównując się z dziewczyną. - Na pani miejscu nie chciałbym już go więcej znać.

- Żebyś wiedział! - burknęła, ale nie popędziła go. - Przez umyślnego zapowiedział się na wczoraj, a nie przyjechał ani wczoraj, ani dziś.

Wczoraj złapała mnie burza, a dziś zbójcy. Wielki mi baron Dondangen! Dam ja mu, niech się tylko zjawi.

Wacław chrząknął i nagle zmienił front:

- Może oceniasz go, pani, zbyt surowo. Wczoraj lało jak z cebra... _ Wiem coś o tym!

- Albo co innego nagle mu wypadło - ciągnął. - Przecież gdyby wiedział, że go czekasz, gnałby jak na skrzydłach, ręczę za to!

- A ty co, adwokat jego jesteś? - Przyjrzała mu się podejrzliwie. -

Wszyscyście jednacy... I co tu robisz? Marsz na czoło! - Pogroziła mu pistoletem.

Droga wiała się malowniczo wzdłuż rzeki, by za Golembarkiem. wykręcić na południe. Chałupy stały tu z rzadka, a na widok obcych wieśniacy natychmiast chowali się w swoich zagrodach, pobudowanych w obronne czworoboki. Na poboczach stały dziwne małe budowle, przysadziste i kopulaste, nakryte gontowymi daszkami. Były to sypańce², spichlerze spiskie. W razie pożaru wystarczyło zwalić drągiem łatwopalny dach, by ocalić cenną zawartość.

Wjechali na wyniosłość, skąd widać było rozstaje i samotną chałupę pod wielkim drzewem.

- Stój! - poleciła. - Coś się tam dzieje. Przyłożyła dłoń do oczu.
- W kieszeni przy siodle powinna być perspektywa - powiedział.
- A ty skąd wiesz? - zdziwiła się.
- Bo gdyby to był mój koń, tam właśnie bym ją trzymał. Zrobiła, jak polecił, i wydobyła składaną lunetę, posyłając mu podejrzliwe spojrzenie. Przyłożyła ją do oka i zmartwiała.

- Rany boskie! - zawołała wstrząśnięta.

Nie protestowała, gdy wyjął jej lunetę z ręki i sam zrobił z niej użytek.

- Wygląda na to, że chłopci kogoś wieszają - zauważył bez emocji, obserwując, jak jakaś postać w czerni wymyka się z tłumu zgromadzonego pod drzewem i chyłkiem oddala.

Golembark - pierwotnie niemiecki Kahlenberg, nazwa spolszczona Golembark, obecnie

Łysa na Słowacji.

Po polskiej stronie do dziś zachowały się tylko w Kacwinie.

- To samosąd! Rapt! Gardłowa sprawa! - gorączkowała się. - Musimy ich powstrzymać! No, na co czekasz, ruszaj!

Pokręcił głową. Żarty właśnie się skończyły. Już raz przeżył coś takiego, w czerwcu dziewięćdziesiątego czwartego, i nie miał ochoty na powtórkę. Po klęsce pod Szczekocinami i zajęciu Krakowa przez Austriaków na ulice Warszawy wyległ wzburzony tłum. Wyjąca żądna krwi ciżba w odruchu nieposkromionego gniewu wdarła się do więzień, wywlekając stamtąd zdrajców-targowiczów i dokonując na nich natychmiastowego samosądu. A potem zaczęło się polowanie na nowe ofiary. Nie było tłumaczeń, lud nie zna pardonu. Wacława, który usiłował interweniować, powleczono w stronę ustawionej naprędce szubienicy. Uratowała go, dostrzeżona przez kogoś, prosta złota obrączka z napisem „Ojczyzna obrońcy swemu”, taka, jaką Kościuszko odznaczył najpierw generała Jana Henryka Dąbrowskiego, a potem innych zasłużonych insurgentów... Do dziś nosił ją na serdecznym palcu, a po nocach jeszcze czasem śniła mu się pętla zarzucona na szyję.

- Powiadają, że co ma wisieć, nie utonie - powiedział, nadrabiając miną. - A ponieważ byłem już dziś w wodzie, nie chciałbym kusić losu, wpadając z deszczu pod rynnę. - Pomasował z czułością szyję, którą zwykle uważał za zbyt krótką z wyjątkiem właśnie takich momentów, kiedy wydawała mu się idealnie w sam raz i odczuwał do niej namiętne przywiązanie.

- Nikogo nie pozwolę powiesić bez sądu, nawet ciebie.

- Miło słyszeć, lecz religia nie pozwala mi popełnić samobójstwa, nawet w tak znakomitym towarzystwie. Musimy się rozstać, co stwierdzam z najwyższym ubolewaniem. Możesz mnie pani zastrzelić na miejscu. Tak czy owak, ja tu zostaję.

Popatrzyła na jego spoważniałą nagle twarz z bezbrzeżną pogardą.

Odwiązała koniec powroza i cisnęła na ziemię.

- Dobrze, ratuj swe nędzne życie, jeszcze przyjdzie na ciebie kryska, tchórze!

Spięła Kuma i pomknęła w dół jak strzała.

Dalej chłopcy, dalej żywo, Otwiera się dla nas żniwo! Rzućwa pługi, rzućwa radło, Trza wojować, kiej tak padło!

Śpiewkę włościan Krakowiaków z czasów niedawnego powstania kościuszkowskiego wyśpiewywał na całe gardło postawny chłop w niespotykanej w tych stronach czapce krakusce na głowie. U czapki chwiało się złamane orle pióro. Chłop zaś chwiało się na nogach, opuszczając karczmę. Przekroczył niezgrabnie próg, potknął się, upadł i potoczył w kierunku zgromadzenia.

- Śpiewak, spiłżeś się jak bela!

- Daj pozór, cobyś sam się nie obwiesił! Zdopingowany drwinami podniósł się i zaczął rozpychać tłum.

- Z drogi! - ryczał. - Nie takich my wieszali w Warszawie w dziewięćdziesiątym czwartym roczku! Zaraz obaczycie, jak gracko się uwinę!

Tymczasem pod lipą inny chłop zawiązywał postronek na szyi barona Gregora.

- Jak beesz się ciskać, to krzywo zadyndasz - pouczał ofiarę życzliwie.

Baron był purpurowy z wściekłości, najwidoczniej w nosie mając estetyczną stronę swojej kaźni, jego towarzysz zaś nawet w obliczu strasznej śmierci zachowywał niewzruszony spokój.

- Jontek, a na co ty cekas?! Bier się do roboty! - ponaglił ktoś samozwańczego kata.

- Puszczajta, to moja rzecz! - Pijakowi zwanemu Śpiewakiem udało się

nareszcie dotrzeć do skazańców.

- Ejże, ludziska, stać! - wrzasnął, ujrawszy barona. - Ślepiście?! Toć to graf Berzewicy z Łomnicy, co chłopów swoich uwłaszczył! Puśćta go!

Wielkie chłopisko z nalaną twarzą i w zawadiacko przekrzywionym kapeluszu, też ozdobionym złamanym piórem, pchnęło Śpiewaka.

- Pater kazali wiesać, to wiesamy! Zacynaj, Jontek!

- Gdzie pater? Dajcie go tu! - nie rezygnował Śpiewak, ale tłum go nie słuchał.

- Na gałąź z niemi! Za ślebodeł, za równość syćkich ludzi! Za Polskę, za Kościuske!

Rozgorączkowana ciżba stratowała protestującego Śpiewaka i hurmą rzuciła się na skazańców. Na szczęście oprawcy przeszkadzali sobie nawzajem, a konie tylko dreptały w miejscu, wciąż dając oparcie obu nieszczęśnikom.

- Stać! Stać!!

Gruchnęły oddane w powietrze dwa strzały i Anna wjechała w tłum, bezpardonowo napierając wierzchowcem. Zaskoczeni ludzie początkowo ustępowali, ale wnet zacisnęło się wokół niej kolisko. Zaczerwienione z podniecenia i wypitej gorzałki twarze spoglądały na intruza nieprzyjaźnie. Czyjeś sękate łapsko zacisnęło się na jej nodze, a brutalne szarpnięcie omal nie wysadziło dziewczyny z siodła. Wtedy naprawdę poczuła, co znaczy prawdziwy strach.

Oszołomiony Śpiewak wypełzł na zewnątrz na czworakach, gdy wtem jakaś silna ręka chwyciła go za kołnierz i postawiła na nogi.

- Ruszaj za mną - polecił mu Waclaw.

Ile go kosztował przyjazd tutaj, tylko on wiedział. Dawno uwolnił się z

wieżów, a teraz wydobył szablę i płużając na prawo i lewo, dotarł do Anny i pomógł jej odzyskać równowagę. Z drugiej strony dołączył do nich Śpiewak. We trójkę dopchali się do skazańców. Śpiewak odsunął niedoszłego kata i odwracając się do motłochu, wrzasnął co sił w płucach:

- Spokój!!! Zapanowała względna cisza.

- Śpiewak, o co tu poszło? Co wam ci ludzie zawinili? - spytała Anna, starając się, by w jej głosie nie było słychać zdenerwowania.

Śleboda (gwar.) - wolność.

Chłop podrapał się w skołtunioną czuprynę z zakłopotaniem. Dla odzyskania rezonu schylił się po zgubioną i stratowaną rogatywkę, otrzepał ją i z namaszczeniem nasadził na głowę.

- A bo ja wiem? - wystękał w końcu. - Pijany byłem... Ci tu ponoć awanturowali się w gospodzie, spokojnych ludzi poturbowali, to i naukę im dać wypadało...

Anna chciała coś powiedzieć, lecz tłum za ich plecami zafalował, zniecierpliwiony.

- Śpiewak, a na co ty baby słuchasz?!

- One tyż pany, jako i tamte, na gałąź z niemi!

- Dobrze gada! Poruseństwo cas zacząć!

Lecz teraz, gdy emocje nieco opadły, Śpiewakowi łatwiej przyszło zdobyć posłuch.

- Milczeć, psubraty! - zagrzemiał. - Dobrodzikę swoją zabić chceta,

psiawiary?! - Wskazał na Annę. - Kurzajka, a kto ci dzieciska wykurował?

A tobie, Cisoń, kto kulasa zratował, gdyś go se kosą chlasnął? Taka wasza wdzięczność, psie syny, antychrysty zatracone?!

Ten i ów spuścił głowę, zawstydzony.

- Ludzie, tak nie wolno - wtrąciła się Anna. - Wieszając Bogu ducha winnych, nie załatwicie swoich spraw. Nie tędy droga i nie ten czas!

- Słyszeliście? - poparł ją Śpiewak. - Wynocha! Wieszania dzisiaj nie będzie!

Przy pomocy dwóch chłopów, też w kapeluszach przyozdobionych złamanymi piórami, rychło udało mu się rozproszyć niedoszłych rebeliantów, zwłaszcza gdy zawołał:

- Hajda do karczmy, Żyd nam zborguje, moja w tym głowa! Sam też chciał pójść za innymi, ale mocna ręka osadziła go w miejscu.

- Zostań, przydasz się jeszcze - powiedział Waclaw i nachyliwszy się do ucha Śpiewaka, coś mu cicho perswadował.

- Długo mamy tak czekać?! - wychrypiął zirytowany baron, któremu pętla uciskała krtań.

- Przepraszam - sumitowała się Anna. - Śpiewak, uwolnij panów! Chłop przestąpił z nogi na nogę.

- Z chęcią, panienko, ino...

- O cóż ci idzie?

- A bo... Bo pan baron słuszną zadrę do nas żywić może, więc wprzódy przyobiecać musi, że do cyrkułu skargi nie złoży...

- Niedoczekanie twoje! - wybuchnął Węgier. - Już ja dopilnuję, żeby wszyscy rebelizanci zawiśli!

- Ależ, baronie - odezwała się mitygująco Anna. - Do ostateczności przecież nie doszło, więc...

- Będą wisieć! - upierał się baron.

Twarz Śpiewaka stwardniała.

- Jak tak, to niech przynajmniej wiada za co. Odsuń się, panienko,' sam to załatwię.

Zamierzył się na wierzchowca barona.

- Nie! - rzekła Anna rozkazująco. - Pan baron wam tym razem daruje, a ja mu obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

- A kimże pani jesteś? - sarknął Węgier.

- Anna Rubinowska, plenipotentka grafów Palocsayów¹, a to są ich ziemie. - Gdy zaś baron zwlekał z odpowiedzią, dodała:

- Zdecyduj się, baronie, bo za chwilę odjeżdżam i niech się dzieje, co chce.

- Nie wierzę. - Uśmiechnął się krzywo.

- Lepiej uwierz. - Gniewnie ujęła wodze i zawróciła karego.

- Szatan nie kobieta. Stój! Zgadza się - wystękał pokonany Węgier. - Nie wniosę oskarżenia.

Anna skinęła Śpiewakowi, a ten już bez zwłoki uwolnił niedoszłych wisielców.

- Możesz odejść - powiedziała do niego. -

Pogadamy sobie jeszcze.

Nazwisko to brzmi właściwie

Horwath de Palocsy (Horwatowie z Pławca), ale potocznie mówiło się i pisało Palocsay i tej formy użyto w niniejszej książce.

- Zawsze do usług, byle nie dziś - rzucił chłop wesoło i lekko tylko się chwiejąc, puścił się biegiem do karczmy, skąd za chwilę dobiegł jego potężny głos:

Posprzedajwa woły z wozem, Spieszwa wszyscy za obozem,

Posprzedajwa i poduski, A przystajwa do Kościuski!

- No i masz! - burknął baron, rozcierając zdrtwiałe ręce. - Rewolucji im się zachciewa, huncwotom! Uwolniłby ich Palocsay z pańszczyzny i byłby spokoj.

- To samo mu mówię - podchwyciła Anna. - Ale stary hrabia Józef jest przeciwny wszelkim zmianom.

- Słyszałem o aśce co nieco. Masz panna głowę na karku. Marnujesz się u tych zacofańców. Jak ci się u nich sprzykrzy, u mnie znajdziesz drzwi otwarte.

Zmitygował się nagle.

- Wybacz, przecież mnie nie znasz. - Zdjął czapkę i skłonił się nisko. - Jestem Gregor de Berzeviczy z Łomnicy, a to mój towarzysz podróży, Robert Townson z Anglii. - Na dźwięk swojego nazwiska Anglik kiwnął lekko głową, spokojny i niewzruszony jak zawsze. - Wracaliśmy z wycieczki na Krępak, kiedy opadła nas ta hołota. Dank winniśmy waćpannie za ratunek.

- Proszę im wybaczyć, to biedni i zdesperowani ludzie.

- Chłopom wybaczyć mogę, bo ciemni, ale klesze, co ozór rozpuszcza i do rebelii podżega, nie daruję.

- Nie wiem, o kim pan mówisz. - Zmarszczyła czoło.

- Już ja wiem, co mówię - zaperzył się baron. - O tłustym mnichu, co chłopów podjudzał. Tfu, na psa urok, wszyscy papiści' diabła Warci, bez urazy waćpanny!, ale ci w habitach najgorsi... No, pora apista - pogardliwie o katoliku.

na nas, dość już czasu zmitrężyliśmy w tym zapowietrzonym miejscu.

Żegnam panią. - Z uszanowaniem pochylił się do jej ręki. - I rad powitam u siebie w Łomnicy.

- Dziękuję. Pan baron tak wybornie mówi po polsku, a ja po węgiersku ani w połowie tak dobrze. Aż mi wstyd.

- Niepotrzebnie. Bywałem w Polsce i lubię Polaków. Lubię wszystkich,

którzy nie lubią Austriaków. Z wyjątkiem Palocsayów.

Kiwnął ręką na pożegnanie, skinął na Anglika i odjechali, nie oglądając się za siebie.

- Zdaje się, że pan baron żywi anse do tutejszych dziedziców

- wtrącił Waław.

- Berzeviczowie, mimo prześladowań, wytrwali w wierze kalwińskiej i za zaprzańców mają Palocsayów, którzy powrócili na łono naszego Kościoła

- odparła odruchowo.

Odwróciła się gwałtownie, dopiero teraz go zauważając.

- Ty tutaj? - Spostrzegła, że uwolnił się z więzów. - Myślałam, żeś już daleko.

- Przecież nie mogłem zostawić konia.

- A cóż ty w koło Macieju o tym koniu! - zirytowała się. Nim zdążył odpowiedzieć, zza zakrętu wypadł oddział dragonów.

Na widok Anny podoficer jadący na przedzie uniósł rękę i żołnierze wstrzymali wierzchowce. Wówczas do przodu wysunął się postawny oficer.

- Panna Rubinowska! - zawołał ze zdumieniem i ulgą w głosie.

- Co za radość! Nie spodziewałem się pani tu zastać...

- A kogoś się pan spodziewał? - przerwała mu bezceremonialnie.

- Buntowników. Powiedziano mi, że pijane chłopstwo złapało jakichś dwóch podróżnych i do wieszania się wzięło.

- W takim razie wprowadzono pana w błąd.

- Ale... - Oficer wpatrywał się w dwa postronki, wciąż zwisające z gałęzi.

- Zapewniam pana, że nic takiego nie miało miejsca. Było tylko drobne nieporozumienie, które już zostało wyjaśnione.)

- Skoro tak, wypada mi jedynie pogratulować wacpannie szczęśliwego ocalenia z rąk zbójców. Wracamy właśnie z zamku i pani pacholek o wszystkim nam opowiedział, a pan Leszczyński użyczył podwozy, żeby przewieźć ciało chłopca. - Kiwnął głową w kierunku wozu znajdującego się na tyłach oddziału.

- Wszyscy się o panią zamartwialiśmy.

- Jakoś sobie poradziłam.

- Uciekła im pani? Kiwnęła głową.

- Zabrali mnie do Czerwonego Klasztoru, ale nie pilnowali zbyt gorliwie. Oficer uderzył się po udzie.

- Czerwony Klasztor! Słyszysz, Chowaniec - zwrócił się do wachmistrza.

- Czuję, że z tą ruiną jest coś nie tak!

Wachmistrz niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

- Natychmiast tam jedziemy! - gorączkował się oficer.

- Kiedy stamtąd odjeżdżałam, klasztor był pusty - poinformowała go dziewczyna.

- Nie szkodzi, może jeszcze tam kogoś złapiemy. - Nagle dostrzegł Wacława i zastanowił go jego mocno sfatygowany wygląd.

- A to co za jeden?

Anna zawahała się z odpowiedzią.

- Towarzyszę panie Rubinowskiej od Czerwonego Klasztoru

- zgodnie z prawdą wyjaśnił uprzejmie Wacław swą szkolną niemczyzną, nim dziewczyna zdążyła otworzyć usta - gdzie szukałem konia zabranego mi przez zbójców.

- I znalazłeś go pan?

- Znalazłem i pożyczyłem panie Rubinowskiej, albowiem wielce

przypadł jej do gustu.

Zerknął z uśmiechem na Annę, która aż zadygotała z oburzenia na taką bezczelność, lecz zanim dała mu upust, oficer skrzywił się, spoglądając na karego, i zapytał powątpiewająco:

- A cóż w nim takiego nadzwyczajnego?

Zamiast odpowiedzi Waclaw zeskoczył z konia studenta i podszedłszy do Kuma, cmoknął w szczególny sposób.

- Noga! - polecił.

Kary podniósł posłusznie prawą nogę i wsunął kopyto w wyciągniętą dłoń swego pana. Waclaw pogłaskał go po łbie, po czym gwizdnął przeciągle i rozkazał:

- Tańcz!

Z dziewczyną na grzbiecie kary zaczął zgrabnie podrygiwać, przekładając nogi, aż wreszcie Waclaw kazał mu przestać.

- Wabi się Kum. Umie także zalec plackiem na ziemi, lecz wątpię, by w tej chwili pannie Rubinowskiej ta sztuczka przypadła do gustu.

- Nadzwyczajne! - zawołał kapitan. - Ułożony jak pies!

Anna milczała, wpatrując się w Waclawa ze zmarszczonymi brwiami. Coś na kształt rumieńca powoli wypełzało na jej twarz. Wachmistrz podjechał do dowódcy i szepnął mu coś na ucho.

- Słusznie! - powiedział oficer i zwrócił się do Waclawa: - Przykro mi, ale my, tu na pograniczu, musimy być szczególnie ostrożni, zwłaszcza w stosunku do nieznajomych.

- Przezorność godna pochwały - odparł Waclaw, sięgając za pazuchę i wydając wymięty paszport.

- Trochę ucierpiał w wodzie - dodał przepraszaście.

Kapitan rozwinął papier, przeczytał, po czym złożył starannie, oddał właścicielowi i z uszanowaniem dotknął daszka czapki.

- Kapitan jego cesarskiej mości Franciszka II, August Aleksander von Kaunitz, czołem biję waszmości - przedstawił się i odwrócił do dziewczyny. - Widzę, że nie tylko udało się pani uciec bandytom, ale także odnaleźć swoją zgubę. Winszuję, lecz teraz już naprawdę musimy jechać co koń wyskoczy do Czerwonego Klasztoru.

- Proszę go oddać rodzinie tego chłopca, to jego wierzchowiec. Ja chętnie przejdę się pieszo - powiedział Waclaw, podając wachmistrzowi wodze konia studenta. - I to także. - Wyjął z kieszeni pięć złotych dukatów, wszystko, co miał przy sobie, oprócz paru drobnych.

_ Na pewno przekazemy - zapewnił go kapitan i uchylił kaszkietu.

- Żegnam państwa i do rychłego zobaczenia.

Odjechali galopem. Wóz na końcu podskakiwał na wertepach.

_ Prędzej diabła zje, niż uda mu się znaleźć jakiegoś zbrojaka, w Czerwonym Klasztorze lub gdzie indziej, żywego czy martwego - sarknęła pogardliwie Anna.

- Nie byłbym taki pewien - odpowiedział Waclaw, myśląc o Kłapciuchu i jego kompanach spoczywających pod klasztornym murem.

- Ach, te jego marsowe miny. - Machnęła ręką z lekceważeniem.

- Więszego fanfaronu trudno znaleźć ze świecą. Od miesiąca ugania się za zbrojnikami i jeszcze żadnego nie złapał. A z waści też dobry gagatek.

Zdaje się, że masz nawet jakieś nazwisko?

- Uprzedzałem, że bierzesz mnie za kogo innego - przypomniał.

- Może to i lepiej było dla acana - odparła złowróżbnym tonem.

- Poproszę pistolety - zażądał na wszelki wypadek i dopiero wtedy

odważył się przedstawić: - Wacław Benesz de Berzeviczy, do dyspozycji waćpanny. Razem z koniem.

- Baron de Dondangen? - upewniła się.

- Baron bez baronii, dlatego nie używam tytułu. Cóż to, waćpanna nie masz ochoty mnie zastrzelić? - spytał mile zaskoczony.

Skrzywiła się kwaśno.

- Z czego? I za co? Ostatecznie wczoraj tylko zmokłam przez waszmości jak kura, dziś porwali mnie zbójcy, a na ostatku zrobiłeś pan ze mnie idiotkę. Same drobiazgi - powiedziała jadownicie, wzruszając ramionami z lekceważeniem.

- Widząc mnie w wodzie, Archimedes nigdy nie wpadłby na to, że zanurzone ciało wypiera jakąkolwiek ilość cieczy. A pani, nie wypominając, zabrałaś mi wierzchowca, przez com mało nie utonął w rzece - odparował.

- Nie wiedziałam, że to pański koń! Inaczej diabła bym prędzej zjadła, niżli go pożyczyła!

- A ja nie wiedziałem, że pani będziesz mi wyjeżdżać naprzeciw! Raczej diabła bym prędzej zjadł, niżli się spóźnił!

Gniewnie zmarszczone czoło rozpogadzało się z wolna, a źrenice odzyskały cieplejszy szmaragdowy odcień.

- Cóż wać proponujesz w tej sytuacji?

- Skwitować się.

- A więc kwita?

- Kwita.

- I ani słowa o tym, że za hultaja cię wzięłam? - upewniła się.

- Ani mru-mru. - Podniósł dwa palce jak do przysięgi. - Gdybym nie znał

się tak dobrze, sam mógłbym się pomylić.

Uśmiechnęła się.

- W takim razie wybaczam ci - powiedziała łaskawie. - A teraz najwyższa pora do domu! To niedaleko.

- Wiem, inaczej nie zwróciłbym konia tak ochoczo.

Ujął cugle Kuma i ruszyli, okrążając wzgórze Tabor, zawdzięczające swą nazwę wojnom husyckim, kiedy to rozłożyli się w tym miejscu obozem taboryci. Słońce chyliło się ku zachodowi i zrobiło się chłodniej. Waclaw był piekielnie głodny, ale czuł się tak lekko na duszy, jak chyba nigdy w życiu. Znowu chciało mu się żyć, a tego uczucia nie doświadczył od czasu insurekcji.

- Coś nie spieszyło się waszmości, oczekiwaliśmy cię dużo wcześniej, jeszcze latem.

- Pisałem do pana hrabiego, że mam sprawy do załatwienia i mogę przybyć dopiero na jesień. Jako i jadę prosto z Krakowa, gdzie bawił w interesach. A po drodze zawadziłem o Łopuszną. A propos, starszy pan Lisicki kazał się kłaniać waćpannie.

- Pan znasz Lisickich? - zdziwiła się.

- Z młodszym chodziłem do szkół. W gruncie rzeczy to ich wina, że wczoraj nie zjawił się w zamku, jak było zapowiedziane. Gdybym im się nie wymknął cichaczem przed świtem, pewnie trzymaliby mnie do teraz.

- Zacni ludzie. Pan Romuald nosił mnie na rękach, gdy byłem mała. On, mój ojciec i pan Sawicki, o którym potem słuch zaginął, podczas barskiej konfederacji siła w tych stronach dokazywali, pod hrabią Beniowskim, tym sławnym kawalerem, służąc. Ale pan Romuald pewnie już waszmości o wszystkim opowiedział.

- Detalicznie. Słuch mu tylko trochę szwankuje, lecz o konfederackich czasach mógłby rozprawiać bez końca.

Podczas konfederacji Spisz był areną gwałtownych działań wojennych. W 1768 roku zbuntowani przeciw Moskwie i królowi Stanisławowi barżanie obiegli w Lubowli Kazimierza Poniatowskiego, ostatniego polskiego starostę spiskiego. Przewodził im głośny Maurycy Beniowski, niepewnego pochodzenia polsko-słowacko-węgierski awanturnik, który potem zyskał światowy rozgłos, kiedy wzięty do rosyjskiej niewoli uciekł z zesłania na Kamczatce i przedostał się do Chin, a stamtąd do Francji. Wysłany przez Francuzów na podbój Madagaskaru, samozwańczo ogłosił się tamtejszym królem i w końcu zginął w obronie swego królestwa. A tymczasem Austriacy wykorzystali wszczęte przezeń zamieszki, by jeszcze przed I rozbiorem zagarnąć cały Spisz dla siebie.

- Mój ojciec miał więcej szczęścia niż późniejszy król Madagaskaru i pan Romuald, którego także Moskale pojмали - ciągnęła Anna. - Hrabia Józef Palocsay ukrył go u siebie w Pławcu, stąd ich konfidencja, której dach nad głową zawdzięczam. A ot, jesteśmy na miejscu.

Zamek jakby czekał na nich, rozświetlony ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Mimo to nie wyglądał przyjaźniej niż z rana.

Wacław często w dzieciństwie roił o powrocie do rodzowego gniazda, ale teraz czuł, że chyba nie polubi tego miejsca. Tym bardziej było mu żal, że droga dobiegła już końca, akurat gdy nawiązała się między nimi wątpliwa nić porozumienia, z której z czasem zamierzał upleść solidną linę.

Z szerokiego i długiego podjazdu na czele grupki ludzi w roboczych ubraniach schodził w dół stary szlachcic w sarmackim stroju.

Rozpoznawszy Annę, krzyknął gromko z radości i podbiegł, by pomóc jej

zsiąć z wierzchowca, po czym po ojcowsku wyściskał z dubeltówki.

~ Wystarczy, panie Józefie - odsunęła go ze śmiechem - bo mi pan cały dech z piersi wydusisz.

- Chwała Bogu, chwała Bogu - powtarzał starzec, ocierając łzy z oczu. -
Takeśmy się wszyscy zamartwiali...

- Nic mi się nie stało. A na dodatek znalazłam naszą zgubę. Baronie,
poznaj tutejszego rządcę, pana Józefa Leszczyńskiego.

- Witam waszmość pana. - Szlachcic zdjął z głowy sfatygowany kołpak. -
Pan baron pewnie ciekaw, jak roboty w zamku postępują? Ano,
powolutku. Śpiewak znów się zawieruszył - poskarżył się Annie. -
Skaranie boskie z tymi chłopami. Jak tak dalej pójdzie, to przed zimą
reperacji nie skończymy.

- Skończymy - pocieszyła go Anna. - Zwłaszcza gdy pan baron własną
osobą wszystkiego dopilnuje.

- W czym kłopot? - zainteresował się Wacław.

- A w tym, że zelarzeł tutejsi ciemni są i duchów się boją, co rzekomo w
zamku siedzibę mają. Tak i do reperacji ludzi luźnych podnając trza było. -
Kiwnął głową w kierunku gromady obszarpańców, przestępujących z nogi
na nogę ze zniecierpliwieniem. - A ci, jeden w drugiego, lenie i huncwoty
zatracone. Do jadła im pilno, a do roboty wcale.

- To się rychło odmieni - obiecał Wacław, obrzucając ciężkim spojrzeniem
robotników, z których niejeden wyglądał na niegorszego łotra. - U mnie
nikt chleba darmo jeść nie będzie.

- Słyszycie?! - z satysfakcją w głosie zwrócił się do najmitów
Leszczyński. - A teraz pożegnać wielmożnych państwa i odmaszerować na
kwaterę.

Wymamrotali coś niewyraźnie, ten i ów uchylił nawet czapki, po czym oddalili się spiesznie.

- Pana też nie zatrzymuję, panie Józefie, bo pewnie do żony ci pilno. Jak zdrowie pani Marii? - powiedziała Anna.

Starzec posmutniał, sumiaste wąsy obwisły mu jeszcze bardziej.

- Marnie. W piersiach coraz więcej ją gniecie, a nadto zamartwiała się o panienkę, a przecież ostrzegałem... I co, nie sprawdził się sen?

- Daj pokój, panie Józefie, bo jeszcze pan baron za ostatnich parafian nas weźmie. Idź lepiej i powiedz pani Marii, że dla niej wyborny lek przywiozła.

- Bóg zapłać panience za dobre serce. Do nóżek padam. Skłonił się obojgu ze staroświecką galanterią i oddalił w kierunku pobliskiego obszernego domostwa, zapewne ekonomówki.

- Człek poczciwy z kośćcami, ale zabobonny jak wieśniak - zauważyła. - I rękę za lekką do ludzi ma.

- O jakich to snach mówił? - zainteresował się Wacław.

Zelarze, czyli zielarze - lokalna nazwa chłopów pańszczyźnianych.

- Ee, głupstwo. Jejmość Leszczyńska na serce słabuje, po nocach spać nie może, to i dręczą ją zwidy, które za sny wieszczę bierze. Ot, wczoraj przybiegł do mnie z rana pan Józef i na wszystkie' świętości zaklinał, bym się na spotkanie waszmości nie wybierała, bo się pani Marii wyśniło, że mnie wilcza wataha opadła.

- A nie sprawdziło się?

- Pan kpisz, a jednak gdy niedawno bawił u nas w gościnie pewien węgierski kupiec, pani Marii wyśniło się, że go w lesie zbóje zamordują, choć żebraka udawał. Wszyscyśmy ją wyśmiali, a najgłośniej ów kupiec;

ludzi do ochrony wziąć z zamku nie chciał.

- I? - upewnił się Waclaw, chociaż znał odpowiedź z opowieści karczmarza.

- Zginął, jak miał przepowiedziane. I co waść na to?

Nic nie odpowiedział, do śmiechu też było mu daleko, gdyż choć nie wierzył w żadne proroctwa i cudowne widzenia, to jeszcze mniej w przypadki. Znów poczuł dziwną aurę niebezpieczeństwa, która jakby unosiła się wokół zamku.

Tymczasem stanęli przed zamkniętą bramą z kutego żelaza. W czasie gdy Anna kołatała do wyciętej w wierzejach furty, Waclaw odczytał łacińską inskrypcję nad portalem, informującą, że w 1601 roku Jerzy Horwath dokonał przebudowy zamku.

W judaszu błysnęło czyjeś oko.

- O Jezusicku! Panienska wróciła na zamek! Zgrzytnęły odsuwane rygle. Weszli do przepastnej mrocznej sieni, która wyprowadziła ich na niewiele jaśniejszy dziedziniec. Z lewej strony, łatwe do rozpoznania po zapachu, przylegały do muru stajnie, na wprost pięła się w górę wysoka wieża, z prawa natomiast ciągnęły się krużganki i majaczyła w półmroku baszta z zegarem. Ze stajni dobiegło rzenie.

- O, moja Strzałka już tu jest! - ucieszyła się dziewczyna.

- Żołnierze ją przywiedli. Obejrzałem ranę, nic klaczce nie będzie. Za dwa, trzy dni może jej panienska używać do woli.

Odźwierny, który wyłonił się z sieni po zamknięciu bramy, mógł się przyśnić w koszmarze. Był niemłody, ale zwałisty i wciąż krzepki.

Zupełnie łysy, za to obdarzony potężną czarną brodą, tylko tu i ówdzie poprzetykaną srebrnymi pasmami. Prawe oko spoglądało bystrze i czujnie,

lewe przesłaniała czarna opaska. Prawicę miał dużą i silną, lecz klucze wisiały na żelaznym haku, zastępującym lewą dłoń. Aż dziw, że obie nogi są całe, pomyślał Waław.

Jakby uprzedzając niezadane pytanie, klucznik uniósł hak do osłoniętego oczodołu i poinformował:

- Belgrad. Kula z janczarki.

Oznaczało to, że oko stracił siedem lat temu, podczas wojny wschodniej, kiedy to Austria poparła Rosję przeciw Turcji i zdobyła Belgrad. Wsie i miasta całej Europy roiły się od takich jak on weteranów, najpierw siłą zaciąganych w kamasze, co w Austrii nosiło nazwę asenterunku, a potem wypływanych przez armię jako starcy lub inwalidzi, skazani na miłosierdzie swoich gmin. Cóż, kiedy gmin nie było stać na utrzymywanie kalek, więc gościńce roiły się od zebrzących eks-żołnierzy.

Ale tutejszy cerber nie przypominał tamtych biedaków mimo całej swej ułomności. Jedyne oko błyszczało inteligencją, postawa znamionowała siłę i pewność siebie. Jedną ręką, szybko i sprawnie, zabrał się do rozkulbaczenia karego. Zdejmując juki, pociągnął nosem.

- Waleriana! A skądże panienka ją dostała?

- Z Czerwonego Klasztoru.

- Kruca! To aż tam panienkę zaciągnęli? Jakże się stamtąd panienka wyrwała?

- Uciekłam. Ostrożnie z tą flaszką, to naparstnica!

W tejże chwili bezcenna zawartość wysliznęła się z torby i niechybnie skończyłaby jako mokra plama na kamieniach dziedzińca, lecz klucznik błyskawicznym wyrzutem zdrowej ręki pochwycił flaszkę w locie.

- Szybkiś - pochwalił go Wacław.
- To Cymer1, prawa ręka pana Leszczyńskiego i mój najlepszy pomagier - zarekomendowała sługę Anna. - A to nasz długo oczekiwany gość, baron Dondangen. Odtąd masz go słuchać jak grafa Palocsaya albo mnie. Klucznik pochylił łysą głowę w nieprzesadnie niskim ukłonie.
- Gdzie wielmożny pan raczy trzymać wierzchowca, pod ręką czy w stajniach folwarcznych, gdzie mu będzie wygodniej?
- Tutaj. Obaj jesteśmy zwyczajni niewygod.
- Były żołnierz? - Uśmiechnął się Cymer domyślnie.
- Skąd wiesz?
- Swój swego zawsze pozna. - Wyjął z olstrów pistolety i wręczył je Wacławowi. - Le Page? - wymówił „lepaż”.
- Boutet. Widzę, że znasz się na broni.
- Cymer zna się po trosze na wszystkim - wtrąciła Anna, wracając ze stajni, gdzie poszła doglądać klaczki. - Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez niego. A już na pewno reperacje nie ruszyłyby z miejsca. Cymer - od Zimmermann (niem.) - cieśla. Wskazała ręką zachodnie skrzydło, gdzie pod dachem podcienia poniewierały się materiały i narzędzia budowlane.
- _ Tę partię dolnego zamku, zgodnie z zaleceniem właściciela stryja,
 - wybraliśmy na kwatery dla niego, ale do końca robót daleko. A że cały zamek dopiero od niedawna do zamieszkania akomodowany1, gości zaś zjechała się cała gromada i wszystkim schron dać trzeba, z góry o wybaczenie proszę waszmości, że kwatrować mu przyszło na górze.
- Nic nie szkodzi.
- Cymer, zaprowadź pana barona do komnaty, ja idę do kuchni. Wieczera

za godzinę!

- Będę punktualnie - zapewnił Wacław, odprowadzając Kuma do stajni, podczas gdy Cymer dźwigał siodło.

- Juraj! - ryknął od progu. - A bywaj tu, niecnoto! Skaranie boskie z tym leniem - poskarżył się. - Odkąd przybiegł z wieścią o porwaniu panienki, leży na sianie i ryczy albo śpi, na zmianę. Wyłaż, huncwocie. Panienka wróciła szczęśliwie!

- Olaboga, rety! Panienka wróciła! Rozczochrana głowa wychynęła ze stryszku.

- Dawaj tu sam, trza konia oporządzić. Ja idę wielmożnego pana na kwaterę zaprowadzić.

- Pusto tu - zauważył Wacław, gdy znów znaleźli się na dziedzińcu.

- A bo pany na łowy pojechali, robotniki już poszły, a i służby mało się ostało, bo tutejsi za nic w zamku w nocy zostać nie chcą.

- Z powodu duchów?

- Ano. Choć one nie tu, ino na górnym zamku straszą.

- Tam gdzie idziemy? Chłop potaknął.

- Zatem będę miał zacną kompanię. Klucznik zerknął na Wacława ciekawie.

- Wasza miłość upiorów się nie boi? Wacław uśmiechnął się.

Akomodowany - przystosowany.

- Duchy jedzą mi z ręki. A jeśli który odważy się tej nocy mnie obudzić, marny jego los. Możesz im to powiedzieć. A teraz prowadź.

Podeszli po kamiennych stopniach do metalowych wież w dziwacznej budowli trójkątnego kształtu, klinem wcinającej się w dziedziniec i dzielącej go na dwie nierówne części. Sługa pchnął odrzwia, wyjął

pochodnię z chwytnika przy ścianie i zapalił ją zgrabnie, pocierając krzesiwo o stal swego haka, po czym pierwszy przekroczył próg. Zanurzyli się w ogromną przepastną sień, przypominającą rozległą jaskinię. Nieregularny, wykuty wprost w skale korytarz prowadził pod górę. Światło dzienne nie dochodziło tu wcale, nawet za dnia. Gdyby Waclaw nie trzymał się blisko przewodnika, nieraz upadłby jak długi na nierówne podłoże.

- Jesteśmy pod średnim zamkiem - głos Cymera niósł się gromkim echem w przestronnej pieczarze. - Zaraz wyjdziemy na górny.

Wbrew zapowiedzi wedle Waclawa minęły całe wieki, nim wydostali się z mrocznej groty na niewiele jaśniejszy dziedziniec górnego zamku, ciasny i otoczony zewsząd wysokimi murami, tak że wyglądał raczej na dno głębokiej studni.

Była i prawdziwa studnia. Miała czworokątną kamienną cembrowinę i kołowrót z daszkiem. Sokole oko cerbera wypatrzyło brak cebr.

- Sakra! - zaklął. - Znów ten Juraj, obibok zatracony. Dam ja mu! Zdrową ręką, bez widocznego wysiłku, nawinał linę na drewniany wał i wydobył pełne wiadro na wierzch.

- Na wypadek pożaru - wyjaśnił.

Waclaw wrzucił do studni kamyk i długo musiał czekać na ledwo słyszalny plusk.

- Czterdzieści sążnił jak obszył - poinformował Cymer. - Ponoć kuli ją w skale tatarscy brańcy i nim się dobrali do rzeki, wszyscy pomarli. Srodzy byli ci dawni panowie, oj, srodzy. Widzi wasza miłość to zamurowane okno tam, na wieży?

Wacław podniósł głowę.

- Powiadają, że któryś z grafów Berzewicznych, co ongi zamek dzierżyli, wypchnął stamtąd swoją ślubną. Odtąd duch nieboszczki po blankach się snuje, a ze studni o północy głos straszny się dobywa, Przebaczenia wołający.

Benesz przyjrzał się Cymerowi z namysłem.

Sążeń - ok. 1,7 m; studnia zamkowa ma ponad 60 m głębokości.

- Od dawna tu służysz?

- Na zimę będzie dwa roki. Zamek pustką stał, bo grafy Paloczaje w nim nie siedzieli, więc chłopstwo na oczach go rozbierało, pan Leszczyński zaś upilnować nie poradził. To i mnie do tego podnajął, gdym roboty szukał.

- A tyś na pomagierów upiory sobie sprowadził.

- Co też, wasza miłość! - zachnął się Cymer z oburzeniem.

- Nie łżyj. Sam jestem z Berzeviczych i wiem, że żaden żonobójstwem się nie splamił. Za to nie mieli litości dla sług, co podobne banialuki rozgłaszali, więc lepiej powiedz prawdę.

Chłop podrapał się hakiem po nagiej czaszce, aż Wacława przeszły ciarki, i nie patrząc mu w oczy, mruknął wykrętnie:

- Siłą samopas trudno coś wskórać, tedy i pomocą upiorów człek nie pogardzi...

- I dobrze, ale teraz odeślij duchy tam, skądś je wziął, i przestań ludzi straszyć, bo chcę mieć roboty na Wszystkich Świętych skończone. Wiesz, że zamek zmienia pana, więc staraj się, jeśli ci na robocie zależy. Gdzie ta kwatera?

Izba mu wyznaczona znajdowała się tuż obok, w przyziemiu, pod jedyną ocalałą arkadą krużganka, który prowadził na wieżę. Gdy podeszli do

drzwi, te otwały się i ruchem łasicy raczej wyśliznął się zza nich, niż wyszedł młody chłopak.

- Staszek, a czego ty tu szukasz? - surowym tonem zagadnął go Cymer. Chłopiec drgnął, jak przestępca złapany na gorącym uczynku, po czym odwrócił się. Początkowy przestach malujący się na wąskiej twarzy rychło ustąpił wyrazowi nieco bezczelnej przebiegłości. W odróżnieniu od Juraja ten pacholek nie wzbudził sympatii Benesza. Wyglądał na wścibskiego smarkacza, a zachowywał się jak drobny złodziejaszek.

- Panienska kazała rozpalić w kominie, com i uczynił - odparł, uciekając na bok ze spojrzeniem.

- Dobra, a teraz zmykaj.

Weszli do środka. Cymer zapalił od pochodni świece na stole. Izba okazała się obszerna, czysta, z dwoma dużymi oknami.

- Dziękuję, możesz odejść. I pamiętaj, co powiedziałem. Od dziś koniec z duchami.

Chłop odwrócił się na pięcie bez słowa, lecz na progu mruknął:

- A duchy na zamku są i już, jeszcze się pan baron o tym przekona...

- Co tam mamrocze pod nosem?

Ale Cymer już wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Wacław rozejrzał się dokładniej po komnacie. Była zaopatrzona tylko w najniezbędniejsze sprzęty prostej roboty: stół, dwa krzesła, umywalnię w kącie i łóżko.

Świeża pościel kusiała, a ogień w kominku promieniował przyjemnym ciepłem. Ogarnęła go fala zmęczenia. Najchętniej rzuciłby się na łóżko tak jak stał, lecz wtedy żadna siła nie zbudziłaby go aż do rana, a przecież czekała nań wieczerza w miłym towarzystwie, z czego nie zrezygnowałby za nic w świecie. Dlatego podszedł do kufra, który przysłał z Łomnicy

umyślnym dwa dni temu, i zobaczył przycięty wiekiem rąbek koszuli. Na szczęście pieniądze trzymał w tajnym schowku. Przekręcając klucz w zamku i unosząc wieko, pomyślał o Staszku. Ten chłopak wyraźnie grzeszył nadmierną ciekawością. Trzeba mieć na niego oko. Wydostał czystą koszulę, po czym umył się starannie w przygotowanym ceberku, wylał brudną wodę za okno i przebrał się w świeże rzeczy. Od razu poczuł się lepiej. Zaczesał włosy palcami i stanął przed lustrem. Z porysowanej tu i ówdzie metalowej tafli przyglądał mu się brunet o prostych, sięgających ramion włosach. Nieduże wąsy zachodziły na kąciaki raczej wąskich ust. Piwne oczy spoglądały bystro, a przynajmniej miał taką nadzieję, wydatny zaś podbródek świadczył o stanowczości. W sumie całość mogłaby uchodzić za twarz rasowego arystokraty, gdyby nie nos; plebejski, bulwiasty i zajmujący sporo miejsca. Nie był to jednak organ dorównujący Wielkością słynnemu nochalowi Cyrana de Bergerac i Wacław od dawna nie mógł rozstrzygnąć, czy stanowi on atut, czy raczej uszczerbek jego męskiej urody, ale nie spędzało mu to snu z powiek i teraz też nie miał zamiaru tym się zadreć.

Zapukano.

- Proszę. Wszedł młody człowiek w podróżnym ubraniu.
- Kuba! Coś nie było ci spieszo, hultaju.
- A bo to wasza miłość zbudził mnie, kiedy wyjeżdżał z Łopusznej bez pożegnania? - poskarżył się chłopak. - Com ja się musiał za waszmości nasłuchać od panów Lisickich, to moje.
- I teraz dopieroś przyjechał?
- Eee, nie. Alem sporo zmarudził, bo kiedym już miał ruszać, przyjechał z

Krumłowa Jasiek z wieścią, że pan starszy zaniemógł i wracać zaraz mam, jeśli jegomościowi zbędny, bo w warsztacie roboty huk.

- Co się panu Beneszowi stało?

- To co zwykle, ino że robić nic nie poradzi. Kazał się waszej miłości nie turbować o siebie.

Kuba służył jako czeladnik u starego Benesza, dziadka Waclawa, a ponieważ był z niego rezolut, Waclaw wykorzystywał go czasem w charakterze przybocznego, gdy sytuacja wymagała dodania sobie splendoru. Teraz jednak nie miał sumienia zatrzymywać pachółka, chociaż bardzo by mu się przydał.

- Jadłeś co?

- Pewnie, przecie siedzę na tej kupie kamieni od południa, zamartwiając się, co też się jegomości mogło stać, bo ponoć od zbójców aż się tu roi. - Wzdrygnął się. - Mieszkać tu za nic bym nie chciał, lecz karmią wybornie, to muszę przyznać.

- Spać masz gdzie? Chłopak kiwnął głową.

- Dali mi kąt w czeladnej.

- Wyśpij się zatem dobrze, a jutro upomnij o śniadanie i prowiant na drogę, bo z rana wracasz do Krumłowa. Powiesz panu starszemu, że u mnie wszystko w porządku. Dziwne rzeczy tu się dzieją, lecz nic, z czym bym sobie nie poradził.

Z grubsza opowiedział, co mu się przydarzyło, zastrzegając:

_ Tylko panu Beneszowi o tym sza!

- Olaboga - westchnął chłopiec żałośnie. - Jegomości to wszelkie awantury czepiają się jak, nie przymierzając, psa rzepy, a mnie to każą wracać do dom.

- Nie nudź, idź już lepiej spać, jutro czeka cię daleka droga.
- To pójdźmy razem, bo jegomość jest proszony na wieczerzę.
- Czemuś od razu nie gadał?!

Zapalił latarkę wiszącą przy drzwiach, pogasił świece i opuścili komnatę. Na zewnątrz panowała już atramentowa ciemność, tylko w jednym oknie na wieży, jak samotna gwiazda, paliło się światło.

- Niech jegomość tak nie gna na złamanie karku - jęknął chłopak, potknąwszy się w przepastnej sieni. - Panienska przecież nie ucieknie.
- Ejże! - Waclaw zwolnił kroku. - Nie pozwalaj sobie za dużo.
- Przecie nic nie gadam. Panu starszemu też nie mówić? - dodał niewinnym tonem.
- O niej możesz powiedzieć. - Waclaw się uśmiechnął, ponieważ dziadek od dawna wypominał mu starokawalerstwo. - To mu powinno poprawić humor.

Wyszli na dziedziniec.

- Ja tutaj - powiedział Kuba, zatrzymując się. - A jegomość tam. - Wskazał drzwi znajdujące się na końcu krużganka biegnącego wzdłuż wschodniego skrzydła dolnego zamku. - Smacznego życzę.
- Dobranoc.

Waclaw wspiął się po schodach, minął basztę z zegarem i zapukał. Nie usłyszawszy odpowiedzi, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Komnata, pełniąca rolę ni to refektarza, ni to bawialni, była ogromna, więc tym bardziej rzucał się w oczy brak stosownego wyposażenia. Na ścianach wisiało nieco przypadkowo dobranej broni i mocno nadżarte przez mole kobierce, a wszystko razem chyba głównie po to, by ukryć liczne dziury i lizaje w tynku. Jedna rzecz wyglądała na cenną - piękny turecki łuk,

kaman, bez cięciwy, za to w zdobionym srebrem łubiu, a obok równie ozdobny sajdak z tuzinem strzał o czerwonych pierzyskach.

Środek komnaty zajmował długi i toporny stół oraz dwadzieścia parę krzeseł, też roboty wiejskiego majstra. Zastawa na trzy osoby u końca stołu sprawiała groteskowo samotne wrażenie. Ciekaw był, z kim oprócz dziewczyny przyjdzie mu wieczerzać. Nagle ujrzał cacko tak piękne, że aż nieprawdopodobne w tym otoczeniu. Był to misternie inkrustowany sekretarzyk, zaopatrzony w niezliczoną wprost liczbę szuflad i szufladek. Ponieważ nic innego nie miał do roboty, zaczął się zabawiać liczeniem. Policzył strzały w kołczanie (dwanaście), krzesła wokół stołu (dwadzieścia cztery), dziury na suficie (czternaście dużych i trzydzieści pięć mniejszych, choć tego rachunku akurat nie był pewien) i zabrał się do sekretarzyka. Przy dwieście czterdziestej dziewiątej szufladzie zwątpił w swoje umiejętności arytmetyczne, ale nie poddawał się. Tak go wciągnęła ta zabawa, że na dźwięk otwieranych drzwi podskoczył jak oparzony, chwytając odruchowo za kolbę pistoletu, którego przecież ze sobą nie zabrał.

- Trzysta sześćdziesiąt pięć, tyle ile dni w roku - objaśniła go Anna, wkraczając do jadalni na czele małej procesji. - To dar od papieża i wicehrabia Andrzej nigdy się z nim nie rozstaje. Ilu się waść doliczył?

- Aż dwustu osiemdziesięciu sześciu - pochwalił się, z przyjemnością przyglądając się dziewczynie, która męski strój zmieniła na prostą suknię i w niej wyglądała równie zachwycająco.

- A od kiedy rachujesz?

- Może od kwadransa.

- Tyle czasu? - Uniosła brew. - To wynik mógłby być lepszy.

- Rachunki nie są moją najmocniejszą stroną - zastrzegł, nieco urażony.
- A co jest?
- Długo by wymieniać, z czasem waćpanna przekonasz się sama.
- Nadtoś pan skromny, już nie mogę się doczekać. Dziękuję, Hanko - rzekła do starej służącej, która postawiła parujący półmisek na stole. - Na razie możesz odejść. A panu, baronie, przedstawiam ojca Wincentego, misjonarza.

Otyły zakonnik odstawił dwie flaszki wina, które dotąd ścisnął pod pachami, i wyciągnął pulchną rękę na powitanie. Uścisk miał zadziwiająco silny. Oddając go, Wacław szybkim spojrzeniem ogarnął całą postać. Ciasno opięta rewerendał trzeszczała w szwach, a na puciołowatym obliczu gościł promienny uśmiech.

- Ja już ojca widziałem.
- Doprawdy? - Misjonarz zmarszczył czoło. - A gdzie?
- Przed karczmą, gdy chłopci brali się do wieszania. Tłuscioch wyglądał na zmieszanego i choć nadal się uśmiechał, w utkwionym w Benesza wzroku nie było wesołości.
- Bardzoś spostrzegawczy, synku. Widzieć dużo to cenna umiejętność, choć czasem niebezpieczna... Pamiętaj, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła - powiedział to tak, że Wacław nie wiedział, czy go chwali, czy ostrzega. - Rzeczywiście byłem tam wtedy wypadkiem, ale gdy nie poradził chłopów zmitygować, pobiegłem do zamku po pomoc.
- A więc to o ojcu mówił baron Gregor! - wtrąciła Anna. - Szczęściem udało mi się tam nadjechać w samą porę, inaczej nie wiadomo, co by się stało.
- Wiadomo - odparł Wacław sucho. - Winnych by powieszono, a wieś

poszłaby z dymem.

- Ee, czarnowidz z waszmości - bagatelizował zakonnik. - Ostatecznie nic się nie stało.

- Właśnie, dajmy już pokój tamtej sprawie - poparła go dziewczyna. -
Siadajmy lepiej do stołu, bo jadło stygnie.

Jedzenie było proste, ale smaczne i dłuższy czas panowało milczenie, gdyż wygłodniałe towarzystwo pałaszowało z zapałem. Sam objadając się za wszystkie czasy, Wacław nie mógł wyjść z podziwu dla księdza, który pochłaniał wręcz nieprawdopodobne ilości pożywienia. Ogromne kęsy znikały z niewiarygodną szybkością. Takiego Popisu obżarstwa nie widział nigdy dotąd. Uczując z ojcem Wincentym, Gargantua umarłby z głodu.
Werenda - sutanna.

- A gdzie konfrater ojca? - zagaił, nareszcie odsuwając wymieciony do czysta talerz.

- Jaki konfrater? - Zakonnik rozdziawił ze zdziwienia pełne usta. - Sam jak palec tu jestem, a roboty i dla tuzina byłoby dosyć.

- To prawda - zauważyła Anna. - Ojciec Wincenty bawi na zamku od wiosny, ale rzadko kiedy tu nocuje, tak pracy wśród ludu jest oddany. A przy tym szczerzy to patriota, drugi ksiądz Marek1.

- Koloryzujesz, córko. - Misjonarz skromnie spuścił oczy.

- Wcale nie! - zaprzeczyła gorąco.

Wacława coraz bardziej intrygowała zagadkowa postać zakonnika. Zetknął się już kiedyś w Warszawie z misjonarzami od świętego Wincentego a Paulo, stąd wiedział, że zakon zajmował się głównie kształceniem kleryków oraz prowadzeniem działalności rekolekcyjnej wśród ludu. Ale tamci misjonarze zawsze działali we dwóch i nigdy nie korzystali z

gościny u szlachty, gdyż ślubowali wstrzeźliwość w jedzeniu, piciu i wszelkich wygodach. Tymczasem pater Wincenty, z nienasyconym apetytem i kształtem bliskim kuli, stanowił chodzące zaprzeczenie misjonarskiego ideału.

- Cóżżeś taki smętny, synu? - zagadnął go zakonnik, ocierając w końcu usta serwetką i odsuwając się od stołu, aby ulżyć napełnionemu żołądkowi. -

Nalej nam wina i powiedz coś o sobie. Ponoć ród twój stąd się wywodzi?

- I tak, i nie - odparł Wacław, posłusznie napełniając kielichy.

- Baron Gregor nie rozpoznał pana - zauważyła Anna. - A przecież jesteście kuzynami.

- Bo też dziś widzieliśmy się pierwszy raz, a wcześniej pewnie nawet o mnie nie słyszał.

- Jakże to? - zdziwił się ojciec Wincenty, jednym haustem opróżniając puchar.

Marek Jandołowicz - karmelita z Baru, złotousty kaznodzieja zagrzewający do walki konfederatów barskich i rozpalający w nich fanatyzm religijny.

- Berzeviczowie z Dondangen to polska linia. Wywodzimy się od Marcina, sekretarza króla Stefana Batorego, który za wielkie zasługi w dyplomatyce nadał mu polski indygenat¹ i dobra w Inflantach. Z czasem rodzina utraciła baronię, zerwała stosunki z węgierskimi kuzynami i przeniosła się pod Zaslów na Wołyniu.

- Ale pan przecież mieszkasz w Krumłowie na Morawach, a nie w Zaslawiu - dociekała dziewczyna.

Uśmiechnął się.

- Gdzie Rzym, a gdzie Krym? To długa historia, zanudziłbym państwa.

- Opowiadaj, chłopcze, mamy czas! - zawołał rubasznie misjonarz, podsuwając próżny kielich do napełnienia.

Przepili i Benesz nie dał się dłużej prosić.

- Mój dziad Andrzej miał dwóch synów; urodzonego w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym ósmym roku Sebastiana i młodszego o prawie dwadzieścia lat Hieronima. Z Sebastiana szalona pałka była, awanturnik i pożeracz serc niewieścich najpierwszy w okolicy. W końcu miarka się przebrała, musiał uchodzić w Dzikie Pola i słuch o nim zaginął.

Tymczasem oboje dziadkowie pomarli, a Hieronim, dziecko prawie, nie radził sobie z gospodarką. Wkrótce też stracił rodzinny mająteczek.

Szczeńciem zaopiekował się nim dawny sługa Sebastiana, Węgier Bela.

Zabrał chłopca do Krumłowa, gdzie miał siostrę, wydaną za krawca

Benesza. Beneszom dobrze się działo, mieli warsztat i własny kram

sukienny, lecz Bóg nie dał im syna. Hieronim zaś, choć golec, baronem

jednak był, co wielce Beneszom imponowało. Benesz zatem wydał swoją

córkę za Hieronima, gdy tylko ten doszedł do lat sprawnych. W mojej

osobie jedyny owoc ich związku - ukłonił im się lekko - przydał sobie

nazwisko dziada, żeby starego pocziwca uradować. Za to nie używam

tytułu. Krawiectwo z baronostwem pasują do siebie jak wół do karety.

Indygenat - obywatelstwo w dawnej Rzeczypospolitej udzielane

cudzoziemcom.

- Ciekawe - mruknął misjonarz, przypatrując się Wacławowi badawczo. -

Niby lekce sobie ważysz szlachectwo i tytuł, za który wielu oddałoby swą nieśmiertelną duszę, ale na krawca też mi jakoś nie patrzysz, synu...

- Bo krawiec ze mnie taki sam jak baron. Nie chciałbyś, księżę, nosić sukni przeze mnie uszytej. Ni to, ni owo, trochę szlalcica

i trochę łyka, nie baron i nie rękodzielnik, oto cały ja - zaśmiał się <|
Wacław, trochę już podпиты, a chcąc przerwać rozmowę o sobie, |
zauważył: - Wyborny ten tokaj. j

- Imaginuj sobie waść - rzekła Anna z ożywieniem - że przez te '
wszystkie lata, gdy zamek pustką stał, bo hrabia Józef tylko odprawiać
rokii tu zjeżdżał, a i to niechętnie, więc każdy brał zeń, co tylko było
cenniejszego, w piwnicach uchowało się kilka beczek najzaciejszego
wina. To prawdziwy cud.

- Nie bluźnij, córko, Dunajec nie Kana - zganił ją ksiądz. - A ty, synu,
polej, bo coś ci niemrawo idzie.

- Gdzie pozostali domownicy? - zainteresował się Benesz, wykonując
polecenie.

Duchowny ochoczo nadstawił kielich, Anna przysłoniła swój dłoń.

- Na łowach w jaworzyńskich lasach. Wyjechali, zanim zapowiedziałeś
pan swój przyjazd, alem już posłała umyślnego i tylko ich czekać -
wyjaśniła. - Oprócz ojca Wincentego gościmy jeszcze trzech pijarów,
księżnę Csaky i barona Jungenfelda, naszych sąsiadów. Wszyscy bawią na
polowaniu z wyjątkiem jednego pijara, który słabuje i nie opuszcza swojej
izby.

- Widziałem światło w oknie na wieży, to u niego? Potaknęła.

- Tak. Czyta do późna. Naszego języka się uczy, bo to cudzoziemiec, a do
polskiego klasztoru się wybiera. Sam waść widzisz, że ciasnota na zamku
wielka, gdyż hrabia Andrzej nikomu gościny odmówić nie potrafi. Jak
przypadła do gustu kwatera?

Roki - sądy doroczne sprawowane przez feudałów w swoich dobrach.

_ Trudno o lepszą.

_ A sługa pański odnalazł waszmości?

_ Owszem. Jednak jutro musi wracać do Krumłowa, bo dziad mój nagle zaniemógł. A ponieważ na całą rodzinę przypada raptem jeden sługa, więc nie sposób obdzielić nim wszystkich. Szczęściem przywykłem obsługiwać się sam. Taki to ze mnie baron. - To ciekawe - wtrącił zakonnik, bawiąc się pustym kieliszkiem - bo stryj pański podobno bogatszy od nababa. - Dlatego tu jestem. Aby nareszcie poznać stryja, którego nigdy nie widział, dowiedzieć się, gdzie bywał tyle czasu, no i przede wszystkim - uszczknąć co nieco z jego ponoć aż nieprzyzwoitego bogactwa.

Dziewczynie w widoczny sposób nie spodobała się taka interesowność, lecz pater przyjrzał się Wacławowi spod oka i powiedział:

- Powiadają, że co w sercu, to na języku. Ciebie to chyba nie dotyczy, synu. No, ale będziemy mieli jeszcze sporo czasu, by lepiej się poznać.

Nalał sobie znowu, wychylił do dna i podniósł się ciężko, oznajmiając:

- Moje dzieci, na mnie pora. Jutro znów trzeba ruszać w świat, nieść Słowo Boże między prostaczy ludźmi.

Przyjaźnie skinął Beneszowi okrągłą głową i ruszył ku drzwiom, odprowadzany przez Annę.

Baczyński szalał z wściekłości, dowiedziawszy się o pogromie w Czerwonym Klasztorze, bo o niepowodzeniu nad rzeką wiedział wcześniej. Początkowo miał zamiar jeszcze tej nocy zamordować Dondangena, gdyż nikt dotąd nie zadał bandzie takiej klęski. Z czasem ochłonął. Śmierć Kłapciucha nie przejęła go zbyt - zwyrodnialec robił się coraz bardziej nieprzewidywalny i nawet kompani bali się go jak ognia. W sumie więc młody Berzeviczy zdjął harnasiowi kłopot z głowy. Niemniej stanowił poważną przeszkodę w realizacji celu, któremu

zbójceki watażka poświęcił ostatnio wszystkie wysiłki. Miało to być ukoronowanie jego dotychczasowych poczynań. Po wszystkim zamierzał wynieść się za granicę i do końca życia pławić w luksusie. Dondangen mógł mu pokrzyżować plany, więc powinien umrzeć. Im prędzej, tym lepiej. I tak by się niechybnie stało, gdyby Łazarczyk nie powtórzył Baczyńskiemu tego, czego o baronie dowiedział się od Głowacza, który, o dziwo, swego dawnego towarzysza bronii wcale nie znał jako barona de Dondangen. Baczyński był okrutnikiem, człowiekiem bezwzględny, który bez skrupułów potrafił zabić każdego, kto stanął mu na drodze, to prawda. Ale przede wszystkim był graczem i nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż balansowanie na krawędzi ryzyka. Przechytrzyć przeciwnika - oto prawdziwe wyzwanie! Jeżeli zaś Dondangen był człowiekiem takim, jak odmalował go Głowacz, powinien podjąć grę i przestrzegać jej reguł. Poczul, jak rozkoszny dreszczyk emocji mrowi go w kark. Zawsze zdąży młodzieńca zlikwidować. A tym razem wystarczy mu udzielić drobnej nauczki, aby trochę stracił na pewności siebie...

Agent był wściekły na Waclawa. Pokrzyżował mu szyki w momencie, gdy wszystko tak wspaniale się układało! Pół roku pracy diabli wzięli w jednej chwili! Ach, zabić go i patrzeć, jak kona w mękach! No nie, to oczywiście przesada. Mimo wszystko był przecież stróżem prawa i nikogo dotąd nie zabił, chyba że w obronie własnej. Nie zgładzi zatem Dondangena, z którym austriacka policja miała na pieńku. O wiele lepiej będzie przyłapać go wreszcie na gorącym uczynku (a agent nie wątpił, że Benesz jak zwykle coś knuł i nie zjawił się tu przypadkiem) i na podstawie niezbitych dowodów oddać katu. Uwielbiał taką grę w kotka i myszkę, zwłaszcza

jeśli miał godnego przeciwnika. Słyszał zaś wiele o Beneszu, choć nigdy wcześniej go nie spotkał. Nareszcie miał okazję z nim się zmierzyć. Zatarł ręce. Czekala go ciekawa rozgrywka. A na początek przydałoby się dać młokosowi małą nauczkę...

- Dusza człowiek - powiedziała Anna z uczuciem, wracając do stołu po pożegnaniu misjonarza.

- Wiem, drugi ksiądz Marek.

- Nie śmieć się waść, to naprawdę złoty człowiek, osobliwie na krzywdę ludu czuły, a przy tym żarliwy polski patriota, jeszcze się pan przekonasz. Nie odezwał się, wyrobił sobie bowiem inne zdanie o misjonarzu. Był przekonany, że to on powiadomił Kaunitza o awanturze pod karczmą, o ile, jak twierdził baron Gregor, sam jej nie sprowokował, a to jakoś nie przystawało Wacławowi do wizerunku obrońcy ludu. Ale dziewczyna najwyraźniej pozostawała pod urokiem zakonnika, więc nie chciał jej się narażać, zdradzając swe wątpliwości.

- Tak bardzo pan jesteś zmęczony czy tylko moje towarzystwo cię usypia?

- spytała.

- Przepraszam, zamyśliłem się. A jeśli idzie o kompanię, nie imaginuję sobie milszej.

Uśmiechnęła się łaskawie.

- W takim razie możesz mi waść nalać, ale już ostatni raz. Ojciec Wincenty zostawił uprzejmie akurat tyle wina, że wystarczyło na napełnienie dwóch kielichów.

- Stryjowi pańskiemu bardzo musi zależeć na odzyskaniu rodowego gniazda - zauważyła jakby mimochodem, mocząc usta w trunku - skoro gotów jest wyłożyć aż pięć tysięcy dukatów.

- To dużo? Uniosła w górę brwi.
- Czy dużo? Ta rudera nie jest warta czwartej części tej sumy¹. Z drugiej strony, gdyby nie nadzwyczajna hojność tej oferty, Andrzej chyba by wolał zamek zatrzymać.

Teraz on zmarszczył brwi.

w połowie XIX w., już po remoncie i przebudowie dokonanej przez Andrzeja Horwatha, Zamek szacowano na zaledwie 4000 talarów.

- Myślałem, że rzecz jest dawno postanowiona i ułożona między moim stryjem a hrabią Józefem.
- O tak, bądź pan spokojny. Wojaże po świecie starszego pana hrabiego mocno nadwerężyły nawet tak ogromny majątek, jak „państwo niedzickie” Palocsayów, jego syn do skrzętnych także nie należy. Dlatego Horwathowie skrupulatnie wywiążą się z transakcji, bo to dla nich istna gratka. Chodzi jedynie o to, że z Andrzeja jest artystyczna dusza, więc wielce w zamku i okolicy zagustował.
- Myślę, że stryjowi miło będzie gościć hrabiego, kiedy tylko ów zapragnie nawiedzić zamek - przekonywał, chociaż wcale nie miał pewności. - A mnie waćpannę - dodał, tym razem z całkowitym przekonaniem.

Potrząsnęła głową. Włosy rozsypały jej się miedzianozłotą kaskadą.

Odgarnęła je niecierpliwym gestem.

- Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony, ale jestem zaledwie rezydentką¹ u Palocsayów, mimo iż hrabia Józef z grzeczności córką mnie swoją nazywa, a Andrzej siostrą. Nie, jak tylko uporządkuję tutejsze rachunki i zdam folwark waszmości, wracam do Pławca.
- Mój kuzyn, baron Gregor, ma o waćpannie jak najlepsze zdanie, a on

chyba zna się na rzeczy. Nie myślałaś pani nigdy, aby pójść na swoje?

Dopiła wino i zamyśliła się, widać utrafił w sedno.

- Myślałam, i to nieraz, ale łatwo powiedzieć, trudno wykonać. Nie mam jak pan bogatego stryja, tylko ubogiego ojca-żołnierza, z którego marnej lafy ledwo utrzymujemy się oboje.

- Jest na to łatwa rada. - Uśmiechnął się chytrze.

- Jaka?

- Dobrze wyjść za mąż.

Rozbawił ją i znów w jej oczach zobaczył dwa ogromne szmaragdy.

- Że też sama na to nie wpadłam! A może jeszcze znasz pan odpowiedniego konkurenta?

Rezydent - dawniej domownik na własnym wikcie, w odróżnieniu od domownika na respekcie, czyli utrzymaniu gospodarza.

.- Znam. Sam co prawda do zamożnych nie należy, ale ma stryja bogatszego od nababa. _ W takim razie wybieram stryja - zaśmiała się.

- Kiedy on ma prawie sto lat!

- Podobno mężczyzna jest jak wino - im starszy, tym lepszy.

- Łamiesz mi serce.

- To nie serce złamane, tylko głowa zaproszona. I nie przeze mnie, tylko z nadmiaru wina.

- Nigdy nie byłem trzeźwiejszy - zaprotestował. - Proszę mi przynajmniej nie odbierać nadziei.

Wstała.

- Nic nie obiecuję, z wyjątkiem śniadania o dziesiątej. A teraz pora spać.

Oboje jesteście zmęczeni, a mnie jutro czeka sporo pracy. Dziękuję za miły wieczór. - Wyciągnęła do niego rękę.

Z uszanowaniem złożył pocałunek na jej dłoni, podziwiając smukłe palce, jakby stworzone do klawikordu.

- Życzę dobrej nocy. I proszę uważać na duchy! - zażartowała.
- Dobranoc. Lepiej niech one uważają. Stał już na progu, gdy zawołała za nim:
- Pan naprawdę nigdy nie widziałeś swojego stryja? Zatrzymał się.
- Nigdy.
- Ale wiesz, skąd u niego taki majątek?
- Nie. A pani?
- Być może... - odparła tajemniczo. - Pomówimy o tym sposobniejszą porą.

Noc była bezksiężycowa i ciemno choć oko wykol. Zapomniał latarki, lecz przypomniał sobie, że przed wejściem do sieni są pochodnie. Nie spieszył się jednak, wdychając świeże powietrze. Oparty o balustradę, chciał sobie przemyśleć parę spraw, a naprawdę było Się nad czym zastanawiać, ale mógł myśleć tylko o dziewczynie.

W końcu otrząsnął się z przyjemnych marzeń i ruszył przez dziedziniec ku bramie. Zapalił pochodnię i nacisnął klamkę. Wtem wysoko na wieży rozległo się pohukiwanie puszczyka. Podniósł głowę i w jednym z okien górnego zamku dostrzegł oświetloną blaskiem świecy, przyciśniętą do szyby twarz, która zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Pchnął drzwi i wszedł do sieni. Było tu jeszcze ciemniej niż na dworze. Płomień pochodni wydobył z mroku załomy skały, układające się w fantastyczne wzory. Mury średniego zamku były częściowo wkomponowane w skałę. Zauważył obrys drzwi, do których prowadziły

drewniane schody. Widocznie było to drugie wejście do tej partii zamku. Gdzieś w połowie sieni ogarnęło go nieprzyjemne uczucie czyjejs obecności. Obrócił się raptownie, ale niczego niepokojącego nie dostrzegł i zawstydził się swoich przywidzeń. Nagle ze stropu oderwał się cień i poszybował wprost na niego. Ogromny nietoperz, spłoszony światłem, prawie muskając go skrzydłem, bezszelestnie odpłynął w ciemność. Zrobiło mu się głupio, że przez zwykłego gacka najadł się strachu. I wtedy, cicho poskrzypując, otworzyła się brama, którą, gotów był przysiąc, zamknął za sobą dokładnie. Natychmiast uczynił się przeciąg i zgasił mu pochodnię. Usiłował skrzesać ognia, gdy posłyszał dziwne odgłosy. Jakby tupot dziesiątek małych stóp i szmer wielu rozmów. Nie nadchodziły z jednego kierunku, były wszędzie. Osaczały go.

- Jest tu kto? - spytał ochryplym szeptem, wysuwając ostrożnie szablę z pochwy i obiecując sobie na przyszłość nie rozstawać się z pistoletami. Coś szarpnęło go za poję. Machnął szablą i trafił w próżnię. Tuż przy uchu rozległ się szyderczy chichot i to było ostatnie wrażenie, które odebrały jego zmaltretowane zmysły. Nawet nie poczuł uderzenia, które pozbawiło go przytomności, tylko raptem wydało mu się, że rozpostarło się nad nim niebo rozjarzone tysiącem gwiazd, a każda świeciła jaśniej niż słońce.

Zagadki

budziły ją hałasy za oknem. Chętnie pospałaby dłużej, ale zegar na kominie pokazywał ósmą. I tak zasnęła. Z niechęcią pomyślała o opuszczeniu ciepłego łóżka, była bowiem wielkim zmarzluchem, lecz wesołe trzaski w kącie świadczyły o tym, że Hanka zdążyła już napalić w kominie. Staruszka musiała się przejąć wczorajszą przygodą swej

podopiecznej, ponieważ zwykle nie pozwalała Annie wylegiwać się dłużej niż do szóstej, o paleniu z rana w kominku nie wspominając. Wedle Hanki były to fanaberie w sam raz dla leniwej kokoty z miasta, a nie szanującej się, ciężko pracującej szlachcianki. Z czułością myśląc o wiernej służce, Anna postanowiła chwilkę jeszcze poleniuchować, rozmyślając nad wypadkami poprzedniego dnia. O dziwo, porwanie przez zbójców wcale nie zajmowało jej myśli, nawet koszmarne gęba krwiożerczego Kłapciucha jakoś wyblakła w dziennym świetle i nie zanosilo się, by miała ją nawiedzać w sennych koszmarach. A wszystko przez Dondangena. Zaintrygował ją, aż się temu zdziwiła, bo przecież w niczym nie przypominał nie tylko królewicza z bajki, o jakim marzy każda dziewczyna, ale nawet dzielnego rycerza. Owszem, był miły i wcale dowcipny, ale przy tym niepoważny i jakiś taki... miękki. Inaczej wyobrażała sobie potomka dawnych właścicieli zamku, z najstarszego rodu na Spiszu. A on? Raczej chudopacholek, półłyczek, żeby nie rzec - krawczyk! I to kiepski w swoim fachu, jak sam wyznał. Zawstydziała się nagle, bo przecież jako przysięgła jakobinka¹ wierzyła, Jakobini - radykalne skrzydło rewolucjonistów francuskich. że urodzenie nie decyduje o wartości człowieka. A tu, proszę, wyszło szydło z worka - żadna z niej rewolucjonistka, tylko zwyczajna głupia i zacofana gęś!

Zła na siebie odrzuciła pierzynę i wyskoczyła z łóżka. Szybko umyła się i ubrała, za to przed lustrem zmitreżyła znacznie więcej czasu niż zwykle, póki nie uświadomiła sobie, że czyni to ze względu na przybysza. A jednak nie mogła go wyrzucić z myśli! Zirytowana podeszła do okna. Robotnicy na dziedzińcu uwijali się pod czujnym okiem Cymera, był pośród nich

Śpiewak. To przypomniało jej o wczorajszych wypadkach pod karczmą. Otworzyła okno i wywołała Śpiewaka.

Przyszedł bez zwłoki, zmarnowany po wczorajszym pijaństwie, i stanął przed nią z miną winowajcy, nie patrząc jej w oczy.

- Siadaj - rzekła surowo, wskazując mu ławę - i mów, co to się wczoraj stało.

Usiadł na brzeżku i z zakłopotaniem podrapał się w głowę.

- A bo, proszę jaśnie panienki, po prawdzie to i dziś nie bardzo wiem, co to się wczoraj podziało. I nikt z naszych też nie wie. Pijani my byli...

- Mogliście całe sprzysiężenie na szwank wystawić! Śpiewak opuścił głowę jeszcze niżej.

- To się już nie powtórzy. Przysam Bogu.

Jego szczerą skrucha złagodziła gniew dziewczyny.

- Trzymam cię za słowo. Dobrze, żeś choć tyle bystrości zachował, by grafa Berzeviczego bez przebaczenia nie puścić.

Śpiewak chrząknął.

- Nie moja to zasługa. Pan baron kazał mi tak postąpić.

- Jaki baron? Szalejuś się najadł, że od rzeczy prawisz?

- Baron Dondangen. Tak mnie ścisnął, że mało ducha nie wyzionął, i przykazał, by grafowi w gniewie odjechać nie zezwolić, bo wojsko naśle i wszyscy gardła damy.

- No, no. - Pokiwała głową z podziwem. - Kto by pomyślał..-Ani go o taką przytomność umysłu nie podejrzewała. A przecież, kiedy was pod karczmą zobaczył, aż się spocił ze strachu. Widziałam to na własne oczy i wiem, że nie udawał. Chłop złapał się za głowę.

- To on! - jęknął. - A miałem nadzieję, że mi się zwidziało po pijaku.

- Co?

- Ano, kiedy my w czerwcu dziewięćdziesiątego czwartego w Warszawie zdrajców wieszali, to i jego omyłkowo niemal nie powiesilim. I to ja zem mu pętlę na szyję zakładał. Pierścień go wtedy zratował. Nie dziwota, że się drugi raz do ślubu z wdową1 nie kwapił. Po prawdzie powiadają, że do trzech razy sztuka, ale ja też na jego miejscu bym nie sprawdzał... W Bogu tylko nadzieja, że mnie nie poznał, inaczej marny mój los.

- O czym ty gadasz? Jaki pierścień? - spytała zupełnie skołowana.

- Zwyczajny, z napisem „Ojczyzna obrońcy swemu”. Dostał go od samego Naczelnika i wciąż nosi na serdecznym palcu, nie увидziała panienka?

Biblijna żona Lota mniej przypominała słup niż Anna w tym momencie.

Ale usta miała tak ładne, że nawet rozdziawione niespecjalnie ją szpeciły.

Z trudem wykrztusiła:

- Chcesz rzec, że baron partycypował w insurekcji?!

- A jakże. I dzielnie musiał stawać. Byle kogo Naczelnik pierścieniem nie nagradzał.

Z wrażenia aż usiadła.

- Mój Boże - westchnęła. - A ja go miałam za gawrona2... Toć konia dał sobie odebrać, do rzeki wpadł, gdy się na drugi brzeg przebierał, zbójcom w Czerwonym Klasztorze prosto w łapy polazł. Nie tak sobie insurgenta imaginowałam. Szczęście, że go jak i mnie zbójnicy nie ogarnęli.

Teraz osłupiał Śpiewak.

poślubiony wdowie - wisielec, szubienicznik; wdowa - szubienica.

Gawron - tu: żółtodziób, nowicjusz.

- Szczęście? Tego właśnie zbójnikom zabrakło. Chyba samego diabła

woleliby spotkać niżli barona. Panienska nic nie wiesz?

- A co niby mam wiedzieć?

- Już cała okolica o tym szumi!

- O czym? Mówże, do licha!

- On samego Kłapciucha ubił! Wałašką łeb mu jak harbuza rozłupał!

Kapitan Kaunic znalazł ciało i teraz chwali się, że jego to dzieło, ale

ludziom oczów nie zamydli! Naprawdę, nic panienska nie słyszała?

Milczała, bo nie mogło jej się to pomieścić w głowie. Jakże to? Zabił

najgorszego bandytę i nic nie powiedział? Pozwalał z siebie drwić,

zaaresztować jak złoczyńca, traktować lekceważąco? Zawstydzila się po

raz drugi tego rana. Ostatecznie wcale nie musiała od początku nim

pomiatać, zwłaszcza że ostrzegał ją, iż bierze go za kogo innego.

Poniewierała nim tylko za to, że nie tak wyobrażała sobie prawdziwego

bohatera. Pięknie się zaprezentowała! Miała nadzieję, że Śpiewak nie

widzi rumieńców na jej policzkach i że ich sobie opacznie nie tłumaczy.

Ale chłop nic nie dostrzegł, przejęty opowiadaniem.

- Jeszcze i to paniencie powiem - ciągnął - że jeśli on do wody wpadł, to

nie przypadkiem. Baby w Sromowcach widziały, jak płynął w czólnie

razem z Majerczykiem i Ślusarczykiem, których z dawna o przynależność

do zbójnickiej kompanii podejrzewano. A potem obu martwych rzeka na

brzeg wyrzuciła. Ich też Kaunic do cyrkułu zabrał.

A więc widział, jak ją porywano, musiał też usłyszeć dokąd, albo od

zbójców się tego dowiedział, i zmusił ich, by go łodzią zabrali... Naprawdę

ją uratował, a ona pięknie mu się odwdzięczyła... Odprawiony Śpiewak

dawno się oddalił, a Anna jeszcze przeżywała nowiny. Podczas śniadania

wciąż wyczekiwała Benesza, z roztargnieniem słuchając ojca Wincentego,

aż misjonarz zaniepokoił się, czy aby nie rozchorowała się po wczorajszych przejściach. Jakoś się wytłumaczyła, lecz ulżyło jej, gdy wreszcie sobie poszedł. Tymczasem dochodziło południe, a Wacław nadal się nie pojawiał...

Obudziły go dzwony. Najpierw koncertowały gdzieś daleko, wkrótce jednak dźwięk stał się natarczywy aż do świdrującego bólu. Z trudem zebrał myśli, aby ustalić, w którym to kościele, gdy raptem olśniło go, że nie musi daleko szukać. Dzwoniło mu w głowie. Z rozrzewnieniem wspomniał wczorajsze skrzaty, których krecia robota przy dzisiejszej torturze wydała mu się niemal pieszczotą. Z trudem uniósł się do pozycji siedzącej i ścisnął rękoma obie połówki rozpadającego się czerepu.

Dzwonienie trochę osłabło, a przy tym wymacał solidnego guza na potylicy. Nawet go to pocieszyło, bo stanowiło aż nazbyt namacalny dowód, że nocna przygoda nie była ani omamem, ani tym bardziej dziełem duchów, które raczej nie zostawiają materialnych śladów swej aktywności. Ale komuś zależało, by winą obarczyć rzekome upiory. Komu? I po co? Jęknął, stwierdzając, że na myślenie jest na razie stanowczo zbyt wcześnie.

Na szczęście okazał się nadmiernym pesymistą i ból z wolna zaczął ustępować, mógł się więc rozejrzeć. Znajdował się w pomieszczeniu ciemnym, lecz nie całkiem mrocznym, gdyż z małego okienka wpadało do wnętrza nieco światła. Zatem dniało. Gdy wzrok nieco przywykł mu do półmroku, pojął, iż znajduje się w lochu, a w takim razie były to zamkowe kazamaty. Zresztą pod ścianą poniewierały się dyby i stała dziwaczna machina, trudna do opisanego z powodu pokrywającej ją skorupy rdzy, acz z pewnością służąca do zadawania tortur. Wstał i

postąpił w kierunku światła, znalazłszy się tym sposobem w izbie strażniczej, zaopatrzonej w stół, dwie ławy i wspomniane okienko wycięte w grubym na dwa kroki murze. Niestety, zakratowane. Mgliście przypomniał sobie zasłyszana kiedyś historię, jak z tego właśnie więzienia i przez to okienko uciekł przed laty najslawniejszy zbój tutejszy, Janosik. Widocznie tak go wcześniej wygłodzono, że wychudł na wiór, albo, co prawdopodobniejsze, kraty założono dopiero po jego ucieczce.

Skoro wydostanie się oknem nie wchodziło w rachubę, pozostawały masywne drzwi, o ile nie były zamknięte na głucho. Zerknąwszy w wielgachną dziurkę od klucza, ujrzał pusty dziedzińczyk. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zawołać o pomoc, ale potem głupio mu się zrobiło, że znajdą go w takim położeniu. Postanowił się nie poddawać. Jeszcze raz uczynił daremną próbę otwarcia drzwi, po czym w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia powlókł się na prawo, do części kazamatów oddzielonej kratą. Pchnął furtę w kracie i zaraz tego pożałował, bo rozwarła się z takim zgrzytem zardzewiałych zawiasów, że aż zęby bolały. O tym, że mogło być gorzej, przekonał się, gdy wkroczył w kompletną ciemność. Gdyby nie kamyk, który umknął mu spod stóp i stoczył się w dół, ani chybi wpadłby do głębokiej jamy i skręcił kark. Rzucił się gwałtownie w tył i wtedy usłyszał pogwizdywanie. Kopnął się ku okienku i zawołał:

- Hej, jest tam kto?
- Przebóg! Czyżby słuch mnie mamił?
- Kimkolwiek jesteś, słuch masz dobry. Uwolnij mnie! Odgłos kroków i stukot laski przybliżyły się i cień przysłonił okno.
- Tam siedzisz, duszo pokutująca? - rozległ się z bliska wesóły głos, który Wacław natychmiast rozpoznał.

- Owszem. I co gorsza razem z ciałem, bo inaczej dawno by mnie tu nie było.

- O! Skoro tak, to w nim siedź i ciesz się, póki je masz! - poradził głos z jawną kpina.

- Po tamtej stronie drzwi radowałbym się bardziej.

- Nic prostszego.

Nie usłyszawszy otwierania drzwi, oślepl w jednej chwili od nadmiaru jasności, ale zaraz potem okazała postać całkowicie zasłoniła wejście, z trudem przeciskając się do środka.

- Wszelki duch pana Boga chwali! To my przy śniadaniu w głowę zachodzimy, gdzie waść się podziewasz, a pan tu sobie w najlepsze odsypiałeś nocną hulankę! Dzień dobry waszmości! - Na puciołowatym obliczu misjonarza malował się kpiąco porozumiewawczy uśmieszek.

- Nie nazwałbym go dobrym, ojczy.

- No cóż, jeśli kto woli nocować w lochu niżli we własnym łóżku, to nie powinien rano narzekać.

- Jeśli to czyni z własnej woli, ale mnie ktoś ogłuszył i tu zamknął, gdym po wieczery wracał na kwaterę.

Ksiądz pogroził mu palcem.

- Frant z ciebie, mój chłopczy. Przyznaj się lepiej, żeś wczoraj wina nadużył!

- Zaś by! - zachnął się Wacław urażony. - Tylkom usta umaczał, słowo szlachcica.

Pater szyderczo zmrużył małe oczka.

- Przecieżeś pół szlachcica tylko, sameś mówił, ergo i twe słowo przez pół trzeba brać. Ale niech ci będzie - machnął ręką wyrozumiale - choć

wyglądasz, jakbyś opróżnił piwnice do cna... Powiedz mi tylko: skoroś taki trzeźwy, to czemuś stąd nie wyszedł o własnych siłach, jeśli drzwi wcale nie były zawarte?

- Bo były!

- Chłop swoje, a baba swoje. Kiedy mówię, że były otwarte, to były, ale niech tam... Nie chcesz się przyznać, żeś się spił, to nie. Ja cię nie zdradzę. Waclaw podjął ostatnią próbę przekonania zakonnika o swojej niewinności.

ergo (łac.) - więc.

- Naprawdę mnie ogłuszono. O tu, widzi ojciec? Guz dorodny niczym śliwka.

Misjonarz uśmiechnął się wyrozumiale.

- Znam to. Jeszcze nim Bóg powołał mnie do swej służby, a dość długo z tym zwlekał, zdarzało mi się czasem podchmielonym łbem tak w stół albo mur wyciąć, zem potem guzy jak diable rogi nosił, bo też za czarta przyczyną to się działo. Apage, Satanas!' - Przeżegnał się szybko. - Ale jeśli się upierasz, że istotnie kto inny guza ci nabił, to i na to znajdą się argumenta...

Z fałdów rewerendy wydobył jakiś przedmiot i wystawił do światła. Była to główka fajki z resztką ułamanego cybucha. Pogrzebał w kieszeni jeszcze raz i wy dostał trzonek nabijanego mosiądzem noża.

- Wiesz czyje to?

- Domyślam się - odparł Waclaw, który niemal identyczne śmieci widział w Czerwonym Klasztorze. - Zbójników?

- A wiesz, gdzie to znalazł?

- Gdzie?

- Tu, w kazamatach! - zawołał pater tryumfalnie. - Ponoć wiosną, gdy graf Andrzej zjechał z całą kompanią zamek reperować, tym podobnych rzeczy poniewierało się wszędy znacznie więcej.

- Myśli ojciec, że...

- A jakże! - prychnął misjonarz. - Głowę dam, że było tu zbójckie gniazdo, i niech schudnę, jeśli ten przebrzydły Cymer nie miałby na ten temat sporo do powiedzenia, gdyby Palocsay zgodził się wziąć go na męki.

Widać jednooki klucznik nie należał do ulubieńców wielebnego, w przeciwieństwie do Wacława, który najwyraźniej cieszył się jego względami.

- Ergo musisz być czujny, drogi chłopcze. - Wziął Wacława poufale pod ramię. - Zaglądałeś do ciemnicy? A wiesz, że na dnie dołu są osadzone ostrza sztyletów? Niejeden zbrodnień zakończył tu swój

Apage, Satanas! (łac.) - precz, szatanie!

nędzny żywot. Patrz, wystarczyłoby lekkie pchnięcie zwykłą laską, taką jak moja - zademonstrował trzcinkę zakończoną kościaną rączką - abyś stoczył się i skończył jak dziki zwierz w wilczym dole. Nikt by nic nie usłyszał i nikt nie podejrzewałby zbrodni. Ot, po prostu wypadek.

Wacławowi mróz przeszedł po ciele, gdy poczuł na plecach nacisk laseczki, która spychała go ku przepaści. Nagle ucisk zelżał.

- Nie lękaj się - zaśmiał się zakonnik, poklepując Benesza kordialnie po ramieniu - z mojej strony nic ci nie grozi. Lecz na dal lepiej zachowuj trzeźwy umysł. Wierzaj mi, tu dzieją się dziwne rzeczy i trzeba mieć oczy naokoło głowy, żeby ją cało wynieść. A najlepiej widzieć i słyszeć jak najmniej.

Pociągnął Waclawa za sobą i wyszli na zewnątrz. Był już pełny dzień, a w promieniach słońca wszystkie strachy wydały się znacznie mniej groźne.

- A ojciec? - zapytał Waclaw. - Przecież wędruje ksiądz samopas po całej okolicy, i to nieuzbrojony. Liczy ojciec, że go przed zbójcami uchroni duchowna sukienka?

Ksiądz zaśmiał się lekceważąco, ale tym razem w jego śmiechu dało się wychwycić twarde nuty.

- Mnie Bóg chroni, synu, bo z Jego słowem między ludzi chodzę. A na bezbożnych mam to!

Błyskawicznie wyszarpnął szpadę ukrytą w niewinnie wyglądającej lasce i przystawił Beneszowi do gardła, nim ten zdążył choćby pomyśleć o uniku. Równocześnie z twarzy grubasa zniknął poczciwy uśmiech, zastąpiony okrutnym grymasem. Nie ulegało wątpliwości, że w razie potrzeby pater umiałby zabić bez mrugnięcia okiem, o żalu za grzech śmiertelny nie wspominając. Lecz po chwili pyzate oblicze wypogodziło się, a szpada wróciła do swej kryjówki.

Poklepał Waclawa przyjacielsko po plecach.

Na dal - na przyszłość.

- Przestraszyłem cię? To dla twego dobra, albowiem rzeczy rzadko są takimi, jakimi nam się zdają. Pamiętaj - licho nie śpi, a strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Zrozumiałem. Praemonitus praemunitus!

- Właśnie. A teraz, chłopcze, ochędoż się jakoś i biegnij co zjeść, a i uspokoić naszą gospodynię przy okazji, bo okrutnie cię wypatrywała przy śniadaniu. Bywaj!

- Dzięki za pomoc i dobre rady - rzucił Waclaw za odchodzącym.

Zakonnik odmaszerował dziarskim krokiem, zawadiacko kręcąc młynki laseczką. Anna miała rację - pater Wincenty robił zdecydowanie sympatyczne wrażenie i Waclaw prawie go polubił. Do tego stopnia, że z pierwszego miejsca na swojej prywatnej liście podejrzanych przesunął tłuściocha na drugie, pierwsze rezerwując dla demonicznego klucznika. Bo ktoś jednak ogłuszył Waclawa i na pewno nie były to duchy. Chcieli go przestraszyć, a nie zabić, skoro pater udowodnił, jak łatwo można to było uczynić, pozorując wypadek. Najprawdopodobniej ostrzeżono go, by nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. Ale w takim razie jakieś ciemne sprawy działały się jednak w zamku. Zapewne zdążył wczoraj komuś nadebrać na odcisk, a ponieważ rozmawiał z niewieloma osobami, krąg podejrzanych był bardzo zawężony. Tyle że pora na rozwiązywanie zagadek kryminalnych nie należała do najsposobniejszych. Potarł obolałą głowę. W tym momencie na dziedzińcu pojawił się jednooki klucznik.

- Kłaniam! Dobrze widzieć waszą miłość, bo panienka w głowę zachodzi, co się z jaśnie panem mogło stać. Wszędzieśmy już szukali...

- Najpierw w nocy ktoś mnie ogłuszył w sieni, a potem zamknął w lochu, poza tym nic wielkiego się nie stało.

- Zamknął w lochu? - zdziwił się Cymer i iskierka rozbawienia błysnęła mu w jedynym ślepiu. - To niemożliwe. Kazamaty są zatrzaśnięte na głucho, a jedyny klucz jest tu. - Poklepał się po pasie, Praemonitus praemunitus (łac.) - ostrzeżony, uzbrojony.

gdzie na wielkim kółku dyndał pęk rozmaitych kluczy. - Jaśnie pan daruje, ale cosik mu się zwidziało...

- Nic mi się nie przywidziało! - rozzłościł się Waclaw. - Sam sprawdź.

Klucznik z powątpiewaniem nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły.

- Do licha! - Z zafrasowaniem podrapał się hakiem po czerepie. - Duchy czy co?

- Jeszcze raz wspomnisz o duchach, a nie ręczę za siebie.

- Już milczę jak grób - zapewnił klucznik, przekręcając klucz w zamku. - No, teraz są zamknięte na amen. Aż dziw, jak klucz gładko chodzi, poprzednim razem małym go nie ułamałam... Pójdę już, jeśli waszej miłości zbędny.

Ledwie klucznik zniknął, Waclaw wsadził palec w dziurkę od klucza i wyjął go ubabrany mazidłem. Jak na zamek w rzadko używanych drzwiach, ten był w doskonałym stanie, zresztą Cymera też zdziwiła łatwość, z jaką przekręcił klucz. W takim razie ktoś inny zapewnił sobie dostęp do kazamatów i wpakował do nich Waclawa, uprzednio go ogłuszywszy... Chyba że klucznik potrafi łągać bez mrugnięcia okiem, co nie było wykluczone... Zaraz, zaraz... Przecież cerber wcale nie był zaskoczony tym, że Waclaw został palnięty w głowę, tylko tym, że go zamknięto w kazamatach! W takim razie aż dwie osoby zabawiły się jego kosztem, jedna niezależnie od drugiej. Doskonale, już on potrafi się odegrać, niech no tylko dojdzie, o co w tym wszystkim chodzi.

Powlókł się na kwaterę. Sięgając do kieszeni po klucz, namacał lusterko, należące ongiś do nieświętej pamięci Kłapciucha, i przypomniał sobie, jak zbójcy usiłowali porozumieć się z zamkiem. Nie udało im się, gdyż pora była zbyt wczesna. Wyjął zegarek, który choć nienakręcany, wciąż chodził, wskazując za kwadrans dwunastą. Śniadanie przepadło definitywnie. Podniósł głowę. Wierzchołek wieży wyglądał odległe i niedosiężne, zwłaszcza dla osoby obolałej i kontuzjowanej, ale z drugiej strony słoneczne południe wydawało się nader stosowną porą na spotkanie ze

zbójcekim obserwatorem, być może czatującym na szczycie... Po chwili upodobanie do życia

towarzyskiego przemogło i Wacław zdecydował się złożyć wizytę na wieży, i to bez wstępowania do swojej izby, gdzie widok posłanego łóżka mógłby zachwiać jego postanowieniem.

Podszedł do studni. Juraj już tu był, ceber bowiem pławił się w wodzie.

Wyciągnął go z niemałym trudem i zanurzył w nim głowę. Lodowata woda orzeźwiła go i przyniosła ulgę zmaltretowanej czaszce. Prychnął, otrząsnął się jak psiak, przeciągnął, aż mu w stawach chrupnęło, i od razu poczuł ogromny przypływ energii. Rozejrzał się po dziedzińcu. W świetle dziennym otaczające go mury wyglądały na jeszcze wyższe. Okrągła baszta narożna przypominała wydrążony pień, rozszczepiony uderzeniem pioruna. Gruz z zawalonej połowy budowli zalegał stertą u wejścia do starej gotyckiej kaplicy. Nie opanowawszy ciekawości, postanowił choć rzucić na nią okiem. Z trudem precisnął się do środka. Pozbawiona dachu budowla znajdowała się w zupełnej ruinie. Freski na ścianach zmył deszcz, tak że niewiele się różniły od zwykłych zacieków. Z wyposażenia, niegdyś zapewne świetnego, ostał się jedynie kamienny cokół ołtarza. Widok tej mizerii przygnębił go. Przecież kaplicę zbudowali jego przodkowie, była świadkiem ich tryumfów, ponieważ jednak nie posiadała krypty, Jan i Kokosz Berzeviczowie, protoplaści rodu i budowniczo Dunajca, spoczęli w czternastowiecznym kościele farnym w Niedzicy, który sami ufundowali. Kaplica leżała oto w gruzach, tak jak świetność rodu Berzeviczych. Może stryjowi Sebastianowi uda się przywrócić jej dawny wspaniały wygląd...

Już miał odejść, gdy zauważył wydeptane w pyle ślady stóp, co prawda

stare, ale zbyt liczne i różnorodne, jak na od dawna nieużywany przybytek. Nawet jeśli pater miał rację i zamek w niedalekiej przeszłości opanowali zbójnicy, to ich akurat trudno podejrzewać o zamiłowanie do religijnych kontemplacji. Ta zagadka też czekała na rozwiązanie.

Po wyjściu z kaplicy, już dłużej nie marudząc, Waclaw szparkim krokiem ruszył po schodach na wieżę. W oknie po lewej stronie znów zobaczył przyklepioną do szyby bladą twarz, która zaraz zniknęła. Widocznie pijar nie cierpiał na tyle, by cały czas spędzać w łóżku. Waclaw minął drzwi do jego komnaty i skręcił w prawo korytarzem, który zaprowadził go do właściwej wieży. Na szczyt wiodły wąskie kręcone schody. Nie brakowało tu światła z tej prostej przyczyny, że większość brudnych szyb w oknach była powybijana. Z kolei przez otwory wdzierał się do środka wiatr i hulał swobodnie, od czasu do czasu wyjąc potępieńczo. Drewniane schody, trzymające się w kupie ostatkiem nadgryzionych zębem czasu sił, zniechęcały do wspinaczki. Dla odmiany całkiem wyraźne ślady stóp, bardzo pięknie odcisnięte w pokaźnej warstwie kurzu, stanowiły dla Benesza podniętę nie do odparcia. Toteż nie oparł się jej, zwłaszcza że rozmiar odcisków wskazywał na przeciwnika raczej równego mu posturą. Choć oczywiście mógł to być olbrzym o wyjątkowo małych stopach lub wielkonogi karzeł.

Dał spokój głupim dywagacjom, ponieważ wspinaczka wymagała prawie cyrkowych, albo wręcz małpich, umiejętności. Drewno trzeszczało ostrzegawczo i kilka razy musiał robić wielkie kroki, ponieważ po niektórych stopniach zostało już tylko dziurawe wspomnienie. Tu i ówdzie brakowało fragmentów balustrady, poręczy, lub obu razem, dlatego powściągnął swą badawczą ciekawość tudzież wybujały indywidualizm i

zadowolili się postępowaniem dokładnie po śladach swego poprzednika, który bardzo konsekwentnie trzymał się blisko muru. Im bliżej szczytu, tym chętniej rozkoszował się niespodzianką, jaką sprawi zbójcekiemu sygnaliście. I to go zgubiło, gdyż gapił się w górę, zamiast patrzeć pod nogi. Wystarczyło jedno nieostrożne stąpienie i cała połać schodów zapadła się pod nim, i to w chwili, gdy już widział wejście na wierzchołek. Spadając w dół jak kamień, zdążył jeszcze kątem oka zobaczyć czerwoną jak płomień czuprynę czatownika, który z wykrzywioną ze strachu twarzą błyskawicznie zbiegł na dół, rozpaczliwym susem przeskakując wyrwę uczynioną przez Waclawa, z nim samym utkwionym w niej jak korek w butelce, i mknąc na złamanie karku, co ku ubolewaniu Waclawa jednak nie nastąpiło. Po chwili tupot nóg zbiega ucichł i Benesz mógł całą uwagę poświęcić własnemu problemowi.

Właściwie fakt, iż nie wyprzedził zbója w drodze do podnóża wieży, zakrawał na cud. Uratowała go szabla, która zakleszczywszy się w otworze przez moment, zdołała utrzymać ciężar jego ciała, a kiedy rapcie zaczęły pękać, trzymał już ją oburącz, zupełnie niczym małpa uczepiona gałęzi, i z każdą chwilą lepiej poznawał siłę przyciągania ziemskiego, o którym tak zajmująco pisał pan Newton. Zwłaszcza że pod ciężarem Waclawa nadwątlona partia schodów ze złowieszczym trzeszczeniem zaczęła się z wolna odrywać od ściany.

Teraz nie było już szansy podciągnięcia się na rękach, bo to groziło niechybnym zawaleniem się wątlej konstrukcji. Mógł tylko wisieć, starając się ani drgnąć, i liczyć nie wiadomo na co. Toteż, z braku lepszego pomysłu, gdyż modlitwę zostawił sobie na ostatnią chwilę, i zegarka pod ręką, zajął się odliczaniem sekund, ciekaw, ile jest w stanie tak wisieć, i

poniewczasie czynił sobie wyrzuty, że ostatnio zaniedbał ćwiczenia cielesne. Stwierdził też z żalem, że waży co najmniej kilkadziesiąt funtów za dużo. I że do swoich licznych niedostatków w urodzie niewątpliwie powinien zaliczyć brak błony rozpiętej między ramionami a nogami, która nadawałaby mu formę latawca. A kiedy niebezpiecznie zbliżył się do kresu wytrzymałości, doszedł go z dołu drwiący głos, brzmiący mu w uszach jak anielska muzyka:

- Czy to gacek rozmiarów barona de Dondangena, czy też pan baron we własnej osobie?

- Przed panią nic się nie ukryje - odezwał się przez ściśnięte z wysiłku gardło. - To ja.

- A cóż pan tam robisz?

- Nie widać? Wiszę. Usłyszał stłumiony śmiech.

- Odpoczywasz czy może ćwiczysz się w lataniu jak Dedal albo ojciec Cyprian?

Obecność dziewczyny dodała mu otuchy, chociaż nie mogła w niczym pomóc.

- Raczej jak Ikar - wychrypiał. - Więc radzę się odsunąć.

- Jeśli spadniesz mi na głowę, bądź pewien, że ci tego nie puszczę płazem.

Jej głos zabrzmiał o wiele wyraźniej i Wacław zrozumiał, że słuch go wcale nie mylił i że Anna drapała się ku niemu na górę.

- Stój! - zawołał. - Bo spadniemy oboje! Tu wszystko ledwie kupy się trzyma.

- Rychło w czas mi to mówisz.

W tejże chwili poczuł na ramieniu stalowy chwyt i zdumiał się, skąd w delikatnych palcach tyle siły. Zmobilizował się i nadludzkim wysiłkiem

udało mu się wydostać z pułapki za pierwszą próbą, a zresztą nie dożyłby drugiej. Potem usiadł obok dziewczyny na w miarę pewnym stopniu i siedział tak dobre parę minut, aż mięśnie ramion przestały mu dygotać, a palce zdołały się rozprostować. Dopiero wówczas zaczęli schodzić.

- Co za licho zagnało pana na wieżę, której od lat nikt nie nawiedza oprócz gacków i szcurów?

Na razie wolał nie wyprowadzać jej z błędu.

- Ciekawość.

- Czyli pierwszy stopień do piekła.

- Toteż byłem tam już jedną nogą. Dzięki za ratunek.

- Nie ma za co.

Byli na pierwszej kondygnacji, gdy Anna musiała stąpnąć nieostrożnie, bo partia schodów zawaliła się pod nią z wielkim łoskotem. Dziewczyna straciła równowagę i zaczęła spadać. Działając instynktownie, Wacław błyskawicznie kucnął, prawą ręką chwycił się balustrady, lewą wyrzucił przed siebie i zdołał pochwycić Annę za ramię. Wisiała nad sześć- czy siedmiosążniową przepaścią, a jej ręka coraz szybciej wysuwała się z zaciśniętych palców Benesza.

- Auu! Boli!

- Mam puścić?

- Nie!

~ To złap mnie drugą ręką!

Uczyniła, jak kazał, a on powoli, modląc się, by balustrada utrzymała ciężar ich obojga, zaczął ją wciągać na górę. Trwało to całe lata, a gdy mu się wreszcie udało, był kompletnie wyczerpany, starszy o pięćdziesiąt lat i ociekał potem.

- Strasznieś aśćka ciężka - marudził, gdy usadowiła się na stopniu obok niego. - Trzeba było nie objadać się na śniadanie.
- Trzeba było zjeść swoje, a nie po kątach odsypiać pijaństwo - odpaliła. - Miałbyś acan więcej siły.
- Niczego nie odsypiałem... Ejże, kto waćpannie doniósł?
- Mniejsza o to. A pan podziękuj pijarowi, bo to on, gdym mu przyniosła jadło, powiedział mi, żeś polazł na wieżę.
- Wdzięczny mu jestem dozgonnie, czyli akurat tyle, ile przyjdzie nam tu siedzieć.

Popatrzyli w dół. Do podstawy wieży brakowało w sam raz tyle, żeby przy odrobinie szczęścia nie zabić się podczas zeskoku, ale wystarczająco, aby połamać wszystkie kości.

- Zawsze możemy krzyczeć o pomoc - pocieszył ją. - W końcu ktoś usłyszy.
- I zobaczy nas siedzących jak dwie głupie kury na jednej grzędzie? Nigdy! - odparła z mocą.
- Cóż panna zatem radzisz? Spojrzała nań z ukosa.
- Nic mi nie przychodzi do głowy. Na acana też liczyć nie można, skoroś znów na czczo - stwierdziła złośliwie.
- A jednak chyba mam dziś dobry dzień. Jak oberwę po łbie, od razu lepiej mi się myśli. - Westchnął ciężko, zdjął żupan i zaczął rozpinać koszulę.
- Coś jeszcze chcesz pan osiągnąć czy tylko mnie zgorszyć? - zaciekawiała się, bynajmniej nie wyglądając na bardzo zgorszona.

Związał ze sobą obie części garderoby rękawami, a potem przymocował je do słupka balustrady. Szarpnął mocno. Jakoś trzymały, zarówno szwy, jak drewno.

- Do licha, tracę przedostatnią koszulę - narzekał, zrzucając na dół zaimprovizowaną linę.
- Niewiele ich waść masz, jak na krawca - zakpiła.
- Nie wiesz, panna, że szewc bez butów chodzi? Zleżę teraz po tym na dół, a potem schwycę waćpannę.

Spojrzała jeszcze raz w dół, potem na Waclawa, położyła mu dłoń na nagim ramieniu i powiedziała, tym razem poważnie:

- To zbyt niebezpieczne. Te rzeczy nie utrzymają waszmości, a poza tym do ziemi jest wciąż za daleko.
- Idę. - Pocałował jej palce na swoim ramieniu. - Ale dzięki za troskę.
- Nie odwracaj się - powiedziała surowo, chwilę wierciła się i szeleściła, po czym wręczyła mu sukienkę. - Dowiąż do reszty.

Uczył, jak kazała, następnie wypiął jeszcze pasek ze spodni i również go wykorzystał do przedłużenia liny, a na koniec wziął szablę w zęby i zaczął zjeżdżać. Gdy został mu już tylko pasek, przełożył szablę do ręki i całkiem gracko zeskoczył na sam dół, szczęśliwie nie nawlókłszy się na żadną drzazgę ze zdemolowanych schodów, tworzących na dole niebezpieczne rumowisko.

- Teraz waćpanna!
- Zamknij waść oczy!
- To jak cię pochwycę?!
- Zeskoczę tak jak waszmość!

Nie mógł się powstrzymać od podglądania, bo też widok Anny w gorsecie i pantalonach zapierał dech. I dobrze zrobił, bo dziewczyna była dopiero w połowie drogi, gdy szwy na rękawie Waclawowej koszuli puściły z trzaskiem. Z okrzykiem przestachu Anna wpadła wprost w nastawione

ręce Waclawa, który jednak nie ustał pod ciężarem i upadł na plecy, a dziewczyna miękko wylądowała mu na piersiach. Zanim uderzył głową o posadzkę, zdążył jeszcze objąć ją ramionami i przez chwilę poczuć się jak w niebie. Stracił przytomność na krótko, bo gdy otworzył oczy, dziewczyna dopiero dopinała suknię. Jęknął i zaczął masować tył głowy, gdzie oprócz poprzedniego wyrósł guz jeszcze potężniejszy.

- Zniszczyłam waści koszulę - poinformowała, widząc, że ożył. Machnął ręką.

- Jakoś to przeboleję. Nie potłukła się pani?

- Nie. - Zarumieniła się. - Bardzo wygodnie się na waćpana spadało.

- Miło mi. A czy w tym momencie poczuła waćpanna to samo co ja?

- To znaczy co?

- To znaczy, że pasujemy do siebie jak dwie połówki tej samej monety. To przeznaczenie.

Pokiwała głową z politowaniem.

- Waść upadłeś na głowę, to wiele tłumaczy. Poza tym concept panu słabuje przy pustym żołądku. Chodźmy zatem go napełnić.

Już bez żadnych przygód zeszli na dziedziniec górnego zamku i stanęli przed jego kwaterą.

- Proszę mi dać żupan do odczyszczenia, na pewno zrobię to lepiej od pana - powiedziała. - Zaraz przyślę Juraja z jedzeniem. Ja, niestety, nie mogę waszmości towarzyszyć, mam swoje obowiązki. Chyba że wybrałbyś się ze mną obejrzeć przy okazji okolicę? Lecz musiałbyś się uwinąć w pół godziny, bo i tak jestem spóźniona.

- Uwinę się - obiecał.

- W takim razie czekam - odparła. - Aha, pański sługa, opatrzony na

drogę, odjechał wczesnym rankiem. I jeszcze jedno: dziękuję!

- Nie ma za co - odparł machinalnie. - Jesteśmy skwitowani. Pokręciła głową.

- Dowiedziałam się dziś rano, jak to naprawdę było w Czerwonym Klasztorze.

- Na pewno same bajki. Nie należy dawać wiary plotkom.

- Już ja swoje wiem. Dręczy mnie tylko jedna wątpliwość: czy ratując mnie, ratowałeś przy okazji swego wierzchowca, czy odwrotnie?

Otwierał usta do odpowiedzi, lecz położyła mu palec na wargach.

- Zresztą wolę nie wiedzieć - szepnęła.

Po czym zrobiła rzecz zdumiewającą - wspięła się na palce, pocałowała go w policzek i już jej nie było. Był za to Staszek, wścibski młodzian.

Zdybany w momencie, gdy grzebał w kufrze, którego widocznie nie zdążył spenetrować poprzedniego dnia, nie miał nic na swoje usprawiedliwienie, mimo to usiłował nadrabiać miną.

- Jeśli jeszcze raz przyłapię cię na wtykaniu łap w moje rzeczy, poobcinam i ręce, i uszy - obiecał mu Waclaw, bynajmniej nie żartując i ledwie się powstrzymując przed poczęstowaniem łobuza pożegnalnym kopniakiem.

Myjąc się, a potem pospiesznie pochłaniając przyniesiony posiłek, intensywnie rozmyślał nad kilkoma sprawami. Bo i było nad czym.

List od stryja przyszedł w samą porę, to nie ulegało wątpliwości. Zabawa w kotka i myszkę z austriacką strażą graniczną już przestała Waclawa bawić, a innego pomysłu na życie nie miał. W cichości ducha żałował nawet, że wojna się skończyła, bo ona przynajmniej nadawała jakiś sens jego egzystencji. Jednak w konspiracji udziału brać nie chciał, choć mu to proponowano, bo po prostu nie wierzył w skuteczność takiej roboty, a jego

racjonalizm wzdrygał się przed podejmowaniem działań beznadziejnych. Tak czy owak, znalazł się na rozdrożu i propozycja przygotowania rodowego gniazda na przyjazd Sebastiana spadła mu jak z nieba, nie mówiąc o tym, że obiecywała profity teraz i w przyszłości. Ale tym, co naprawdę przyspieszyło jego decyzję, była enigmatyczność listu. Stryj pisał dziwacznie, w manierze z minionej epoki i w powodzi słów, z których połowa należała do wyszłych już dawno z użycia makaronizmów, trudno było wyłuskać sens, ale jedno nie ulegało wątpliwości - z każdej linijki przebijał strach: „Śmierć idzie za nami krok w krok. Bacz, azali nie zagnieździła się już na zamku". Stryjowi i jego najbliższemu (nie precyzował, o kogo chodzi) groziło jakieś straszne niebezpieczeństwo, przed którym musieli uchodzić z Wenecji. Stąd pomysł schronienia się na końcu świata, w Dunajcu. Ale, i to było najdziwniejsze, Sebastian nie wykluczał, że zagrożenie może na niego czyhać także w murach zamku. I właśnie na tym polegało zadanie Wacława - uczynić zamek całkowicie bezpiecznym i gotowym na przyjęcie uciekinierów. Tylko że, bagatela, stryj zapomniał wyjawić, kto i dlaczego mu zagrażał i z której strony spodziewać się niebezpieczeństwa. Nie podał nawet, kiedy należy oczekiwać jego przyjazdu, napomknął jedynie, że postara się zjechać przed zimą, dlatego Benesz nie spieszył się z przyjazdem. Zbójców jako śmiertelne zagrożenie należało od razu wykluczyć. Takich jak oni nie brakowało nigdzie i Sebastian z pewnością nie wpadałby w panikę z równie błahego powodu. Dziwne jawiło się tylko to, że bandyci wiedzieli o bogactwie Sebastiana, skoro dla okupu próbowali porwać Benesza. A skoro oni wiedzieli, mógł wiedzieć każdy. Wyglądało zresztą,

że wszyscy wiedzieli o Sebastianie więcej od rodzzonego bratanka. W każdym razie do przyjazdu starego należało zrobić porządek z bandytami i Benesz miał już zarys planu, jak to uczynić. Musiał jedynie uważać, by oni nie zlikwidowali go pierwsi, a już dwa razy omal im się udało. Chociaż wcale nie był pewny, czy nocne ogłuszenie ma też złożyć na ich karb, czy raczej przybył mu nowy, zupełnie nieznany przeciwnik. Ale kto? Co prawda w okolicy działało jakieś sprzysiężenie, którego członkowie rozpoznawali się po złamanych piórach i do którego należała też Anna, ale chyba nie wszedł im w paradę, nawet przypadkiem? Przecież nie zdawali sobie sprawy, że ich rozszyfrował. Tak czy owak, nadal nie wiedział, przed kim oprócz zbójców ma się mieć na baczności, ani też, czy to jest właśnie ten lub ci, których tak obawia się Sebastian, czy też chodzi o zupełnie kogoś nowego, którego cel jest na razie nieznany. Jedno nie ulegało wątpliwości - w zamku i jego okolicy wprost się kotłowało i szukać w nim schronienia wydało się Wacławowi równie dobrym pomysłem, jak ukrycie się przed ludożercami w kotle z wrzątkiem. Na dodatek nie miał żadnej możliwości ostrzec stryja. Mógł tylko czekać, węszyć wkoło jak pies myśliwski i cichaczem podążać za każdym tropem, jaki mu się nawinie. A ponieważ w gruncie rzeczy lubił takie zajęcia, więc przyszłość jawiła mu się wcale interesująco.

Pogwizdując jak zwykle fałszywie, przypasał szablę, sprawdził, czy pistolety nabite, zatknął je za pas i dopiero wtedy opuścił izbę, gotów stawić czoło nowemu dniowi, cokolwiek miał mu przynieść.

Okolica

Praca wrzała na dziedzińcu dolnego zamku. Kilkunastu robotników pod

nadzorem Cymera uwijało się jak w ukropie. Jedni nosili belki i cegły, inni układali, murowali, tynkowali, zbijali, a wszystko chyżo i w pocie czoła. Na widok Waclawa, choć wydawało się to nieprawdopodobne, jeszcze przyspieszyli tempo robót.

- Dotrzymałeś słowa - pochwalił klucznika. - Robota pali im się w rękach. Jakżeś to osiągnął?

Cerber chrząknął, nachylił się do ucha Waclawa i szepnął konfidencyjnie:

- Z całym szacunkiem, wasza miłość, powiedziałem im, że upiorów lękać się już nie ma potrzeby, odkąd nawiedził nas inkwizytor i czarownik w jednej osobie, którego duchy bardziej się boją niżli diabli święconej wody.

- Wyborny pomysł... - zaczął Waclaw, gdy wtem pochwycił utkwione w sobie wyleknione, a przy tym zaciekawione spojrzenia robotników i zrozumiał. - A więc zrobiłeś ze mnie młot na czarownice - mruknął cicho.

- Piękne dzięki.

Jedyne oko klucznika łypnęło szelmowsko.

- A co innego mogłem uczynić? Każdy rozumny argument odbija się od nich jak groch od ściany. A tak przynajmniej ma u nich wasza miłość mir jak nikt. Każdy pański rozkaz wykonają bez szemrania.

Waclaw wcale nie był pewny, czy rzeczywiście chodziło mu o to, by tutejsi chłopcy panicznie się go bali, ale z drugiej strony widział pewne pozytywy takiego stanu rzeczy. Z czasem miał zamiar ułożyć sobie z nimi stosunki na własną modłę, jednak nie paliło mu się z tym.

Westchnąwszy ciężko, machnął tylko ręką i spróbował zaskoczyć Cymera z innej strony.

- Czy zbójników zażyłeś w równie sprytny sposób? Ojciec Wincenty podejrzewa, że do niedawna, pod twoim nosem, na górnym zamku kwaterowało hultajstwo.

Uważnie wpatrywał się w twarz cerbera, chcąc zobaczyć minę winowajcy lub choćby ślad zmieszania, ale rozczarował się. Klucznik wyglądał na poruszonego nie bardziej niż skała, na której stał zamek.

- Pierwszą rzeczą, jaką zem uczynił, objawszy posadę stróża, było zaryglowanie na głucho tych wrót. - Hakiem pokazał wejście na górny zamek. - Odtąd nigdy na górę nie zachodziłem i nie wiem, co tam się działo. Wiem jedno: w tym czasie na dole nie zginęła nawet kropla wina z piwnic. Za to mi płacono i z tegom się rzetelnie wywiązał. A klecha lepiej by zrobił, własnego nosa pilnując. Łazi po okolicy, judzi i chłopów podburza. Jeszcze z tego jakie nieszczęście będzie.

Benesz był gotów się z nim zgodzić w tej kwestii, lecz na razie kuł żelazo, póki gorące.

- To znaczy - ciągnął - że kiedyś ty tutaj stróżowałeś, na górze mogli panoszyć się zbójce?

Cymer wzruszył ramionami.

- Nie sprawdzałem, a oni na dół nie zaglądali. I chwała Bogu, bo co bym mógł uczynić? Wojsko daleko, u pana Leszczyńskiego na folwarku pachółków ledwie paru, a i to niepewnych, na chłopów zaś liczyć nie sposób. Jeśli czegoś boją się bardziej od batoga i duchów, to jednych zbójników.

Logice tej odpowiedzi trudno było cokolwiek zarzucić, ale Wacław wciąż się nie poddawał.

- Czy na górny zamek wiecie jakieś ukryte przejście?

- Jeżeli wiecie, to tak dobrze ukryte, że nawet mnie nic o tym nie wiadomo. - Klucznik uśmiechnął się pod nosem.
- Skoro tak, to w jaki sposób zbójcy mogli skrycie się tam przedostawać?
- Benesz spróbował go przyprzeć do muru.
- Przecież nie ja utrzymuję, że tam kwaterowali, tylko klecha i jego trzeba spytać. - Nie dość, że Cymer łatwo się wywinał, to jeszcze w jego głosie pobrzmiwała nuta wyraźnej kpiny, więc Wacław uznał się za pokonanego w tej słownej utarczce.
- W każdym razie od teraz melduj mi o wszystkim, co się tyczy zbójników. Osobliwie zaś Baczyńskiego, bo dla nas dwóch za mało tu miejsca.

Cymer potarł hakiem łysą czaszkę, co widocznie stanowiło jego przyzwyczajenie, ale na Wacławie za każdym razem robiło nieprzyjemne wrażenie. Po zatroskanym spojrzeniu klucznika bez trudu można było odgadnąć, na kogo postawi ostatnie pieniądze.

- Wasza miłość daruje śmiałość, ale nie dałbym grajcara za głowę waszej miłości w pojedynku z Baczyńskim ani też za swoją, jeślibym się do tego wmieszał. Z tym jednym wyjątkiem w każdej innej potrzebie jestem do dyspozycji waszej wielmożności. I ośmielę się zwrócić uwagę jaśnie pana, że raz już udało się waszej miłości ująć z łap tego zbrojaka, co na cud zakrawa, więc lepiej nie kusić losu. Z serca radzę.

Gdyby nie ton szczerzej troski w głosie i towarzyszące mu życzliwe spojrzenie, Wacław miałby wątpliwości, czy klucznik go ostrzega, czy raczej mu grozi. Tak czy siak wciąż, z braku lepszych, pozostawał głównym kandydatem do obsadzenia w roli nieuchwytnego przywódcy bandytów, Baczyńskiego, albo przynajmniej głównego informatora bandy,

ale udowodnienie tego lub przyłapanie go na gorącym uczynku zdawało się rzeczą niezwykle trudną do wykonania, jeśli w ogóle możliwą. Z drugiej strony, trudności działały na Waława mobilizująco.

- Kiedy będę potrzebował twojej rady, powiem ci o tym - odparł szorstko i wypuścił ostatnią strzałę: - Nie znasz przypadkiem człowieka rudego jak wiewiórka?

- Wiewióra? Pewnie, że znam. To jeden z ludzi luźnych, podjętych przez pana Leszczyńskiego do akomodacji zamku. Jakoś tak w samo południe wypuściłem go za bramę. Rzucił robotę i poszedł szukać szczęścia gdzie indziej. Tacy już oni są, dziś tu, jutro tam. A co, ukradł coś?

- Nie - uspokoił go Waław, który nie spodziewał się takiej odpowiedzi i poczuł się winny swej podejrzliwości. - Tak tylko pytałem. Czy panna Rubinowska jest u siebie? - dodał pospiesznie.

- Wezwano ją z folwarku do chorej jejmości Leszczyńskiej. Kazała się tam szukać.

- Zatem poszukam, lecz wprzód pokaż mi budowę.

Cerber bez słowa zrobił szeroki gest ręką i huknął na robotników:

- No, co się gapicie, niecnoty?! Ruszać się, pan baron patrzy! Robotnicy, którzy rzeczywiście nadstawili ucha i rzucali Beneszowi ukradkiem trwożne spojrzenia, rzucili się do pracy ze zdwojoną energią. Zachodnia część dolnego zamku okazała się bardzo obszerna. Sama okrągła baszta narożna, gdzie znajdowało się wejście, liczyła aż trzy kondygnacje, miała też wewnętrzne połączenie z kilkoma komnatami położonymi w amfiladzie na każdym z dwóch pięter. Waław nie wiedział, ile osób towarzyszy stryjowi, lecz wydawało mu się, że wszyscy powinni

się tu pomieścić bez trudu. A co najważniejsze, ta partia zamku jak żadna inna spełniała podstawowy warunek - łatwo ją było przemienić w niedostępną twierdzę. Wymagało to niewielkich, choć zasadniczych poprawek.

- Zamurować okna? - zdziwił się Cymer, gdy Waław zakończył obchód i przekazał mu swoją uwagę.

- Właśnie tak. Wszystkie okna od strony dziedzińca mają być zamurowane. - Od zewnątrz, czyli od strony podjazdu, co zaobserwował poprzedniego dnia, okna znajdowały się tak wysoko, że dostać się przez nie do środka było praktycznie nie sposób.

- Wedle życzenia - zgodził się klucznik posłusznie. - A meble? Mogę zlecić wykonanie stolarzom w Starej Wsi, ale to będzie pospolita, prawie wiejska robota...

- Na początek wystarczy. Uwiniecie się do Wszystkich Świętych?

- To wtedy przyjeżdża pan starszy? - rzucił niewinnie Cymer.

- Być może... - Uśmiechnął się Waław.

- Jak mus, to mus. Zdążymy.

- Wybornie. Powiedz mi jeszcze, czy panna Rubinowska wzięła wierzchowca?

- Poszła pieszo.

- Słusznie, pogodę mamy zaiste wymarzoną, więc i ja się przejdę. A co z bramą?

- W dzień nie zamykamy.

Po drodze wstąpił do Kuma, który miał się wyśmienicie i powitał go donośnym rzeniem, ale do opuszczenia stajni wcale się nie kwapił.

Towarzystwo zgrabnej kasztanki najwidoczniej bardzo mu odpowiadało,

zatem Waław ostatecznie zrezygnował z przejażdżki.

Znajdował się w połowie podjazdu, gdy zza wzgórza wyjechali dragoni Kaunitza. Na widok Benesza kapitan zatrzymał oddział, zeskoczył z wierzchowca i podbiegł do Polaka, rozkładając serdecznie ramiona.

- Z całego serca witam kochanego pana barona!

- Czołem, mości kapitanie. - Odkłonił się Waław, nieco zdziwiony wylewnością oficera.

- Z nieba mi pan spadasz, bo po prawdzie, to właśnie do waszmości zdążyłem...

- Miło mi. A czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Kaunitz rozejrzał się niespokojnie, po czym podjął Benesza pod ramię i odprowadził na stronę.

- Eee, bo widzisz, baronie, tego, tamtego... - bąkał, czerwieniąc się coraz bardziej, co było dużym osiągnięciem jak na człowieka i tak niezwykle rumianego z powodu zamiłowania do trunków.

- Śmiało. - Waław zaczął się domyślać, o co tamtemu może chodzić.

Oficer nabrał powietrza i wydusił wreszcie jednym tchem:

- Znaleźliśmy wczoraj w Czerwonym Klasztorze trzy trupy bandytów, a potem jeszcze dwa na brzegu Dunajca. Jako że nikt do nieboszczyków nie rościł sobie pretensji, więc wszystkich zusammen1 odwieźliśmy do cyrkułu. - Tu przerwał, patrząc na Waława z niezrozumiałym wyrzutem.

- Doskonale, w czym zatem tkwi problem? Chyba nie uciekli?

- zachęcił go Benesz łagodnie.

- W tym - chrząknął oficer - że nim zdałem raport staroście, już moi ludzie zdążyli przypisać sobie całą zasługę, wziąć nagrodę i nawet ją przepić... A

tymczasem zaczęły rozchodzić się pogłoski, jakoby tamtych pięciu poległo z ręki pana barona, więc i nagrodę diabli wezmą, i wstydu przyjdzie się najeść... - Przez wrodzoną skromność nie wspomniał, że przepadnie też awans, o który natychmiast wystąpił.

Z bystrością, która go nawiedzała od święta, Wacław uznał, że nadarza się oto znakomita okazja, by zjednać sobie miejscowego, pożał się Boże, ale jednak stróża prawa.

- Pięciu za jednym zamachem! - zawołał pełen podziwu. - I to mnie przypisuje się tak piękny rezultat?

- Tak ludzie powiadają...

- Bardzo mi to pochlebia, lecz... Owszem, byłem wczoraj w Czerwonym Klasztorze, lecz powiedz pan z ręką na sercu, czy wyglądam na herosa?

Dla lepszego efektu uderzył się w piersi, lecz niepotrzebnie się tak zarzekał, bo oficer wyglądał na ostatniego, który chciałby na nim wymusić zeznanie. Wprost przeciwnie - każde słowo jak miód koło mu serce. Nie wiedział, że w obliczu czyhających zewsząd zagrożeń ostatnią rzeczą, na jakiej zależało Wacławowi, była sława niezwyciężonego rycerza.

Niechący, kapitan rozwiązał problem za niego i jeszcze poczuwał się do winy.

- A ponieważ główne dramatis personae² macie u siebie w kostnicy

- ciągnął - ergo pańska wykładnia wypadków pozostanie jedyną na wieki, bo ja się do niczego nie przyznam. Ludzkie zaś gadki pomię-

Zusammen (niem.) - razem, wspólnie. Dramatis personae (łac.) - osoby dramatu między bajki włożyć należy, ot co. Bo i kto widział, by pokonać pięciu samopas? Zapewne łotry sami się pozabijali w kłótni...

- Pewnie tak właśnie było, ale i tak dziękuję. Kto inny na pańskim miejscu

bez skrupułów przypisałby sobie zasługę. - Wzruszony kapitan tak energicznie potrząsał ręką Benesza, że mu jej omal nie wyrwał z ramienia.

- Nigdy panu tego nie zapomnę!

- Nie ma o czym mówić - odparł wielkodusznie Wacław, bez najmniejszych oporów obiecując sobie odebrać przysługę przy najbliższej okazji. Z uśmiechem na ustach nie przestawał machać kapitanowi na pożegnanie, dopóki dzielny wojak i jego podkomendni nie zniknęli za zakrętem. Po czym udał się w stronę stojącej przy podjeździe krytej strzechą kurnej chałupy, skąd dobiegły go przeraźliwe kwiki.

Gdy podchodził do wałącego się płotu, za którym ubabrany warchlak z upodobaniem i beztrosko taplał się w błocie, stanowiąc żywy dowód, że to nie jego zarzynano, z chaty wybiegła dwójka dzieci o płci trudnej do odgadnięcia z powodu grubej skorupy brudu na ich dłoniach, twarzach i gołych nogach. Pod tym względem mogły śmiało konkurować z przedstawicielem nierogacizny, od którego odróżniały je głównie bujne czupryny barwy nieokreślonej. To owe dziatki wydawały z siebie donośne dźwięki, których przyczyną była ścigająca je Anna. Widok Wacława nie skonfundował dziewczyny w najmniejszym stopniu. Poświęciwszy mu szybki rzut jednego oka, nie straciła z drugiego zasadniczego celu, szybko i sprawnie ucapiając dzieci za liche koszuliny i mimo rozpaczliwego oporu zaciągając swe ofiary z powrotem do izby, skąd rozległy się odgłosy potężnej awantury z udziałem nowych uczestników.

Dopiero po dobrej półgodzinie piski, krzyki i zawodzenia ustały, a w progu pojawiła się Rubinowska. Minę miała srogą, twarz zarumienioną z irytacji, mokre od mydlin ręce wycierała w suknię. Zatrzasnęła za sobą furtkę z taką siłą, że wątył płot zniósł to z najwyższym trudem, a

przestraszony prosiak uciekł z żalosnym kwikiem.

- Podobało się widowisko? - fuknęła na Wacława.

- Niczego. Urodzony pedagog z waćpanny. Rekomendowałbym jednak kneblowanie podopiecznych, bo straszny rumor czynią, a wyrywania języków nie śmiem zalecać.

Pokraśniała.

- Wcale się nad nimi nie pastwię! Od kąpieli nikt jeszcze nie umarł. Nie muszą chodzić brudne i zawszone.

- Może to lubią, a pani odbiera im beztroskie dzieciństwo.

- Przynajmniej się staram. I są rezultaty! - rzuciła wyzywająco.

- Doprawdy? - powątpiewał. - Jakoś nie zauważyłem żadnego.

- Z pewnością dzieci są czystsze, a poza tym mam wrażenie, że po każdej mojej wizycie liczba wszy i pcheł w chałupie zmniejsza się radykalnie.

- Boją się pani i uciekają?

- Przeciwnie, chyba wszystkie przechodzą na mnie. - Wzdrygnęła się ze wstrętem i nerwowo otrzepała.

Spojrzeli na siebie i jak na komendę wybuchnęli śmiechem.

- Stale to samo - pożałowała się. - Brud w izbie i wszy we włosach. A przecież rozdaję im mydło i ług, nawet zdołałam nakłonić Andrzeja, żeby kobietom odjął jeden dzień z pańszczyzny, by mogły zadbać o czystość w chałupach. Był temu przeciwny, bo od początku uważał, że nic z tego nie wyjdzie.

Wacław milczał dyplomatycznie, wtórując bowiem hrabiemu, z pewnością uczyniłby swoją niewiarą przykrość dziewczynie. Zresztą nie tylko chłopci uważali przestrzeganie nowomodnej higieny za szkodliwą dla zdrowia fanaberię. Żyli przecież w wieku oświeconym, w którym oświeconych nie

żyło zbyt wielu. A ponieważ nie czuł w sobie misjonarskiego ducha, zadowolił się tą złotą myślą.

Lecz Anna wyraźnie nie zamierzała pogodzić się z klęską swych wychowawczych zapędów.

- Edukacji im potrzeba, ot co! - wykrzyknęła z mocą. - I chyba mam na to sposób! - zakończyła z tryumfalną miną, po czym zakomenderowała: - A teraz do ekonomówki, pani Maria czeka. Jeśli waćpan chcesz, możesz to ponieść.

Nie czekając na jego zgodę, wręczyła mu koszyk, w którym, jak się domyślał po zapachu, miała zioła i medykamenty znalezione w Czerwonym Klasztorze. Maszerując szparkim krokiem, z lewej strony minęli stojący u podnóża wzgórza Tabor i górujący nad drogą potężny spichlerz dworski i za moment znaleźli się pod okazałym domem ekonoma.

Wpuściła ich młoda, może osiemnastoletnia dziewczyna, jak się okazało, córka rządcy, Barbara. Spłonione na widok obcego dziewczę, ze skromnie spuszczonej oczyma, powiodło gości na górę, po czym Anna od razu udała się do chorej, Wacław zaś został zaprowadzony do obszernej bawialni i skazany na samotność, ponieważ spłoszona panienska wymamrotała coś pod nosem i uciekła jak wylękniona sarna.

Salonik nie był urządony wystawnie, ale dość gustownie, w starym stylu szlacheckiego dworku. Zresztą cały dom sprawiał solidne wrażenie, bo choć drewniany, to piętrowy i okazały, i o niebo wygodniejszy od zrujnowanego zamku. Chyba tylko z powodu choroby podstarościny Horwath nie ulokował tu swoich gości, a może mieszkanie w zamku miało zalety, których jedynie Benesz nie potrafił dostrzec i docenić.

Dumania przerwało mu nadejście gospodarza. Stary szlachcic powitał gościa z unізonością, a ponieważ Waclaw nie chciał nic jeść, poczęstował go wyśmienitą nalewką domowej roboty.

- Pan od dawna jesteś w Dunajcu? - Waclaw zagał rozmowę.

- Niedługo będzie pięć lat.

- I jak się waści pracuje?

- Ciężko - westchnął Leszczyński. - Ziemia tu marna, to i dochód kiepski.

Na życie ledwo starcza, zwłaszcza że starszy pan hrabia ma duże ekspensal, a kupców zbójniki przepłaszają. Ale nie narzekam ~ zastrzegł. - Grafowie Paloczają ludzcy panowie, zwłaszcza młodszy, a bez panienki Rubinowskiej moja Maria pewnie już by nie żyła...

Ekspensa - wydatki.

- A propos zbójników. - Waclaw dosiadł ulubionego konika. - Jak słyshałem, banda Baczyńskiego od bodaj dwóch lat grasuje w okolicy, nikomu nie przepuszczając i nikogo się nie bojąc, ale jeszcze nie było napadu ani na folwark, ani na zamek. Pan się nigdy nie zastanawiałeś dlaczego?

Badawcze spojrzenie Benesza wyraźnie peszyło ekonomę. Z trudem przełknął ślinę.

- Nie.

- To szkoda, bo do przyjazdu mego stryja sprawa ze zbójcami musi zostać zakończona. Liczę na pomoc waćpana w tym względzie.

- Kiedy ja...

- Na nic nie zda się stryjowi podstarości, który nie potrafi zadbać o porządek i bezpieczeństwo w powierzonych mu włościach - przerwał mu Waclaw dość bezceremonialnie. - Przemyśl pan to sobie, jeśli zależy ci na

posadzie.

Podenerwowany Leszczyński wyłamywał palce. Wacław usłyszał jakieś głosy na korytarzu i domyślił się, że Anna już skończyła wizytę u chorej. Wstał.

- Wyborna ta nalewka - pochwalił i zaraz wypuścił zatrutą strzałę: - Zna pan może człowieka zwanego Wiewiorem?

Dalibóg, tak piorunującego efektu się nie spodziewał! Przypadkowy strzał ugodził w sam środek celu. Ekonom wyglądał przez chwilę jak trafiony apopleksją i wydawało się, że natychmiastowa interwencja Anny będzie nieodzowna, ale jakoś zdołał się w końcu opanować. Udając, że się zastanawia, pocierał czoło, zbierając ukradkiem krople potu.

- Nie... Nie przypominam sobie... - wyjąkał w końcu.

- A to ciekawe, bo Cymer od razu wiedział, o kim mowa.

- Zaraz, zaraz... Zdaje się, że to jeden z ludzi gościńca, podnajęty do robót na zamku. Taki rudy... A co on zmalował?

- Nic takiego. Mój widok tak go przeraził, że uciekł gdzie pieprz rośnie, więc będziesz pan musiał znaleźć za niego zastępstwo. To tylko chciałem waści powiedzieć. - Benesz uśmiechnął się uspokajająco.

Ci, co go znali, wiedzieliby, że jest to dobroć wilka, który wydobył od Czerwonego Kapturka adres chorej babuni. Ale biedny Leszczyński nie mógł wiedzieć, że malutki dołek-pułapkę, który wygrzebał dla niego Wacław niejako rutynowo, sam powiększył do rozmiaru wilczego dołu i jeszcze uczynnie nadział się na pał, na którym miał tkwić, dopóki jak limon nie zostanie wyciśnięty z wszelkich posiadanych informacji.

- Ach! - Było niemal widać i słyszeć, jak kamień wielkości góry spada ekonomowi z piersi. - Jeśli tylko o to idzie, łatwo temu zaradzić.

Wyraźnie rozluźniony, rozplywając się w podziękowaniach, odprowadził Annę i Wacława na sam dół.

- Liczę na pana - przypomniał mu Benesz na pożegnanie, wiedząc już, że na ekonoma liczyć nie można.

- Dusza człowiek - powiedziała Anna, gdy za rządcą zamknęły się drzwi.

- Uhm - mruknął, mając niezbitą pewność, że Leszczyński wie o Baczyńskim i jego bandzie znacznie więcej, niż się przyznaje. A ponieważ nerwy rządcy przypominały nitki babiego lata, Wacław zamierzał je powiązać i dotrzeć do kłębka, co wprowadziło go w dobry humor.

- Mam nadzieję, że zostawi go pan na posadzce? - indagowała. - Jest na wskroś uczciwy, a przy tym w trudnym położeniu.

„Jeszcze jak trudnym”, pomyślał, odpowiadając niezobowiązująco:

- Zobaczymy. A jak zdrowie jejmości? Posmutniała.

- Lekarstwo przynosi jej ulgę, ale obawiam się, że biedaczka nie przeżyje zimy.

Chwilę szli w milczeniu, dopóki Wacław, już chyba po raz trzeci, nie dostrzegł ustawionej przy drodze tablicy z wymalowaną na niej przekreśloną fajką. Nigdy dotąd nie spotkał się z czymś podobnym.

- Andrzej zakazał palenia fajek na powietrzu - objaśniła. - Tu kurzą nawet kobiety i niejeden pożar został zaprószonej z tego powodu. No, jesteśmy na miejscu.

Skręcili w boczną drogę, która doprowadziła ich do czworaków, chociaż wypadałoby je raczej nazwać szóstakami. Usytuowane prostopadle do drogi, stały karnie w czterech rzędach. Każdy budynek był obszerny, murowany i składał się z sześciu połączonych ze sobą w podwójnym szeregu chałup z osobnymi wejściami, lecz pod jednym dachem. Wokół

kręciło się sporo dzieci, które pierzchły na widok gości niczym spłoszone ptactwo. Inaczej niż grupka starców zgromadzona przed jedną z chałup, którzy z szacunkiem pozdejbowali z głów nakrycia i nisko się pokłonili. Ale Anna najpierw zagadnęła Śpiewaka, który wyrósł jak spod ziemi:

- Dobrze, że cię widzę. Zboże do młyna odwiezione?
- Tak jest - odparł chłop służbiście.
- W takim razie zajmiesz się panem baronem, chyba że interesują pana sprawy gospodarskie, o których mam do pomówienia ze starszyzną? - zwróciła się do Wacława.
- Bynajmniej - zapewnił pospiesznie - choć pewnie powinny. Jednak na razie wolałbym się trochę rozejrzeć.
- Postaram się długo nie zabawić.
- Poczekam, ile będzie trzeba.

Zniknęła w mrocznym wejściu, za nią po kolei udali się chłopci i Wacław został sam ze Śpiewakiem, który nie zdradzając ochoty do rozmowy, wydobyl z kieszeni fajkę i zaczął ją niespiesznie nabijać, co kiepsko świadczyło o edukacyjnych walorach znaków ostrzegawczych.

- My się już znamy - zagaił Wacław.
- Od wczoraj - zgodził się chłop, wypuszczając kłęb dymu.
- A mnie się wydaje, że spotkaliśmy się już wcześniej. W Warszawie, w dziewięćdziesiątym czwartym.

Śpiewak pokiwał głową.

- Więc jednak wasza miłość mnie wtedy zapamiętał. Miałem nadzieję, że nie.
- Nie masz się czego obawiać. Była wojna i obaj w niej walczyliśmy, choć każdy na swój sposób. Reszta nie ma znaczenia.

- Skoro wielmożny pan tak uważa... - Śpiewak nieznacznie wzruszył ramionami.

Na razie żaden nie miał ochoty na wojenne wspomnienia, więc zapadło milczenie. Po kilku minutach, które Śpiewak poświęcił na wyprodukowanie jak największej ilości fajkowego dymu, a Benesz strawił na kontemplowaniu panoramy, w której nic zgoła nie nadawało się do kontemplacji, ten ostatni zdecydował się przerwać ciszę.

- Skoro już tu jestem, chciałbym zobaczyć, jak żyjecie.

Śpiewak zrobił zapraszający gest i usunął się z progu, przepuszczając gościa przodem. W pierwszym momencie Waclawa niemal odrzuciło z powrotem, albowiem dym z paleniska unosił się swobodnie po izbie, tylko częściowo i jakby niechętnie ulatniając się przez dziurę w powale. Było to tym bardziej dziwne, że dom posiadał komin, najwyraźniej jednak nieużywany. Pokrywająca ściany sadza skrzyła się w półmroku. Na wyposażenie składało się kilka najprostszych sprzętów, ale Waclaw nie zaryzykował skorzystania z któregokolwiek, zresztą Śpiewak bynajmniej go do tego nie zachęcał.

- Przykro mi, ale nie mam czym podjąć jaśnie pana - powiedział bez przesadnego żalu w głosie.

- Nie szkodzi, wyjdźmy na zewnątrz. - Otwarcie ust było bohaterstwem, którego Waclaw omal nie przypłacił uduszeniem.

Kiedy już doszedł do siebie na świeżym powietrzu, zauważył, że z żadnego komina nie unosi się dym, i zapytał:

- Czemu, u licha, nie używacie kominów?!

Chłop pokazał fajką dom, w którym przebywała Anna ze starszyzną.

- O to samo panienka teraz ich pyta, i o inne sprawy też. A co do

kominów, to wedle tutejszych pańską są fanaberią i tylko ciepło Wyciągają z chałupy.

~ A te inne sprawy?

- Dla przykładu, dlaczego nie chcą zastąpić trójpolówki płodozmiannem.

- A nie chcą? - Waclaw miał słabe pojęcie o rolnictwie, ale słyszał że na Zachodzie już od niejakiego czasu stosuje się tę nowinkę z całkiem dobrym rezultatem. - Czemu?

- Bo nie i już. Bo nasi dziadowie od wieków dzielili ziemię na troje i tak ma zostać na wieki. A poza tym łośkiego roku paru głupców struło się kartoflami, bo zeżarli owoce z krzaków, chociaż ich panienka ostrzegąła. Ledwo ich potem odratowała. Zresztą o czym tu gadać, skoro nawet kosy do żęcia zboża nie chcą brać, żeby daru bożego nie obrazić, tylko po dawnemu w pole z sierpami chodzą. - Machnął ręką z rezygnacją, nareszcie wyraźnie poruszony. Nawet fajka mu zgasła. - I tym razem panienka nic nie wskóra. Jak ma być inaczej, skoro sam pan Leszczyński z folwarku przeciwny jest wszelkim nowinom.

- To po coś tu wrócił? Nie lepiej było gdzie indziej szczęścia poszukać? Chyba nie o takie życie wojowałeś?

Chłop rozpalil fajkę i pyknął dwa razy.

- Nie o takie. O ojca mi idzie. Stary jest i beze mnie kij żebraczy go czeka. Było powszechnym zwyczajem, że z niedołącznymi starcami czy kalekami nie patyczkowano się czy to w Polsce, na Węgrzech, czy w Austrii. Z chwilą gdy stawali się niezdolni do pracy, a nie mieli rodziny, która wzięłaby ich na utrzymanie, przepędzano ich precz. Nawet Benesz o tym wiedział.

- Panna Rubinowska nie dopuściłaby do tego.

- Panienci jeszcze wtedy tu nie było, a i ona niewiele poradzi, choć chęci jej nie brak. Gdyby chłopci dostali ziemię, jak to Naczelnik Kościuszko obiecywał, wszystko wyglądałoby inaczej, ale teraz nie ma już na to nadziei, chyba że ludzie sami złapią za kosy i...

Omiał nie przegryzł ustnika, zorientowawszy się, że powiedział za dużo, i spojrzał niespokojnie na Wacława, ale ten udawał, że nic nie zauważył. Udawać zaś umiał jak mało kto.

- A jak u was z pańszczyzną, ile dni musicie odrabiać? - spytał od niechcienia.

- Zależy, ile kto ma gruntu. Za trzy morgi - sto pięćdziesiąt dniówek i jeszcze trzydzieści dwie za chałupę. - Chłop kiwnął pogardliwie w stronę domu. - Od świtania do zmierzchu, a czasem i do dziesiątej w nocy. Nadto robota w lesie i szarwark1 na trakcie do Falsztyna.

- Nie znam się na tym. To dużo?

- W Polsce nigdy nie spotkałem się z większymi ciężarami. Nie dziwota, że tutejsi na drugą stronę Dunajca się oglądają, gdzie chłopstwo dawno oczyszczane... A wzdry nie ma co wydziwiać, boć dwór siano dla bydła daje, a w lesie chrust, grzyby i jagody zbierać wolno

- dokończył, niezbyt starannie ukrywając jawne szyderstwo w głosie.

Wacław znów udał, że nie dosłyszał. Miał do załatwienia znacznie ważniejszą sprawę niż wymiar pańszczyzny w dobrach Palocsayów.

- Widzę, że z dawnych czasów czapka ci się ostała - zauważył.

- A tak. - Chłop dotknął krakuski pieścotliwym gestem. - Służyłem w Regimencie Grenadierów Krakowskich. Razem z Głowackim2

- dodał z dumą.

- Pięknie.

- A wasza miłość za co to dostał, jeśli wolno wiedzieć?
- Za insurekcję warszawską³ - odparł Wacław, odruchowo dotykając pierścienia.
- Tyż piknie.

Tym razem nie było to szyderstwo ani zamierzona impertynencja, albowiem zadzierzgnęła się między nimi owa innym nieznaną więź, która na zawsze łączy towarzyszy broni. Chyba to ostatecznie zadecydowało, że Benesz poruszył temat, którego wcale poruszać nie miał ochoty, nie lubił bowiem wtrącać się w nie swoje sprawy. Ale za to zdążył już polubić Annę, a teraz Śpiewaka, i nie mógł biernie Szarwark - przymusowe roboty drogowe.

Prawdziwe nazwisko - Wojciech Bartos; chłop, który za mężną postawę w bitwie pod Raclawicami został przez Kościuszkę uszlachcony jako Bartosz Głowacki. Insurekcja warszawska - określenie walk powstańczych w stolicy w kwietniu 1794 r., w których szczególnie odznaczył się szewc Jan Kiliński.

się przyglądać, jak wiążą sobie na szyjach konopne powrozy. Prędzej czy później i tak musiały zareagować, skoro już się zdecydował patrzeć dalej niż na koniec własnego nosa, ten moment nadawał się równie dobrze jak każdy inny.

- Pióro u czapki ci się złamało - zauważył jakby mimochodem. Chłop zdjął krakuskę i przyjrzał się jej z uwagą.
- W rzeczy samej - potwierdził. - Złamane.
- Orle?
- Orle.
- Czemu nie pawie?

- Bo pawi u nas nie masz, a orły się trafiają.
- Wszystkie mają połamane pióra?
- A co? - Śpiewak zmrużył oczy, które spoglądały z nagle obudzoną czujnością.

- A bo nie u ciebie jednego takie widziałem, ale też nie u wszystkich. Gdyby mnie zatem kto pytał, opowiedziałbym taką historię...

Jawna już wrogość wyzierała z oczu Śpiewaka, który zaczął nieznacznie przesuwać rękę w stronę opartej o ścianę siekiery. Na pozór tego nie widząc, Wacław kontynuował:

- W pewnej okolicy zawiązało się sprzysiężenie, dajmy na to „bractwo złamanego pióra”, ponieważ spiskowcy rozpoznawali się po złamanych piórach orlich. Czemu taki znak wybrali, nie wiem. Może chodziło o Orła Białego, któremu zaborcy podcięli skrzydła? Do spisku należeli okoliczni włościanie, którym przewodziła, uwaga!, młoda i dzielna niewiasta.

Sprzysiężeni chcieli przyłączyć się do wielkiego powstania, które rychło miało wybuchnąć w sąsiedniej Galicji, i walczyć o uwłaszczenie, a może i o coś więcej. Brakowało im jednak doświadczenia w takiej robocie, a nade wszystko cierpliwości, dlatego trudno ich było utrzymać w ryzach, zwłaszcza iż niezbyt poważali swego wodza - kobietę... Nie nudzę cię aby?

- Nie wiem, po co mi wasza miłość opowiada tę historię, lecz chętnie poznałbym jej zakończenie - odparł chłop ochrypłym z napięcia głosem, kładąc rękę na stylisku.

- Ba! Nie znam go, mogę ci za to opowiedzieć inną historię - prawdziwą.
- Zamieniam się w słuch.
- Miałem kiedyś przyjaciela, zaprzysięgłego jakobina, nazywał się

Franciszek Gorzkowski. Mówi ci coś to nazwisko?

- Nic.

- Tak myślałem. Otóż los włościan zawsze leżał mu na sercu, więc po klęsce insurekcji zaszył się na wsi gdzieś pod Siedlcami. Austriacy nie wydali go Moskalom i mógł żyć jak u Pana Boga za piecem, zwłaszcza że z profesji był geodetą. On jednak wolał zawiązać chłopskie przysiężenie. Uczestnicy spisku chcieli, ni mniej ni więcej, za jednym zamachem obalić obce rządy i znieść pańszczyznę. Rozpoznawali się zaś po trzech złamanych słomkach, używali też innych tajemnych znaków, a nawet sekretne pisma. Przyjaciel napisał do mnie, abym przyjechał i pomógł ich wymusztrować...

- I co? - Oznaką zainteresowania Śpiewaka było zgaśnięcie fajki.

- Nic. Nie pojechałem. Ostrzegłem go tylko, że złamane słomki to znak piękny i wymowny, ale widoczny, a austriacka policja nie taka ślepa, jak się wydaje. Prosiłem, aby zawczasu zaprzestali tej dziecinady.

Przerwał.

- I? - zapytał Śpiewak bez tchu.

- Nie posłuchał. Ma teraz proces i niechybnie czeka go śmierć. Innych też aresztowano.

- Byli nieostrożni - zauważył Śpiewak, rozpalając fajkę i ostatecznie porzucając myśl o użyciu siekiery. - Smutna historia. Na szczęście nie każda musi tak się skończyć.

- One zawsze kończą się tak samo, możesz mi wierzyć. Chłop podniósł głowę i spojrzał śmiało w oczy Wacława, po czym rzekł z namysłem:

Zasądzoną Gorzkowskiemu w 1797 r. karę śmierci zamieniono ostatecznie

w drodze łaski na wygnanie.

- Zatem nie ma sposobu na pomyślność takowego przedsięwzięcia?

- Najlepiej nie zaczynać.

- A jeśli już na to za późno?

- Tedy, na miły Bóg!, nie rzucać się w oczy, a już na pewno nie dać się sprowokować do pochopnych działań, nim ogólne poruszenie nie nastąpi.

Austriacy tylko czekają, by poszczuwszy chłopstwo na szlachtę, utopić powstanie w morzu bratniej krwi. To, co wczoraj stało się pod karczmą, to była woda na ich młyn.

Tym razem stawiając sprawę jasno, Benesz utkwiał twarde spojrzenie w Śpiewaku. Chłop milczał dłuższą chwilę, potem zdjął krakuskę i pogłaskał złamane pióro czułym gestem.

- Cóż... Obie historie wielce były pouczające... Za przyzwoleniem jaśnie pana, rozpowiem je tu i ówdzie...

- Na to liczę - odparł Waław poważnie. - Bo nie lubię tracić przyjaciół.

W tejże chwili zakończyły się widać obrady, bo Anna wyszła na zewnątrz, trzaskając drzwiami.

- Znowu nic? - upewnił się Śpiewak.

- A jak myślisz? - burknęła. - Ale ja się nie poddam. Nie chcą starzy, trzeba spróbować z młodymi. Edukacja, ot co! - zakończyła swoim ulubionym powiedzeniem.

- To pańszczyzna tak ich ogłupiła - stwierdził Śpiewak. - Na swoim zaraz zaczęliby myśleć po gospodarsku.

- Nie byłbym taki pewien - wtrącił Waław. - Słyszałem o wypadkach, gdy uwłaszczeni włościanie sami prosili, by przywrócić pańszczyznę.

- Ergo wychodzi na moje. Grunt to edukacja - ucięła Anna. - A zresztą już

wkrótce folwark będzie miał nowego pana. Może pański stryj, baronie, zmieni coś w miejscowych stosunkach. Ostatecznie stać go na to.

Dokładnie pół wieku później, w 1846 r., w Galicji nie doszło do ogólnonarodowego powstania, gdyż Austriakom udało się podburzyć chłopów przeciw szlachcie i wywołać krwawe zamieszki zwane rabacją chłopską.

- Nie mogę wypowiadać się za stryja - zastrzegł się Benesz - bo nie znam zbyt dokładnie jego zamiarów.

- A racja, mieliśmy o tym pogadać... Śpiewak! Poszukaj mnie za... powiedzmy godzinę, mam sprawę do ciebie. Co się tak gapisz, jak sroka w gnat?

- Nic - bąknął chłop, odwracając wzrok utkwiony w złamane pióro chwiejące się u kapelusza dziewczyny. Wymienili z Wacławem porozumiewawcze spojrzenia.

Tymczasem Anna skorzystała z podanego ramienia.

- Skaranie boskie z tymi chłopami - poskarżyła się. -Już czasami brak mi do nich siły. Człowiek chce dla nich dobrze, a oni... Ech. - Machnęła z goryczą wolną ręką.

- Śpiewak ma rację. Wieki pańszczyzny ich ogłupiły, więc i nie zmadrzeją od razu - zauważył.

- Chcesz mnie pan zniechęcić?

- Nie. Radzę tylko uzbroić się w cierpliwość. Westchnęła ciężko.

- Wiem, ale czasami zastanawiam się, czy to ma sens... Na szczęście trafiają się wśród nich tacy jak Śpiewak, bo inaczej... A propos, jak go pan znajdujesz?

- Śpiewaka? Rzeczywiście różni się od reszty. Aż dziw, że jeszcze stąd nie

uciekł.

- Prawda? - rozjaśniła się. - Dla takich jak on warto coś zrobić. Przy farze w Niedzicy na organistę się kształci. A głos ma jak dzwon, zresztą sam pan słyszałeś. Marzy mu się do miasta wyjechać. Został tu na razie, bo... Ale to pana nic nie obchodzi.

- Przeciwnie. Polubiłem go. Zresztą znamy się z dawnych czasów.

- Właśnie, o tym też mam z waścią do pomówienia. Aż jęknął w duchu, bo jej ton nie wróżył nic dobrego.

Emisariusze

Kiedy doszli do wielkiego dębu stojącego u podnóża podjazdu, dziewczyna kazała mu usiąść na ustawionej pod drzewem ławce i wzięwszy się pod boki, spoglądała nań z groźnie zmarszczonymi brwiami.

- Żadnych grzechów nie pamiętam! - uprzedził na wszelki wypadek.

- Tak? A kto samopas położył pięciu zbrojczyków, i to bez jednego strzału?

Ładnie, mój panie, żebyś się takich rzeczy od obcych dowiadywała?

- Do niczego się nie przyznaję - zastrzegł. - I nie odpowiadam za plotki.

Już to mówiłem kapitanowi Kaunitzowi.

- A więc to jednak naszego walecznego kapitana Kaunitza widziałam rozmawiającego z waćpanem na podjeździe. - Pokiwała głową ze zrozumieniem. - Na pewno sobie chce przypisać całą zasługę, o ile już tego nie zrobił, i przyjechał zadbać o pańskie milczenie. Zgadłam?

- Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Nie przybyłem tutaj szukać sobie wrogów.

- A więc zgadłam! - wykrzyknęła tryumfalnie. - A pan dalej się będziesz wszystkiego wypierał?

- Będę - zapewnił solennie.
- Tego, żeś w insurekcji partycypował, też?
- Widzę, że Śpiewak już wszystko wyśpiewał. Ujęła jego dłoń i podniosła do oczu.
- Prosty a ładny - zauważyła, oglądając powstańczy pierścień. - Mój ojciec takiego nie dostał, a waści to pewnie za nic dali? - zakpiła.
- Czasami i ślepej kurze trafi się ziarno - potwierdził.
- Pan jesteś niemożliwy!

Tupnęła nogą. Źrenice jej zniebieszczały jak zwykle, gdy się złościła, i płonęły jak dwa diamenty na tle aureoli miedzianobrazowych włosów. Wyglądała zjawiskowo. Zorientował się, że zaczyna tracić dla niej głowę, ale niespecjalnie się tym przejął, ponieważ nigdy nie uważał jej (znaczy głowy) za zbyt cenną. Tymczasem dziewczyna perorowała:

- Nie mam na pana słów! Pan nie tylko nie traktujesz mnie poważnie, pan mnie po prostu zbywasz i masz za głupią!
- Przykro mi...
- Figę panu przykro! Widzę to po pańskich oczach. Pan się na mnie mścisz za to, że cię spostponowałam w Czerwonym Klasztorze.
- Wcale nie! - zaprzeczył stanowczo, podnosząc jej dłoń do ust. - Żebyś tak zdrow był!

Wyrwała mu rękę.

- To bacz, bo się pochorujesz!
- Już cierpię. Pani niełaska to spowodowała - pożalił się. - A jam naprawdę niczego wielkiego w insurekcji nie zdołał. Za to, jeśli pani mnie przywrócisz do łask, dokończę historię o stryju Sebastianie. I jak, umowa stoi?

Posłała mu krytyczne spojrzenie.

- A niech tam. Stoi.

- Ale pani musi usiąść, przecie nie ugryzę. Usiadła na samym brzegu ławki.

- Na czym skończyliśmy? - spytał.

- Na tym, jak pan Sebastian musiał uchodzić z Zasławia i ślad po nim zaginął - przypomniała.

- Tymczasem - zaczął, nieznacznie przysuwając się do niej - stryj uciekł na Sicz i przystał do Kozaków. Jakiś czas chodził z nimi na Turków, aż powinęła mu się noga i został złapany. Trafił jako niewolnik do bogatego kupca i w jego służbie karawany do Persji wodził. Aż zbiegł któregoś razu i do Indyj się przebrał, po czym wstąpił do francuskiej armii, bo były to czasy, gdy Francuzi z Anglikami o Indie wojowali. Wysłał stamtąd może ze dwa listy, które długo błędziły, nim do Krumłowa dotarły. A potem, bodaj w czterdziestym ósmym pod sam koniec wojny, przepadł bez wieści. Francuzi uznali go za poległego i papier o takiej treści przysłali do Zasławia.

- Tymczasem, jak nietrudno zgadnąć, pan Sebastian wcale nie zginął.

- Właśnie. Ale o tym dowiedzieliśmy się wiele lat później, chyba gdzieś około osiemdziesiątego czwartego roku. Moja matka już wtedy nie żyła, ojciec coraz bardziej podupadał na zdrowiu i gorzkniał, nigdy bowiem nie pogodził się ze swoją mizerną kondycją ni to łyka, ni szlachcica. Dla mnie przyszła najwyższa pora iść do szkół, ale nie było za co. I wtedy nadszedł list od stryja...

Pamiętał ten dzień doskonale. Ojciec zamknął się z listem w gabinecie i prawie zapił na śmierć, choć od pogrzebu żony i tak rzadko bywał trzeźwy.

Od dawna nie interesował się warsztatem, troskę o utrzymanie rodziny zwałając w całości na barki teścia. Roił wciąż o odrodzeniu świetności rodu i przeklinał brata, którego obwinał za swe położenie. Waclaw, ile mógł, pomagał dziadkowi, lecz tylko z przywiązania i poczucia obowiązku, bo do rzemiosła nie miał serca. Najchętniej uciekał na tyły domu do zapuszczonego ogrodu, gdzie Bela uczył go strzelania i fechtów, a był w tym mistrzem, nad którego Waclaw nigdy nie spotkał większego, a .przecież poznał potem wielu sławnych szermierzy. Sam Bela twierdził wszak uparcie, iż na rękę nie zdzierzyłby Sebastianowi. W opowieściach Węgra Sebastian wyrastał na niepokonanego rycerza, szlachetnego i niezłomnego. Dlatego Waclaw od dzieciństwa nauczył się czcić pamięć o stryju, ukrywając to starannie przed ojcem...

- I co takiego było w tym liście? - ponagliła go.

- Stryj pisał, że stamtąd, gdzie bawił przez trzydzieści lat, nieczęsto miał sposobność słać listy, a na te, które posłał, nigdy nie dostał odpowiedzi.

Ale niedawno przybył do Europy, zrzędzeniem losu dowiedział się, gdzie mieszkamy, i ma nadzieję, że ten list już do

nas dotrze. Pisał dalej, że powiodło mu się w życiu i dlatego chce nam pomóc. Do listu dołączył kwit bankowy na dziesięć tysięcy dukatów z tym jednym zastrzeżeniem, żeby część sumy została przeznaczona na moją edukację jako ostatniego z rodu, stryj bowiem własnego syna nie ma.

- I co?

- Nic. Ojciec nie odpisał stryjowi, posłał mnie co prawda do kolegium w Podolińcu, ale reszty pieniędzy zabronił podejmować. Umarł, zanim skończyłem szkołę.

- A stryj? - zapytała, coraz bardziej zaciekawiona.

- Odezwał się wkrótce po śmierci ojca, jakby dobrze wiedział, co się u nas działo, pewnie to sprawka Beli. Ja akurat znów nie miałem co ze sobą począć. Stryj zaproponował, że wyłoży na moją dalszą edukację, ale pod warunkiem, że będę studiował wojskowość. Pewnie gryzło go sumienie, że na obczyźnie o fortunę zabiegał, gdy Rzeczpospolitą rozbierano - zakończył zgryźliwie. - Chociaż, żeby oddać mu sprawiedliwość, nie pytając mnie o zdanie, chyba wybrał nie najgorzej...

- Więc...

- Więc pojechałem do Warszawy i wstąpiłem do Szkoły Rycerskiej.

- Pan byłeś w Korpusie Kadetów!?! - Aż się zachłysnęła.

- Owszem.

- W tej sławnej akademii, która wydała Kościuszkę, Kniaziewiczą, Niemcewicza, Jasińskiego...?

- Samych bohaterów - zgodził się i korzystając z jej zaaferowania, znów skrócił dzielący ich dystans. - Oraz mnie, którym już po pierwszym roku wiedział, że wojska nie polubię nigdy.

Po zmarszczonych brwiach dziewczyny poznał, że zgorszył tę nieodrodną córkę żołnierza. Tymczasem wyznał szczerą prawdę. Rzeczywiście nie lubił wojska, za to na wojnie czuł się jak ryba

Szkoła Rycerska - założona w 1765 r. przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego szkoła średnia ogólnokształcąca, z dodatkowym dwuletnim programem szkolenia wojskowego, zlikwidowana przez zaborców w 1795 r.

w wodzie. Był to paradoks tylko pozorny, albowiem w ciągu ostatnich jałowych lat zrozumiał, że zwyczajne życie wymaga wiele zachodu, a przede wszystkim celu, do którego się dąży. Dla takich zaś jak on wojna

zdawała się stanem idealnym, bo cel narzucał się sam, o resztę troszczyła się armia i wszystko było proste. Kiedy sobie uświadomił, że tęskni za wojną, aż go ciarki przeszły. Na szczęście, znów we właściwym momencie, stryj dał mu szansę na rozpoczęcie wszystkiego od nowa.

- Dlaczego? - spytała poważnie. - Przecież to piękny fach, którym i ojczyźnie przysłużyć się można, i na godne życie zapracować. Pan jednak, jak się zdaje, wolisz za fantomami się uganiać.

- A jednak znalazłem wreszcie swoje szczęście. - Objął ją zachwyconym spojrzeniem.

- Tylko tak się waści zdaje - mruknęła. - I proszę łaskawie zdjąć rękę z moich pleców.

Zabrał rękę, która faktycznie, zupełnie jakby obdarzona własnym życiem, cały czas pełzła sobie podstępnie wzdłuż oparcia ławki. W tej chwili rozległ się suchy trzask. Odruchowo z powrotem wyrzucił rękę, przygarnął dziewczynę i osłonił ją swoim ciałem. Potężny konar dębu, odłamawszy się od pnia, gruchnął tuż obok nich. Jedna z gałęzi uderzyła Wacława w czoło, aż go zamroczyło. Poczuł, że osuwa się na ziemię.

- Ejże, nie umrze mi pan tu chyba?! - W jednej chwili klęczała przy nim, delikatnie biorąc jego obolałą głowę w dłonie i szukając rany.

- Jestem w rajku - powiedział, dochodząc do siebie. - I widzę anioła.

Spróbował ją przyciągnąć do siebie.

- Nic waści nie jest. - Odepchnęła go, ale bardzo łagodnie. - Nie licząc solidnego guza na czole. Do wesela się zagoi.

- Naprawdę? - ucieszył się. - Kiedy ślub?

- A waści ciągle żarty się trzymają, dałby pan wreszcie pokój... - gderiała, pomagając mu odciągnąć na bok sprawcę zamieszania.

- Nigdy! - zapewnił solennie, lecz wcale go nie słuchała, zadarłszy głowę w górę.

_ Może coś w tym jest... - powiedziała do siebie. Też podniósł wzrok, ale oprócz ogromnej korony dębu, pokrytej żółknącymi już liśćmi, nic ciekawego nie zauważył. - W czym? - zapytał. - Że jesteśmy dla siebie stworzeni?

- W tym, że to drzewo nie ma nawet trzystu lat, a jednak usycha. Od zadzierania rozboleła go trochę nadwierzona głowa. Potarł kontuzjowane czoło.

- Z tym dębem wiąże się ciekawa historia. Chce pan posłuchać? Nazywają go dębem Palocsayów - zaczęła, gdy znów usadowili się wygodnie. - Podobno antecesor¹ Horwathów, proboszcz spiski Jan, spotkał w tym miejscu sadzącą żołądz starą Cyganicę, która wyjawiała mu, że dąb z niego wyrosły stanie się drzewem życia Palocsayów. Kiedy uschnie, wygasną i oni.

- Piękna legenda. Hrabia Andrzej chyba śmieje się z niej?

- Śmieje się, ale nie bardzo szczerze.

- A ileż ma lat?

- Dwadzieścia pięć. Jesteśmy prawie równoletkami.

- No to zaiste najwyższa pora na księżą oborę spojrzeć.

- Pan żartuje, a Andrzej naprawdę jeszcze na żadną kobietę nie spojrzął łaskawym okiem, choć swatano mu najlepsze partie w całych Węgrzech. Boję się, że sam uwierzył, iż przeznaczone mu jest staro-kawalerstwo².

- To przykre. Na szczęście mnie to nie grozi. Dzięki pani.

- Nieznośny! Nie mogę już tego słuchać. - Mimo to wcale nie zerwała się do odejścia. - Poza tym prawie wcale się nie znamy.

Machnął ręką lekceważąco.

- Żaden problem, czasu mamy dosyć. Co nie znaczy, że nie powinna aśćka jak najprędzej oswoić się z tą myślą. Zwłaszcza że na razie jestem tanio do wzięcia, a będę stale drożał.

Zmierzyła go krytycznym spojrzeniem i skrzywiła się.

- Pan sobie pochlebia.

- Czyżby? Jeszcze wczoraj bandyta, dziś bohater wojenny, co będzie dalej, aż "strach pomyśleć.

Zaśmiała się, rozbrojona, a on z przyjemnością obserwował jej rozpogodzoną twarz i słuchał dźwięcznego głosu.

- Nic nie będzie, chyba że...

Antecesor - przodek.

Andrzej hrabia de Palocsy zmarł bezpotomnie, a ród Horwathów skończył się na jego

bratanku w II połowie XIX w.; z martwego pnia dębu, stojącego do dziś, zrobiono kapliczkę.

Ich oczy się spotkały i wyczuł, że dziewczyna zastanawia się nad tym, co ma powiedzieć. Kiedy jednak się odezwała, stwierdził z rozczarowaniem, że nie to chciał usłyszeć.

- Nie chce mi się wierzyć, że pana, oficera i insurgenca, przez ostatnie dwa lata nie kusilo znowu na koń wsiąć i w pole na ojczyzny wołanie wyruszyć. - Nic nie pozostało z jej wcześniejszego rozbawienia, sprawy patriotyczne traktowała niezwykle poważnie. Szmaragdowe źrenice spoglądały wyczekująco.

Westchnął.

- Żadnego wołania nie słyszałem.

- A ja tak. Ojciec mój pisze z Francji, że na obczyźnie wojsko nasze się zbiera, a i w kraju wrze. Podobno w Krakowie na początku roku zawiązało się sprzysiężenie dla nowej insurekcji wywołania. Słyszał pan o nim?

- Coś słyszałem, ale niewiele. Do Krumłowa mała co dociera ze świata.

- Szkoda, bo nawet u nas o tym głośno. Lud prosty do walki z zaborcą się rwie, tylko im wodza potrzeba, doświadczonego oficera, w rzemiośle wojennym biegłego...

Został przyparty do muru i zrobiło mu się ciężko na sercu, bo angażując się, zyskałby u niej wiele. Ale przecież nie mógł się na to zgodzić, wprost przeciwnie - powinien zrobić wszystko, aby wybić z głowy niewczesne pomysły jej, Śpiewakowi i innym, którzy wdali się w tę awanturę.

- Wiem, w czym rzecz, bo ślepy nie jestem. I z góry powiadam: na mnie proszę nie liczyć - rzekł, unikając jej wzroku.

- Dlaczego? - spytała, bardziej smutna niż rozczarowana.

- Bo nie wierzę, by to się powiodło. Bo pochowałem zbyt wielu przyjaciół i nie chcę widzieć, jak giną następni, a już na pewno nie przyłożę do tego ręki.

- Czy to pańskie ostatnie słowo?

- W tej sprawie z pewnością tak.

- Szkoda...

Zapanowało niezręczne milczenie. Z kłopotu wybawił ich tumult na gościńcu. Traktem od Fałsztyna jechał kryty płótnem ładowny wóz, zaprzężony w czwórkę koni. Przed podjazdem przystanął, a dostatnio odziany człowiek siedzący na koźle obok woźnicy zawołał:

- Czy to aby zamek Dunajec?!

- Tak! - odskrzyknęła Anna. - A w czym rzecz?

- Szukam pana Waclawa Benesza de Berzeviczy. Powiedziano mi, że go tu znajdę.

Waclaw wstał.

- To ja.

Pytający dał znak woźnicy, by skręcił na podjazd, sam zaś żwawo zeskoczył z kozła i podszedł do Anny i Waclawa. Niewiele starszy od Benesza, miał szczerą, wesołą twarz, nieco marzycielskie oczy i potężne bokobrody.

- Waclaw! - krzyknął radośnie, otwierając ramiona. - Stary druho!

Kompletnie zaskoczony, Waclaw stał wrośnięty w ziemię, nie wiedząc, jak zareagować. A kiedy wreszcie otworzył usta, przybysz nie dopuścił go do głosu:

- Co to, nie poznajesz przyjaciela?! Kopę lat minęło po prawdzie od naszego ostatniego widzenia, aleś, u licha, chyba mnie nie zabaczył? No, dajże pyska!

Zamknął Waclawa w niedźwiedzim uścisku, a ten, chcąc nie chcąc, odwzajemnił karesy. Wreszcie przybysz nasycił się powitaniem i zauważył Annę. Pospiesznie zdjął czapkę z głowy i przycisnął ją do serca.

- O, pardon, madame! Kupiec Martin jestem, z niejednym towarem pół świata zjeździliśmy razem z Waclawem. - Mrugnął do Benesza porozumiewawczo. - Na pewno o tym opowiadał. Winszuję, stary - na powrót zwrócił się do Waclawa. - Nie wiedziałem, żeś się ożenił.

Anna poczerwieniała,, a Waclaw odparł rozbawiony:

- Jeszcze nie, ale jestem na dobrej drodze.

- Proszę w to nie wierzyć. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Panu baronowi przed chwilą konar upadł na głowę i jeszcze nie doszedł do siebie.

- Ach tak! - Kupiec uklonił się nisko, obdarzając Annę zachwyconym spojrzeniem. - W takim razie może ja miałbym większą szansę u waćpanny, lecz niestety - pokiwał głową ze smutkiem - rychło muszę ruszać w dalszą drogę.

- Ale na obiedzie pan zostanie? A i nocleg się znajdzie...

- Przykro mi. - Kupiec rozłożył ręce. - Z serca dziękuję, lecz jedliśmy niedawno, a przed zmrokiem musimy wyjechać. Tylko chwilę pogwarzyśmy sobie z Waławem o dawnych czasach i już nas nie ma.

- Zatem chodźmy na zamek - powiedział Benesz i dał znak woźnicy, by jechał przodem.

- Nie boi się pan samowtór w drogę wypuszczać? - spytała Anna. - W naszej okolicy od zbójców aż się roi.

- Z poczciwym Joachimem nie lękam się niczego. - Kupiec wskazał sługę, który właśnie przejeżdżał obok nich.

Nie ulegało wątpliwości, że zaufanie pana do sługi opierało się na solidnych podstawach. Nawet siedząc, „poczciwy Joachim” prezentował się okazale. Chłopisko miało co najmniej cztery łokcie wzrostu, barki rozmiarów gdańskiej szafy, pokiereszowaną twarz i ponure wejrzenie. Już sam jego widok nawet najrezolutniejsze dzieci odstraszyłyby od podbierania cukru z kredensu, a tymczasem zza pasa wystawały mu kolby pistoletów, u boku zwisał pałasz, na kolanach leżała flinta, a druga spoczywała pod kozłem, ale w zasięgu ręki. Na oko licząc, jego wartość bojowa mniej więcej dorównywała sile oddziału dzielnego kapitana Kaunitza, a może nawet ją przewyższała.

- No to prowadź. - Martin przyjacielsko klepnął Waławę w plecy.

- Nie idzie pani z nami? - spytał Benesz dziewczynę, która nie ruszyła się

z ławki.

- Nie chcę przeszkadzać. Może przyjdę później. Obserwowała oddalających się, a kiedy zniknęli za bramą, zawołała półgłosem:

Łokieć - dawna jednostka długości równa 0,5 m.

- Możesz już wyjść.

Z gęstych krzaków rosnących za dębem wychynał Śpiewak, otrzepując ubabrane ziemią portki.

- Dawno tu jesteś?

- Dawno. Przecież dała mi panienka znak, żebym przyszedł jak najprędzej.

„Bractwo złamanego pióra” posługiwało się tajnymi znakami, których większość wymyśliła Anna, z czego była bardzo dumna.

- Więc słyszałeś wszystko, o czym mówiliśmy z panem baronem?

- Prawie wszystko.

- I co ty na to? Rozczarował mnie pan baron - powiedziała z goryczą. - Spodziewałam się po nim większych rzeczy.

Śpiewak milczał zakłopotany, przestępując z nogi na nogę i miętosząc czapkę.

- Siadaj i mówże. Co to, zgubiłeś pióro?

Chłop przysiadł z uszanowaniem na brzeжку ławki.

- Ja.... Właśnie o tym chciałem z panienką pogadać...

- Więc wykrztuś to wreszcie.

Początkowo zająkliwie, potem coraz śmielej opowiedział jej historię zasłyszaną od Waclawa. Słuchała go uważnie, ani razu nie przerywając, tylko rumieniła się coraz bardziej. Kiedy skończył, powiedziała:

- A więc to tak. Dlatego odmówił. Uważa, że my się tu bawimy.

Dziecinada, powiedział. Wielki pan oficer!

Śpiewak milczał.

- No, a co ty o tym sądzisz? Chłop spuścił głowę.

- Ja myślę, że on ma słuszość - bąknął niepewnie, nie patrząc na nią.

- Aha! I dlatego pozbyłeś się znaku?

Popatrzył jej prosto w oczy i tym razem odpowiedział dużo pewniejszym tonem:

- Skoro on od razu poznał nasz sekret, tedy mógł to uczynić każdy.

Uderzyła ją trafność tego spostrzeżenia. Ale żal jej było się rozstać z symbolem, do którego zdążyła się przywiązać, podobnie jak pozostali - Pamiętała, jak rozpierała wszystkich duma, gdy po złożeniu przysięgi otrzymywali widomy znak swego sprzysiężenia. Dawał im poczucie braterskiej wspólnoty i odróżniał od niewtajemniczonych.

- Naszym ludziom to się nie spodoba... - kapitulowała.

- Trudno, to nie zabawa. Najwyższy czas, żeby to pojęli. Chciał powiedzieć „żebyśmy”, ale w porę ugryzł się w język. I bez tego wiedział, że dziewczyna mocno sprawę przeżywa, bo przed godziną sam odczuwał to samo.

- Jednak nie powinienes samowolnie pozbywać się pióra - napomniała go surowo. - Przynajmniej dopóty tak nie zadecyduje towarzysz Brzozowicz.

- O tym też chciałem z panienką pomówić. No bo czy tak się godzi, aby on wiedział o nas wszystko, a my o nim nic? Nawet jak wygląda? A może on wcale nie istnieje?

Zgromiła go wzrokiem i znów była to dawna Anna.

- Zapomniałeś, że wszyscy się na to zgodziliście - rzekła zimno. - A co,

lękacie się, że przewodzi wam niewiasta? Bez obawy, towarzysz Brzozowicz istnieje i zna się na swojej robocie, masz na to moje słowo.

- A jednak - powiedział nieśmiało - wolałbym, żeby naszym wodzem zgodził się zostać pan baron...

- Ja też - szepnęła ledwo dosłyszalnie.

Tymczasem Waław zaprowadził gości do swojej komnaty. Zajęli oba stołki przy stole, on zaś przysiadł na łóżku.

- Zechcą panowie wybaczyć brak wygód, ale bawię tu ledwie od wczoraj i sam jestem bardziej gościem niż gospodarzem.

- Nic to. - Kupiec machnął ręką lekceważąco. - To raczej my winniśmy wytłumaczyć najście. Zapewne zdziwiła waszmość pana ta maskarada?

- Spodziewam się otrzymać wyjaśnienie, brygadierze. Rzekomy „kupiec Martin” naprawdę nazywał się bowiem Michał

Ogiński¹. Sławny, mimo młodego wieku, kompozytor i muzyk, bawidamek i bywalec najwykwintniejszych warszawskich salonów, potomek jednego z najstarszych rodów książęcych. Waław poznał go na jakimś koncercie, lecz wątpił, by tamten zapamiętał go choć chwilę dłużej, niż trwała prezentacja. Dlatego z trudem rozpoznał w nim kupca, który na domiar mienił się jego serdecznym przyjacielem. Niemniej, żywił do niego niekłamany szacunek, podczas insurekcji bowiem ten lekkoduch z bogatego i wpływowego rodu zaryzykował karierę i majątek dla dobra ojczyzny, i to wówczas, gdy wielu innych magnatów przyjęło wyczekującą postawę albo wręcz przyłączyło się do zdrajców. Ogiński zaś nie tylko własnym sumptem wystawił na Litwie brygadę, ale sam nią dowodził. Po klęsce zniknął, słusznie obawiając się represji ze strony Rosjan. A teraz objawił się nagle w zupełnie innej skórze.

- Oczywiście - odparł Ogiński skwapliwie. - Jednak wpierw rzuć pan okiem na to.

Podał Beneszowi list. List pochodził od stryja, a kończył się następująco: „Oddawcę tego pisma przyjmij jak najserdeczniej i spełnij jego wolę, o ile tylko będziesz zdolen to uczynić, ponieważ takie jest moje najusilniejsze pragnienie i z całego serca Cię o to molestuję”. Tu następował podpis, niewątpliwie autentyczny. Najciekawsze, że list posiadał kwietniową datę, a zatem Sebastian nie mógł mieć wówczas pewności, iż Wacław przyjmie jego propozycję i przybędzie do Dunajca, bo nawet mu jeszcze jej nie przedłożył.

Powoli złożył pismo.

- Skąd waszmość znasz mego stryja?

- Poznaliśmy się łośńskiego roku w Wenecji - wyjaśnił Ogiński. - Może nie jest to panu wiadomym, że po insurekcji wielu naszych

Michał Kleofas Ogiński - słynny, przed Chopinem najwybitniejszy, kompozytor polski, autor popularnych mazurków i polonezów. Pod koniec 1796 r. jako kupiec Martin, wraz z płk. Deniską w roli pocziwego Joachima, woził z Paryża do Galicji instrukcje dotyczące wybuchu przygotowywanego powstania.

przebrało się właśnie tam. Brygadierzy Łaziński i Kołysko, panowie Wyszkowski, Sołtyk, Dmochowski, ów sławny literat co Iliadę Homera na polski przełożył, no i ja, żeby wymienić tylko niektórych. Dopiero całkiem niedawno przenieśliśmy się do Paryża, i to głównie za przyczyną pana Sebastiana. On bowiem dla naszej sprawy grosza nie poskąpił i w dużej mierze z jego środków powstała Deputacja...

- A cóż to takiego?

- Nie słyszałeś pan o Deputacji? Ani o Ajencji? - Z kolei zdziwił się kurier.

- Nie.

Zapukano i do komnaty weszła służka Anny, Hanka, przynosząc wino i ciasto. Kiedy wyszła, Ogiński poprosił „pocziwego Joachima”:

- Sprawdź, czy nie ma kogo pod drzwiami - po czym zwrócił się do Waclawa: - Ostrożności nigdy za wiele. Pan oczywiście znasz pułkownika?

- Miałem tę nieprzyjemność - odparł Waclaw sucho.

Ogiński udał, że tego nie słyszał, „pocziwy Joachim” zaś posłał Waclawowi krzywy uśmieszek i wyjrzał na zewnątrz.

- Pusto - rzekł, zamknął drzwi i rozparł się na krześle. Kiedy Waclaw rozlewał trunek, brygadier kontynuował:

- W tej chwili większość patriotów, po klęsce zmuszonych opuścić ojczyznę, znalazła się w Paryżu, który sprzyja naszej sprawie. Jak zwykle jednak, wśród Polaków nie ma zgody. Dlatego powstały dwa obozy, dość sobie niechętne. Ajencja skupia konserwatystów. Zabiegają oni o pomoc Francji i próbują układów z zaborcami. Boją się powstania w kraju, bo chcą Rzeczypospolitej na dawną modłę. Inaczej Deputacja. My chcemy reform i dlatego staramy się dotrzeć do ludu. Nie rezygnując z obcej pomocy, pragniemy wesprzeć wywołaną w kraju nową insurekcję. Za udział w niej proponujemy chłopom zrównanie wszystkich stanów i ziemię na własność.

Przerwał i chciwie wychylił puchar do dna, „pocziwy Joachim” poszedł w jego ślady, Waclaw zaś upił tylko trochę i rzucił podchwytiliwie:

- My?

Brygadier poważnie skinął głową.

- Jak pan się już zapewne domyśliłeś, jestem człowiekiem Deputacji. A także Centralizacji. Może ta nazwa coś waści mówi?

- A powinna?

Ogiński ciężko westchnął.

- Widzę, że waszmość przez ostatni czas w rzeczy samej daleko byłeś od spraw publicznych tak żywo nas, dawnych insurgentów, obchodzących. Zgromadzenie Centralne, częściej zwane Centralizacją, to patriotyczne sprzysiężenie, zawiązane w Krakowie w styczniu tego roku. Obecnie siedziba nasza znajduje się we Lwowie, organizacją zaś zawiaduje hrabia Walerian Dzieduszycki. Centralizacja utrzymuje stałą łączność z jakobinami w Paryżu, czyli z Deputacją.

Magnat jakobinem! Rzeczywiście coś się w Polsce zmieniło ostatnimi czasy, skoro zaszła taka przemiana, jednak Wacław był daleki od wyciągania z tego poważnych wniosków. Tymczasem agent ciągnął:

- Społem, krajowcy z Centralizacji i emigranci z Deputacji, chcemy wywołać powstanie, z pomocą Francuzów lub bez niej. Ale generał Bonaparte już bije Austriaków w północnej Italii, Ajencja zaś, z przybyłym niedawno do Paryża generałem Janem Henrykiem Dąbrowskim na czele, zabiega o zgodę na utworzenie legionów polskich we Francji. Gdyby ten zamiar się powiódł i nasi legionieści weszliby w głąb Austrii, wtedy my uczynimy w Galicji dywersję. Wszystkie oznaki wskazują, iż insurekcja powinna wybuchnąć na wiosnę przyszłego roku, czasu nie ma zatem za wiele...

Przerwał, znów się napił, otarł usta i kontynuował:

- Musimy jak najszybciej zebrać ochotników, wyćwiczyć ich i uzbroić. -

Wyliczał na palcach. - Od paru miesięcy nasi kurierzy krążą między Paryżem a Lwowem, wymieniając instrukcje i rozkazy. To niebezpieczna robota, dlatego używamy imionisk¹.

Imioniska - pseudonimy.

Ja dla przykładu występuję jako Martin, kupiec bławatny. Co więcej, mam najprawdziwszy ferman¹ turecki na to nazwisko, jako że Turcja skrycie popiera naszą sprawę. Dzięki dobrym papierom mogę przemierzać Austrię bez przeszkód. Nie pierwszy to raz przebieramy się z Joachimem na Wołyń. Ale najlepszym kurierem, niezrównanie wodzącym za nos Austriaków, jest pański dobry znajomy, „obywatel Wegetynowski”².

- Nie znam nikogo takiego.

- Bo to przecież imionisko, pod którym skrywa się Staszek Sołtyk!

Spojrzał tryumfująco na Waclawa, jakby oczekiwał jakiegoś wykrzyknika w rodzaju „doprawdy?” albo „niesłychane!”, zamiast tego Benesz spokojnie upił wina, po czym zapytał chłodno:

- Doprawdy, brygadierze, nie pojmuję, czemu wyjawia mi pan to wszystko. Czyż nie są to sprawy ściśle tajne? Chyba że zamierzacie odebrać ode mnie jakąś straszliwą przysięgę na zachowanie sekretu. A jeśli odmówię? Czy wówczas ten rzeźnik - wskazał „pocziwego Joachima” - ukręci mi łeb jak kurczakowi?

- Uczynię to z najwyższą rozkoszą, możesz być pewny. - „Pocziwy Joachim” wyszczerzył zęby w marzycielskim uśmiechu.

O ile w pierwszej chwili Waclaw nie poznał Ogińskiego, to jego „sługę” natychmiast. Nawet bowiem pośród roślących oficerów, a takich w polskim wojsku nie brakowało, pułkownik Joachim Denisko wyróżniał się posturą wielkoluda, o głowę innych przerastającego. Mimo czterdziestki na karku

wyglądał na młodzika. Lecz nie tylko to przyniosło mu rozgłos. Denisko, cieszący się zasłużoną opinią zabijaki pierwszej wody, podczas insurekcji dowodził brygadą na Wołyniu. Porywczy i ambitny ponad miarę, z powodu pieniactwa i zapalczywości często nadużywał zaufania przełożonych, podejrzewano go nawet o defraudację publicznych pieniędzy. Mimo wszystko żołnierzem był dobrym i odważnym, lecz Wacław go nie znosił,

Ferman (tur.) - paszport.

Wegetynowski, Weygtynowski lub Weigtynkowski - pseudonimy najśłynniejszego ówczesnego polskiego emisariusza, przypuszczalnie Stanisława Sołtyka.

z wzajemnością zresztą. Dziwił się, jak brygadier mógł kogoś takiego dobrać sobie do towarzystwa w tak delikatnej misji. Ciekawiło go czy Ogiński wiedział o ich wzajemnej animozji.

- Daj pokój, Joachimie! - zgasił zapędy podwładnego Ogiński i zwrócił się do Wacława z lekką przyganą w głosie: - Krzywdzisz nas, rotmistrzu. Nie mamy przed tobą tajemnic i nie zamierzamy ci grozić, ani do niczego cię przymuszać. Biłeś się dzielnie w insurekcji i ufamy w twoją dyskrecję. Zwłaszcza że poręczyli za nią i Sołtyk, i stryj waszmości.

- Ach! Czyżby kochany stryj znów chciał wyciągać kasztany z ognia cudzymi rękami, aby uspokoić swoje patriotyczne sumienie?

Tym razem agent się zirytował.

- Krzywdzisz pan także stryja - napomniał Benesza surowo. - Dźwiga on na swych barkach odpowiedzialność za los wielu ludzi, których życie od niego zależy, a poza tym stary już jest i do naszych spraw niezdatny. Lecz wcześniej, w Indiach, o czym waiści z pewnością doskonale wiadomo, w

słusznej sprawie krwi własnej nie skąpił. I nie wyrzucałbyś pan mu niecnym intencji w stosunku do swojej osoby, gdybyś widział, jak puchł z dumy, jakeśmy mu o twoich wojennych przewagach prawili...

I znów Waclawa zirytowało, że obcy ludzie więcej wiedzą o Sebastianie od niego. Dlaczego stryj z upodobaniem wplątywał go w rozmaite awantury, równocześnie nie chcąc mu nic wyjawić? Czuł się przez niego manipulowany i miał o to żal, ale mimo to zapytał:

- Czego ode mnie chcecie?

- Potrzebujemy ludzi pewnych i doświadczonych, w rzemiośle wojennym biegłych, którzy wolontariuszy sztuki wojennej nauczą. Chcemy, byś się do nas przyłączył - równie obcesowo postawił sprawę Ogiński.

- Jakbym już to gdzieś słyshał... - mruknął Benesz, po czym bez ogródek przedstawił swoje zdanie: - Nowa insurekcja nie ma żadnych widoków na powodzenie, ergo nie widzę sensu, by partycypować w podobnym szaleństwie, życie swoje i tych, którzy mi zawierzą, na szwank wystawiając. Brygadier zaprzeczył gorąco:

- Mylisz się. W samej tylko Galicji, wedle naszej rachuby, wciąż ukrywa się cztery tysiące eks-insurgentów, którym wszelako coraz trudniej uniknąć wykrycia, gdy wsie i miasta za przyczyną wojny z Francją wyludniają się z powodu asenterunku. Dodaj pan nowych ochotników, a ich liczba stale rośnie, i będziesz miał wcale niemałą siłę. Tylko trzeba działać ostrożnie, bo austriaccy i moskiewscy szpiedzy nie próżnują. Ale gdy Francuzi Bonapartego i nasi legioniści wbiją się z południa w samo serce Austrii, a my uderzymy z północy i wschodu, Austria rozpadnie się jak domek z kart! - Oczy lśniły mu entuzjazmem. - A potem przyjdzie kolej na Prusy i Moskwę, i... Witaj, jutrzeńko swobody!

Odetchnął i spojrział na Wacława pytająco.

- Piękny plan - stwierdził Benesz. - Tylko zbyt wiele w nim niewiadomych. Któż bowiem zagwarantuje, że Francuzi zechcą zaangażować się szczerze w naszą sprawę, gdy już wykorzystają nas do załatwienia swojej? A bez obcej pomocy powstanie musi upaść, wszyscy dobrze o tym wiemy. Już raz to przeżywaliśmy.

Ogiński westchnął.

- To prawda, gwarancji nie ma żadnej. Powiem nawet waści w sekrecie, że udało nam się dotrzeć do Naczelnika Kościuszki, który nadal cierpi moskiewską niewolę. On też powątpiewa w szczerść francuskich deklaracji i radzi czekać. A mimo to musimy wystawić się na hazard, bo lepsza okazja prędko się nie nadarzy. Jaka jest zatem pańska ostateczna odpowiedź?

Obaj spoglądali na Wacława w napięciu.

- Przykro mi, lecz muszę panów rozczarować. Moja odpowiedź brzmi: nie. Dość już się nawojowałem nadaremnie, a poza tym nie nadaję się do spiskowej roboty...

- Pan się nie nadajesz! - wpadł mu w słowo brygadier. - Dobrze sobie! To kto jak nie waszmość?

Denisko położył ciężką rękę na ramieniu Ogińskiego.

- Przestań, Michale, to daremny trud - powiedział pogardliwie. -

Ostrzegałem cię, że jedziemy tu po próżnicy. Pan rotmistrz podczas insurekcji prochu wiele się nie nawąchał, spokojniejszą służbę obierając, więc teraz tym bardziej do walki mu niespieszno. Pewnie już zagustował w roli hreczkosieja i posesjonata ze stryjowej łaski. Gdzie mu w głowie ojczyźnie służenie?

Zmrużył patrzące nienawistnie na Benesza oczy, wyraźnie go prowokując. Wacław zacisnął zęby.

- Może niewielem działał w powstaniu - syknął - ale przynajmniej trzymał ręce z dala od pułkowej kasy.

To właśnie on przywiózł Denisce list od Kościuszki, w którym Naczelnik wzywał pułkownika do wyjaśnienia sprawy zaginionych pieniędzy.

Wściekły i mocno podpity Denisko w obecności swych oficerów rzucił się na posłańca z dobytą szablą. Ogromna siła i wielki zasięg gorylich ramion nie na wiele mu się zdały, gdyż Wacław dość łatwo rozbroił go sztuczką, której nauczył się od Beli. Okryty śmiesznością Denisko nigdy mu tego nie wybaczył. Dlaczego zatem zgodził się przyjechać do Dunajca? Wacław czuł, że mściwy pułkownik knuł coś, z czego być może nawet Ogiński nie zdawał sobie sprawy.

Brygadier musiał mieć jednak mir u zapalczego watażki, bo i teraz jedno ostre spojrzenie wystarczyło, by Denisko oklapł, zamilkł i zwiesił głowę.

- Joachimie, sprawdź z łaski swojej, czy nie ma cię za drzwiami. A przy okazji dopilnuj, by nikt nie przeszkodził nam w dalszej rozmowie.

Nie patrząc na nikogo, niczym zbity pies, Denisko bez słowa wykonał polecenie.

- Zatem pańska odmowa jest ostateczna? - spytał Ogiński, bawiąc się pustym kielichem.

-Tak.

- Cóż... W takim razie krew tych, co niedługo zginą tu, pod waściny nos, na twoją spadnie głowę.

- Jak mam to rozumieć?

- Ano, jak nam wiadomo, zawiązało się w tych okolicach sprzysiężenie, które chętnie włączylibyśmy do Centralizacji...

- Przecież to jest Zamagurze! - przerwał mu Wacław. - Ta część Spiża nigdy nie należała do Rzeczypospolitej.

- I co z tego, skoro żyje tu wielu naszych rodaków, za połączenie z ojczyzną być się gotowych? Nigdzie nie powiedziano, że odrodzona Rzeczpospolita nie może objąć Zamagurza 1, a choćby i całego Spiża. Ale nie o tym chciałem pomówić z waszmością. Jest problem znacznie istotniejszy. O, widzę, że jednak zaciekałem pana? - Uśmiechnął się przebiegle.

- Owszem - przyznał Benesz niechętnie, myśląc o „bractwie złamanego pióra”.

- Tutejszy proboszcz, wielki patriota, bawił akurat w Krakowie, gdy ogłaszano akt konfederacji. Zaraz też pomyślał o zawiązaniu spisku w swojej parafii; że jednak sam nie miał w tej materii doświadczenia, poprosił o podesłanie mu sprawnego ajenta. Jednak dopiero wczesną wiosną mogliśmy spełnić jego życzenie. Niestety, ponieważ brak nam ludzi doświadczonych, ajent był młodzik, za to wielka gorączka. Wyruszył w te strony i tyle go widziano, nie wpłynął też do centrali żaden jego raport, mimo iż nasi ludzie mają obowiązek co miesiąc składać sprawozdania ze swoich postępów i dostarczać listę nowo zwerbowanych wolontariuszy. Pozwoli pan, zaschło mi w gardle...

Wysączył z flaszki resztę wina.

- Poślę po następną.

- Nie trzeba, już kończę. Z powodu nawału roboty wniknęliśmy w sprawę dopiero późnym latem. „Obywatel Wegetynowski”, czyli pański dobry

przyjaciół Sołtyk, przybył w te strony, pokręcił się i dyskretnie popytał tu i ówdzie. Dowiedział się w karczmie od pewnego podpitego chłopca, że w okolicy i owszem, działa sekretne

Skrawek Zamagurza wraz z Niedzicą i zamkiem dostał się Polsce po I wojnie światowej.

sprzysiężenie, którym kieruje, uważaj waść!, kobieta. Nie ona jednak jest dowódcą, tylko niejaki „towarzysz Brzozowicz”, którego wszakże nikt nigdy naocznie nie spotkał. Takie zaś właśnie imionisko nosił nasz kurier.

- Zatem?

- Ano, widzisz pan, Stachowi udało się zdybać na osobności owego księdza, który długo badał jego pełnomocnictwa, a potem ucieszył się, bo już myślał, żeśmy o nim zapomnieli. Słyszał to i owo o sprzysiężeniu i o dowódcy imieniem Brzozowicz, ale go nigdy nie widział. Trochę go to trapiło, tej nocy bowiem, gdy oczekiwał agenta, nad rzeką słychać było strzelaninę i rozeszła się wieść, że żołnierze zabili kogoś znacznego, więc ksiądz obawiał się, że chodziło właśnie o kuriera, jednak nie śmiał zbytnio wypytywać. Staszek też nie wszczynał śledztwa i natychmiast odjechał.

Domyślasz się pan dlaczego?

Wacław skinął głową. Twarz miał ściągniętą.

- Jak się nazywa ta kobieta, ów przywódca spiskowców? Ogiński rozłożył bezradnie ręce.

- Tego nie wiem. Ale jej i pozostałym grozi straszliwe niebezpieczeństwo, jeśli jest tak, jak podejrzewamy.

- To znaczy?

- To znaczy, jeśli nasz agent zginął, a Austriacy przechwycili jego papiery i podstawili kogoś za niego. Podejrzewamy prowokację, uważamy, że

rzekomy Brzozowicz zdążył już rozpracować tutejszą organizację i lada chwila posypią się aresztowania. Nic jednak nie poradzimy uczynić, nie narażając kolejnych kurierów, a na to nie możemy sobie pozwolić.

Niestety, tutejszych sprzysiężonych należy uznać za straconych, chyba że...

Wacław potarł spotniałe czoło.

- A więc już do tego doszło, mogłem się być spodziewać... - wymruczał do siebie. - Co miałbym robić? - skapitulował.

- Wiedziałem, że w końcu zdołam waszmość pana namówić do współpracy! - Rozpromienił się Ogiński. - Trzeba przeprowadzić dyskretne śledztwo. Oczywiście może być tak, że nasz człowiek, jak to młody, postanowił zostać bohaterem i pracować na własną rękę, ale jeśli nasze najgorsze obawy się potwierdzą, należy ostrzec spiskowców i w razie konieczności zlikwidować prowokatora. Zresztą co ja będę pana uczył, toż to robota jak dla waści stworzona. Natomiast potem...

- Niczego więcej nie obiecuję - zastrzegł Wacław stanowczo.

- Nie ma pośpiechu - zgodził się agent posłusznie. - Tak czy owak, musisz się pan spotkać z księdzem, on wybornie zna tutejsze stosunki i może być wielce użyteczny. To miejscowy proboszcz z Niedzicy, Michał Lorencs1. Został już uprzedzony i spodziewa się wizyty. Wylegitymuje mu się pan tym.

Zdjął but, odkręcił wydrażony obcas i wydobyl z niego złożony we czworo papier. Rozwinał go i powiedział:

- To jest instrukcja. Od czasu tej afery z „Brzozowiczem” jesteśmy ostrożniejsi i nie każdemu agentowi ją dajemy, tylko najzaufańszym. Jeśli chcesz pan wiedzieć - uśmiechnął się - „pocziwy Joachim” jej nie

posiada. Spójrz pan, na jakie nazwisko opiewa. Teraz sam diabeł się nie rozezna, który jest który. Nieźle pomyślane, co? - Ogiński cieszył się jak chłopiec, który sprawił dorosłym psikusa.

Wacław spojrział i zmartwił. Dla każdego innego w razie wpadki oznaczało to kłopoty, dla niego jednak było wyrokiem śmierci, ponieważ nawet najgłupszy sąd nie miałby problemów z powiązaniem pseudonimu z prawdziwym nazwiskiem agenta. Nie potrzebowałby żadnych innych dowodów.

- Brygadierze, pan znasz węgierski? - spytał nad podziw spokojnie.
- Nie - zdziwił się Ogiński. - A czemu pan pytasz?
- W takim razie komu zawdzięczam swoje imionisko?
- Joachimowi. Prawda, że sprytnie to wymyślił? Pańskie pojawienie się na scenie powinno zdenerwować fałszywego Brzozowicza. Może popełni jakiś błąd i uda się go zdemaskować bez trudu.

Gorący orędownik polskości na Spiszu.

- Może - odparł Wacław bez przekonania, składając papier i chowając do kieszeni.
- A wracając do instrukcji, uprawnia ona do werbowania ochotników w imieniu Centralizacji, więc strzeż jej pan jak źrenicy oka. Każdy agent ma związać przysięgą na akt konfederacji - o to się pan nie trap, ksiądz Lorencs dostał taki akt - trzy osoby, które pozna osobiście i będzie mógł za nie zaręczyć. Akt z podpisami zaprzysiężonych należy odesłać kurierem
- Staszek Sołtyk zjawi się tu niebawem - do Zgromadzenia, dołączywszy sprawozdanie z działalności. Potem przy pomocy owej trójki, z których każdy zaprzysięgnie kolejnych trzech i tak dalej, pan pokierujesz całą waszą organizacją. Będziecie werbować nowych członków, zbierać broń,

amunicję, szkolić się. I, broń Boże, nic nie zaczynać bez rozkazu, czekać na...

- Nie tak prędko - przerwał mu Benesz. - Nie zobowiązałem się do niczego oprócz wytropienia prowokatora!

- Oczywiście, oczywiście - skwapliwie potwierdził Ogiński - ale potem...

- Potem zobaczymy. Nie czynię tego z pobudek patriotycznych, tylko z najzupełniej prywatnych. Wielkie idee już mnie nie porywają. Chciałbym, żeby pan o tym wiedział, brygadierze.

- Pańskie pobudki są mi zgoła obojętne, rotmistrzu. Dla mnie liczy się skutek. A skoro wszystko już zostało powiedziane... - Agent podniósł się i wyciągnął rękę do Waclawa. - Na mnie czas. Naprawdę cieszę się, że mogę powitać pana w naszym bractwie. Wiedziałem, że nas nie zawiedziesz. Da Bóg, zobaczymy się w wolnym kraju.

Waclaw oddał uścisk, lecz nic nie odpowiedział. Wyszli na zewnątrz, gdzie przed drzwiami wartował Denisko.

- Coś długo kazałeś mi czekać - skrzywił się pułkownik.

- Za to załatwiłem sprawę. Nie kręcił się tu kto?

- A owszem. Najpierw mały o szczerzym pysku, a potem jeden taki, łysy i bez oka, przylazł i gapił się na mnie jak sroka w gnat. Nie dam. głowy, czym gdzie już go kiedyś nie spotkał, ale za diabła nie mogę sobie przypomnieć...

- To klucznik tutejszy. Dzięki za wybranie mi imioniska, pułkowniku - powiedział Benesz.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Wyszczrzył szyderczo zęby Denisko. - Ale, jak powiadają, najciemniej pod latarnią, więc może mi jeszcze kiedyś za to prawdziwie podziękujesz.

- Wątpię - odrzekł Wacław chłodno, chociaż w stwierdzeniu Deniski mogło być trochę racji.

Odprowadził ich na dolny zamek.

Domino

Przed odjazdem na dziedzińcu Ogiński jeszcze raz uściskał prawicę Wacława.

- Bywaj i kłaniaj się ode mnie swojej pani.

Denisko już siedział na koźle. Brygadier stawiał nogę na stopniu, gdy na krużganku pojawiła się Anna.

- Ejże! Ładnie to odjeżdżać bez pożegnania? - zawołała i zbiegła na dół.

Ogiński natychmiast ruszył jej naprzeciw, skwapliwie ujął wyciągniętą dłoń i obsypał pocałunkami.

- O wybaczenie upraszam najusilniej - sumitował się.

- Może jednak zje pan z nami obiad?

- Gdyby to ode mnie zależało, nawet do głowy by mi nie przyszło pozbawiać się tak miłego towarzystwa. Ale niestety, w naszych kupieckich interesach termin rzecz święta...

Z trudem oderwał się od zgrabnej rączki i wlaź pod płótno, po czym wynurzył się z dwoma zwojami tkaniny.

- Łap! - zawołał do Wacława, rzucił mu materiał i zwrócił się do dziewczyny: - Proszę przyjąć ten drobiazg na pamiątkę naszego spotkania.

Nie, nie, o odmowie nie chcę słyszeć. - Zamachał gwałtownie rękoma, widząc, że Anna otwiera usta, by zaprotestować. - Jeśli wyrządzi mi pani tę przykrość, to jako żywo, pozwę Wacława na udeptaną ziemię.

- No, to już po mnie. Ładny z ciebie przyjaciel - powiedział Benesz z

wyrzutem.

- Piękna - Anna pogładziła delikatną tkaninę błękitnej barwy - i w moim ulubionym kolorze, ale nie mogę jej przy...

- Ani słowa! - żywo przerwał jej Ogiński. - Nigdzie indziej pani takiej nie dostanie. Toż to najprzedniejsze angielskie sukno i turecki jedwab, czym, jak wiadomo - mrugnął porozumiewawczo - handlować w Austrii nie wolno. Widzi więc waćpanna, że po prostu chcę się pozbyć kłopotu.

Zamiast w chciwe łapy celników, niech przynajmniej idzie w dobre ręce. Z serca proszę...

Oczy jej się śmiały do pięknej materii i nie byłaby kobietą, gdyby umiała się dłużej opierać.

- W takim razie z serca przyjmuję.

- No, teraz mogę już uciekać z czystym sumieniem - wykrzyknął uradowany Ogiński, jeszcze raz porwał rękę dziewczyny, wycisnął na niej długi pocałunek, klepnął Wacława w ramię i wskoczył na kozioł. - Ruszaj! Wóz zaterkotał na bruku dziedzińca i zniknął w otwartej przez Cymera bramie.

- Miłych masz waszmość przyjaciół - stwierdziła Anna.

- Daję się lubić - odparł skromnie. - Tylko tutaj jakoś marnie mi idzie - poskarżył się.

- Bo kiepsko się pan starasz. Masz teraz okazję w jakiejś części to nadrobić.

- Zawsze do usług.

- Ponieważ ocaliłam cię od pojedynku z najlepszym druham, zatem odniesiesz to - wskazała materiał - do jadalni i dotrzymasz mi towarzystwa przy posiłku.

- Z przyjemnością.

Gdy zasiedli na krańcu ogromnego stołu, spytał:

- Znów tylko we dwoje? Pani mnie rozpieszczasz.

- Niestety ojciec Wincenty nie pojawił się, w czym nie ma nic ekstraordynaryjnego, czasami znika nawet na parę dni. A na jeszcze godniejszych biesiadników też musisz pan nieco zaczekać. Na domiar Hanka słabuje i posiłek sama przygotowałam. Jak widać, same nieszczęścia.

- Postaram się znieść to z godnością.

Pałaszował ze smakiem, ponieważ rzeczywiście zgłodniał, dziewczyna umiała gotować (co stwierdził z zadowoleniem, bo przecież w małżeństwie, nawet najbardziej kochającym, nie samym powietrzem się żyje), a poza tym nie spodziewał się zdażyć na wieczerzę i musiał się najeść na zapas. Anna jadła z umiarkowaniem i wyglądała, jakby ją coś dręczyło.

- Mam do waści prośbę - wyrzuciła w końcu z siebie.

- Zamieniam się w słuch.

- Proszę zapomnieć, o czym rozmawialiśmy pod dębem. Zrobił zdumioną minę.

- Pod jakim dębem? Rosną tu gdzieś dęby? Uśmiechnęła się nieznacznie i odprężyła.

- Za to zdradzę waści, gdzie stryj pański mógł przebywać przez te wszystkie lata, przed objawieniem się w Wenecji.

- Już to wiem. W Indiach, w każdym razie tak utrzymuje Martin, który spotkał go w Wenecji.

Mina jej się wydłużyła.

- Ach tak... A ja myślałam... Sądząc z opisu hrabiego Józefa, który regularnie śle do nas listy, panu Sebastianowi towarzyszą osobliwi ludzie, którzy patrzyli mi na peruwiańskich Inkasów, o których tyle się ostatnio mówiło z racji ich niedawnej nieudanej insurekcji. Szkoda, bo dużo o nich czytałam i chętnie obejrzałabym żywego Inkasa. Ale wiesz pan co? - W zielonych oczach błysnął płomyk podniecenia. - Czy to Peru, czy Indie Wschodnie, od razu przychodzą na myśl niezmiernie skarby... To tłumaczyłoby pochodzenie wielkiej fortuny właściciela stryjca! Moim zdaniem pan Sebastian znalazł ogromny skarb i chce się z nim zaszyć w Dunajcu! Ot co!

- Chyba w rzeczy samej doszedł do ogromnej fortuny, ale raczej w służbie jakiegoś radcy, a może, jak prawy nabab, wzbogacił się na handlu... - myślał na głos, studząc jej rozpaloną imaginację, bo historia z odnalezionym skarbem wydała mu się zbyt nieprawdopodobna, jakby żywcem wzięta z romansowej powieści. - Proszę nie czekać na mnie z wieczerzą, chyba wybiorę się na dłuższą przejażdżkę. „, Otarł usta i wstał.

Wróciwszy do siebie, rzucił się na łóżko i z rękami pod głową oddał się rozmyślaniam. Biorąc pod uwagę posiadane okruchy informacji, był coraz bardziej skłonny zgodzić się z rozumowaniem dziewczyny. Tajemnicze poczynania Sebastiana, chęć ukrycia się w Dunajcu, nawet zasadzenie się zbójców na Waclawa - to wszystko znalazło teraz logiczne uzasadnienie. Legendarne skarby, bez różnicy - Indii Wschodnich czy Zachodnich, to działało na wyobraźnię! Nawet jeśli nie odpowiadało prawdzie, nie miało to znaczenia - skarb istniał w umysłach wszystkich, którzy się z tą sprawą zetknęli. A za przyczyną wścibstwa i niedyskrecji starego Horwatha na

zamku aż o tym huczało. Po półgodzinie intensywnego dumania był już w stanie sformułować problemy, jakie stały przed nim w najbliższym czasie. Primo - rozbicie bandy Baczyńskiego. Niewątpliwie, dzięki swemu informatorowi na zamku, bandyci dowiedzieli się o skarbie i ostrzą sobie nań zęby. Niewykluczone, że porwawszy Wacława, zamierzali zmiękczyć Sebastiana i zmusić go do zapłacenia ogromnego okupu, w razie gdyby nie powiodło się bezpośrednie przejęcie skarbu. Usunięcie tego zagrożenia, aczkolwiek konieczne, wymagało trochę czasu, ale nie zapowiadało się na szczególnie trudne i nie było najpilniejsze. Secundo - wytropienie tajemniczych spiskowców, dybiących nie tylko na skarb, lecz także na życie Sebastiana i jego najbliższych. Czyżby Sebastian zabrał nie swoją własność, a może chodziło o coś zupełnie innego? Na razie nie miał żadnych szans na wyjaśnienie tej zagadki, w związku z czym dalsze nad tym deliberowanie było czystą stratą czasu. Jedyne, co mógł uczynić, to uważnie obserwować wszystkich i szukać w ich zachowaniu czegoś podejrzanego. Tertio - sprawa nieszczęsnego sprzysiężenia. Jeśli przypuszczenia agentów Centralizacji okazałyby się słuszne, a Wacław ku temu się skłaniał, wówczas Annie i pozostałym spiskowcom groziło straszliwe i rychłe niebezpieczeństwo. Ta sprawa nie mogła czekać. Należał do ludzi, którzy podjęte decyzje natychmiast wprowadzają w czyn. Nie oznaczało to, że działał pochopnie, wprost przeciwnie. Jako człowiek systematyczny lubił sobie wszystko przemyśleć i uporządkować, ale umiał też być elastyczny, jeśli rozwój wydarzeń go do tego zmusił.

Kiedy zatem zaplanował sobie, jak spędzi dzisiejszy wieczór, nie marudząc dłużej, zerwał się z łóżka, przebrał w strój podróżny, sprawdził

pistolety i zatknął je za pas, zabrał czekanik i lunetę. Zwiniętą pelerynę, którą wydobył z kufra, wsadził pod pachę i tak objuczony opuścił komnatę.

Był w znakomitym nastroju. Zawsze uwielbiał rozwiązywać zagadki, a niedawno odkrył w sobie talent tropiciela tajemnic i... ludzi. Wzorem dla niego stał się słynny Vidocq najpierw przestępca, a potem doskonały detektyw i organizator policji francuskiej. Niestety Benesz miał mniej szczęścia od Francuza i jego najwspanialsza w życiu przygoda trwała zaledwie pół roku. Klęska powstania ostatecznie przekreśliła marzenia Wacława o pracy w ukochanym fachu. Dlatego był niezmiernie rad, że stryj, zapewne nieświadomie, choć kto go tam wie?, dał mu tak ekscytujące zajęcie.

Jego pojawienie się w stajni wywołało entuzjazm zarówno Kuma, jak i Juraja. Ogier rżał radośnie i przebierał z niecierpliwości nogami, utrudniając pracę chłopcu stajennemu, który i bez tego miał kłopoty.

Trudno bowiem poświęcać się z wielkim zapałem pracy, w tym przypadku kulbaczeniu wierzchowca, z drugiej zaś strony wpatrywać się w swego bohatera cielecymi z zachwytu oczyma. Połechtany tym jawnym, choć niemym uwielbieniem, Wacław postanowił nie informować Cymera, że wiadro znów moczyło się w studni. Poklepał chłopca przyjaźnie po plecach i wyprowadził Kuma.

- Wasza miłość wybiera się gdzieś na dłużej? - zapytał Cymer, uczynnie otwierając bramę.

- Chcę lepiej poznać okolicę. Myślę, że do wieczora mi zejdzie.

- Proszę na siebie uważać, zwłaszcza po zmierzchu.

Francois Eugene Vidocq - galernik, a następnie sławny detektyw i dyrektor

policji paryskiej.

- Nie omieszka. Aha, Cymer... _ Tak?

- Niedokładnie ogoliłeś sobie dziś głowę.

Po raz pierwszy udało mu się wytrącić klucznika z równowagi.

Zarumieniony cerber przeciągnął zdrową ręką po nagim czerepie.

- Nic nie czuję... Jaśnie pan jest nad podziw spostrzegawczy.

- Dlaczego to robisz? - Waclaw zignorował komplement.

- Łysina dodaje powagi.

- I bardzo odmienia. Chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Czy wasza wielmożność daje do zrozumienia, że na przykład z moim okiem też może być nie tak, jak się wszystkim zdaje?

- A nie jest?

Klucznik bez wahania zerwał opaskę. Okropna, poblizniona rana w miejscu oka z pewnością nie była dziełem żadnej sprytnej sztuczki.

- Czy hak również mam zdjąć?

- Nie trzeba.

Cymer spoglądał za odjeżdżającym z tryumfującą miną, ale brwi miał zmarszczone, a ze zmrużonych oczu wзираło zamyślenie.

Za podjazdem Waclaw nie skręcił w gościniec prowadzący do wsi

Niedzica i dalej na południe. Wybrał wąski dukt wiodący obok dworskiego

spichlerza wprost na wzgórze Tabor. Minał masywną budowlę i podążył przez łąki w stronę lasu. W lesie droga rozdzieliła się na kilka ścieżek.

Skierował się w prawo i podążał jakiś czas grzbietem wzgórza, nim w

końcu zdecydował się zjechać na dół. Wybierał kierunek na chybił trafił,

lecz gdy las się skończył i ponad zaroślami zobaczył kościelną wieżę,

wiedział, iż wyczucie go nie zawiodło. Pas zarośli zdradził istnienie

strumienia, wzdłuż którego pojechał do wsi, wykorzystując krzaki jako osłonę. Nikogo nie napotkał i chyba jego też nikt nie zauważył. W ostatniej po drodze większej kępie zarośli zatrzymał się i wydobywszy lunetę, ułożył się wygodnie w trawie. Rozchylił gałęzie, czyniąc sobie w ten sposób dogodny punkt obserwacyjny, i metodycznie zaczął penetrować okolicę.

Miejsce nadawało się do tego znakomicie. Miał stąd jak na dłoni widok kościoła, dróg do niego prowadzących i pobliskich zabudowań. Po godzinie wiedział już, że umiałby poruszać się po wsi po ciemku i to z zawiązanymi oczyma. Po dwóch godzinach zdobył absolutną pewność, że ani kościół, ani stojąca obok plebania nie znajdują się pod obserwacją. Siebie, rzecz jasna, nie liczył. Nikt podejrzany nie kręcił się przy świątyni, żaden żebrak nie wystawał u wejścia. Jeśli Austriacy mieli wobec księdza jakieś podejrzenia, to albo dawno się ich wyzbyli, albo szpiegowali go sporadycznie. W to, że przegapił szpiega, nie wierzył, gdyż znał się na tej robocie i miał zaufanie do swoich umiejętności. W razie potrzeby mógłby tak leżeć i czekać cały dzień, teraz jednak nie zachodziła taka potrzeba, z czego był zadowolony, ponieważ zaczynało się ściemniać i powiało chłodem. Akurat gdy złożył i schował lunetę oraz wydobył i zarzucił na siebie pelerynę, dzwon na gotyckiej wieży zaczął wzywać wiernych na wieczorne nabożeństwo. Odczekał kwadrans, po czym zjechał do wsi w szybko zapadającym zmroku. Wyjechał na tyły kościoła i znalazł się na cmentarzu. Prawdopodobieństwo, że ktoś go tu wypatrzy o tej porze, było znikome. Do godziny duchów co prawda brakowało sporo czasu, ale wiedział, że przesądni tubylcy uważają cmentarze za miejsca nawiedzane przez duchy również poza porami ich zwykłego urzędowania. Przywiązał

Kuma do okazałej lipy, otulił się peleryną, nasunął kapelusz głęboko na oczy i czekał.

Wieczorne nabożeństwo dobiegło końca. Ucichły ostatnie dźwięki organów. Staruszek ksiądz podreptał do zakrystii, by rozdziać się z szat liturgicznych. Wierni powoli opuszczali świątynię. Najdłużej marudziły dwie starowiny, ale i one wreszcie sobie poszły, po nich obaj ministranci i kościół opustoszał. Ksiądz wyszedł z zakrystii z latarką w rękę i pogasił świece, których i tak niewiele oświetlało świątynię zgodnie z zalecającym oszczędność edyktem cesarza Jozefa II, który w reformatorskim i antyklerykalnym zapale obliczył także dokładnie, ile naraz może się palić świec na ołtarzu. Ksiądz

uśmiechnął się pod nosem z pobłażliwą wyrozumiałością, jak zawsze gdy myślał o tym, jak skądinąd niegłupiemu monarsze chciało się zajmować takimi głupstwami. Nie mógł się jednak przymusić, i gorąco za to Boga przeproszał, do modlitwy za duszę niedawno zmarłego cesarza, był on bowiem jednym z tych, którzy rozgrabili Polskę. Pobrzękując pękiem kluczy, skierował się do wyjścia.

Kiedy mijał nawet podczas mszy pogrążony w prawie całkowitych ciemnościach konfesjonał, nagle padło stamtąd pytanie, wypowiedziane półgłosem, lecz wyraźnie:

- Ksiądz proboszcz Michał Lorencs? Starzec wzdrygnął się, zaskoczony.
- To ja. A ty kto? Jeśliś zbój, to próżna twoja fatyga. Nic cennego nie mam.

Dzielnie usiłował ukryć przestach, zdradzał go tylko drżący bardziej niż zazwyczaj głos. Człowiek ukryty w konfesjonale pospieszył go uspokoić.

- Nie obawiaj się, nie jestem zbójcą. Chcę się wyspowiadać.

- Osobliwą porę sobie wybrałeś.
- Moja spowiedź też będzie ekstraordynaryjna.
- Nie mam stuły...
- Nie będzie potrzebna.

Zaintrygowany kapłan wszedł do konfesjonału, tak manewrując latarką, aby oświetliła zakratowane okienko, ale tajemniczy przybysz przewidział to i odsunął się do kąta. Ksiądz zdołał jedynie zobaczyć kapelusz nasunięty aż po brodę i rulon papieru wetknięty w kratę.

- Przeczytaj to, księżo.

Proboszcz posłusznie wyjął rulon i zbliżywszy go do światła, zabrał się do czytania.

- Chwała niech będzie Najwyższemu! - westchnął z ulgą, zwracając dokument. - Czekam na ciebie, synu, jak na zbawienie, odkąd obywatel Wegetynowski przed bodaj miesiącem uprzedził mnie o twym rychłym przybyciu. Tylko to imionisko... Przecież ponoć tak samo zwał się tamten, twój poprzednik...

- Ja sobie imienia nie wybierałem - odparł szorstko gość, wyczuwszy nieufność w głosie księdza.

- Pojmuję - zapewnił pospiesznie proboszcz, tak naprawdę niewiele rozumiejąc. - Nie gniewaj się, obywatelu... Ja wiem, że takiej instrukcji jak twoja lada komu nie dają, lecz uprzedzono mnie, iż okażesz jeszcze inny znak, po którym poznam niechybnie, żeś jest tym, za kogo się podajesz...

Przełknął głośno ślinę, jakby przestraszony swoim niedowiarstwem.

- Jaki znak? - zdziwił się przybysz.
- Pierścień z inskrypcją.
- Ach tak.

Wacław wydostał z kieszeni pierścień, który uprzednio tam schował właśnie dlatego, że uważał go za zbyt charakterystyczny. Trochę zły skonstatował, że emisariusze musieli być bardzo pewni, iż go skaptują, skoro ustalili z księdzem taki właśnie znak rozpoznawczy. Skąd, u licha, mieli tę pewność?! A co więcej, nie pomylili się w rachubach... Kręcąc głową nad swoją spolegliwością, która jak się okazuje, była już powszechnie znana i wykorzystywana, i zakładając pierścień na palec, powiedział bardziej surowym tonem, niż zamierzał:

- Zadowolony? To przejdźmy do rzeczy.
- Co chcesz wiedzieć, synu?
- Przede wszystkim co księdzu wiadomo o moim poprzedniku? Staruszek bezradnie rozłożył ręce.
- Nic. Nigdy go nie widziałem. Podobno był to młody chłopiec, dziecko jeszcze. Nawet wąs nie zaczął mu się sypać. Żal, gdy takie dzieci giną.
- Ergo ma ksiądz pewność, że zginął?
- No nie, pewności nie mam - zastanowił się kapłan. - Ale tej samej nocy, gdym oczekiwał jego wizyty, a zamieć szalała wtedy aż strach, pamiętam to dobrze, nad rzeką strzelanina była. Ludzie potem gadali, że dragoni kogoś ubili. Stąd mniemam, że może tego nieszczęśnika.
- Ale sprzysiężenie w okolicy zawiązane zostało?
- Niby tak... Choć nie zaraz. Minał dobry miesiąc, gdy zaczęły do mnie dochodzić jakieś słuchy o tym i owym. Nikt się już do mnie jednak nie zwrócił o pomoc lub chociażby radę - dokończył z żalem.
- Czy wedle księdza jest możliwe, iż ów agent, poprzedni Brzozowicz, stoi jednak na czele sprzysiężenia, tylko podlegać nikomu nie chce?
- Trudne pytanie - zafrasował się ksiądz. - Wykluczyć tego nie można, ja

wszakże wątpię. Taki chłopiec, przejęty swoją misją, nie postąpiłby chyba wbrew rozkazom.

- Czy to prawda, że wodzem tutejszych spiskowców jest kobieta?

Duchowny westchnął i przeżegnał się.

- Dokąd ten świat zmierza, skoro niewiasty za broń chwytają? Prawda i nieprawda.

- To znaczy?

- Dowodzi, i owszem, tylko że nad sobą ma kogo innego. Tak przynajmniej powiadają, bo nikt go na oczy nie widział. Wiadomo tylko, jak każe się nazywać.

- Towarzysz Brzozowicz?

- Właśnie.

- Ksiądz wie, co to oznacza, jeśli to nie ów chłopiec?

- Wiem - szepnął kapłan. - Obywatel Wegetynowski mi powiedział.

- Musi mi ksiądz pomóc wytropić tego człeka.

- Ale jak?

- A jak ksiądz się dowiedział o sprzysiężeniu? Przecież nikt księdzu się ponoć nie opowiadał?

- Moje oczy, synu, choć stare, dużo jeszcze widzą. - Uśmiechnął się pod nosem duchowny. - A poza tym księdzu ludzie zawsze coś powiedzą, choćby niechący. Jak, jak... - zawahał się.

- Jak na spowiedzi? Ksiądz kiwnął głową.

- Więc w czym problem?

- Tajemnica spowiedzi rzecz święta - odparł ksiądz surowo. - A poza tym nikt tego rzekomego Brzozowicza nie widział okrom owej niewiasty. Ona zaś go nie zdradzi, to rzecz pewna. Nawet nie warto

próbować. Znam ją dobrze. - Ugryzł się w język.

- Kto ona? - podchwycił Waław skwapliwie.

- Nie mogę powiedzieć. Zresztą to nie ma znaczenia.

- Chwilowo nie - zgodził się Benesz. - Jeśli jednak ksiądz mi nie pomoże, zanim wykryję, kto jest owym samozwańczym wodzem minie sporo czasu i może być za późno.

Starzec westchnął ciężko.

- Zobaczę, co się da zrobić. Przyjdź za parę dni, obywatelu. Waław podniósł się z klęczek i pchnął drzwi konfesjonału.

- Z Bogiem, księżu. Nie odprowadzaj mnie. Widzę w mroku jak kot.

- Bóg z tobą! - półgłosem zawołał pleban w ślad za cichnym odgłosem kroków, a usłyszawszy cichy stuk zamykanych drzwi, dodał: - Panie Waławie Beneszu de Berzeviczy, baronie de Dondangen.

Po czym zamknął kościół i wrócił do zakrystii, już od progu pytając:

- I co ty na to?

Panowała ciemność, choć oko wykol, mimo iż wieczór wcale nie był aż tak późny, gdy uchyliły się, lekko skrzypiąc, drzwi od zakrystii i jakiś człowiek wysliznął się na zewnątrz. Chwilę nasłuchiwał i usiłował przebić wzrokiem ciemności. Najwidoczniej uspokojony, zamknął za sobą drzwi na klucz i ruszył przed siebie. Nie uszedł daleko. Zaraz za węglem silna ręka ucapiła go za gardło i cisnęła o mur, aż napadniętemu dech zaparło.

- I kogóż my tu mamy? - zamruczał napastnik. - Bo, że nocnego Marka, to pewne. No, no, czyż to nie nasz muzykalny Śpiewak we własnej osobie? Czyżbyś, bratku, ćwiczył grę na organach po ciemku i po cichu? Pierwsze słyszę o takiej metodzie, ale człowiek uczy się wszak przez całe życie, nieprawdaż?

- Pan baron... - wystękał Śpiewak przez ściśniętą krtań.

_ Ładnie to podsłuchiwać? - zbeształ go Waclaw, puszczając jednak nieboraka, który, wciąż się krztusząc, masował zmaltretowane gardło.

_ Skąd wasza miłość wiedział? - zaciekawił się, gdy już mógł wydobyć z siebie głos.

_ Oj, kiepskie wydałbym świadectwo swoim profesorom od arytmetyki, gdybym rachując wychodzących z kościoła, pominął tak znaczną osobę jak organista. A i tobie pewnie byłoby przykro?

Z miny Śpiewaka wynikało, że bynajmniej go nie zachwyciła biegłość rachunkowa Benesza i wcale by się nie obraził za zlekceważenie swojej osoby.

- I jak, słyszałeś wszystko ze swojej kryjówki?

- Nie wszystko, ale ksiądz proboszcz dopowiedział mi resztę.

- A więc to ty jesteś uchem i okiem zacnego księżula w waszym bractwie?

- Ja - przyznał Śpiewak śmiało. - I wcale się tego nie wstydę.

Szczerszego patrioty od księdza Michała ze świecą szukać.

- Toteż nic ci nie wyrzucam. Ciekawym tylko, czy panie Rubinowskiej wiadomo o waszej konfidencji?

Chłop spuścił głowę.

- Nie. I upraszałbym waszą miłość, żeby tak zostało.

- Zgoda, od teraz wszystko, o czym sobie powiemy, zostanie między nami, i ciebie to też dotyczy, pojmujesz? Nawet na spowiedzi nie wolno ci pisać słówka.

Śpiewak potaknął. Waclaw rzucił okiem na księżyc, który wcześniej wyszedł na niebo i świecił całkiem jasno.

- Wracasz do domu? Doskonale, w takim razie pójdziemy razem. * rzez

las, bo po co mamy rzucać się w oczy na trakcie. Na pewno znasz najkrótszą drogę, więc poprowadzisz.

Podążyli rażno naprzód, ani razu nie błędząc, widać Śpiewak rzeczywiście znał drogę jak swoich dziesięć palców albo i lepiej. Bez oporów opowiedział Beneszowi o „bractwie złamanego pióra”. Nie było liczne, albowiem udało się zwerbować zaledwie piętnastu chłopów, a i to z wielkim trudem. W ocenie Śpiewaka ich wartość bojowa była dosyć kiepska, do walki palili się umiarkowanie, a powstanie pojmowali raczej jako dobrą okazję do rabunku i wyrównania rozmaitych krzywd, prawdziwych i urojonych. Śpiewak nie mówił o tym Annie, nie chcąc jej pogłębiać. Mniej więcej raz w tygodniu, pod okiem Śpiewaka, spiskowcy odbywali w lesie ćwiczenia. Ci, którzy parali się kłusownictwem, mieli trochę broni palnej, głównie flint myśliwskich i samopałów własnej roboty, znalazło się też kilka pistoletów. Śpiewak, doświadczony żołnierz, uczył ich musztry, ładowania i czyszczenia broni, celowania. Rzadko, z powodu braku prochu i wystawiwszy wprzód czujki, urządzano lekcje strzelania. Czasami uczestniczyła w nich Rubinowska. Jej przywództwo przyjmowano bez entuzjazmu i coraz mniej dawano wiary zapewnieniom, że faktycznym wodzem jest mężczyzna, który nie ujawnia się dla bezpieczeństwa swego i całego sprzysiężenia. Nieufność podwładnych powodowała rosnące rozgoryczenie dziewczyny, jednak Śpiewak miał absolutną pewność, że Anna nie wymyśliła sobie owego tajemniczego „towarzysza Brzozowicza”, chociaż nawet on nie domyślał się, kto to może być.

- Musisz się tego jak najprędzej dowiedzieć - przykazał mu Wacław. -
Ufam w twój rozsądek, którego najlepszym dowodem, żeś już pozbył się

pióra.

- Panience to się nie spodobało.

- Tego należało oczekiwać. Zatem już z nią rozmawiałeś? Musisz ją teraz wziąć pod włos, tak by przynajmniej zdradziła ci, jak tamten wygląda, stary jest czy młody.

- Ba, ale jak to zrobić?

- Swój rozum masz, nie będę cię uczył. Powiedz jej na przykład, że ludzie boją się, czy aby nie kieruje nimi jakiś nieopierzony młodzik. Zobaczymy, co odpowie.

- Dobrze.

- Jak dowiesz się czegoś pewnego, natychmiast mi melduj. I pamiętaj: o mnie ani słowa nikomu.

- Nawet panience?

_ Zwłaszcza jej.

Opuścili las. Przed nimi majaczyła czarna bryła spichlerza. _ Baczność! - powiedział Waclaw półgłosem, wstrzymując Kuma. , Tam ktoś jest. _

Gdzie? - spytał Śpiewak równie cicho.

- Przy lamusie. Blask księżyca odbił się od broni.

Śpiewak wytrzeszczył oczy aż do bólu, wgapiając się w ciemność przed sobą.

- Nic nie widzę... Może zdawało się waszej miłości?

- W takich sprawach nie myślę się nigdy. - Wydobył pistolety spod peleryny i jeden wręczył Śpiewakowi. - Masz, ja pojedę prosto i w prawo, ty spróbuj go zająć od drugiej strony.

Ruszył powoli naprzód, Śpiewak zaś skoczył w bok i zniknął w mroku.

Waclaw przygiął się w siodle, wiedząc, że to i tak niewiele mu pomoże.

Mógł wprawdzie tatarską modą zsunąć się na bok koński, ale w ten sposób ostrzegłby ukrywającego się, a nie chciał go przedwcześnie spłoszyć. Dopiero o rzut kamieniem od spichrza dał Kumowi ostrogę. Galopem okrążył budynek i wpadł na Śpiewaka. Chwilę mierzyli do siebie z pistoletów, po czym jednocześnie opuścili broń.

- Nikogo tu nie ma - odezwał się Śpiewak. Benesz zeskoczył z konia.
- Skrzesz ognia i chodź za mną - polecił Śpiewakowi.

Poszli do miejsca za węglem spichlerza, gdzie, jak się Waławowi zdawało, zobaczył odblask. Schylili się. W migocącym świetle niewielkiego, chronionego w dłoniach Śpiewaka płomyka ujrzeli wyraźne odciski stóp.

- Musiał tu czekać czas jakiś, dlatego odcisnęły się tak dokładnie - powiedział Waław. - Którędy poszedłeś do Niedzicy, traktem czy tędy?

- Tędy. To najkrótsza droga.

- Ja także tędy. Ktoś to widział i założył, że wracać będziemy tą samą drogą. Ciekawe na kogo dybał, na mnie czy na ciebie? A może na obu?

Popatrzyli sobie w oczy.

- Spójrz tu! - Waław jeszcze raz pochylił się nad tropem. - Widzisz?

- Nie, nic więcej nie widzę.

- Ta rysa w ziemi obok obcasa. To ślad ostrogi. Ale nie przybył tu konno, musiał zostawić wierzchowca gdzie indziej. - Szerokim gestem wskazał zadrzewiony i pogrążony w absolutnym mroku teren za jaśniejącą niedaleko wstęgą traktu. - Widać spostrzegł, że go zachodzimy, i szybko uciekł. Dlatego te odciski są głębsze od innych, bo biegnąc, mocniej wbijał w ziemię obcasy.

Czujnie rozglądając się wokół, zeszli tropem aż do gościńca, gdzie ślad się

urywał.

- To tyle, więcej się nie dowiemy o naszym przyjacielu, przynajmniej tym razem. Zresztą równie dobrze mógł to być zabłąkany podróżny. - Ale obaj w to nie wierzyli.

- W każdym razie nie był to wieśniak - rzekł Śpiewak. - My nie paradujemy w butach z ostrogami.

- Słuszna uwaga. - Co więcej, na zamku Waclaw też nie widział nikogo, komu potrzebne były buty do konnej jazdy, z wyjątkiem Leszczyńskiego i Anny oczywiście, lecz śladów pod spichrzem z pewnością nie pozostawiła kobieta. Były zbyt duże, Rubinowska zaś stopy miała równie zgrabne jak całą resztę. - Lepiej zatrzymaj pistolet, oddasz mi przy okazji. - Wyciągnął rękę na pożegnanie i uśmiechnął się. - Tylko, na Boga, nie daj się zabić. Będziesz mi jeszcze potrzebny.

- Postaram się - odparł Śpiewak, nieśmiało ujmując wyciągniętą dłoń.

Nagle księżyc zniknął zasłonięty przez chmury i zaczął siąpić deszcz. Waclaw owinał się szczelnie peleryną i niespiesznie ruszył do zamku. Ani śladu żywej duszy, choć przecież do nocy brakowało sporo czasu. Wokół panowała ciemność i cisza, nie licząc poszumu nasilającej się z każdą chwilą ulewy.

Mijał właśnie dąb Palocsayów, gdy zza drzewa wyłoniła się postać w dominie1, niczym ogromny nietoperz tarasując przejazd. Twarz intruza, i tak ledwo widoczną spod kaptura, dodatkowo zasłaniała czarna maska. W ręku nieznajomego błyszczała ciężka, chyba hiszpańska, szpada o ozdobnej, połączanej gardzie. Zapewne to jej odbłask widział Waclaw pod spichlerzem. A zatem to na niego czekał nieznajomy. Człowiek w masce ujął się pod bok lewą ręką, prawą zaś zatoczył łuk, zapraszając Benesza do

pojedyńku. Chcąc nie chcąc, Wacław zsiadł z wierzchowca, wyciągając szablę.

Kum cicho zarżał, jakby dodając swemu panu otuchy. Była mu bardzo potrzebna, niemal od razu bowiem zrozumiał, że ma przed sobą mistrza. Po kilku minutach stało się jasne, że człowiek w masce umie wszystko.

Raz bił się szybko, agresywnie, kąśliwie jak Włoch, nacierając w ulubionym przez Italczyków *attacco di ballestra*, czyli wypadzie z doskokiem. Za chwilę wykazywał się elegancją iście francuską, manipulując bronią samymi palcami niczym wirtuoz klawikordu klawiszami instrumentu, a w ataku wyciągając się jak struna

Domino - dawniej mnisi płaszcz z kapturem, potem strój maskaradowy o podobnym kroju, * także określenie osoby tak przebranej.

w pełnym gracji wypadzie *coup d'allonge*. Kiedy Wacław był już prawie pewien, że ma do czynienia z Francuzem, napastnik przybierał tak sztywną postawę, że wzbudziłby aplauz u samego mistrza Carranzy, współtwórcy dawno przebrzmiałej szkoły hiszpańskiej.

W innej sytuacji napawałby się taką maestrią, teraz jednak nie miał do tego głowy. Zgodnie z zaleceniem Angela starał się trzymać wysoką postawę, najwłaściwszą dla szablisty walczącego ze szpadzistą. Szpada bowiem jest bronią szybką, którą można zadawać błyskawiczne pchnięcia. Mniej stosowną do sztychów szablą można z kolei ciąć, najlepiej w nadgarstek przeciwnika, by ciosem na odlew zakończyć sprawę. Tyle prosta teoria, praktyka zwykle bywa o wiele bardziej skomplikowana.

W Korpusie Kadetów Wacława uważano za mistrza także w walce na szpady lub ćwiczebne florety, co uchodziło za wyższy stopień szermierczego wtajemniczenia i było praktykowane dopiero w starszych

klasach. W młodszych trenowano z upodobaniem palcaty, czyli walkę na owinięte słomą kije, wstęp do szermierki na szable, tradycyjną broń polskiej szlachty. Jako instruktor w obu broniach, Benesz cieszył się zasłużoną sławą i dlatego nikomu nie musiał udowadniać swego kunsztu w prawdziwych pojedynkach, których zresztą starannie unikał. Pamiętał bowiem ostrzeżenie Beli: „Każdy mistrz trafi w końcu na lepszego od siebie”. On nigdy kogoś takiego nie spotkał. Aż do teraz.

Pot wystąpił mu na czoło i mieszał się z kroplami nieustannie padającego dżdżu. Po raz pierwszy z tak bliska śmierć zaglądała mu w oczy. Było to doświadczenie nowe, przerażające do szpiku kości i odbierające chęć stawiania beznadziejnego oporu. Jeszcze walczył desperacko, ale tylko dlatego, że poddanie się nie leżało w jego naturze. Zasłona, zbiecie, krok w tył, unik, obrona, dwa kroki wstecz. Oparł się plecami o pień i zrozumiał, że cofać się nie ma już dokąd. Zmęczona ręka tylko instynktownie odbijała błyskawiczne ukąszenia szpady. Aż stało się, wytrącona szabla pofrunęła w ciemność. Oparł

Angelo - sławny teoretyk szermierki i twórca jej sportowego nurtu, autor głośnego dzieła z 1763 r. *UEcole des Armes*.

się ciężko o drzewo, czekając na ostateczny cios. Nie mogąc znieść udręki oczekiwania, zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, stał przy nim wierny Kum, po napastniku nie było śladu - rozplynął się w ciemności i strugach deszczu, jakby nigdy nie istniał. I choć wierzchowiec trącał go nosem niecierpliwie, Wacław jeszcze długo stał pod drzewem, pozwalając, by deszcz zmywał zeń pot i chłodził rozpalone czoło. Nigdy w życiu nie czuł się taki nagi i bezradny jak wtedy, gdy domino igrał z nim jak z dzieckiem. Potrzebował czasu, by dojść do

siebie i pokazać się ludziom.

Na drżących nogach postąpił wreszcie kilka kroków i podniósł leżącą w kałuży batorówkę¹. Mokry, zdruzgotany, wziął Kuma za uzdę i powłókł się do zamku.

Furtę otworzył mu Cymer.

- Nareszcie! - powitał go z ulgą w głosie. - Bo już się wszyscy niepokoiiliśmy o waszą miłość.

- Niepotrzebnie. Zapędziłem się trochę za daleko, i tyle. Przemokłem tylko do suchej nitki i marzę o łóżku, zajmiesz się moim wierzchowcem?

- Oczywiście. Jaśnie pan może być spokojny.

- Doskonale. Aha, czy nie wpuszczalesz przede mną kogoś za bramę? -

Podejrzliwie przyglądał się cerberowi, jednak nijak nie mógł się w nim dopatrzeć podobieństwa do domina.

- Nie - odparł klucznik ze zdumioną miną. - W taką pogodę wszyscy siedzą przy kominie.

- Racja.

Ktoś jednak oderwał się od kominka, by udzielić Waławowi bolesnej lekcji. Ale kto i po co to uczynił, tego Waław, człapiąc powoli na kwatere, w żaden sposób domyślić się nie mógł. Za to obawiał się, że jak dalej tak pójdzie, to dzień, w którym ktoś nie złoł mu skóry, zacznie uważać za wielkie święto.

Batorówka - szabla typu węgierskiego, modna w czasach króla Batorego, z wyjątkowo długim jelcem i bez gardy.

Asamble¹.

W nocy długo nie mógł zasnąć, przewracając się z boku na bok. Porażka z

dominem paliła go żywym ogniem. Robiło mu się niedobrze, z trudem łapał powietrze. Czegoś podobnego jeszcze nie przeżywał.

W końcu nie wytrzymał, ubrał się i zbiegł do stajni, dosiadł Kuma i pognał w mrok, gdzie oczy poniosą. Podczas szalonej galopady przez łąkę Kum zwałił się na ziemię, potknąwszy się na jakimś wykrocie, Waclaw zaś wyskoczył z siodła jak z procy i leciał, leciał, leciał... Swobodnie jak ptak. Upadł na plecy. Chciał wstać, lecz wtedy ktoś stanął nad nim w rozkroku. Domino! - Mało ci było jednego ostrzeżenia? - powiedział człowiek w masce bezlitosnym tonem. - Drugiego nie będzie. Przerażony Waclaw bezradnie przyglądał się, jak nieznajomy wydobywa szpadę. Złoto na rękojeści znów zabłysło w świetle księżyca, a potem ostrze opadło w dół po trzykroć. Waclaw poczuł ogromny ból, gdy żelazo wdzierało mu się w trzewia. Szarpnął się, lecz but oprawcy przygniatał go do ziemi. Chciał krzyknąć, lecz z ust dobyło się tylko rżenie...

Obudził się zlany potem. Pukano. Narzucił na siebie kubrak i uchylił drzwi. Stał za nimi Juraj z tacą w rękach.

- Mój jegomość, już po południu - bąknął chłopak. - Panienska to(| przysyła waszej wielmożności i o zdrowiu pyta. Waclaw odebrał posiłek.

Asamble (franc.) - przyjęcie.

_ Podziękuj paniencie i powiedz, że trochę niezdrów, ale do wieczora jakoś się pozbieram.

_ To dobrze, bo... - przerwał nagle i trzepnął się w usta.

_ Bo co?

_ E, nic, mnie gadać zakazano. - I czmychnął co sił w nogach.

Waclaw wzruszył ramionami i zamknął drzwi. Umył się, ubrał i zasiadł do śniadania, ale jedzenie nie chciało mu przejść przez gardło. Zmusił się do

przełknięcia paru kęsów i odsunął półmisek. Czuł się podle. Otworzył okno na oścież i zaczerpnął powietrza. Nic nie pomogło. Postanowił trochę pospacerować po dziedzińcu górnego zamku, z dala od ludzkich oczu. Ale samotność nie była mu dana. Ledwie wyszedł na zewnątrz, napatoczył się na obcego mężczyznę, który siedział na cembrowinie studni i od niechcienia machał nogą obutą w wytworny trzewik. Na widok Benesza zerwał się na równe nogi i złożył ceremonialny ukłon kapeluszem ozdobionym strusimi piórami zamiatając kurz z dziedzińca.

- Baron de Dondangen, jak mniemam? - spytał miłym głosem w nienagannej francuszczyźnie. - Jestem Charles de Colignac.

Wacław uścisnął podaną dłoń i uważnie ogarnął wzrokiem Francuza, starając się nie robić tego zbyt namolnie. Od pierwszego rzutu oka poczuł do przybysza irracjonalną niechęć. Zapewne sprawił to wygląd Francuza, albowiem był on wprost nieprzyzwoicie urodziwy. Delikatne arystokratyczne rysy twarzy ozdabiał zabójczy czarny wąsik, pięknie kontrastujący ze starannie uczesaną blond peruką i intensywnie błękitnymi oczyma. Uśmiechając się, odsłaniał nieskazitelnie białe zęby na tle smagłej cery. Zgrabną sylwetkę okrywał strój skrojony wedle najnowszej dworskiej mody. Spod perłowego fraczka, niczym morska piana, wydobywały się kaskady śnieżnobiałych koronek. Firecyk, pomyślał Wacław w pierwszej chwili, lecz potem dostrzegł szpadę i zmienił zdanie. Było to bowiem solidne żelazo do walki, a nie paradna szpadka, noszona zwykle przez podobnych strojnisiów. Jednak garda nie była złożona.

- Gaskończyk? - zmusił się do nawiązania konwersacji. Francuz rozpromienił się, jakby Benesz dokonał nadzwyczajnego odkrycia, a nie sugerował się nazwiskiem i charakterystycznym akcentem.

- Spod Biarritz.
- Miałem kiedyś przyjaciela, też pochodził z Gaskonii - wyjaśnił Waclaw, wstydząc się trochę swej francuszczyzny, która, choć biegła, akcent miała tak fatalny, że nie tylko paryżanina, ale nawet Gaskończyka mogła przyprawić o ból zębów.
- Zatem teraz masz pan okazję zdobyć drugiego - odparł dwornie Francuz, znów się kłaniając. - Zwłaszcza że jesteśmy sąsiadami. - Wskazał izbę położoną nad kazamatami.
- Miło mi - rzucił Waclaw zdawkowo.
- Pewnie dziwno waści, skąd się tu wziąłem - zagaił Gaskończyk. _ Otóż mam honor być zaliczonym w poczet przyjaciół pana hrabiego de Palocsy, ale polowanie mnie znudziło i przybyłem tu przed wszystkimi jeszcze wczorajszej nocy.

Waclaw drgnął, mimo iż zostało to powiedziane bez specjalnego nacisku.

- Lecz pozostałych tylko patrzeć - ciągnął Francuz. - Wieczorem zaś szykuje się asamble na pańską cześć. Och, pardon, zdaje się, że to miała być siurpryza... Wszystko zepsułem. Panna Rubinowska mi tego nie daruje...

Uśmiechnął się przepaszająco, ale oczy patrzyły chłodno.

- No, będę uciekał, zobaczymy się wieczorem. - Wyciągnął rękę na pożegnanie. - Aha - dodał, nie wypuszczając dłoni Waclawa. - Ponoć miał pan szczęście uratować mademoiselle z łap złoczyńców? Chwali ci się to, kawalerze, chwali. Ale doszło też do mnie, że jesteś waszmość z nią w wybornej konfidencji. Pragnę zatem powiadomić pana, że ja byłem pierwszy - ostatnie słowa powiedział z naciskiem, twardo patrząc Beneszowi w oczy. - Tuszę, iż dobrze się zrozumieliśmy, monsieur?

Ścisnął rękę Waclawa w swojej jak w imadle. Benesz spodziewał się tego po trosze, a i tak z trudem uniknął zmiążdżenia. Po chwili, gdy żaden nie mógł osiągnąć przewagi i obaj to pojęli, rozłączyli dłonie.

- I jak? - spytał Gaskończyk.

- Nie zależy mi na pierwszeństwie - odparł Waclaw, uśmiechając się niewinnie. - Powiedziano przecież, że ostatni będą pierwszymi. A co dopiero drudzy.

- No cóż. - Francuz wzruszył ramionami. - Tylko potem proszę nie mieć do mnie pretensji. Nigdy nie ostrzegam dwa razy.

Przytknął niedbale palce do kapelusza i oddalił się swobodnym krokiem.

Waclaw wrócił do swojej izby w znacznie lepszym humorze. Słowna potyczka dobrze mu zrobiła. Przede wszystkim wyjaśniła się wczorajsza napaść. Nie miał zupełnej pewności, ale dałby głowę, że to Colignac ukrywał się pod postacią domina. Powodowała nim zaś

zwyczajna zazdrość, której dziś zresztą specjalnie nie starał się ukryć.

Skoro zaś ujrzał w Waclawie rywala, jego postępy w awansach do Anny nie mogły być zbyt wielkie. I to go pocieszało. Gorzej, że Gaskończyk w każdej chwili mógł poprzeć swoje roszczenia za pomocą broni, co już zdążył zademonstrować. Wystarczyło publicznie sprowokować Benesza do pojedynku, tym razem prawdziwego. Wbrew pozorom Francuz był znacznie starszy, niż wyglądał. Waclaw dawał mu jakieś trzydzieści pięć lat, a to oznaczało, że doświadczeniem rywal też nad nim góruje.

Mimo to odzyskał rezon. Spałaszował śniadanie, po czym wygodnie wyciągnął się na łóżku i ułożył plan działania. Ponieważ z dziewczyny nie zamierzał zrezygnować, konfrontacja z Colignakiem była tylko kwestią czasu i należało się do niej solidnie przygotować. Dopiero teraz mógł na

zimno przeanalizować wczorajszy pojedynek i doszedł do całkiem pocieszających wniosków. Bez dwóch zdań, zaniedbał się. Od dwóch lat nie fechtował się ani razu i to musiało się odbić niekorzystnie na umiejętnościach. Nawet największy mistrz powinien stale utrzymywać dobrą dyspozycję. Z kondycją też nie wyglądało najlepiej. Męczył się zbyt szybko, by sprostać wymagającemu przeciwnikowi. Po prostu należało ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. Francuz przewyższał go rutyną, trudno, na to nic poradzić nie mógł. Ale już techniką Benesz mu nie ustępował. Odsuwał od siebie upartą myśl, że i techniką Gaskończyk nad nim góruje, czyli że po prostu jest lepszym szermierzem. Gdyby się z tym pogodził, nie miałby z nim żadnej szansy. A Bela przewróciłby się w grobie. Poza tym Waclaw nigdy nie godził się z klęską. Z porażkami tak, ale z klęską nigdy. I dlatego przyrzekł sobie do rozstrzygającego starcia przygotować się tak dobrze, jak to tylko będzie możliwe. Od razu kamień spadł mu z serca.

W tej chwili usłyszał rumor na dziedzińcu, stukot wielu podkutych butów i podniesione głosy. Zaintrygowany otworzył drzwi i zastygł, zaskoczony. Za drzwiami stało dwóch najpotężniejszych ludzi, jakich widział kiedykolwiek, Deniski nie wyłączając. Pułkownik był może nawet od nich trochę wyższy, ale masą ciała na pewno im ustępował. Waclawa przewyższali prawie o głowę, co może i nie było niczym niezwykłym, ale wydawali się jeszcze wyżsi z powodu wysokich czap, spod których spływały im na ramiona długie włosy, przy skroniach zaplecione w warkoczyki. Wężlaste mięśnie rozsadzały szwy szamerowanych kurtek, posiadaną bronią mogliby obdzielić kilku płatnerzy i rusznikarzy. Patrzyli zaś na Benesza tak łakomie, jakby

zastanawiali się tylko nad tym, czy pożreć go w całości, czy poćwiartować na sposobniejsze kawałki.

Gdy już całkiem na serio zaczął się niepokoić, zza pleców osiłków wysunął się o wiele drobniejszy mężczyzna, także odziany z węgierska, lecz znacznie dostatniej. Miał na sobie szamerowaną kurtkę z najprzedniejszego zielonego sukna i podobne spodnie z lampasami, wpuszczone w wysokie buty z wytłaczanej skóry. Z ramienia zwisała mu burka. Nonszalancka postawa i pewna siebie mina od razu zdradzały wielkiego pana, acz o pogodnym i życzliwym usposobieniu, o czym świadczył uśmiech, nieco jednak niepewny.

- Andrzej Horwath hrabia de Palocsy - przedstawił się przybysz. - Można? Wacław cofnął się od progu. Waligóra i Wyrwidąb wcisnęli się za swoim panem i od razu wypełnili sobą prawie całą komnatę.

- Chłopcy - zwrócił się do nich hrabia łagodnie - dajcie nam pooddychać i zostańcie za drzwiami.

Posłuchali bez szemrania, posłali tylko Beneszowi wymowne spojrzenia, które ostatecznie miały wybić mu z głowy niewczesną myśl o uczynieniu krzywdy hrabiemu. Po ich wyjściu Wacław miał wrażenie, że izba powiększyła się co najmniej dwukrotnie.

- To Imre i Geza, moje dwa wierne cienie - oznajmił hrabia z dumą. - Nigdzie się bez nich nie ruszam, a już zwłaszcza w tej zapowietrzanej okolicy. Gdybyś się waszmość wyprawiał gdzieś dalej, chętnie ich użyję.

- Dziękuję - wzdrygnął się Wacław - lecz lękałbym się ich pogłaskać w obawie, że odgryzą mi rękę. Jakoś sobie radzę.

- Słyszałem, słyszałem. Anna nachwalić się pana nie może, a ją niełatwo zadziwić.

Nie czekając na zaproszenie, hrabia przysunął sobie krzesło i wyciągnął nogi, zachęcając Benesza do naśladownictwa.

- Wybacz pan, ale trochę utrudzon, bośmy konie pospieszali, żeby za dnia do zamku ściągnąć. Kto to widział, żeby zbóje aż pod zamek podchodzić śmieli! Ale mówiłem Annie, że jej paru hajduków zostawię, to nie i nie. Uparta pannica, aż strach. Nie baczy, czy to bezpieczne, czy obyczajne, i postępuje po swojemu. Utrapienie, powiadam waszmości.

Masz pan siostrę?

- Nie.

- Toś szczęśliwy - westchnął Horwath z udanym żalem, lecz widać było, że do Anny ma stosunek prawdziwie braterski. - A jak pan znajdujesz zamek?

- Po zakończeniu akomodacji powinien nadać się stryjowi - odparł Wacław ostrożnie.

- To dobrze, bo oferta pana Sebastiana hojną jest nadzwyczajnie. Muszę jednak wyznać w zaufaniu, że chociaż bawię tu od niedawna, bo krótkich wizyt w dzieciństwie nawet nie pomnę, to polubiłem tę rudere.

- Nie chcesz pan chyba podważyć transakcji?

- A gdybym zechciał?

- Zdaje się, że ojciec pański i mój stryj są już po słowie, połowa umówionej sumy została uiszczona, a do nas obu należy jedynie dopilnować dopełnienia umowy - zauważył Wacław, który w razie nieprzewidzianych trudności miał wrócić do Krumłowa i tam czekać na stryja, co mu się w obecnej sytuacji wcale nie uśmiechało.

- To prawda, nie neguję. Posiadasz pan zapewne upoważnienie stryja do prowadzenia rozmów w tej sprawie? - spytał hrabia i dodał przepraszająco:

- Nie znamy się, a wolałbym mieć pewność.

Benesz naderwał podszewkę kubraka i wyjął małe zawiniątko. Rozwinął je i wy dostał połówkę dużej złotej monety, którą bez słowa położył na stole.

Popatrzył oczekująco na hrabiego. Ten sięgnął do kieszeni, wy dostał drugą połówkę i przyłożył do pierwszej. Pasowały

idealnie, tworząc na awersie starego weneckiego cekina wizerunek uskrzydłonego lwa świętego Marka, patrona Wenecji.

Dopiero teraz Horwath uśmiechnął się, podniósł z krzesła i wyciągnął rękę serdecznym gestem, wołając kordialnym tonem:

- Witaj w domu, baronie! Oczywiście, że zamek będzie do dyspozycji właściciela stryja, jak tylko uiszczy brakującą kwotę. Szkoda, żeby niszczał, lepiej niech idzie w dobre ręce. Kto wie? Może kiedyś odkupię go od pana Sebastiana albo od właściciela? A teraz pozostaje mi tylko zaprosić cię na wieczorne asamble, choć po prawdzie tyś tutaj gospodarzem.

- O nie! - zaprotestował Wacław, oddając uścisk. - Aż do przyjazdu stryja gospodarzem jesteś tylko pan.

- Niech i tak będzie - zgodził się Palocsay z zadowoleniem i podniósł z miejsca. - No, to nie przeszkadzam. Do wieczora!

Dopiero kiedy wyszedł, Wacław uświadomił sobie, że całą rozmowę prowadzili po polsku, widać hrabia już wiedział, że Benesz nie jest zbyt biegły w węgierskim. Podeszedł do stołu i zgarnął na dłoń obie połówki cekina, Horwath bowiem zapomniał zabrać swoją, po czym wrzucił je do kieszeni. I choć początkowo naśmiewał się z pomysłu obu starców, aby swoich przedstawicieli zaopatrzyć w znaki identyfikacyjne, musiał im przyznać rację. W ten sposób nikt przypadkowy nie mógł uchodzić za Wacława, a kto wie, jakie łośtrostwo planowała banda Baczyńskiego? Może

po ujęciu Benesza mieliby nawet czelność podstawić kogoś w jego miejsce?

Resztę czasu poświęcił na przygotowania do przyjęcia. Wielkiego wyboru, jeśli idzie o ubiór, nie miał. Wyciągnął z kuferka po prostu to, co było najczystsze i w miarę eleganckie. Atlasowego żupana w wiśniowym kolorze, pięknie odczyszczzonego przez Annę, na pewno nie musiał się wstydzić. Miał także cenny pas perski na wyjątkowe okazje trzymany, ale po namyśle wybrał jednak pas przeworski z naszytymi srebrnymi ogniwami i efektowną złożoną klamrą, a to dlatego, że posiadał ozdobne rapcie na szablę. Kołpak także jeszcze był niczego sobie, tylko kontusz pozostawiał najwięcej do życzenia - nie dość, że prosty, o wojskowym kroju, to na domiar mocno sfatygowany.

Ponieważ nic na to nie mógł poradzić, nie przejął się tym zbytnio. Wypucował tylko buty do połysku, umył się wyjątkowo starannie a jeszcze staranniejsze ogolił, i już był gotów.

Tym razem jadalnia była wreszcie wypełniona, ale Wacław nie czuł się onieśmielony. W swoim czasie bywał na przyjęciach, które zaszczycała obecnością najwyżsi dostojnicy Rzeczypospolitej, a nawet sam król Stanisław. Pierwszy raz za to stał się ośrodkiem powszechnej uwagi.

Wypytywano go o szczegóły przygody ze zbójnikami, ale ponieważ nie był zbyt wylewny i umniejszał swą rolę w wydarzeniach, jak tylko się dało, inicjatywę przejęła Anna. Opowiadała ze swadą, lecz nie zająknęła się nawet, że wzięła Benesza za jednego z porywaczy. Relacji dziewczyny słuchano z zapartym tchem, Wacława zaś obserwowano ukradkiem z taką samą uwagą, jak entomolog bada motyla przed nadzianiem go na szpilę. Z pewnością chciano sprawdzić przy okazji, czy wnuk krawca potrafi

posługiwać się nożem i widelcem równie sprawnie, jak jego dziad krawiecką igłą. Być może nie wszyscy, ale na pewno księżna Csaky, wyjątkowy okaz idiotki, nawet jak na przedstawicielkę arystokracji świeżego chowu.

- Prawda to, łaskawy panie - „łaskawy panie” zabrzmiało jak „mój dobry człowieku” - że dziad pański jest... eee... krawcem? - Grymas przy ostatnim słowie miał obecnym dać do zrozumienia, z jakim trudem przeszło jej ono przez gardło.

Księżna miała donośny głos, którego nie lubiła oszczędzać. Więc nawet gdy szepnęła do siedzącego obok Horwatha: „Dobry Boże, jakie to pospolite”, Benesz na drugim końcu stołu słyszał wszystko doskonale.

Uśmiechnął się czarująco. Przyzwyczał się już do podobnych uwag i nie robiły na nim wrażenia, bo zwykle wypowiadali je głupcy, a na nich szkoda mu było wyciągać szablę czy nawet język. Umiał z niego robić znacznie lepszy użytek, zwłaszcza gdy kogoś nie lubił.

- Bardzo dobrym krawcem, wasza wysokość - odparł. - Tradycja rękodzielnictwa w moim rodzie jest bardzo stara. Praszczur był, rzecz można, muratorem, a znów prapradziad pisarczykiem, ale nie chciałbym się chwalić ich zasługami.

- Nie bądź pan taki skromny - zganiała go księżna ze złośliwym uśmiechem na mocno wykarminowanych wargach. - Chętnie usłyszemy, co działali ci wybitni obywatele.

- Doprawdy, nic wielkiego. Ten pierwszy zbudował zamek Dunajec i parę innych należących do niego zamków i kościołów. A ten drugi, Martin de Berzeviczy, był sekretarzem króla Stefana Batorego i za zasługi w dyplomatyce otrzymał polski indygenat. Lecz w licytacji zasług przodków

chętnie oddam pole waszej wysokości.

Cios był zręczny i złośliwy, jak już bowiem zdążył się dowiedzieć od Anny, czcigodna księżna swoje wyniesienie ze znacznie niższego stanu zawdzięczała szaleństwu starego księcia, który w swej uprzejmości posunął się jeszcze dalej i raczył opuścić ten padół dwa lata po ślubie. Odtąd fertyczna i młoda jeszcze wdówka pełną garścią korzystała z uciech, jakie umożliwiała jej pozycja i fortuna męża, pracowicie uszczuplając jedno i drugie. Obecnie, będąc damą raczej wtórnej młodości, zagięła parol na młodego Horwatha, który odpierał jej umizgi z podziwu godną galanterią.

Teraz też, gdy pozostali biesiadnicy z trudem tłumili śmiech, a księżna poczerwieniała z konfuzji, hrabia poczuł się w obowiązku uratować sytuację i szybko zagadnął:

- Skoro zgadało się o historii, to nie od rzeczy będzie wspomnieć, że w tym właśnie miejscu, gdzie siedzimy, prawie przed pięciuset laty król węgierski Zygmunt zastawił polskiemu królowi Władysławowi trzynaście miast spiskich za sumę trzydziestu siedmiu tysięcy kop groszy praskich¹. Panem zamku był wtedy Piotr Schwartz de oerzeviczy. Dobrze mówię, panie baronie?

"kt zastawny istotnie podpisano w Niedzicy w 1412 r., lecz nie ma pewności, czy Zygmunt Luksemburski i Władysław Jagiełło uczynili to osobiście, choć często spotykali się właśnie na pogranicznym Spiszu; w wyniku umowy 16 (a nie 13) miast spiskich dostało się Polsce, Ponieważ Zygmunt nigdy ich nie wykupił.

- Zgadza się - potwierdził Benesz. - Z tym że rzecz musiała się odbyć na górnym zamku, dolnego bowiem jeszcze wówczas nie było.

Uraczeni dawką wiedzy historycznej biesiadnicy z ochotą zabrali się na powrót do pałaszowania, picia i rozmów prowadzonych w mniejszych grupach.

- Pięknieś pan przypiekl księżnej - szepnęła Anna do ucha Wacławowi.
- Trochę mi wstyd - wyznał. - To nie było zbyt dystyngowane.
- Daj pokój, należało się. Za pięć minut i tak nie będzie pamiętała, o czym była mowa. Spójrz pan tylko na tę skrywającą ptasi mózdzek imponującą fryzurę. Czyż jako żywo nie przypomina egipskiej piramidy?

Księżna nosiła nieco przestarzałe uczesanie typu „pouf”, modne w czasach nieszczęsnej Marii Antoniny. Fryzura zaiste udatnie imitowała zikkurat¹ skrzyżowany z wiszącymi ogrodami Semiramidy. Czegóż w nią nie powtykano! Od kwiatów, wstążek i strusich piór po wieniec ze sztucznych liści. Brakowało do kompletu jedynie fontanny lub palmy na czubku.

- Nigdy nie widziałem piramid. Doprawdy są aż tak wielkie? Parsknęła rozbawiona, co nie uszło uwagi Gaskończyka, który siedział po jej drugiej ręce.

- Co waćpannę tak rozbawiło? - spytał zazdrosnym tonem.

- Przez chwilę pożałowałam, że nie jesteśmy we Francji.

- A to czemu?

- Bo tam takie fryzury - wskazała oczyma obiekt swej niechęci - ścinają razem z głowami².

- Brr, lepiej mi pani nie przypominaj - wzdrygnął się. - Co do uczesania, zgoda. Z głową jednak nie ma żartów, sam cudem swoją cało uniosłem. - Musnął wypielegnowaną dłonią starannie uczesaną Zikkurat - świątynia babilońska w kształcie piramidy.

W 1789 r. we Francji wybuchła rewolucja, która pochłonęła wiele ofiar,

głównie spośród

szlachty; w 1793 r. zgilotynowano króla Ludwika XVI i królową Marie Antoninę.

i upudrowaną perukę. - Francja w dzisiejszej dobie nie jest najlepszym miejscem dla kobiet i mężczyzn a la modę1.

- Aż tak źle tej kokocie nie życzę - zmytygowała się. - Ale irytuje mnie, tak jawnie naprzykrzając się Andrzejowi.

- Zazdrość ludzka rzecz - skomentował kawaler sentencjonalnie.

- Wcale nie jestem zazdrosna - zachnęła się.

- Pan opuściłeś Francję z powodów politycznych? - wtrącił się Wacław.

- Można tak powiedzieć - potwierdził Gaskończyk. - Głównie zaś dlatego, że moi wierzyciele zrobili się nazbyt nachalni. - Zaśmiał się szelmowsko. - Ale nie żałuję, bom dzięki temu odnalazł tutaj swoją przystań.

Spojrzał Annie wymownie w oczy i nachyliwszy się ku jej dłoni, musnął ją wargami.

- Czyżby szło panu o okoliczne niewiasty, któreś owinął sobie dookoła palca, wyjąwszy ślepe i starowiny? - odparła złośliwie, ale nie cofnęła ręki, co nie uszło uwagi Benesza.

Pomarkotniał, lecz musiał przyznać, że Francuz umiał robić dobre wrażenie na kobietach. Elokwentny, dowcipny, swobodny, no i przede wszystkim diabelsko przystojny. Po raz pierwszy naprawdę był zazdrosny i czuł się w tej nowej roli dość nieswojo. Strzelanie do wrogów na wojnie wydało mu się o wiele łatwiejsze od zabiegania o kobiece względy.

- O czym to nasza młodzież tak zawzięcie deliberuje?

Siedzący naprzeciw Wacława stary pijar, ojciec Franciszek, miał zwyczaj wtrącać się do każdej rozmowy i wypowiadać swoje zdanie

autorytatywnym tonem, co raczej nie przysparzało mu sympatii. Nie znosił sprzeciwu, a podczas polemiki oczy płonęły mu inkwizytorskim ogniem. Trochę to dziwiło Benesza, wychowany bowiem przez pijarów nigdy nie spotkał wśród nich nikogo podobnego do ojca Franciszka. Również jego towarzysz, ksiądz Jan, nie przypominał typowego pijara.

A la modę (franc.) - modny.

Rubaszny, stale uśmiechnięty milczek, miał posturę niewiele ustępującą hajdukowi hrabiego, a łapska jeszcze od nich większe, ogromne jak bochny chleba. Trzeci pijar, ów chorowity, tradycyjnie był nieobecny. Wacław już otwierał usta, lecz uprzedził go Colignac:

- O wyższości sumy nad wieczornym nabożeństwem - burknął impertynencko.

Pijar zmarszczył groźnie brwi na takie grubiaństwo.

- Grzeszysz nieuprzejmością, kawalerze, już ci to nieraz mówiłem.

- Bo nie lubię przemądrzałych klechów, pater. Już ci to chyba mówiłem?

- Daj pokój, panie Karolu - mitygowała go Anna. - Cóż ci takiego uczynił ojciec Franciszek, że zawsze szukasz z nim zwady?

- Już ja dobrze znam tych agentów pana Boga - żołądkował się dalej

Gaskończyk. - Daj im palec, a owiną ci wokół niego duszę.

- No, pańską duszę to bez ochyby diabli porwą - odgryzł się pijar. - Czy ty w ogóle wierzysz w Boga, młody człowieku?

- „Jakżeby ten zegar mógł istnieć, gdyby nie było zegarmistrza?”

- Colignac zacytował modnego w wyższych sferach Woltera.

- „Gdyby Bóg nie istniał, trzeba by go wymyślić”. To Wolter, przyjacielu.

A skoro tak uważa filozof, jakże ja mógłbym nie wierzyć? Bądź więc o mnie spokojny, pater, i zajmij się swoimi sprawami.

Mocarny ojciec Jan zwinął swą ogromną lewą pięść, zginając w pół trzymaną w niej łyżkę, i pochylił się ku Francuzowi, lecz ojciec Franciszek położył mu dłoń na ramieniu uspokajającym gestem. Jednak, gdy się odezwał, czuć było, że panuje nad sobą z najwyższym trudem:

- Farmazon z ciebie i libertyn, mój panie, taki sam jak z twojego Woltera. Aż dziw, że akurat tobie Bóg pozwolił uniknąć gilotyny. Zaiste, niezbadane są jego wyroki - rzekł z gryzącą pogardą.

Colignac, lubiący mieć ostatnie zdanie, odparował z łatwością:

- Oto słowa prawdziwego chrześcijanina! Winszuję, pater. A teraz bądź tak łaskaw i wsadź swój wścibski nos do wina, zamiast wtrącać się w nie swoje sprawy.

Trzymający się z dala od kolegów po fachu misjonarz, który z właściwym sobie wyczuciem chwili na czas uczyty opuścił wiejską trzódkę, zachichotał i omal nie zachłysnął się niesionym właśnie do ust winem. Zwrócił tym na siebie uwagę Francuza, który najwidoczniej nie szukał sojuszników, a może po prostu był zatwardziałym antyklerykałem. Tak czy owak, w zrażaniu ludzi nie miał sobie równych.

- A tobie co tak wesoło, kaznodziejo? - warknął. - Mało kłopotów już narobiłeś? Ponoć bardzo ci żal kmiotków przymierających głodem?

Misjonarz niepewnie kiwnął głową, nie chcąc narażać się na gniew Francuza, ale ta ostrożność na niewiele mu się zdała.

- Więc czemu zamiast obżerać się za trzech - szydził prześladowca

- nie zaoszczędzisz trochę dla swoich potrzebujących owieczek? Ponieważ cios był celny, ojciec Wincenty nic nie odrzekł, spłukał

jedynie gorycz nauczki kielichem wina. W ich końcu stołu zapanowała nieprzyjemna cisza, a rządca Leszczyński i jego córka, siedzący do tej

pory cicho jak trusie, skurczyli się w sobie jeszcze bardziej.

- Dość tego, panie Karolu - rozgniewała się Anna. - Psujesz zabawę.

- Przepraszam, już nie będę - potulnie odparł Francuz. Przyciężką atmosferę rozładował wesoły głos hrabiego:

- Dość dysput, moi mili, bawmy się!

- Właśnie, drogi hrabio - zaszcebiotała kapryśnie księżna Gizella.

- Obiecałeś cygańską kapele i tańce!

- Owszem, lecz grajkowie popili się jak baki i kazałem ich wyrzucić na zbity pysk! - usprawiedliwiał się Horwath, nieco już podchmielony.

- I co teraz? - Gizella wydeła usta w podkówkę.

- Wypijmy! Zdrowie naszego najdystyngowańskiego gościa, jej książęcej mości, po raz pierwszy!

Baron von Jungenfeld, Prusak, który odkupił od Palocsayów część ich „państwa” i osiadł w Łapszach, porwał się na równe nogi

i z niejakim trudem utrzymując równowagę, zadysponował toast. Jak dotąd było to jego ulubione zajęcie i oddawał mu się z zapalem. Chociaż towarzystwo porozumiewało się po francusku, piło na polską modłę.

Jungenfeld spełnił więc toast na stojąco, a wszyscy razem z nim, po czym, kiedy już uhonorował w ten sposób obecnych, każdy wstawał i wznosił toasty za pozostałych, więc zanim krąg się zamknął i kolejka skończyła, biesiadnicy byli w znacznie lepszych humorach niż wprzód.

- Baronie - przymilnym tonem odezwała się księżna do Prusaka

- wiele słyszałam o twoim kunszcie szermierczym, może byś go zaprezentował?

Jungenfeld, który od początku bezwstydnie emablował księżnę, natychmiast przetrzeźwiał, wyczuwając doskonałą okazję do popisania się.

Co prawda sam był autorem opowieści o swych przewagach w fechtach, którymi raczył księżną tym obficie, że jako jedyna, nie licząc Benesza, nie miała jeszcze okazji widzieć go w akcji.

- Rozkaz! - zawołał z animuszem i poderwał się z krzesła.

- A z kim mam się bić?

Księżna przez chwilę udawała, że się zastanawia, wodząc oczyma po obecnych, po czym trzymanym w ręku wachlarzem wskazała Benesza.

- Pan baron de Dondangen oprócz wybitnych przodków ma także szablę u boku. Może zechce nam zaprezentować sławną polską szkołę fechtów? Wacław od dawna przypuszczał, że zechcą się zabawić jego kosztem, ale postanowił trochę się podroczyć.

- Przykro mi - rozłożył ręce przepaszającym gestem - ale nie pojedynkuję się z zasady.

Tu ich zaskoczył, chociaż akurat powiedział szczerą prawdę. W Warszawie jego niechęć do pojedynkowania się początkowo wywoływała nieprzychylnie komentarze braci oficerskiej, ale gdy dał się poznać jako fechtmistrz czternastej próby¹, nikt już go nie zaczepiał.

Czternastej próby - doskonały.

On zaś doskonale pamiętał jedną z nauk Beli: „Pojedynki są dla głupców. Tak zwany honor nie jest wart, by zań umierać albo zabijać innych”. Bela wiedział, co mówi, bo jak wyznał Wacławowi, na starość zaczęły go nawiedzać duchy zabitych przeciwników. Węgier zmarł, gdy Benesz przebywał na studiach w Warszawie, ale dziadek mu opowiadał, że męczył się straszliwie kilka dni, nie mógł spać, a skończył wrzeszcząc opętańczo.

Od tej pory Wacław zdecydowanie popierał przeciwników pojedynkowania się, którym przewodził nie byle kto, bo sam król

Poniatowski oraz wielki kanclerz litewski, książę Michał Czartoryski. Warszawa to jednak co innego niż prowincjonalny Spisz. Tutaj taka postawa była niezrozumiała i gorsząca, czego Benesz w pełni był świadom.

- Jak to? - wybąkał Jungenfeld osłupiały. - Pan odmawiasz? Wacławowi dużą przyjemność sprawiło obserwowanie głupiej miny

Prusaka, Jungenfeld bowiem od początku nie wzbudził jego sympatii.

Nalany, czerwonolicy, hałaśliwy i rubaszny, uniżony wobec księżnej i Horwatha, ale z góry patrzący na niżej w jego mniemaniu postawionych. Teraz zaś nie wiedział, co z sobą począć, bezradny, z peruką zabawnie przekrzywioną na jedno ucho.

- No tak - rzekł w końcu. - Teraz przynajmniej wiadomo, dlaczego Polacy przegrali wszystkie swoje wojny.

Ten i ów uśmiechnął się ukradkiem, Anna już otworzyła usta, lecz hrabia był szybszy.

- Fryderyku! - rzekł z naciskiem. - Natychmiast przeproś!

- Bez lejsów! - potulnie wymamrotał Jungenfeld. - Przecież idzie jedynie o trochę uciechy.

Rozległ się chór aprobujących pomruków.

- To prawda - poparł go hrabia i zwrócił się do Benesza: - Nikt tu nie nastaje na twoje życie, baronie, więc zrób nam tę uprzejmość.

I nie czekając na odpowiedź, zadysponował:

- Imre, florety dla panów!

Bez lejsów - bez urazy.

Olbrzymi hajduk podskoczył z bronią tak szybko, jakby spodziewał się takiego polecenia. Wacław z niepewną miną powoli odpiął szablę, zawiesił

ją na oparciu krzesła, po czym ociągając się, wyszedł na środek sali, gdzie już czekał Jungenfeld. Obu powitały brawa.

Hrabia sprawdził, czy ochronne gałki na czubkach ostrzy są dobrze umocowane, po czym wydał komendę:

- Bij!

Prusak natychmiast rzucił się na Polaka z takim animuszem, jakby walka odbywała się na serio. Ale rychło okazało się, że żaden z adwer sarzy nie jest w stanie wyrządzić drugiemu krzywdy. Publika pokładała się ze śmiechu, widząc zupełnie wyjątkowy pokaz obustronne nieudolności.

Minęło dobrych parę minut, a jeden drugiego nawet nie musnął, zdążyli za to strącić ze stołu karafkę i wywrócić świecznik. Co ostrożniejsi widzowie przesiedli się na drugą stronę stołu. Najbardziej cierpiało powietrze, niemiłosiernie sieczone i kłute szerokimi, sygnalizowanymi sztychami, a momentami wręcz ordynarną młócką, przypominającą raczej okładanie się cepami niż pokaz szermierki.

Towarzystwo bawiło się znakomicie i tylko Anna zagryzała wargi, rumieniąc się ze wstydu za rodaka, tym więcej że bardzo chciała, by pokonał Prusaka i wykazał wyższość polskiej szkoły fechtów. Była tak wściekła na Benesza, że już zapomniała, iż niedawno miała go za bohatera. Najchętniej w tej chwili wyparłaby się wszelkiej z nim znajomości, o wspólnej narodowości nie wspominając. Myśl, że Wacław w pojedynkę pokonał aż pięciu zbójników, teraz wydała jej się zupełnie niedorzeczna.

Francuz był jedynym, którego walka nie interesowała. Poświęcił jej zaledwie chwilę uwagi, po czym zajął się oglądaniem wyjętej z pochwy szabli Wacława.

- Piękna broń - rzekł do sąsiadki, wodząc palcem po złotej inskrypcji na głowni. - „Genoa” znaczy bez wątpienia, iż żelazo wykuto w Italii. Ale to?

- To batorówka - odparła Anna z roztargnieniem, pochłonięta widowiskiem. - „Stephanus Batori R.P.” znaczy: Stefan Batory król Polski, a Wilcze Kły na rysunku to jego herb. Ta szabla ma ponad dwieście lat i zapewne baron odziedziczył ją po owym Marcynie, który sekretarzował Batoremu. Broń piękna i owszem, lecz cóż z tego, gdy...

Nie! - jęknęła boleśnie, kiedy Wacław potknął się o własną nogę i wyłożył na posadzce jak długi. - Co za hańba! Ani bym pomyślała, że ujrzę szermierza gorszego od barona Fryderyka. Ci zbóje w Czerwonym Klasztorze chyba naprawdę pozabijali się sami! Salwa śmiechu po kolejnej kompromitacji obu rycerzy pograżyła dziewczynę w całkowitej rozpacz. Tymczasem Gaskończyk nawet się nie uśmiechnął, spojrział tylko na Annę spod oka i powiedział:

- Co do pocziwego Fryderyka, masz pani absolutną rację. Niewiele jednak wiesz o szermierce.

Obruszyła się, nieskromnie bowiem uważała się za prawdziwego eksperta w tym względzie.

- A to czemu?

- Bo patrzysz i nic nie widzisz.

- Widzę to, co wszyscy, a waść widzisz więcej?

- A ja widzę, że pan de Berzeviczy bawi się z lubym Fryderykiem jak kot z myszą, choć mógł go trafić najdalej w trzecim złożeniu. Ale przecież zobligowaliśmy go, by nas bawił, więc się stara, i to tak dobrze, że nikt go o grę nie podejrzewa.

Znów gruchnął śmiech, gdy pozornie nieporadne pchnięcie Wacława

zdarło Jungenfeldowi perukę, obnażając jajowatą, rdzawo nakrapianą czaszkę. Dopiero teraz Anna zauważyła, że choć Benesz cały czas był w defensywie, to Prusak ani razu nawet go nie dotknął.

- Teraz sama chyba już widzisz, madame - Colignac odgadł jej myśli - że to prawdziwy mistrz. Tylko długo nie robił użytku z broni i nieco zardzewiał. Ale wciąż jest groźny dla najlepszych.

- Czy i dla ciebie, monsieur? - spytała zaciekawiona, zupełnie straciwszy zainteresowanie pojedyńkiem. - Ponoć uchodzisz za niezwyciężonego.

Francuz uśmiechnął się nieco zarozumiale.

- Prawdą jest, że jeszcze nie przegrał żadnej walki.

- A wiele razy się pojedyńkował?

- Bo ja wiem... Sto, a może więcej. Nie liczyłem.

- Z jakim skutkiem? Zerknął na nią kpiąco.

- Zawsze z jednakim.

- To znaczy? - dociekała.

- To znaczy, że zabiłem wszystkich przeciwników. Ostatecznie po to sięga się po broń, czyż nie? - Schował batorówkę na powrót do pochwy i odwiesił na miejsce.

Anna nie odpowiedziała. Wyznanie Francuza przejęło ją chłodem, a przecież do tej pory, choć znała jego reputację, widziała w nim nie bezlitosnego zabójcę, lecz idealnego żołnierza, nieledwie dorównującego jej ojcu. Tajona siła i bezwzględność, które w nim instynktownie wyczuwała, pociągały ją. I to, że był taki przystojny, też miało znaczenie. Mimo że bliska zakochania się, spojrzała nań teraz innymi oczyma, to zaś, co zobaczyła i usłyszała, niezbyt jej się spodobało.

Dla odmiany przyjrzała się Beneszowi, który nadal z talentem odgrywał

rolę błazna. Przypomniała sobie, ile to już razy myliła się w jego ocenie. A wszystko dlatego, że lekceważył cudze opinie na swój temat. Miał w sobie jakąś przekorę, która najpierw ją irytowała. Teraz zaczynała go lepiej rozumieć.

Porównała w myślach obu mężczyzn i do niczego nie doszła. Wciąż nie miała pewności, lecz pan Karol już jej tak nie ekscytował. Kiedy pomyślała, jak była zazdrosna, gdy bezwstydnie emablował służące, a żadnej nie przepuścił, poczuła, że oblewa ją rumieniec wstydu. Dla niepoznaki udała, że pochłonęło ją widowisko.

Gaskończyk znał kobiety doskonale, a już w tak niedoświadczonych jak Anna czytał jak w otwartej księdze. Dotąd umizgiwał się do niej niejako rutynowo, bo nudził się piekielnie w tutejszej głuszy, a poza tym podniecała go jej niedostępność. Dlatego działał powoli, lecz końcowego powodzenia był pewny. Dziś po raz pierwszy stracił tę pewność, a to tylko podrażniło jego ambicję. Anna, której do tej pory nawet nie uważał za szczególną piękność, wartą wielkiego zachodu, raptem bardzo zyskała w jego oczach.

- Nie lękaj się mnie, pani - rzekł miękkiem głosem, przywołując na usta swój zniewalający uśmiech, który jeszcze nigdy go nie zawiódł w kontaktach z kobietami. - Walczę tylko z mężczyznami, niewiastom zawsze ulegam.

Przykrył jej dłoń swoją.

- Zauważyłam - odparła sucho i stanowczo uwolniła rękę. Nadal się uśmiechał, lecz ogarnął go zimny gniew. W ślad za dziewczyną obrócił wzrok na Wacława i w oczach zamigotały mu złe błyski.

Tymczasem walka przybrała nieoczekiwany obrót. Prusakowi,

przypadkiem czy celowo, spadła z klingi ochronna gałka, on zaś, albo tego nie zauważywszy, albo właśnie dlatego poczuwszy się pewniej, szalonym atakiem przyparł Polaka do cennego sekretarzyka i straszliwym pchnięciem z wypadu przyszpilił go do mebla, tak jak się nabija kurczaka na rożen.

Zapadła cisza. Anna zbladła.

- Trup! - jęknęła księżna ni to z trwogą, ni z rozkoszą. Pierwszy niepohamowanym śmiechem wybuchnął ojciec Wincenty, potem śmiali się już wszyscy. Niektórzy łapali się za brzuchy, a misjonarz z rozbawienia spadł w końcu ze stołka, co wzbudziło jeszcze większe salwy wesołości.

Floret przeszedł pod pachą Waclawa, nie czyniąc mu żadnej krzywdy, czego nie dało się powiedzieć o meblu.

- Przebóg, moja sekretera, dar Ojca Świętego! - ryknął boleśnie Horwath, który spostrzegł rozmiary zniszczenia dopiero wtedy, gdy przetarł załzawione od śmiechu oczy. - Cóżżeś uczynił, Fryderyku?!

Zmieszany Jungenfeld daremnie usiłował uwolnić biurko od wbitego głęboko narzędzia zniszczenia. Dzięki pomocy Benesza udało mu się to wreszcie, ale na brzegu jednej z niezliczonych szuflad pozostała brzydka rysa. Palocsay, wodząc po niej palcem, znów miał w oczach łzy, choć tym razem nie było mu do śmiechu.

Nikt jednak nie podzielał jego rozpacz. Powracających do stołu aktorów widowiska powitano wielkimi brawami. Najbardziej zachwycona ich popisami księżna jawnie to okazywała, więc Jungenfeld puszył się jak paw, uważając się za zwycięzcę. Zaraz też zaczął pocieszać Horwatha, co też, w miarę ubywania trunków, wkrótce mu się powiodło.

Skromnie usunąwszy się w cień, Wacław był zaskoczony miłym przyjęciem ze strony sąsiadki, albowiem spodziewał się raczej surowej krytyki. Sprawa się wyjaśniła, gdy szepnęła mu na ucho:

- Wiem, że mogłeś pan pokonać barona już w trzecim złożeniu.
- Doprawdy?
- Pan Karol mi powiedział.
- Ach tak. - Zerknął na Francuza, który uśmiechał się krzywo. - Pan de Colignac jest dla mnie zbyt łaskaw.
- Jak to?
- Mogłem pokonać barona najprędzej w czwartym złożeniu, bom ostatnio trochę zardzewiał.
- Pan Karol twierdzi to samo.
- Więc jednak zna się na rzeczy. - Ukłonił się lekko Gaskończykowi, który tego nie zauważył, zawłaszczony przez Jungenfelda, chełpiącego się swoim sukcesem i żywo gestykulującego.

Puchary krążyły coraz szybciej, służba uwijała się jak w ukropie, nawet Palocsay zdążył już utopić w winie swój żal z powodu uszkodzenia ulubionego mebla. Jungenfeld, najmniej trzeźwy z całego grona, przerwał dręczenie Francuza i zawołał z ochotą:

- W strych lać, w strych1! Zdrowie wszystkich!

Ledwo spełniono toast i służba od nowa napełniła szkła, gdy z kolei wstał hrabia, unosząc w górę swój kielich.

- Z kijów2, do dna, mili państwo! Za przyszłego właściciela zamku Dunajec i jego przytomnego tu plenipotentą, gościa po raz pierwszy u nas bawiącego, barona de Dondangena!

W strych - po brzegi.

Kije - wysokie i wąskie kielichy do spełniania toastów.

Za przykładem gospodarza roztrzaskano próżne kielichy o i tak zmalretowane ściany, a mający już bardzo w czubie Jungenfeld wrzasnął:

- Strzelajmy do korków! Dawać pistolety!

Strzelanie do damskich obcasów było dość popularne swego czasu w Polsce, skąd zapewne moda ta dotarła na pograniczny Spisz. W zabawie chodziło o wykazanie odwagi pań i celności oka panów, były to jednak dość ryzykowne igraszki. A ponieważ strzelać miał także pomysłodawca zawodów, panie stanowczo odmówiły udziału. Salomonowe rozwiązanie w postaci gaszenia świec zaproponował Wacław, który sam wymówił się od popisów.

Jungenfeld po raz drugi tego wieczoru nie zawiódł współbiesiadników. Chybiając o dobre pół łokcia od celu, omal nie wybił szyby w oknie. Po strzale Horwatha płomień świecy zachybotał, lecz nie zgasł. Dopiero Colignac pokazał prawdziwą maestrię. Najpierw zażyczył sobie trójramiennego świecznika i zwierciadła, po czym stojąc tyłem do celu i kierując się jedynie jego lustrzanym odbiciem, strzelił jakby od niechcienia. Kula zdmuchnęła wszystkie trzy płomyki, jakby kto knoty uciął nożem.

- Nie mówiłem!?! - puszył się Prusak, jakby to było jego dzieło. - Karolek to mistrz nad mistrze, równie wybornie strzela z fuzji i z kuszy, a i z kija by chyba poradził!

Kiedy Francuz odbierał zasłużone pochwały, a służba otwierała na oścież okna, by wypuścić dym, hrabia nieznacznym gestem dał znak swoim hajdukom, jak posągi wartującym u drzwi. Ci zaś, wykorzystując zamieszanie, przysunęli się do Benesza, chowając coś za plecami. Wacław

spozstrzegł ich w ostatniej chwili i nawet zdążył się jeszcze zdziwić, po co jednemu drewniana łopata do wyjmowania chleba z pieca, a drugiemu długi powróż i płócienny wór. Na dalsze zdziwienie nie miał czasu, ponieważ Horwath kiwnął głową i oba osiłki przystąpiły do działania. Jeden ścisnął ofiarę ramionami potężnymi jak konary, drugi zaś szybko zarzucił jej na głowę i ramiona worek oraz spętał niczym wielkanocną szynkę. Za czym zaniesiono Wacława na ławkę pod ścianą i rzucono na nią dość bezceremonialnie wśród chichotów rozbawionego towarzystwa. Oszołomiony, jak przez mgłę usłyszał głos hrabiego:

- Dobra, zostawcie go mnie!

Przez krótką chwilę miał w oczach irracjonalny obraz Horwatha szlachtującego go niczym prosiaka na oczach wielu świadków, lecz zaraz dowiedział się, do czego może posłużyć chlebowa łopata, a był to cel zgoła odmienny, niż mniemał dotąd w swojej niewiedzy. Spadły nań bowiem trzy dotkliwe razy, wymierzone dokładnie w to wrażliwe miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

Zaraz też zdjęto mu worek, a hrabia porwał go w ramiona.

- Witamy w Dunajcu, drogi baronie. Nie chowaj urazy, bo stary to obyczaj tutejszy¹, aby mili goście dobrze sobie w pamięci zakarbowali spędzone w zamku chwile. Każdy z przytomnych² też musiał przez to przejść, możesz zapytać.

Chichoty i potakiwania potwierdziły prawdę jego słów. Wacław, który właśnie próbował ostrożnie przysiąść na brzegu krzesła, poderwał się jak oparzony.

- Nie wiem jak inni - powiedział - ale ja z pewnością będę to długo pamiętał.

Śmiechem i gwarem powitano przyjęcie nowego członka do wesołej kompanii.

Polana w kominku dogasała. Słabnący żar nie był w stanie oświetlić twarzy zasiadających przy ogniu mężczyzn.

- I co o nim sądzicie?

- O bratanku starego? Nie musimy się go obawiać.

- Nie zgadzam się - wtrącił trzeci z rozmówców o miłym i dźwięcznym głosie. - To gracz, który nie lubi przedwcześnie ujawniać swoich atutów.

Rzeczywiście w taki sposób hrabia Andrzej witał nowych gości. Przytomni - tu: obecni.

- Dlaczego tak uważasz? - zaciekał się pierwszy, sądząc po głosie, najstarszy w tym gronie. - Dziś przecież pokazał się z nie najlepszej strony. Marniejszego szermierza od Prusaka ze świecą szukać.

- I to mnie właśnie niepokoi, że on chce, by go brać za żółtodzioba. A przecież bił się w tym ich powstaniu, wyniósł cało głowę ze spotkania ze zbrojcami i na dokładkę uratował Rubinowską. A poza tym czy stary ćwik przysłałby tu na przespiegi niedojdę?

- Hmm... Co zatem proponujecie?

- Skręcić mu kark, ale tak, żeby wyglądało na wypadek - wyrwał się posiadacz grubego i dudniącego głosu.

- Głupiś! - stwierdził pogardliwie trzeci. - Pierwszy bym go zgładził, ale jeśli młodemu coś się stanie, a stary się o tym dowie, wtedy tu nie zjedzie i znów będziemy go ścigać latami. Nie pamiętacie już, ile zachodu kosztowało nas, by poznać, dokąd się przebiera po opuszczeniu Wenecji? Gdyby stary de Palocsy mniej pił i miał krótszy ozór, nie czekalibyśmy teraz na nich w zasadzce, tylko do dziś dnia szukali wiatru w polu. A ty,

durniu, chcesz to wszystko zaprzepaścić?

- Racja - rzekł najstarszy, który prowadził rozmowę. - Zatem od tej chwili młody jest nietykalny, ale też nie wolno go spuszczać z oczu. Zrozumiano? Odpowiedziały mu potakujące pomruki.

- A co z naszym planem? Może lepiej spróbować ich dopaść gdzieś po drodze? Tu może być trudno - zauważył ten o grubym głosie.

- Dlaczego? Przecież nie będą się niczego spodziewać. Na tym polega cały dowcip - oczekują azylu, trafią do pułapki. Weźmiemy ich przez zaskoczenie - argumentował trzeci. - Poza tym odkąd opuścili Wenecję, przepadli jak kamień w wodę. Żaden z naszych szpiegów nie wpadł na ich trop, zupełnie jakby rozplłynęli się w powietrzu. Nie wiemy, którądy tu jadą i kiedy się zjawią, i pewnie do ostatniej chwili się nie dowiemy. Trzeba czekać.

- Jest jeszcze jeden problem - ciągnął drugi ponurym głosem. - Podśluchałem w karczmie rozmowę dwóch rzezimieszków. Zdaje Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

- Mało to w zamku spekuluje się na ten temat? Musiały go dojść jakieś pogłoski.

- Albo ma tu swego człowieka - wtrącił trzeci.

- I to być może - zgodził się drugi. - Dacie mi dokończyć?

- Mów - polecił pierwszy i zrobił gest, nakazując trzeciemu milczenie.

- Jeden z tych łotrów, którego drugi nazywał Łazarczykiem, jak się zdaje, jest zastępcą owego Baczyńskiego, ale obwinia herszta za ostatnie niepowodzenia i chyba miałby ochotę stanąć na czele bandy.

Przerwał dla lepszego efektu.

- I cóż z tego? - zdziwił się pierwszy.

- Nie pojmujecie? - drugi zdziwił się jeszcze bardziej. - To dla nas dobra okazja. I tak potrzebujemy ludzi do wykonania naszego planu, jakikolwiek on będzie. A ten Łazarczyk patrzy mi na głupca i chciwca. Gdybyśmy tylko zdołali go przekonać, aby obalił Baczyńskiego i wykonał za nas całą robotę, wystawienie go potem do wiatru byłoby fraszką...

Przez chwilę panowało milczenie. Pozostała dwójka rozważała propozycję.

- Jak dobrze posługujesz się tą ich dziwną mową? - spytał po namyśle starszy.

- Pojmuję już prawie wszystko, a dogadać się też poradzę. Zresztą, tyle tu rozmaitych nacji, że łatwo udawać kogokolwiek.

- Dobrze. W takim razie pokręć się dyskretnie, spróbuj odnaleźć tego La... Ła..., con mil diablos! co za imiona mają ci Polacy!'

Con mil diablos! (hiszp.) - do stu diabłów!

i urabiaj go, aby jadł nam z ręki, nawet o tym nie wiedząc. Tylko się pospiesz, bo czasu mamy niewiele. Bądź jednak ostrożny. A ty _ zwrócił się do najmłodszego - miej baczenie na młodego Berzeviczego, żeby nas czymś nie zaskoczył. I jeszcze jedno: odtąd spotykamy się rzadziej. Licho nie śpi.

Nagle najmłodszy coś usłyszał. Dał znak pozostałym, by rozmawiali dalej, a sam zaczął się skradać ku drzwiom. Chwilę nasłuchiwał, by gwałtownym szarpnięciem otworzyć drzwi i skoczyć za próg. Ale spóźnił się o sekundę. Na schodach rozległ się tupot nóg zbiegającego na dół na łeb na szyję uciekiniera. Posiadacz młodzieńczego głosu zamknął drzwi i wrócił do towarzyszy.

- Nawet jeśli coś posłyszał, to i tak nic nie zrozumiał - pocieszająco

stwierdził najstarszy, rozmawiano bowiem po hiszpańsku.

- Por Dios! Nie pojmujecie, że już samo to mogło mu się wydać wystarczająco dziwne? Ale mniejsza o to - zauważył najmłodszy. - Gorzej, że zastał nas razem i pewnie rozpoznał po głosach. Na szczęście - dodał pocieszająco - ja też go rozpoznałem.

- Cóż - westchnął przywódca. - Wolałbym tego uniknąć, ale nie mamy wyjścia... Wiecie, co zrobić?

Wstali. Któryś kopnął dogasający ogień. Ostatnie iskry niczym spłoszone świetliki uleciały w głąb komina. Jeden z konspiratorów wystawił ostrożnie głowę przez szparę, a dopiero gdy uznał, że nic im nie grozi, dał znak drugiemu i obaj na palcach opuścili komnatę. Trzeci zamknął za nimi drzwi.

Por Dios (hiszp.) - na Boga!

Zamach

Daj pokój, moja droga, i bez tego boli mnie głowa - jęknął hrabia, odsuwając od siebie ledwo napoczęte jedzenie.

Większość obecnych czuła się podobnie po wczorajszej zabawie, a księżna i Jungenfeld w ogóle nie pojawili się na i tak mocno spóźnionym śniadaniu.

- Chciałaś, żebym jobaggych1 wyposażył w kosy, więc je mają, a i tak do żniw używać nie chcą. Życzyłaś sobie, żeby sprowadzić kartofle, zgodziłem się, mimo iż ten, jak mu tam...

- Płodozmian - wpadła mu w słowo dziewczyna. - O pożytkach z niego płynących szeroko pisał ksiądz Kluk2, a zresztą owa metoda dobrze już się sprawdziła w Niemczech.

- A ja tam do niej przekonany nie jestem, Leszczyński też, a już chłopci najmniej, bo zewsząd narzekania słyszę. No, dałby mi papcio, jakby się dowiedział, jakie tu fanaberie pod jego nieobecność się dzieją! Ale idźmy dalej - zaczął wyliczać na palcach: - Pańszczyznę co rusz obniżam, czworaki porządne pobudowałem, nikt u mnie w lochach nie jęczy... Czego ty jeszcze ode mnie chcesz? Żeby choć twoje zabiegi dawały jakikolwiek skutek...

- Oczynszowanie zelarzy mogłoby zwiększyć pańskie dochody, hrabio - wtrącił ojciec Wincenty, dla wygłoszenia tej kwestii

Jobaggy (węg.) - chłop pańszczyźniany.

Jan Krzysztof Kluk (1739-1796) - autor podręczników do przyrody i rolnictwa, zalecanych przez Komisję Edukacji Narodowej, powstałe w czasach stanisławowskich pierwsze w świecie ministerstwo oświaty.

bohatersko zawieszając w pół drogi kielich z winem. - Po polskiej stronie Dunajca chłopów już przed laty na czynsze przeniesiono i dlatego tutejsi wieśniacy na tamten brzeg tak chętnie spozierają.

- A może ich od razu uwłaszczyć? Bzdury! - zirytował się Horwath. - Są na to zbyt ciemni. Już na drugi tydzień błagaliby mnie na klęczkach, żebym przywrócił pańszczyznę. Mam rację, baronie?

- Nie znam się na tym. Lecz słyszałem, iż kuzyn mój, Gregor de Berzeviczy, uwłaszczył swoich włościan i źle na tym nie wyszedł...

- zaczął Waclaw.

- Gregor! - przerwał mu hrabia obcesowo. - Z niego bardziej kupiec niż ziemianin. Stać go na eksperymenta.

- Niemniej, choć brak mi w tej materii rozeznania - ciągnął Benesz

- sądzę, że i wśród włościan bywają tacy, którzy na miano obywateli

zasługują i do rozumnego gospodarowania na swoim są zdolni. Dla pozostałych główną w tym przeszkodą, i tu zgadzam się z waszmością, jest ciemnota. Tedy trza im edukacji, co panna Rubinowska

- lekko skłonił się w jej kierunku - podnosi przy każdej okazji.

- Święte słowa - poparł go misjonarz trochę bełkotliwie, gdyż z zapalem ogryzał indyjskie udo i usta miał wypełnione.

Zielone oczy spoczęły na Wacławie z sympatią.

- Utrafiłeś pan w sedno - pochwaliła go Anna. - Czy wiesz, Andrzeju, że hrabia Dzieduszycki w swoich dobrach w Jaryszowie założył szkołę dla przypisańców i co roku dziesięciu najzdolniejszych uczniów uwalnia od pańszczyzny? Już w całej Galicji o tym głośno.

- Dzieduszycki? - spytał misjonarz. - Ten wielki polski patriota?

Słyszałem, że...

- Wystarczy! - uciął dyskusję hrabia. - Na szkołę dla zelarzy i tak pieniędzy nie mam i nie dam. I dość już o tym, bo przez wasze nudne gadanie jeść się odechciewa. Jejku - jęknął - głowa mi chyba pęknie.

Anna uśmiechnęła się przebiegle i wymieniła ze starym pijarem, ojcem Franciszkiem, konspiracyjne spojrzenie, co nie uszło uwagi Wacława.

- A co powiesz o Czerwonym Klasztorze? Pustką stoi, a na kolegium nadałby się w sam raz. Przyszło mi to do głowy, gdyśmy z panem baronem stamtąd uchodzili.

Wacław przypomniał sobie, jak zatrzymali się i dziewczyna długo spoglądała na niknący w oddali klasztor.

- Chcesz tam szkołę zakładać? - zdumiał się Palocsay. - Toż to rudera.

- Ale łatwo da się akomodować. A na dal, kto wie, może przyćmi sławą kolegium w Podolińcu, które podupada z roku na rok. I pomyśl tylko,

Andrzeju, jaki rozgłos przyniesie ci założenie nowej uczelni!

Benesz w skrytości ducha podziwiał spryt dziewczyny, która umiała walczyć o swoje.

- No, nie wiem... - Hrabia wahał się, ale widać było, że wizja przyszłej chwały w roli mecenasa oświaty mile polectała jego próżność. - Kiedy pomyślę, ile to będzie kosztować...

- Może wcale nie tak wiele - włączył się do dyskusji we właściwym momencie ojciec Franciszek. - Rozmawiałem o tym z panną Rubinowską i do spółki z bratem Janem sporządziliśmy pierwiastkowy obrachunek. Oczywiście trzeba jeszcze dokładnie zlustrować klasztor i porobić plany, ale już teraz można powiedzieć, iż rzecz jest wykonalna, i to stosunkowo niedużym ekspensem.

- Ojciec Franciszek obiecał mi, że na początek samotrzeć gotowi są prowadzić wykłady dla pierwszych studentów! I to bez wynagrodzenia, za sam wikt jedynie! - dodała Anna.

Pijar uroczyście potaknął.

- W razie potrzeby odroczymy wyjazd na parę miesięcy.

- Powoli - mitygował ich zapal Horwath. - Muszę się jeszcze zastanowić, a przede wszystkim zobaczyć rzetelne wyliczenia. Od pomysłu do dzieła daleka droga.

W połowie XIX w. w opuszczonym kolegium w Podolińcu pozostał sam rektor w charakterze stróża niszczonego gmachu.

- Ale nie odmawiasz? - upewniła się, po czym zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała. - Jesteś kochany!

- Już dobrze, dobrze, bo mi głowę oderwiesz, która i tak ledwie się trzyma - burczał zażenowany. - Przecież wiem, że wierciłabyś mi dziurę w

brzuchu przy każdym posiłku, dopóki nie postawiłabyś na swoim.

Anna klasnęła w dłonie.

- Mam pomysł! Urządzmy wycieczkę do Czerwonego Klasztoru!

Wszystkim przyda się trochę ruchu.

- Do tego gniazda złoczyńców?

- Ee, zbójcy na pewno się już stamtąd wynieśli.

- Jedźcie, jak chcecie, ale beze mnie - ustąpił hrabia. - Przydam wam paru hajduków do obrony.

- Kto z państwa wybiera się ze mną i ojcami? - zapytała Anna.

Odpowiedziało jej milczenie. Wacław nie miał ochoty po raz drugi

odwiedzać zrujnowanej budowli, zwłaszcza w towarzystwie

przemądrzałego pijara i jego mrukliwego konfratra, więc grzecznie się

wymówił, podobnie jak wyjątkowo tego dnia milczący i ponury Colignac

oraz misjonarz, znów wybierający się do wsi. Anna nie przejęła się

brakiem entuzjazmu z ich strony i razem z pijarami opuściła towarzystwo,

zaaferowana nową ideą, którą jak najszybciej chciała wprowadzić w czyn.

Wkrótce w jadalni zostali tylko hrabia z Beneszem.

- Wiesz pan co? - zagaił Horwath. - Na daleką wycieczkę nikt mnie dziś nie namówi, ale może przejechałbyś się ze mną nad rzekę poszukać plenerów?

- Pan malujesz?

- Trochę - odparł magnat skromnie. - Jeśli to pana cokolwiek ciekawi, zapraszam do siebie.

Komnata hrabiego, podobnie jak Anny, przez drzwi połączona była ze

świetlicą. Pokój urządzone siermiężnie i prowizorycznie, od innych

odróżniało go jedynie kilka akwarel i sztychów rozpiętych na ścianach i

sztalugi z rozpoczętym obrazem. Waclaw nie był znawcą sztuki, choć w szkole cieszył się renomą biegłego rysownika i miał okazje na żywo podziwiać kunszt Bacciarellego i Canaletta¹, lecz prace hrabiego naprawdę mu się spodobały i szczerze pochwalił rękę artysty. Szczególne wrażenie zrobił na nim widok zamku malowany z drugiego brzegu Dunajca². Horwath usiłował pomniejszyć swoje zdolności, ale nie zdołał ukryć, że pochwała sprawiła mu przyjemność.

- A, tu jesteście - powiedział Colignac, wchodząc do komnaty. - Wszędzie was szukałem.

- Stało się coś? - spytał hrabia.

- Sami zobaczcie. Zaintrygowani, poszli za nim. Zaprowadził ich aż na wieżę. Czekający tam Cymer, nic nie mówiąc, podniósł w górę rękę z hakiem. Podążyli za nią wzrokiem. W połowie półpiętra, na żelaznej sztabie, niegdyś podtrzymującej schody, był uwiązany sznur, a na nim wisiał Staszek. Język zwisał mu aż na piersi, w wytrzeszczonych oczach zastygło przerażenie.

- Zdejmij go jakoś - polecił Horwath klucznikowi.

- Pomogę ci - zadeklarował Waclaw.

Wdrapał się na pochylone plecy Cymera i odciął sznur. Ciało opadło na dół.

- Sztywny - zauważył Francuz. - Musiał tak wisieć od jakiegoś czasu.

- Jest dość ciepło, więc rigor mortis³ się opóźnił. Myślę, że umarł około północy - stwierdził Benesz, badając zwłoki.

- Znasz się pan na tym? - zaciekał się hrabia. -

- Trochę - odparł Waclaw wymijająco.

- Kto go znalazł? - spytał Colignac Cymera.

- Ja. Najpierw myślałem, że się gdzieś zawieruszył, bo często mu się zdarzało, lecz gdy wciąż się nie zjawiał, kazałem Jurajowi szukać na dolnym zamku, a sam przyszedłem na górę - wyjaśnił cerber.

Marcello Bacciarelli, Bernardo Belotto Canaletto - sławni malarze epoki stanisławowskiej.

Obraz ten zachował się do dziś.

Rigor mortis (łac.) - stężenie pośmiertne mięśni.

- Jak myślisz, dlaczego to uczynił? - zapytał Palocsay. Klucznik wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem? Na mój rozum chłopak był głupi, lecz nie aż tak, by targać się na żywot. Co za licho w niego wstąpiło?

- Pewnie zakochał się nieszczęśliwie, jak to młody - stwierdził hrabia bagatelizująco i polecił: - Weź ludzi, usuńcie dyskretnie zwłoki, żeby nasze panie się nie przestraszyły, i zajmij się pochówkiem. A na was, panowie - zwrócił się do Benesza i Colignaca - czekam na dole.

- Ja idę spać - obwieścił Francuz. - I nie ważcie się mnie budzić. Chyba żeby znów ktoś się powiesił. Najlepiej ten przemądrzały klecha, Franciszek.

- Przyjdę za chwilę - obiecał Waclaw.

Kiedy baron został sam z klucznikiem, zagadnął:

- Nie wiesz, czy chłopak miał wrogów?

Cymer spojrzał na Waclawa z błyskiem zrozumienia w jedynym oku.

- Też przyszło mi do głowy, że ktoś mu pomógł wyprawić się na tamten świat. Chłopak miał zwyczaj wtykać nos w nie swoje sprawy. Niedawno pater Wincenty przyłapał go w swojej komnacie na podkradaniu miedziaków z sakiewki. Uczynił larum, ale panience żal się zrobiło

huncwota i nie pozwoliła go wyrzucić, bo sierota, więc natarła mu tylko uszu i wymogła obietnicę poprawy. Nie był to przyjemny pachole, Panie świeć nad jego duszą...

- Ale użyteczny - zauważył Waclaw.

- Co jasnie pan przez to rozumie?

- Nie mów mi tylko, żeś nigdy nie korzystał z jego wścibstwa. Cymer uśmiechnął się półgębkiem.

- Zawsze dobrze wiedzieć, co w trawie piszczy. Ale nie znaczy to - zastrzegł szybko - żeś go zachęcał do myszkowania po wszystkich kątach lub szpiegowania kogokolwiek. On taki po prostu się urodził...

- I już się nie poprawi - stwierdził Waclaw, rzucając nieboszczykowi pożegnalne spojrzenie. Nie lubił go, lecz nagłej śmierci z pewnością mu nie życzył. - Ty zaś szepnij księdzu o naszych wątpliwościach niech biedak przynajmniej spocznie w poświęconej ziemi.

W drodze na dół zastanawiał się, jaka była przyczyna śmierci chłopaka. Bo że ciekawość, to pewne. Ale nie ona udusiła Staszka, a następnie zadzierzgnęła mu sznur na szyi, zawlokła do wieży i upozorowała samobójstwo. Waclaw nie miał wątpliwości, ponieważ na szyi trupa brakowało odcisków sznura, a to znaczyło, że został uduszony wcześniej i krew zdążyła już odpłynąć z głowy i szyi, kiedy go wieszano. A jak powiedział hrabiemu, znał się na tym trochę. Oprócz tego nigdzie nie było pieńka, sterty cegieł czy czegośkolwiek, z czego chłopak mógłby dosięgnąć pętli. Na dodatek sprawców musiało być dwóch, bo jeden, nawet wyjątkowo silny, chyba by sobie ze wszystkim nie poradził. Wbrew sugestii Cymera Waclaw nie podejrzewał ojca Wincentego - misjonarz prędzej posłużyłby się swą szpadą ukrytą w lasce. Cymer też raczej

odpadał - nie pozbywałby się użytecznego informatora, przynajmniej nie w tak spektakularny sposób, w razie potrzeby zgładziłby go po cichu i ukrył ciało. Poza tym nie zdradzałby swych wątpliwości co do samobójstwa, wprost przeciwnie. Tak czy owak, chłopak zobaczył i usłyszał coś, czego nie powinien, i przyplacił to śmiercią. Kto zaś go zabił, pozostawało zagadką. W każdym razie w zamku grasował morderca i dlatego Waclaw z nikim nie podzielił się swoim odkryciem. Dopóki bowiem obowiązywała wersja o samobójstwie pacholka, zbrodniarz miał prawo czuć się bezpieczny, a to zwiększało szansę jego zdemaskowania. Zszedł na dziedziniec dolnego zamku i dołączył do hrabiego. Czekali już na nich okulbaczone wierzchowce oraz Imre i Geza, dźwigający malarskie przyrządy. Przy zachodnim skrzydle pracowało tego dnia więcej robotników niż zazwyczaj. Hrabia był pogrążony w cichej rozmowie z jakimś człowiekiem nieznanym Waclawowi. Na widok Benesza odprawił rozmówcę, a ten natychmiast udał się w kierunku bramy.

- Leszczyńskiemu udało się ściągnąć paru następnych włóczykijów, za moją zgodą zresztą - wyjaśnił hrabia Waclawowi, wskazując robotników - abyśmy na pewno zdążyli z robotami przed przybyciem właściciela stryja. A propos, kiedy należy go oczekiwać? Waclaw rozłożył ręce.

- Tego dokładnie nie wiem. Tuszę, iż może na Wszystkich Świętych, przynajmniej taki termin mi podano.

- Oby, bo potem jesienne deszcze uczynią drogi nieprzejezdnymi aż do zimy.

Kum Benesza prezentował się dość niepozornie przy angloarabie pełnej krwi Horwatha i niewątpliwie ustępował mu szybkością, ale w biegu na

dłuższym dystansie nie dałby tamtemu żadnych szans, tego Wacław był pewny. Mieli właśnie zjechać ku rzece, gdy dostrzegł wychodzącego z ekonomówki Leszczyńskiego i zmienił plany.

- Tu pana opuszczę, hrabio - powiedział. - Doceniam zaproszenie, jednak wiem, że artyści nie lubią, gdy postronni przeszkadzają im w pracy.

- Jak wola - odparł Palocsay, rzeczywiście niespecjalnie zmartwiony, a wyglądało wręcz, że mu to dogadzało.

Leszczyński był w połowie drogi do osady zelarzy, gdy Wacław dogonił go i zagadnął:

- Czołem waszmości!

- Czołem - odparł rządca zgaszonym tonem i przystanął.

- Pamiętasz pan o naszej umowie? Ekonom potarł czoło.

- Niedokładnie - wyznał.

- Krótką masz pan pamięć. Obiecałeś mi pomoc w złapaniu Baczyńskiego i jego kompanów. Wiesz już coś?

Leszczyński pokręcił głową. Miał tragiczne spojrzenie zaszczutego zwierzęcia i winę wypisaną na czole.

- Daję waści trzy dni. Słyszysz pan? Za trzy dni chcę głowy Baczyńskiego.

Nie zważając na zrozpaczoną minę podstarościego i jego bezradnie zwieszane ramiona, Benesz zaciął konia i skręciwszy obok spichlerza, zaczął się wspinać na wzgórze Tabor.

Już jadąc na skróty do Niedzicy, wypatrzył w głębi lasu ustronną polanę, którą teraz postanowił wykorzystać. Ale wcześniej chciał coś sprawdzić. Zaciekawilo go, że odprawiony wcześniej rozmówca hrabiego czekał na niego u końca podjazdu i że razem udali się w stronę brodu. Przejechał

więc szybko na drugą stronę wzgórza i, schowany za krzakiem, skierował lunetę na rzekę. Czterech mężów czynnych na koniach zakończyło właśnie przeprawę i wspinało się na drugi brzeg. Na skraju lasu czekał na nich samotny jeździec. Nim wszyscy zdążyli zniknąć w zaroślach, Wacław zdołał go rozpoznać i aż gwizdnął ze zdumienia.

- Pan baron Gregor de Berzeviczy, no, no... - mruknął do siebie chowając lunetę i zawracając Kuma.

Kalwin i katolik, oficjalnie nieznoszący się nawzajem, spotykali się ukradkiem. Biorąc pod uwagę, że Berzeviczy nieraz na posiedzeniach parlamentu występował przeciw Habsburgom i był zdecydowanym zwolennikiem niepodległości Węgier, o czym wszyscy powszechnie wiedzieli, wróżyło to monarchii austriackiej nieliczne kłopoty... A Horwath okazał się większym węgierskim patriotą, niż Benesz przypuszczał, a przy tym skłonny do ryzyka i umiejący się doskonale maskować z poglądami, co było warte zapamiętania.

Trochę błędził, nim dotarł do celu, ale na miejscu stwierdził, że polana idealnie odpowiada jego potrzebom. Zaciszna, niezbyt duża, oddalona od ludzkich siedzib, z samotną sosną pośrodku. Rozkulbaczył Kuma, miał zamiar bowiem zabawić tu dłużej, i zabrał się do roboty. Obciął czekanem dolne gałęzie sosny, zostawiając jedynie solidny, poziomo rosnący konar. Potem wyciął młodego dębczaka, ociosał go i skrócił do dwóch łokci długości, a następnie ubił ziemię dookoła drzewa, udeptując w miarę twarde klepisko.

Zdjął kubrak, pozostając w samej koszuli. Stał pod przygotowanym konarem i podskoczywszy, złapał go oburącz, zawisając na gałęzi niby małpa. Przelotnie pomyślał, ile uciechy sprawiłby Annie tym widokiem, a

potem zaczął się podciągać aż do omdlenia ramion. Następnie, nie zważając na ból mięśni i zmęczenie, złapał dębczaka i stoczył z sosną wyimaginowany pojedynek, pokrywając korę setką blizn i szczerb dopóty, dopóki wyczerpanie nie wytrąciło mu „oreża” z dłoni. Specjalnie użył ciężkiego kija zamiast lżejszej szabli, chcąc przygotować ramiona do długotrwałej walki. Setnie znużony nie pozwolił sobie jednak na odpoczynek. Zarzuciwszy na kark siodło, co Kum powitał rzeniem pełnym zdumienia, obiegał wkoło polanę, nim półprzytomny padł wreszcie na ziemię jak kłoda. Leżąc na plecach i dysząc jak ryba wyjęta z wody, wydobyl z kieszeni zegarek i otarłszy pot z czoła, stwierdził z zaskoczeniem, że owe piekielne męki trwały niecałą godzinę. Zdecydowanie był w jeszcze gorszej kondycji, niż się spodziewał. Czekало go wiele trudu, by osiągnąć dawną dyspozycję, ale to go bynajmniej nie zniechęcało. Wszystko, do czego w życiu doszedł, choć nie było tego wiele, zawdzięczał przede wszystkim ciężkiej pracy i nie bał się jej. Postanowił, że odtąd będzie codziennie odwiedzał polanę i ćwiczył do upadłego. Wytrzymałość i siła, tego mu brakowało. Wierzył, że jeśli poprawi te elementy, znów żaden przeciwnik nie będzie mu straszny. Na razie miał dosyć. Zmył pot w pobliskim źródleku i dosiadłszy Kuma, pozwolił mu wybrać kierunek. Tym sposobem natknął się na stojącą po drugiej stronie wzgórza, ponad gościńcem, kapliczkę o osobliwym kształcie. Kiedyś zapewne dobrze widoczna od drogi, teraz zarośnięta chaszczami, sprawiała wrażenie zupełnie zapomnianej. Dość spora i murowana, miała ośmioboczną nawę i czworokątne prezbiterium, a całość krył gontowy dziurawy daszek. Spróbował wejść do środka, lecz drzwi były zabite na głucho. Przez szparę dostrzegł w głębi mały ołtarzyk z

jakimś obrazem.

Ponieważ nie miał zamiaru zjeżdżać do wsi, zawrócił i po kwadransie stał już pod spichlerzem, gdzie dwóch chłopów pod nadzorem Śpiewaka wyładowywało z wozu worki mąki przywiezione z młyna. Odciągnął eks-insurgenta na bok i rzekł:

- Dobrze, że cię widzę. Dowiedziałeś się czego?
- Nic dobrego. Uczyniłem, jak wasza miłość poradził, na co panienka wielce się obruszyła i rzekła: „Szalejuś się najadł, jeśli myślisz, że powierzyłabym los tylu ludzi jakiemuś młodzikowi! Bądź spokojny. Zaręczam ci, że towarzysz Brzozowicz to człek stateczny, godny zaufania i w sekretnej robocie wielce doświadczony. Powtórz to innym i wyzbądźcie się wszelkich obaw”.
- Tak powiedziała?
- Słowo w słowo, żebym tak zdrów był.
- No, to wszystko jasne.
- Co teraz zrobimy?
- Trzeba go znaleźć, i to szybko. Jeśli będziesz miał jakieś podejrzenia, natychmiast do mnie przyjdź. Ja ciebie też uwiadomię, jak tylko się czegoś dowiem. Musimy być przygotowani na najgorsze. Zapamiętaj, kiedy przyślę ci ten pierścień - pokazał powstańczą obrączkę - masz rzucić wszystko, zebrać ludzi, nie zwlekając, ukryć się w lasach i czekać do odwołania. Co zdarzy się potem, Bóg raczy wiedzieć.
- A co z panienką?
- Spróbuję ją uratować, jeśli to w ludzkiej mocy.

Dwa następne dni Waclaw spędził pracowicie. Używając rozmaitych wybiegów, wymykał się z zamku. Zresztą Anna najchętniej przebywała z

pijarami, całkowicie pochłonięta nowym pomysłem, hrabia i Prusak wynajdywali co rusz nowe rozrywki dla znudzonej księżnej, a Francuz snuł się po zamku markotny.

Tymczasem Benesz coraz więcej czasu spędzał na polanie, ćwicząc zapamiętane, po czym objeżdżał okolicę z nadzieją natrafienia na trop austriackiego agenta, lecz bez powodzenia. Miał pewne przypuszczenia, jednak brakowało mu dowodów, a nie potrafił przyłapać podejrzanego na gorącym uczynku, tamten grę pozorów opanował do perfekcji. Nikt, a już zwłaszcza Anna, nie uwierzyłby gołosłownym oskarżeniom Wacława, zdradziłby się tylko i naraził na śmieszność. Mógł tylko profilaktycznie zabić podejrzanego, ale nie potrafił mordować z zimną krwią.

W tej sytuacji postanowił najpierw rozprawić się z rozbójnikami.

Trzeciego dnia, po ćwiczeniach, uwiązał Kuma do ganku ekonomówki i zapukał do drzwi. Otworzył mu barczysty służący o zuchwałym spojrzeniu i prostackich manierach, którego nie widział za poprzedniej bytności u rządcy. Od razu poczuł doń antypatię.

- Pana nie ma w domu - burknął fagas i chciał zatrzaskać gościowi drzwi przed nosem, lecz Wacław zdążył zablokować je butem.

- Zaczekam - powiedział i pchnął drzwi ramieniem.

Sługa odsunął się nie dość szybko. Uderzony drzwiami, chwycił się za rozbity nos i wymamrotał znacznie już grzeczniejszym tonem:

- Pan jest, ale tak, jakby go nie było, bo spity jak bela. W tejże chwili z góry odezwała się Barbara:

- Łazarzu, kto przyszedł? Proś na górę!

- Tak jest! - odkrzyknął pachoł służbiście i zrobił przejście, mówiąc z przesadną uprzejmością: - Jaśnie pan pozwoli za mną, jaśnie panienska

oczekuje.

Na widok Benesza dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie.

- Pan baron... Wielceśmy radzi. Waclaw zdjął kapelusz i uklonił się.
- Jestem umówiony z ojcem waćpanny. Zarumieniła się.
- Niestety, ojciec... niezdrów.
- To bardzo źle - powiedział Waclaw poważnie. - Bo sprawa, w której przybywam, jest niecierpiącą zwłoki i nie będę ukrywał, przyszłość państwa od niej zawisła.

Rumieniec na jej twarzy ustąpił bladości.

- Ojciec mi nigdy nic nie mówi... - poskarżyła się - ale widzę, że od paru dni chodzi jak struty. A wczoraj, gdy mama trochę lepiej się poczuła, rozmawiali pół wieczora, a potem ojciec...

Z końca korytarza dobiegł słaby dźwięk dzwonka.

- To mama! Muszę do niej pójść. Proszę poczekać, migiem wrócę.

Czekał niedługo, ciężkim spojrzeniem zmusiwszy do rejterady Łazarza, który kręcił się w pobliżu i do odejścia najwyraźniej nie kwapił. Po paru minutach pojawiła się Barbara.

- Powiedziałam mamie o pańskiej wizycie. Mama prosi waćpana do siebie. To bardzo dziwne, bo od tygodni nikogo obcego nie przyjmuje... Błagam, niech jej pan długo nie męczy! Gdyby coś się działo, proszę zadzwonić. Będę w pobliżu.

- Nie wejdzie pani ze mną?

- Ona chce się z waćpanem rozmówić na osobności. - Dziewczyna była tym nie mniej zdziwiona od Benesza.

W zaciemnionym pokoju chorej poczuł się jak w grobowcu. W powietrzu unosił się duszny zapach lekarstw. I bez wiedzy medycznej można się było

zorientować, że Leszczyńską dzieli od śmierci godziny, najwyżej dni. Wychudzona ręka wysunęła się spod pościeli i przywołała go ledwo dostrzegalnym gestem. Pochylił się nad łóżem. Duże oczy w wymizerowanej twarzy spoglądały przytomnie, głos jednak był tak słaby, że musiał przybliżyć ucho niemal do splekanych warg, a i tak rozumiał tylko niektóre słowa.

- Akt ślubu... Czarno na białym... Miej litość dla niego... Proszę...

Zamknęła oczy, ręka opadła jej bezwładnie. Przestraszył się, że umarła. Ale przyłożywszy głowę do jej piersi, wyczuł oddech. Po prostu usnęła, wyczerpana. Nagle usłyszał szmer i w dwóch susach był przy drzwiach, otwierając je gwałtownie. Łazarz odskoczył od progu jak oparzony.

- Ja... Jaśnie panienka prosi do salonu - wyjąkał zmieszany. - Proszę za mną.

Idąc za sługusem, Waclaw zastanawiał się, jak długo tamten podsłuchiwał i ile zdołał usłyszeć. A także czy pojął z tego więcej od Benesza, który, szczerze mówiąc, nie zrozumiał nic.

Kosztując domowego ciasta i nalewki wiśniowej, przez kwadrans zabawiał gospodynię i udało mu się wywołać uśmiech na jej zatroskanej twarzy.

Zrobiło mu się szczerze żal dziewczyny i postanowił oszczędzić jej i całej rodzinie przykrości na tyle, na ile to możliwe. Wbrew pozorom nie był bowiem z natury bezlitosny, choć potrafił postępować bez skrupułów, jeśli sytuacja tego wymagała. Dostosowywał się do ludzi, z którymi miał do czynienia. Kiedy Barbara, trochę odprężona, poszła po kawę i zajrzeć do matki, podszedł do

okna wychodzącego na podwórze, które jak zwykle na Spiszu,

zabudowano w obronny czworobok i zamknięto solidnymi warownymi wrotami. W takiej twierdzy łatwo było odeprzeć atak zbuntowanego chłopstwa, bezpańskiego żołdactwa czy pospolitych rabusiów.

Nagle cofnął się w głąb pokoju, spostrzegłszy u furty wścibskiego sługę, perswadującego coś dwóm chłopom, którzy wyglądali na łotrów pierwszej wody. Nie dałby za to głowy, lecz jednego z nich chyba widział nad rzeką podczas zabójstwa studenta. Po chwili obaj wymknęli się na zewnątrz, Łazarz zaś wrócił do domu, po drodze badawczym spojrzeniem obrzucając okno, za którym ukrywał się Wacław. Ten zaś pogratulował sobie ostrożności. Nie wiedział, co knuł fagas o biblijnym imieniu, lecz niczego dobrego się po nim nie spodziewał.

- Ten Łazarz... - zagadnął Barbarę stawiającą na stole dwie filiżanki kawy.

- Nie widziałem go tu wcześniej. Jakoś nie patrzy mi nie tylko na przyjaciela Chrystusowego, ale czyjegokolwiek.

- To prawda. Nieprzyjemny człek. Wszędzie go pełno. Nie pojmuję, po co ojciec podnajał jego i paru jemu podobnych. I to przed zimą, gdy w gospodarstwie pracy niewiele, a roboty na zamku prawie na ukończeniu.

- Ergo bawia tu od niedawna?

- Od kilku dni zaledwie. Ja to się ich czasem boję, tak im z oczu wilkiem patrzy. A ten Łazarz ze wszystkich najgorszy. Brr... - wzdrygnęła się i dodała rozżalona: - Pewnego razu próbował mnie obłapiać, imaginujesz sobie waćpan?! W moim domu! Ojciec zaś nie daje nań złego słowa powiedzieć...

Wracając do zamku, miał o czym myśleć. Leszczyński znosił się z ciemnymi typami, to nie ulegało wątpliwości. Ale wątpić należało, by czynił to z własnej woli. A w takim razie dlaczego? Być może odpowiedź

skrywał ów akt ślubu, jeśli chora nie majaczyła. Należało to wyjaśnić jak najszybciej. Czy Łazarz był Baczyńskim? Raczej nie. Z całą pewnością był łotrem, lecz znacznie mniejszego kalibru niż osławiony watażka. Tak czy owak, Waclaw znalazł punkt zaczepienia i mógł zacząć działać, co wprawiło go w dobry nastrój.

Otwierając drzwi do kwatery, wyczuł zapach fajkowego dymu i natychmiast przypomniał sobie scenę ujrzaną na podwórku ekonomówki. Ucieszył się, że jego podejrzenia sprawdziły się tak szybko. Potężnym kopnięciem otworzył sobie drogę i z czekaniem gotowym do użycia wpadł do środka.

Zbój ukryty za drzwiami osuwał się po ścianie ze zmasakrowaną twarzą, wypuściwszy sztylet z bezwładnej dłoni. Drugi, ów znajomy znad rzeki, gapił się na kompana przerażonym wzrokiem, po czym cisnął w Waclawa ciupagą i nie czekając rezultatu, przemknął bokiem i wypadł na zewnątrz, jakby go goniła sama śmierć.

Jakoż i nie umknął przeznaczeniu, bo kiedy Benesz, uchyliwszy się przed ciosem, wybiegł za nim, pater Wincenty właśnie usiłował wydobyć z piersi zbira utkwioną tam po samą rękojeść swoją skrywaną w trzcince szpadę.

- Sam się nabił - usprawiedliwił się misjonarz, pozwalając ciału zsunąć się z brzeszczotu samym ciężarem. - Ja go chciałem tylko zatrzymać.

Bez ceregieli otarł skrwawione żelazo w koszulę bandyty i schował na powrót do laski.

- Szkoda - powiedział Waclaw. - Teraz nam już nic nie wyjawi.

- Nie musi. Toż to zbój od Baczyńskiego, od razu widać. Pewnie chciał cię ograbić pod nieobecność, a tyś go zaskoczył. Nie tak było?

- Pewnie tak - potwierdził Waclaw, któremu taka interpretacja bardzo

odpowiadała.

- A cóż tu się dzieje?

Kawaler de Colignac wyszedł zaspany ze swej izby i gwizdnął przeciągle na widok trupa.

- Kto zacz?

- Nie wiem - odparł Waclaw. - Złożył mi wizytę, ale zapomniał się przedstawić.

- Bardzoś pan surowy dla niewychowanych gości - zauważył Gaskończyk.

Pochylił się i fachowym okiem obejrzał nieboszczyka.

- Piękny sztych w samo serce - pochwalił. - Pierwszorzędna robota.

- Nie moja - skromnie zaznaczył Waclaw.

- A czyja?

- Moja - rzekł misjonarz ponuro.

- Pojmuję. Dobry duszpasterz własnoręcznie odsyła duszyczki do nieba.

Czym go pater tak gracko zaprawił, bo chyba nie brewiarzem?

Zakonnik poczerwieniał i już szykował się do repliki, lecz Waclaw przerwał rodzącą się kłótnię, mówiąc:

- Trzeba posłać po ludzi, by go stąd zabrali. I tego drugiego z mojej komnaty też.

- O, to jest i drugi trup? - przyjemnie zdziwił się pan Karol. - Bardzo pracowity dzień dziś macie, panowie. No, a tego kto wysłał do diabła? - Francuz nie mógł wyjść z podziwu, przyglądając się drugiemu trupowi.

- Ja - przyznał się Benesz.

- O, ja z pewnością nigdy waćpana nie najdę nieproszony. A czym go monsieur tak urządził, jeśli wolno wiedzieć?

- Drzwiami.

Colignac parsknął śmiechem i wciąż rozbawiony, wydobył z ust nieszczęśnika tkwiący tam przedmiot.

- Oto zgubne skutki oddawania się nałogowi - rzekł. - Łotr połknął własną fajkę. Ma przebite gardło i zmiażdżoną czaszkę. Doprawdy, cieszę się, drogi baronie, że stoimy po tej samej stronie drzwi.

Tymczasem zakonnik zdążył sprowadzić paru pacholków do odtransportowania zwłok. Razem z nimi przybył wraz z przybocznymi powiadomiony o wypadkach hrabia, za nimi zaś przyciągnął tłumek żądnej sensacji służby zamkowej.

Kiedy obu zbójców ułożono obok siebie na kamieniach dziedzińca, z grupy robotników zatrudnionych przy remoncie zachodniego skrzydła wystąpił najstarszy i mnąc w rękach czapkę ze zmieszania, odezwał się nieśmiało:

- Dyć ja ich znam. One nietutejsze. Niedawno najęli się do roboty, ale Cymer ich przepędził, bo lenie sakramenckie byli. Tego tu zwali Wilkulin, onego zaś Kurzaj, bo fajki z gęby nie puszczał, chociaż my go napominali. Dziś znów przyszli niby o robotę pytać, ale pokręcili się ino trocha i zara gdziesik znikli.

- Roboty nie dostali i z zemsty do rabunku się wzięli - z ulgą skonstatował Horwath. - Żeby nawet w zamku człowiek nie czuł się od tej hołoty bezpieczny! Trzeba z tym porządek uczynić, i basta! Masz moje słowo, baronie, że to się już więcej nie powtórzy! Gdzie Cymer?

- Po obstalowane meble do stolarza w Starej Wsi pojechał zaraz z rana - wyjaśnił ten sam robotnik.

- W takim razie weźcie wóz i załadujcie ciała, a jak Cymer wróci, niech je

do cyrkułu z objaśnieniem odwiezie. A wy tu czego? Do roboty mi wracać, a nuże! - hrabia huknął na gapiów, którzy rozpierzchli się w popłochu. - A swoją drogą - dodał

- zmyję ja głowę Leszczyńskiemu, że mi takich gagatków na zamek sprowadza!

- Leszczyński niezdrów i bez ducha leży - wtrącił Wacław. - Ale warto by posłać paru hajduków do ekonomówki po niejakiego Łazarza, który może mieć wiele do powiedzenia, gdy mu się pańskie zuchy dobiorą do skóry.

- Powiada pan? - Hrabia rzucił Beneszowi zamyślane spojrzenie.

- Słyszałeś, Imre? Każ ze czterem ludziom kopnąć się do ekonomówki. A was, panowie, proszę do bawialni. Przyda nam się kieliszek czegoś mocniejszego.

Byli dopiero przy drugim kielichu, gdy zjawił się Imre.

- I co? - spytał hrabia. Hajduk rozłożył wielgachne ręce.

- Nic, jaśnie panie. Uciekli wszyscy okrom starej służby, widać ktoś ich uwiadomił.

- No a Leszczyński co na to? Węgier poskrobał się po głowie.

- Eee... Nie pytalim... Nieporęcznie było... Bo widzi wielmożny pan...

- Co ty tak półgębkiem! - zirytował się Horwath. - Gadaj wreszcie co i jak!

- Jejmość Leszczyńska ducha wyzionęła tuż przed naszym najściem - wyrzucił z siebie Imre. - Doma wielki rumor, wszyscy płaczą, z nikim dogadać się nie idzie, a nawet jakoś nie lza...

- O Boże! - westchnął hrabia. - Trza powiadomić panienkę Annę, zżyta była z Leszczyńskimi, a i jej pomoc pewnie im się przyda.

- Panienska już tam jest - poinformował hajduk. - Wracając z ojcami z

Czerwonego Klasztoru, wstąpiła panią starszą odwiedzić i pierwsza się o wszystkim dowiedziała.

- To dobrze. Możesz odejść. A dopilnuj, żeby Cymer odwiózł ciała do cyrkułu.

- Już pojechał, minęliśmy się w drodze.

Kiedy Imre wyszedł, hrabia westchnął i powiedział:

- No cóż, panowie, nieszczęścia chodzą parami. Wypijmy za duszę świętej pamięci nieboszczki.

Spełnili smutny toast i rozeszli się. Zaraz potem rozpętało się zamieszanie na zamku, bo księżna nagle zdecydowała się na wyjazd. Doszło ją bowiem, że bandyci pojawili się niemal tuż pod jej nosem, a nie dała sobie wytłumaczyć, że bynajmniej nie na jej cześć niewieścią i majątek zamierzali nastawać. Hrabia próbował, acz niezbyt przekonująco, odwieść ją od tego zamiaru, w końcu oddał jej do dyspozycji tuzin swoich hajduków jako eskortę i księżna jeszcze przed wieczorem opuściła zamek. Nawet perspektywa rychłego przybycia Sebastiana i jego egzotycznych towarzyszy nie zdołała jej zatrzymać. Strach przemógł ciekawość. Nikt jednak specjalnie nad nieobecnością jej wysokości nie płakał, może z wyjątkiem Jungenfelda.

Wacław był zły, że w porę nie przyparł do muru Leszczyńskiego, i winił się za niewczesną słabość. Nie miał już wątpliwości, iż chora bynajmniej nie majaczyła, a ów tajemniczy akt ślubu stanowił klucz do rozwiązania zagadki, schwytania Baczyńskiego i rozbicia jego groźnej bandy, skoro Łazarz natychmiast po podsłuchaniu rozmowy zdecydował się nasłać na Benesza morderców. Teraz zaś ostateczne rozmówienie się z Leszczyńskim należało odłożyć przynajmniej do pogrzebu jejmości.

Nękać go w takiej chwili byłoby po prostu nieludzkie, a Waław od czasu do czasu pozwalał sobie na ludzkie odruchy, nawet gdy wiedział, że mogą go drogo kosztować. Zwłaszcza że nie mógł się pozbyć upartej myśli, iż w jakimś stopniu przyczynił się do śmierci Leszczyńskiej. I choć zdawał sobie sprawę, że takie myślenie kompletnie nie ma sensu, wcale mu przez to nie ulżyło na duszy.

Lamus

Dzień później po zamku rozeszła się sensacyjna wiadomość, że Basia Leszczyńska, nie czekając nawet, aż ciało matki ostygnie, jeszcze poprzedniej nocy uciekła z domu z jakimś pachołkiem. Ten drugi cios zupełnie załamał starego Leszczyńskiego, który zaczął pić na umór, tak że wszystkie przygotowania do pogrzebu spadły na barki Rubinowskiej. Nowinami tymi podzielił się z Waławem Cymer, gdy Benesz zaszedł do stajni doglądnąć Kuma. Chwilę gwarzyli o tym i owym, po czym cerber zaprowadził Waława do komnat zachodniego skrzydła, gdzie trwały drobne prace wykończeniowe, aby pokazać mu przywiezione poprzedniego dnia meble.

- I jak się widzi waszej miłości?
- Myślę, że stryj powinien być zadowolony. Wszystko prawie gotowe.
- Jutro, najdalej pojutrze winniśmy skończyć. Zasłonami zaś, kobiercami i pozostałymi statkami zajmie się panienska Rubinowska zaraz po pogrzebie, bo już przyobiegała.

Wyszli na dziedziniec. Waław zauważył refleks światła w oknie na wieży.

- Tam chyba ktoś jest - zauważył.
- Na wieży? - domyślnie spytał Cymer. - Niech wasza wielmożność nie

zwraca na to uwagi. To ten żabojad, Koliniak, tak się zabawia od niejakiego czasu. Szkła ma i szpieguje mnie, psiajucha.

- A to czemu? - zaciekawiał się Waclaw.

Napełnił sobie kieliszek, opróżniając flaszkę.

- Wypijmy. Waclaw odmówił.

- Ach, waść nie chcesz pić ze zbrodniarzem? Zatem wysłuchaj mnie chociaż, nim wydasz wyrok.

- Słucham.

Podstarości otarł wierzchem dłoni zmoczone alkoholem sumiaste wąsy, odchrząknął i zaczął opowiadać:

- Skawiccy wywodzą się ze Skawicy. To wieś po polskiej stronie, pod Babią Górą położona. Kiedy poznałem Marię, z rodowego majątku niewiele zostało, a to za przyczyną jej brata, Józefa. Już za młodu wdawał się w awantury, więc by syn wieży uniknął, a rodzina hańby, ojciec spłacał pokrzywdzonych i na jurystów gotowiznę tracił. I tak mająteczek, do którego zarządzania stary mnie, chudopachołka, najął, zaczął podupadać. Kiedy więc Józef do konfederatów barskich przystał i na wojnę poszedł, wszyscyśmy odetchnęli. Wrócił atoli po kilku leciech, z niewoli moskiewskiej się wyrwawszy. Niedługo doma zabawiwszy, pognął w świat, na odchodnym plebanię ograbiając i dwór sąsiedni. Stary pan Skawicki nie żył już, całe odium spadło zatem na Marię i na mnie, od niedawna poślubionych. Trzeba było ze stratą majątek sprzedać i opuścić rodzinne strony. Tułaliśmy się to tu, to tam, folwarki dzierzawiąc, lecz nigdzie długo miejsca nie zagrzewając, bo wszędy nas ścigał on, przeklętnik! Był zeń już infamis pełną gębą, przez prawo ścigany. Zawszy, gdy mu się gorąco robiło, u nas schronu szukał. Odmówić mu nie

mogliśmy, bo straszył, że o powinowactwie rozgłosi, a o dobre imię dzieci nam szło. Nareszcie przybyliśmy tutaj i zdało się, że stracił trop, bo przez parę lat się nie pojawiał. Ale gdzie tam! Trafił i tu za nami, a co gorsza, osiadł, albowiem tu właśnie za konfederacji barskiej wojował i te strony znał doskonale. Uciekać już nie poradziliśmy, bo Maria ciężko zaniemogła ze zgrzyoty. I tak przyszło mi stać się współnikiem w jego zbrodniach. Ile się dało, próbowaliśmy rozlewowi krwi niewinnej zapobiec. Ostrzeżyliśmy węgierskiego kupca, że zbójcy nań parol zagieli, a ostatnio panienkę Rubinowską, gdy się na spotkanie waszmości wybierała...

_ Wieszczę sny nieboszczki - mruknął Benesz.

_ Właśnie.

Ekonom dźwignął się z trudem i przyniósł z szafki drugą flaszkę gorzałki. W tym czasie Waclaw sięgnął do kałamarza po pióro i na odwrocie jakiegoś papieru nabazgrał wielkimi literami jeden wyraz, podsunął kartkę Leszczyńskiemu.

- Czy to on? Pod tym imieniem się ukrywa? Powiedz pan tylko: tak czy nie?

Rządca nawet nie spojrzał na napis.

- Nic nie powiem. - Znów sobie nalał i wypił.

Benesz stracił cierpliwość, a nigdy nie grzeszył jej nadmiarem.

- Pan chyba nie pojmujesz, w jakim położeniu się znalazłeś. Pójdiesz do turmy na lata, a może nawet sznur cię czeka. Zhańbisz nazwisko. Pomyśl, co się wtedy z Barbarą stanie?

Stary cisnął kieliszkiem o ścianę, aż szkło rozprysnęło się na wszystkie strony.

- A o kim myślę, do czarta?! - wrzasnął. - Właśnie z jej powodu nie mogę

ci wydać tego łotra!

- A to czemu?

- Bo on ją porwać kazał, dlatego!

Złapał butelkę i napił się wprost z niej. Głos zrobił mu się bełkotliwy.

- On wie, że od pańskiego przybycia grunt zaczął mu się palić pod nogami, ale nie chce się stąd ruszyć, póki nadzieję ma na skarbie waścinego stryjca łapę położyć.

- Skąd wie o skarbie?

- Wszyscy wiedzą. A on i tego się domyśla, że pan masz mnie w podejrzeniu i zechcesz przymusić, bym go wydał. Porwał więc Basię i zabije ją, choć to jego siostrzenica, jeśli to uczynię. Dlatego tracisz tylko czas. Nic ci nie wyjawię.

- To on kazał swym zbirom mnie zabić?

- Nie, on czuje do waści jakiś dziwny sentyment. To był pomysł Łazarczyka, jego prawej ręki, on nic o tym nie wiedział.

Umilkli. Każdy coś w sobie rozważał. Wreszcie Waclaw westchnął ciężko, jak zawsze wtedy, gdy ogarniała go niewczesna litość w stosunku do kobiet, dzieci i starców będących w potrzebie, i powiedział:

- Masz pan dokąd się udać, gdyby ci przyszło stąd uchodzić w pośpiechu? Spojrzenie, które zaczęło ekonomowi mętnieć, nagle się wyostrzyło.

- Mam syna. Na medyka się w Krakowie wykierował, nim wolę bożą poczuwszy, do duchaków¹ przystał. Myślę, że znalazłby się u niego kątek dla mnie i dla Basi, która także o wstąpieniu do zakonu zamyśla. - Otarł z oczu łzę. - Chyba za ojców winy moje dzieci chcą odpokutować...

Benesz nie pozwolił mu użalać się nad sobą, rezerwując ten przywilej wyłącznie dla siebie.

- Odstaw pan flaszkę i słuchaj pilnie, bo drugi raz nie powtórzę. Żadnych kroków przeciw Baczyńskiemu nie podejmę, córki twej wprzód nie odnalazłszy. Ty zaś dzieje swojej z tym łotrem konfidencji opisz akuratnie, własnoręcznym podpisem opatrując. Ja ci oddam córkę, ty mi pismo. Pakuj się zatem i bądź gotów do drogi w dzień i w nocy, bo jeśli nawet kompani Baczyńskiego mścić się na tobie nie będą, ja cię tu dłużej widzieć nie chcę. Zrozumiano?

- Uczynię wszystko, co zechcesz, panie - drżącym głosem odparł starzec niemal zupełnie wytrzeźwiający. - Tyłko, na Boga!, zwróć mi dziecko! Wychodząc, zostawił go Waclaw szlochającego, z głową położoną na biurku i schowaną w ramionach. Wracił do zamku z niezbyt miłą świadomością, że znów, który to raz?, zachował się jak jakiś niewydarzony błędny rycerz. Zamiast przycisnąć ekonoma i zmusić go do wydania Baczyńskiego, zawarł z nim bzdurny układ, nie mając

Od czasów średniowiecznych do początków XIX w. augustianie od św. Augustyna de Saxia, zwani duchakami, prowadzili w Krakowie przytułek przy ulicy Szpitalnej.

bladego pojęcia, jak zabrać się do odszukania dziewczyny. A cóż go, do kaduka, obchodzili Leszczyńscy?!

Z naprzeciwka, poboczem traktu, noga za nogą, wędrował żebrak, zakapturzony, brodaty i ciężko wsparty na sękatym kiju. Był to widok tak pospolity, że Benesz nie zwrócił na niego uwagi, dopóki dziad nie zastąpił mu drogi. Waclaw rzucił mu na odczepnego grajcara, lecz żebrak nie dał mu przejścia.

- Nie poznaje mnie pan, rotmistrzu?

Dopiero teraz Waclaw przyglądał mu się uważniej.

- Kacper! Co ma znaczyć to przebranie? Jakieś nowe łotrostwo?

Odruchowo sięgnął po pistolet.

- Spokojnie - rzekł zbój stłumionym głosem. - Jestem sam. Śledzę pana od rana. Bez złych zamiarów - zastrzegł szybko.

- Więc po co?

- Widziałem, jak pan wchodził do domu podstarościego. Zatem już pan wie.

- Co niby?

- O panie Leszczyńskiej.

- I cóż z tego?

Rzekomy dziad rozejrzał się ukradkiem dookoła.

- Nie tutaj. Proszę iść powoli, udając, że się ode mnie opędzasz...

Zaintrygowany Benesz zastosował się do życzenia bandyty, który deptając mu po piętach, głośno i natarczywie naprzykrzał się o datek. Nikt postronny by się nie domyślił, że wiodą przy tym zajmującą rozmowę.

- Wiem, gdzie jest dziewczyna.

- Gdzie?

- Powiem, ale pod warunkiem że rozegramy to po mojemu.

- Zgoda. Do rzeczy.

- Dziś od zmierzchu do świtu moja kolej pilnowania dziewczki. Można ją wtedy wykraść, na szwank się nie wystawiając.

- A ty?

- Da mi pan po łbie i jakoś się wyłgam.

- Więc gdzie ją trzymacie?

- Tylko się nie oglądaj, panie. Mogą nas obserwować.

- Mów.

- W lamusie.

Mimo ostrzeżenia Waclaw z trudem się pohamował, by nie zerknąć na spichlerz, który właśnie mijali. Wprost nie chciało się wierzyć, by porwaną ukryto tuż pod nosem jej ojca i gromady zbrojnych z zamku! Był to pomysł diabelsko przebiegły, ale akurat tego należało się spodziewać po Baczyńskim i dlatego uwierzył Kacprowi. Do wyjaśnienia pozostała inna kwestia.

- Dlaczego mi to wyjawiałeś?

- A czemu wasza miłość puściłeś mnie wolno z Czerwonego Klasztoru? Życie za życie. Chcesz mieć dziewczynę żywą, musisz dziś po nią przyjść. Po mnie będzie jej pilnował Łazarczyk, który do dziewczki anse ma, a on po Kłapciuchu ze wszystkich najgorszy.

Doszli do podjazdu. Benesz przystanął i wygrzebawszy drobne z kieszeni, rzucił je w piach przed żebraka. Ten pochylił się wyzbierać pieniądze, a wtedy Waclaw spytał:

- Kiedy?

- Najlepiej o północy. I sam. Będę czekał od strony piwnic.

Powłócząc nogami, Głowacz podążył traktem do Niedzicy, Waclaw natomiast rażno pomaszerował do zamku, pogwizdując nawet wesoło, choć jak zawsze fałszywie.

Do realizacji planu potrzebował pomocnika. Kawaler de Colignac nadawał się w sam raz, więc Benesz przełamał niechęć i udał się na poszukiwanie. Francuz był u siebie i ziewał z nudów, co mu się coraz częściej zdarzało. Na widok gościa przerwał stawianie pasjansa i uniósł brwi ze zdziwienia.

- Czemuż zawdzięczam ten zaszczyt?

Kiedy się dowiedział, na twarz wypłynął mu uśmiech zadowolenia.

- Nareszcie! Ale po co czekać tak długo?
- Bo wtedy będę miał dowód czarno na białym. Francuz skrzywił się drwiąco.
- Skrupulant z waszmości. Ja tam nie zadawałbym sobie tyle trudu dla byle rzezimieszka. No, ale niech tam. Dziwną też sobie znalazłeś porę na zbieranie dowodów, lecz do aresztowania niczego sobie. Jednak sam nie dam rady go upilnować i to po ciemku. Co pan powiesz o Andrzeju i mademoiselle Rubinowskiej? Obrażą się, jeśli ominie ich udział w tak pysznej awanturze.
- Myślałem o nich, ale czy nam uwierzą? Lubią go przecież. A jeśli nawet uwierzą, czy się przed nim nie zdradzą?
- Nie, jeśli powiem im w ostatniej chwili, po wieczerzy. Wezmę też zapasowy klucz do bramy.
- Zgoda. Spotkamy się najdalej o północy. Niech pan coś wymyśli, by usprawiedliwić moją nieobecność na wieczerzy.

Nie podali sobie rąk, chwilowy bowiem sojusz bynajmniej nie oznaczał trwałego pokoju. Wracając, Wacław zaszedł do kuchni, żeby coś przegryźć, i zastał tam wielkiego pijara, ojca Jana, lasującego na potęgę, oraz hajduka Gezę, pochłoniętego flirtowaniem z jedną z podkuchennych. Po powrocie na kwaterę uciął sobie drzemkę, po czym przebrał się w czarny maskujący strój, sprawdził pistolety i zatknął za pas czekanik, poręczniejszy od szabli. Nie spodziewał się zdrady ze strony Kacpra, lecz lubił być przygotowany na wszystko. Otworzył okno i przerzucił przez parapet ukradziony ze stajni długi powróż, którego drugi koniec uwiązał do nogi łóżka. Wychylił się, ale w półmroku nie dosięgnął wzrokiem podnóża muru, więc nie wiedział, jak daleko zwisa lina. Musiał jednak

opuścić zamek w ten sposób, jeśli nie chciał spłoszyć swojej zwierzyny. Zerknął na zegarek. Dochodziła ósma.

Zaczął schodzić, miał bowiem zamiar zjawić się w lamusie znacznie wcześniej, niż go oczekiwano. Tak na wszelki wypadek. Dzięki rękawicom nie zdarł sobie skóry z dłoni, trochę się tylko poobijał o występy skalne i omal nie skręcił nogi podczas zeskoku, bo lina okazała się za krótka, ale poza tym poszło mu całkiem gładko.

Zszedł ku rzece, aby dostać się pod spichlerz okreśną drogą. Wyszedłszy na tyły lamusa, długo przyglądał się masywnej budowli, której czarna bryła wydawała się w nocy jeszcze potężniejsza. Istna twierdza, pomyślał. Zbudowano ją z solidnych bali i nakryto gontowym dachem. Frontowe wrota zabezpieczono potężnymi antabami, a równie krzepkie drzwi do piwnicy zaopatrzono w ogromny zamek z dziurką na klucz o rozmiarach łopaty. Tylko pod dachem, pewnie dla wentylacji, wycięto kilka niewielkich otworów, przez które przecisnąć mogłoby się jedynie dziecko lub linoskoczek. Jakby tych zabezpieczeń było mało, tuż przy spichrzu znajdował się domek nocnego stróża.

Przemknąwszy jak duch pod okno, usiłował zerknąć do środka, ale nic nie zdołał dojrzeć, zresztą nie musiał wyteżać oczu, wystarczyło nastawić uszu. Od donośnego chrapania pobrzękiwała szyba. Stróż chyba nie tylko spał, ale był też pijany, ponieważ czkało mu się od czasu do czasu. Być może w gorzałkę zaopatrywali go zbójnicy, a i bez niej, z samego strachu przed nimi, pewnie pozostałby głuchy na wszelkie nocne hałasy.

Następne pół godziny Wacław strawił na nasłuchiowaniu i obserwacji terenu. Upewniwszy się, że na zewnątrz nikt się na niego nie zaczął, zakradł się pod lamus i przyłożył ucho do ściany. Wewnątrz panowała

cisza. Żadnych stłumionych szeptów, żadnego brzękania nieostrożnie trącanej broni. Uspokojony, wdrapał się na drzewo, którego konary sięgały ponad dach budynku, prawie przytykając do otworów pod dachem. Tak jak na to liczył, okienka okazały się z bliska większe, niż wydawało się z dołu. Zmartwiłby się, gdyby było inaczej, ponieważ od początku właśnie tędy zamierzał wejść do środka. W takich jak ta sytuacjach lubił sprawiać gospodarzom niespodzianki.

Już przepchnął głowę i ramiona z czekaniem i właśnie zastanawiał się, na co spadnie, żałując, że nic nie widać w ciemnościach, gdy niebo przetarło się i wyjrzały gwiazdy. Promień światła wdarł się przez dziurę w gontach i rozjaśnił wnętrze na tyle, by Waclaw dostrzegł, że lądowanie było całkowicie bezpieczne, ponieważ pod spodem znajdował się sąsiedk wypełniony po brzegi ziarnem. Zauważył też dziewczynę.

Zwinięta w kłębek i nakryta kożuchem spała spokojnie w sąsiednim sąsiedku. Nie była ani skrepowana, ani zakneblowana. Ogarnęło go dziwne przeczucie, że zamiast błędnym rycerzem okazał się głupcem, co zresztą na jedno wychodziło. Mimo to zeskoczył na dół, po czym brodząc po kostki w sybkim zbożu, odnalazł drabinę, zlazł na niższy poziom, gdzie było już całkiem mroczno, zapalił przyniesioną zapobiegliwie świecę, odszukał klapę do piwnicy, podniósł ją i zstąpił do obszernego loszku, gdzie na stercie warzyw smacznie drzemał Kacper. Lekkie klepnięcie w ramię wystarczyło, by się rozbudził.

- Pan rotmistrz już tutaj? Jak pan wszedł?
- Trzeba było uważać.
- Która godzina?
- Dochodzi dziesiąta.

- Ostrożny jak zawsze. - Zbój pokiwał głową z uznaniem. - Widział pan dziewczkę?

- Owszem. Obudź ją i sprowadź. Dość czasu zmitreżyłem. Kacper poszedł wykonać polecenie. Po paru minutach wrócił z dziewczyną, która z cichym szlochem rzuciła się Waławowi na szyję. Przytulił ją trochę zażenowany.

- Co z ojcem? - zapytała, ochłonawszy, i odsunęła się, zawstydzona. - Straszili mnie, że jeśli krzyknę o pomoc albo spróbuję uciec, zabiją go.

- Nic mu nie jest. Czeka na waćpannę. - Popchnął ją lekko ku wyjściu, równocześnie skinieniem nakazując Kacprowi otwarcie drzwi. - Idź do niego bez obawy, dołączę do was za chwilę.

Po jej odejściu zadał Głowaczowi pytanie, które powinien zadać dużo wcześniej:

- Kacper, kto kazał ci powiadomić mnie, że dziewczyna jest w lamusie? Tylko nie łżyj, że to był twój pomysł.

Zbójnik podrapał się po kudłatej głowie z zakłopotaniem.

- Po prawdzie, to harnaś. Lękał się, że Łazarczyk w końcu zrobi jej krzywdę, a ostatecznie to jego siostrzenica. Krew nie woda, tak powiedział.

- I ja byłem mu do tego potrzebny? Nie mógł jej po prostu wypuścić? - pytał Benesz sam siebie, mając już pewność, że został jak dziecko wyprowadzony w pole przez przebiegłego watażkę, który chciał go tej nocy wywabić z zamku.

- Ja tam nic nie wiem. Kazali, tom uwiadomił. - Kacper podał zabierającemu się do wyjścia Waławowi kawałek sznura. - A z Łazarczykiem naprawdę nie ma żartów. Niech mnie pan zdzieli w łeb, a

potem zwiąże, żeby jeszcze ładniej wyglądało.

- No to po starej znajomości. - Waclaw nagłym ciosem kolby pistoletu trafił Głowacza precyzyjnie za uchem, po czym skrepował nieprzytomnego i ułożył dość wygodnie na liściach kapusty, bo mimo wszystko żywił do łotrzyka sentyment.

Przed ekonomówką zastał kryty wóz gotowy do drogi i załadowany dobytkiem, widać ekonom wziął sobie do serca polecenie Waclawa. Za chwilę w drzwiach pojawili się oboje z córką. Leszczyński mocno przyciskał do siebie zapłakaną Basię. Na widok Benesza powiedział:

- Nie wiem, jak waści dziękować...

- Nie trzeba. Jedźcie z Bogiem.

Rządca podał Waclawowi kilka kartek spisanych drobnym maczkiem.

- Słusznie się pan domyślał, to on. Na tych kartach masz pan wszystko akuratnie opisane. Gdybyś ode mnie jeszcze czegoś potrzebował, pisz na parafię Świętego Krzyża w Krakowie.

Waclaw schował papiery i pomógł zaprząć czwórkę koni do powozu.

- Niech waszmość pana Bóg błogosławi! - rzekł ekonom już z kozła.

- Żegnam państwa. Szerokiej drogi!

Uściskał dłoń, którą starzec do niego wyciągnął. Niespodziewanie Barbara zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta.

- Nigdy waszmości nie zapomnę, nigdy! - zawołała, gdy powóz ruszył.

Pomachał im, czując jeszcze na wargach smak pocałunku. Było mu miło, ale znał inną dziewczynę, której pocałunek sprawiłby mu znacznie większą przyjemność.

Szybkim krokiem ruszył do zamku. Mimo iż dochodziła dopiero jedenasta, miał przekonanie graniczące z pewnością, że i tak jest spóźniony.

Od muru oderwała się znajoma sylwetka.

- Co to za hałasy, tam w dole? - spytał Francuz.

- Nic takiego. Możemy zaczynać.

Colignac pchnął furtę w bramie i cicho jak duchy przemknęli przez mroczną sień. Gaskończyk zapalił skrywaną dotąd pod płaszczem latarkę i poruszył nią półkoliście trzy razy. Kilka minut potem z bramy średniego zamku wyśliznęła się Anna.

- Do północy daleko - stwierdziła szeptem.

Przebrana w męski strój wyglądała niezwykle apetycznie, ale Wacław bohatersko stłumił w sobie ochotę na dłuższe kontemplowanie smakowitego widoku i przeszedł do rzeczy:

- Oby nie za późno.

- Niemożliwe - odparli oboje niemal jednocześnie, a dziewczyna wyjaśniła: - Przed dziewiątą poszedł do siebie, kwadrans potem zgasił światło i z pewnością już nie wychodził.

- Kiedy mademoiselle stróżowała tutaj, ja byłem za bramą i ręczę, że nie uciekł oknem - dodał Colignac.

- Nie wyglądał na zaniepokojonego?

- Nie - powiedziała Anna. - Zachowywał się jak zawsze. Wciąż nie mogę dać wiary, że to on. Jesteś pan pewien?

- Najzupełniej - poklepał się po kieszeni na piersiach. - Tu są lica. A gdzie hrabia?

- Kazał się obudzić, jak przyjdzie czas.

- W takim razie przyszedł. Najwyższy.

- Ale zaczekacie na nas? - upewniła się.

- Zaczekamy.

Nie czekali długo, bo wnet pojawiła się z wiadomością, że hrabia rychło do nich dołączy. Od czasu zamachu na Wacława dwóch wartowników zawsze trzymało nocną straż na dziedzińcu. Byli zdziwieni ruchem panującym o tej porze, lecz nie śmieli o nic pytać Jednego Benesz pozostawił na miejscu, a drugiego wysłał za bramę, tak na wszelki wypadek, pozostała zaś trójka wspięła się po cichu na schody. Anna otworzyła swoim kluczem drzwi, po czym usunęła się na bok, a obaj mężczyźni z pistoletami w dłoniach wpadli do izby. Francuz uniósł w górę latarkę.

Komnata świeciła pustką. Starannie pościelone łóżko świadczyło nie tylko o pewnym zamiłowaniu użytkownika do porządku, ale przy okazji stanowiło dowód, że nikt w nim tej nocy nie spał. Ład panował zresztą w całej izbie, pozbawionej wszelkich drobiazgów, które lokator musiał ze sobą zabrać, wychodząc, gdyż przy ubóstwie znajdujących się tu sprzętów nie sposób było wyobrazić sobie miejsca, gdzie mógłby się ukrywać.

Mimo to Gaskończyk zajrzał pod wyrko.

- Uciekł - rzekł z niebotycznym zdumieniem, podnosząc się z klęczek i otrzepując kurz z pludrów. - Ale jakim sposobem?

- Tam coś jest - zauważyła Anna, wskazując wnątkę w kącie.

Rzeczywiście, gdy pchnęli małe drzwiczki, ujrzeli wiodące w dół wąskie i kręte schody.

- Dokąd one prowadzą? - spytał Wacław.

- Nie wiem - odparła. - Nawet nie wiedziałam o ich istnieniu. Może do piwnic?

Schody faktycznie doprowadziły ich do piwnicy mającej połączenie z kuchnią.

- Przez kuchnię się nie wymknął - stwierdziła Anna stanowczo - bo albo ja bym go zauważyła wcześniej, albo teraz wartownik.

- W takim razie musi tu gdzieś być, cudów nie ma. - Gaskończyk wykorzystał okazję do zmanifestowania swego niedowiarstwa.

Zapalili zdjęte z uchwytów przy wejściu pochodnie i rozejrzeli się po rozległym lochu piwnicznym. Całą jedną ścianę, od polepy po powałę, ciasno wypełniały ogromne beki na wino. Leżało ich tu chyba ze sto, ułożonych jedna na drugiej. Owalne w przekroju miały takie rozmiary, że z łatwością mogły pomieścić człowieka. Jedne były odszypuntowane, inne nie.

- Pięknie - westchnął Francuz. - Robimy zakłady, w której się skrywa? Kto wygra, ten w nagrodę weźmie kulę w łeb.

- Mości Baczyński! - zawołał Wacław, a echo zwielokrotniło jego głos. - Przegrałeś. Wychodź!

- A cóż to za hałasy?!

Z góry schodził hrabia w szlafmocy i futrze byle jak zarzuconym na wystającą dołem koszulę nocną. Przed nim, niby żywa tarcza, kroczyli obaj przyboczni, oświetlając swemu panu drogę.

- Zabrałem chłopców ze sobą, bo zdało mi się, że będą potrzebni, a tu chyba ptaszek wyfrunął z klatki.

- Zniknął jak kamfora - przyznał Benesz.

- Zatem Karol miał rację, to w samej rzeczy on. Trudno dać wiarę.

- A jednak to prawda. Tu jest wszystko spisane czarno na białym. - Wacław podał mu wyznanie Leszczyńskiego.

- Jutro przeczytam. - Hrabia wrzucił kartki do kieszeni. - Myślicie, że skrył się w którejś z beczek?

- Innej możliwości nie ma - przyznał Colignac.
- Chłopcy - zwrócił się Palocsay do hajduków - sprawdźcie no wszystkie beczki po kolei, a nie spijcie mi się przy okazji! My zaś chodźmy na górę - zaproponował pozostałym.

Znalazszy się na powrót w dozorcówce, pozapalali wszystkie znalezione tam świece i rozpoczęli dokładny przegląd całego pomieszczenia. Niemal natychmiast Anna przywołała ich do biurka:

- Patrzcie, co znalazłam!

Na blacie leżały obok siebie: opaska księga oprawna w skórę oraz otwarty list. Pochylili się nad nim i przeczytali:

Spełniając ostatnią wolę klucznika Cymera, który zakończył żywot dzisiejszego wieczora, zapisuję, jak następuje:

Pannie Annie Rubinowskiej, córce druha mego serdecznego z lepszych czasów - księgę, która znajdzie się tym sposobem w najodpowiedniejszych rękach.

Panu Beneszowi de Berzeviczy - życie, bo choć wszedł mi w paradę i plany popsował, to jak ja za ojczyznę się bił, a prawdziwych patriotów coraz mniej na świecie.

Panu Andrzejowi Palocsayowi, z którego gościny korzystałem prawie dwa lata - wyborne wino w piwnicy, którego sam wypić nie zdążyłem, a swoim chłopcom nie dozwoliłem.

Sługa uniżony, urodzony Józef Skawicki alias Baczyński

Postscriptum: strzeżcie się czarnego lisa!

- Skawicki! - zawołała Anna. - Tak nazywał się towarzysz ojca z czasów barskiej konfederacji! Pamiętam jak przez mgłę, jak mnie na kolana brał...
- To tłumaczy, dlaczego ciebie, pani, taką admiracją otaczał i swoim

ludziom skrzywdzić nie pozwolił - powiedział Waclaw. - A także czemu mnie oszczędzał, choć doskonale wiedział, że mam go w podejrzeniu.

Prawdziwy patriota, niech go diabli!

- Honorowy łobuz - skwitował hrabia. - I bezczelny nad wszelkie spodziewanie. Podarować mi moje własne wino! - Roześmiał się na całe gardło.

- Mój Boże! - krzyknęła Anna, nieprzytomna ze szczęścia, wertując księgę. - Toż to herbarz ojca Cypriana!

Do izby weszli hajducy. Nie trzeba było pytać o efekt ich poszukiwań, miny mieli bowiem nietęgie. Nic nie mówiąc, rozłożyli tylko bezradnie ręce. Wtem Imre (lub Geza, Waclaw ich nie odróżniał), spoglądając ponad głowami obecnych, wyciągnął rękę. Zaaferowani oglądaniem zielnika dopiero teraz podnieśli wzrok i oniemieli ze zgrozy. Z tragarza podpierającego strop, wydobyta z cienia przez światło pochodni trzymany przez hajduków, zwieszała się nabita na hak drewniana lalka ubrana w czarne suknie, z wielkim czerepem z dyni i szerokoskrzydłym kapeluszem na nim. Podobieństwo, mimo prymitywnego wykonania, było tak uderzające, że nikt nie miał wątpliwości, kogo kukła imitowała. Geza (lub Imre) zerwał kartkę przyczepioną do piersi wisielca i oddał hrabiemu.

- „Śmierć szpiegom!” - odczytał hrabia i zdziwionym wzrokiem potoczył po zgromadzeniu. - Pojmujecie coś z tego?

- Imre - rzekła Anna ochryłym głosem - widziałeś ojca Wincentego po wieczery?

Hajduk pokręcił przecząco głową.

- Więc pójdz i sprawdź, czy jest w swojej komnacie. Tylko duchem!

Wacław wszedł na krzesło i zdjął lalkę z haka.

- Dlaczego? - spytała Anna, wpatrując się z przerażeniem w wycięte nożem i jakby rozwarte do krzyku usta kukły. - Wiem, że się nie lubili, ale czemu Baczyński miałby mordować misjonarza, i to w tak okrutny sposób?

Nikt jej nie odpowiedział.

- Nie ma go w komnacie! - zakomunikował zdyszany hajduk, wpadając do izby. - Łoże zaścielone, jakby się w ogóle nie kładł.

- O Boże... - westchnęła dziewczyna.

- Może jak zwykle gdzieś poszedł - pocieszył ją Horwath. - A teraz i my chodźmy spać, najwyższy na to czas. Nic już tu nie wymyślimy. A jednak - dodał na odchodnym - służący był z niego idealny. A jaki aktor!

- Nie popisałeś się, monsieur - rzucił ze złośliwą satysfakcją Colignac do Benesza, spiesząc za hrabią i jego hajdukami. - Gdybyśmy postąpili wedle mojej rady, łotr gniłby już w lochu, czekając na kata.

Wacław nic nie odpowiedział, położył natomiast dłoń na ramieniu dziewczyny, która z zielnikiem pod pachą także zabierała się do wyjścia.

- Jedno słówko, jeśli łaska.

Zatrzymała się zdziwiona jego poważnym tonem.

- Tak?

- Proszę jeszcze tej nocy spalić wszystkie papiery, które mogłyby cię skompromitować.

Odparła lekko kpiąco:

- Chyba nie chodzi waści o listy miłosne?

- To w drugiej kolejności. Mam na myśli nie te, które mnie się mogą nie spodobać, a raczej te, które mogłyby się nie spodobać władzom

austriackim. Chyba że nie aśćka prowadziłaś dokumentację waszego sprzysiężenia.

Zmarszczyła brwi i także spoważniała.

- Myślisz, że... Podjął ją pod ramię.
- Coś się szykuje. Najlepiej, gdybyś zaraz stąd wyjechała, może do Pławca... Horwathowie mają duże wpływy w Wiedniu, ale potrzebują trochę czasu.
- Nie ma mowy - odparła stanowczo. - Nie opuszczę swoich ludzi.
- Tym ja się zajmę. Proszę mi zaufać i uczynić, jak radzę. Popatrzyła na niego tak ciepłym wzrokiem jak jeszcze nigdy, jemu zaś zrobiło się równie ciepło i radośnie na sercu.
- Ufam panu, mimo to zostanę.

Zeszli na dziedziniec. W tę i z powrotem przemierzało go dwóch wartowników. Anna podała Wacławowi rękę.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem. Przytrzymał jej dłoń.
- Mierzę znacznie wyżej. - Uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczora. Po jej odejściu natychmiast poszedł do stajni, obudził zarówno Kuma, jak i śpiącego na stryszku Juraja, po czym pierwszego osiodłał, drugiemu zaś rzucił dukata oraz zdjętą z palca powstańczą obrączkę i powiedział:
- Pierścień dla Śpiewaka, dukat dla ciebie za fatygę i milczenie. Tylko uwiń się prędko i zaraz wracaj.
- Za teli pieniądza bede leciał jak wiater - zapewnił chłopiec, pieszczotliwie głaszcząc monetę.

Wacław patrzył chwilę za nim, po czym powoli zawrócił. Miał o czym myśleć. Owszem, dał się wystrychnąć na dudka Baczyńskiemu. Herszt bandy specjalnie zaaranżował porwanie dziewczyny, by pozbyć się z

zamku Benesza na czas swojej ucieczki, do której pewnie od dawna był przygotowany. Pocieszało Waclawa tylko to, że nawet Leszczyński dał się oszukać, gdyż jego rozpacz z pewnością nie wyglądała na udawaną.

Zbójnicki harnaś był niewątpliwie złym człowiekiem, jednak niezupełnie wypranym ze szlachetniejszych odruchów, inaczej nie udzieliliby ostrzeżenia, które mogło jeszcze uratować szeregowych członków „bractwa złamanego pióra”. Ale co mogło ocalić Annę?

Czekała nań przed drzwiami.

- Wszystkie papiery zniknęły - poinformowała drżącym ze zdenerwowania głosem.

- Tego się obawiałem - odparł zatroskany.

- Co robić? - Wyłamywała dłonie. Ujął je i pogłaskał uspokajająco.

- Nie wiem. Dlatego najlepiej iść spać. Jutro pomartwimy się wspólnie, a to zawsze różniej.

Delikatnie przyciągnął ją do siebie. Nie stawiała oporu. Czuł, jak stopniowo uchodzi z niej napięcie. Podniosła twarz i powtórzyła:

- Ufam panu.

- Za to ja sobie nie bardzo. Dlatego proszę już wracać. - Oderwał się od niej z wielkim samozaparciem. - Dobranoc.

Sam nie zastosował się do własnej rady i długo nie mógł zasnąć, szukając jakiegoś rozwiązania. Tymczasem za oknem już wstawał dzień, który mógł przynieść ruinę wszystkich jego życiowych planów, a on nadal nic nie wymyślił.

Oskarżyciel

Wielmożny panie! Wielmożny panie!

Dłuższą chwilę trwało, nim wyrwany ze snu Wacław rozpoznał głos dobijającego się do drzwi Juraja.

- Czego tam?! - zawołał zły, gdyż zegarek wskazywał ledwie parę minut po szóstej, a to znaczyło, że spał najwyżej trzy godziny. Wylazł z łóżka i uchylił drzwi.

- W zamku pełno wojska! Grof pilnie proszą jaśnie pana do siebie! Chłopiec wyciągnął brudną rękę.

- Śpiewak kazał powiedzieć, coby się wasza miłość o nic nie troskał - szepnął.

- Dobrze się spisałeś - pochwalił go Wacław, odbierając powstańczę obrączkę.

Stajenny nic nie przesadził, bo kiedy Benesz opuścił komnatę, dragoni pojawili się już na górnym zamku, a von Kaunitz osobiście nadzorował odprowadzanie do lochu aresztanta w kajdanach, który również nosił mundur.

- Czołem, kapitanie. Cóż to, kładziesz areszt na własnych ludziach? Oficer skrzywił się, jakby go rozboleły zęby.

- Witam, baronie. Niestety, rozkaz komisarza. Kapral Chowaniec został oskarżony o znoszenie się z tym osławionym bandytą, Baczyńskim. Czysty nonsens, ale nic na to nie poradzę.

Wpatrywał się w noski swoich zakurzonych butów, unikając wzroku Wacława, minę zaś miał coraz bardziej zakłopotaną.

- Bardzo mi przykro - rzekł, odchrząknawszy uprzednio - lecz muszę waćpana poprosić o klucz do komnaty. Mamy ją przeszukać.

_ Nie pojmuję...

- Ja też. Ale rozkaz to rozkaz i trzeba go wykonać. Dowie się pan

wszystkiego na dole.

W sali biesiadnej towarzystwo już znajdowało się w komplecie. Przybył nawet trzeci z pijarów, którego Wacław dotąd nie widział, młodzieniec o niezwykle mizernym wyglądzie. Widać wieści o jego chorobie nie były przesadzone. Powitały Benesza smętne spojrzenia. Nawet ci, którzy nie brali udziału w nocnej przygodzie, wyglądali nieszczęśliwie. Zrozumiał ich podle samopoczucie, gdy człowiek siedzący tyłem do niego odwrócił się i rzekł ironicznym tonem:

- Aa, jest wreszcie i pan baron. Prosimy do kompanii. Nieznajomy miał na sobie szare cywilne ubranie, dobrze skrojone, ale nie aż tak, by zdołało zamaskować jego obfite kształty. Na stole przed sobą położył elegancki popielaty cylinder zgodny z najnowszą modą, w rękę zaś trzymał laseczkę, którą wywijał od niechcienia. Gdyby nie ten gest, trudno byłoby na pierwszy rzut oka rozpoznać w nim dawnego ojca Wincentego.

- Czy święceń pozbyłeś się pan równie łatwo jak rewerendy? - spytał Wacław, zajmując wolne miejsce za stołem.

Rzekomy zakonnik odrobinę uniósł swe potężne kształty z krzesła.

- Policmajster Lothar Schwarzfuchs, zastępca dyrektora wiedeńskiej policji, do usług. Pan jeden nie wyglądasz na zaskoczonego moją przemianą.

- Właśnie czegoś takiego oczekiwałem po braciszku, który łamał wszelkie reguły swojego zakonu.

- Pewnie nie dasz wiary, ale w młodości chciałem zostać księdzem, wytrzymałem nawet prawie dwa lata w seminarium. Wystarczająco, by z dobrym skutkiem udawać zakonnika, jak się okazało.

- Wszystkich nie zwiódłeś - zauważył Wacław, przypominając sobie przestrożę Baczyńskiego: „strzeżcie się czarnego lisa!"¹.

Gra słów: schwarz (niem.) - czarny, Fuchs (niem.) - lis.

- Pan się nie liczysz, swój swego zawsze rozpoznasz. To jedynie kwestia czasu. Jak tylko się zjawiłeś, wiedziałem, że muszę się pośpieszyć.

- Nie siebie miałem na myśli.

- Doprawdy? A kogóż jeszcze?

Zniecierpliwiony hrabia przerwał tę słowną szermierkę, mówiąc poirytowanym tonem:

- Do rzeczy, komisarzu. Im prędzej poznamy powód pańskiej wcześniejszej maskarady i obecnego najścia, tym rychlej pozbędziemy się twojego niemiłego towarzystwa.

Komisarz rozparł się wygodnie i uśmiechnął z wyższością.

- Czy uda się państwu pozbyć mnie tak szybko, jak byście chcieli, to się dopiero okaże. Nie wykluczam, acz szczerze wątpię. Oto pismo wydane przez dyrekcję policji w Wiedniu i podpisane przez samego

Najjaśniejszego Pana, które upoważnia mnie do zastosowania wszelkich środków, jakie uznaję za stosowne. Dlatego moi ludzie przeprowadzają teraz przeszukania u wszystkich państwa oraz dokonają osobistej rewizji, jeśli zajdzie taka potrzeba. - Podsunął hrabiemu dokument przez stół.

Horwath przeczytał go uważnie i podał Wacławowi.

- Nadal nie pojmuję, o co w tym wszystkim chodzi - zauważył Palocsay.

- Najpierw szło tylko o bandytów, wobec których tutejsze władze okazały się zupełnie bezsilne. Stąd moje przybycie w przebraniu misjonarza. Było to nadużycie gościnności, przyznaję, lecz usprawiedliwione wyższą koniecznością.

- Nic tego nie usprawiedliwia - stwierdził zimno hrabia. - Zwłaszcza że niczego pan nie wykryłeś.

- Mylisz się, hrabio. Najpierw wykryłem, że nasz dzielny kapitan Kaunitz nie mógł wytropić złoczyńców, dlatego że jego zaufany podoficer był informatorem bandy. Niedawno zaś zdobyłem wiadomość, że ponad dwa lata temu, podczas napadu na karczmę w Thuczaniu koło Wadowic, córka arendarza chlusnęła Baczyńskiemu w twarz wrzącym olejem. Nie zabiła go, ale prawie oślepiła. I już miałem pewność, że to Cymer jest Baczyńskim. Lecz kiedy przybywam, żeby położyć na nim areszt, dowiaduje się, iż spłoszyliście go swoim nieudolnym działaniem! Sapnął z irytacji.

- Doprawdy, miałem o wasi lepsze mniemanie. - Wyciągnął oskarżycielsko palec w kierunku Wacława. - Tymczasem przez pana paromiesięczne śledztwo wzięło w łeb, a na dodatek wspólnik Baczyńskiego, Leszczyński, też nam się wymknął. Jego zeznanie nie zda się nam teraz na nic.

Benesz wzruszył ramionami.

- Leszczyński był szantażowany przez szwagra, Baczyński zaś to człowiek o istic zwierzęcym instynkcie. Zagrożenie wyczuwa na milę, a do ucieczki gotował się od dawna. Obaj go nie doceniliśmy, ale który spłoszył, to rzecz sporna. Ostatecznie nie moją podobiznę powiesił sobie w izbie.

- Mówisz o tej śmiesznej kukle? - Policjant machnął pulchną dłonią z lekceważeniem. - To dziecinada. Ale może jest trochę racji w tym, coś pan wcześniej powiedział... - zastanowił się. - A tak swoją drogą, jak wpadłeś na jego trop?

- Tak jak pan i kawaler de Colignac, przez wykluczenie podejrzanych. Do tego doszły drobne spostrzeżenia.

- Jakże? - zaciekawiał się komisarz.

- To, że nie był wcale łysy, a jedynie golił starannie głowę, świadczyło, że może chciał odmienić wygląd. Wymyślone przezeń duchy trzymały chłopstwo z dala od zamku, ale przy okazji zapewniały bandzie swobodę działania, zresztą to pan wykryłeś, że do niedawna bandyci kwatrowali na górnym zamku. Wysławiał się nie jak prostak, nawet bywały w świecie, poza tym miał sporą wiedzę z rozmaitych dziedzin. Ale tak naprawdę zdradziły go zioła...

- Co?

Komisarz wybałuszył na niego oczy, ale i pozostali spoglądali na Wacława ze zdumieniem.

- Teraz, gdy zostawił pannie Rubinowskiej zielnik ojca Cypriana wszyscy wiemy, że był zawołanym zielarzem. Lecz ja się o tym dowiedziałem przypadkiem jeszcze przed przyjazdem na zamek. Potem znaleźliśmy zioła w Czerwonym Klasztorze, a gdyśmy stamtąd wrócili, klucznik rozpoznał je bezbłędnie. Odtąd miałem go na oku. Brakowało mi tylko dowodów, takich jak zeznanie Leszczyńskiego, którego wystarczyło poddać lekkiej presji, bo od początku zachowywał się jak wystraszony zając.

Schwarzfuchs wzniosł oczy do nieba.

- Zebrać tak piękne poszlaki i jeszcze szukać dziury w całym! Pan masz obsesję na punkcie dowodów. Ale i tak gratuluję dobrej policyjnej roboty. Ponowił próbę podniesienia się z krzesła i udało mu się osiągnąć coś na kształt ukłonu. Zniecierpliwiony hrabia przerwał te uprzejmości, wypowiadając na głos opinię niewątpliwie podzielaną przez pozostałych:

- Panie komisarzu, zechciej z łaski swojej wyjawić nareszcie powody, dla których nas tu zgromadziłeś, bo chyba nie po to, byśmy o tak niehumanicznej porze zapoznawali się z metodami pracy policyjnej. Albo pozbaw nas swego towarzystwa i pozwól wrócić do łóżek.

- Nudzę państwa? Przepraszam - policjant udał przejętego napomnieniem - lecz tak to już bywa, gdy spotka się dwóch fachowców. Zapewne państwo tego nie wiedzą, gdyż pan baron chwalić się nie lubi, ale podczas niedawnej rebelii w Polsce był on policmajstrem w warszawskim Wydziale Bezpieczeństwa i prawą ręką samego komisarza Joachima Moszyńskiego.

Uśmiechnął się pod nosem, obserwując reakcję towarzystwa na swoją rewelację. Wacław, mimo utkwionych w niego kilku par oczu, zachował całkowity spokój.

- To prawda - odparł. - Za insurekcji pracowałem przez pewien czas w Deputacji Indagacyjnej, lecz jeszcze przed upadkiem powstania złożyłem rezygnację.

Schwarzfuchs zmrużył oczy złośliwie.

- Cóż za skromność! Deputacja Indagacyjna, proszę państwa, to nic innego jak tajna policja powołana do wykrywania tak zwanych zdrajców ojczyzny oraz moskiewskich agentów. Pan de Berzeviczy tyłu ich wytropił, że gdyby w porę nie schronił się pod skrzydła naszego Najjaśniejszego Pana, zawisłby niechybnie na moskiewskim stryku! Raz jeden się pomylił i dlatego wystąpił z policji. Otóż...

- Nikt nie jest ciekaw pańskich rewelacji - przerwał mu Benesz, tym razem wyprowadzony z równowagi, drżącą ręką ocierając spotniałe nagle czoło.

- Przeciwnie - ciągnął komisarz bezlitośnie - wszyscy mają prawo wiedzieć, dlaczego wolał pan raczej wypuścić z ręki nawet takiego zbrodniarza jak Baczyński, niż oddać go sprawiedliwości bez niezbitych dowodów winy. Otóż zdarzyło się raz panu baronowi schwytać szpiega, który nie przyznawał się do niczego, a dowodów brakowało. Kiedy praworządny pan Berzeviczy ich szukał, jego bardziej praktyczni i mniej cierpliwi koledzy biciem wymusili na podejrzanym obciążające go zeznania. I powieszono nieboraka bez ceregieli, a zaraz potem znaleziono w archiwum ambasady moskiewskiej pełny rejestr szpiegów i agentów, na którym jego nazwisko nie figurowało...

- To straszne - przerwała mu Anna, spoglądając na Wacława ze współczuciem, ale on, przygnębiony, siedział ze zwieszoną głową i nie patrzył na nikogo.

- Przeciwnie, to ucieszne. Bo ten skazany naprawdę był agentem, tylko nie moskiewskim, ale naszym i dlatego nie było go na przechwyconej liście! A ponieważ w tej wojnie zachowaliśmy neutralność, więc nie mogliśmy się do biedaka przyznać, ani nawet wysunąć potem przeciw panu Berzeviczy oskarżenia. Dlatego miło mi stwierdzić, że wyrzuty sumienia były mu przez cały ten czas dostateczną karą. No i czy to nie zabawne?

Zaśmiał się na całe gardło i śmiał dopóty, dopóki zniesmaczony hrabia mu nie przerwał:

- Marnujesz nasz czas, mój panie. Baron de Dondangen może był kiedyś policjantem, lecz to jego rzecz. Nie przybył do nas bowiem w tym charakterze ani tym bardziej szpiegować, w przeciwieństwie do waszeci. A skoro Baczyński się wymknął, pana chyba też nic już tu nie zatrzymuje...

Wstał, ale Schwarzfuchs spojrział nań zimno i ostentacyjnie rozwalił się w krześle z prowokacyjną arogancją.

- Siadaj pan, bo się zmęczysz, nim z wami skończę. Ujęcie Baczyńskiego to nie jedyna sprawa, która mnie tu przywiodła, ani nawet najważniejsza. Czy mówi coś państwu nazwa Centralizacja? - Potoczył wzrokiem dookoła. - Niektórym może faktycznie nic, więc wyjaśnię, że jest to polski spisek zmierzający do wywołania rebelii na terenie całej Galicji. Ajenci Centralizacji przemierzają kraj i utrzymują łączność między poszczególnymi grupami spiskowców.

- I cóż z tego? - spytał hrabia, ale usiadł posłusznie. - Tu jest Spiż, a nie Galicja.

- Ale właśnie tu zawiązało się sprzysiężenie, i to pod pańskim nosem, mości hrabio! I trudno ci będzie wykazać, żeś nic o tym nie wiedział.

- Bzdury!

- Spójrz na pannę Rubinowską, a zmienisz zdanie.

Nie tylko hrabia, ale i pozostali wgapili się w Annę z niebotycznym zdumieniem, z wyjątkiem jednego Waclawa. Dziewczyna pobladła i nie wiedziała, gdzie uciec z oczyma.

- Anno? Powiedz coś - rzekł hrabia. Rubinowska milczała.

- Zaprzeczanie nie ma sensu - powiedział policjant i poklepał się po kieszeni na piersiach. - Tu mam papiery z biurka panny Rubinowskiej. Są to tak mocne dowody winy, że nawet pan Berzeviczy nie mógłby wymarzyć sobie lepszych.

- Złodziej - powiedziała z pogardą. - I prowokator! To ty kazałeś mi wszystko zapisywać!

- Anno! - zawołał z rozpaczą Palocsay. - Ja chyba śnię! Ty nie mogłaś

uczynić tego, o co posądza cię ten okropny człowiek?

Pijarzy przyglądali się jej z ciekawością, baron Jungenfeld z jawnym potępieniem, natomiast Francuz z nieukrywanym podziwem. Pod wpływem tych spojrzeń nagle uspokoiła się, podniosła dumnie głowę, w oku zabłysła jej iskra i już otwierała usta, by rzucić im wszystkim w twarz swoje przyznanie.

- Proszę nic nie mówić - ostrzegł ją szybko Waclaw, który właściwie zinterpretował stalowobłękitny błysk w szmaragdowych oczach.

- Polubiłem panią - stwierdził Schwarzfuchs ze świętoszkowatą miną dobrego wujaszka - ale jestem urzędnikiem państwowym i znam swoje obowiązki. Zostaniesz aresztowana.

- To jakieś horrendalne nieporozumienie! - zawołał hrabia. - Równie dobrze możesz pan aresztować każdego z nas!

Komisarz wyszczerzył zęby w szyderym uśmiechu i zakręcił młynka laseczką.

- To bardzo prawdopodobne. Horwath zdębiał.

- Podejrzewasz kogoś jeszcze? - wyjąkał.

- Wszystkich!

Agent napawał się poruszeniem, jakie spowodowało jego oświadczenie.

Pijarzy, z braku otwartego nieba, wzniesli oczy do sufitu, z wyjątkiem najmłodszego z nich, który błędził wzrokiem dookoła, jakby nic z tego nie rozumiał; Jungenfeld przybrał pozę obrażonej niewinności; Francuz uśmiechał się z politowaniem i tylko Waclaw nie zareagował w ogóle, myśląc intensywnie nad sposobem wywikłania Anny z matni. Nic nie przychodziło mu do głowy i z tego powodu nie mógł cieszyć się przysługą, jaką mimowolnie oddał mu komisarz. Bo choć zabił w życiu

wielu ludzi, a jeszcze więcej oddał w ręce kata, to tylko śmierci owego rzekomego moskiewskiego szpiega czuł się naprawdę winny i tamto wspomnienie dręczyło go latami. Teraz ten kamień spadł mu z serca z wielkim hukiem, ale nastąpiło to w fatalnym momencie.

- Panie! - warknął Palocsay przez zaciśnięte zęby, pochylając się groźnie ku agentowi. - Bacz, co mówisz, zapewniam cię bowiem, że Horwathom wystarczy w Wiedniu koneksji, aby zwichnąć ci karierę na zawsze!

- Ciekawe, ilu przyjaciół panu zostanie, drogi hrabio - rzekł nieporuszony policjant, znów poklepując się po kieszeni - gdy mój raport dotrze do Najjaśniejszego Pana. Wniosek w nim zawarty jest taki, że zamek Dunajec to istne siedlisko zdrady i występku, a pan za to odpowiadasz. I nie myśl, że nie wiem o twoich sekretnych spotkaniach z Gregorem Berzeviczym, tym madziarskim podżegaczem...

Jungenfeld porwał się z miejsca.

- Tak czy owak, mnie to nie dotyczy. Możecie sobie słuchać tych bredni, lecz ja nie zamierzam. Natychmiast wyjeżdżam!

- Nikt stąd nie wyjedzie bez mojej zgody - zgasił go komisarz. - Waszmości to również się tyczy.

- A niby z jakiej racji? - zaprotestował Prusak. - Jestem tu tylko gościem! Horwath skrzywił się z niesmakiem, ale nic nie powiedział, za to Austriak pogiębił współplemieńca:

- Czyż nie pańskim gościem był wpierw monsieur Colignac, zanim pojawił się w Dunajcu?

- Ttak... Ale co to ma do rzeczy? Francuz uspokajającym gestem położył rękę na ramieniu zdenerwowanego Jungenfelda.

- Masz pan coś przeciwko mnie? - spytał policjanta.

- Jeśli pan jesteś siostrzeńcem markizy d'Armanteuil.

- Owszem, była moją ciotką. Przekłęci jakobini zgilotynowali biedaczkę bodaj w dziewięćdziesiątym trzecim... - westchnął Gaskończyk z bólem stosownym do okoliczności.

- W takim razie miło mi powiadomić - odparł sardonicznie policjant - że markiza ma się doskonale, przebywa aktualnie na wiedeńskim dworze i z całą stanowczością twierdzi, iż w dziewięćdziesiątym trzecim na jej oczach zgilotynowano ukochanego jedyne siostrzeńca, prawdziwego kawalera Charles'a de Colignac.

- Chcesz pan rzec, iż nie żyję od trzech lat? - zaśmiał się Francuz, niezmierny w najmniejszym stopniu.

Austriak nie dał się wytrącić z równowagi.

- Chcę powiedzieć, że zabiorę cię do Wiednia i skonfrontuję z markizą, a już teraz mam zamiar dokładnie obejrzeć twój paszport, mój panie. Jeśli zaś podważymy twoją tożsamość, baron Jungenfeld zostanie oskarżony o udział w zмовie i osłanianie jakobińskiego szpiega. To z kolei pachnie zdradą stanu, ponieważ z rewolucyjną Francją prowadzimy wojnę, jeśli państwo łaskawie pamiętają.

Prusak poczerwieniał i omal nie zemdlawszy z emocji, osunął się bezwładnie na siedzenie, jakby szubieniczna pętla już zacisnęła mu się na grubej szyi. Gaskończyk uśmiechał się drwiąco, ale o jego poruszeniu świadczyło bezwiedne bębnienie palcami po blacie stołu. Poza tym panowała cisza. Wszyscy wpatrywali się w Schwarzfuchsa. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, komisarz wylby się w piekielnych mękach. Tymczasem wydawał się w coraz lepszym humorze. Teraz zajął się trójką pijarów, coraz bardziej niespokojnych.

- Drodzy ojcowie jezuici! - zawołał kordialnie. - Nie myśleliście chyba, że o was zapomniałem?

- Jezuici?! - Wacław ocknął się z zamyślenia.

- A tak! Dziwię się, że zdemaskowawszy fałszywego misjonarza, nie rozpoznałeś w rzekomych pijarach jezuitów, ty, pijarski wychowanek - zadrwił komisarz. - Jak wiadomo, jezuitom wstęp do naszej monarchii jest zakazany, ergo przebywacie tu nielegalnie i od razu mogę was aresztować za szpiegostwo. - Obrzucił zakonników surowym spojrzeniem.

Ojciec Franciszek, cały purpurowy, błagalnym wzrokiem poszukał ratunku u Palocsaya, po czym zaprzeczył gorąco:

- To nie tak... Nie jesteśmy szpiegami! Mamy pozwolenie na przejazd przez cesarstwo, a od Ojca Świętego dispensę na oblekanie szat pijarskich, aby uniknąć kłopotów w drodze. Udajemy się z Rzymu do Rosji, gdzie na dawnych polskich ziemiach istnieją jeszcze nasze domy zakonne¹. Już dawno bylibyśmy na miejscu, gdyby nie

Po rozwiązaniu zakonu w 1773 r. jezuici przetrwali jedynie na tych ziemiach polskich, które po rozbiorach znalazły się w granicach Rosji i Prus.

choroba tu przytomnego młodego konfratra, który jest Hiszpanem, oprócz swojego języka zna tylko łacinę, i to słabo, i sam nie poradziłby sobie w podróży.

- Wiedziałem o tym - wtrącił hrabia - lecz milczałem, ojcowie bowiem ze zrozumiałych względów prosili o dyskrecję.

- Hiszpanem? - Policjant nawet chyba nie słuchał hrabiego, nie mniej od innych zdumiony egzotyczną narodowością młodego jezuitę.

- Hiszpanem - potwierdził pater Franciszek. - Nazywa się Ignatio Tenoriol

i pochodzi z Limy w Peru leżącej - na dźwięk znajomych słów młody jezuita podniósł głowę. - Od dziecka marzył, by zostać żołnierzem Chrystusowym, więc przybył do Rzymu i ubłagał Ojca Świętego, aby zezwolił mu pojechać do Połocka i wstąpić do tamtejszego zgromadzenia Towarzystwa Jezusowego, dokąd i my z ojcem Janem od dawna zamierzaliśmy się przenieść. Nasze paszporty z pewnością są w porządku...

- To się dopiero okaże - przerwał mu brutalnie Schwarzfuchs. - Jak dotąd wszystko wygląda bardzo podejrzanie i bodaj nikt z przytomnych nie jest tym, za kogo pragnie uchodzić.

- I kto to mówi! - zadrwił Francuz.

- Na razie rzucasz pan same gołosłowne oskarżenia i żadnych dowodów. Myślę, że wcale nie musimy cię słuchać - zauważył Wacław.

- Dowody zaraz będą, niech tylko wróci kapitan Kaunitz. A pan lepiej bądź cicho, bo mam zamiar nareszcie rozliczyć cię za wszystkie dawniejsze i nowe sprawy.

- Jakież to zbrodnie popełniłem? - zaciekawił się Benesz. - Bo zapomniałem.

- Walczyłeś w waszym żalonym powstaniu przeciw naszym sojusznikom, potem trudniłeś się podejrzanym procederem, który nazywasz handlem sukiennym, a ja kontrabandą. Gdybyś nie strzelał

Postać i wydarzenie historyczne.

tak celnie, już byśmy cię mieli. Pamiętasz ostatnią potyczkę z celnikami?

- Od dawna nawet nie zbliżałem się do granicy - uśmiechnął się drwiąco Wacław - i nie sposób wykazać, że było inaczej.

- Już ja znajdę sposób, możesz pan być pewny - odparł komisarz z

wyraźną pogroźką w głosie. - Może nawet szybciej, niż ci się zdaje - dodał, widząc wchodzącego do komnaty Kaunitza.

- I co, kapitanie? - ponaglił oficera.

- Nic - kapitan rozłożył ręce. - Melduję, panie komisarzu, że w komnatach nie znaleźliśmy nic podejrzanego. A co gorsza, wszyscy chłopci, których wykaz od pana otrzymałem, wyparowali nagle jak kamfora i nikt nie wie, gdzie ich szukać. Moi ludzie wrócili z pustymi rękoma.

Agent podniósł swe ogromne cielsko. Poczzerwieniał tak, że wydawało się, iż krew zaraz tryśnie mu z twarzy, po czym wybuchnął:

- Oczywiście, mogłem się tego spodziewać! - zawarczał. - Pan nie znalazłbyś nawet belki we własnym oku, Kaunitz!

Oficer pobladł i przełknął ślinę, ale odparł z godnością:

- Von Kaunitz, jeśli łaska. Jestem szlachcicem i nie pozwolę się obrażać.

Policjant stracił panowanie nad sobą, wyrznął łaską o stół i wrzasnął:

- Idiota, oto kim pan jesteś! Całkowicie nieudolny idiota, von Kaunitz! I taką właśnie opinię o tobie sporządziłem. - Znów klepnął się w kieszeń na piersiach. - Jak tylko dotrze do Wiednia, pójdiesz pan na front włoski, i to na pierwszą linię, bądź pewien! I żadne koneksje ci nie pomogą!

Zamaszystym ruchem nasadził cylinder na głowę, wziął nieodłączną laseczkę i pomaszerował do wyjścia, po drodze zatrzymując się przed Wacławem. Godząc weń łaską jak szpada, syknął:

- Zniknięcie chłopów to niechybnie pańska sprawka. Myślisz, że nie wiem, kto cię niedawno odwiedził? Tego drugiego nie znam, lecz olbrzym nie mógł być nikim innym jak osławionym Deniską, poszukiwanym listem gończym w całym cesarstwie! Teraz ponoć

jest już na Bukowinie, ale wróci i wtedy będzie mój. A pan już możesz się

uważać za aresztanta. Idę sam przeszukać komnaty, waść tu zostaniesz i przypilnujesz ich - zwrócił się do kapitana. - Dopóki nie wrócę, nikomu nie wolno opuszczać tej sali. To rozkaz.

Wyszedł, zostawiając za sobą atmosferę bardziej zmrożoną od lodu.

Pierwszy otrząsnął się hrabia.

- Anno, bądź tak dobra i zarządzaj śniadanie. Mam nadzieję, że pomówienia komisarza nikomu nie odebrały apetytu.

Przygnębiona dziewczyna podniosła się, von Kaunitz zaś, z nieszczęśliwą miną, już otwierał usta, by ją zatrzymać, gdy Palocsay go ubiegł:

- Pana, mości kapitanie, oczywiście prosimy do kompanii. Wygląda na to, że także padł ofiarą tego szaleńca.

Oficer, który nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić, skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

- Przykro mi - powiedział, zajmując miejsce opuszczone przez policjanta - ale na nic nie mam wpływu. Komisarz cieszy się poparciem u samej góry.

Myślę jednak, że tylko straszy. Aby aresztować takie osoby jak pan, hrabio, i pańscy goście, musi mieć imienny nakaz podpisany przez Najjaśniejszego Pana albo przynajmniej ober-policmajstra.

- Sądząc po jego determinacji, gotów się o nie wystarać - mruknął Horwath smętnie.

- Przecież to wariat! Tylko w chorym umyśle mogły się urodzić podobne niedorzeczności! - oburzył się Jungenfeld, który po odejściu agenta nabrał rezonu. - Chyba nikt mu nie uwierzy?

Rozejrzał się z nadzieją, że ktoś go poprze, ale nikt tego nie zrobił, tylko Wacław zauważył:

- Doskonale mówi po polsku. Ciekawe, gdzie się nauczył.

- Ponoć miał matkę Polkę - wyjaśnił Kaunitz.
- I to chyba jedyne, co dobrego można o nim powiedzieć - stwierdził hrabia i wszyscy nareszcie się roześmiali.

Nastroje nieco się poprawiły, zwłaszcza gdy do śniadania rozlano wino.

- Już za to jedno wolę Baczyńskiego od naszego komisarza. Tamten przynajmniej oszczędził moje wina. A ten nie dość, że jadł i pił za trzech, to jeszcze mnie szpiegował - skomentował Palocsay.

Nawet Kaunitz uśmiechnął się pod wąsem. Nagle uśmiech spelzł mu z warg i oficer zamarł z kieliszkiem niesionym do ust, bo w drzwiach ukazał się Schwarzfuchs, uśmiechnięty i tryumfujący. Wacław poczuł zimno w żołądku. Instrukcję otrzymaną od Ogińskiego ukrył w podwójnym wieku kuferka. Skrytka była bardzo zmyślna, ale tak doświadczony i przebiegły policjant, prawdziwy chytry lis, mógł ją odkryć. Pokazał przecież, jak niewiele umykało jego uwadze. Nie należało kusić losu i ukryć dokument poza zamkiem.

- Znalazł pan coś, komisarzu? - zapytał kapitan.
- Nie pańska sprawa - odrzekł brutalnie policjant, pozostając w progu. - Zabieram więźnia i natychmiast wyjeżdżam do Lubowli sporządzić raport, a potem do Wiednia. Za parę dni wracam i zrobię tu porządek. Pańską sprawą jest dopilnować, by pod żadnym pozorem nikt nie opuszczał zamku do mego powrotu.

Uśmiechnął się drapieźnie i powiedział do Wacława z udanym żalem:

- Rozczarowałeś mnie, baronie. Twoje wyczyny w policyjnej robocie przeszły do legendy i myślałem, że znajdę w tobie godnego przeciwnika. Żegnam państwa. - Ironicznym gestem uchylił cylindra.
- Niech pan chociaż weźmie ze sobą paru dragonów! - zawołał za nim

Kaunitz.

- Te niedojdy? Zawadzaliby mi tylko - odparł Schwarzfuchs. Wyszedł, a kapitan opadł na krzesło ze zbolaną miną.

- Tak jak przypuszczałem. Jedzie do Wiednia po nakazy aresztowania.

Musi być bardzo pewny swego - westchnął. - Marny mój los, jak wróci.

Nikt się nie odzywał. Zapewne, podobnie jak kapitan, nikt by się nie zmartwił, gdyby policjanta spotkało po drodze coś złego. Nagle

Benesz przypomniał sobie coś. W tej chwili Anna pociągnęła go za rękaw.

- Jesteśmy zgubieni - szepnęła ze ściągniętą ze zmartwienia twarzą.

- Jeszcze może spotkać po drodze Baczyńskiego - zauważył chłodno. -

Jestem nawet prawie pewien, że spotka.

- Pan myślisz, że... - Oczy jej się rozszerzyły z przerażenia. - Musimy go ostrzec!

- Ani myślę - powiedział sucho i po raz pierwszy usłyszała w jego głosie bezwzględne nuty. - Wie, co mu grozi. Widział kukłę tak samo jak my.

- A jednak go ostrzeżę! - Zerwała się i wybiegła z komnaty.

- Cóż ją tak przypiliło? - zdziwił się hrabia.

- Sumienie - mruknął Wacław. - Pobiegną ostrzec komisarza przed Baczyńskim.

Kawaler de Colignac wypowiedział głośno to, o czym każdy myślał w skrytości ducha:

- Sumienie to rzecz bardzo niepraktyczna. Są chwile, gdy lepiej go nie budzić.

Nikt się nie odezwał. Unikali też swego wzroku. Wszyscy bez wyjątku zgadzali się z Francuzem, zdając sobie sprawę, że nie przynosi im to zaszczytu. Zdążyli wychylić po kielichu wina, nim wróciła zdyszana.

- I co? - zapytał hrabia.

- Wyśmiał mnie.

Schwarzfuchs wybrał dwa najlepsze wierzchowce, by jak najprędzej dotrzeć do cyrkułu, gdzie chciał zostawić więźnia, i natychmiast wyruszyć do Wiednia z raportem, który od dawna układał sobie w głowie i nieustannie cyzelował w pamięci, by nadać mu formę, która zasługi komisarza przedstawiłaby w najjaśniejszym świetle. Wbrew temu, co rozgłaszał, nie sporządził jeszcze sprawozdania na piśmie, zbyt wiele bowiem od niego zależało, cała jego kariera, aby robić to pospiesznie. Nie miał też zamiaru informować o wszystkim starosty, a nawet zastanawiał się, w jaki sposób ominąć dyrektora policji, swego bezpośredniego zwierzchnika, i dotrzeć do samej góry - cesarza lub co najmniej ministra spraw wewnętrznych.

Schwarzfuchs był urodzonym intrygantem. Chociaż pochodził z rodziny mieszczańskiej, dzięki inteligencji i talentowi śledczemu szybko wspinał się po szczeblach kariery w dyrekcji policji, gdzie jednak nie cieszył się sympatią, ponieważ niechętnie współpracował w zespole, a cudze sukcesy potrafił zręcznie zdyskontować na własną korzyść. Taka taktyka nie przysparzała mu przyjaciół, ale bardzo przydawała się w pracy zawodowej. Komisarz łatwo zdobywał zaufanie ludzi, których rozpracowywał, by potem bez żadnych skrupułów wykorzystywać przeciw nim zdobyte informacje. Naczelnik policji nie ufał mu, całkowicie słusznie podejrzewając, iż Schwarzfuchs czeka tylko na okazję, by zająć jego miejsce. Dlatego wysłał komisarza na Spisz, mając cichą nadzieję, że tu Schwarzfuchsowi, który nigdy nie pracował w terenie, powinie się noga. Schwarzfuchs doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział też, że

rozbięciu bandy pospolitych rzezimieszków nie przysporzy mu oczekiwanych laurów, dlatego od początku traktował to zadanie marginalnie jako dogodny pretekst do przedłużania pobytu na Spiszu. Szybko zorientowawszy się, że niepowodzenia Kaunitza muszą mieć związek ze zdrajcą w jego oddziale, rychło wytypował do tej roli prawą rękę kapitana, kaprala Chowańca, lecz nie spieszył się z jego aresztowaniem. Baczyńskiego też nie poszukiwał nazbyt gorliwie, a informację o okaleczeniu watażki, która pozwoliła mu zdemaskować Cymera, zdobył właściwie przypadkiem, a nie w toku systematycznego śledztwa.

Skoncentrował się na sprawie domniemanego spisku. Niestety, ku swemu wielkiemu rozczarowaniu już po upływie krótkiego czasu zorientował się, że nic takiego nie istnieje, więc... postanowił sam założyć tajne polskie przysiężenie, wykorzystując niezadowolenie miejscowego chłopstwa i zapal patriotyczny naiwnej Rubinowskiej.

Wszystko szło doskonale, panna bowiem okazała się podatna na manipulację i oddała się swemu zadaniu z wielkim zapałem, dzięki czemu Schwarzfuchs mógł pozostawać w cieniu. Pięknym akordem końcowym i koronnym dowodem zbrodniczej działalności przysiężonych mogło być powieszenie barona de Berzeviczy i towarzyszącego mu Anglika, gdyby drugi Berzeviczy nie wszedł komisarzowi w paradę.

Schwarzfuchs nie zdołał powstrzymać tryumfalnego uśmiechu na wspomnienie Benesza. Wcale nie kłamał, mówiąc o swoim podziwieniu dla niego. Wyczyny Benesza podczas insurekcji odbiły się głośnym echem w tajnych służbach wszystkich państw zaborczych. Rosjanie rzeczywiście mocno naciskali na wydanie im po wojnie Polaka, ale nie uczyniono tego z

obawy przed skandalem, albowiem Benesz był poddanym austriackim, a na terenie cesarstwa nie popełnił żadnego przestępstwa. Zwrócono jednak na niego baczna uwagę i spróbowano go przyłapać na kontrabandzie, lecz okazał się za sprytny zarówno dla celników, jak i nasłanych nań agentów. Toteż komisarz był bardzo rad, spotkawszy go na zamku. Potraktował to jako wyśmienitą okazję do pojedynku między dwoma wybitnymi policjantami, gdyż sam się za takiego uważał i sława Benesza drażniła jego dumę. Nie śmiał nawet marzyć o tym, że Polak da się wciągnąć w prawdziwy spisek, a tymczasem komisarz wiózł ze sobą niezbity dowód, który ucieszy nie tylko władze austriackie, lecz i sąsiedniego mocarstwa. Dowód przeciw Beneszowi oraz sprawa Rubinowskiej pogrążyły również hrabiego Horwatha, który i bez tego zgromadził wokół siebie dziwaczne zbiorowisko podejrzanych osobników, przez co oskarżenie go o spiskowanie przeciw monarchii bardzo zyskiwało na prawdopodobieństwie. Schwarzfuchs doskonale wiedział, jak złą opinią w kręgach bliskich cesarzowi cieszyli się krnąbrni magnaci węgierscy. Wieczne problemy stwarzał Gregor de Berzeviczy swoimi buntowniczymi wystąpieniami w parlamencie, a inni Madziarzy nie byli lepsi, choć tak jak Palocsayowie na ogół lepiej się maskowali z niechęcią do monarchii. Komisarz nie wątpił, że powieszenie Gregóra przez zbuntowane chłopstwo powitano by w Wiedniu ze skrywanym zadowoleniem, i bardzo żałował, że do tego nie doszło. Oskarżenie o zdradę Horwatha mogło też doskonale posłużyć do rozprawienia się z węgierską opozycją, a człowiek, który do tego doprowadził, miał prawo liczyć na stosowną nagrodę. Schwarzfuchs był naprawdę w wyśmienitym humorze. Nie czuł osobistej niechęci ani tym bardziej nienawiści do Rubinowskiej, Benesza czy

Horwatha, przeciwnie, nawet ich polubił. Jak wszystkie swoje poprzednie ofiary, dzięki którym zaszedł wysoko, a zamierzał zająć o wiele wyżej.

- Nie ociągaj się! - Odwrócił się w siodle i pociągnął za sznur, na którym prowadził wierzchowca dźwigającego na swoim grzbiecie skutego więźnia.

Chowaniec, dzwoniąc kajdanami, posłusznie uderzył piętami w koński bok. Dawno minęli spichlerz i właśnie wjeżdżali do lasu. Schwarzfuchs specjalnie wybrał drogę przez wzgórze Tabor, znacznie krótszą, a poza tym pozwalała ona uniknąć napotkania ciekawskich, co z kolei mogło zwabić towarzyszy aresztanta. Komisarz co prawda nie wierzył, by ktoś próbował odbić więźnia, ale lubił dmuchać na zimne. Zupełnie lekceważył pogrożki watażki i był głęboko przekonany, że ze strachu przed nim Baczyński ze swą bandą dawno już uciekł gdzie pieprz rośnie, odgrządzając się w poczuciu bezsilności. Schwarzfuchs miał wiele wad, a największą z nich była pycha. Ufał w swą nieomyślność i lekceważył dobre rady.

Wierzył też, że wszyscy się go boją, a strach, który rozsiewał, uważał za swój pancerz i nie lękał się nikogo.

W pobliżu odezwała się kukułka. Zakukała dziesięć razy i widocznie podleciała kawałek, bo znów ją usłyszeli całkiem blisko. Teraz kuknieć było dziewięć. Policjant nie zwrócił na to uwagi, ale w postawie więźnia zaszła zmiana. Wyprostował się i zaczął nasłuchiwać. Kukułka dała głos jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem wydając z siebie o jeden dźwięk mniej, a twarz Chowańca rozjaśniała się coraz bardziej.

- Uparte ptaszysko! - Zdenerwował się wreszcie komisarz, gdy kolejny raz usłyszał kukułkę i jej tym razem trzykrotne kuku. - Ejże, a tobie co tak wesoło? - huknął na więźnia, gdy ten, wodząc oczyma dookoła, zapomniał

popędzać wierzchowca. - W starościńskim lochu już zetrą ci z gęby ten głupi uśmiech! - Schwarzfuchs najchętniej wcale nie brałby ze sobą aresztanta, lecz nie miał zaufania do Kaunitza, a poza tym musiał coś sprezentować staroście na odczepnego.

Chowaniec wzruszył lekko ramionami i przybrał stosownie ponury wyraz twarzy, ale oczy mu błyszczały.

Natychmiast po powrocie do siebie Waclaw sprawdził skrytkę i znalazł ją opróżnioną. Teraz już naprawdę tylko cud mógł go uratować. A i hrabia przez niego będzie musiał się gęsto tłumaczyć. Nic dziwnego, że mając taki dowód w ręku, komisarz nie potrzebował żadnego więcej. Nie zdążył się jednak porządnie zastanowić nad wszystkimi możliwymi konsekwencjami swojej nieostrożności, gdy znów zaalarmowało go wołanie Juraja:

- Wielmożny panie, wielmożny panie! Szybko zamknął kufer i uchylił drzwi.

- O co chodzi tym razem?

- Nie wiem. Przed chwilą pan kapitan Kaunic dostał jakąś wiadomość. Zebrał żołnierzy i pognali, co koń wyskoczy. Grof zaś wzywają jaśnie pana na dół.

Zamknął drzwi i poszedł z chłopakiem. Mijając studnię, napomniął go:

- Znowu moczysz wiadro. Cymera nie ma, ale w końcu ci się od kogoś oberwie.

Na dole nikt nie wiedział, co spowodowało nagły wyjazd wojska. Zostało jednak kilku żołnierzy pilnujących bramy, lada chwila spodziewano się powrotu pozostałych. Jakoż i nie czekano długo.

- Mam przykrą wiadomość - ogłosił Kaunitz bez wstępów, wchodząc do

jadalni z brzękiem ostróg.

Wbrew zapowiedzi wcale nie wyglądał na posłańca złych wieści. Był poruszony i zdyszany, ale na rumianym obliczu malował się wyraz słabo maskowanej satysfakcji.

- Pan komisarz Schwarzfuchs został zamordowany. Niedaleko stąd. W lesie, u podnóża góry Tabor, opodal zapuszczonej kapliczki. Ciało znaleźli smolarze.

- Straszne! - zawołała blada jak śmierć Anna.

- A więzień? - spytał przytomnie Francuz.

- Ani śladu. Uciekł.

- Zdrożonyś, kapitanie. - Horwath podał oficerowi puchar wina. -

Przeplucz gardło.

Kaunitz nie dał sobie dwa razy powtarzać. Wychylił wino duszkiem.

- Brr... Co to był za widok! Bandyci, bo to niechybnie ich robota, najpierw powiesili komisarza na gałęzi, a potem przybili do drzewa jego własną szpadą ukrytą w lasce... O, pardon, madame.

- Pan komisarz, świeć Panie nad jego duszą, nie był przyjemnym człowiekiem - rzekł hrabia po chwili ogólnego milczenia - ale takiego końca nawet jemu bym nie życzył.

- Sam sobie winien - stwierdził oficer bezceremonialnie. - Przecież chciałem mu dać eskortę, są państwo świadkami. Panna Rubinowska zaś ostrzegła go przed zbrojcami. Tylko że on wszystko wiedział lepiej. A teraz jeszcze czeka mnie schwywanie morderców.

- Może pan zawsze liczyć na naszą pomoc, kapitanie - zapewnił go hrabia.

- Ofertę przyjmuję wdzięcznym sercem. - Ponieważ Wacław dolewał mu właśnie wina, nie bardzo było jasne, do czego odnosi się podziękowanie. -

Niestety, na mnie czas - westchnął, otarł wąsy rękawem i odwrócił się do wyjścia.

- Aha - dodał, jakby coś sobie przypominając. - Przy trupie nie było żadnych papierów, widać zbójcy je zabrali. Wiem zaś, że komisarz jeszcze nie rozmawiał ze starostą. Myślę zatem, że w tej sytuacji nie ma potrzeby wspominać panu staroście o pomówieniach, których nieboszczyk nie szczędził zarówno państwu, jak i mnie. Każdy ma prawo się mylić, a komisarz drogo zapłacił za swoje błędy. Wodził oczyma od jednej osoby do drugiej, jakby chcąc się upewnić, czy znaczenie jego słów do nich dotarło.

- Ma pan całkowitą rację - zapewnił go gładko Horwath. - W tej sprawie zdajemy się na waszmość pana z całą ufnością, że pański raport nie obciąży dobrej sławy świętej pamięci komisarza, który tropiąc bandytów, zginął na posterunku.

- Ergo doskonale się rozumiemy - powiedział oficer znacząco, nasadził na głowę kaszkiet i otworzył drzwi, ale znowu sobie coś przypomniawszy, wsadził rękę do kieszeni kurtki.

- Zapomniałem państwu powiedzieć, że komisarza powieszono jak zbójcę. Za siódme żebro. Na tym.

Odwinął z chustki wydobyty przedmiot i podniósł do góry, aby wszyscy mogli go sobie dokładnie obejrzeć. Zmartwieli ze zgrozy, był to bowiem hak, który występującemu w roli Cymera Baczyńskiemu zastępował rękę. Tu i ówdzie na czarnej stali rdzawo połyskiwały krwawe plamy.

Wieści rozchodzą się na wsi szybko, więc jeszcze tego samego wieczora ksiądz Lorenc zaszedł z latarką do cmentarnej kaplicy, gdzie na małej powierzchni tłoczyło się kilkunastu ludzi.

- Możecie wracać do domów, niebezpieczeństwo minęło. Pojedynczo lub parami członkowie „bractwa złamanego pióra” wymykali się i znikali w ciemnościach. Ostatni wyszedł Śpiewak.

Sebastian

Miło mi pana widzieć, baronie. Proszę siadać, jeśli uda się panu znaleźć trochę miejsca i wolne krzesło - zaśmiała się Anna, szerokim gestem obejmując gabinet zagracony papierami poniewierającymi się dosłownie wszędzie. Podźwignął i przystawił sobie kufer stojący dotąd pod ścianą.

- Oho! - zawołała z uznaniem. - Anim podejrzewała waszmości o tyle krzepy!

Nie nadał się z dumy tylko dzięki wrodzonej skromności, choć kufer, pewnie pełen szpargałów, faktycznie był piekielnie ciężki. Ćwiczenia, którym na leśnej polanie nadal oddawał się z zapalem, zaczynały przynosić rezultaty. A zresztą nic innego nie miał do roboty i nudził się piekielnie. Wracając z lasu, z reguły zatrzymywał się przy lamusie i tęsknie spoglądał w stronę ekonomówki, nie miał wszakże śmiałości nachodzić dziewczyny tak często, jakby chciał.

- Nielitościwa jesteś, skąpiąc nam swego towarzystwa - poskarżył się. - Bez ciebie nudno w zamku, że od ziewania można wywichnąć szczęki. Po enuncjacjach tragicznie zgasłego komisarza w zamku panował nie najlepszy nastrój, chociaż minęło już od tamtej pory kilkanaście dni i nic się nie stało. Widać Kaunitz miał rację - Schwarzfuchs nikomu nie zwierzył się ze swoich podejrzeń. Mimo to atmosfera była zwarzona. Anna odbyła przykrą rozmowę z Palocsayem. Wacław przez zamknięte drzwi, dzięki pogłosowi w sieni pod średnim

zamkiem, przypadkiem usłyszał rzucone w gniewie słowa hrabiego: „Moja droga, twoje ekstrawagancje przekroczyły wszelkie granice! Przez ciebie mogłem mieć duże nieprzyjemności. Absolutnie domagam się, byś przestała mieszać się do polityki!”. Potem rozmowa przeszła w niezrozumiały szmer, ale widocznie Annie udało się przekonać hrabiego, by powierzył jej obowiązki ekonoma, bo na zajutrz wyprowadziła się do ekonomówki. A ponieważ swoje obowiązki traktowała niezwykle poważnie, prawie przestała bywać w zamku. Jedyne jezuici, z którymi nadal współpracowała nad różnymi projektami, mieli do niej nieograniczony dostęp. Kawaler de Colignac kilka razy opuszczał dwór jak niepyszny, więc Waclaw też nie ryzykował częstych wizyt.

Nieobecność Anny, która werwą i uszczypliwym dowcipem wносиła wiele ożywienia, dodatkowo psuła humory zamkowym. Na domiar pogoda, jak to w listopadzie, zaczynała się psuć na dobre, a Sebastian wciąż nie dawał znaku życia. Nawet Waclaw się niecierpliwił, nie mówiąc o hrabim, dla którego oczekiwanie stawało się irytujące tym więcej, że aż palił się do wielkich łowów w jaworzyńskich lasach, gdzie wykryto ogromnego niedźwiedzia, wbrew instynktowi i zwyczajom swego gatunku grasującego w okolicy, zamiast układać się do zimowego snu. W końcu najpierw Jungenfeld pojechał do Jaworzyny, aby poczynić przygotowania, a dwa dni po nim Palocsay, zabierając obu przybocznych i połowę hajduków. Tylko Colignac wciąż odwlekał wyjazd, nie chcąc zostawić Rubinowskiej na pastwę Benesza.

- Słyszałam, że odnaleźliście w zamku jakieś tajemne lochy?

Dla zabicia czasu Horwath rzucił projekt sprawdzenia wszystkich piwnic i lochów, co zostało ochoczo podchwyczone, ponieważ cudowne

rozpłynięcie się Baczyńskiego w powietrzu wymagało bardziej naukowego wyjaśnienia, jak na wiek oświecony przystało. Penetracją objęto zarówno dolny, jak i górny zamek, lecz rezultaty wielogodzinnych poszukiwań okazały się nader mizerne. Z jednym wyjątkiem.

- Nie odkryliśmy niczego oprócz osobliwej krypty pod starą kaplicą. Wchód do niej stanowiła płyta kamienna wpuszczona w pawiment, niewidoczna pod stertą gruzu i kurzu.

- Dlaczego osobliwej?

- Bo nikogo w niej nigdy nie pochowano. Całość jest za to bardzo regularna i dokładnie obmurowana, zwłaszcza na spodzie. Nie wiem, do czego dawniej mogła służyć, wiem za to, komu i do czego posłużyła całkiem niedawno... - zawiesił głos.

- Do czego? - ponagliła go zaciekawiona.

- Zbójcy uczynili wyłom w murze i przez kryptę przedostawali się na górny zamek, nie rzucając się nikomu w oczy. Z zewnątrz dziura znajduje się u samego podnóża skały pośród zarośli i z dołu jest niewidoczna.

Prowadzi do niej od rzeki wąska ścieżyna ledwo zauważalna w gęstwinie.

- Bardzo sprytne, ale przecież Baczyński tamtędy uciec nie mógł.

- Nie, lecz mógłby tamtędy wrócić, dlatego trzeba będzie dziurę zamurować.

- Zatem zniknięcie Baczyńskiego nadal pozostaje niewyjaśnione?

- Owszem - przyznał niechętnie.

- Chyba się domyślam przeznaczenia tej dziwnej krypty - rzekła po zastanowieniu. - Czytałam gdzieś, że w starych zamkach budowano dodatkowe akweny, na wypadek długotrwałego obleżenia. Może wpierv był tam taki zbiornik, zanim jeszcze wydrążono studnię, a dopiero potem

nad nim postawiono kaplicę?

- Bardzo możliwe - przyznał. - Ale dość o tym. Jakże pani sobie radzisz w nowej roli?

- Nowej-nienowej. Pomagałam w Pławcu tamtejszemu administratorowi, więc z grubsza znam się na tym. Zebyż tylko pan Leszczyński zostawił papiery w lepszym porządku - westchnęła. - Z miesiąc mi zejdzie, zanim się w tym bałaganie wyznam, a gdzie plany unowocześnienia gospodarstwa?

Pawiment - posadzka.

- Z tym bym się nie spieszył. Pan hrabia wyglądał ostatni tak, jakby stracił odporność na pomysły waćpanny - zauważył uszczypliwie.

- Za to dla waści będą jak znalazł, jeśli pański stryj wreszcie tu dotrze - odpaliła, akcentując słowo „jeśli”. - A wracając do Leszczyńskich, dostałam list od Basi...

Pogrzebała wśród papierów na biurku, wydostała kartkę w kolorze i o zapachu lawendy, bezceremonialnie przesunęła stos papierzysk i usiadła na blacie, nonszalancko majtając nogami przed nosem Wacława.

- „Kochana Anulu...”, to raczej pana nie zainteresuje - mruknęła, przebiegając równe rzędy dosyć dziecinnego pisma. - W każdym razie Leszczyńskim powodzi się dobrze, mają przyzwoite locum przy szpitalu, Basia pomaga siostrze zakonnej pielęgnować ciężko chorych, pan Leszczyński prowadzi ojczulkom buchalterie - oby staranniej niż tutaj - ale najciekawsze jest postscriptum, posłuchaj pan: „Imaginuj sobie, Anulu miła, kto nas wczoraj nawiedził? Nigdy nie odgadniesz. Pan Sebastian de Berzeviczy, stryjasek naszego kochanego pana barona! Nie wiem, skąd tu się wziął, lecz zdaje się być w wielkiej konfidencji z samym ojcem

przeorem. W każdym razie odwiedził nas i długo rozprawiali z papą, ale o czym, nie wiem, bo tatulo mnie oddalili". No i co waść na to?

- Jestem zaskoczony - wyznał szczerze. - Jakim sposobem stryj znalazł się w Krakowie? Jaką datę ma list?

- Sprzed tygodnia. Przyszedł dziś rano.

- W takim razie i stryja lada dzień można się spodziewać.

- Niewykluczone - odparła raczej obojętnie. - Nie jesteś ciekaw innych fragmentów listu, „nasz kochany panie baronie”? - przedrzeźniała zgryźliwie.

- A mam powody? - zdziwił się.

- Myślę, że tak, albowiem droga Basia przez pół stronicy rozwodzi się detalicznie nad tym, jak to uwolnił ją pan z niewoli u bandytów, a kończy tak: „Powiadam Ci, Anusiu kochana, że pan baron to prawdziwy bohater! Istny rycerz z romansów, którymi się zaczytywałyśmy! I wiedz, że są trzy osoby na świecie, które kocham ponad wszystko: Ty, Tatulo i On!". On jest napisane z dużej litery - poinformowała uprzejmie, podnosząc na niego oczy znad listu. Udawała zupełnie obojętną, a nawet rozbawioną, ale zdradzał ją zimnobłękitny kolor oczu. - Ona się w panu kocha! - Fajtnęła oskarżycielsko nogą, omal nie wybijając mu oka.

- Dziecinada. - Machnął ręką lekceważąco, równocześnie zezując straszliwie na zgrabną kostkę w białej pończosze i małą stopę w wąskim trzewiku, widoczne spod sukni. - Wyrośnie z tego.

- Czyżby? - Uniosła w górę brwi. - Ma osiemnaście lat. To już nie dziecko, tylko kobieta.

Parsknął drwiąco.

- Taka z niej kobieta, jak ze mnie bohater. Dureń jestem, i tyle. Baczyński okazał się o niebo sprytniejszy ode mnie. Pozwolił mi odegrać rolę księcia z bajki uwalniającego księżniczkę z łap smoka po to, by zyskać czas na spokojną ucieczkę. Zabawił się kosztem Leszczyńskich i moim. A ja dałem się wywieść w pole jak głupiec. I tak miałem szczęście, że nie potraktował mnie jak nieszczęsnego Schwarzuchsa. Niech jej pani o tym napisze, to ją powinno otrzeźwić.

- Więc pan jej nie kocha?

Podniósł w górę dwa palce jak do przysięgi.

- Nic a nic. Obym umarł w starokawalerstwie, jeśli łżę.

- Ale przecież pan nie wiedziałeś, że Baczyński to wszystko ukartował. I mimo to tak wiele zaryzykowałeś dla obojętnej sobie dziewczyny? - Nie dowierzała.

Machnął ręką lekceważąco.

- Kwestia rutyny, nie uczucia. Pamięta pani chyba, że uwalnianie dziewczec ze smoczych łap to moja specjalite.

- Chyba nie powiesz, żeś nigdy się w nikim nie kochał? - dociekała.

- Ho, ho, ho! - zaśmiał się z miną Casanovy, by po krótkim namyśle wyznać szczerze: - Raz. W dworcu pewnej wysoko postawionej damy. Jak to się mówi, była to miłość od pierwszego wejrzenia...

Salę balową Szkoły Rycerskiej rozświetlały setki świec. Na honorowym miejscu, na tronie, siedział sam król Stanisław August Poniatowski.

Kapela szkolna na zmianę z orkiestrą regimentu gwardii królewskiej wygrywała skoczne tony. Dziesiątki młodzieży uwijały się na wywoskowanym pawimencie. Kadeci wyróżniali się wypucowanymi granatowo-amarantowymi mundurami. Towarzyszyły im piękne kobiety -

matki, siostry i narzeczone. Przybyły tu z wyjątkowej okazji, jaką było uroczyste zakończenie roku szkolnego. Popisy młodzieży obserwowali wykładowcy i starsi koledzy, którzy pozostali w Korpusie w charakterze instruktorów. Za królewskim tronem zasiadał komendant Korpusu, książę Adam Czartoryski.

Taniec nie był domeną Benesza. Tańczył z równym powodzeniem, jak śpiewał czy gwizdał. Z tym że słuchaczy jego wokalnych popisów co najwyżej bolały zęby, natomiast partnerkom w tańcu groziło zmiżdżenie stóp. Dlatego z umiarem sączył wino i obserwował zabawę. Z czasem jednak również jemu udzielił się nastrój powszechnego rozbawienia i właśnie wówczas zwrócił uwagę na piękną blondynkę, leniwie wachlującą się i od czasu do czasu wymieniającą uwagi z towarzyszącą jej brunetką, o wiele skromniej odzianą. Blondynka, podobnie jak Waclaw, jeszcze nie zatańczyła ani razu, z wyniosłą miną odrzucając hołdy nadskakujących jej młodzieńców. Kilka razy zerknęła w kierunku Waclawa, ale on unikał jej wzroku, bo nie podobało mu się to spojrzenie - zaborcze, a równocześnie z lekka wzgardliwe. Brunetce, siedzącej z boku ze spuszczonej oczyma, nikt tańca nie proponował. W chwili gdy jej się przyglądał, podniosła wzrok i ich oczy się spotkały. W Waclawa jakby grom strzelił. To była dziewczyna z jego marzeń!

Kiedy kapela wykonywała próbne takty do mazura, przemógł się i stanął przed kobietami. Ku zdumieniu otaczających ją adoratorów, piękna blondynka uśmiechnęła się łaskawie, odłożyła wachlarz i uniosła się lekko. Ale Waclaw nawet tego nie zauważył i skłoniwszy się przed brunetką, poprosił ją do tańca. Blondynka spurpurowiała.

Spostrzegł to młody panek o buńczucznym wyglądzie czupurnego koguta i

uderzył Benesza w ramię. Mospanie, obraziłeś moją kuzynkę! Znał intruza. To młody wojewodzie Branicki, elegant i pyszałek, wykapana kopia swego ojca. Kiedy indziej dałby mu nauczkę, ale nie teraz, gdy brunetka skurczyła się ze strachu i nie wiedziała, gdzie podziać oczy, a blondynka przewiercała ją jadowitym jaszczurczym spojrzeniem. Nie wiem, o czym mówisz, panie, odparł, siląc się na spokój, więc daj mi drogę, z łaski swojej. Przepróż, łyku, warknął wojewodzie, albo cię kijami oćwiczyć każę! Zabij go, kuzynie, poradziła mu blondynka, a potem wróć do mnie. Zarezerwuję ci wszystkie tańce aż do końca balu.

I kiedy Waclaw stanowczo, lecz grzecznie usiłował usunąć zawalidrogę, Branicki uderzył go w twarz. Nim zajęty czym innym król zauważył awanturę, interweniował czujny książę Czartoryski, który przy pomocy kilku oficerów wyprowadził zwaśnionych do przedpokoju. Próba mediacji nie dała efektu. Benesz jako obrażony miał prawo do satysfakcji, której po raz pierwszy w życiu nie chciał się wyrzec. Książę i starsi oficerowie stali zaskoczeni i zakłopotani. Dobrze znali jego reputację i widzieli, że mord miał wypisany w oczach, a tymczasem pojedynki były surowo zakazane, zwłaszcza pod okiem króla. Mógłby coś o tym powiedzieć słynny awanturnik Casanova, który z tego powodu musiał pospiesznie opuścić Warszawę. Sytuację komplikował młody Branicki, który też co nieco o Waclawie słyszał i nie chciał się pojedynkować. Na łyka tylko kije, powtarzał uparcie. Zgoda, powiedział zniecierpliwiony Waclaw, bijmy się na palcaty.

Wojewodzie zaprotestował, ale zirytował tym komendanta, który uznał tę kompromisową propozycję za najlepsze wyjście z kłopotliwej sytuacji, więc wyznaczył sekundantów i wrócił na salę balową do króla. Pół

godziny później chyłkiem wrócił też Wacław i jego sekundanci.

Oficerowie podążyli do księcia, zdać mu relację, a Benesz skierował się do kobiet. Niektórzy, wtajemniczeni, z ciekawością obserwowali tę scenę. Ale nie dane było Wacławowi zatańczyć ze

swoją bogdanką. Purpurowa z upokorzenia blondynka, miotając z oczu błyskawice, szarpnęła brunetkę i obie opuściły salę.

Nigdy już ich nie spotkał, nie poznał nawet imienia brunetki, ale wspomnienie jej pięknej twarzy i zwiewnej postaci długo mu towarzyszyło. Może dlatego raczej unikał hulanek, w których z upodobaniem gustowali inni młodzi oficerowie, wzorujący się na ekstrawaganckim księciu Pepim'. Poza tym przekonał się, że gdy zaślepią go wściekłość, w kącie idą nauki Beli. Gdyby wtedy walczyli na szable, rozsiekalby Branickiego na sztuki, a tak skończyło się tylko na tym, że złamał mu trzy żebra i rękę, a sobie karierę. Gdyby nie późniejsze wojny i protekcja Kościuszki, naraziwszy się potężnym magnatom, nie miałby czego szukać w wojsku, a może nawet w kraju. Ta historia miała tylko jedną dobrą stronę - udało mu się uniknąć kompromitacji na parkiecie...

- I co z tą miłością od pierwszego wejrzenia? - spytała Anna, wyrrywając go z zamyślenia.

- Nic, drugiego wejrzenia już nie było i do niczego nie doszło. Aż do teraz. Pani w to naprawdę nie wierzy, czy tylko nadaremnie próbuje walczyć z nieuniknionym? - zauważył powątpiewające wydęcie jej warg, jakby zapraszających do pocałunku. - A ja powiadam, że pasujemy do siebie jak... jak te dwie połówki cekina.

Sięgnął do kieszeni i wy dobył jedną połowę monety, lecz drugiej, mimo nerwowego poszukiwania, nie udało mu się odnaleźć. W zielonych oczach

zapaliła się wesoła iskierka.

- Pan się powtarzasz, a nawet jeśli masz słuszność, to i tak brak ci drugiej połowy. - Zaśmiała się. - Do pary zaś trzeba dwojga, więc dopóki zguba się nie znajdzie, nie mamy o czym rozmawiać.

Wstał, oparł się o biurko rękoma, tak że kolana dziewczyny dotykały go, a ich twarze znalazły się blisko siebie.

Pepi - zdrobnienie od wł. Giuseppe (Józef), tak za królem Stanisławem poufale nazywano księcia Józefa Poniatowskiego, doskonałego wodza, ale i znanego hulakę i kobieciarza.

- Znajdę ją, obiecuję. A wtedy już nie będziesz miała wymówki. _

Pochylił się jeszcze bardziej, ale wcale się nie odsunęła. Dwa szmaragdy zieleniały ciepło, a wargi rozchyliły się obiecująco...

- Yhy, yhy - rozległo się dyskretne kasznięcie i w progu stanął Śpiewak. - Drzwi były otwarte, więc...

Odsunęli się gwałtownie od siebie, Anna zeskoczyła z biurka i obciągnęła suknię.

- Wejdz, pan baron właśnie wychodzi - powiedziała.

- Ale wróci - zastrzegł Waclaw, kierując się do drzwi.

- Zawsze będziemy radzi - odparła.

- Pomagam panience z papierami, bom piśmienny - pochwalił się

Śpiewak. - Dobrze, że widzę waszą wielmożność, pleban pilnie proszą jaśnie pana do siebie.

- Nie wiesz, o co chodzi?

- Nie, ale musi o coś ważnego, bo ksiądz proboszcz cosik nerwowo od samiuńskiego rana.

- Dobrze, może odwiedzę go jeszcze dziś. A jak wasi ludzie?

- Wszyscy już powracali do domu, nikomu nic się nie stało.
- Dzięki panu - wtrąciła Anna. - Szkoda, że wcześniej nie wiedzieliśmy, żeś służył w policji.
- Każdy ma swoje sekrety, jak się wyjawilo. Jak i to, że najlepszym policjantem okazał się pospolity rabuś.
- Jak Vidocq - zauważyła.

Opuszczając dwór, zderzył się w drzwiach z Francuzem, który właśnie zmierzał do środka.

- Mądrej głowie dość dwie słowie, jak głosi wasze porzekadło - odezwał się Gaskończyk. - Ale nie tobie, monsieur. A ja naprawdę robię się niegrzeczny, gdy ktoś mi wchodzi w paradę.
 - Na razie to pan wchodzisz, a nie odwrotnie, więc bądź tak grzeczny i daj mi drogę - odparł Wacław, wyszczerzając zęby w złośliwym uśmiechu.
- Bardzo z siebie zadowolony wrócił do zamku, szybko pochłonał mało smaczny posiłek, bo pod nieobecność Anny w kuchni panowało rozprężenie, a na dodatek Horwath zabrał ze sobą kucharza, po czym pojechał do Niedzicy, ciekaw, po co proboszcz po niego posłał.

Po upływie prawie doby ksiądz Michał wciąż nie mógł dojść do siebie.

- Przyszli zaraz po zmroku. Otoczyli plebanię, potem kazali się prowadzić do kościoła. Szczęściem byłem sam, więc nikomu nie stała się krzywda - opowiadał roztrzęsiony.
- Kto, ojczy? - cierpliwie spytał Wacław. - Kto na ciebie napadł?
- A nie wyjawilem tego jeszcze? - zdziwił się Lorencs. - Jak to kto? Ten piekielnik Baczyński i jego czarty z piekła rodem! Wszędzie zaglądnęli, w każdziutki zakamarek, nie było takiej skrytki, której by nie wypatrzyli! Nic świętego dla tych łotrów nie ma! - gorączkował się.

- A co zabrali?

Z kapłana jakby uszło powietrze.

- W tym rzecz, że nic. Bo też nic cennego nie znaleźli okrom naczyń liturgicznych, które własnym zasłoniłem ciałem. Ale Baczyńskiego to nie interesowało, szukał pieniędzy i precjozów. „Gdzie dutki, klecho, mów!”, powtarzał. Kiedy pojął, że jestem biedny jak mysz kościelna, myślałem, że już przyszła na mnie ostatnia godzina. A wtedy ten łotr zaczął się śmiać, aż mu to jedyne ślepie łzą zaszło, i posłał swoich ludzi do karczmy po jadło i wino, bo u mnie jeno miskę chudej polewki zdybali...

- I co było dalej? - ponaglił Waclaw księdza, który nagle zaniemówił.

- Szkoda gadać - westchnął proboszcz. - Sodoma i Gomora! Długo w noc ucztowali na plebanii, jedli, pili i śpiewali sprośne piosnki, a co gorsza, i mnie do tego bezceństwa przymuszali, chociaż piątek wczoraj był i post nakazany zachowywać się godziło. Odeszli dopiero przed świtem. A przedtem Baczyński dał mi to...

Położył przed Waclawem okazałą kieskę, która wydała z siebie miły brzęk. Benesz zajrzał do środka i nie mógł powstrzymać gwizdnięcia.

Czyste złoto!

- Wzbraniałem się brać, lecz huknął na mnie: „Bierz, pókim dobry!”, tom i wziął...

- Ile tego jest?

- Sto dukatów jak obszył.

- I co ksiądz z nimi uczyni?

- Zbudowałbym nową kaplicę, ale czy godzi się na Bożą chwałę przeznaczyć splamione krwią pieniądze? - zakłopotał się pleban.

- Pecunia non olet! - sentencjonalnie odparł Waclaw. - Zużyte w zbożnym

celu, oczyszczą się same. Na miejscu ojca wziąłbym je i więcej nie zawracał tym sobie i Bogu głowy.

- Tak myślisz? - ucieszył się ksiądz. - W takim razie chyba pójdę za twoją radą.

- Tylko po to mnie ojciec wezwał?

- Nie tylko. - Pleban położył przed Beneszem kolejny worek, tym razem płaski. - To też wręczył mi Baczyński i kazał waści oddać.

Wacław rozpruł jeden bok i z paczki wysypały się papiery. Był tam spis członków „bractwa złamanego pióra”, raporty z poszczególnych spotkań, opatrzone dokładnymi datami, okresowe sprawozdania z działalności, projekt odezwy do wszystkich Polaków na Spiszu, a wszystko zapisane starannym pismem Rubinowskiej i aż nadto wystarczające do skazania jej za zdradę stanu. Na końcu zaś odnalazł swoją instrukcję.

- Zabrali to temu austriackiemu szpiegowi? - domyślnie spytał ksiądz Lorencs. - Modlę się za jego duszę, straszną miał śmierć nieborak.

- Niech ksiądz się za niego modli, ale roztkliwiać nie musi. To był człowiek bez sumienia. Jego śmierć zaoszczędziła kłopotów wielu porządnym ludziom. A ja mam do ojca prośbę...

-Tak?

Pecunia non olet (łac.) - pieniądze nie śmierdzą.

Wacław podał proboszczowi instrukcję.

- Chciałbym, żeby ojciec mi to przechował w jakiejś najtajniejszej skrytce, a resztę papierów spalił.

- Jak sobie życzysz, synu. Nie trap się.

Zupełnie już uspokojony, niespiesznie wracał gościńcem do zamku. Dzień się kończył, trochę mżyło, ale ogólnie było miło i spokojnie. Co prawda

zza wzgórza dochodziły słabe echa ni to grzmotów, ni trzasków, bardzo przypominające bezładną strzelaninę, ale uznał, że słuch płata mu figle, bo znaczyłoby to, że jakaś bitwa toczy się pod samym zamkiem, a to przecież czysty nonsens.

- W życiu czegoś podobnego nie widziałem - po raz kolejny opowiadał przejęty kapitan Kaunitz każdemu, kto chciał go słuchać. - Wracaliśmy akurat z rutynowej kontroli w Czerwonym Klasztorze i mieliśmy zawrócić do Starej Wsi, kiedy coś mnie tknęło, żeby zaglądnąć do Dunajca. - Podkreślił wąsa, dumny ze swego instynktu, który bardzo się wyostrzył od czasu zniknięcia kaprała Chowańca, co z kolei wpłynęło na wzrost pewności siebie kapitana i tak nigdy niegrzeszącego nadmiarem skromności. - Jedziemy sobie spokojnie, aż tu nagle za rzeką rumor się uczynił straszliwy. Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie zbójcy na panią napadli - zwrócił się do Anny, która przed chwilą przybiegła z ekonomówki i przysłuchiwała mu się wraz z hajdukami i służącymi, którzy poznawali tę historię po raz drugi albo nawet trzeci. Jeden z hajduków znał niemiecki i tłumaczył przemowę kapitana pozostałym słuchaczom.

Musieli przerwać i odsunąć się, ponieważ jacyś obcy ludzie o ciemnej cerze przetaczali kryty furgon, po czym natychmiast przystąpili do przenoszenia zawartości do zachodniego skrzydła dolnego zamku. Pierwszym ładunkiem była wielka skrzynia, którą sześciu ludzi ledwie niosło i która z trudem zmieściła się w drzwiach. Ktoś ze służby zamkowej podskoczył z pomocą, ale został ostro zrugany przez jednego z przybyszy i wrócił jak niepyszny. Z boku dziedzińca stał drugi furgon, już opróżniony, i pusta kareta z otwartymi drzwiczkami, z

której dwóch hajduków wypinało konie.

- Na czym to ja skończyłem? - kontynuował Kaunitz po przymusowej przerwie. - Aha, no więc raptem z krzaków nadrzecznych podniósł się dziki wrzask i huknęło wiele strzałów, po czym patrzymy, a tu w stronę brodu galopem zdąża karetą podróżna, za nią dwa ładowne wozy i buch do wody! A za nimi w ślad wali cała gromada hałustry, która wyje na potęgę i strzela jak opętana. Uciekający odsadzili się nieco, ale ciężkie furgony utknęły i zanim wydostały się na brzeg, zbójcy opadli konwój jak szarańcza. Oczywiście natychmiast wydałem rozkaz i z moimi dragonami ruszyliśmy w skok na pomoc napadniętym...

Przerwał na chwilę dla złapania tchu i równocześnie trochę pomarkotniał.

- Imaginujcie sobie, że zanim tam dotarliśmy, co trwało góra trzy minuty, już było po wszystkim! - ciągnął z żalem w głosie. - Karoca i wozy odjeżdżały do zamku, połowa bandytów leżała pokotem na ziemi lub w wodzie, a druga rozpierzchła się na wszystkie strony i zmykała, aż się kurzyło. A co najdziwniejsze, napadnięci w ogóle nie strzelali z broni palnej! Jedni miotali kamieniami z proc, zupełnie jak biblijny Dawid do Goliata, inni wywijali jakimiś osobliwymi arkanami, też z kamiennymi kulami na końcach, które owijały się ludziom na szyjach albo koniom wokół nóg, tak czy owak, koniom łamały nogi, a ludziom karki. Ale to jeszcze nic! Dwóch bandytów przedostało się do karety i szarpnięciem otworzyło drzwi. I wtedy ze środka wychylił się paskudny karzeł z długą rurą przy gębie. Dwa razy, a tak szybko jak mgnienie oka, nadał policzki jak banie i dwa razy wypuścił powietrze. I co powiecie? Obaj zbójce spadli z wierzchowców jak piorunem rażeni! No, czy kto widział kiedy coś podobnego?! - Popatrzył dookoła zbaraniałym wzrokiem, aż wreszcie jego

skołowane spojrzenie zatrzymało się na Annie. - Co to za ludzie, u licha?!

- Myślę, kapitanie - odparła - że to pan Sebastian de Berzeviczy nareszcie przybył do Dunajca.

Wyjechał z za zakrętu i dosłownie go замуrowało. Od brodu na Dunajcu aż po podjazd zamkowy ciągnął się ślad głębokich kolein wyżłobionych w rozmięklej ziemi. Tu i tam, w poprzek i wzdłuż śladów oraz na poboczu, spoczywały nieruchome ciała zbójców, łatwo rozpoznawalnych po odzieniu. Kilkunastu dragonów zbierało zwłoki i ładowało je na podstawione wozy.

Podjechał bliżej i zeskoczył z Kuma. Pochylił się nad jednym z trupów, leżącym twarzą do dołu, i odwrócił ciało. Mimo zarostu twarz wydała mu się znajoma, chyba widział nieboszczyka podczas poprzedniego napadu u brodu. Miał skręcony kark, zwłoki zaś były mocno pokiereszowane, z ramionami przyciśniętymi do tułowia rzemienną pętlą, która po bliższych oględzinach okazała się wcale nie być pętlą, tylko rodzajem rozdwojonego arkanu. Jego końce zaopatrzone w dwa okrągłe kamienie w skórzanych woreczkach. Przypomnił sobie, że czytał o czymś podobnym u pana Rousseau¹ lub gdzie indziej. Broni tej używali tubylcy południowoamerykańscy, a nazywała się z hiszpańska bolas, czyli kule. Ciśnięte wprawną ręką owijały się wokół ciała ofiary, krępując ją i obalając na ziemię.

- Niebawale, nieprawdaż? - zauważył jeden z dwóch żołnierzy, którzy podeszli zabrać zwłoki. - Ale najwięcej zginęło od tego. - Podrzucił na dłoni kamień wielkości dziecięcej pięści. - Ciskali tym z proc, a tak celnie, jakby z flint strzelali. W życiu nic podobnego nie widziałem. A najdziwniejsze, że na niektórych zabitych nie ma żadnego śladu gwałtu! O,

choćby na tym...

Zaprowadził Wacława do trupa, którego przyczyny zgonu nawet staranne oględziny nie były w stanie ustalić. Dopiero nadzwyczajna sztywność mięśni nasunęła Wacławowi pewną myśl. Jakoż i znalazł wreszcie za uchem ofiary, pośród bujnego zarostu, sterczącą na pół palca drzazgę.

- To go zabiło. Z pewnością jest nasycona jakąś piorunem działającą trucizną - powiedział do pobladłego dragona, ostrożnie przez chusteczkę wydobywając niewielką strzałkę zakończoną ostrym kolcem.

- Musicie uważać - ostrzegł żołnierzy, dosiadając wierzchowca, do siebie zaś mruknął: - Witaj w domu, stryju.

Po drodze minął się z kapitanem Kaunitzem, który wyraził zadowolenie z przysporzenia jego żołnierzom zajęcia i zgłosił gotowość do podobnej współpracy w przyszłości. Na co Wacław odparł, że nic nie może obiecywać w imieniu stryja, ale sądząc po dobrym początku, przyszłe współdziałanie zapowiada się bardzo owocnie, o ile złoczyńcy nadal dadzą się likwidować w takim tempie.

Na zamkowym dziedzińcu po niedawnym zamieszeniu nie pozostało śladu. W ogóle nie było nikogo z wyjątkiem wartowników. Dopiero po chwili zjawiała się Anna.

Jan Jakub Rousseau - francuski filozof i pisarz epoki oświecenia, w swoich utworach zachwalający życie zgodne z naturą, którego wzorowym przykładem byli według niego Indianie.

- Dobrze, że waść już jesteś. Pan Sebastian nareszcie przyjechał! Zbójcy próbowali ich ogarnąć po drodze, ale im się nie udało...

- Wiem, widziałem ślady potyczki. Z ludzi stryja jest ktoś ranny albo zabity?

Mina jej się wydłużyła.

- Tego nie wiem. Zamknęli się w swoich komnatach zaraz po przyjeździe i tyłem ich widziała. Pan Sebastian zapowiedział, że do jutra niczego nie potrzebują, a dziś chciałby tylko zamienić parę słów z waszmością. Aha! Miałam rację! Przeczucie mnie nie omyliło. Oni przybyli z Indyj, owszem, ale Zachodnich, znaczy - z Ameryki! Wszyscy są ciemni na licach, niektórzy zaś mają uszy aż do ramion obciążone złotymi ozdobami. To mogą być tylko Inkasy! - terkotała przejęta.

- Inkasy!

- Tak zwą się tubylcy amerykańscy, których podbili Hiszpanie.

- Przecie wiem.

Któż bowiem w Polsce u schyłku XVIII wieku nie słyszał o Inkach! Dzieje tego bohaterskiego ludu, długo opierającego się obcej przemocy, stały się nagle bardzo znane i popularne. W doli nieszczęsnego narodu Polacy dopatrywali się podobieństwa do własnych losów. Już im nie wystarczała ta garść informacji o „Ingarach” i ich przodku „Mangapie”, którą ksiądz Chmielowski pomieścił w swoich Nowych Atenach¹. Rozczytywano się w znakomitym dziele Marmontela Inkasy, czyli zniszczenie państwa Peru, zwłaszcza odkąd w roku 1781 Stanisław Kłokocki przełożył księgę z francuskiego. Przystosowano ją nawet do wystawienia na scenie, czym zajął się sam „ojciec teatru polskiego”, Wojciech Bogusławski. Wielką poczytność zyskało sobie dziełko Woltera Alzyra albo Amerykanie, a nawet grafomańskie romansidła pani de Graffigny, też przetłumaczone w latach osiemdziesiątych. Inkowie byli wdzięcznym tematem Pierwsza, dość prymitywna polska encyklopedia z XVIII w., której pełny tytuł brzmiał: Nowe Ateny, albo Akademia wszelkiej sceneyi pełna.

rozmów w warszawskich salonach i do dobrego tonu należało wiedzieć o nich co nieco. Waclaw, którego zawsze pociągała egzotyka, w swoim czasie przeczytał o Inkach wszystko, co tylko wpadło mu w ręce.

Powiedział jej o tym i wyznał:

- A wie pani, byłem nawet kiedyś w Warszawie na balecie Klara i Alonzo, czyli Dziewice Słońca podług dzieła Marmontela, chociaż, wyznam szczerze, słoń mi na ucho nadepnął i na muzykę jestem prawie głuchy.

- Ja też czytałam Marmontela, a i balet obejrzałabym z największą przyjemnością - rozmarzyła się. - Na prowincji tak ciężko o godziwą rozrywkę...

- Podobno pan Bogusławski planuje na dniach wystawić we Lwowie nową sztukę, też wedle Marmontela, jednak tytułu nie pomnę...

- I cóż z tego? - westchnęła. - Do Lwowa i tak się nie wybieram. Co najwyżej mogę sobie powtórzyć Listy Peruwianki madame de Graffigny. Chce pan, mogę pożyczyć.

- Dziękuję pięknie! - Aż się wzdrygnął. - Co niecom słyszał o tej pani i wątpię, bym zdołał się zmierzyć z płodem jej talentu. Lecz miło mi, że mamy wspólne zainteresowania. To bardzo pomaga w małżeństwie.

- A waść w koło Macieju o tym samym, słuchać hadko!

- W każdej chwili jestem gotów złożyć najzupełniej poważną deklarację.

- Której ja wcale słuchać nie chcę - ucięła.

- Ale zmienisz zdanie, gdy przypomnę, że, jak sama mówiłaś, gdzie Inkasy, tam skarby, a gdzie Sebastian, tam jego ukochany bratanek i może jedyny spadkobierca. I jak?

Wpatrywała się weń z błyskiem w szmaragdowych oczach.

- Owszem, to może być pański atut, bodaj czy nie jedyny. Przemyślę to

sobie, ale na razie jestem przede wszystkim ciekawa samych
Iskahar król Guamry, wystawiana w latach 1797-1798 z wielkim
powodzeniem i niemałym zyskiem Bogusławskiego.

Inkasów. Obiecuj mi, że poprosisz stryja, żeby mi o nich wszystko
opowiedział, i to zaraz jutro! I tak chyba nie zmrużę oka...

- Obiecuję - odparł bezwiednie. - Inkasy! To ci dopiero...

Tym razem nie było już wątpliwości. Wacław poczuł, że jest
zdenerwowany, co mu się rzadko zdarzało. Do tej pory wieści o
nadmierzonym bogactwie Sebastiana uważał za mocno przerysowane, a
jego lęki za przesadne, ale teraz... Awantura, w którą dał się wplątać,
przedstawiała się coraz bardziej interesująco. Jednak przede wszystkim
intrygowali go przybysze. Inkowie również, lecz szczególnie stryj, nigdy
niewidziany, który aż tak zaciążył na jego losie.

Wytań spotniałe nagle dłonie o kubrak, pożegnał się z dziewczyną i
skierował do baszty narożnej, gdzie znajdowało się wejście do
zachodniego skrzydła. Ku swemu zaskoczeniu spotkał tu dwóch
smagłolichych strażników, którzy nie wpuścili go do środka, głusi na prośby
i groźby wypowiedane w rozmaitych językach. Rozczarowany, czując w
kościach prawie cały dzień spędzony w siodle, powlókł się na kwaterę.
Nie był jednak aż tak zmęczony, by nie pamiętać, że drzwi zostawił
zamknięte, a nie otwarte. Nauczony przykrym doświadczeniem wyjął
pistolety, pchnął drzwi i ostrożnie wsadził głowę do wnętrza. Na stole
palila się świeca, a ktoś siedział na łóżku, oparty o ścianę, z rękoma
założonymi za głowę, a nogami wygodnie wyciągniętymi przed siebie. Na
widok wymierzonych w siebie luf powiedział bez śladu przestachu w
głosie:

- Chwalebna ostrożność, Waławie. Ale to tylko ja, więc możesz odłożyć broń.

- Stryj?

- We własnej personie.

Waław zamknął drzwi, schował pistolety, podszedł do stołu i zapalił więcej świec. Sebastian wstał i rozdzielni stołem, przyglądali się sobie z ciekawością. Wiek starszego Berzeviczego zdradzały jedynie zupełnie białe długie włosy, poza tym miał czerstwy wygląd człowieka w pełni sił żywotnych. Choć głowy nie podgalał, ubierał się jak polski szlachcic starej daty. Waław wiele razy wyobrażał sobie to spotkanie i dobierał odpowiednie słowa, a gdy przyszedł czas, nie wiedział, co powiedzieć. Wyręczył go Sebastian.

- Nos masz pewnie po matce - stwierdził - ale poza tym cały Berzeviczy. Jakbym siebie widział za młodu. A ty jak mnie znajdujesz?

- Chciałbym za dziesięć lat wyglądać jak stryj teraz.

- No to dajże pyska, bratanku!

Waław dał się zdusić w niemal niedźwiedzim uścisku, ale wnet niespodziewanie i jego ogarnęło wzruszenie, więc sam też objął krewniaka i trwali tak, ściskając się i poklepując, dobre parę minut. Potem usiedli na wprost siebie, wciąż nie mogąc się sobie napatrzeć.

- Właściwie to wpadłem jeno na chwilkę, żeby ci podziękować. Nasze kwatery tak wyszykowane, że sam bym o to lepiej nie zadbał.

- W tym akurat moja zasługa najmniejsza.

- No, ale to tyś z zamku wyżenał rozbójników i austriackiego szpiega. Nie zaprzeczaj, o wszystkim już wiem. Piękna robota, szkoda, że mnie przy tym nie było.

Wacław zmrużył oczy.

- To właśnie chciałbym wiedzieć. Czy, przewidując kłopoty, ściągnąłeś mnie tutaj tylko dlatego, żeś się dowiedział o mojej służbie w Indagacji?

- Drogi chłopcze - odparł starzec, bez drgnienia powiek wytrzymując oskarżycielskie spojrzenie Benesza - prosiłem, byś tu przybył, bo nikomu tak nie ufam, jak tobie. A to, żeś służył w policji i tak znakomity z ciebie inwestygator¹, to zrządzenie boskie.

- A czemuż to aż tak mi ufasz? Przecież wcale się nie znamy.

- Mylisz się. Od piętnastu lat, czyli odkąd wróciłem do Europy, nie zrobiłeś nic, o czym bym dzięki listom Beli nie wiedział.

- Ach tak! - Zdenerwował się Wacław. - I dlatego wtrącałeś się w moje życie wedle swego uznania. Ty mi kazałeś studiować w Korpusie Kadetów, ty wciągnąłeś mnie w polityczne intrygi swoich weneckich przyjaciół, ty ściągnąłeś mnie tutaj diabli wiedzą po co.

Inwestygator - badacz, tu: prowadzący śledztwo, detektyw.

- I to wszystko moja wina? - zdziwił się Sebastian, nie tracąc spokoju. - Owszem, chciałem, byś przysłużył się ojczyźnie w potrzebie, ale to i tak była powinność prawego Polaka. Dałem ci wykształcenie, o które nie prosiłeś, zgoda, aleś przecie mógł odmówić. Patriotom do spisku mogłeś się dać wciągnąć, ale nie musiałeś. Sprowadziłem cię tutaj, bo cię potrzebuję, ale cię na siłę nie ciągał. Zawsze mogłeś i wciąż jeszcze możesz iść swoją drogą, lecz muszę to wiedzieć już dziś.

Wacław milczał, nie mogąc podjąć decyzji.

- Pozwól, że wcześniej zapytam cię o coś - odezwał się Sebastian, uważnie obserwując bratanka. - Czy moja osoba coś dla ciebie znaczy?

- Przywykłem myśleć o tobie jako o najbliższym krewnym, bliższym

nawet niż dziadek - odparł Benesz z pochyloną głową.

- A czemu?

- No... - Zaskoczony Waclaw zastanawiał się dobrą chwilę, po czym skapitulował, pojawiając się jak dziecinne były jego żale. - Masz słuszość. Nikt, może z wyjątkiem dziadka Benesza i Beli, nie troszczył się o mnie bardziej od ciebie. Przyznaję.

- Powiem ci w takim razie coś - kontynuował stary Berzeviczy, nie spuszczać oka z Waclawa - czego nawet twój ojciec nie wiedział. Odczekał chwilę.

- Nie jesteśmy ze sobą spokrewnieni! - z krzywym uśmiechem przyglądał się, jak wielkie wrażenie wywarły jego słowa.

- Jak to? - Waclaw podniósł głowę i wpatrywał się w Sebastiana z osłupieniem.

- A tak to: Kiedy twoja babka dobiegała trzydziestki i wciąż była bezpłodna, oboje z dziadkiem przybyli do Krakowa i tu, z przytułku ojców duchaków, zabrali znajcę, podrzutka za ledwie parutygodniowego. To właśnie ja nim byłem. Potem przeciągali powrót na Wołyń tak, żebym mógł uchodzić za ich rodzonego. Udało się. Dali mi nazwisko i zdało się, naprawdę mnie kochali. Aż zdarzył się istny cud i dwadzieścia lat później urodził się im Hieronim. Nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego to on, młodszy syn, nosił tytuł barona de Dondangen, a nie ja? Dlatego że twój dziadek mnie wydziedziczył. Wszystko, tytuł i majątek, zapisał Hieronimowi. Byłem młody i głupi, więc wściekłem się i odtąd popełniałem jedno szaleństwo za drugim, aż musiałem uciekać gdzie pieprz rośnie. Naprawdę - uśmiechnął się szeroko - byłem i tam, gdzie rośnie pieprz, i dalej jeszcze, ale o tym potem. Wiele lat nie pisałem i nie

próbowałem was odszukać, lecz w końcu pojąłem, a miałem już wtedy swoją rodzinę, że każdy człowiek potrzebuje korzeni. Wydałem krocie na odszukanie was. Długo to trwało, ale w końcu odnalazłem Hieronima i Bełę i dowiedziałem się o tobie. Odtąd zacząłem o twoim ojcu myśleć jak o bracie, a o tobie jak o moim własnym synu, którego Bóg mi poskąpił. Możesz mi wierzyć lub nie. Z Wacława raptem wyparował wszelki żal do stryja. A może raczej niestryja? Nie miało to zresztą żadnego znaczenia.

- Wierzę. W przeciwnym razie byś nam nie pomagał, nic cię przecież do tego nie obligowało.

Sebastian uśmiechnął się smutno, spoważniał i od razu jakby się postarzał.

- To prawda, że chciałem i chcę twego dobra. Ale niecała, bo nie robię tego bezinteresownie. Mojej rodzinie grozi wielkie niebezpieczeństwo.

Pomóż mi je oddalić, a przyszłość będziesz miał zapewnioną. Na to daję ci parol. Ale możesz też razem z nami zginąć marnie.

- A jakież to przeciwnik o taki lęk cię przyprawia? - zaciekawiał się Wacław, bo to pytanie dręczyło go od dawna.

- Suprema 1 - rzekł krótko Sebastian.

- A co to za dziwo?

- Inkwizycja hiszpańska, a wierzaj mi, że to przeciwnik najstraszniejszy z możliwych. Prędzej czy później trafią i tutaj, a nie zdziwiłbym się, gdyby już na nas czekali. Nie podejrzewasz kogo? - Rzucił Wacławowi zaniepokojone spojrzenie.

Suprema General - centrala Świętego Oficjum, czyli inkwizycji hiszpańskiej, faktycznie zlikwidowanej w czasach napoleońskich przez Francuzów okupujących Hiszpanię, formalnie dopiero w 1820 r.

Benesz pokręcił głową. Pamiętał o wciąż niewyjaśnionej śmierci

wścibskiego Staszka, ale nadal nie miał pomysłu, komu ją przypisać.

- Jeżeli, to chyba Francuza, Colignaca, ale tylko dlatego, że go nie lubię.

No i jest aż trzech jezuitów, a nauczono mnie im nie ufać.

- Ech ty, pijarski wychowanku. - Zaśmiał się z ulgą Sebastian. - Wiesz, jak w moim jezuickim kolegium wołaliśmy na takich jak ty? U pijara psia wiara!

- Jezuita psia lelita! - odgryzł się Wacław.

- Kurta!

- Szpik2!

Benesz zepsuł dobry nastrój.

- Jeden z nich jest Hiszpanem i przybył tu z Peru. Uśmiech na twarzy Sebastiana zgasł jak zdmuchnięty.

- Jesteś pewny?

- Sami to wyznali. Dlatego myślę, że to może nie mieć żadnego znaczenia.

- Albo na odwrót. Przebiegłość inkwizycji nie ma sobie równych. Wacław potaknął.

- To prawda. Na dwoje babka wróżyła. Wstał i wyciągnął do Sebastiana rękę.

- Możesz na mnie liczyć. Pomogę ci, o ile zdołam. I jeśli wolno mi będzie nadal nazywać cię stryjem, bo i ja przywykłem do myśli, żeśmy jednej krwi.

W oczach Sebastiana pojawiły się łzy. Wstał i oddał uścisk, mocno potrząsając dłonią bratanka.

- Idę już, bo na mnie czekają. Jutro dowiesz się wszystkiego.

Lelita - lelita.

Szpik - pogardliwe określenie jezuitę, podobnie jak kurta - pijara, z powodu krótkich płaszczy noszonych przez księży z tego zakonu. Oba zakony rywalizowały ze sobą, a ich wychowankowie odnosili się do siebie z antypatią, która często doprowadzała do gorszących bijatyk ulicznych.

_ Por Dios! Skąd ten diabeł Baczyński wiedział, z której strony nadjadą Inkasy, skoro nawet nasi szpiedzy nie zdołali się tego wywiedzieć?

- Podobno przechwycił jakiś list z Krakowa.

- Z Krakowa? A jakim cudem niepostrzeżenie przedostali się z Wenecji do Krakowa z ominięciem Spiza?

- Skąd mam wiedzieć? Duchem Świętym jestem czy co?

- Spokój, señores - jak zwykle najstarszy z trójki łagodził spory między pozostałymi. - Na nasze szczęście atak bandytów się nie powiódł. Ale ten ich hetman to niebezpieczny człowiek i gotów nam znowu wejść w paradę. To twoja wina - zwrócił się z wyrzutem do mężczyzny po swojej prawicy - trzeba go było w porę unieszkodliwić.

- I zrobiłbym to, gdyby mi młody Berzeviczy nie przeszkodził - wycedził przez zęby zagadnięty. - A jego też nie pozwoliliście mi ruszyć nawet palcem. No to macie.

- O Baczyńskiego nie musimy się już trapić - wtrącił posiadacz stentorowego głosu. - Najpierw stracił kryjówkę w Czerwonym Klasztorze, potem dał się wygnać z zamku, a teraz wytracił ludzi w bitwie z Inkasami. Zaraz po tej klęsce ocalali zbójnicy przepędzili go precz, harnasem obwoławszy Łazarczyka.

- To pewne?

- Wiem to od samego Łazarczyka, który przyszedł do karczmy świętować swój awans. Ten dureń ma mnie za głupca, od którego po pijanemu można

wyciągać wiadomości o tym, co dzieje się w zamku. A ponieważ chciwość go zaślepia, łatwo da się poprowadzić na naszym pasku.

- To wyśmienicie, bo właśnie przyszło mi coś do głowy - powiedział najstarszy. - Niedługo Boże Narodzenie. Pamiętasz, opowiadałeś kiedyś, że mają tu pewien osobliwy zwyczaj. Gdyby udało ci się zwerbować tego Lazarusa, czy jak mu tam, moglibyśmy to zorganizować w ten sposób... Przez kilka minut szeptem objaśniał swój plan.

- I jak wam się podoba?

Najmłodszy z nich schylił się po polano i cisnął je do komina. Poruszony ogień na chwilę oświetlił jego zakapturzoną postać.

- Niezły - burknął.

- Tylko niezły? - Zaśmiał się złośliwie ten o grubym głosie. - Przyznaj, że ci zazdrość, bo nie ty, najpierwszy zahorł w Hiszpanii, na to wpadłeś.

- Dziecko jest kluczem do wszystkiego - cierpliwie tłumaczył pomysłodawca. - Kiedy znajdzie się w naszych rękach, nie tylko oddadzą nam skarb, ale i ścigać się nie ośmielą.

- Plan jest dobry - niechętnie przyznał ten porywczy. - Lecz jeśli z jakiegoś powodu zawiedzie, wtedy wezmę sprawę w swoje ręce. I to bez rękawiczek. Już teraz zaś chętnie pozbyłbym się młodego Berzeviczego. Przypominam wam, że to policjant!

- Nie! Jak dobrze pójdzie, do końca roku wszystko się rozstrzygnie. Nie chcę zabijać bez potrzeby.

- A jak stary każe nas wyrzucić z zamku?

- Jakoś wytrzymamy te kilka tygodni, a plan nie wymaga naszej obecności w zamku. Ale myślę, że stary nie będzie aż taki podejrzliwy i pozwoli nam zostać. Brr, ależ tu paskudnie zimno już teraz, a co dopiero w

zimie... Co za kraj! - Wyciągnął do ognia zmarznięte dłonie.

Kiedy się ogrzały, złożył je do modlitwy, uklęknął i powiedział:

- Módlmy się, bracia, aby dobry Bóg pozwolił nam pomyślnie spełnić naszą misję.

Pozostali dwaj popatrzyli ukradkiem na siebie i z trudem stłumili śmiech, jakby powiedział naprawdę coś zabawnego.

Zahori (hiszp.) - potocznie: szczwany lis; tak nazywano „szczury inkwizycji” hiszpańskiej, czyli agentów wyspecjalizowanych w odnajdywaniu ukrywających się ludzi i schowanych skarbów.

Inkowie

Przybysze, zajęci urządzaniem się, następnego dnia nie opuszczali kwater, a zabiegany Sebastian nie miał okazji odbyć zapowiedzianej rozmowy z Wacławem. Colignac zaś z samego rana pojechał do Jaworzyny, a pod wieczór już powrócił razem z hrabią i Jungenfeldem. Jeśli Palocsay był niezadowolony z przerwanych łowów, to tego nie okazywał. Wprost przeciwnie, odbywszy niemal natychmiast rozmowę ze starym Berzeviczym, wydawał się potem bardziej niż rad, a następnego dnia wydał na cześć nowo przybyłych wspaniałą ucztę i tryskał na niej dobrym humorem. Wszyscy z ciekawością obserwowali tajemniczych Inków, a najbardziej Anna, która zasypywała ich pytaniami.

- Czy Inkasy mają historię równie starą jak nasza? - chciała na przykład wiedzieć.

- Tata! Untu? - zwrócił się Sebastian do jednego z Inków, którego wcześniej zarekomendował jako „kipukamajoka” i „amaute” w jednej osobie, co jakoby oznaczało inkaskiego uczonego².

Mały zasuszony człowieczek w zbyt obszernym zwyczajnym ubraniu prezentował się pospolicie. Tylko spojrzenie, w odróżnieniu od pozostałych, miał ciepłe i serdeczne. Doskonale władał francuskim, a ponoć wieloma innymi językami także.

1 Tata, taito, tayta (w języku keczuańskim) - dosł. ojciec, ojculek; popularny zwrot grzecznościowy w Boliwii i Peru.

Quipucamayoc (kecz.) - znawca kipu, czyli węzełkowego pisma Inków; amauta (kecz.) - uczony.

- Nasze dzieje - odparł uczony miękko, przyjemnym głosem

- zapoczątkował pierwszy Inca, Manco Capac¹, który wyłonił się z fal świętego jeziora Titicaca i założył stolicę swego państwa w Pępku Świata, czyli Cuzco. Działo się to mniej więcej wtedy, gdy wasz Mesco przyjmował chrzest, o czym opowiadał mi don Sebastiano

- dodał z uśmiechem. - Ale to oczywiście legenda. Prawdziwą potęgę zawdzięczamy dziewiętemu Ince, Pachacutiemu². To on stworzył ogromne Tahuantinsuyu, czyli Kraj Czterech Dzielnic, jak nazywano go przed hiszpańskim najazdem.

- O świętym jeziorze Titikaka czytałam w jakiejś książce - ciągnęła z przejęciem Rubinowska, wykazując się znajomością literatury o Indianach. - Lecz wedle autora to nie Mangapa wyłonił się z jego fal, tylko bóg Wirakocza.

- Ów autor się pomylił - sprostował cierpliwie Untu, rad, że ma tak chętnych słuchaczy. - Białolicy i brodaty bóg Viracocha przybył do nas z niezmiernego oceanu, po czym, nauczwszy naszych przodków rozmaitych cennych umiejętności, odpłynął z powrotem w stronę zachodzącego słońca, zapowiadając swój powrót. Dlatego początkowo nie

stawialiśmy oporu Hiszpanom, biorąc ich za dzieci Viracochy. A potem było już za późno.

- Czy to znaczy - wtrącił Jungenfeld, którego ten problem nurtował od dawna - że nie jesteście chrześcijanami?

Od dłuższego czasu nie spuszczał nieco przestraszonego spojrzenia z najstarszego z Inków, który zdawał się drzemać i w rozmowie w ogóle nie uczestniczył. Jako jedyny miał za to wydłużone aż do ramion konchy uszne, obciążone wprawionymi w nie złotymi krążkami. To one wzbudzały w Prusaku zarówno lęk, jak i fascynację.

- Oczywiście że jesteśmy - kategorycznym tonem uciął wszelkie wątpliwości trzeci Inka, mężczyzna w sile wieku, odziany z europejska, Fonet. kapak (kecz.) - wielki, bogaty, potężny; tytuł przysługujący wyłącznie panującemu. Pachacuti, Pachacutec - twórca potęgi państwa Inków w XV w., pierwszy ich władca w pełni historyczny.

o drapieżnej, orlej twarzy, naznaczonej blizną od szpady; on także wysławiał się po francusku bez zarzutu. - Viracocha i jego rzekomy ojciec, Inti, czyli Słońce, to bogowie naszych przodków, od dawna zapomniani. Inca1 Huallpa - wskazał drzemiącego starca - pochodzi z królewskiego rodu i jest bardzo stary, stąd jego osobliwy dla Europejczyków wygląd. Dawniej bowiem synom szlacheckim przekłuwano uszy i wprawiano w nie ozdoby, im kto był znacniejszy, tym większe. Działo się to w dniu, gdy chłopcy stawali się mężczyznami, podczas obrzędu zwanego huarachico. Dlatego Hiszpanie zwali nas Orejones, czyli Długouchymi. Ale to stare dzieje.

- To prawda - skwapliwie wpadł mu w słowo Sebastian. - Apu2 Atoc pochodzi z rodu Ruminawiego, najlepszego dowódcy króla Atahualpy,

Roca Yupanqui³ zaś jest potomkiem samego króla, obaj zatem wywodzą się z zacnej szlachty, a proszę - uszy mają takie jak my!

Trzydziestoparoletni Indianin nazwany Roca Yupanqui, najmłodszy z wszystkich Inków, ale też najpoważniejszy i najmrukliwszy, pociągnął się lekko za ucho, aby potwierdzić prawdziwość słów Sebastiana, udowadniając przy okazji, że nie jest takim ponurakiem, na jakiego wygląda. Nie udało się jednak rozwiać wszystkich obaw Jungenfelda, który korzystając z tego, że rozlano wino, pochylił się w stronę Wacława.

- Osobliwi ludzie... - prawie przystawił usta do ucha Benesza i szepnął cicho: - Czy to aby na pewno nie Tatarzy?

- Nie. To Inkasy, z Peru.

- A właściwie co oni za jedni?

Baronowi chodziło najwidoczniej o to, czy Inkowie należą do ludów cywilizowanych, czy raczej uprawiają ludożerstwo, szczególnie Inca - tu: szlachetnie urodzony; tytuł przysługujący tylko członkom rodu królewskiego. Apu, apo (kecz.) - pan, starszy (senior), generał, wódz; obecnie tytuł honorowy w rodzaju „wielmożny pan”, a także określenie najwyższych szczytów andyjskich; atoc (kecz.) - lis. Fonet. Roka Jupanki (kecz.) - oba imiona oznaczają wodza, dowódcę; Roca jako imię własne, yupanqui - stanowisko: oficer, kapitan.

kosztem brzuchatych Prusaków. Ale źle trafił, ponieważ Wacław tak wielką ignorancję w dziedzinie swojej ulubionej geografii uważał za zbrodnię zasługującą na małą nauczkę.

- Tacy Tatarzy. Tylko amerykańscy - poinformował ze śmiertelną powagą.

- Aha... - Jungenfeldowi wyciągnęła się mina.

- Czy to prawda - znów dociekała Anna, w pełni wykorzystując okazję do

zaspokojenia ciekawości i ignorując mitygujące znaki dawane jej przez hrabiego - że inkascy królowie chodzili pokryci złotą skorupą?

Sebastian i dwaj Inkowie roześmiali się. Trzeci nadal drzemał w najlepsze, a najmłodszemu nie drgnął nawet mięsień na twarzy.

- Nie - odparł Apu Atoc.

- Tak było u Chibchów z północnych Andów - cierpliwie objaśniał Untu. - To ich władcy, pokryci złotym pyłem, raz w roku dokonywali obrzędowych ablucji w świętym jeziorze, do którego wrzucano też cenne przedmioty na ofiarę bogom. Od nich poszło miano El Dorado, co po hiszpańsku znaczy pozłacany. Później Hiszpanie zaczęli tak nazywać każde miejsce, gdzie rzekomo miały się znajdować ukryte skarby. Niektórzy szukają ich do dziś.

- Nigdy nie słyszałem o tych Czibczach. To o nieprzebranych bogactwach Inkasów krążą legendy - wtrącił Horwath.

Untu ukradkiem zerknął na Atoca i dopiero gdy tamten niemal niedostrzegalnie skinął głową, uczony odpowiedział:

- Zaiste, kraj nasz ongi obfitował w złoto, srebro i drogie kamienie. Złoto nazywaliśmy potem ojca Inti-Słońca, a srebro łzami matki Quilla-Księżycy. Były dla naszych przodków darem bożym i obracali je na chwałę bogów. Nawet ściany świątyń pokrywały złote płyty. Jednak dla hiszpańskich najeźdźców złoto znaczyło zgoła co innego. Zdradziecko pochwyciwszy ostatniego Jedynego Inkę, Atahualpę, za jego uwolnienie zażądali wypełnienia złotem komnaty na dziesięć łokci szerokiej i szesnaście długiej, do wysokości wyciągniętej ręki. Lecz ich żądza mordy dorównywała chciwości, więc pospieszyli się i zamordowali króla, zanim spłynął cały okup. Wtedy kapłani przy

pomocy wiernego ludu pochowali skarby w niedostępnych kryjówkach górskich, podziemnych grotach albo zatopili w jeziorach.

- Więc jednak Eldorado istnieje! - zawołała Anna z wypiekami na twarzy.

- Tylko nikt nie wie gdzie. Nawet my - z kamienną twarzą zgasił jej zapal Apu Atoc.

- Nie powiesz pan chyba, że nic z tych skarbów już wam nie zostało?! - z nieskrywanym niedowierzaniem odezwał się milczący od dłuższego czasu Colignac.

- Niestety - westchnął mały uczonek. - Większość złota przypuszczalnie leży na dnie jeziora Titicaca. Z kolei lwia część zrabowanego przez Hiszpanów srebra spoczęła w wodach zatoki Vigo, gdy Anglicy w tysiąc siedemset drugim roku zatopili Srebrną Flotę. Kiedyś upomnimy się o te skarby i spróbujemy je odzyskać. A na razie, jak państwo widzą, biedni z nas tułacze, wyzuci z ojczyzny i majątku...

Hrabia zadzwonił nożem o krawędź pucharu.

- Dajcie już pokój temu przepytywaniu, moi drodzy, będzie po temu jeszcze niejedna okazja. - Wstał z kielichem w dłoni. - Szanowni państwo!

Miło mi powiadomić, że transakcja moja z panem Sebastianem de Berzeviczy doszła do skutku i od dziś zamek ma nowego właściciela.

Wypijmy za to!

Wszyscy ochoczo spełnili toast, po czym wstał Sebastian, a służba od nowa napełniła kielichy.

- Mili państwo - rzekł Sebastian - pragnę zapewnić, że będę rad, mogąc używać wam gościny. W tym względzie nic się nie zmieniło. Czujcie się w zamku jak u siebie w domu! Osobliwie zobligowany jestem pannie Rubinowskiej, która zgodziła się prowadzić dla mnie folwark, póki nie

znajdę innego administratora, oraz ojcom jezuitom, którzy zadeklarowali chęć pomagania jej aż do wiosny zarówno w tym, jak i innych dziełach. Przy okazji chcę rzec, iż pomysł założenia kolegium na terenie klucza niedzickiego bardzo przypadł mi do gustu i chętnie będę partycypował w kosztach.

Znów o głos poprosił hrabia i powiedział:

- Wdzięcznym sercem, w swoim i przyjaciół moich imieniu, przyjmuję gościnę pana de Berzeviczy, jednak muszę wrócić do Palocsy, albowiem, jak wiadomo, pańskie oko konia tuczy, a nie widziano mnie tam od pół roku. Jeśli wszak gospodarze nie będą mieli nic przeciwko temu, chętnie wraz z baronem Jungenfeldem zjedziemy do Dunajca na Gody1. A potem, kto wie, może urządzimy wspólnie redutę2?

Zarówno Sebastian, jak i Prusak z zadowoleniem przyjęli propozycję Horwatha. Spełniono zatem ostatni toast, po czym towarzystwo wyległo na zewnątrz, pożegnać odjeżdżających. Przechodząc obok baszty kaplicznej, na widok krzyża nad wejściem, Sebastian zapytał:

- Czyżby tu mieściła się nowa kaplica?

- Tak, postawił ją mój praszczur Jerzy. Ten sam, który rozbudował zamek w zeszłym stuleciu - wyjaśnił Palocsay. - Teraz kaplicą opiekuje się ojciec Franciszek.

Na prośbę Sebastiana drugi jezuita, wielgachny milczek, ojciec Jan, wyjął z kieszeni klucz i otworzył kaplicę. Rozwarłszy drzwi na całą szerokość, pospieszył zapalić świece na ołtarzu.

Kaplica zajmowała cały środek baszty i jak ona miała kształt nieregularnego półkola. Ściany pokrywały barwne freski, a na wprost wejścia znajdował się barokowy ołtarz. Kilka ławek po bokach i dwa

kłęczniki dopełniały wyposażenia. Wnętrze było czyste i schludnie utrzymane, na ołtarzu nie brakowało nawet jakiejś późnej odmiany róż.

- Ładnie tu - pochwalił Sebastian.

- To zasługa ojców - stwierdził Horwath. - Pater Franciszek w każdą niedzielę odprawia dla nas mszę.

- Ale o porządek dba ojciec Jan - oddał konfratrowi sprawiedliwość starszy zakonnik.

Gody - Boże Narodzenie.

Reduta - maskowa zabawa karnawałowa, na ogół publiczna.

- Jeśli akurat nie przesiaduje w kuchni - mruknął Wacław. - Lub w gospodzie...

- Moja córka przeżyła niedawno bolesną stratę, z którą wciąż ciężko jej się pogodzić - rzekł Sebastian. - Wiem, że zechce często korzystać z kaplicy, by modlić się w zaciszu. Dlatego poproszę o klucz.

- Panna Rubinowska z pewnością wyda zapasowy klucz, jeśli będzie taka potrzeba - skwapliwie powiedział stary jezuita. - Bo jednak lepiej kaplicę zamykać. Kiedy stała otworem, często a to psy się zapędzały i paskudziły, a to ktoś z czeladzi zakradł się drzemkę sobie uciąć w ukryciu, albo jakaś para obrazę boską czyniła bezwstydnie... Ale brat Jan chętnie nadal będzie się troszczył o kaplicę i otworzy ją na każde żądanie...

Niedźwiedziowaty zakonnik swoim zwyczajem nic nie powiedział, uśmiechnął się tylko szeroko, energicznym kiwaniem głowy zgłaszając gotowość do dalszych usług.

- Doskonale - rzekł Sebastian. - A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę już iść do córki, bo biedaczka po podróży nie może przyjść do siebie.

Wacławie, bądź łaskaw zaglądnąć do mnie gdzieś za kwadrans.

Uklonił się i razem z Inkami zniknął w baszcie narożnej.

- Baronie - hrabia wziął Wacława pod ramię i schodząc ze schodów na dziedziniec, zatoczył ręką koło - teraz to wszystko twoje. A mnie jednak żal. No - zaśmiał się, widząc niewyraźną minę Benesza - nie aż tak, bym chciał oddać pieniądze, mimo iż za jednym zamachem straciłem i zamek, i kuzynkę.

- Nie ciesz się - odparła Anna. - Niedługo będziesz mnie miał z powrotem.

- Oto i balsam na moją duszę! Tylko się nie przepracuj.

- Poradzę sobie.

- Nie wątpię. Karolu, zostajesz na zamku czy jedziesz z nami? - zagadnął Colignaca.

- Nic mnie tu nie trzyma - burknął ponuro Francuz, który ostatnie parę minut prowadził cichą, lecz gwałtowną wymianę zdań z Rubinowską.

- To pójdź sposobić się do drogi, zaraz ruszamy.

- Pan Karol coś nie w humorze - zauważył niezbyt tym zmartwiony Wacław, gdy zostali sami z dziewczyną.

- Chyba tak - ucięła.

- Czy aby nie za twoją to przyczyną, pani? - dociekał.

Zieleń w jej źrenicach ustąpiła miejsca zimnemu błękitowi. Zawsze go fascynowała ta przemiana, choć wiedział, że nie wróży nic dobrego.

- Nadtoś ciekaw - odpaliła, nie zdradzając ochoty na rozwijanie tematu.

- Chciałbym jednak wiedzieć - nie ustępował - czy prowadzenie folwarku to jedyny powód, dla którego zdecydowałaś się pozostać w Dunajcu?

- A znasz pan jakiś inny? - Uśmiechnęła się kpiąco. - Zdaje się, żeś jeszcze nie odnalazł drugiej połówki cekina? Zatem wybacz, muszę wracać do swych powinności.

Tym razem dwóch ciemnowłosych drabów w barwnych wełnianych opończach, trzymających straż przy narożnej baszcie, przepuściło go, zadowolając się jedynie odebraniem mu pistoletów, po czym weszło za nim do środka. Jeden z nich, który nosił owinięty wokół bioder ów dziwny arkan zakończony kulami, krzyknął coś i z góry natychmiast zszedł Sebastian. Sądząc z tonu, zbeształ strażników, bo natychmiast zwrócili broń i pokłonili się Wacławowi nisko.

- To Maypa i Kencho - przedstawił Indian Sebastian. - Od tej chwili są na twoje usługi. Niestety, znają tylko ojczystą mowę runa simi więc nie będziesz się mógł z nimi porozumieć, ale Tanaka - wskazał trzeciego Indianina, który jak duch pojawił się nie wiadomo skąd - zna trochę włoski i francuski. Są jeszcze Kokchi i Kirkincho, ale w tej chwili śpią. Poznasz ich później, a teraz pójdź ze mną na górę.

Wspinając się za stryjem na piętro, Wacław zauważył:

- Straże masz niby udzielny władca.

Runa simi - dosł. ludzka mowa - język Inków; dziś nazywa się go kea.ua, tak samo jak posługujących się nim Indian Quechua, potomków Inków.

- Lepsze - stwierdził krótko starzec.

- Chętnie wierzę. Widziałem na gościńcu, co potrafią. Sebastian machnął ręką lekceważąco.

- To byli pospolici grasanci, z takimi poradziłbym sobie sam. Siadaj i czytaj - powiedział, puszczając Wacława przodem do izby, której spartańskie wyposażenie stanowił mały stolik z jednym krzesłem oraz prosta prycza.

Wacław wziął do ręki leżący na stole pergamin. Była to umowa, na mocy której za cenę pięciu tysięcy talarów wypłaconych w gotowiźnie

Paloscayowie zrzekli się wszelkich praw do zamku Dunajec i należącego doń folwarku na rzecz... Wacława Benesza de Berzeviczy, barona de Dondangen. Na pergaminie widniał podpis sprzedającego zamek hrabiego Józefa Horwatha de Palocsy oraz podpisy jego syna Andrzeja i Sebastiana de Berzeviczy jako świadków transakcji. Brakowało jedynie podpisu nowego właściciela posesji.

Sebastian podsunął bratankowi kałamarz z piórem.

- Teraz już wiesz, po co cię tu ściągnąłem. Podpisz, a zamek będzie twój.

Wacław wahał się.

- No, chłopcze. Nie zamierzam cię kupić, nie obawiaj się. Od początku było moją wolą, by rodowe gniazdo dostało się właśnie tobie. Wiem, że i ty o tym marzyłeś. Śmiało...

Benesz wziął pióro i podpisał dokument. Sebastian dmuchał i machał pergaminem, dopóki atrament nie wysechł, po czym delikatnie zwinął dokument w rulon i wręczył bratankowi, mówiąc uroczyście:

- Schowaj go dobrze. To twoja przyszłość. Teraz jesteś nareszcie równy najpierwszym obywatelom.

- Nigdy nie czułem się gorszy - odparł Wacław, ostrożnie umieszczając zwój za pazuchą.

- Wiem i dlatego jestem z ciebie taki dumny, synu. Jednak bycie hołyszem to nic przyjemnego. Wiem dobrze, jak to jest. - Sebastian objął bratanka ramieniem. - A teraz pójdź, poznasz resztę rodziny.

Znów wspinali się po krętych schodach na najwyższą kondygnację, a po Sebastianie nie było widać choćby śladów zadyszki. U szczytu baszty, przed wejściem do komnaty, leżało coś bardzo podobnego do kupy brudnych łachmanów. Stary Berzeviczy z daleka uprzedził:

- Amigos Yana².

Ku zdumieniu Wacława toból poruszył się i okazał siedzącym w kucki człowiekiem niewielkiego wzrostu. Z szopy rozwichrzonych włosów wyzierała ciemna, mała i pomarszczona twarz, tak brzydka i okrutna w wyrazie, jakiej Benesz nie widział nigdy w życiu z wyjątkiem nocnych koszmarów z dzieciństwa. Na widok obcego karzeł błyskawicznie przytknął do ust rurę długą na ponad dwa łokcie.

- Sayay!¹ - krzyknął Sebastian i równie błyskawicznym ruchem podbił rurę, po czym wyrzucił z siebie kilka zdań w dziwacznym narzeczu, na koniec kilkakrotnie wskazując Wacława i powtarzając z naciskiem: - Patron, Chuncho! Noszaninga⁴.

Z wydętych policzków powoli uchodziło powietrze. Po chwili gnom odjął od ust rurę i zajął poprzednią pozycję, Wacław zaś drżącą ręką otarł pot z czoła.

- Co on ma w tej rurze, zatrute strzały?

- Jakbyś zgadł - potwierdził Sebastian. - To świstuła albo dmuchawka, ulubiona broń Indios bravos, lub jak ich zwali Inkasy

- Chunchos, czyli dzikusów z puszczy. Wyrzucają z niej strzałki nasączone kurarą, piorunująco działającą trucizną. Ta świstuła dla wygody jest krótsza, niżli zwykle bywają, ale nasz Chuncho na dwadzieścia kroków nie chybia do żadnego celu. Nazywamy go też Yana, czyli niewolnik, bo jak rab jest ślepo oddany mojej córce, która kiedyś ocaliła mu życie. Dla niej zabije każdego, nawet mnie, gdyby mu kazała. Pod jego okiem jest całkowicie bezpieczna.

Amigos (hiszp.) - przyjaciele.

Yana (kecz.) - czarny, ale także: sługa, tu: imię własne.

Sayay! (kecz.) - stój!

Patron (kecz.) - pan, pryncypał; Czunczami Inkowie nazywali plemiona z dżunglii, głównie

Kampów, tu: imię własne; noszaninga (kampa) - przyjaciel.

- Wierzę - rzekł Wacław z głębokim przekonaniem i wy dostał zawiniętą w chustkę zatrutą strzałkę, wydobytą na gościńcu z ciała bandyty. - Masz, to chyba twoje - rzucił zawiniątko Indianinowi, który zręcznie złapał je w locie.

Pokój, do którego dostępu bronił niesamowity strażnik, znacznie różnił się od tego poniżej. Był przytulniejszy dzięki znacznie większemu nagromadzeniu sprzętów i wyraźnie kobiecy. Wrażenie to zawdzięczał głównie wspaniałym wzorzystym tkaninom, pokrywającym ściany i podłogę barwną, ciepłą warstwą, a poza tym przebywały tu dwie kobiety i dziecko. Starsza z kobiet, ponadtrzydziestoletnia, miała imponującą, prawdziwie królewską postawę. Powagi dodawały jej czarne suknie i także mantyla zarzucona na głowę. Twarz, niegdyś z pewnością bardzo piękną, postarzały wyostrome rysy, przedwczesne zmarszczki i wyraz smutku w czarnych jak węgiel oczach. Druga, młodsza, siedziała w kucki na podłodze i nawijała wełnę w kule, które toczył po podłodze baraszkujący na czworakach może roczny chłopczyk. Na widok gości młodsza porwała dziecko na ręce i szybko wstała. Podniosła się również, ale z istic monarszą godnością, starsza, odłożywszy wprzód modlitewnik, w którego lekturze była pogrążona.

- Umino* - zwrócił się do niej Sebastian - pozwól zaprezentować sobie Wacława.

- Witaj, bracie - odparła zupełnie dobrą polszczyzną, równocześnie

serdecznym gestem podając mu dłoń, którą ucałował z uszanowaniem. Zaskoczyła tym Benesza spodziewającego się większej rezerwy. Wyglądała na zmęczoną tak niewielkim przecież wysiłkiem i szybko usiadła, wskazując przybyszom wolne krzesła. Milczała, może wyczerpawszy już cały zasób polskich słów, a może nie była rozmowna z natury. Sebastian odebrał chłopca od opiekunki i posadził go sobie na kolanach.

Umina (kecz.) - kamień szlachetny, klejnot; tu: imię własne.

- To jest Antonio, mój jedyny wnuk - oznajmił z dumą bratankowi i czule pogłaskał malca po bardzo ciemnych włosach.

Chłopczyk zaczął się wyrywać, więc zestawił go na pawiment, a maluch natychmiast pogonił za umykającym motkiem. Sebastian i obie kobiety wodzili za nim rozkochanym spojrzeniem. Nikt nic nie mówił i Wacław poczuł się jak intruz, który wtargnął do sanktuarium. Sebastian, oderwawszy na moment wzrok od wnuka, wstał i powiedział: -

Wpadliśmy tylko na chwilę, Umino. Wiem, żeś znużona, a z Wacławem mam jeszcze do pomówienia.

Benesz z ulgą opuścił komnatę. Demoniczny strażnik pod drzwiami otworzył na jego widok jedno oko, ale tym razem ani drgnął. Zza drzwi doszedł odgłos suchego męczącego kaszlu.

- To Umina - powiedział Sebastian. - W Europie nabawiła się suchot.

- Bardzo z nią źle? Sebastian westchnął ciężko.

- Ona umiera, synu - odparł z bezbrzeżnym smutkiem - i nic na to nie można poradzić.

Wacław objął pochylone plecy starca i pomógł mu schodzić.

- Dziwne imię, Umina...

- Królewskie. Mąż Uminy a mój zięć, Andres Tupać Amaru, był inkaskim księciem krwi.

- Był? Na co umarł?

- Został zamordowany - odparł starzec sucho.

Zeszli na sam dół baszty, gdzie czuwał ów znający trochę obce języki i rzeczywiście wyglądający na inteligentnego Indianin Tanaka, który na skinienie Sebastiana otworzył drzwi prowadzące do usytuowanych w amfiladzie komnat zachodniego skrzydła dolnego zamku. Mijali je kolejno. Pierwsza przypominała zbrojownię, tyle w niej nagromadzono rozmaitego oręża. Druga - koszary, tutaj bowiem najwidoczniej przebywali indiańscy wojownicy, gdy nie mieli nic do roboty. Teraz dwójka z nich odsypiała nocne czuwanie. Kolejne, wystawniej urządzone, były zapewne sypialniami najważniejszych Inków. Z powodu zamurowanych od strony dziedzińca okien i krat w oknach wychodzących na podjazd Wacław miał klaustrofobiczne wrażenie, jakby znalazł się w więzieniu. Dziwił się, jak Inkowie potrafią na dłuższą metę to znosić.

Cała czwórka czekała na nich w największej komnacie, zasiadając wokół ogromnej ławy czy też skrzyni, nakrytej wielobarwnym kobiercem. Atoc i Untu podnieśli się na widok przybyszy, lecz Inca

Huallpa znów drzemał, wygodnie rozparty w jedynym krześle z prawdziwego zdarzenia, a Roca Yupanqui tylko niedbale skinął głową.

Wpadające przez okratowane okno światło słoneczne odbijało się od złotych krążków starca, groteskowo obciążających zwisające mu do ramion uszy. Widok był tak niesamowity, że Wacław zrozumiał obawy Jungenfelda - ten Indianin jawił się jak postać nie z tego świata.

Apu AtoCj który wyglądał na człowieka energicznego, widocznie nie lubił

tracić czasu i od razu przeszedł do sedna:

- Don Sebastiano, czy nasz młody przyjaciel wie już o wszystkim?

- Niezupełnie...

- To objaśnij go czym prędzej, byśmy wiedzieli, na czym stoimy. Z lekkim zniecierpliwieniem wyjął z kieszeni fajkę, włożył do ust i chciał zapalić, lecz spojrzawszy na śpiącego starca, zdmuchnął płomyk i zaczął jedynie ssać cybuch.

- Drogi chłopcze - rozpoczął Sebastian, gdy obaj usadowili się na twardych zydlach wiejskiej roboty. - Nie pamiętam, czy pisałem ci o tym, w każdym razie domyśliłeś się już zapewne, że los rzucił mnie aż do Peru w Ameryce Południowej. Różnych prac się tam miałem, nim doszedłem do własnego stada mułów, którymi przewoziłem towary z Limy na wybrzeżu do Cuzco w wysokich Andach. Bo musisz wiedzieć, że Peru to kraj górzysty i nie masz tam dróg podobnych do naszych, dlatego Inkasy nigdy nie wymyślili koła, bo na nic by im się zdało...

- Do rzeczy, don Sebastiano, do rzeczy - ponaglił go Atoc.

- ... I wtedy poznałem najbogatszego z mulników, a przy tym najdostojniejszego z Inkasów, dawnych panów tej ziemi, Jose Gabriela Condorcanqui. Ten wielki człowiek nie tylko obdarzył mnie przyjaźnią, ale także dał mi za żonę swą krewniaczkę. Umina jest naszym jedynym dzieckiem. Żyłoby nam się jak u Pana Boga za piecem, gdyby nie Hiszpanie. Jose Gabriel nie mógł znieść straszliwego ucisku, jaki cierpieli tubylcy pod hiszpańskim panowaniem... Tata Untu, opowiedz, co było dalej, ty to zrobisz lepiej.

Mały uczony nie dał się prosić.

- W osiemdziesiątym roku Jose Gabriel, jako prawowity sukcesor

ostatniego Jedynego Inki, ogłosił się królem i przybrał imię Tupać Amaru II, stając na czele insurekcji antyhiszpańskiej. Niestety po roku powstanie upadło. Inca i jego rodzina zostali ujęci i okrutnie zamordowani, ocalał jedynie stryjeczny brat króla, don Andres Tupać Amaru...

- Gwoli ścisłości - wtrącił Apu Atoc, wyjmując fajkę z ust - ocalało jeszcze dwóch synów królewskich, Mariano i Fernando, oraz przyrodni brat króla, Juan Bautista. Wszystkich skazano na wygnanie. Mariano umarł w osiemdziesiątym czwartym, Fernando dogorywa w nędzy gdzieś w Hiszpanii¹, a Juan Bautista myśli tylko o swoim marnym ogródku. Przy tym obaj są bezpotomni.

- Oni umarli - stwierdził kategorycznie przebudzony nagle Inca Huallpa.

- Właśnie - potaknął Atoc. - Święte słowa. Untu, możesz kontynuować.

- Przed swą męczeńską śmiercią Sapay Inca² Tupać Amaru II powierzył don Andresowi i nam tu przytomnym misję przygotowania następnej insurekcji. Ścigani przez Hiszpanów, przebraliśmy się do Wenecji, tej gospody Europy, gdzie wielu podobnych do nas egzulów³ znalazło schronienie. Ale prześladowcy wytropili nas i tam. Wtedy don Sebastiano szczęśliwym trafem spotkał hrabiego Józefa de Palocsy i ugodził się z nim w sprawie zamku Dunajec. Pragniemy przeczekać tu w spokoju, aż powrót do ojczyzny stanie się możliwy.

Wacław z trudem wierzył własnym uszom. Odkąd odpowiedział na pisemne wezwanie stryja, miał przeczucie, że wdeptuje w nielichą awanturę. Kiedy w sprawę okazali się zamieszani tajemniczy Inkowie, awantura zrobiła się wręcz niesłychana, ale teraz zdobył pewność,

Zm. w 1798 r.; wszystkie szczegóły dotyczące losów rodziny Tupaca

Amaru II - autentyczne. Jedyne Inka - tytuł władcy Inków, zwanego też

Synem Słońca, czyli Intip Churin. Egzulowie - wygnańcy.

że jak głupiec związał się z gromadą wariatów rojących o pokonaniu całej potęgi hiszpańskiej!

- Zdaje się, że don Waclaw ma nas za szaleńców - zauważył bystro Apu Atoc, wymawiając imię Benesza jako Uaslau i uśmiechając się cierpko.

- Nie jesteśmy szaleni, młodzieńcze - odezwał się nagle sędziwy Inca Huallpa zadziwiająco mocnym głosem i w bardzo poprawnej francuszczyźnie. - Dobrze wiemy, na co się porywamy, i mamy po temu środki. Czy przedstawiłeś już swemu bratankowi naszą propozycję, don Sebastiano?

- Nie zdążyłem, wasza wielmożność.

- Więc uczynź to natychmiast - polecił krótko starzec i znów zamknął oczy, ale czy naprawdę usnął, za to tym razem Waclaw nie dałby głowy. Chyba że długachne uszy pozwalały mu drzemać i wszystko słyszeć równocześnie.

Sebastian wahał się jednak.

- Słyszałeś, don Sebastiano - ponaglił go Atoc. - Skoro ty ufasz bratankowi, my ufamy mu także. No, dalej, na początek pokaż don Waclawowi, czym dysponujemy.

- Nie chciałbym poznawać żadnych więcej waszych sekretów, bo wątpię, byśmy mieli ze sobą współdziałać - uprzedził lojalnie Waclaw.

Apu Atoc wzruszył ramionami.

- To bez znaczenia. I tak tkwisz pan w tym po uszy. A my też nie mamy wyjścia i musimy wystawiać się na hazard.

Zdecydowanym ruchem zerwał narzutę z blatu, który okazał się wiekiem wielkiej skrzyni. Wykonano ją ze srebra i ozdobiono rytami układającymi

się w zgeometryzowane wzory roślinne i zwierzęce. Waclaw pomógł Atocowi podnieść piekielnie ciężkie wieko. Podobieństwo do metalowej trumny, które pierwotnie nasunęło się Beneszowi w związku z kształtem i rozmiarami skrzyni, ustąpiło natychmiast, gdy zajrzał do środka.

To był prawdziwy skarbiec! Istny Sezam! Cała zawartość mieniła się i błyszczała tak, że oczy bolały od patrzenia. Wszystko starannie posortowane i poukładane w osobnych kasetach, które Atoc z Waclawem po kolei wyjmowali i zestawiali na posadzkę.

Znajdowały się tu złote i srebrne, pięknie zdobione delikatnymi rytami i wysadzone drogimi kamieniami dzbany, misy, puchary, naszyjniki ze złotych kul, niewielkie gładkie cegiełki ze złota i wielkie złote płyty ułożone jedna na drugiej, napierśniki i nagolenniki, złote bębny i samorodki wielkości pięści, misterne figurki nieznanymi w Europie roślin i zwierząt, wykonane tak precyzyjnie, że wydawały się żywe, oraz mnóstwo przeróżnych złotych monet. W osobnych przegrodach migotały wielobarwną tęczą dokładnie posegregowane drogie kamienie, w stanie naturalnym i oprawione: szmaragdy, turkusy, rubiny i kryształy górskie. Niektóre szmaragdy miały wielkość kurzych jaj i nieskazitelną przejrzystość. Ale największe wrażenie robiły pośmiertne maski ze złotej blachy i inne przedmioty najprawdopodobniej rytualnego przeznaczenia. Waclaw machinalnie dotknął dziwnego noża w kształcie litery T, której krótsze ramię tworzyło półksiężycowate ostrze, trzonek zaś przedstawiał sprężonego do skoku potwora o wylupiastych i krwawych oczach wyrobionych z rubinów.

- To turni, nóż ofiarny - objaśnił Untu. - W dawnych czasach kapłani wydzielali nim serca ofiarom poświęconym bogu Słońcu, Inti.

- Inti! - krzyknął rozbudzony nagle Inca Huallpa, wyciągając ręce do okna. - Ty byłeś naszym bogiem na długo przedtem, nim brodaci barbarzyńcy przywlekli ze sobą wiarę w fałszywego Viracochę. O Inti, dodaj nam siłę, byśmy mogli pokonać najeźdźców, a prawdziwy Intip Churin odzyskał tron Tahuantinsuyu!

Niesamowity starzec zaczął powoli wzbudzać w Wacławie irracjonalny lęk. W jego chrześcijaństwo też powątpiewał coraz bardziej i coraz lepiej rozumiał Jungenfelda. Doszło do tego, że był gotów uznać Inkę Huallpę za dość wiekowego, by posługiwał się makabrycznym nożem w czasach, gdy ów turni miał jeszcze wartość jak najbardziej użytkową...

Roca Yupanqui przypatrywał się Beneszowi drwiąco, a rozbawiony Apu Atoc chyba czytał w jego myślach, bo rzekł uspokajająco:

- Być może czcigodny Inca Huallpa, jako były huillac-umu, czyli arcykapłan Inti, nosi jeszcze gdzieś głęboko w sercu sentyment do starej wiary, ale jego chrześcijaństwo...

- Atatao!1 -parsknął starzec ze złością, aż zakołysały mu się monstrualne małżowiny uszne. - Cóż nam dało chrześcijaństwo? Niewolę i pohańbienie! Tylko powrót do wiary przodków może nas wybawić!

Gwałtowne wystąpienie nadwaśliło jego siły na tyle, że znów zamknął oczy i wydawało się, że tym razem usnął na dobre.

- Nie bierz sobie tego do serca, chłopcze - chrząknął zakłopotany Sebastian. - Ince Huallpie ze starości mieszają się czasy. Ostatecznie ma dwieście lat z okładem.

- He?!

- A cóż cię tak dziwi? Peru to osobliwy kraj, powietrze tam zupełnie inne niż u nas. Spójrz tylko na mnie, czy wyglądam na swoją prawie setkę?

Wacław musiał przyznać, że nie, ale od usłyszanych i obejrzanych rewelacji rozboleła go głowa.

- Jeszcze tylko jedno chciałbym ci pokazać. Coś ze wszystkiego najcenniejsze, choć pewnie nigdy byś się tego nie domyślił - powiedział pospiesznie Sebastian, widząc narastające zmęczenie bratanka.

Wyjął ze skrzyni kuferek z pozłacanej blachy, a z niego wspaniałe, acz raczej kusy płaszczyk, bajecznie kolorowy, bo wykonany z wielobarwnych piór i ptasiego puchu.

- Oto yacolla, wierzchnia szata Jedyne Inkasa. A to collca-uncu, królewska tunika. Utkano ją z najprzedniejszej wełny wikuni i alpak², które Hiszpanie nazwali tubylczymi owcami, a które wyglądają mniej więcej tak, jak ta napa, święta biała lama.

Atatao! - keczuańskie przekleństwo.

Dziki (wikunia albo wigoń) i udomowiony (alpaka) krewniak lamy.

Wacław z zaciekawieniem obracał w palcach wziętą spośród mniej cennych przedmiotów małą srebrną figurkę dziwnego zwierzęcia, podobnego nieco do owcy z długą szyją. Posążek został wyrobiony z niezwykłą precyzją i okryty maleńkim, wzorzystym niby kropierzem.

- Podoba ci się? Weź ją sobie pro memoria! - Sebastian znów sięgnął do kuferka i wy dostał kolejny przedmiot. - A oto masz tu-pac-yauri, królewskie berło.

Ostatnią rzecz podjął z wyjątkowym pietyzmem, mimo iż była najbardziej niepozorna ze wszystkich: po prostu zwój kolorowego sznura z umocowanymi doń złotą broszą dwoma smukłymi piórami, jednym białym, a drugim czarnym. Spod zapiny zwisały czerwone frędzle w złotych tulejach. Sebastian uniósł zawój wysoko ponad głowę. Apu Atoc i

Tata Untu pochyłili głowy z uszanowaniem, nawet Roca Yupanqui tym razem ukłonił się nisko.

- Ten sznur, chłopcze - z równą starannością jak wyjął, Sebastian pakował zawój z powrotem - to królewska korona, llautu, wraz z frędzlą zwaną mascapaicha, a przez Hiszpanów borla. Pióra należały do cudownego ptaka coreaunque. Bóg Słońce zsyłał go na ziemię po to tylko, by zostawił swoje dwa pióra dla nowego Sapy Inkasa, albowiem mogły one zdobić jedynie królewskie czoło.

Razem z obydwojoma Inkami zaczął chować skarby do skrzyni, na koniec znów przykrywając ją kobiercem. Nikt postronny nie domyśliłby się, że pod tą tkaniną znajduje się olbrzymi skarb wart setki tysięcy, a może miliony talarów.

- Teraz już wiesz, señor, że mamy za co przeprowadzić insurekcję - powiedział Atoc do Waclawa. - W każdej chwili możemy zakupić broń i odpłynąć do ojczyzny.

- Skąd wzięliście tak ogromne bogactwo, skoro skarby inkaskie ponoć przepadły na wieki?

Pro memoria (łac.) - na pamiątkę.

- Ale nie ten. Kiedy przodek i imiennik naszego króla, Tupać Amaru I, został ostatecznie pokonany w końcu szesnastego stulecia, a Hiszpanie zdobyli stolicę jego małego górskiego państwa, Vilca-bambę, Jedyne Inka zdołał umknąć prześladowcom, uwożąc ze sobą skarbiec koronny. I choć król został wkrótce ujęty w pościgu, a potem stracony, to skarb dotarł bezpiecznie do niedostępnej górskiej twierdzy Tampu Tocco', gdzie pod opieką Inki Huallpy przeleżał bezpiecznie ponad dwieście lat.

Oznaczało to, że Inca Huallpa liczył sobie grubo ponad dwieście lat, lecz

Wacław postanowił niczemu już się nie dziwić. I tak wydawało mu się, że śni albo czyta jakieś zwariowane romansidło w rodzaju fantazji pani de Graffigny. Anna byłaby wniebowzięta, gdyby mógł jej powtórzyć zasłyszane rewelacje.

- Kompletny strój koronacyjny też zapewne pokazaliście mi nie bez kozery? Czy ów, jeśli dobrze spamiętałem, Andres Tupać Amaru, krewniak waszego króla, to twój zamordowany w Wenecji zięć, stryju? W takim razie twój wnuk...

Sebastian potaknął.

- Owszem. Po śmierci swego ojca jedynym prawowitym kandydatem do tronu Inkasów jest mój wnuk, auqui Antonio.

Chociaż Beneszowi kręciło się w głowie od tych wszystkich nowin, nie uszło jego uwagi nieznaczne skrzywienie ust przez Rocę Yupankiego, ale wziął to za kolejny przejaw kwaśnego humoru, cechującego najmłodszego z Inków.

- Powiedźcie mu wszystko - wtrącił niesamowity Inca Huallpa i znów zamknął oczy.

- Uminie niewiele życia ostało, mnie również - ciągnął Sebastian. -

Przytomna tu rada regencyjna musi niebawem wracać do Peru, przygotowywać grunt pod insurekcję.

Tampu Tocco - „Dom z oknami”, legendarne miejsce, przez niektórych badaczy utożsamiane

z odkrytym dopiero w 1911 r. słynnym Machu Picchu.

Auqui (kecz.) - fonet. auki - tytuł przysługujący inkaskim następcom tronu.

- Potrzebujemy na to od kilku do kilkunastu lat - wtrącił łagodnym głosem

Untu. - Przez ten czas chłopiec musi mieć stosowną opiekę i wychowanie. Gdy zwyciężymy, przyślemy po niego, by objął tron przodków.

- Krótko mówiąc - rzekł jak zawsze rzeczowy Apu Atoc - za opiekę nad auqui Antoniem proponujemy panu pięć tysięcy talarów na dokończenie remontu zamku jednorazowo oraz dwa tysiące rocznie na zapewnienie chłopcu stosownej do jego pochodzenia i przeznaczenia edukacji. Co ty na to, señor?

Wacław przeżył ostatnio wiele niespodzianek, ale ta przekraczała wszelkie wyobrażenie.

- Nie ma mowy - odparł bez wahania.

- Dlaczego? Za mało oferujemy?

- Nie w tym rzecz. Nie potrafię zajmować się dziećmi. Nie jestem nawet żonaty.

- To stan, który da się odmienić - zauważył Sebastian.

- Nie. Za nieporównanie mniejsze pieniądze kupicie chłopcu o wiele lepszego piastuna.

- Nic nie pojmujesz! - z rozpaczą zawołał Sebastian, aż rozbudził się Inca Huallpa i teraz wszyscy czterej Inkowie wpatrywali się w Wacława z napięciem. - Antonio to w tej chwili najbardziej poszukiwane dziecko na świecie!

- Przez paru szalonych mnichów uganiających się na co dzień za czarownicami - z pogardą odparł Benesz. - Od lat nikt nie słyszał o inkwizycji.

- Tu może nie, a jednak w Italii, a szczególnie w Hiszpanii, inkwizycja ma się doskonale - poważnie rzekł Tata Untu. - I nigdy nie spocznie, dopóki królewski ród Inkasów nie wyginie do ostatniego. Być może

ekstraordynaryjne środki, jakie podjęliśmy w zamku, strażę przy każdych drzwiach, to wszystko wydaje ci się dziwactwem, seńor, a to po prostu konieczność.

- Zjawią się i tutaj - stanowczo stwierdził Apu Atoc. - To tylko kwestia czasu.

- A może już tu są? - uszczypliwie spytał Waclaw.

- Liczymy się z tym - z powagą odparł Atoc.

- W takim razie dlaczego pozwoliliście wszystkim pozostać w zamku?

- Żeby ich mieć na oku.

Sebastian serdecznym gestem położył Beneszowi rękę na ramieniu.

- Drogi synu - powiedział proszącym tonem - ufam głęboko, że sama opatrność cię nam zesłała. Doświadczony żołnierz i sławny policjant, którego uwagi nic nie uchodzi. Któż lepiej od ciebie potrafi ochronić małego Antonia?

Waclaw nie odpowiadał, wpatrzony ponuro w czubki swych butów. Miał wszystkiego dość i doszedł właśnie do wniosku, że przybycie do Dunajca okazało się jego największym życiowym błędem. Wstał.

- Nie musisz pan dawać odpowiedzi już teraz - zastrzegł szybko Apu Atoc, także wstając. - Przecież na razie nigdzie się nie wybieramy.

Nie odpowiadając, Waclaw uklonił się Inkom. Sebastian powiedział skwapliwie:

- Odprowadzę cię.

Depcząc bratankowi po piętach, mówił:

- Twoje rozumowanie przynosi ci zaszczyt. Słusznie, najpierw musi być matka, dziecko dopiero potem.

Waclaw zatrzymał się nagle i groźnie popatrzył na stryja.

- Chcesz mnie ożenić? Wypraszam sobie!
- A cóż w tym złego? Co sądzisz na przykład o pannie Rubinowskiej? Bardzo przyjemna osoba... - Z niewinnym uśmiechem spoglądał Beneszowi w oczy.
- Ty chytry lisie! - Mimo woli Waclaw musiał się uśmiechnąć. - Jeśli sprawisz, że ona wyjdzie za mnie, zrobię dla ciebie, co tylko zechcesz. Ale to niemożliwe. Bywaj! - Stanowczym krokiem pospieszył do wyjścia.
- Trzymam cię za słowo! - zawołał za nim Sebastian.

Kolędnicy

Plucha listopadowa nie trwała długo. Pod koniec miesiąca przyszedł mrozy, by ustąpić na początku grudnia. Wtedy to zaczął padać śnieg. Padał i padał bez końca. Spadło go tak wiele, że uniemożliwił poruszanie się po zasypanych drogach. Po obfitych opadach znowu nastały wielkie mrozy i trzymały aż do Bożego Narodzenia. Zwierzyna leśna podchodziła do ludzkich sadyb za pożywieniem, którego nie mogła wygrzebać spod śniegu. Chodziły słuchy, że wilki gromadzą się w wielkie watahy.

W zamku wiało przenikliwym chłodem i nudą. Śnieg i mróz uniemożliwiły Waclawowi odbywanie ćwiczeń w lesie, więc gimnastykował się trochę w swoich czterech ścianach, gros czasu spędzając u stryja, gdzie z nim i Apu Atokiem rozgrywali niekończące się partie warcabów. Przy pierwszej okazji nie omieszkał wyjaśnić intrygującej go kwestii.

- Jakim sposobem znaleźliśmy się w Krakowie? - Sebastian powtórzył pytanie. - Aby zwieść wrogów, wybraliśmy najdłuższą, choć bodaj czy nie najszybszą, a na pewno najbezpieczniejszą drogę. Dzięki wspólnym

przyjaciołom - tu mrugnął do Waclawa - uzyskawszy turecki ferman, wynajęliśmy szybki okręt, którym dopłynęliśmy na Morze Czarne aż do ujścia Dunaju, a stąd galerą w górę Prutu. Imaginuj sobie, że tu, na granicy tureckiej Mołdawii i austriackiej Bukowiny, pułkownik Denisko zaczął już zbierać ludzi i szykować się do powstania. Przekroczywszy granicę w Dobronowcach, z czym było nieco zachodu, albowiem Austriacy w każdym

stamtąd przybywającym podejrzewają polskiego kuriera, przedostaliśmy się do Lwowa, podejmowani serdecznie przez kupca Martina - znów mrugnął - stamtąd zaś bez kłopotów do Krakowa. Złożyłem bowiem ślub, że jeśli Bóg dozwoli wrócić do ojczyzny, odwiedzę szpital ojców duchaków i daruję im pewne sumy, by nadal mogli pomagać drugim, jako i mnie pomogli. Wiedząc zaś, od Martina i Leszczyńskiego, jak doskonale się sprawujesz, nie spieszyliśmy się zbytnio.

Waclaw musiał przyznać, że użycie tak nadzwyczajnego szlaku poważnie utrudniło, jeśli wręcz nie umożliwiło szpiegom inkwizycji wytropienie zbiegów. Ale przypomniał, że już grubo wcześniej w okolicy krążyły wieści o mających się pojawić niezwykłych i bogatych przybyszach.

- Skoro dowiedział się o tym Baczyński, tym bardziej mogli ajenci inkwizycji.

- Baczyński zapewne przechwycił wylewne listy starego Palocsaya do syna, bo mówił mi hrabia Andrzej, że się gdzieś zapodziały. A prosiłem Józefa, żeby trzymał język za zębami. - Zirytowany Sebastian uderzył pięścią w stół.

- Ostrzegałem cię, że Palocsay ma długi język - wtrącił Apu Atoc.

- I co, miałem mu go uciąć? - parsknął Sebastian. - Razem z rękoma?

- Jeśli ze starego hrabiego taki gaduła, to wcale nie trzeba było was śledzić, by jeszcze w Wenecji dowiedzieć się, dokąd zmierzacie. Należy też liczyć się ze zdradą - zmroził ich Waclaw, który starał się uwzględnić wszystkie kierunki przewidywanego śledztwa.

- Bzdura - skwitował to pogardliwie Roca Yupanqui. - Gdyby ktoś z nas chciał zdradzić, nie czekałby z tym piętnaście lat.

- Po prostu musimy być czujni - łagodził Sebastian. - Na szczęście w tej okolicy o pojawieniu się każdego obcego dowiemy się natychmiast. Będzie czas podjąć odpowiednie kroki.

W ten sposób Waclaw, zwolennik zagrożenia wewnętrznego, został przegłosowany, choć nie przekonany. Mógł liczyć jedynie na zawsze ostrożnego Apu Atoca, z którym wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Przez kilka dni Inkowie i Sebastian zachowywali się niczym w oblężonej twierdzy, z czasem ich nerwowość osłabła, ale czujność - nigdy. Zawsze dwóch strażników pilnowało wejścia do zachodniego skrzydła, gdy zaś Umina, a zdarzało się to trzy razy dziennie, wczesnym rankiem, w południe i wieczorem, udawała się do kaplicy, demoniczny Chuncho z nieodłączną dmuchawką sadowił się w pobliżu, a jego czujnym ślepiom nic nie umykało. Codziennie któryś z inkaskich wojowników dyżurował w kuchni, próbując wszystkich potraw i napojów i patrząc służbie na ręce. Początkowo czeladź, częściowo pozostawiona przez Horwatha, częściowo wyszukana przez Annę, buntowała się przeciwko takiej kontroli, z czasem przywykła do niej, traktując to jako cudzoziemskie dziwactwo, szczególnie że była dobrze wynagradzana.

Hiszpana, kandydata na jezuitę, z braku lepszych traktowano jako osobę najbardziej podejrzaną, którą wszak trudno było śledzić, gdyż jak wprzód

rzadko opuszczał swą izbę. W końcu Sebastian uznał go za nieszkodliwego, a z pozostałymi „żołnierzami Jezusa” zaprzyjaźnił się, zwłaszcza z ojcem Franciszkiem. We dwóch prowadzili długie dysputy na najrozmaitsze tematy.

Anna czasem zaglądała do zamku, podejmowana przez Sebastiana z wielką atencją, czasem Waław odwiedzał ją we dworze. Była trochę markotna, gdyż zelarzy wcale nie uradowała możliwość zamiany pańszczyzny na czynsze, mimo iż Waław proponował im bardzo korzystne warunki. W końcu dziewczyna musiała poprosić Benesza na spotkanie wiejskie, na którym błagano go na wszystkie świętości, by pańszczyzna została zachowana. Uwłaszczeniem zainteresowany był jedynie Śpiewak i zaledwie kilku chłopów - członków dawnego „bractwa złamanego pióra”, które uległo rozwiązaniu. Jak doniósł Waławowi Śpiewak, perspektywa aresztowania, niedawno tak bliska, otrzeźwiła i zniechęciła niedoszłych powstańców do wszelkiej buntowniczej działalności. Koniec konspiracji najboleśniej przeżyła Anna.

W połowie grudnia, gdy drogi stały się jako tako przejezdne, nadeszła poczta. Ku swemu zaskoczeniu Waław otrzymał bardzo serdeczny list od Leszczyńskiego. Były rządca pisał między innymi, że w nowym otoczeniu Basia zarzuciła myśl o wstąpieniu do klasztoru, i zapraszał Benesza na jej ślub z młodym, ale już znanym w Krakowie lekarzem. Waław pogratulował młodej parze i przez umyślnego wysłał okrągłą sumkę w prezencie, lecz na ślub nie pojechał. A chociaż przewidywał, że tak się stanie i dziewczyna w końcu zmądrzeje, trochę mu było jednak smutno, że tak szybko przeszła jej wielka miłość do niego. Zastanawiał się, czy nie ciąży nad nim jakieś fatum i czy przypadkiem nie

jest skazany na starokawalerstwo. Drugi list był od dziadka. Stary Benesz wyzdrowiał, czuł się doskonale i równie dobrze radził sobie w interesach dzięki pomocy Pietrka, którego wyzwolił na czeladnika. Pytał wnuka o nowiny i składał najlepsze życzenia świąteczne.

Zajęty odpisywaniem staruszkowi, bezwiednie odpowiedział na pukanie, którego nawet nie usłyszał, gdy do komnaty wpadła jak burza podekscytowana niezmiernie Rubinowska z listem w dłoni.

- O! - zawołała na widok rozłożonej na stole korespondencji. - Pan też dostałeś listy... Od Leszczyńskich?

- Od nich także.

- A zatem już wiesz - stało się, jak prorokowałeś, Basia się odkochała.

Jednak jakoś nie wyglądasz na uszczęśliwionego z tej przyczyny...

- To przez stryja. Koniecznie chce znaleźć mi żonę, a teraz jedna kandydatka mu ubyła.

- A to pech - zakpiła.

- A żebyś pani wiedziała, bo muszę cię lojalnie ostrzec, że w jego planach twoja osoba jest uwzględniona przed wszystkimi innymi.

- To ci szczwany lis! - zawołała z podziwem. - To dlatego jest dla mnie taki miły. Ale głowa do góry, mospanie! Wspólnym wysiłkiem pokrzyżujemy mu szyki. Możesz na mnie liczyć.

- Piękne dzięki - skrzywił się. - A jeśli odnajdę połówkę cekina?

- Wtedy będzie czas się martwić, a na razie mam bardzo radosną nowinę! Tak się uradowałam, że musiałam zaraz się z kimś swą uciechą podzielić, i wybrałam waćpana.

- Bardzo dobry wybór. Na każdą okazję.

I

Machnęła tryumfalnie swoim listem.

- Ojciec napisał do mnie z Paryża. Same dobre wieści!
- Zamieniam się w słuch.
- Po pierwsze, zmarła nareszcie caryca Katarzyna!
- Chwała Lucyferowi, mają teraz diabli w piekle używanie! Czemuż tylko wcześniej jej nie porwali?
- Powiadają, że skon dopadł ją na wychodku uczynionym z dawnego tronu naszych królów. Ktoś jakoby zmyślnie zainstalował w nim bagnet, na który nadziała się jak na rożen.
- Jest sprawiedliwość na tym świecie.
- Po drugie, nowy car kazał uwolnić generała Kościuszkę! Ponoć Naczelnik już opuścił Rosję i zdążył do Francji! A po trzecie - z emocji coraz bardziej podnosiła głos - rząd francuski nareszcie zgodził się na powołanie polskiego wojska! Kto wie, czy sam Naczelnik nie stanie na jego czele! Czyż to nie wspaniałe?!
- Alleluja - przyznał.
- . - Zobaczysz waść, że przyszłoroczne Gody powitamy w wolnym kraju!
- Oby - patrząc na rozpromienioną twarz Anny, czuł, że i jemu udziela się jej entuzjazm, choć rozum kazał mu nadal tonować nadzieje. Z wyjątkiem osobistych.

Tydzień przed Wigilią zjechał do Dunajca hrabia Andrzej z Colignakiem, służbą, hajdukami i wozami wyładowanymi wszelkim dobrem. Wniósł mnóstwo rejwachu i rozgardiaszu i wszystkim od razu poprawiły się humory. Zamek ożył i jakby nabrał kolorów.

Po śmierci Katarzyny II, która zmarła 17 XI 1796 r., nowy car Paweł I dekretem z 29 XI 1796 r. uwolnił z więzienia Kościuszkę i najbliższych

mu oficerów, a wkrótce potem pozostałych jeńców polskich. Kościuszko przez Szwecję i Anglię udał się najpierw do Stanów Zjednoczonych, a następnie, na wieść o utworzeniu Legionów Polskich we Włoszech w czerwcu 1798 r., przybył do Francji i został duchowym przywódcą Legionów, mimo iż nie ufał Bonapartemu; na starość osiadł w Szwajcarii, gdzie zmarł.

Anna dwoiła się i troiła, bo na jej głowę spadły wszystkie przygotowania. Wacławowi udało się ją zagadnąć dopiero w sam dzień wigilijny, kiedy zrećznie wywinęła się nagabującemu ją Francuzowi, nie tracąc przy tym dobrego humoru. W przeciwieństwie do Gaskończyka.

- Oho! Pewnie wróżba wypadła po myśli waćpanny, skoroś taka radosna od rana - zagaił Benesz.

- Jaka wróżba?

- Jak to, nie znasz tutejszego obyczaju? Ponoć wszystkie miejscowe panny na świętego Andrzeja wypisują kartki z imionami kawalerów, po czym od świętej Łucji palą co dzień po jednej karteczce, by w Wigilię odwinąć ostatnią - tę z imieniem ukochanego.

- Zwyczaj znam, alem w tym roku nie wróżyła.

- A to czemu?

- Bom się bała, że mi się kartka z imieniem Wacław ostanie. - Roześmiała się z jego skwaszonej miny i już jej nie było.

Gwiazdę wigilijną pierwszy dostrzegł hrabia.

- Jest! - zawołał. - Patrzcie tam!

Zasiedli do stołu. Dzięki Annie, oprócz mnogości przeróżnych potraw, nie brakowało na nim, polskim obyczajem, jęczmienia, owsa i siana, pod stołem zaś całego owsianego snopka. U powały zwisał przybrany

podłaźnik. Niezależnie od licznych kandelabrow i lichtarzy zapewniających iluminację, na środku stała samotna świeca, której przeznaczenia Waclaw dowiedział się, gdy w środku wieczerzy, na skutek przeciągu, płomień świecy przechylił się w stronę Uminy i omal nie opalił jej włosów. Jednak nie było to nic poważnego, więc zdziwił się, kiedy Anna z ponurą miną nachyliła się ku niemu i szepnęła:

- To zły znak.
- Co?
- Powiadają, że kogo w wieczerzę wigilijną wskaże płomień świecy, ten rychło umrze.
- Zabobon, i tyle.
- Być może - zgodziła się - jednakowoż lud tutejszy bardzo w to wierzy. Poza tym jest nas przy stole nieparzysta liczba, a to też niedobra wróżba. Chyba była naprawdę zaniepokojona. Poznał ją wystarczająco dobrze, by wierzyć w jej rozsądek, dlatego powstrzymał się od uszczypliwego komentarza. Może w tym przypadku działała kobieca intuicja? Sam też poczuł się nieswojo i zerknął ukradkiem na Uminę, ale kuzynka siedziała zupełnie spokojna, a wyglądała nawet lepiej niż wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Może klimat tutejszy jej służył, a może medycy mylili się w ocenie jej zdrowia?

Z innymi miejscowymi gusłami zetknął się jeszcze tego wieczora, zdybawszy Juraja skradającego się do stajni z miną winowajcy i jakimś zawiniątkiem pod pachą. Okazało się, że w tobołku były resztki z wigilijnego stołu.

- Na co ci to?
- Lo kuni niese - wyznał przestraszony chłopak - coby strzygonie1 uroku

im nie zadały.

Wacław westchnął.

- Jak będziesz gadał z Kumem - powiedział ze śmiertelną powagą - to nie wierz w ani jedno jego słowo, bo jest z bestii kłamca i oszust.

Po wieczerzy hrabia ujawnił niespodziankę, którą przygotował. Miała to być sanna do kościoła farnego w Niedzicy. Na tę okazję specjalnie sprowadził z Pławca cztery pary ozdobnych sań.

Wyruszyli o jedenastej. Zbrojna eskorta hajduków z pochodniami nadawała orszakowi imponujący wygląd świetlistego węża wijącego się w ciemnościach. Po drodze dwukrotnie spotkali grupki chłopców chodzących od domu do domu i śpiewających kolędy, za co wynagradzano ich świątecznymi kołaczami. Był to powszechny na Spiszu zwyczaj „chodzenia po śpiewonce”.

Do kościoła dotarli w samą porę, by na czas zająć czekające na nich miejsca w pierwszych ławkach. Chłopi z szacunkiem rozstępowali się Strzygonie - czarownice, upiory.

na boki, przepuszczając dostojnych przybyszów. Wszyscy wystroili się świątecznie. Mężczyźni mieli na sobie brązowe sukmany albo krótsze od nich gunie, przepasane szerokimi trzosami zapinanymi na mosiężne klamerki, białe wełniane portki z czerwoną lamówką na szwie, do pół łydki owiązane rzemieniami od skórzanych kierpców. Kobiety nosiły białe baranie kozuchy obszyte czerwonym barankiem i aplikacjami w kształcie serc i kwiatów z kolorowego safianu. Tu i ówdzie, gdyby ktoś śmiał zerkać tak nisko, mógł dostrzec wyglądające spod wierzchnich okryć kanafaski, czyli spódnice samodziałowe, czerwone lub biało-czerwone.

Zamkowi także wystroili się na tę okazję, ale oczy wszystkich i tak

zatrzymywały się na osobie Rubinowskiej. Miała na sobie co prawda najzwyklejszy strój polskiej szlachcianki: krótki kontusik podbity futrem, fałdzisty i wcięty w pasie, do tego suknię „sak” z kosztownego brokatu wiśniowej barwy, a na głowie kołpaczek z czaplim piórem, ale to zwyczajne odzienie prezentowało się na niej wprost nadzwyczajnie. Aż oczy rwała. Francuz nawet nie usiłował się skrywać z uczuciami, pozerając wręcz Annę wzrokiem. Wacław maskował się lepiej.

Miejscowych jednak o wiele bardziej ciekawili Indianie, wyglądający niezwykle egzotycznie w kolorowych ponczach i wełnianych czapkach z nausznikami. Nikt wszakże nie śmiał ich zagadywać, a oni patrzyli prosto przed siebie i też nie odzywali się do nikogo.

Pasterka rozpoczęła się od starodawnej kolędy:

Pasły się owiecki pod borem, przyleciał wilcosek za torem, rozpłosił owiecki, posły do sopecki za Panem.

Becały owiecki w stajence, pokazując rany Panience:

wilcosek nos pokasol, jesce sie utrząsol za nami, za nami.

Rozciągli wilcoska na gnoju, bieli go juhasi do znoju, a owiecki pomogaly, jesce kije podowaly juhasom, juhasom.

Wacław nie znał tej pastorałki, a nie wypadało wciąż gapić się na Annę, więc rozglądał się po rzęsiście oświetlonej świątyni. Widać tej wyjątkowej nocy ksiądz proboszcz postanowił nie stosować się do cesarskich ograniczeń. Nad prezbiterium, w miejscu krzyżowania się żeber sklepienia, zauważył herb Berzeviczych, przedstawiający koziorożca wzniesionymi w górę przednimi kopytami godzącego w fantazyjny kwiat. Wspaniały barokowy ołtarz główny podtrzymywały na głowach dwie potężne kariatydy w postaci aniołów. Wyżej, po bokach, stały mniejsze

sylwetki królów w koronach, a pomiędzy nimi znajdował się wielki obraz centralny przedstawiający scenę męczeństwa świętego Bartłomieja.

Kiedy staruszek proboszcz rozpoczął kazanie, Wacław tak jak inni wyteżył słuch. Ksiądz kazał po polsku, wtrącając jednak wiele słówek gwarowych, dzięki czemu trafiał zarówno do szlachty, jak i prostego ludu. Mówił zaś pięknie i wzruszająco, w narodzeniu się Zbawiciela kazał dopatrzeć się nadziei dla Polaków i wszystkich narodów uciskanych przez zaborców, chłopom zaś przepowiadał nadejście lepszych czasów i poprawę ciężkiej doli. Na koniec, po polsku i węgiersku, podziękował zarówno dawnemu, jak i obecnemu właścicielowi zamku za hojne datki na rozbudowę świątyni.

Po mszy w zakrystii połamał się opłatkiem z gośćmi z zamku.

- Panowie - rzekł hrabia do Sebastiana i Wacława. - Oto najzacniejszy kapłan, jakiegom w życiu spotkał, ojciec Michał Lorencs, Niemiec z nazwiska, Polak z serca. Jemu nasza fara swą urodę zawdzięcza.

- Kolatorów¹ zacnych to zasługa - bronił się kapłan.

Przed świętami Sebastian, na prośbę Benesza, odwiedził plebanię i zostawił tam bogate dary na rzecz parafii.

- A to zapewne młody pan Berzeviczy? - Ksiądz z uśmiechem popatrzył na Benesza. - Nie pamiętam twojej twarzy, ale czy ja już pana gdzieś nie słyszałem, młodzieńcze? Nie spowiadałeś się kiedyś u mnie?

Mrugnął okiem porozumiewawczo.

Na Trzech Króli zamek nawiedzili kolędnicy z szopką zwaną na Spiszu Betlejemkiem. Mieli przedstawić „tutejszy obrazek zwyczajowy, bardzo ucieszny”, toteż w świetlicy nie zabrakło nikogo. Sebastianowi udało się

nawet nakłonić do obejrzenia spektaklu Uminę. Oboje zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, a Sebastian wziął na kolana wnuka. Za państwem tłoczył się tłumek ciekawskiej służby. Również hajducy pełniący służbę na dziedzińcu zerkali ciekawie przez uchylone drzwi.

Na prowizoryczną scenę umieszczoną w głębi komnaty, przed drzwiami wiodącymi do dalszych komnat średniego zamku, wyszedł chłop w czarnej sukmanie szamerowanej czerwonym sznurkiem, zarzuconej miejscową modą „na madziar”, czyli przez ramię na sposób węgierski. Rzucił ją w kąt i skłonił się widzom nisko, zamiatając posadzkę szerokim „uherskim” kapeluszem. Pozostał w białej koszuli i czerwonym lajbiku, czyli serdaku-kamizelce z dwoma rzędami błyszczących metalowych guzików. Rozpięty lajbik odsłaniał szeroki skórzany trzos z ozdobnymi klamrami. Portki z białego samodziału miały małe parzenice koło przyporów, uplecione ze sznurków granatowo-czerwonych, a wzdłuż boków czerwone oblamki. Spodnie na łydkach obwiązane były rzemieniami bućkorów, czyli skórzanych

Kolator - właściciel gruntów, na których znajdowała się parafia, zwykle jej dobrodziej.

kierpców. W ręku trzymał wałaskę zwaną też ciupagą, niewielką siekierkę na długim stylisku.

Widzowie poprawili się w siedzeniach w oczekiwaniu widowiska. Chłop, siejąc owies po sali, zagaił:

Wiensujem wom na to Boże rustwo,
coby sie wom darzyło sićko ubóstwo:
gęsi siodlate, kury cubate,
barany z krętymi rogami,

capy z długimi ogonami,
cielicki jak w lesie jedlicki,
wołki jak na dachu kołki,
w kumorze, w oborze, wsędy dobrze.

Pofolony Jezus Krystus!

Jo jej baca z Rimawskiej Soboty
nie naucołef sie nijakiej roboty,
jacy bucki, krzocki przeskakuwać
i śwarne dziewcęta miełuwać.

- Ale, moi mili, jo tu drańdzyml, a tam moi braciszkwowie na polu
marznom. Stach, Fedor, bywajta!

Drzwi do komnaty hrabiego, który udostępnił ją artystom, otworzyły się i
na scenie pojawiło się dwóch nowych aktorów. Jeden w ubraniu juhasa,
drugi zarośnięty i w nędznej koszulinie przepasanej rzemieniem, udający
Rusina. Właśnie ów Fedor poskarżył się, że zginęła mu ciupaga. Na
pociechę baca poczęstował go gorzałką. Nagle Łemko zatęsknił do
jakiegoś druha o imieniu Kuba. Podeszedł do drzwi i zawołał:

- Cheboj, Kuba, bo tu cekomy na cie. Ale chytro, a nie strać gacie!

Wyszedł stary zgarbiony pasterz i długą tyradę zakończył wyrzutem:

- Wy se tu żrecie, pijecie, a mnie starego psa won trzymiecie.

Drańdzym (gwar.) - bajdurzc.

Popili zatem społem tego, po czym pokładli się spać. Pierwszy zbudził się
Fedor i krzyknął:

- Panie Boże, co tam jest?! Cy mi sie śnije, cy to na jawie? Jasność, krasa,
niebem jasa i pado az tu! Wstawajcie, baco, Kuba, Stachu, bo jo tu we
wielkim strachu! Niebo sie poli!

Zerwali się wszyscy oprócz Kuby i z wielką uwagą jęli się wpatrywać gdzieś ponad głowami widzów. Wszedł Anioł z Betlejmkiem.

- Gloria, gloria, powstawajcie pastuszkowie, bo się Jezus narodził. Weź, Fedorku, trąbkę, zatrąb jak na rogu. Alleluja i gloria, chwałaś Panu Bogu! Zjawili się Trzej Królowie, jeden wymalowany na Murzyna. To on wzbudził największą ciekawość widowni i prawdziwy zachwyty małego Antonia, który bez cienia lęku wydał z siebie kilka radosnych okrzyków i zaczął podskakiwać na kolanach dziadka. Za podszeptem Rubinowskiej Sebastian rzucił monarchom parę monet. Trzej mędrcy opuścili scenę, śpiewając:

2 Bogiem ostawojcie, mili hospodari, siumnie wom tez dziękujem za te wase dary.

Teraz dopiero Stach zbudził Kubę, a Fedor rzekł do niego:

- Stary, na ofiarę!
- Co, na farę?
- Na ofiarę. Musis cosik dać Ponu Jezuskowi!
- No, kiedy musem, to musem.
- Pierwej klękniij, przeżegnaj się, bo musis.
- Kie musem, to musem, ale nie umiem, nauc mnie.
- W imię Ojca...
- Kopła mnie owca.
- W imię Ojca, ci godom! I Syna...
- I Syna.
- I Ducha...
- Kopła mnie mucha.
- I Ducha!

- I Ducha.
- Świętego...
- Co ci do tego?
- Świętego!
- Świętego.
- Amen.
- Zabił staro babę kamień.
- Amen!
- Amen.

Większość widzów zaśmiewała się do łez, natomiast Wacława zaczął ogarniać coraz większy, nieokreślony niepokój. Wydawało mu się, że już kiedyś słyszał „bacę” i to w mało przyjemnych okolicznościach, ale gdzie i kiedy mogło to być? Miał za to pewność, że nigdy go nie widział, chociaż...

Tymczasem przedstawienie dobiegło końca. Na scenie pojawili się wszyscy aktorzy, łącznie z Trzema Królami, i zgromadzeni wokół szopki, zaśpiewali kolędę:

A to ci, Ziemianie, leży Bóg na sianie.

Leży, leży Dzieciatecko, piękne, siumne Paniatecko,

Do ludzi sie uśmiecho.

I my tam pudemy, ciesyc sie bedemy.

Zaśpiwomy piosnkę społem, udezymy o złób cołem,

Uciesymy Dziecinę.

Kuba zaczął zbierać datki. Baca, z szerokim uśmiechem na brodatej twarzy, podszedł do Sebastiana i pogłaskał po głowie Antonia. Wacław przeciskał się ku przodowi, lecz nie zdążył. Na wszystko było już za

późno. Baca wyrwał chłopczyka z objęć Sebastiana. Przycisnął dziecko jedną ręką silnie do piersi, drugą przystawił mu do główki pistolet, nie wiadomo skąd wydobyty. Pozostali kolędnicy też wyjęli pistolety, które skierowali w stronę widzów.

- Nie róbtą głupot - ostrzegł baca - bo dzieciak zginie. Porywacze wycofywali się powoli w kierunku drzwi od komnaty hrabiego.

- Łazarczyk! - zawołał Wacław, który ponieważś rozpoznał w herszcie złoczyńców nieprzyjemnego zbira o biblijnym imieniu Łazarz, napotkanego w ekonomówce, który nasłał na niego morderców. Ostatnio zaś rozeszło się w okolicy, że po nieudanym napadzie na Inków zbójnicy obalili Baczyńskiego, na czele bandy stawiając właśnie Łazarczyka.

- To ja - potwierdził zbój. - A ty już wiesz, że ze mną nie ma żartów. Rzuć broń. I pozostali też, nuże!

Odwiódł kurek pistoletu. Benesz, a w ślad za nim reszta, wyjęli swoje pistolety i cisnęli je na posadzkę.

- Piknie - pochwalił ich herszt zbójników. - A teraz, chłopcy - rzucił za siebie - podziękujcie wielmożnym państwu.

„Kolędnicy” zarechotali, „Murzyn” zaś wykrzywił się i idiotycznie przewrócił białkami oczu, po czym wszyscy, strojąc błazeńskie miny, zaśpiewali:

Dziękujem wom za wase dary,
ftoreście nom dziś ofiarowali,
naprzód panu tego domu, potem pani gospodyni
(tu Łazarczyk drwiąco skłonił się obecnym)
i czeladzi wasej miłej.

Dobrze sie miewojcie,
z Bogiem ostawojcie,
sićka domownicy,
wy drodzy rodacy.
Niech wos Bóg pozegno
ze swojej miłości
dla nasej radości.

Niech zesze aniołów,
dobrych przyjaciołów,
aby wos każdego
chronieli od złego.

- Chronieli od złego! - zapiał radośnie Kuba do kompanów, którzy odpowiedzieli mu szyderczym śmiechem. Po kolei znikali w otwartych drzwiach. Łazarczyk, z lufą przytkniętą do skroni chłopca, który wcale nie płakał, uważając to zapewne za dalszy ciąg zabawy, wycofywał się przedostatni, ubezpieczany przez Fedora. Fedorowi nie udało się uciec, ponieważ z koca, okrywającego siedzącego obok

Uminy Chuncha, wysunęła się dmuchawka i równie szybko cofnęła, nim ktokolwiek zdążył coś zauważyć. Trafiony zatrutą strzałką bandyta zachwiał się i zaczął osuwać na kolana, ale czyjaś silna ręka chwyciła go za kołnierz i wciągnęła do środka, zatraskując drzwi. Dopiero teraz skończyła się śmiertelna cisza zalegająca świetlicę.

- Jezus, Maria! - zawołała rozdzierająco Umina i upadła zemdlona na Sebastiana.

Kilka kobiet zaczęło przeraźliwie krzyczeć, mężczyźni miotali się, nie wiedząc, co robić. W ogólnym rozgardiaszu tylko kilka osób nie straciło

głowy. Waław podniósł swój pistolet i skoczył ku drzwiom, za nim Atoc, Roca Yupanqui, Colignac i Anna.

- Szybciej - ponagliła dziewczyna - bo nam uciekną. Stamtąd jest wyjście do sieni.

Wtem zza zamkniętych drzwi dobiegł ich słaby odgłos wystrzału.

- Odsuńcie się! - polecił Waław i przestrzelił zamek. Pierwszy w otwarte drzwi skoczył Apu Atoc. Kiedy pozostali, omijając leżące zaraz za progiem ciało Fedora, przedostali się do mrocznej sieni pod średnim zamkiem, po bandytach zniknął wszelki ślad. Atoc klęczał nad skuloną postacią leżącą na skalistym gruncie. Ktoś dobijał się do bramy.

- Pójdę otworzyć - zaofiarowała się dziewczyna.

Gdy przez otwartą bramę razem z indiańskimi wojownikami i hajdukami hrabiego wpadło też trochę dziennego światła, rozpoznano leżącą sylwetkę, a Apu Atoc delikatnie wyjął z jej kurczowych objęć małego Antonia, wrzeszczącego tym razem wniebogłosy, acz niewątpliwie żywego i całego, i oddał go Rubinowskiej do utulenia.

- On jeszcze żyje - zauważył hrabia, słysząc jęk.

- Tak - potwierdził Atoc, przewracając rannego na wznak. - Zdążył mi powiedzieć, że z okna na wieży zauważył podejrzanych ludzi biegnących w stronę starej kaplicy, zszedł na dół i wpadł na bandytę trzymającego dziecko. Wyrwał mu je i nie puścił, chociaż dostał kulę - odjął od piersi poszkodowanego zakrwawioną rękę. - Z taką raną długo nie pociągnie...

- I kto by pomyślał? - dziwił się hrabia. - Taki był zawsze cichy i chorowity, że człowiek zapominał o jego istnieniu, a to prawdziwy bohater!

- Zanieście go do dworu, zajmę się nim. Tylko ostrożnie! -poleciała Anna hajdukom i zwróciła się do Wacława: - Jeśli dotąd nie umarł, spróbuję go uratować.

- O co tyle hałasu? To tylko Hiszpan - burknął Roca Yupanqui, na szczęście na tyle cicho, że z wyjątkiem Benesza nikt go nie usłyszał, a zwłaszcza wielce przejęta rolą siostry miłosierdzia Rubinowska.

Oddała spokojnego już Antonia Sebastianowi, który się właśnie pojawił, i poszła nadzorować przenoszenie rannego. Colignac i hrabia razem z Imrem i Gezą poszli do starej kaplicy. Sebastian wraz z dzieckiem wrócił do Uminy, Benesz zaś i dwaj Inkowie dołączyli do Palocsaya i Francuza, którzy wychylali się za blanki. W dole, u podnóża muru, roztrzaskane na skałach, spoczywały zwłoki jednego bandyty, tego, który w jasełkach grał rolę murzyńskiego króla.

- Mieliliśmy zamurować przełaz pod kaplicą i nie uczyniliśmy tego, więc uciekli tamtędy - poinformował Gaskończyk. - Ale spieszyli się bardzo i skakali na łeb na szyję. Jednym się udało, drugim nie. Ten tam nie miał szczęścia.

- Szkoda, że tylko jeden - z zawziętą miną stwierdził hrabia. Zeszli na dół. Atoc i Benesz zostali trochę w tyle.

- I co pan na to, seńor! - powiedział Apu Atoc półgłosem. - Młody jezuita okazał się niewinny. Ba! Winniśmy mu dozgonną wdzięczność. Kto teraz jest naszym głównym podejrzanym?

Wacław nic mu nie odpowiedział. Nie miał zielonego pojęcia. Męczyła go za to pewna wątpliwość, o której wyjaśnienie jeszcze tego wieczoru, w cztery oczy, poprosił Sebastiana:

- Powiadasz, że twój wnuk jest następcą inkaskiego tronu.

- Tak. Jego ojciec był najbliższym i ostatnim żyjącym krewnym Tupaca Amaru II, ten zaś był potomkiem Tupaca Amaru I, wnuka wielkiego Huayny Capaca.
- Czy w takim razie przesłyszałem się, gdyś przedstawiał Rocę Yupanqui jako potomka króla Atahualpy?
- Nie przesłyszałeś się.
- Zatem on też ma prawo do tronu. Sebastian uśmiechnął się z politowaniem.
- Nie ma żadnego.
- A to czemu?
- Bo Atahualpa był bękartem, uzurpatorem i rzeźnikiem, dlatego. Wiedz, że Inkasy żenili się tylko z rodzonymi siostrami, w ostateczności z najbliższymi krewnymi. Matka Atahualpy nie była zaś ani siostrą Huayny Capaca, ani nie pochodziła z królewskiego rodu. Nie mogła zatem być prawdziwą coya¹, czyli królową. Mimo to Huayna Capac, umierając, podzielił państwo między ukochanego syna Atahualpę i prawowitego dziedzica Huascara, co doprowadziło do wojny domowej między przyrodnimi braćmi i ułatwiło Hiszpanom podbój Peru. Zanim Hiszpanie udusili Atahualpę, zdążył on nie tylko zamordować Huascara, lecz także zgładzić okrutnie niemal cały królewski ród, obrócić w perzynę wierne bratu miasta, a mieszkańców wyrznać w pień. Wymordował też większość kipukamayoków, którzy za pomocą osobliwego węzłowego pisma prowadzili kroniki, a węzły z zapisami nakazał zniszczyć, aby w ludzkiej pamięci nie przetrwało nic sprzed jego panowania. To był szalenciec i nie znajdziesz w Peru nikogo, kto myślałby inaczej. Dlatego po nim na tron wstąpił nie syn, ale brat z prawowitego łoża - Inca Manco, a po nim jego

syn - Tupać Amaru I. Jeśli zaś idzie o kapitana Roce, to od lat wiernie służy rodowi Tupaca Amaru i jest prawą ręką Apu Atoca. Upewniam cię, że zna swoje miejsce i ani mu w głowie pretendować do inkaskiej korony. To niedorzeczność!

Wacław wcale tak nie uważał, ale nic nie odpowiedział.

Coya (kecz.) - pierwsza, najważniejsza żona króla Inków.

Wilki

- I jak, wyżyje? - spytał Sebastian powracającego z ekonomówki Wacława.

- Panna Rubinowska czyni, co w jej mocy, ale nie podejmuje się wyjąć kuli, która utkwiała zbyt blisko serca. Najbliższy lekarz jest w Lubowli, lecz to ponoć partacz.

- Spytaj jej, czy ranny wytrzyma podróż - zdecydował Sebastian - a jeśli tak, trzeba zaraz mościć sanie. Odeślemy go do Krakowa pod dobrą opieką. Lepszego starania niż u ojców duchaków mieć nie będzie. Dam mu list instancjonalny¹ i pieniądze na drogę choćby do samego Połocka, jak już przyjdzie do zdrowia. Należy mu się za niewinne posądzenie. - Spojrzał z wyrzutem na Atoca.

- Cóż pan chcesz? - bronił się Inka. - To Hiszpan, kogo można było bardziej podejrzewać?

- A kogo teraz podejrzewacie?

Roca Yupanqui, do którego tym razem było adresowane pytanie, wzruszył ramionami, Benesz zaś odparł:

- W szczególności nikogo, lecz mam dziwne przeczucie, że niebezpieczeństwo czai się gdzieś blisko. Opowiadałem wam o śmierci

tego wścibskiego chłopaka, Staszka. Ten mord wciąż pozostaje niewyjaśniony.

- Cenię twoją policyjną intuicję, jednak tym razem chyba nie masz racji - powątpiewał Sebastian. - Chłopiec mógł naprawdę

List instancjonalny - list polecający.

popęlić samobójstwo, a ostatni atak przyszedł z zewnątrz, jak należało się spodziewać.

- Ale ktoś go bardzo zręcznie zaplanował - upierał się Wacław. -

Baczyński już nie dowodzi, Łazarczyk jest na to za głupi, więc kto? Brama też się sama nie zarygłowała od środka. Mogli to uczynić zbroje, lecz mógł i kto inny. Ja tam na wszelki wypadek pozbyłbym się z zamku wszystkich obcych pod byle pretekstem.

Sebastian machnął ręką bagatelizująco.

- Nadtoś podejrzliwy. Lepiej byś rozejrzył się po okolicy, czy tam aby nie kręca się jakieś osobliwe indywidua.

Ponieważ Atoc, choć nie bez wahania, zdawał się podzielać zdanie Sebastiana, a Roca swoim zwyczajem się nie wypowiadał, Wacław nie próbował ich przekonywać. Poszedł do Rubinowskiej dowiedzieć się o rannego Hiszpana.

Sprawa ciekawskiego pacholka, uduszonego i powieszzonego, nie dawała mu spokoju. Widział w tym morderstwie i okrucieństwo, i jakąś szyderczą nonszalancję. Świętej pamięci komisarz Schwarz-fuchs jako stróż prawa, przebiegły i bezwzględny, nie mordowałby z zimną krwią. Gdyby chłopak wszedł mu w paradę, znalazłby mniej drastyczny sposób rozwiązania problemu. Na pewno był to mord w stylu Baczyńskiego, ten jednak nie zabijałby swojego oka i ucha tak ostentacyjnie, nie ujawniwszy, prędzej

czy później, swego autorstwa. Był próżny i lubił się popisywać. Waclaw myślał. Przypomniał sobie słowa Sebastiana, że taka zbrodnia pasowałaby do stylu tej, jak jej tam... Supremy. A to oznaczało, że co najmniej jeden agent inkwizycji przeniknął do zamku.

W styczniu nadciągnęły tak straszne mrozy, że najstarsi ludzie podobnych nie pamiętali. Chłopi bali się opuszczać domy nie tylko z lęku przed zamarznięciem, lecz także z obawy przed wilkami. Co prawda płowa zwierzyna na kopnym śniegu stanowiła łatwy łup dla leśnych drapieżców, ale wilków tej zimy było takie zatrzęsienie, że wygłodniałe zakradały się do zagród. Od zmierzchu do świtu rozlegały się wilcze wycia, a psy z podkulonymi ogonami garnęły się do zabudowań. W takiej sytuacji hrabia nie opuścił zamku, niemożliwe też było pozbycie się z niego kogokolwiek. Zresztą czas jakby przyznawał rację Sebastianowi, ponieważ ponad miesiąc upłynął spokojnie, a dzięki gościom nawet dość wesoło.

Dopiero w połowie lutego mrozy zelżały na tyle, że opuszczenie zamkowych murów stało się możliwe. Akurat kończył się okres zapustów i nastały ostatki, hrabia zaproponował więc, by w tłusty czwartek urządzić zajazd na należący do Jungenfelda dwór w Łapszach Niżnych. Zgłodniałe ruchu i urozmaicenia towarzystwo skwapliwie podchwyciło pomysł, wyjąwszy Inków, którzy nie chcieli opuszczać zamku. Palocsay kazał wyszykować sanie i zarządził, by wszyscy uczestnicy kuligu wystąpili w przebraniach.

Waclaw, który przygotował sobie strój Tatara (głównie ze względu na prostotę wykonania - jego głównym elementem był barani kozuch odwrócony runem na zewnątrz), rankiem w dniu sanny poczuł się bardzo

kiepsko. Co prawda już wcześniej trochę kwękał, ale tego dnia ledwo trzymał się na nogach i dlatego z ulgą zrezygnował z zabawy, zwłaszcza gdy okazało się, że Anna też wymówiła się w ostatniej chwili.

Ostatecznie wyruszono w dwoje sań. Pierwsze, kunsztownie wymodelowane na kształt łabędzia i wybite czerwonym suknem, zajęli hrabia z Francuzem, markotnym, bo pierwotnie miał jechać z Rubinowską. Palocsay prezentował się komicznie w przebraniu Murzyna, a razem z Gaskończykiem w stroju Turka wyglądali jak Kacper i Melchior, którzy zgubili Baltazara i właśnie wybierali się go szukać. Poszóstny cug tworzyły karę konie w ozdobnej uprzęży z janczarami i z grzywami zaplecionymi w warkoczyki powiązane kolorowymi wstążkami.

Środkowego konia dosiadał kierujący zaprzęgiem forszpan.

Za nimi, w saniach z wysokim oparciem i figurą anioła z przodu, zasiadał Sebastian de Berzeviczy z ojcem Franciszkiem. Pierwszy udawał chłopca, drugi - Żyda. Ich zaprzęg też prezentował się okazale, gdyż złożony był z samych siwków.

Z trzecich, najmniejszych i najlżejszych sań, o płozach wysoko z przodu wygiętych i zwieńczonych smoczym łbem, wypinano konie.

Wyruszyli w samo południe. Oba zaprzęgi ustawiły się obok siebie na podjeździe zaraz za bramą i hrabia zawołał:

- Kto przegra, stawia beczułkę grzanego półtoraka! Świsnęły bicze i sanki pomknęły w dal. Za nimi pogalopowała

zbrojna eskorta. Wacławem wstrząsnął dreszcz. Raczej żeby się rozgrzać, pomachał jeszcze raz odjeżdżającym, którzy nie mogli go już widzieć, i powlókł się z powrotem na dziedziniec. Widząc, że Juraj wciąż marudzi przy saniach, zarządził zrzędlawie:

- Na co czekasz? Wyprzęgaj.

- Poczekaj!

Odwrócił się i zrobiło mu się od razu cieplej, tak oszałamiająco prezentowała się Anna w stroju Cyganki.

- Cóżżeś pan taki zdziwiony? Czyżbyś naprawdę nie miał ochoty na sanne?

- A pani ją odzyskałaś?

- A może nigdy nie straciłam?

W szmaragdowych oczach zobaczył nie tylko radość z udanego figla, lecz także obietnicę. Natychmiast zapomniał, że przed momentem ledwie powłóczył nogami, poczuwszy w sobie ogromny przypływ energii.

- W takim razie muszę uzupełnić ekwipunek. Migiem wracam. Pobiegł do świetlicy i wrócił z łukiem i strzałami. Teraz wyglądał rzeczywiście jak prawdziwy Tatar. Uwadze Rubinowskiej umknęło, że w napięciu łuku musiał mu pomóc Juraj, jemu za to nie umknęła ani kwestia własnej słabości, ani inna, mniej rzucająca się w oczy.

- Brakuje jednej strzały - zauważył. - Było ich dwanaście. Wydeła wargi. Półtorak - mocny miód pitny.

- Czy to ważne? Chyba nie zamierzasz ich używać? Zapodziała się gdzieś albo pan się pomyliłeś w rachubie.

Nie spierał się, chociaż był zupełnie pewny swego. Kiedyś przecież policzył strzały dokładnie i był ich równy tuzin. W sumie była to rzecz błaha i zakonotował ją w pamięci tylko odruchowo.

- Tamtych już nie dogonimy, mają większe zaprzęgi i godzinę przewagi - zauważył z poczucia odpowiedzialności, spoglądając z niepokojem w niebo. - Dobrze, jeśli przed zmierzchem dotrzemy na miejsce.

- Cóż to, lękasz się wać? Zdażymy, sama wybierałam konie.

Rzeczywiście, czwórka rosnących kasztanów rwała się do biegu. Musiał przyznać, że dziewczyna dobrze wszystko obmyśliła, i bardzo go ucieszyło, że przedłożyła jego towarzystwo nad Gaskończyka. Stanął z tyłu na płozach i chciał wziąć od niej lejce, lecz mu nie pozwoliła.

- Ja powożę! - zastrzegła.

W ostatniej chwili zdążył się złapać oparcia, gdy jak z procy wystrzelili w otwartą bramę i pomknęli w dół zaśnieżonym gościńcem do Falsztyna, podążając po koleinach wyżłobionych w białym puchu przez poprzedników. Mróz zelżał i prószący delikatnie śnieg natychmiast pokrywał ślady cieniutką warstwą. Droga wiała się malowniczo między zboczami gór z lewa, a rzeką z prawej strony. Konie szły równo i w dobrej kondycji osiągnęły zabudowania Falsztyna.

Z brzękiem dzwonek wpadli do wsi, wzbudzając ciekawość wśród dzieciarni wyległej z chat na dźwięk janczarów. Dziewczyna wyhamowała konie na końcu wsi, przed karczmą Pod Rogacem Dwunastakiem. Dwóch tubylców chwiała się pod szyldem z koślawym rysunkiem zapewne jeleniego, acz bardziej przypominającego krowiego łba uzbrojonego w imponujące poroże zbliżone do rozłożystego krzaka. Wpół objęci, zataczając się mocno, wyśpiewywali na całe gardło:

Palenicka, borowicka, więkso wody połowicka.

Niedarmos była w sklonej bani, a teraz jees w mojej dłoni.

Jo płacem za cie srybro, złoto, a ty mnie rucos w nowiękse błoto!

- Zapytaj pan ich, czy tamci daleko przed nami, nie mam ochoty gadać z pijakami - zwróciła się Anna do Wacława, który posłusznie wykonał polecenie.

- A beli haj, beli - wybełkotał starszy moczymorda.

- Bee trzi albo i štiry zdrowaški, panocku, a wartko jechali - dodał drugi.
- Zmierknie juz - stwierdził pierwszy, czkając donośnie. - Ostańcie, panie, w karcmie na nocnik, co beecie bałęgować po ćmoku. Wyzyrka nicego, a i śrybać dadzo. Na hasen wom to przidzie, obacycie. Powiadajo, co wedle Hombarku w huściawie wilcosków cało hurma. Do gardeł wom hipnoml. Nie drańdze, panocku, prisam Bohu. - Uderzył się w piersi z taką siłą, że aż rzuciło go w zaspę.

- Co on powiedział? - spytał Annę oszołomiony Waclaw.

- Że jak się pan boisz wilków, to możesz tu zanocować.

- A panna?

- Ja jadę dalej. Tylko mógłbyś mi pan przynieść kubek gorącego miodu.

Zresztą tobie też by się przydał, bo coś marnie wyglądasz.

Gorączka, o której zapomniał, ciesząc się towarzystwem dziewczyny, przypomniała o sobie, gdy tylko wysiadł z sań. Na miękkich nogach dobrnął do gospody, pchnął drzwi i przekroczył próg. Nie było tu zbyt wielu klientów, choć przecież wypadały ostatki, i panowała dziwna cisza, jednak Waclawa to nie obchodziło, zwłaszcza że dodatkowo osłabiła go fala ciepła zmieszanego z karczemnym zapaszkiem, który z wielką siłą zaatakował jego i tak już zmaltretowany nos. Podszedł do zakratowanego szynkwasu i rzucił Żydowi na blat monetę.

- Dwa kubki grzańca, tylko duchem.

- Kogóż my tu widzimy? Czy to chan tatarski, czy też sam baron

Dondangen raczył zaszczyścić nasze skromne progi?

Waclaw obrócił się na pięcie. Na wprost, pod okazałym łbem jelenim z ogromnymi rogami, w pełni usprawiedliwiającym nazwę oberży

Srybać, na hasen, huściawa, hipnać (gwar.) - kolejno: pić, na dobre,

gęstwina, skoczyć.

siedziała czwórka gości, która mogła skutecznie odstraszyć od przebywania w tym samym pomieszczeniu ludzi znacznie odważniejszych od tutejszych wieśniaków. Już nie dziwiły pustki w gospodzie.

Baczyńskiego Benesz rozpoznał od razu po opasce na oku. Łysą dawniej głowę pokrywała całkiem bujna czupryna, podgolona na starszylachecką modłę. Hersztowi towarzyszyli eks-kapral Chowaniec, Kacper, który ze zwieszoną głową tępo wpatrywał się w dno kufla, oraz czwarty bandyta, nieznany Waclawowi.

- Żydzie! - zawołał Baczyński. - Sam tu dawaj trunek, pan baron napije się z nami.

Waclaw wyjął kubki z drżących rąk karczmarza.

- Nie pijam z hultajstwem, mości Baczyński - rzucił za siebie i skierował się do wyjścia.

Oczy watażki zmrużyły się. Kiwnął głową kompanom.

- Przeprowadźcie go.

Wstało dwóch. Kacper nadal usiłował coś wypatrzyć w pustym kuflu.

Waclaw nie po raz pierwszy brał udział w karczemnej awanturze, mimo iż na ogół ich unikał. Odstawił kubki i przywitał Chowańca złośliwym kopniakiem w podbrzusze, a drugiego, który od tyłu złapał go w pasie, zaprawił łokciem w żołądek. Jednak był chory i jego ciosy nie miały zwykłej siły. Uporali się więc z nim wnet i powlekli do herszta. Harnaś pochylił się nad rzuconym mu do stóp i podejmując go pod brodę, powiedział:

- Oj, nieładnie, baronie, nieładnie taki despekt czynić przyjaciołom.

Mogłem nieraz zdusić cię jak kurczaka, gdyś mi deptał po piętach. Nie

uczyniłem tego, bośmy obaj żołnierze, co za ojczyzną krew przelewali, ot co!

Benesz ciężko uniósł się na czworaki i spojrzął zbójcy prosto w bezlitosne oczy.

- Nie po drodze nam razem, panie Baczyński. Może i kiedyś byłeś żołnierzem, lecz od dawna zwykły zbój z ciebie, wdowie poślubion. Harnaś złapał Wacława za poły kozucha i przyciągnął do siebie.

- Słuchaj, chłopcze - syknął, ledwo nad sobą panując. - Lepiej mnie nie drażnij. Myślisz, że nie wiem, co to za ptaszki cię w zamku odwiedziły? Każdy wojak Deniskę pozna na miłę. Wiem, że siedzi teraz w Besarabii i ludzi do wojska werbuje.

- I cóż z tego?

- Chcę, żebyś dał mnie i moim chłopcom list instancjonalny do niego. Za gorąco nam się tutaj zrobiło i pora powietrze odmienić.

- A jak odmówię?

- Tego nie uczynisz - zaśmiał się bandyta - bo wtedy doniosę do cyrkułu, jakich masz przyjaciół i co z ciebie za ptaszek.

Wacław strząsnął jego ręce ze swoich ramion.

- Więc na co jeszcze czekasz? - odparł i odszedł.

Wtem usłyszał za plecami ostrzegawcze gwizdnięcie Kacpra i zdążył odskoczyć na bok, gdy zbójcka ciupaga z furkotem przeleciała mu tuż koło ucha, odbiła się od okratowania i upadła nieszkodliwie na gliniane klepisko. Głowacz z Chowańcem powstrzymywali herszta, który powoli stygł ze złości.

- To za straty. - Tym razem Benesz położył na blacie talara, z żalem spoglądając na wystygłego grzańca, którego nie dane mu było wypić.

- Straty? Jakie straty? - zdziwił się arendarz. - Nie ma straty, panie.
- Ale będzie - odparł Wacław i schyliwszy się, błyskawicznie podniósł walaśkę i odrzucił ją z całą siłą, na jaką było go stać. Wirując w locie, siekierka trafiła w czerep jeleni, który dał nazwę gospodarce. Czaszka rozpadła się na dwoje, a oba rosochate poroża razem z ciupagą spadły na Baczyńskiego i jego kompanów.

- Co tak długo? - powitała Benesza zziębnięta Anna. - Już myślałam, że zamarznę.

- Spotkałem znajomego i nie wypadało zaraz wychodzić.

- A gdzie mój grzaniec?

- Była tylko gorzałka. Ruszajmy. - Spojrzał niespokojnie w drzwi gospody. - Najlepiej z powrotem.

- Ani mowy. Trzymaj się, waść.

Zacieła rumaki, które, także porządnie przemarznęte, ruszyły z kopyta. Obsypali śniegiem spod płóz dwóch znajomych pijaków, toczących się gościńcem do domu. Przystanęli teraz i klnąc, otrzepywali się ze śniegu.

- Naozajst1 zezro if wilcoski, obacys - powiedział pierwszy.

- Przystajem2 - zawtórował mu kompan.

Za wsią droga zaczęła się wznosić i konie zwolniły biegu. Zresztą śnieg prószył coraz obficiej i spowalniał pęd sań. Niebo zasnuły ołowiane chmury. Robiło się szaro, gdy znaleźli się między masywami Hombarku i Złotnego. Las po obu stronach schodził ze zboczy ku traktowi, jakby osaczając podróżnych.

- Zawróćmy - zaproponował Wacław po raz kolejny. - Na pewno nie zdążymy przed zmierzchem.

- Nigdy - odparła stanowczo. - Ja się nie cofam w pół drogi.

Przyjemnie było na nią popatrzeć, gdy z zuchwałą miną i zaróżowionymi z zimna policzkami pewną ręką prowadziła zaprzęg. Kiedy jednak rzucił okiem w innym kierunku, żołądek podszedł mu do gardła, po drodze wywijając salto. Od ściany lasu oderwały się czarne punkty: jeden, drugi, dziesiąty, i po skosie, najkrótszą drogą, staczały się w dół, zabiegając pod różnym drogę.

- Zawracaj! - wrzasnął i wyrwawszy oniemiałej dziewczynie wodze, starał się obrócić w miejscu zaprzęg, co nie było łatwe z powodu wąskości drogi i zaniepokojenia koni, które zwietrzyły niebezpieczeństwo. W końcu się udało i sanie pomknęły chyżo z powrotem.

- Mój panie, to są wilcze maniery! - wrzasnęła mu do ucha oburzona, a oczy jej rzucały stalowe błyskawice.

- Jakże? - zaśmiał się chrapliwie. - Jeżeli moje są wilcze, to co powiesz o tamtych? - Wskazał jej kierunek batem, po czym zdzielił konie po zadach. Naozajst (gwar.) - naprawdę. Przystajem (gwar.) - zgadzam się.

Obróciła głowę i zeszywniała, z niedowierzaniem wpatrując się w rosnące w oczach sylwetki zwierząt.

- Jezus, Maria! Wilcy!

Nie odpowiedział. Biczem poganiał rumaki, wydobywając z nich wszystkie siły. Gnali jak wichur, znad końskich łbów unosiły się obłoki pary. Lecz do Falsztyna mieli jeszcze dobry kwadrans jazdy i wiedział, że wataha ogarnie ich wcześniej.

- Święty Mikołaju, patronie wędrowców, miej nas w swojej opiece - modliła się na głos dziewczyna.

Nie mógł się powstrzymać i roześmiał na głos.

- Cóż pana tak śmieszy? - obruszyła się.

- To panna nie wiesz, że święty Mikołaj, licha wie czemu, patronuje także wilkom? Pytanie, po czyjej dziś jest stronie. Bierz panna lejce! - rozkazał już bez śladu wesołości w głosie.

Złapała je natychmiast, dając dowód opanowania mimo nieskrywanego strachu, który wyzierał z jej rozszerzonych źrenic. Przekrzykując wycie wichru, który akurat się zerwał, oraz świst przecinanego biczem powietrza, zawołała:

- Co zamierzasz uczynić?

- Zobaczysz.

Zdarł z pleców sajdak ze strzałami i wysypał je na siedzenie. Wybrał jedną i założył na cięciwę łuku, po czym obrócił się tyłem do kierunku jazdy.

Widok, który ujrzął, był przerażający. Wilcza wataha rozsypała się w półksiężyc, którego rogi zaczynały się zaginać coraz bliżej uciekinierów.

Wyginając cielska w wężowatych skrętach, wilki pokonywały kopny śnieg bez widocznego wysiłku. Dało się już rozpoznać poszczególne zwierzęta.

Wychudzone, z jarzącymi się ślepiami, wyglądały jak sama śmierć, którą niosły. Naliczył równo dwadzieścia krwiożerczych bestii.

Skóra na końskich grzbietach pokryła się kroplami potu. Strach pchał

zwierzęta naprzód, lecz zmęczenie dawało o sobie znać. Prawie

niedostrzegalnie sanie zaczęły zwalniać. Zaczekał, aż wilki zbliżyły się na odległość kilkudziesięciu kroków, i wziął na cel wielkiego basiora

gnającego na skraju lewego skrzydła watahy. Po strzale wilk

zwinął się w skoku i w drgawkach padł na śnieg, zostawiając na nim

krwawą smugę, biegnący zaś obok drapieжник zatrzymał się i zaczął szarpać kłami ciało jeszcze żywego towarzysza.

- Touchei - krzyknęła radośnie Anna, oglądając się wstecz. Jednak

następna strzała tylko przebiła skórę na karku bestii, która wyszarpnęła ją jednym kłapięciem kłów i biegła dalej. Kolejny pocisk chybił, ale czwarty znów trafił i pościg stopniał do siedemnastu wilków. Waclaw słał strzałę za strzałą, miał ich jednak tylko jedenaście. Przy ostatnim strzale sanie podskoczyły na nierówności gruntu i pocisk zgórował. Biorąc pod uwagę okoliczności, a także to, że Benesz od wczesnej młodości nie posługiwał się łukiem, rezultat można było uznać za znakomity. Jednak nie zmieniało to faktu, że trzynaście wilków nie ustawało w pogoni, zbliżającej się nieuchronnie do tragicznego finału.

- Trzynaście! - parsknął na głos szyderczo, ciskając bezużyteczny już łuk na ławkę. - I jak tu nie być przesadnym?

Podjął decyzję. Wrzasnął do dziewczyny:

- Kiedy powiem, skoczysz na konia!

Nie odwracając się, skinęła głową na znak, że usłyszała. Sanie zwalniały w oczach.

- Teraz! - ryknął, wypatrzywszy dogodny moment. Skoczyła odważnie i wylądowała na grzbiecie wierzchowca. Na chwilę straciła równowagę i zdawało się, że spadnie prosto pod kopyta, lecz jakoś udało jej się podciągnąć. W tym czasie Waclaw siedział już pewnie na drugim koniu i cięciami szabli uwalniał oba zarówno od balastu sań, jak i od dwóch kasztanów biegnących na przedzie. Kiedy spojrzął za siebie, zobaczył, jak nieszczęsne, zostawione samym sobie zwierzęta dopada wilcza czereda. Śmiertelny kwik rozszarpywanych żywcem wiernych stworzeń brzmiał mu w uszach jak straszliwy wyrzut. Lecz cel został osiągnięty - w pościgu brało udział już tylko siedem bestii.

Wyszarpnął zza pasa jeden z pistoletów

Touche (franc.) - trafienie.

i strzelił w tył, prawie nie celując. Trafił chyba cudem i znów ubyło jednego prześladowcy.

Wtem kasztan Anny potknął się i upadł ze złamaną nogą. Na szczęście Benesz czuwał i nadludzkim wysiłkiem w ostatnim momencie uniósł dziewczynę z końskiego grzbietu i posadził przed sobą. Obciążone podwójnie dzielne zwierzę słabło z każdym krokiem. Wilków zostało pięć. Dokładnie o pięć za dużo. Anna podała Wacławowi swą nieodstępną króciwą, ale on jej nie wziął.

- Zachowaj broń na koniec - rozkazał.

Zbliżali się do zakrętu. Wokół pustka, żadnego drzewa. Koń charczał okropnie, dobywając resztek sił. Wilki były tuż. Wacław wychrypiął do ucha Anny:

- Za tym zakrętem wieś, będziesz ocalona!

Zeskoczył z kasztana, z pasją płazując go szablą po zadzie. Dziewczyna próbowała hamować, ale oszalała z bólu i strachu i uwolnione od dodatkowego ciężaru zwierzę pomknęło chyżo w stronę niedalekich ludzkich siedzib.

Ledwo zdążył się odwrócić, ze wszystkich stron opadły go żądne mordy bestie. Jednej wypalił wprost w gorejące ślepie, drugą ciął szablą po gardle, lecz upadł pod ciężarem pozostałej trójki. Padając, uderzył głową o wystający spod śniegu kamień i nawet nie czuł wilczych kłów rozszarpujących mu kożuch na strzępy. Jak przez mgłę dobiegł go huk strzałów i przeraźliwy skowyt trafionych wilków. Wydawało mu się, że śni, gdy usłyszał nad sobą głos Baczyńskiego: „No proszę, kogo my tutaj mamy? Czy to nie nasz niewdzięczny pan baron, któremu ciągle trzeba

ratować życie?". A potem stracił przytomność. Nie słyszał, jak zaalarmowani przez dziewczynę chłopcy zaprzęgali do porzuconych sań świeże konie. Nie wiedział, że przez całą drogę do zamku szlochająca Anna trzymała go w objęciach i ścisnęła jak najdroższy skarb. Nic nie czuł, gdy przenoszono go na kwaterę. Miał bardzo wysoką gorączkę, nie poznawał nikogo i rzucał się na łóżku, wciąż walcząc z wilkami.

Mord

Tonął w białym puchu. Zwały śniegu przysypały go grubą warstwą i choć bardzo się starał, nie mógł wydobyć się na powierzchnię. Płucom zaczęło brakować tchu. Dusił się. Wtem coś szarpnęło go za kołnierz i wreszcie mógł złapać oddech. Spojrzał w twarz swego wybawcy i wrzasnął ze zgrozy na widok wilczej paszczy z zakrwawionymi kłami. Raptem wilk zniknął, zniknęło też uczucie lęku. Był dzieckiem i na kolanach matki, kołysany miarowo, miał poczucie absolutnego bezpieczeństwa i błogostanu. Ale to nie matka, to Umina... Umina z poważną twarzą i smutnym uśmiechem. Nie, nie Umina. Anna!

Otworzył oczy. Ostry, słoneczny blask oślepił go i zmusił do zamknięcia powiek. Kiedy otworzył je powtórnie, zobaczył wymizerowaną twarz Rubinowskiej pochylonej nad nim i uśmiechającej się coraz szerzej.

- Nareszcie! - odetchnęła z ulgą. - Już myśleliśmy, że nigdy się nie obudzisz.
- Ależ ostre to słońce - poskarżył się, przytykając dłoń do czoła. Rękę miał bardzo wychudłą.
- Nie dziwota, wiosna za pasem. Przeleżałeś nieprzytomny trzy niedziele.
- Co mi było?

- Płuca, a do tego pokąsały cię wilki i lękaliśmy się, abyś nie zapadł na wodowstręt. Inkasy poili cię osobliwymi miksturami, a ten przerażający matuzalem, Inka Uallpa, odprawiał jakieś gusła... Był też ksiądz Lorencz z olejami.

- Nic nie pamiętam. Zdawało mi się, jakbym widział nad sobą Uminę i ciebie, ale pewnie tylko mi się śniło.

- Nie, pani Umina wiele czasu spędziła u twego wezgłowia, nim w końcu zmogło ją zmęczenie. Sama wygląda bardzo źle.

O sobie nie wspomniała, lecz jej znużona twarz i czerwone z niewyspania oczy były wystarczającym i dobitnym dowodem poświęcenia. Zrobiło mu się ciepło na sercu.

- Jakim cudem w ogóle wyszedłem z tego cało? Domyśliła się, że chodzi mu o starcie z wilkami.

- Kiedym sprowadziła pomoc, leżałeś jak trup pośród pięciu martwych bestii. Zabiłeś wszystkie!

Nie zabił wszystkich. Jeśli czegoś był całkowicie pewien, to tego.

Doskonale pamiętał, jak padł pod ciężarem trzech wilków. Więc jednak nie przywidziało mu się. Zawdzięczał życie Baczyńskiemu i jego łotrom.

Pomarkotniał.

- Gorzej się czujesz? - zaniepokoiła się.

- Nie, nic. Zdarzyło się coś ciekawego przez ten czas?

- A od czego zacząć?

Zrozumiał, że nie wszystkie wieści były radosne.

- Od nowin przyjemnych. Od razu poweselała.

- Mamy już polskie wojsko! - wykrzyknęła z tryumfem. - Napisał mi ojciec, że w styczniu1 na ziemi włoskiej generał Dąbrowski porozumiał się

z rządem wydartej Austriakom włoskiej Lombardii i powołano do życia Legiony Polskie. Już ponoć liczą tysiąc pięćset ludzi, a wciąż napływają nowi. Mundury mają polskie, polską komendę i tylko lafę biorą od Włochów. Jeszczem nigdy nie dostała od ojca tyle pieniędzy. Czuję się prawie bogata!

Oczy jej się śmiały.

- Tylko ich tutaj czekać. Ponoć generał Dąbrowski zaproponował generałowi Bonapartemu, żeby legioniści przedarli się do Galicji przez Stosowną konwencję podpisaną 9 I 1797 r.

Wołoszczyznę i Mołdawię i po połączeniu z tutejszymi partyzantami wznieci powstanie¹. Może już idą ku nam?

- Za wcześnie - zauważył. - Ziemia jeszcze grząska po zimie. Mogą przybyć najwcześniej przed latem. Mamy trochę czasu.

- To nie wszystko! Pan Józef Wybicki, ten poeta, odwiedził naszych żołnierzy i tak był zachwycony tym, co ujrzał, że napisał piękny wiersz. Ojciec go sobie odpisał, a ja już umiem na pamięć.

Żrenice lśniły jej jak dwa szmaragdy. Była w swoim żywiole. Zaczepnęła tchu i z rumieńcami na policzkach zaczęła recytować:

Jeszcze Polska nie umarła, Kiedy my żyjemy. Co nam obca moc wydarła, Szablą odbijemy. Marsz, marsz, Dąbrowski, Do Polski z ziemi włoski, Za twoim przewodem Złączym się z narodem...².

- Piękny, prawda? Ponoć można go śpiewać do melodii mazurka.

- Piękny - potwierdził, wierząc jej na słowo; na poezji znał się tak samo jak na muzyce. - Coś jeszcze?

- Tak. Hiszpan, którego operował syn pana Leszczyńskiego, przychodzi do zdrowia! Niedługo wyrusza do Połocka. Przysłał panu Sebastianowi

list, w którym dziękuje za wszystko, a pan Leszczyński dodał od siebie, że poleca na dal usługi swoje i całej rodziny.

Taki projekt został faktycznie przedłożony w kwietniu 1797 r., ale Napoleon go odrzucił. Pierwotna wersja późniejszego hymnu narodowego; powszechnie przyjmuje się, że utwór powstał między 10 VII 1797 r., kiedy to Wybicki odwiedził legionistów w Reggio Emilia pod Bolonią, a 20 VII, kiedy uroczystie żegnano wyruszającego na wojnę Dąbrowskiego; niewykluczone jednak, że wiersz został napisany wcześniej i początkowo był znany tylko wąskiemu gronu najbliższych przyjaciół poety; do Polski najwcześniej, bo na początku 1798 r., pieśń dotarła do Galicji.

- Wybornie, wypada rychło wystarać się o jakąś ciężką ranę, bo niegrzecznie byłoby zmarnować taką okazję. A przykre wieści? Posmutniała.

- Może kiedy indziej - próbowała się wykręcić. - Jak poczujesz się lepiej.

- Teraz.

- Zginął Yana, czy jak go tam zwali. Ten przerażający mały człowiek, który ze swą osobliwą rurą warował pod kaplicą za każdym razem, gdy pani Umina chodziła się do niej modlić - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- Co mu się stało? - Uniósł się na łokciu i wpatrywał w nią z napięciem.

- Został zastrzelony - unikała jego wzroku.

- Kiedy?

- Wczoraj skoro świt. Wszyscy jeszcze spali oprócz pani Uminy i jej służki, która pierwsza wykryła zbrodnię, wychodząc z kaplicy. Nawet strażnicy nic nie zauważyli, myśleli, że Yana zasnął. Nie wiadomo, skąd strzelano, kto i po co. Pan Atoc prowadzi inwestygację.

- Pani coś przede mną ukrywasz - stwierdził.

- Miałeś pan rację - westchnęła ciężko. - Strzał było tuzin. Właśnie tę dwunastą wyjęto z piersi tego biedaka. To moja wina.

- Jak to, twoja?

- Bo to ja z powrotem zawiesiłam na ścianie łuk, z którego strzelałeś do wilków, a który teraz zniknął. Pan Atoc utrzymuje, że to z niego zastrzelono Yanę.

Poszukał wzrokiem swojego ubrania. Leżało na kufrze. Wyprane, wyprasowane i starannie ułożone. Spuścił nogi na podłogę.

- Bądź tak dobra i podaj mi odzienie - poprosił.

- Jesteś za słaby, nie możesz wstawać!

- Muszę - powiedział stanowczo.

Odwróciła wzrok, gdy się ubierał, a on dopiero teraz poczuł, jak bardzo osłabiła go choroba.

- Mój czekan. - Wsparty na siekierce jak na lasce, podniósł się z łóżka.

Zachwiał się i gdyby nie pomoc dziewczyny, upadłby jak długi.

- Nie upieraj się - poprosiła. - Nie dasz rady.

- Muszę - powtórzył.

- Po co?

- Nie pojmujesz? Oby nie było za późno...

- Za późno na co? Co się stało, to już się nie odstanie. Po co ten pośpiech?

Coś niedobrego dzieje się w zamku, wyczuwałam to już od dawna.

Tymczasem nikt mi nic nie mówi. Nie macie do mnie zaufania? -

poskarżyła się.

- Wszystko ci wytłumaczę, ale nie teraz. Każda chwila jest droga, uwierz mi.

Zacisnął zęby i krok za krokiem, podtrzymywany przez Annę, opuścił

komnatę. Na dziedzińcu musiał oprzeć się o mur i trochę odpocząć. Wtem w sieni rozległo się echo wielu kroków, a za chwilę na dziedziniec wyszło czterech hajduków prowadzących do lochu skutego jednego z ulubieńców hrabiego, Imrego lub Gezę, Waclaw wciąż ich nie rozróżniał. Ujrawszy Rubinowską, wielkolud potrząsnął spętanymi rękoma i zawołał z rozpaczą:

- Ja tego nie zrobiłem! Jestem niewinny!

Ale popchnięto go brutalnie i zniknął w kazamatach.

- Co się stało? - krzyknęła za strażnikami Anna. Ostatni z konwojentów rzucił przez ramię:

- Zamordowano panią Uminę. W nowej kaplicy.

- Wiedziałem! Czuję to! - Zdruzgotany Waclaw uderzył pięścią w ścianę w poczuciu żalu i bezsilności.

Nagle wyprostował się, czując w sobie przybór sił, i teraz to on ciągnął za sobą zupełnie załamana i otepiała dziewczynę. Na krużganku przed kaplicą kłębił się spory tłumek służby obojga płci, której dostępu do środka bronił jeden z Indian.

- Dajcie drogę! - zawołał Waclaw i przepychając się przez ustępującą ciżbę, zwrócił się do towarzyszki: - To nie będzie przyjemny widok. Lepiej byś rozgoniła to zgromadzenie, a przy okazji wybadała czy ktoś nie widział lub nie słyszał czegoś ekstraordinaryjnego.

Apatycznie potaknęła i posłusznie została na zewnątrz.

Kaplicę rozjaśniało światło wielu świec. Ciało spoczywało przy klęczniku, niedaleko ołtarza. Otaczał je krąg może tuzina milczących osób. Ze środka koliska dobiegał urywany szloch. Waclaw pokuśtykał w tamtym kierunku. Hrabia odwrócił ku niemu poważne oblicze i bez słowa zrobił mu

przejście. Zapłakany Sebastian klęczał na posadzce, tuląc w ramionach zwłoki córki. Twarz zmarłej wyglądała okropnie. Była obrzmiała, oczy miała wytrzeszczone i usta otwarte jakby do krzyku. Waclaw pochylił się i dotknął ramienia stryja. Starzec obrócił się ku niemu, płacząc rozpaczliwie jak skrzywdzone dziecko.

- Mój Boże - zajęczał, patrząc na bratanka niewidzącymi oczyma. - Mój Boże...

Po raz pierwszy odkąd Benesz go poznał, wyglądał na swoje dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

- Nic już jej nie pomożesz - odezwał się Waclaw łagodnie. - Idź do izby, ja się wszystkim zajmę.

Pomógł starcowi wstać. Pozostawione samotnie zwłoki sprawiały jeszcze żałośniejsze wrażenie.

- Panie Untu - zwrócił się do uczonego, który trupioblady chwiał się jak liść na wietrze. - Odprowadź mego stryja do jego komnaty. I poproś po drodze pannę Rubinowską, by zechciała zająć się nim i dzieckiem.

Z widoczną ulgą mały Inka zastosował się do polecenia. Bezwolny Sebastian bez oporu dał mu się wyprowadzić z kaplicy. Waclaw ciężko wsparł się na czekanie.

- Panie Atoc, kiedy to się stało? Indianin wyjął z kieszeni zegarek.

- Nieco ponad godzinę temu odkryto zbrodnię, ale kiedy ją popełniono, dokładnie nie wiadomo. Nikt nie był świadkiem mordu, a przynajmniej się do tego nie przyznaje. Czy nie tak, kapitanie Roca?

- Dokładnie tak - potwierdził zapytany.

- A kto pierwszy znalazł się na miejscu zbrodni? Atoc wskazał głową towarzyszącego mu Indianina.

- Tanaka.

Wacław jeszcze raz przyjrzał się zwłokom, po czym przeniósł wzrok na obecnych. Zarówno hrabia, jak i Colignac oraz ojciec Franciszek mieli ten sam wyraz stosownego smutku na twarzach, właściwy ludziom w obliczu tragedii. Tylko stojący za Horwathem przyboczny aż kipiał z trudem hamowanym gniewem.

- Muszę panów prosić o opuszczenie kaplicy - zwrócił się do nich Benesz.

- Chcę wszystko dokładnie obejrzeć, a lękam się, że i tak wiele śladów już zostało zatartych. Jeśli będę miał potem do was pytania, a na pewno będę, myślę, że nie odmówicie mi wyjaśnień.

- Oczywiście - zapewnił go Francuz, co można było interpretować dwojako.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Pokręcił głową Palocsay. - To straszne!

- To niemożliwe! On tego nie zrobił! - wybuchnął wreszcie olbrzymi hajduk, patrząc na Wacława z rozpaczą.

- Kto?

- Geza!

- A to nie jest jego sztylet?

W piersi ofiary, zagłębione aż po ozdobną rękojeść, tkwiło narzędzie zbrodni.

- Jego - przyznał Imre niechętnie. - Ale ten sztylet zginął mu przed tygodniem. Ktoś chce, by wina spadła na Gezę. Równie dobrze mogło paść na mnie. Mam taki sam - wyjął z za pasa swoją broń.

- Mnie też wydaje się niepodobieństwem, by Geza mógł to uczynić. A zresztą, po co? - wstawił się za sługą Palocsay.

- Wszystko wyjaśnimy i znajdziemy mordercę - zapewnił go Wacław.

-Jeżeli Geza jest niewinny, nic mu nie grozi, przecież pan mnie znasz.
Możesz mu to powiedzieć.

Zaczęli się zbierać do wyjścia.

- Na ostatnie namaszczenie już za późno, ale może choć modlitwa... -
zawahał się ojciec Franciszek, spoglądając na zwłoki.

- Chodź, pater! - Pociągnął go za sobą Coiignac dość bezceremonialnie. -
Nie czas teraz na twoje modły, są ważniejsze sprawy.

- Panowie! - zawołał Benesz za nimi. - Aż do odwołania nikomu nie
wolno opuścić zamku. Panie Roca, proszę tego dopilnować.

Najmłodszy z Inków pytająco spojrział na Atoca, dopiero gdy ten gestem
potwierdził polecenie wydane przez Waclawa, kapitan poszedł je wykonać.

Kiedy zostali we trzech, Waclaw polecił Tanace, by przyniósł z ołtarza
lichtarze i ustawił je wokół ciała, a następnie, korzystając z opisu Atoca i
Tanaki, spróbował wyobrazić sobie zwłoki w takiej pozycji, jak je zastali
zaraz po odkryciu zbrodni.

Potem usiadł na ławce na wprost miejsca mordy i milczał dobry kwadrans.

Obaj Indianie nieporuszenie trwali obok, nie przerywając mu dumania.

Wreszcie wstał, najpierw dokonał starannych oględzin klęcznika,
następnie obejrzał ciało, zwracając szczególną uwagę na szyję i dłonie
zamordowanej. Na koniec spróbował wydobyć sztylet. Nie dał rady, ostrze
zaklinowało się między żebrami. Dopiero Tanace, też nie bez trudu, udało
się wydostać mordercze narzędzie.

- Panie Atoc - zwrócił się Waclaw do Inki. - Co do tej pory udało ci się
ustalić?

- Doña Umina Coya zjawiała się w kaplicy jak co dzień, w samo południe.
Towarzyszyła jej służka Inez i auqui Antonio. Zwykle o tej porze bywał

tam oprócz nich padre Juan, który, jak obiecał, miał staranie o kaplicę, a raz dziennie, właśnie w południe, odprawiał dla coyi Uminy mszę. Dziś wyjątkowo go nie było. Może po kwadransie modłów, wedle relacji służki, pani Umina odesłała ją razem z dzieckiem, które zaczęło płakać i kasłać, a ponoć już od rana wyglądało na chore. Nieobecność Inez trwała najwyżej kilka, kilkanaście minut. Gdy wróciła, królowa już nie żyła.

- Zaledwie zamknęła za sobą drzwi - wtrącił Tanaka - gdy usłyszałem jej krzyk. Zaraz potem wybiegła z kaplicy, wrzeszcząc wniebogłosy i pokazując coś za siebie.

- Co krzyczała?

- Diabeł, diabeł!

- A co pokazywała?

Indianin bezradnie rozłożył ręce.

- Zastanów się.

Tanaka chwilę się namyślał, po czym stwierdził:

- Pokazywała tam.

Podążyli wzrokiem we wskazane miejsce. Wyciągnięta ręka Indianina wskazywała ołtarz. Atoc wzruszył ramionami.

- Coś się biedaczce przywidziało - zauważył. - Za ołtarz nawet mysz by się nie wcisnęła, sprawdziłem.

- Dla diabła to nie problem, skoro wedle niektórych badaczy cały legion czartów swobodnie mieści się na czubku szpilki - pozwolił sobie na sarkazm Benesz. - Tanaka, czy jest możliwe, by morderca niezauważony opuścił kaplicę?

- Nie - rzekł wojownik stanowczo. - Zawsze dwóch naszych stoi na warcie przed basztą narożną, a odkąd zginął Chuncho... - przerwał.

- Wiem o jego śmierci, mów dalej.
 - Od tej pory wartownicy pilnowali także wejścia do kaplicy, gdy przebywała w niej coya. Dziś ja miałem służbę, ale nie widziałem nikogo ani nic nie słyszałem. - W jego głosie brzmiała gorycz, jakby obwinił siebie za to, co się stało.
 - To nie twoja wina - pocieszył go Waclaw. - Morderca jest bardzo zręczny i przebiegły.
 - Chuncho by do tego nie dopuścił. - Tanaka nie dał się łatwo pocieszyć. - Zawsze, gdy Mama Ocllox udawała się do kaplicy, on siadał na progu i warował jak pies. Pomimo zamkniętych drzwi usłyszałby w środku najmniejszy szelest.
- Dostojna pani matka, wielka dama (oclo - dama) - tytuł przysługujący królowej Inków.
- Nie wątpię. Dlatego zginął - rzekł Waclaw. - Wszystko zostało wcześniej dokładnie zaplanowane i przygotowane. A ty przestań się mazać i przyprowadź Inez.
- Zostali sami z Atokiem.
- Morderca czekał na Uminę w kaplicy - stwierdził Benesz.
 - Niemożliwe - zaprzeczył Atoc. - Klucze do kaplicy mieli tylko ojciec Jan i pani Umina, a raczej Inez. Jej klucz wciąż tkwi w zamku od zewnątrz, można sprawdzić.
 - A jednak musiał tu być przed nią i czekać na dogodny moment. Uderzył, gdy tylko Inez z dzieckiem opuściła kaplicę. Często to robiła?
 - Rzadko. Dziecko zazwyczaj o tej porze spało, dlatego coya Umina zabierała je ze sobą na mszę. Rano i wieczorem, punktualnie o szóstej, przychodziła się modlić raczej sama, wyjątkowo z Inez, jeśli akurat kto

inny zajmował się chłopcem, i przebywała w kaplicy mniej więcej godzinę.

- Jedno jest pewne - powiedział Benesz po namyśle - zabójca dobrze znał jej zwyczaje, a ona znała jego i nie miała powodu się obawiać.

- Z czego pan to wnosisz? - Atoc zmarszczył brwi.

- Bo inaczej krzyczałyby.

- Mógł ją zaskoczyć.

- Nie. W kaplicy nie sposób się ukryć. Wyszedł stamtąd. Wziął świecę i pchnął boczne drzwi, wiodące do maleńkiej zakrystii w kształcie wąskiego trójkąta. Znajdowało się tu wychodzące na wschód okno i prawie pusta w środku duża, rzeźbiona skrzynia, w której przechowywano szaty liturgiczne.

- Mógł zakraść się przez okno - zauważył Inka.

- Wątpię - rzekł Waclaw, dokładnie oglądając framugę i parapet. - Musiałby być chłopięco szczupły, a poza tym brak jakichkolwiek śladów.

- A skrzynia? W razie potrzeby można się w niej schować.

- To prawda, choć nie było takiej potrzeby. Chyba że ktoś sprawdzał zakrystię przed każdą wizytą Uminy?

Apu Atoc potrząsnął głową.

- Tego nie wiem. Mógł to robić Chunchu, bo to do niego podobne.

Benesz przymknął drzwi od zakrystii i zajrzał do kaplicy przez dziurkę od klucza.

- Spójrz pan.

Atoc przyłożył oko do otworu.

- Czy Umina zawsze modliła się przy tamtym pulpiciel? - spytał Waclaw.

- Chyba tak...

- Ergo miał stąd doskonały widok. Wrócili do kaplicy.
- Kiedy tylko Inez razem z Antoniem opuścili kaplicę - myślał na głos Wacław - morderca wyśliznął się ze swej kryjówki. Umina zapewne była zdziwiona jego widokiem, ale nie przestraszona. Przekonywająco uzasadnił swoją obecność, a gdy już znalazł się przy niej, pochwycił za gardło i udusił, dla pewności łamiąc biedaczce kark.
- Udusił?! -wykrzyknął Inka. - Przecież została zasztyletowana! Wacław trochę się zdziwił, że Apu Atoc, wyglądający na człowieka obytego z nieboszczykami, z których wielu różnymi sposobami zapewne sam wysłał na tamten świat, nie potrafił odróżnić ofiary dusiciela od zadźganej nożem.
- To był jedynie pozór, aby winą obarczyć Gezę - tłumaczył cierpliwie. - Widzisz pan, że rana prawie nie krwawiła, a to dlatego, że sztylet wbito już po śmierci, kiedy Umina osunęła się na pawiment. Pokazał Ince sztylet ze stępionym koniuszkiem i świeżą ryseń na płycie posadzki, uczynioną przez żelazo, które przebiło ciało na wylot.
- Morderca jest bardzo silny - stwierdził. Atoc odchylił delikatnie kryzę osłaniającą szyję zamordowanej i z uwagą studiował ciemne ślady na gardle. Pulpit - klęcznik.
- Masz pan całkowitą słuszość - rzekł, niemal z czułością nasuwając z powrotem kryzę na zmaltretowaną szyję i wstając z klęczek. - Została uduszona. A ten, kto to uczynił, miał dłonie prawie dwa razy większe od moich. Niełatwo udusić kogoś jedną ręką. - Krytycznie przypatrzył się swoim.
- To prawda.

- Więc mógłby to być ów hajduk. Może jest sprytniejszy, niż myślimy, albo dał się przekupić Hiszpanom?

- Niewykluczone - mruknął Benesz powątpiewająco. Kucnął przy ciele i z szacunkiem podniósł rękę zmarłej.

- To była dzielna kobieta. Zaskoczył ją, a jednak próbowała się bronić. O tu, za paznokciem, widać strzępek skóry i krew. Zadrapała napastnika. Musimy znaleźć człowieka ze skaleczoną lewą dłonią.

- Lewą?

- Morderca jest leworęczny. Za gardło złapał lewą ręką, dlatego odcisk kciuka jest po prawej stronie szyi, widzisz pan? Sztylet też wbił lewą ręką, dlatego utkwiał pod prawą piersią, gdyby użył prawicy, położenie rany byłoby odwrotne.

W oczach Inki pojawił się nieskrywany podziw. Pokręcił głową z niedowierzaniem i pomógł Waławowi wstać.

- Chciałbym wiedzieć - rzekł Benesz z namysłem - w jaki sposób zbrodniarz wydostał się stąd niepostrzeżony. Może Inez da nam jakąś wskazówkę...

Jak na zawołanie do kaplicy wszedł Tanaka. Minę miał nieszczególną.

- Zniknęła! Szukaliśmy wszędzie. Jak kamień w wodę!

- Uciekła! - Atoc zgrzytnął zębami. - Była w zмовie z mordercą i uciekła!

Waławowi zakręciło się w głowie i musiał usiąść.

- Nie - odparł słabym głosem. - Tanaka, poproś pana hrabiego, by dał ci do pomocy wszystkich swoich ludzi, i przepatrzcie zamek dokładnie.

Zagłównijcie w każdą dziurę, w każdy zakamarek. I pospieszcie się, może jeszcze zdążycie. Ale chyba już za późno - dodał

złowieszczo. - Panie Atoc, ciebie proszę, byś sprowadził z lochu Gezę. Dowiemy się, co ma na swoją obronę. Tanaka, czyś zaglądał do zakrystii, gdy jej wysokość szła się modlić?

- Nie wiedziałem nawet, że tu jest zakrystia - odparł Indianin z zakłopotaniem.

- Tak myślałem. Możesz odejść.

W oczekiwaniu na powrót Indian Waclaw spędził czas, wpatrując się w zwłoki wzrokiem równie martwym jak one. Czuł, jak w gardle rośnie mu klucha. Ledwie znał Uminę i zamienił z nią może kilkanaście zdań, ale tym większy był jego żal, że nie mogli poznać się bliżej. Zaczynało go ogarniać pragnienie zemsty, przed którym bronił się, nie chcąc poddać się emocjom. Jak nigdy potrzebował teraz umiejętności chłodnego analizowania i logicznego rozumowania. Tymczasem czuł się źle i ciężko przychodziło mu zebrać myśli.

Pierwszy zjawił się Atoc.

- Dajcie mi klucze do kajdan i zaczekajcie tutaj - polecił dwóm strażnikom i zostawił ich przed progiem.

- Rozkuć go? - spytał Waclawa. Benesz potaknął.

- Geza - spytał więźnia rozcierającego ręce. - Co robiłeś, gdy popełniono morderstwo?

- Nie zabiłem jej! - powiedział Węgier z rozpaczą. - Więc skąd mam wiedzieć, kiedy to się stało?

Benesz uśmiechnął się lekko, a Inka znów miał okazję podziwiać kunszt, z jakim prowadził śledztwo.

- No dobrze, w takim razie gdzie byłeś między południem a pierwszą? Hajduk spuścił głowę i milczał.

- Mów, albo dasz gardło. - Waclaw stracił cierpliwość.
- Byłem u Katarzyny... .
- Co to za Katarzyna?
- Podkuchenna. Mamy się ku sobie. Jak graf pozwoli, na wiosnę chcielibyśmy się pobrać.
- Ktoś was widział razem?

Hajduk zaczerwienił się i pokręcił głową przecząco.

- Więc nikt? No cóż... Daj rękę.

Wyciągnął do niego rękę jak na powitanie, a Geza, nic nie rozumiejąc, podał mu swoją. Prawą. Obaj z Atokiem obejrzeliby dłonie podejrzanego, ale z wyjątkiem otarcia od łańcuchów innych ran nie znaleźli.

- Łapska duże, ale chyba jeszcze za małe - rzekł Inka niepewnie.

Wzdragali się przed dokonaniem przymiarki.

- Też mi się tak zdaje - odparł Waclaw. - To wszystko. Zakuj go pan z powrotem. Niech wraca do lochu.

- Za co?! - zawołał Madziar. - Nic złego nie uczyniłem!

- Jeżeli mówisz prawdę, niedługo będziesz wolny - zapewnił go Benesz.

Powierzyli Gezę strażnikom i też wyszli na zewnątrz.

- Jeżeli to nie on, dlaczego go pan nie uwolnisz? - spytał Atoc.

- Żeby ten, kto to zrobił, poczuł się bezpiecznie. Waclaw oparł się o mur i gwałtownie wdychał powietrze.

- Powinieneś wracać do łóża, seńor - zatroszczył się Inka.

- Nic mi nie jest. - Czuł się jednak bardzo źle. - Nie wydaje się właściwie dziwne, że ksiądz Jan akurat dziś zaniedbał swych obowiązków?

Wypytał go może na tę okoliczność?

- Nie - zakłopotał się Atoc. - Nawet go dziś nie widziałem...

- Więc odszukaj go jak najszybciej. Tylko jego obecność w kaplicy nie zaskoczyłaby nikogo, a najmniej Uminę. Albo też nie żyje, albo...

Z baszty narożnej wyszła Anna. Twarz miała ściągniętą i wymizerowaną, oczy zaczerwienione od płaczu. Podeszła do nich.

- Dałam panu Sebastianowi ziół na uspokojenie i usnął wreszcie.

Chłopczyk obudził się i bardzo tęsknił za mamą, ale teraz też śpi. Nie wiecie, panowie, gdzie jego piastunka?

- Sami chcielibyśmy to wiedzieć - odparł Waclaw.

- Znajdę mu później mamkę we wsi, ale teraz zajęłabym się nieboszczką, póki nie nastąpiło całkowite zeszywnienie członków. Wezmę dwie służące i pójdę do kaplicy, jeśli już wolno.

Atoc spojrzał pytająco na Benesza, po czym rzekł:

- Będziemy zobowiązani.

- Wiadomo już, kto to zrobił? Chyba nie Geza?

- Jeszcze nie mamy pewności - wykręcił się Waclaw. - Ale to się wkrótce zmieni.

Odeszła szukać kobiet do posługi przy zmarłej, Waclaw zaś powiedział do Atoca:

- A teraz pokaż mi pan, gdzie zginął Yana. Jego zabójcy wciąż nie znaleziono?

- Nie - odparł Inka zakłopotany. - Nikt go nie widział, nie wiadomo nawet, skąd padł strzał.

- Zaraz to ustalimy. A kiedy zginął?

- Też dokładnie nie wiadomo. Coya Umina znalazła ciało po wieczornej modlitwie.

Kiedy Waclaw zobaczył miejsce, gdzie zabito małego dzikusa, a także

przy pomocy Atoca uzgodnił kąt, pod jakim strzała zagłębiła się w ciało, oznajmił:

- Strzelano z muru nad stajnią. To był mistrzowski strzał. A zresztą, jeśli wcześniej ukradziono tylko jedną strzałę, zbrodniarz musiał być bardzo pewny swego. No i zaplanował wszystko ze znacznym wyprzedzeniem.
- W takim razie zabójca mógł przybyć z zewnątrz, wspiąć się po murze i uciec tą samą drogą.
- Albo przed strzałem i po nim chował się tam. - Benesz wskazał basztkę strażniczą wystającą z wieży górnego zamku na wysokości blanków. - Stamtąd spokojnie wrócił przez wieżę do zamku. Jeśli mam rację, w baszcie znajdziemy łuk, chyba że go cisnął w krzaki.
- Kirkincho zaraz to sprawdzi. To mój najlepszy ayllo, jak w naszym kraju nazywamy tropicieli - powiedział Atoc i zawołał jednego z indiańskich strażników zachodniego skrzydła, rozkazując mu coś w ich niezrozumiałym języku.

Indianin pobiegł na górny zamek, a Benesz spytał:

- Co z ciałem Chuncha?
- Gotowe do pochówku. Dziś mieliśmy go pogrzebać.
- Był czujny jak Argus. Musiał zginąć, żeby zamach na Uminę mógł się udać.
- Teraz to wiem.
- Musieli pozbyć się go w ten sposób, bo nikomu nie pozwoliliby zbliżyć się do siebie na krok. Zresztą chciałbym widzieć takiego, który by się na to poważył. Myślę - ciągnął - że szukamy co najmniej dwóch ludzi. Jeden zabija według planu, na zimno, drugi to szaleniec, który po prostu lubi mordować. To on zadławił Uminę. Śmierć owego wścibskiego pacholka,

Staszka, to również była jego robota. I Inez pewnie by zabił, ale wróciła za szybko, gdy dopiero co uporał się ze stawiającą opór Uminą, i zaskoczyła go, więc uciekł. Boję się, że teraz właśnie poluje na dziewczynę, aby pozbyć się świadka. A może się mylę, może nawet żałuje, że się pospieszył i niepotrzebnie zabił Uminę?

- Na pewno niczego nie żałuje - stwierdził Atoc. - Potomkowie Tupaca Amaru II mają być wytępieni aż do czwartego pokolenia. Żywy Antonio jest potrzebny do wymiany na skarb. Potem i tak musiałby umrzeć. On lub oni są zdecydowani wymordować wszystkich z tego rodu i uczynią to, jeśli ich nie powstrzymamy.

- Powstrzymamy - pocieszył go Waclaw. - Nie będzie więcej ofiar. Atoc zmarszczył czoło.

- Przesłyszałem się, czyś pan powiedział, że doña Umina zginęła niepotrzebnie?

- Nie przesłyszałeś się pan. Chodziło mi o to, że...

Z bramy średniego zamku wyszedł Tanaka. Minę miał grobową.

- Znaleźliście Inez? - ponaglił go Atoc.

- Niosą ją.

Z trudem przeciskając się przez otwartą połowę bramy, dwaj Indianie i dwaj hajducy wynieśli na dziedziniec bezwładne ludzkie ciało i złożyli je u stóp Benesza. Z włosów i sukni kobiety spływała woda, zbierając się w małe strumyczki, zwawo spływające po kamiennych płytach.

Ledwo się oddalili, pojawił się Kirkincho i zdał relację Atocowi, Waclaw zaś usiadł na kamiennym murku i oparł się o ścianę, bo nogi nagle się pod nim ugięły. Chociaż był jak pies gończy, który złapał trop, zdrowie odmawiało mu posłuszeństwa i trzymała go na chodzie tylko siła woli.

- Miał pan słuszość - zwrócił się do niego Inka, wysłuchawszy wojownika. - Kirkincho znalazł w baszcie łuk i świeże ślady jednego człowieka. Kim jest ten szatan, który strzela do ludzi jak do łownej zwierzyny i dusi niewinne kobiety?! - zawołał z wściekłością.
- Już mówiłem: jest ich dwóch. Jeden strzela, drugi dusi - odparł Wacław, czując, że kręci mu się w głowie, i kiwnął dłonią, by zaskoczony Apu Atoc nachylił się ku niemu. - Na początek znajdź pan człowieka z raną na dłoni... - wyszeptał i raptem cały świat zawirował mu przed oczami.

Indagacja

Budzi się. - Nareszcie.

Powoli wynurzał się z oparów snu, ale gdy już się rozbudził, poczuł się znakomicie. Wypoczęty i silny, zupełnie inaczej niż wczoraj. Nie mógł się jednak tym cieszyć, ponieważ dobrze pamiętał, co się wydarzyło poprzedniego dnia. A zresztą nawet gdyby zapomniał, przypomniałyby mu przygnębione miny pochylonych nad łóżkiem Rubinowskiej i Horwatha.

- Jak pan się czujesz? - spytała Anna z troską.
- Jak młody bóg. Zdaje się, że wczoraj zasłałem? Popatrzyli po sobie ze zdziwieniem.
- Zasłałeś - potwierdziła - lecz nie wczoraj, a dwa dni temu.
- A to dopiero.
- Apu Atoc do spółki z panem Untu napoili cię jakimś wywarem, żebyś szybciej wrócił do zdrowia.
- Akurat! - mruknął hrabia. - Wlali w pana jakieś paskudztwo, żebyś im nie mógł przeszkodzić. O, widzę, że dziś też już tu byli.

Wacław zerknął na miseczkę z dziwnej barwy płynem, pozostawioną na

stołku tuż przy łóżku. Bardzo chciało mu się pić i wyciągał po nią rękę, ale udzieliło mu się ich zdenerwowanie. Potracił miskę, która spadła i rozbiła się, a mokra strużka popłynęła pod łóżko.

- Mniejsza z tym - machnął ręką lekceważąco. - Co się stało?

- Przykro nam o tym mówić - powiedziała dziewczyna z zakłopotaniem - ale tylko waćpan możesz z tym skończyć...

- Krótko mówiąc - przerwał jej Palocsay - od dwóch dni w zamku dzieją się rzeczy niebywałe. Jako gość pański nie powinienem się wtrącać, lecz sprawa dotyka mnie osobiście i w końcu będę musiał interweniować, nawet przy użyciu siły.

Wacław jeszcze nigdy nie widział hrabiego tak przygnębionego i wytrąconego z równowagi. Jak dotąd Horwath prezentował się raczej jako flegmatyk o pogodnym usposobieniu.

- Już drugi dzień w kaplicy aż huczy, i to dosłownie - włączyła się Anna. - Inka Uallpa, cudacznie przebrany, odprawia przy zwłokach osobliwe obrzędy, w których uczestniczy nawet pan de Berzeviczy, chociaż mocno zalatują pogaństwem. A łomot bębnów i dźwięk piszczałek niosą się po całej okolicy.

Faktycznie, nateżywszy uwagę, słyszało się rytmiczne hałasy przenikające przez grube mury.

- Mało tego - poskarżył się hrabia. - Skoro świt wystawiają przed kaplicę ciało pani Uminy w dziwacznej pozycji, z nogami podciągniętymi aż pod brodę i rękoma je obejmującymi. Owinięte w skóry wygląda jak, nie przymierzając, tłumok.

- Maiki - wtrąciła Anna. - Pan Untu powiedział, że w dawnych czasach w

Peru tak właśnie postępowano ze szlachetnie urodzonymi zmarłymi. Z ich ciał robiono mumie, czyli maiki, wysuszając je na słońcu i zimnym powietrzu. A wcześniej trzeba usunąć wnętrzności, nasmołować i wypełnić powłokę ziołami... Zabrali mi do tego celu prawie cały zapas ziół i wszystką saletrę do mięs...

- Jak je zwał, tak zwał - zdenerwował się Palocsay. - Toż to czyste pogaństwo! Pan Atoc kazał zamurować uczynioną przez zbójników dziurę w krypcie pod starą kaplicą, żeby tam pochować sługi pani Uminy, a dla niej na górze wybić niszę, do której chce wstawić zwłoki, kiedy już wyschną! Cała okolica huczy od plotek, które służba roznosi. Jeszcze nam tu egzorcystów przyślą, jeśli wcześniej wzburzone chłopstwo nie ruszy na zamek!

Malqui - fonet. maiki, mumia inkaska.

- Wezwałam księdza Lorenca - powiedziała Anna - licząc, że uda mu się pana Sebastiana do opamiętania przywieść. Ksiądz przybył przed godziną, lecz nie wpuszczono go do kaplicy. Nie krył oburzenia, jednak dał się ubłagać i czeka na waćpana. Jeśli odejdzie stąd z niczym, będą kłopoty!

- To jeszcze nie wszystko - pognąbił Benesza Węgier. - Na środku dziedzińca ustawiono graniasty słup...

- Intiuatanę! - popisała się znajomością rzeczy Rubinowska.

- ... a ten okropny staruch Inka Uallpa co dzień odprawia przy nim jakieś czary-mary. W dniu zrównania nocy i dnia, skoro świt, choć pierwotnie chciał czekać aż do czerwca, kiedy wypada jakieś inkaskie święto...

- Inti Raymi!

- ... nieważne, dość, że zamierza wtedy wyrwać mojemu Gezie serce z piersi na ofiarę dla zmarłej pani Uminy. Imaginujesz pan to sobie?! Nie

wierzę, aby Geza był winien jej śmierci, ale nawet gdyby był, nie zezwoliłbym, aby zaszlachtowano go jak warchlaka. I nie dopuszczę do tego, bądź pewny! Gdyby nie to, dawno bym stąd odjechał jak inni.

- A kto wyjechał?

- Colignac i jezuita, ojciec Jan. Wacław uniósł się na łokciu.

- Proszę zatrzymać księdza Lorenca. Do godziny będę u niego. Zaczęli się zbierać do wyjścia, zapytał więc:

- Czy Apu Atoc prowadził wczoraj indagację³ w sprawie mordu na Uminie?

- Tak - potwierdził hrabia. - Przesłuchał wszystkich bez wyjątku i kazał pokazywać sobie dłonie. Nie wyjawiał dlaczego.

Intihuatana - obelisk niewiadomego przeznaczenia, przypuszczalnie służący kapłanom inkaskim do obserwacji astronomicznych.

Inti Raymi - Święto Słońca, największe ze świąt inkaskich, obchodzone w czerwcu w czasie

przesilenia letniego, poświęcone zarówno Słońcu, jak i jego ziemskiemu odpowiednikowi

-Jedynemu Ince.

Indagacja - śledztwo, dochodzenie.

- I znalazł coś?

- Tylko świeżą ranę od oparzenia u księdza Jana.

- Jak ją wytłumaczył?

- Podobno zgłodniał po śniadaniu - powiedziała Anna - i przed odprawieniem mszy dla pani Uminy zajrzał do kuchni potasować, co robił dość często. Nabierając z kotła gorącego rosołu, oblał sobie rękę.

Żartował, że to była kara boska za grzech łakomstwa. Pan Atoc jednak nie

bardzo mu wierzył i wybadał podkuchenną.

- I co?

- Potwierdziła słowa jezuitę. Ale pana Atoca to nie zadowoliło i poprosił mnie, bym zbadała ranę i stwierdziła, czy oparzenie nie powstało umyślnie, aby ukryć wcześniejsze skaleczenie. Jednak ręka była oparzona aż do kości, więc nie poradziłam ani niczego orzec, ani pomóc cierpiącemu. Dlatego pan Karol odwiózł go do Łapsz, gdzie ponoć baron Jungenfeld niedawno odkrył znachora-cudotwórcę.

- I Atoc pozwolił im opuścić zamek?

- A czemu miałby nie pozwolić? - zdziwił się hrabia. Waclaw nie zatrzymywał dłużej swoich gości.

- Kici, kici... - zawołała dziewczyna na odchodnym. - Byłam pewna, że wśliznął się za nami kot... Kręcił się tu jeszcze przed chwilą.

- Znajdzie się - pocieszył ją Waclaw. - Osobiście go pani dostarczę do rąk własnych.

Wdział spodnie i rozglądnał się za butami. Jeden stał karnie przy posłaniu, po drugi musiał się schylić, zaglądając pod łóżko i przy okazji znajdując kota. Niestety kot był martwy i sztywny jak kłoda drewna. Wyprężony jak struna, z oczami na wierzchu, nastroszonym futrem i wąsami na sztorc, leżał na prawym boku, pyszczkiem dotykając kałuży po rozlanym płynie. Włos zjeżył się Waclawowi jak nieszczęsnemu zwierzakowi sierść.

Pomieszczenie wypełniały kłęby ofiarnego dymu i oszałamiający zapach nieznanego kadzidla. W uszy wwierały się łomot bębna i przenikliwe dźwięki dziwacznych fletów. Mistrz ceremonii, Inca Huallpa, pochylał się nad zwłokami, śpiewnie wypowiadając słowa ni to psalmu, ni zaklęcia. Na tunikę bez rękawów miał narzucony krótki płaszcz z biało-

czerwonej wełny, obsypany złotem i drogimi kamieniami. Głowę zdobiła mu tiara, także wysadzana klejnotami, z umocowanym centralnie krążkiem symbolizującym boga Słońce

- Inti. Na piersiach wisiał srebrny dysk wyobrażający boginię Księżyc
- Quilla, małżonkę Słońca. Stary Inka wyglądał bardzo egzotycznie i jeszcze bardziej niesamowicie niż zwykle.

Nastrój niezwykłości potęgowali odziani w żałobną czerń Sebastian i Untu, przemierzający kaplicę miarowym, tanecznym krokiem. Ich niewidzące, rozszerzone źrenice zdradzały, że obaj znajdowali się w hipnotycznym transie lub zostali poddani działaniu środków oszałamiających. Albo jedno i drugie. Roki Yupankiego nigdzie nie było widać.

Wacławowi z trudem przyszło uwierzyć, że Sebastian naprawdę oddawał się pogańskim praktykom. Nie mogąc na niego liczyć, odszukał Apu Atoca, który trzymał straż u drzwi i jako jedyny wyglądał na trzeźwego.

- Wyjdźmy stąd! - zawołał mu do ucha, przekrzykując Inkę Huallpę, który donośnym głosem zaintonował nową pieśń.

Za drzwiami z ulgą wciągnęli do płuc świeże powietrze i dali trochę odpocząć zmaltretowanym uszom.

- Panie Atoc, co to ma znaczyć? Inka rozłożył bezradnie ręce.

- Nie mam na to wpływu.

- Trzeba natychmiast z tym skończyć.

- To niemożliwe.

- To konieczne. Mamy osiemnasty wiek i czasy ponoć oświecone, a to tutaj z dala zalatuje czystym barbarzyństwem, żeby nie rzec - ogniem piekielnym. Tylko patrzeć, jak ruszy na nas krucjata.

Atoc potrząsnął głową.

- Myślisz pan, że mnie to nie gorszy? Taki sam dobry ze mnie chrześcijanin jak z ciebie, señor. Jednak nic nie poradzę, jestem tylko dowódcą straży. Nie posłuchają mnie. Zażyli koki1. To dur, przywieziony z naszej ojczyzny.

- Do kroćset! Nie jesteśmy w Peru, czy tego nie zauważyli?

- W Peru takich praktyk też od dawna nie ma. To pomysł Inki Huallpy - odparł Atoc przygnębiony - który chce wskrzesić starożytne obyczaje. Nasi przodkowie wierzyli, że siła żywotna człowieka nie gaśnie razem z jego śmiercią. Dlatego suszyli ciała szlachetnie urodzonych do postaci malqui, w przypadku mumii królewskich zwanych illapa2, aby mogli gromadzić się w niebie i na Słońcu. Tylko pospólstwo grzebano wprost w ziemi. Pani Uminie, jako coyi, czyli królowej, należy się królewski pochówek, pospołu ze sługami, skarbami, jadłem i napojami.

- I w taki sposób chcecie pochować Uminę? - z niedowierzaniem spytał Benesz.

- Ja nie - zastrzegł się Inka. - Nie wierzę nawet, by w waszym kraju dało się zmumifikować ciało do postaci malqui. Zbyt tu ciepło i wilgotno. Cóż, kiedy Inca Huallpa ufa, że przy okazji illapa pani Uminy, mająca dar wieszczy, wyjawi mu imię mordercy, którego będzie można złożyć na ołtarzu ofiarnym.

- Morderca poniesie zasłużoną karę - powiedział stanowczo Waclaw. - Ale z pewnością nie dozwolę wyrwać mu żywcem serca. A propos, jak śledztwo? Ponoć pozwoliłeś pan opuścić zamek podejrzanemu.

- Mówisz pan opadre Juanie? Kazałeś mi szukać człowieka z raną na dłoni. Nikt takiej nie miał, tylko on, a i to od oparzenia gorącym rosołem,

jak utrzymywał. On jednak z całą pewnością nie zabił.

- A to czemu?

- Bo ma niepodważalne alibi.

1 Koka - roślina, której liście zawierają narkotyk - kokainę; dawniej zażywanie koki, w celach wyłącznie obrzędowych, było przywilejem inkaskich warstw wyższych. Ilia lub illapa (kecz.) - piorun; w mitologii inkaskiej także bóg deszczu i urodzaju.

- Doprawdy?

- Z zeznania służby kuchennej wynika, że jezuita, który był u nich częstym gościem, gdyż między głównymi posiłkami lubił sobie podjadać, a zwłaszcza popijać, przedwczoraj pojawił się w kuchni około jedenastej przed południem. Nie zabawił tam długo i zszedł do piwnic, które mają połączenie z kuchnią, a do których za zgodą panny Rubinowskiej miał dorobiony klucz. Kiedy dochodziło południe, pora, w której zwykle odprawiał mszę dla coyi Uminy, a on nie wychodził, podkuchenna Katarzyna zajrzała do piwnicy. Pater był zupełnie pijany i nie dał się ruszyć, co nie pierwszy raz się zdarzyło, choć pierwszy o tej porze, więc go zostawiła i wróciła do kuchni. On zaś pojawił się tam już po morderstwie. Wszyscy pamiętają to doskonale, wybiegli bowiem na dziedziniec, słysząc straszne krzyki, a gdy wrócili, pater, chwiejąc się niepewnie na nogach, akurat wkładał rękę do kotła z wrzątkiem w poszukiwaniu mięsiwa. Ergo w żaden sposób nie mógł być w feralnej chwili w kaplicy, albowiem ani wymknąć się z piwnicy niepostrzeżenie, ani też wrócić do kuchni tą samą modą jest po prostu niemożliwe.

Wacław milczał dobrą chwilę, po czym rzekł z namysłem:

- A jednak musi być jakieś wytłumaczenie. Atoc zerknął na niego spod

oka.

- Pan mimo wszystko podejrzewasz, że to on jest mordercą? Benesz uśmiechnął się niewesoło.

- Ja nie podejrzewam, ja wiem. Pamiętasz pan, w której ręce trzymał nóż podczas posiłków?

Inka pobladł.

- W lewej! Por Dios, a ja pozwoliłem mu uciec...

- Nie rób pan sobie wyrzutów, nie mogłeś postąpić inaczej, nie wychodząc na głupca. Przecież wciąż nie wiemy, jak uciekł z miejsca zbrodni. Ale on tu wróci prędzej czy później i wtedy już nam nie ujdzie. A na razie idę ugłaskać proboszcza, pan zaś wracaj do kaplicy i powiedz tamtym, że przed wieczorem wszystkie ciała mają być gotowe do chrześcijańskiego pochówku.

- A jeśli nie posłuchają?

- To ich powiadomisz, że ja umywam od wszystkiego ręce i natychmiast stąd wyjeżdżam. I niech sobie szukają innego piastuna dla Antonia.

Atoc uniósł brwi.

- To znaczy, że pan jesteś gotów przejąć nad nim pieczę?

- Pod warunkiem że natychmiast skończą z tymi hałasami, bo nawet mnie uszy bołą, a co dopiero bardziej muzykalnych. Aha, dzięki za lekarstwo.

- To nie moja zasługa. Niech pan podziękuje Tacie Untu. Ale cieszę się, że pomogło.

- Nawet pan nie wiesz jak.

Odprowdziwszy do wyjścia z trudem ugłaskanego ojca Lorenca, Wacław natknął się na Annę w męskim stroju, który (zbyt często jak na jego gust) przywdziewała dla wygody, wracającą do dworu.

- Bardzo pani spieszno?
- A w czym rzecz?
- Potrzebuję adiutanta.
- Cóż to, wybierasz się na wojnę?
- Prawie. Więc jak?
- Z ochotą!

Twarcz dziewczyny coraz bardziej rumieniała z emocji, a oczy robiły się większe i większe, w miarę jak Benesz wprowadzał ją w inkaskie sprawy, mimo iż uchylił jedynie rąbka tajemnicy.

- Inkwizycja? Tutaj? Pani Umina zamordowana w wyniku spisku? Przez ojca Jana? Nie wierzę!

- A jednak. Do spisku należą co najmniej trzy osoby. Właśnie mam zamiar to udowodnić.

- Chętnie to zobaczę.

Skierowali się do kaplicy, z której już nie dochodziły żadne hałasy. U podnóża krużganku Wacław zatrzymał się.

- Widzi pani, niezbędny warunek powodzenia planu stanowiło pozbycie się Chuncha. Ten mały dzikus był wręcz nieprawdopodobnie czujny i niebezpieczny jak kobra. Strzelono doń stamtąd. - Pokazał miejsce ponad dachem stajni, z którego przypuszczalnie strzelał morderca.

- To mnie nie dziwi - odparła. - Zmierzyć się z nim twarzą w twarz nikt by się nie odważył.

- Brawo! Zdolna uczennica... Szkopuł jednak w tym, że strzelając z łuku, zabójca działał, owszem, bezszelestnie i miał większą szansę, by zniknąć niepostrzeżenie, ale w momencie samego strzału odsłaniał się bardziej, niż strzelając z broni palnej. Niemożliwe więc, by ktoś tak bystry jak Yana nie

dostrzegł go w porę. Szósta wieczór to jeszcze nie noc, zresztą założę się, że Chuncho nawet w nocy widział jak kot. A przecież byli jeszcze dwaj indiańscy strażnicy przy baszcie. I cała trójka niczego nie zauważyła!

- A skąd pan wie, że Chuncho się zagapił? Może też strzelił do mordercy z tej swojej dziwacznej rury, tylko odległość była zbyt wielka i nie trafił? A może trafił i zabójca spadł na drugą stronę muru, skąd zabrali go wspólnicy?

Wacław popatrzył na Annę z podziwem.

- No, no. Kto tu jest inwestygatorem, a kto przybocznym? Masz pani zupełną rację i zaraz to rozstrzygniemy.

Podeszli do Tanaki i drugiego z Indian, którzy trzymali wartę przed wejściem do zachodniego skrzydła.

- Tanaka - zagadnął Benesz - kto miał służbę wtedy, gdy zginął Chuncho? Indianin wdał się w krótką rozmowę ze swym towarzyszem, po czym rzekł:

- Kokchi twierdzi, że Maypa i Kirkincho.

- Poślij go zatem po nich, z łaski swojej.

Ledwie Kokchi zniknął za drzwiami, Wacław poprosił Tanakę:

- Mógłbyś mi przynieść świstulę Chuncha? Nie obawiaj się, postróżuję chwilę za ciebie.

Indianin przez chwilę jakby się wahał, po czym poszedł spełnić polecenie.

- I tak to się odbyło - powiedział Wacław do Anny. - Ktoś odciągnął na moment wartowników, potem zagadnął Yanę, aby odwrócić jego uwagę. Na tę chwilę czekał zabójca.

Dziewczyna była bardzo przejęta.

- W takim razie to musiał być ktoś dobrze znany Indianom!

- Oczywiście.

Szmaragdowe oczy wpatrywały się w niego z napięciem.

- Pan wiesz kto?

- Kto zabił czy kto pomagał w zbrodni?

- Wszystko jedno!

- Dla mnie tak, dla pani zapewne nie...

Już otwierała usta do następnego pytania, gdy Tanaka przyniósł dmuchawkę. Ostrożnie obejrzeliby egzotyczną broń. Pierwotnie musiała być dłuższa, przy końcu był wyraźny ślad ucięcia. Dzięki temu widać było, że rurę tworzyły dwie idealnie gładkie połówki jakiejś trzciny czy palmy, wydrążone, a potem złożone razem, owinięte liśćmi i oplecione roślinnym włóknem, na koniec powleczone twardą żywicą. W ustniku zaś, uszczelniona bawełnianym kłębkim, tkwiła gotowa do użycia strzałka.

- Czy ktoś ją ruszał ostatnio? - spytał Wacław.

- Nikt. To broń dzikusów - odparł pogardliwie Tanaka.

- Wszystko jasne - powiedziała Anna, oddając świstulę Tanace. - Nie zdążył wystrzelić. Pytanie, kto odwrócił jego uwagę?

- Zaraz się dowiemy - rzekł Benesz na widok nadchodzącej trójki Indian. - Tanaka, spytaj ich, czy tamtego wieczoru nie zostali odwołani z posterunku, choćby na bardzo krótko.

Znów nastąpiła ożywiona wymiana zdań między Indianami.

- Nie zgłaszali tego, bo im było wstyd, że zeszli z warty, ale przysięgają, że nie było ich tylko chwilę, a jak wrócili, Chunchó żył i siedział pod drzwiami kaplicy.

- Nie żył, strzała przybiła ciało do drzwi i utrzymywała w pozycji siedzącej, dopóki pani Umina nie otworzyła drzwi z tamtej strony,

opuszczając kaplicę. Dlatego dopiero ona, około siódmej, odkryła trupa. Ja zaś myślę, że Yana zginął tuż po szóstej, kiedy już zaczęło się zmierzchać, ale jeszcze było dość widno na celny strzał - monologował na głos

Wacław. - Zresztą mniejsza z tym. Kto odwołał wartowników?

- Mówią, że wezwał ich Tata Untu, ale on wypierał się tego, więc wrócili jak niepyszni i nikomu o tym nie wspomnieli.

- Tata Untu, ten przyjemny człowiek?! - zawołała Anna. - Nie mogę uwierzyć!

- I słusznie - powiedział Benesz. - Tanaka, nie chodzi o to, kto ich rzekomo wezwał, tylko kto ich odesłał.

Odpowiedzi nie było potrzeby tłumaczyć.

- Ten sam człowiek wystawił Uminę - poinformował Wacław Annę. Zazwyczaj dmuchawki Indian z dorzecza Amazonki mają ok. 2 m długości.

- Jest pan pewny?

- Prawie. Tanaka, ty miałeś służbę, gdy zginęła coya Umina, powiedz mi zatem, czy nie wydarzyło się nic osobliwego od momentu, gdy kobiety z dzieckiem weszły do kaplicy, do odkrycia zbrodni?

Indianin zmarszczył czoło w głębokim namyśle, po czym zerknął na wejście do kaplicy i w końcu rzekł:

- Coya Mama, auqui i Inez weszli do świątyni dokładnie w południe, jak zwykle.

- Czy kaplica była otwarta?

- Tak. O tej porze otwierał ją padre Juan, który zawsze przychodził kwadrans wcześniej.

- Ale tym razem nie przyszedł.

- Nie. Tym razem nie.
- A jednak kaplica była otwarta?

Tanace wydłużyła się mina, jednak odparł bez wahania: -Tak.

- Na pewno?
- Na pewno. Zauważyłbym, gdyby któraś z nich wyjmowała klucz...

Brwi podjechały mu do góry.

- Przypomniałeś sobie coś?
- Tak, ale najpierw... Kiedy, może kwadrans po wejściu, Inez z auqui Antoniem opuścili kaplicę, nie wiadomo skąd pojawił się o n i próbował ich zagonić z powrotem do środka.

- Jesteś pewny?

- Nie słyszałem wszystkiego dokładnie, ale tak to wyglądało. Jednak Inez wyrwała mu się i przysła z dzieckiem tutaj, a on gdzieś sobie poszedł.

- Ale nie do kaplicy?

- Na pewno nie. Natomiast coś osobliwego wydarzyło się, gdy Inez wracała do kaplicy. Drzwi były zamknięte! Pamiętam to doskonale, bo byłem równie zdziwiony jak ona. W końcu wyjęła klucz i otworzyła drzwi, weszła do środka, no a co było potem, to już mówiłem...

- Dziękuję, bardzo mi pomogłeś. Gdzie o n teraz jest?

- Tam gdzie wszyscy: w kaplicy.

- Pamiętaj, pod żadnym pozorem nie wolno go dopuścić do dziecka, a poza tym... - Benesz nachylił się do ucha Tanaki i przekazał mu instrukcje, po czym podjął Annę pod ramię i rzekł:

- Teraz wiemy już wszystko. No, prawie wszystko.

- Czyżby?

- Przede wszystkim mamy pewność, że celem był Antonio. Chodziło o to,

by go zabić lub porwać, w tym względzie nie mam pewności. Umina miała zginąć przy okazji, a Inez - bo jej towarzyszyła. Dlatego zbrodnię zaplanowano na południową mszę, bo tylko wtedy Umina przychodziła do kaplicy razem z dzieckiem. Morderca był przekonany, że bez trudu poradzi sobie z obiema kobietami naraz, i zapewne miał rację. Nie przewidział tylko, że chłopiec się rozchoruje i zostanie zabrany z kaplicy. To wprawilo go we wściekłość, nie mógł się powstrzymać i dlatego zepsuł cały plan, mordując samą Uminę.

- A pana zdaniem tym szalonym mordercą jest poczciwy ojciec Jan?

-Tak.

- Ale nie możesz tego udowodnić?

- Tym zajmę się później. Teraz, jeśli pozwolisz, zdemaskujemy zdrajcę. Stanęli przed kaplicą.

- O, widzisz? Tu jest ślad po strzale, która przebiła Chuncha. - Pokazał ryse na drzwiach.

Położył ręce na jej ramionach.

- Właściwie nie chcę, żebyś tam ze mną wchodziła. To niebezpieczne.

- Przecież sam mnie uczyniłeś swym adiutantem. Idę z tobą! Patrząc w szmaragdowe oczy, przesunął dłonie z ramion na szyję, potem na twarz dziewczyny i gładząc kciukami jej policzki, spytał:

- A co byś powiedziała, gdybym cię teraz pocałował?

- Powiedziałabym, że tracisz czas, mój jenerale. A poza tym wciąż nie znalazłeś połówki cekina.

Z westchnieniem rozczarowania odjął ręce od jej twarzy.

- To pożycz mi choć swoją króciwę, jeśli ją masz przy sobie.

- Zawsze mam. - Schyliła się, wyjęła broń z cholewy buta i wręczyła mu.

- Po co to waści?

- Na wszelki wypadek. - Wsunął króciwą do lewej kieszeni spodni, ponieważ na lewą rękę zazwyczaj zwraca się mniejszą uwagę, nacisnął klamkę i puścił dziewczynę przodem.

Dwie otwarte trumny z ciałami Chuncha i Inez, a pomiędzy nimi podest z mumią Uminy, zajmowały połowę kaplicy. Świece na ołtarzu rzucały upiorne światło na doczesną powłokę córki Sebastiana. Hrabia miał rację - ciało w pozycji embrionalnej, owinięte w skóry, wyglądało jak bezkształtny tłumok, z którego wystawała sama głowa z poczerniałą twarzą. Waclaw wzdrygnął się i odwrócił wzrok, poszukując Sebastiana i Inków. Jako i siedzieli obok w ławkach, wyczerpani wcześniejszymi ekscesami. Inca Huallpa jak zwykle drzemał, Tata Untu pocieszał płaczącego cicho Sebastiana, Apu Atoc trzymał się z tyłu. Waclaw dotknął jego ramienia i szepnął:

- Można na słówko? Inka wyszedł z ławki.

- Jak pan widzisz, sytuacja jest już opanowana.

- Doskonale. Ale nie o to idzie.

- A o co?

- Wykryliśmy nowe okoliczności zbrodni - pochwaliła się Anna.

Indianinowi nie umknęło owo „śmy”. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Panna Rubinowska pomaga mi w indagacji - potwierdził Benesz.

- Jakież to nowe okoliczności? - zaciekawiał się Inka.

- Gdzie jest Roca Yupanqui? - spytał Waclaw, rozglądając się dookoła i nigdzie nie widząc zastępcy Atoca.

- Był tu przed chwilą. - Atoc wyglądał na równie zaskoczonego.

- Tu jestem - najmłodszy z Inków wyszedł z zakrystii cicho jak duch,

trzymając coś w wyciągniętych przed siebie rękach; z bliska nawet w tak kiepskim świetle nie sposób było pomylić pistoletów z niczym innym.

- Kapitanie Roca, co to ma znaczyć? - Atoc, zwykle nieporuszony, tym razem wyglądał na wyraźnie wstrząśniętego.

- Nasz wścibski i niezniszczalny Huayna1 Berzeviczy z pewnością to panu za chwilę wyjaśni. A na razie rzućcie broń, panowie, i razem z señoritą dołączcie do pozostałych.

Wacław wiedział, kiedy nie należy dyskutować, tylko trzeba wykonać rozkaz, i to właśnie była taka chwila. Wydobył pistolety z za pasa i odłożył na posadzkę, to samo ze swoją bronią uczynił Atoc.

- Nóż z buta także, Apu Atoc. Nie bądź pan zapominalski, bo to bardzo niezdrowe. A teraz cofnąć się!

Postąpił dwa kroki i nogą odsunął leżącą broń pod ścianę. Sebastian i Untu już od dobrych paru chwil z rozszerzonymi oczyma w milczeniu obserwowali rozgrywającą się scenę, natomiast Inca Huallpa dopiero co otworzył oko, ale z właściwą sobie bystrością umysłu od razu pojął istotę rzeczy.

- Zdrajca - wypluł z siebie z gryzącą pogardą.

- Stary dureń! - odpłacił mu Roca.

- Kapitanie! - Pokręcił głową Atoc. - Biliśmy się razem w powstaniu, potem tułaliśmy na obczyźnie, a teraz... Nie mogę w to uwierzyć...

- Czy to on zabił Uminę? - martwym głosem spytał Sebastian.

- Nie własnoręcznie, ale krew całej trójki - Wacław wskazał ciała - ma na sumieniu.

- Zanim przeleję pańską - rzekł Roca Yupanqui - chętnie posłucham, co udało ci się ustalić.

I znów Waclaw uznał, że w pewnych sytuacjach się nie odmawia. Gdy skończył, zdrajca skłonił głowę z uznaniem.

Huayna (kecz.) - młody, młodszy, junior.

- Właśnie tak to się odbyło. Cóż, señor Benesz, wypada mi tylko żałować, że pan stanowczo spożywasz za mało płynów.

- Dzięki za przypomnienie. Miałem o tym pani powiedzieć - Waclaw zwrócił się do Anny. - Znalazłem kota, ale nie mogłem go dostarczyć żywego, bo skosztował przeznaczonego dla mnie lekarstwa.

- Niemożliwe! - zawołał mały uczonec. - Sam przyrządzałem miksturę!

- Ale kapitan Roca domieszał coś od siebie - wyjaśnił Waclaw. - Zresztą cały czas kierował podejrzenia na pana, Tata Untu. Widać cię nie lubi.

- Nienawidzę was wszystkich! - wybuchnął zdrajca.

- Ergo Andres też zginął przez ciebie! - Sebastian patrzył na Rocę z nienawiścią, którą trudno sobie wyobrazić. - I to ty ściągnąłeś tutaj morderców!

- Nie - zaprzeczył kapitan. - Z tamtą śmiercią nie miałem nic wspólnego.

A Hiszpanie przybyli tu przed nami, bo stary Palocsay ma za długi ozór.

Tak go rozpuścił, że pół Wenecji wiedziało, kim jesteśmy i dokąd się przebieramy. Ja ich poznałem dopiero tu, przypadkowo podsłuchawszy rozmowę po hiszpańsku prowadzoną. Poszedłem potem za jednym z nich i przyparłem go do muru, zdołał mnie jednak przekonać do współdziałania.

- Ale dlaczego, Roca, dlaczego to zrobiłeś? - Atoc złapał się za głowę.

- Jak mogłeś, człowieku?!

- Już sobie odpowiedziałeś: dwa lata wojowania, potem piętnaście nieustannej tułaczki, cały czas z mieczem nad głową. Zmęczyło mnie to, Atoc, śmiertelnie zmęczyło. Wracam do kraju.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni - łagodnie odezwał się Tata Untu. - I wszyscy tęsknimy za ojczyzną. Nie mogłeś wytrwać jeszcze kilka miesięcy?
- Szkoda na niego słów, Untu - powiedział Inca Huallpa, otwierając drugie oko. - To śmieć.
- Właśnie tym zawsze dla was byłem! - wybuchnął Roca Yupanqui. - Udawaliście przyjaźń, ale zawsze pamiętaliście, że wywodzę się z rodu Atahualpy! Dobrze o tym wiem.
- Bzdury! - zirytował się Atoc. - Byłeś jednym z nas! To ja wybrałem cię na swego zastępcę! I nic mnie nie obchodziło twoje pochodzenie!
- Wielmożny Huallpa ma słuszość: szkoda słów. - Waclawa zmęczyło już wgapienie się w otwory pistoletowych luf i postanowił przyspieszyć zakończenie. - Tęsknota za krajem - chętnie wierzę, wyobcowanie - raczej wytwór własnej imaginacji. Ale założmy, że to wszystko prawda. Tylko dalece niecała.
- Więc co jest prawdą? - Skrzywił się szyderczo Roca. - Oświeć mnie, mądralo.
- Sprzedałeś się, Roca. Zagrali ci na ambicji. Przez całe życie musiałeś ukrywać swe pochodzenie od królewskiego bastarda, a przecież czułeś się równy najlepszym. Ba, lepszy. Co ci obiecali, Roca? Panowanie nad swym ludem z hiszpańskiego nadania? Jesteś żalosny i naiwny, jeśli myślisz, że zamierzają dotrzymać słowa, nawet gdyby byli władni to uczynić...
- Zła krew - zaskrzeczał Inca Huallpa. - Zła krew...
- Dość! - warknął Roca Yupanqui blady z wściekłości. - Oczywiście, że jestem lepszy od każdego z was, a już zwłaszcza od niego. - Wskazał pistoletem Sebastiana. - To paradne, żeby jego wnuk miał większe prawa

do tronu naszych przodków ode mnie, potomka wielkiego Atahualpy!

Wszyscy pod ścianę! Łapy do góry, żebym je miał na oku.

Odrzucił jeden pistolet, pochwycił Annę za rękę i brutalnie przyciągnął do siebie, przystawiając jej lufę do skroni.

- Klucz ciągle tkwi z tamtej strony, jak mniemam? Zostaniecie w kaplicy i zachowacie spokój, my zaś wyjdziemy stąd z señoritą Rubinowską i niech nikt nie próbuje nas zatrzymać, bo dziewczyna zginie. A nie musi. Zabiorę chłopca i skarb i jeśli nie będziecie mnie ścigać, nikomu nic się nie stanie. W przeciwnym razie zabiję dziecko i dziewczynę.

Zrobił krok wstecz, pociągając za sobą Annę.

- Nie uda ci się - ostrzegł go Benesz, częściowo zasłonięty przez Atoca, opuściwszy lewą rękę. - Tanaka i pozostali mają rozkaz nie wypuścić cię stąd żywego. Poza tym panna Rubinowska ma wrodzoną skłonność do omdleń i zaraz upadnie. O, nie mówiłem...

Roca nie był w stanie jedną ręką utrzymać dziewczyny, gdy osunęła się na posadzkę. W tej chwili Waćław wystrzelił. Strzał był bardzo trudny - oddany przez kieszeń spodni, lewą ręką, w kiepskim świetle, lecz Benesz był dziwnie spokojny o rezultat. Niektórzy ludzie rodzą się do broni i Bela już w dzieciństwie wykrył ten dar u Waćława. Pistolet stanowił dla niego jakby naturalne przedłużenie ręki. Potrafił na dwadzieścia kroków przebić serce asa kier, i to nie strzelając od dłuższego czasu. Siermierzka była jednak większą sztuką, wymagającą stałego ćwiczenia.

Trafionego w środek piersi Rocę odrzuciło aż do wyjścia. Ani zipnął.

Waćław natychmiast skoczył i pomógł Annie pozbierać się z posadzki. Ze złością strzepnęła jego rękę ze swej kibici.

- Mam wrodzoną skłonność do omdleń, tak?

- Wiedziałem, że mądrej głowie dość dwie słowie. W życiu nie widziałem lepiej udanego omdlenia. Powinnaś grać w teatrze.
 - Króćca - powiedziała już mniej naburmuszonym tonem. Oddał jej broń i poskarżył się przy okazji:
 - Moje najlepsze spodnie. Całkiem do niczego.
 - Cóż, sam mówiłeś: szewc bez butów chodzi. Zaniepokojony wystrzałem Tanaka z dwoma innymi Indianami wpadli do kaplicy, po czym, na polecenie Atoca, wywlekli trupa na zewnątrz.
 - Żył jak zdrajca, szczeł jak zdrajca i będzie miał pogrzeb zdrajcy - mściwie stwierdził Apu Atoc.
 - A my nie dowiemy się, kim są jego wspólnicy - zauważyła Anna.
 - Ale przecież wiemy - odparł Waclaw. - To braciszek Jan i pan de Colignac.
 - Pan Karol? Waszmość chybaś się szaleju najadł! Nie chcę tego słuchać - obróciła się na pięcie i wybiegła z kaplicy.
 - Wiedziałem, że mi nie uwierzy - rzekł Benesz smutno do siebie. -Wciąż ma do niego słabość...
 - Ponieważ tam tkwi klucz do zagadki. Bo widzisz, waćpanna, o ile morderca mógł bez większego trudu wejść do kaplicy, to opuścić jej niepostrzeżenie nie miał prawa, a jednak mu się to udało. I właśnie to postaramy się wyjaśnić. W kuchni uwijało się kilka osób.
 - Która to Katarzyna?
- Odpowiedziała mu młoda, wysoka dziewczyna przy kości.
- Byłaś tu, gdy w kaplicy popełniono morderstwo? Trochę wystraszona, kiwnęła tylko głową.

- Nie bój się - uspokoiła ją Rubinowska - pan baron o nic cię nie obwinia.
- Przeciwnie, od ciebie być może zależy los Gezy - potwierdził Wacław - więc zastanów się dobrze. Czy od momentu, gdy ojciec Jan zszedł do piwnic, aż do chwili, gdy zobaczyliście go przy kotle, nic osobliwego się nie wydarzyło?

Czekali cierpliwie, żeby pytanie dotarło do dziewczyny, potem obserwowali, jak proces myślenia okrutnie marszczy jej czoło, a na koniec służka potrząsnęła głową i z oczu trysnęły jej łzy. Anna przytuliła rozpaczliwie szlochającą kuchnię, Wacław machnął ręką zniechęcony, gdy raptem inna służąca, drobna i brzydka, ale o inteligentnych oczach, pociągnęła go nieśmiało za rękaw.

- Może to nieważne, wielmożny panie, lecz kiedy Józef chciał zejść do piwnic po wino do bigosu, drzwi były zawarte...

Pyzaty kucharz skinął potwierdzająco.

- Kiedy to było? - spytał podekscytowany Benesz.
- Niedługo przedtem, nim na dziedzińcu rozległy się krzyki i my syćkie haw pobiegły...
- Ale nie oddaliliście się na tyle, by ktoś mógł się wśliznąć do kuchni niepostrzeżenie lub z niej wydostać? - upewnił się.
- Dyć by! - obruszył się kucharz. - Za drzwi my ino wyszły.
- Weź światło i prowadź do loszku - polecił mu Wacław. Przyłączyła się do nich Anna, ale nic ciekawego nie odkryli, na co zresztą Wacław wcale nie liczył. Wrócili do kuchni i Benesz uspokoił zaryczaną Kachnę:
- Nie płacz, Geza jest już prawie wolny. A zawdzięcza to jej. - Wyjął z kieszeni dukata i podał bystrej brzyduli, która aż pisnęła z radości.

- Co teraz? - spytała Anna, gdy wyszli na dziedziniec.

- Idziemy do kaplicy.

Po drodze natknęli się na Apu Atoca i zabrali go ze sobą. Wacław pchnął drzwi do kaplicy, lecz nie wszedł do środka.

- Spróbujemy teraz odtworzyć zbrodnię tak, jak to sobie imaginuję... A zatem kobiety z dzieckiem zjawiają się tu w samo południe i jak zwykle zastają drzwi otwarte, więc niczego nie podejrzewając, wchodzą do środka.

- A co miałyby podejrzewać? - Zmarszczyła brwi Anna.

- Istotnie nic, pod warunkiem że pater Jan przybyłby tu przed nimi, jak to zazwyczaj czynił, i otworzył kaplicę. Ale wiemy, że tego dnia rzekomo nie było go w kaplicy, bo leżał pijany w piwnicach za kuchnią.

Wzruszyła ramionami.

- Dla mnie jest to dowód na to, że nie on zabił panią Uminę, a waść podejrzewasz niewłaściwego człowieka.

- Zaraz się przekonamy.

Weszli do środka. Tym razem pomiędzy dwiema zwykłymi trumnami stała trzecia - wielka i srebrna, adaptowana ze skrzyni dawniej skrywającej skarb, a teraz zapewne ciało Uminy. Na straży zmarłych, jak nieruchome posągi, stali dwaj Indianie. Benesz poczekał, aż Atoc ich odprawi, po czym zwrócił się do Inki:

- Pamiętasz pan, co wskazywała nieszczęsna Inez, krzycząc: diabeł, diabeł?

- Ołtarz.

- Właśnie.

- Ale to bez sensu.

- Wcale nie.

Przecisnąwszy się z trudem między trumnami, Wacław podszedł do ołtarza, następnie odwrócił się do dziewczyny i Inki i rzekł:

- Gdzieś stąd wyszedł morderca, aby otworzyć od środka kaplicę, a potem schować się w zakrystii. Był zdecydowany na wszystko i podniecony, zatem mimo iż służka z dzieckiem opuściła kaplicę, zdecydował się zgładzić Uminę. Nie krzyknęła, bo jego widok wcale jej nie zaskoczył.

Dlatego od początku byłem pewny, że mordercą jest człowiek znany nam jako pater Jan. Po dokonaniu zbrodni zamknął kaplicę, aby zyskać czas na ucieczkę. To dlatego powracająca do swej pani Inez, ku zdziwieniu swemu i Tanaki, musiała otwierać kaplicę własnym kluczem. Na nieszczęście zrobiła to tak szybko, że zdążyła zobaczyć znikającego zbrodniarza. On zaś wiedział, że gdy dziewczyna ochłonie z emocji, pozna, iż widziała owszem diabła, ale w ludzkiej postaci. Zamknął jej więc usta na wieki.

- Ergo jeśli dobrze pojęłam - powiedziała oszołomiona Anna - pan mniemasz...

- ... Że między kaplicą a piwnicą jest sekretny przełaz. To jedyne wytłumaczenie. Pamięta pani, jak zgubiliśmy Baczyńskiego w piwnicach?

- Tak, ale...

- Obaj skorzystali z tej samej drogi. Łatwiej ją znaleźć od tej strony i znajdziemy ją, choćbyśmy mieli tu siedzieć do jutra.

Zapalili wszystkie świece, po czym Benesz zabrał się do opukiwania ścian przy ołtarzu kolbą swego pistoletu. Po chwili wahania Atoc przyłączył się do niego. Kiedy ich robota nie przynosiła żadnego skutku, Wacław cofnął się i namyślał, obserwując ołtarz.

- W murze nie ma nic, za ołtarz wcisnąć się nie sposób, ergo został nam

sam ołtarz. Panie Atoc - rzucił energicznie - pomóż mi zdjąć z mensy 1 lichtarze i obrus.

Odsłonił kamienny cokół.

- To po prostu wielki kamienny cios - stwierdził rozczarowany Inka.

- Światła! - zażądał Wacław i Anna natychmiast przysunęła się z lichtarzem w dłoni, oświetlając cały front cokołu.

Ze zmarszczonymi brwiami Benesz wpatrywał się w antependium² w postaci drewnianej płyty, bogato i głęboko płaskorzeźbionej. Centralnym elementem dekoracji był symbol eucharystii - kielich mszalny z zawieszoną nad nim hostią, od której odchodziły promienie. Delikatnie wodził palcem po wgłębieniach, jednak bez żadnego efektu. Atoc podał mu sztylet, ale Benesz potrząsnął głową. Ujął w palce hostię, mocno wypukłą i bardzo przypominającą gałkę. Nacisnął ją. Nic. Pociągnął ku sobie. Nic. Obrócił w prawo. Ani drgnęła. Przekręcił w lewo i ledwo udało im się odskoczyć, gdy antependium runęło na nich. Jednak nie upadło z hukiem. Ciężka płyta zawisała na skórzanych pasach, utrzymując się tuż nad posadzką i odsłaniając mroczny otwór, z którego zalatywało lekko piwnicznym zapaszkiem. Konstrukcja przemyślnej klapy była bardzo prosta. Antependium w pozycji pionowej utrzymywały na dole dwa zawiasy, na górze zaś żelazny paluch-zaczep, przymocowany do gałki-hostii i przez nią uruchamiany.

Mensa - kamienny blat stołu ofiarnego z relikwiami. Antependium - ozdobna osłona frontowej strony stołu ofiarnego.

- Voild!1 - zawołał tryumfalnie i zrobił ręką zachęcający gest. Apu Atoc wziął świecznik i trzymając go przed sobą, wetknął głowę w otwór.

- Widzę żelazne stopnie w murze, ale nie wiem, dokąd wiodą.
- Schodzimy - zdecydował Waclaw.
- Poczekajcie na mnie! - zawołała Anna.

Pod kaplicą znajdowała się pusta przestrzeń, przepastna niczym studnia. Patrząc od zewnątrz z poziomu dziedzińca, miało się wrażenie, że kaplica stoi po prostu na wysokiej, sięgającej ganku podmurówce. Tymczasem stalowe klamry wiodły znacznie niżej. Na pewno znajdowali się już pod poziomem dziedzińca. Stanęli wreszcie na nierównym gruncie. Wtem równocześnie rozległ się krzyk Anny i na głowę Waclawa najpierw spadł lichterz, a zaraz potem dziewczyna. Na szczęście świecznik Inki wciąż się palił, więc Waclaw zdążył wyciągnąć ręce i pochwycić dziewczynę, lecz jej nie utrzymał i przewrócili się oboje.

- Zdaje się, że pani polubiłaś takie spadanie, a i ja nie mam nic przeciwko temu. No i czy nie pasujemy do siebie jak dwie połowy tej samej monety?
- wymamrotał Waclaw, który choć upadł na plecy i trochę się poturbował, nie wypuścił Anny z objęć. - Powiedz sam, panie Atoc...

Inka nie odparł nic, tylko jego białe zęby zaśniły w śniadej twarzy.

- Wstydu pan za grosz nie masz. - Rubinowska, cała w pąsach, porwała się na równe nogi.

Benesz zbierał się dłużej. Wstając, podparł się na ręce, ale ta zapadła mu się po łokieć. Atoc poświecił pod nogi i zobaczyli, że stoją na potężnych balach, którymi wyłożono dno lochu. Tu i ówdzie zmurszałe, ugiwały się pod stopami, na ogół wszak wyglądały solidnie.

- Spójrzcie tam! - rzekł Inka, podnosząc lichterz nad głowę.

Sklepienie nad nimi zbiegało się beczkowato, natomiast w południowym murze zachował się obrys jakby potężnej bramy w kamiennym

obramowaniu, dopiero później zamkniętej ścianą z cegieł.

Voild! (fr.) - oto jest.

- Chyba wiem, gdzie jesteśmy - powiedział Waclaw. - Tu w czasach moich przodków musiała być brama wjazdowa. A to, na czym stoimy, to dawny podjazd. Palocsayowie wybudowali nad bramą kaplicę, a poziom dziedzińca dolnego zamku znacznie podnieśli. Licho wie, po co zostawili to przejście.

- Z czasem zapomniano o nim - wtrąciła Anna. - A plany żadne się nie uchowały.

- Zbójnicy, myszkując po zamku, odkryli ten loch, a od nich w jakiś sposób musieli się dowiedzieć inkwizytorzy - zgadywał Benesz.

- Czujesz pan? - odezwał się Atoc. - Świeże powietrze! Ciekawe, skąd się tu bierze?

Brało się ze szczeliny między ceglanym murem w dawnej bramie a ogromnym odłamem skalnym wpasowanym w tenże mur. Waclaw naparł na głaz, który lekko drgnął.

- Wystarczy mocno pchnąć, aby znaleźć się poza zamkiem

- oznajmił.

- I równie łatwo wejść do środka - zauważył Atoc.

- Z tamtej strony nic nie widać - stwierdziła Anna. - Tyle razy patrzyłam w to miejsce i nic nie zauważyłam. Zresztą ten głaz wygląda jak wmurowany.

- Podobnie było z przełazem na górny zamek - odparł Benesz.

- Zarośla podchodzą pod sam mur. Sprytnie pomyślane.

Poszli na prawo, kierując się skosem w stronę nowej bramy wjazdowej, a przynajmniej tak im się zdawało, gdyż w podziemiach łatwo stracić

orientację. Szeroki i wysoki dotąd korytarz zaczął się zwązać i podnosić, tak że wkrótce przyszło im iść na czworakach.

- Rety! - westchnęła Anna. - Całkiem podarłam suknię. Jedna dziura.

Bramę wyjazdową i pierwotny podjazd odkryto dopiero podczas najnowszych prac archeologicznych.

- Że ja w takiej chwili nic nie widzę - pożalił się pełznący za nią Wacław.

- Lubieżnik! - zachnęła się zgorszona.

- Koniec drogi - obwieścił Apu Atoc, zatrzymując się. - Przede mną jest coś, co wygląda na dno wielkiej beczki.

- Beczki? Zatem jesteśmy w domu - ucieszył się Benesz. - Pchnij je pan.

- Nie idzie - rzekł Atoc po chwili. - Cofnijcie się, spróbuję pociągnąć do siebie. Poszło! Jestem w środku beczki - jego głos zadudnił głucho.

Po chwili wszyscy znaleźli się w piwnicach, w których ongi ścigali Baczyńskiego. Teraz stało się jasne, w jaki sposób zbójnik zdołał zbiec. A także jak zamordowano Uminę.

- Morderca grubo wcześniej przyszedł do kuchni, aby sobie zapewnić alibi. Bywał tu często, więc nikogo to nie zdziwiło. Wszystko zostało uprzednio dokładnie obmyślane, łącznie z kradzieżą sztyletu, który na pewno zginął Gezie właśnie w kuchni. Potem zamknął się w piwnicy, zostawiając klucz w zamku, przemknął do kaplicy, popełnił mord i wrócił tą samą drogą - wyjaśnił Wacław szeptem, aby nie usłyszała go służba kuchenna za sąsiednimi drzwiami. Nie chciał bowiem wywoływać sensacji ani uprzedzać nikogo o swoim odkryciu.

- Gdyby coya Umina go nie zraniła, nigdy byśmy na to nie wpadli

- dodał Atoc.

- Tedy zabił także służkę pani Uminy, tę miłą Inez... - Anna była wyraźnie

poruszona, ale już przekonana.

- Obie udusił. A wcześniej Staszka, upozorowawszy samobójstwo. Widać wścibski chłopak, podobnie jak potem Roca Yupanqui, przypadkiem podsłuchał lub podglądał ludzi inkwizycji. Tylko że on nie był im do niczego potrzebny, więc zamknęli mu usta od razu.

- A kto zabił małego dzikusa? Waclaw zawahał się.

- Mam przekonanie, że to robota Colignaca. Strzela wybornie, ponoć nawet z kija by potrafił, pamięta pani? Poza tym obaj z jezuitą zniknęli w tym samym czasie. Myślę, że zbiegli do bandy Łazarczyka, z którym współpracowali już wcześniej. To od niego mogli się dowiedzieć o podziemnym przejściu.

- Ale pewności pan nie masz? - dociekała.

- Jeśli idzie o Gaskończyka? Nie - odparł niechętnie.

- Wszystko jedno - powiedział Apu Atoc z zawziętością w głosie.

- I tak przed sądem ich stawiać nie będziemy, jak już wpadną w nasze ręce.

- Nie chcę tego słuchać - powiedziała, odpalając swój świecznik od dogasających świec Atoca. - Andrzej chciałby jechać do Jungenfelda, do Łapsz, i czeka tylko na Gezę. Chyba mogę go już uwolnić?

- Oczywiście - skwapliwie zapewnił ją Benesz. - A przy okazji, może ucieszy panią, że od nowego miesiąca zmniejszam zelarzom pańszczyznę.

- Cieszy mnie głównie ze względu na waćpana. To mądre postanowienie - odparła i zawróciła do kaplicy.

Zamknęli za sobą zejście do podziemi i przywrócili ołtarzowi pierwotny wygląd, po czym spróbowali to samo zrobić ze sobą, ale raczej z miernym skutkiem. Zwłaszcza Anna wyglądała jak żebraczka, z tych bardziej

obszarpanych. Zastłaniając dziewczynę przed okiem ciekawskich, przemycili ją do komnat zajmowanych przez Inków. Gdy się myła i przebierała w szaty Uminy, Atoc zapytał:

- A stary jezuita, co o nim sądzisz, señor?
- Nie wygląda na zbrodniarza - odrzekł Benesz. - Ale trudno uwierzyć, by przebywając razem z mordercą, nic o jego sprawkach nie wiedział. Lecz wykluczyć tego też nie można. Na razie jednak nic na niego nie mamy.
- Poczekamy - z zawziętą miną powiedział Atoc. - Pan faktycznie mniemasz, że tamci dwaj przystali do jakiejś bandy?
- To bardzo prawdopodobne. Samym ciężko by im było ukrywać się w obcych stronach.
- Tak czy owak, przyjdą tu.
- Być może.
- Na pewno. Nie wiem tylko kiedy, ale wiem którądy.
- Sekretnym przejściem?
- Właśnie.

Pułapka

Uminę i jej sługi pochowano dopiero pięć dni później. Chociaż Wacław nalegał na jak najszybszy pogrzeb, Inca Huallpa osobiście wyznaczył termin, dokonawszy uprzednio skomplikowanych obliczeń astronomicznych za pomocą owego słupa ustawionego na dziedzińcu, i żadne nalegania nie były w stanie odmienić jego postanowienia.

Tymczasem w dniu pogrzebu dramatycznie załamała się pogoda. Od rana zaczął sypać gęsty i mokry śnieg, potem zerwał się wiatr, a następnie nastąpiła taka śnieżna zawierucha, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętali.

Wichura wciskała się we wszystkie szpary, wyjąc potępieńczo, a śnieg błyskawicznie pokrywał twarze, zatykając oddech. Prastarego Inki jednak to nie obchodziło, ponieważ nie uczestniczył w pogrzebie. Za to udobruchany ksiądz Lorencs był w swoim żywiole. Kaplica odzyskała swój chrześcijański wygląd, a niedzicki proboszcz doprowadził żałobników do łez, tak wzruszająco mówił o zmarłych, którzy przebyli lądy i morza w poszukiwaniu upragnionego spokoju, a znaleźli gwałtowną śmierć. Rzucając gromy na bezlitosnych zabójców, zapewnił zgromadzonych, że mordercy nie ujdą sprawiedliwości, jeśli nie ziemskiej, to na pewno niebieskiej.

W tym momencie Waclaw uśmiechnął się tak zimno, jak tylko on potrafił. Pomsta i słuszna kara dla zbrodniarzy nie była sprawą, którą miałby sumienie obarczać zapracowanego Pana Boga.

Po mszy przeniesiono ciała do krypty pod starą kaplicą na górnym zamku. Oczy wszystkich zgromadzonych, państwa na równi z hajdukami i czeladzią, przyciągała trumna Uminy, ta sama przepastna srebrna skrzynia, która wcześniej mieściła inkaskie skarby. Kiedy jeden z dźwigających ją Indian potknął się i trumna przechyliła się niebezpiecznie, znajdujący się tuż obok Waclaw podskoczył, by ją podeprzeć. Ledwo jednak zdążył się podsadzić, wojownik, odzyskawszy równowagę, odepchnął go mało uprzejmie. Lecz nawet tak krótki kontakt z trumną wystarczył Beneszowi, by zorientować się, że jej ciężar był o wiele za duży jak na same zwłoki. Kiedy ciała spuszczano do krypty, szepnął do Atoca:

- Co jest w trumnie?

Inka rozejrzał się, czy nikt nie może ich słyszeć.

- Naszych władców na ostatnią drogę wyposażamy po królewsku. Zatem Wacław dobrze się domyślił - Uminę chowano razem ze skarbem! Atoc patrzył na niego i uśmiechał się leciutko.

- Nie trap się pan, na bieżące wydatki zostało wystarczająco.

- Nie o to się martwię. Nie lękacie się, że Hiszpanie też znają ten zwyczaj?

- Liczę na to - odparł Inka marzycielsko. - Przyjdą tu jak muchy do miodu. Ta krypta stanie się ich grobowcem.

Ksiądz Lorencs nie chciał zostać na stypie, wymawiając się późną porą. Z powodu kurzawy hrabia przydzielił mu dwóch hajduków, którzy dostali trudne zadanie bezpiecznego dostarczenia proboszcza do Niedzicy.

Wacław odprowadził księdza do bramy. Żegnając się, ojciec Michał szepnął Beneszowi na ucho:

- Odwiedził mnie obywatel Wegetynowski. Zaczęło się. Pora zbierać ludzi i czekać rozkazów. - Z fałdów sutanny wyjął złożony na czworo papier i dyskretnie wetknął go w rękę Wacława. - Chyba się przyda.

Wacław wsunął instrukcję za podszewkę kurtki, gdzie spoczywał już akt własności Dunajca.

W stypie oprócz Inków, Sebastiana i Benesza uczestniczył hrabia, stary jezuita, ostatni, jaki pozostał, ojciec Franciszek, przygnębiony zniknięciem konfratra i utrzymujący, że nic nie wiedział o jego tajnych sprawkach, oraz Anna, która próbowała się wymówić, ale Atoc zatrzymał ją niemal przemocą, twierdząc, iż zmarli nie wybaczyliby jej takiego braku szacunku. Dlatego w izbie czeladnej zgromadzono i ugoszczono całą służbę i wszystkich hajduków, a straż przy bramie przejęli Indianie. W połowie biesiady niespodziewanie zjawił się Jungenfeld, przepraszając, że

z powodu zawieruchy spóźnił się na pogrzeb. Był bardzo zdziwiony, gdy zapytano go o Francuza i jezuitę. Nie dotarli do niego, a o śmierci Uminy dowiedział się pocztą pantoflową. Ta sensacyjna i dla niektórych zaskakująca wiadomość spowodowała falę komentarzy i spekulacji, którą przerwało dopiero wzniesienie przez Atoca toastu za dusze zmarłych, od którego nikt nie mógł się wymigać, mimo iż płyn w kielichach wyglądał osobliwie, była to bowiem jakaś mikstura inkaska, specjalnie przyrządzona na tę okazję. Smakowała bardzo dobrze, ale kwadrans po jej wypiciu Wacław nie był już niczego pewny, a zwłaszcza tego, czy posłyszana rozmowa przypadkiem mu się nie przyśniła.

- Już? - spytał Inca Huallpa.
- Tak - odparł Apu Atoc. - Wszyscy śpią.
- Na pewno?
- Na pewno - głos należał do Sebastiana. - Po powrocie odstawimy ich na kwatery. Obudzą się jutro i nic nie będą pamiętać ani podejrzewać.
- Dobrze. A co z tamtą sprawą? Miejsce wybrane?
- Wszystko gotowe - tym razem odpowiedział Atoc. - Zaraz wyruszamy.
- Bądźcie czujni.
- Nie ma obawy. Śnieżyca, że choć oko wykol. Nikt nas nie wypatrzy, a śnieg zasypie ślady. Mogą szukać całe wieki, a i tak niczego nie znajdą. Doskonały dzień wybrałeś, dostojny.
- Idźcie już i niech Inti ma was w swojej opiece.

To był ostatni atak zimy. Nazajutrz nadeszła wiosna. Najpierw puścił lód na Dunajcu, potem pojawiły się bazy w nadrzecznych łęgach, wreszcie pola i lasy pokryła świeża zieleń.

Wielkanoc tego roku nie zapisała się w pamięci mieszkańców zamku jako

święto szczególnie radosne. Mimo obietnicy nie pojawił się hrabia Andrzej, który zawsze wprowadzał spore poruszenie i wesoły rozgardiasz. Wedle Anny czuł się winny, że znajomi, których zarekomendował Sebastianowi, stali się sprawcami strasznej zbrodni, ale Wacław przypuszczał, że było raczej odwrotnie - hrabia poczuł się urażony, że o zbrodnię obwinia się jego przyjaciół, w których winę nie chciał uwierzyć. Zamek przypominał oblężoną twierdzę. Inkaskie straże dzień i noc patrolowały wszystkie jego części. Opuszczano go z rzadka i zawsze zbrojnie. O bandzie Łazarczyka zagaśniał wszelki słuch, ale wedle Apu Atoca była to tylko cisza przed burzą. Niezłomnie wierzył, że sprzymierzeni z bandytami inkwizytorzy szykują się do napaści na zamek i chcą uśpić czujność obrońców. Inka przygotował na nich pułapkę i czekał cierpliwie jak pająk w sieci.

Atmosfera napięcia nie wytrzymała Rubinowska. Mimo przestróg zdecydowała się wrócić do ekonomówki i zająć zwykłymi sprawami gospodarskimi. Do lata chciała uporządkować całą dokumentację i dopracować plan rozwoju folwarku. Nic nie dawała po sobie poznać, ale przygnębił ją zarówno upadek planów (osamotniony pater Franciszek snuł się po zamku osowiały i przygnębiony) przekształcenia Czerwonego Klasztoru w kolegium dla chłopców z niższych sfer, jak i rozwiązanie „bractwa złamanego pióra”. Nie zadowalała jej nudna praca administracyjna, brakowało jej emocji i czuła się niepotrzebna. Propozycję udziału w nowej konspiracji przyjęła jak wybawienie.

Wacław nie brał aktywnego udziału w działaniach Atoca. Jako jedyny sporo czasu spędzał poza zamkiem. Przy pomocy Śpiewaka udało mu się stworzyć prawie dwudziestoosobową grupę spiskowców, których

zorganizował zgodnie z otrzymaną instrukcją, a zupełnie inaczej, niż było zorganizowane „bractwo złamanego pióra”. Tamci znali się wszyscy i zbierali razem, zresztą o to chodziło Schwarzfuchsowi - żeby zgarnąć wszystkich za jednym zamachem. Teraz obowiązywał system trójkowy - każdy spiskowiec znał tylko trzech innych, których wprowadzał do sprzysiężenia. W razie wpadki pozostali mieli czas zatrzeć za sobą ślady¹. Na czele piramidy stali ksiądz Michał, Rubinowska i Śpiewak. Ze względu na dziewczynę Benesz nigdy nie przewodniczył spotkaniom tej trójki, rolę jego zastępcy pełnił proboszcz, który raz w tygodniu zdawał raport Wacławowi, a ten z kolei przygotowywał sprawozdanie dla Wegetynowskiego. Początkowo Wacław w ogóle nie chciał wciągać Anny do konspiracji, ale w końcu uznał, że nigdy by mu tego nie wybaczyła. Zresztą aktywność spiskowców została ograniczona do zbierania broni i użytecznych informacji. Mimo to i mimo iż sam pozostawał w cieniu, zapewne nie bez udziału Śpiewaka nowy pułkownik Brzozowicz zyskał sobie wielki mir u podkomendnych. Wprost rwali się do boju, a o swoim dowódcy mimo zakazów rozpowiadali na prawo i lewo niesamowite historie. Wkrótce cała okolica wiedziała już o przybyciu większego od Janosika bohatera, który wnet poprowadzi ludzi do wielkiego powstania. Śpiewak zarzekał się, że nie ujawnił Rubinowskiej, kto jest nowym Brzozowiczem, mimo to dziewczyna coś podejrzewała i boczyła się na Wacława.

W tej sprawie zajrzał do zamku kapitan Kaunitz poskarżyć się, że pojawienie się tajemniczego przywódcy powstańczego wstrzymało jego prawie już pewny awans. Teraz zacny kapitan mógł zapomnieć o pułkownikowskich szlifach, dopóki nie schwyta podżegacza i innych

buntowników. Tymczasem Kaunitz, tradycyjnie, nie miał żadnego pomysłu, jak zabrać się do tej roboty. Wacław bardzo solennie zapewnił go o swym poparciu i obiecał informować o wszelkich podejrzanych sprawach, uśmiechając się w duchu, bo gdy kapitan siadał za stołem, Benesz akurat chował do szuflady plany rozpoczęcia Ten rodzaj konspiracji, jako tzw. system komórkowy, z dobrym skutkiem 200 lat później stosował wywiad sowiecki.

insurekcji od napadu na koszary dragonów w Lubowli, gdzie powstańcy chcieli zaopatrzyć się w broń i amunicję. Miał jednak czyste sumienie wobec kapitana, którego zdążył nawet polubić - atak miał się odbyć po wywabieniu Kaunitza z koszar pod byle pretekstem, zresztą powstańcy byli na razie zbyt słabi, aby porywać się na kompanię wojska choćby nawet dowodzoną przez tak nieudolnego oficera jak Kaunitz. Zresztą grono spiskowców wcale się nie powiększało. Ludzi ogarniało podniecenie na wieść o spodziewanym powstaniu, ale tylko nieliczni gotowi byli ryzykować własną skórą. Wacław liczył, że to się zmieni po pierwszym sukcesie, dlatego planował wszystko bardzo starannie. Nikogo w swoje plany nie wtajemniczał z wyjątkiem zaufanej trójki, a i tych tylko częściowo. Stary Berzeviczy nie podejrzewał Wacława o spiskową grę, a jeśli nawet, nie dawał tego po sobie poznać.

Siedziała właśnie przy biurku, przeglądając papiery i dokonując skomplikowanych obliczeń, gdy poczuła lekki przeciąg.

- Dziękuję, Hanko - rzuciła za siebie, nie odwracając głowy. - Postaw kawę na stole.

- Kawa o tej porze to doprawdy wyborny pomysł. Wszędzie poznałaby ten swobodny, lekko ironiczny ton.

- Pan tutaj? - odezwała się zaskoczona. - Przecież pana ściągną...

- Nikt mi nie przeszkodzi być tam, gdzie być mam ochotę.

Kawaler de Colignac, wymuskany jak zawsze, choć jego elegancja wyglądała nieco nieświeżo, jakby ostatnio przebywał w miejscu, gdzie utrzymać ją było niełatwo, bez skrupowania przysunął sobie krzesło i zajął miejsce naprzeciw dziewczyny, wydając polecenie Hance, która właśnie pojawiła się w drzwiach z parującą filiżanką:

- Dla mnie to samo.

Stara służąca stała w progu osłupiała, wpatrując się w gościa z opadłą ze zdziwienia szczęką.

- Wszystko w porządku, Hanco - uspokoiła ją Anna, odbierając kawę. - Nie musisz się fatygować, pan de Colignac nie zabawi u nas aż tak długo.

- Nie jesteś zbyt uprzejma, madame - zauważył Gaskończyk po wyjściu służącej.

- Nigdy nie byłam uprzejma dla morderców - odpaliła. Na przystojnej twarzy Francuza nie drgnął żaden mięsień.

- Słyszałem, o co się mnie oskarża. - Lekceważąco strzepnął palcami. - To wierutne bzdury.

- Ale wina ojca Jana została udowodniona ponad wszelką wątpliwość, a tyś mu towarzyszył w ucieczce.

- A jeżeli powiem, że tuż przed Łapszami ogłuszył mnie i zniknął, a ja musiałem się odtąd ukrywać jako jego rzekomy wspólnik, to mi uwierzysz?

Ciemne oczy patrzyły tak niewinnie, że Anna zaczęła się wahać, zresztą wcale nie była pewna winy Francuza.

- Nawet jeśli ja ci uwierzę, monsieur, innych trudno będzie przekonać.

Baron de Ber...

- Nie dbam o innych - przerwał jej. - Dla mnie liczysz się tylko ty.

Spojrzał jej w oczy tak paląco, że aż poczuła ciepło na sercu.

- Przybyłem tu, ryzykując pojmanie - ciągnął - musiałem się bowiem z tobą rozmówić.

Opadł przed nią na kolana.

- Kocham cię, Anno! - Porwał jej rękę i przycisnął do ust. - Dawno bym ci to wyznał, lecz nie mogę folgować prywatnie, mam tu bowiem misję do spełnienia, o której nie wolno mi nic mówić, dopóki...

- Boże, nie chcesz chyba powiedzieć, że to pan jesteś pułkownik Brzozowicz? - Wyrwała mu rękę i przytknęła do ust, zaskoczona swoim odkryciem.

Nie zauważyła zmarszczki zdziwienia, która przemknęła przez czoło Gaskończyka i zaraz znikła, był on bowiem zbyt wytrawnym graczem, by w lot nie uchwycić nadarzającej się okazji. I on znał imię wodza spiskowców, kto zresztą w okolicy o nim nie słyszał? Wstał.

- Sza! - przytknął palec do ust, delikatnie przyciągając dziewczynę do siebie. - Jak tylko to wszystko się skończy, zabiorę cię stąd.

- Pocałował ją. - Powiedz, pojedziesz ze mną?

Całował ją coraz namiętniej. Początkowo poddawała mu się, ale potem wyczuł opór, a wreszcie go odepchnęła.

- Nie mogę - odparła ze smutkiem, po części prawdziwym, jaki ogarnia każdego, gdy przychodzi żegnać starych przyjaciół. - Wiem, jaki zaszczyt czyni biednej dziewczynie taki bohater jak ty, monsieur, ale... Gdyby to zdarzyło się cztery albo choć trzy miesiące temu...

- Kłamała nie gorzej od niego: na samą myśl, że mogła kiedyś poważnie

myśleć o związaniu się z tym człowiekiem, teraz przechodził j zimny dreszcz.

- Więc to prawda - stwierdził ponuro.

- Co?

- Że ty i młody Berzeviczy... Nic nie odpowiedziała.

- Pytam po raz ostatni, pojedziesz ze mną?

Odważnie spojrzała mu w czarne jak węgiel oczy i pokręciła odmownie głową.

- To twoje ostatnie słowo? - upewnił się.

- Tak.

- A zatem tylko do siebie możesz kierować pretensje o to, co się stanie. -

Wziął z krzesła kapelusz i nałożył go zamaszystym gestem. -Adieu, madame.

Zniknął jak duch, tak samo jak się pojawił, a ona jeszcze długo stała, wpatrując się w drzwi. Ostatnie ciepłe uczucia do Francuza zniknęły bez śladu. Owszem, w pierwszym odruchu wzięła go za nowe wcielenie Brzozowicza (a swoją drogą nie pojmowała, dlaczego po raz drugi użyto znanego już powszechnie i skompromitowanego pseudonimu, jakby brakowało innych), ale po chwili przyszło opamiętanie - przecież doskonale wiedziała, że nie mógł nim być. On zaś bezwstydnie próbował ją wykorzystać, podszywając się pod przywódcę spiskowców. Był nie tylko kłamcą, ale i zabójcą na usługach hiszpańskiej inkwizycji, jeśli Benesz miał rację. Ale on rzadko się mylił, co bywało irytujące. A jednak na wspomnienie Wacława uśmiechnęła się ciepło. Być może było coś w tej jego teorii połówek... Gdybyż tylko miał do niej więcej zaufania...

Wacław wybierał się w odwiedziny do Anny i od śmiertelnego starcia z Colignakiem uratował go handlujący smarowidłem do wozów maziarz, powożący dwukólką zaprzężoną w siwka, wyglądającego na zwierzę zaskakująco szlachetne i śmigłe jak na własność zwykłego wiejskiego przedsiębiorcy. Handlarz zaczepił go u stóp podjazdu, gdy Benesz właśnie kierował się do dworu.

- Dzień dobry wielmożnemu panu - zagadnął. - Ja do waszej miłości.
- Czy my się znamy? - spytał Wacław, z ciekawością przyglądając się pobrudzonej dziegciem twarzy i tak ledwo widocznej spod gęstego zarostu.

Handlarz rozejrzał się czujnie dookoła, po czym odparł już zupełnie innym tonem:

- Od ładnych paru lat. Wegetynowski jestem, dla przyjaciół po staremu Staszek.
- Staszek Sołtyk!
- Ciszej! Gdzie możemy spokojnie porozmawiać?
- Na zamku.
- A tu nie? - Przybysz wskazał ławkę pod dębem Palocsayów. - Naprawdę mi spieszno.
- Można, jeśli chcesz, by wszyscy zaraz wypowiedzieli, że właściciel zamku i domokrażca mają ze sobą do pomówienia.
- Racja. W takim razie do rzeczy. Powstania nie będzie. Ludzi należy rozpuścić, broń pochować, papiery popalić, żeby żaden ślad spisku nie został. Resztę znajdziesz w rozkazie, który zniszczysz natychmiast po przeczytaniu. - Ukradkiem wsunął Wacławowi papier do kieszeni.

Minęła dobra chwila, zanim do Benesza dotarł sens tej wypowiedzi. Teraz, gdy zaangażował się w sprawę, było to dla niego wielkim ciosem.

Większym, niż do niedawna mógł przypuszczać.

- Dlaczego?

Rozczarowanie w jego głosie sprawiło, że agent spoglądał nań ze współczuciem.

- Wiem, co czujesz, ale nie z naszej winy tak się stało. Jenerał Bonaparte nas zawiódł. Przed tygodniem podpisał z Austriakami w Leoben rozejm wstrzymujący wszelkie działania wojenne¹. Polskie legiony we Włoszech nie przyjdą nam w sukurs, a na samotną walkę jesteśmy za słabi. Rację miał Naczelnik Kościuszko, gdyśmy go w Anglii tuż przed wyjazdem do Ameryki pytali, co czynić wypada.

- Co wam odrzekł? - spytał Wacław odruchowo, nie czując prawdziwej ciekawości.

- Żebyśmy nie ufali Bonapartemu, który tylko interes Francji ma na względzie. Żebyśmy liczyli wyłącznie na siebie. W tej chwili jest to jednak niemożliwe i znów trzeba czekać na lepszą koniunkturę. A dziś musimy czym prędzej pozacierać ślady sprzysiężenia, bo Austriacy, mając spokój od południa, zaczną nas tropić z całą zaciekłością. Należy się liczyć z rychłymi aresztowaniami².

Sięgnął do wozu i wydobył baryłkę mazidła, którą wręczył Beneszowi.

- Masz, targowałeś się wystarczająco długo. Ja muszę jechać dalej. Wielu ludzi trzeba ostrzec i powstrzymać od pochopnych poczynań.

Podpisany 18 IV 1797 r. rozejm został następnie potwierdzony traktatem w Campo Formio 17 X 1797 r.

W maju 1797 r. aresztowano przywódcę Centralizacji - Waleriana

Dzieduszyckiego; dzięki mądrej i odważnej obronie podczas procesu został skazany jedynie na 2 lata więzienia w Ołomuńcu; Centralizację wykryli i rozbili jednak nie Austriacy, ale Rosjanie, którzy schwytyanych spiskowców wywozili na Sybir.

Bywaj zdrów. Da Bóg, spotkamy się jeszcze. Bo ufam, że wkrótce jednak przyjdzie do walki.

- Beze mnie - wyszeptał Wacław, śledząc wzrokiem oddalającą się szybko sylwetkę niezmordowanego emisariusza. Stał z baryłką mazi w rękach i smutkiem w sercu, po czym wrócił do zamku po Kuma. Porzucił bowiem plan odwiedzin u Anny. Przepęniała go gorycz, którą postanowił zagłuszyć samotnymi ćwiczeniami na polanie. Ale i to nie było mu dane owego pechowego dnia. Ledwo rozpoczął wyimaginowaną walkę z cieniem, a raczej pniem sosny, mocno już pokiereszowanym, gdy za plecami posłyszał znajomy głos:

- Bravo, bravissimo. Nie chciałbym potykać się z waścią na udeptanej ziemi.

Wacław błyskawicznie sięgnął po pistolet.

- Spokojnie - rzekł Baczyński, wychodząc zza potężnego buka. - Gdybym żywił wobec waszmości wrogie zamiary, już dawno byś nie żył.

Skinął ręką i na polanę wyszli jego ludzie, ci sami, których Wacław spotkał w karczmie. Zaszli go ze wszystkich stron, ale Benesz nie przestraszył się. Poprzednio uratowali mu życie, po co teraz mieli je odbierać? Opuścił uzbrojoną dłoń.

- Czego chcesz? - spytał Baczyńskiego.

- Jak zawsze nieuprzejmy - zganił go zbójnicki hetman, zbliżając się swobodnym krokiem. - Po prawdzie nie oczekiwałem gorących

podziękowań za zratowanie żywota, ale odrobina grzeczności jako temu, który zawsze był ci życzliwy, chyba mi przysługuje?

- Mów pan, o co idzie, i rozstańmy się na dobre.
- Na początek masz pan, czytaj.

Podsunał Waławowi pod nos kartę z wydrukowanym wielkimi literami apelem: „Kto kocha Ojczyznę, niech idzie na Wołoszczyznę!” i imponującym podpisem: „Krzemieński, generał wojsk polskich i litewskich”.

- Co to jest?
- Odezwa Deniski. Awansował się, cały Joachim.

Benesz złożył papier i oddał harnasiowi.

- To już nieaktualne. Powiem wści w zaufaniu, że powstania nie będzie. Francuzi podpisali rozejm z Austriakami.

- Słyszałem. Jednak wiem też, że Denisko się na to nie godzi. Na wszystkie strony śle powiadomienia i zbiera wolontariuszy, skąd się da. Ponoć każe szyć mundury, granatowe z czerwonymi koletami, i przypinać do kapeluszy trójkolorowe kokardy. W takiej ozdobie byłoby mi do twarzy, nie uważasz pan? - Zdjął z głowy sfatygowany kapelusz i przypatrzył mu się krytycznie.

Od poprzedniego spotkania wygląd bandytów uległ wyraźnej zmianie.

Byli zarośnięci i obszarpani, najwidoczniej nie powodziło im się najlepiej.

- Cóż to, nagle nabrałeś wasze ochoty na strojenie się w patriotyczne piórka? - spytał Waław szyderczo.

Bandyta z powrotem nasadził kapelusz.

- Waść mnie patriotyzmu uczyć nie potrzebujesz - odparł gniewnie - boś mleko matki ssał, gdy ja już za ojczyznę wojowałem.

- Dobrze - odparł Waclaw ze znużeniem. - Skończmy z tym. Dostaniesz list instancjonalny do Deniski, choć, Bóg to wie, lubimy się z Deniską jak pies z kotem, więc nic ci z mojej protekcji.

Baczyński pokręcił głową.

- Nie potrzebuję protekcji. Denisko bierze do wojska każdego, ergo i nas powita z otwartymi ramionami.

- O cóż więc ci idzie? - Tym razem Waclaw był naprawdę zdziwiony.

- Przyszliśmy cię ostrzec. Łazarczyk i ci, co do niego dołączyli, na dniach napadną na zamek. To pewna wieść. Bądźcie gotowi. Pod dolnym zamkiem jest sekretne przejście do piwnic. Pewnie przyjdą stamtąd.

Waclaw popatrzył zbójnikowi uważnie w oczy i nie dostrzegł w nich fałszu.

- Dlaczego pan mi to mówisz, mości Baczyński? Harnaś uśmiechnął się krzywo.

- Powiedzmy, że chcę się zemścić na Łazarczyku, któremu zawdzięczam swoje obecne mizerne położenie. Powiedzmy, że nie chcę, by wasze złoto, na którym sam nie poradziłem położyć ręki, dostało się innym.

Powiedzmy, że nie lubię tych, co mordują kobiety i porywają dzieci.

Wystarczy?

Skinął na kompanów.

- Jedziemy, chłopcy. Nic tu po nas. Do Benesza podszedł Głowacz.

- Chciałem się pożegnać, panie rotmistrzu. Ech, żal, że pan z nami nie jedzie, podokazywalibyśmy z Austriakami jak ongi z Moskalami.

- I mnie żal, Kacper.

Nie kłamał. W tym momencie pożałował tamtych lat, kiedy wszystko było proste, wróg jasno określony, a nadzieja jeszcze żywa. Nawet teraz,

patrząc za oddalającymi się sylwetkami straceńców, miał przez chwilę wielką ochotę, by zapomnieć o wszystkim i do nich dołączyć.

Dosiedli koni pozostawionych na skraju lasu i unieśli dłonie w pożegnalnym geście.

- Bywaj! - zawołał Baczyński. - A nie wspominaj nas najgorzej!

- Bywajcie! - odkrzyknął.

Długo spoglądał w las, choć po tamtych dawno nie pozostało śladu. Nigdy więcej nie spotkał żadnego z nich. Dużo później dowiedział się, że jeszcze w kwietniu Austriacy schwytali kurierów wiozących listy od jak zawsze nieostrożnego Deniski do Lwowa. Więci na tortury emisariusze wydali adresata - przywódcę Centralizacji, hrabiego Dzieduszyckiego, który natychmiast został aresztowany. Mimo to Denisko zdecydował się wszcząć powstanie. Na czele zaledwie dwustu ludzi przekroczył granicę turecko-austriacką i 30 czerwca stoczył z Austriakami bitwę pod Dobronowcami. Powstańcy zostali rozbici, a ośmiu rannych jeńców powieszono. Pozostali rozproszyli się, część dotarła do Wenecji i przystała do polskich legionów, a Denisko przeszedł na służbę rosyjską.

Pół godziny potem Waclaw wjeżdżał do osady zelarzy. Śpiewak siedział leniwie na przyzbie i kurzył nieodłączną fajkę.

- Śpiewak, potrzebuję pod zamkiem na każde zawołanie kilkunastu naszych ludzi pod twoją komendą. Da się zrobić? - spytał bez ogródek, jak tylko znaleźli się w mrocznej izbie. Śpiewak mieszkał teraz sam, gdyż ojciec go odumarł tej zimy. Rubinowska i Benesz uczestniczyli w skromnym pogrzebie.

- W czym rzecz, zaczęło się? - spytał chłop flegmatycznie, wyjmując fajkę z ust.

- Nie zaczęło się i nie zacznie. Właśnie odwiedził mnie kurier z Centralizacji. Francuzi zawarli rozejm z Austriakami. Trzeba powiadomić ludzi, że insurekcji nie będzie. Rozwiązujemy sprzysiężenie.

Śpiewak na powrót wsadził fajkę do ust i pykał jakiś czas, przetrawiając zasłyszane nowiny, ale nie wyglądał ani na zaskoczonego, ani szczególnie rozczarowanego.

- Skoro tak, to po co panu potrzebni nasi ludzie? - rzucił w końcu, niespiesznie wystukując z główki resztki spalonego tytoniu.

- Banda Łazarczyka zamierza napaść na zamek. Sami możemy się nie obronić.

- Zatem to prywatna sprawa? - upewnił się chłop.

- Tak, lecz liczę, że mi pomożecie.

- To prośba czy rozkaz?

- Rozkazywać nie mam prawa. Sam powiedziałaś - to prywatna. Zatem proszę.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony. - Śpiewak nabił fajkę świeżym tytoniem, zapalił i wypuścił z ust kłęb dymu. - A skoro to sprawa między państwem a zbójnikami, chłopie mogą uznać, że miast pchać paluchy między drzwi, lepiej trzymać się z dala.

- Cóż - rzekł Wacław, zabierając się do odejścia - przyszedłem do ciebie jak do towarzysza broni, ale masz rację, to nie jest wasza sprawa.

- Miało być powstanie, wolność i równość dla wszystkich i co z tego wyszło? Znow mamy bić się za panów?

- Nie z mojej ani niczyjej innej winy nie doszło do insurekcji, dobrze o tym wiesz - zirytował się Benesz, otwierając drzwi.

- Jeżeli wasza miłość mniema, że ograniczywszy pańszczyznę, zyskał

prawo, by za twoją prywatą krew przelewać, to jesteś pan w błędzie.

- Idź do diabła! - warknął Waław, trzaskając drzwiami.

- Niczego nie obiecuję! - dobiegło go zza drzwi.

Po powrocie do zamku dopracowali z Atokiem plan działania, który mimo szczupłych sił rokował szansę powodzenia. Podstawą planu było założenie, że napastnicy wtargną do zamku przez tajne przejście. Chodziło o to, by zamknąć ich w podziemiach, blokując jednocześnie wejście i wyjście z lochów. Warunek sukcesu to zaskoczenie, pomyślał Benesz. Pułapka została zastawiona.

Wracał do siebie głuchą nocą. Oprócz niego na górnym zamku mieszkał już tylko stary jezuita, który wcześniej chodził spać. Sebastian dawno proponował bratankowi przeniesienie do wygodniejszych komnat na dole, lecz Waław przyzwyczał się do swojej izby.

Podobno są ludzie, którzy posiadają tak zwany szósty zmysł, ostrzegający ich przed niebezpieczeństwem. Waław szczycił się dotąd tym, że też go ma, ale tylko mu się tak zdawało albo też jego szósty zmysł ucinał sobie drzemki w najmniej odpowiednich momentach. Jak choćby wtedy, gdy Cymer-Baczyński ogłuszył go w sieni pod średnim zamkiem, aby przywrócić mu dziecięcą wiarę w duchy. Potężne uderzenie, które tym razem spadło na jego głowę, gdy otwierał drzwi, uśpiło w nim nie tylko szósty, ale i wszystkie inne zmysły.

Ocknął się z bolesnym uczuciem, jakby cały zamek zwałił mu się na głowę. Był sparaliżowany. Dopiero po jakimś czasie dotarło do jego skołatanego mózgu, że leży tylko na brzuchu, powiązany jak wielkanocna szynka, z kończynami przywiązany z tyłu do własnej szabli.

Zdrętwiałym policzkiem wyczuwał zimne i szorstkie skalne podłoże. Jak

przez mgłę doszedł go znajomy głos. Mówił Jan, krwiożerczy niby-mnich:

- Carlos, ten pies wrócił do przytomności.

- Chyba się mylisz, Juan.

Wacław, który z nudów przez ostatnie tygodnie pobierał u Sebastiana lekcje hiszpańskiego, trochę rozumiał, o czym mówią, a reszty się domyślał.

- Znam się na tym. Przed chwilą wyraźnie drgnął i podniósł powieki. Kiedy byłem jeszcze zwykłym espantoso¹ przy alquacilu² w Sewilli, miałem do czynienia z setkami takich, jak ten tutaj. To były czasy! - rozmarzył się.

- Odwróć go!

Brutalne szarpnięcie odwróciło jeńca na wznak. Dalsze udawanie zdechłego robaka wobec fachowców najwyższej klasy nie miało sensu, więc otworzył oczy. Już wiedział, gdzie się znajdują. W kazamatach górnego zamku. Nad nim stali, wpatrując się weń zimnym wzrokiem, fałszywy mnich i rzekomy francuski kawaler.

- Ej, ty tam! - zawołał Juan do kogoś w głębi lochu. - Poświeć no tu!

Z ręki sługusa o zbójckim wyglądzie odebrał świecznik, jeden z dwóch stojących na stole w dawnym pomieszczeniu więziennej straży. Kucnął przy jeńcu, świecąc mu prosto w oczy. Powolnymi ruchami, kuliście, prowadził płomień, niemal dotykając nim brwi i rzes pojmanego.

- Pobudka, drogi baronie! Otwórz oczęta, w nagrodę czeka cię nielicha siurpryza - zachęcał Wacława pan Karol.

Benesz uznał, że palnięcie w głowę słusznie mu się należało. Tak był pewny, że napastnicy zaatakują dolny zamek, że nie wziął pod uwagę możliwości napaści z drugiej strony. Z powodu bezmyślności naraził

wszystkich na niebezpieczeństwo, a siebie na pewną śmierć. Patrole inkaskie sporadycznie tylko zapuszczały się na górny zamek.

Espantoso (hiszp.) - straszny, budzący lęk - określenie sług inkwizycji hiszpańskiej, czyli tzw. familiarów, którzy m.in. dokonywali aresztowań.

Alquacil (hiszp.) - wyższy urzędnik inkwizycji hiszpańskiej.

Mogli go tu zaszlachtować jak prosiaka i nikt nawet nie usłyszałby jego wrzasków. Następne słowa Colignaca nie pozostawiły mu cienia nadziei:

- Szkoda, miałem nadzieję zabić cię w pojedynku. Podglądałem, jak mocno ostatnio ćwiczyłeś. Brawo! Tym razem sprawiłbyś mi z pewnością więcej uciechy. Ale cóż - westchnął z fałszywym żalem - obowiązek przed przyjemnością. Juan!

- Tak, jefe1?

- Połóżcie go na ławie, mam z nim do pomówienia.

- Dać mu mardaza2?

- Po co? Nikt go tu nie usłyszy, choćby gardło zdarł.

Juan i drugi zbir poderwali Benesza i rzucili na ławę, tak że plecami dotykał wilgotnej ściany.

- A teraz weźcie jeszcze dwóch ludzi i pójdźcie do starej kaplicy. Tylko bądźcie ostrożni, Inkasy mogli tam zastawić jakąś pułapkę.

Kiedy zbiry wyszli, pan Karol, bo chyba było to jego prawdziwe imię, przysunął sobie niski zydell i usiadłszy na wprost Wacława, wbił weń źrenice podobne do nieruchomych oczu jadowitego gada i równie litościwe.

- Tak, amigo. Pewnie zmartwi cię nowina, że dobrze znamy grzebalne zwyczaje Inkasów. Jeszcze parę chwil i srebrna trumna ze swą cenną zawartością znajdzie się w naszym posiadaniu. A właściwie moim.

Chłopca i Inkasów mogą zostawić Franciszkowi.

Coś w spojrzeniu Benesa zwróciło jego uwagę.

- Dziwi cię, że poczciwy pater Franciszek jest naszym człowiekiem? A kto spuścił linę, po której wdrapaliśmy się na górę? Co więcej, wydaje mi się, że to on tu rządzi. Powiem ci na pociechę, że jego też czeka mała siurpryza. Ale to tak między nami, fachowcami.

- Dla kogo ty właściwie pracujesz? - wydusił z siebie z trudem Waław. Jefe (hiszp.) - przełożony, szef. Mardaza (hiszp.) - knebel.

- Dobrze pytanie. Oficjalnie dla Godoya¹, któremu przede wszystkim chodzi o skarb. A przy okazji pomagam padre Franciscowi, który pracuje dla Santa Hermandady i byłego doradcy poprzedniego króla Hiszpanii Karola III, Fray Eleta². Eleta i Francisco na polecenie Wielkiego Inkwizytora koniecznie chcą dostać chłopca, aby już nikt z rodu Tupaca Amaru nie zakłócił spokoju w koloniach. To fanatycy

- dodał z pogardą.

Przybliżył usta do ucha Waławawa.

- Powiem ci coś w zaufaniu, bo nikomu tego nie powtórzysz.

- Uśmiechnął się szatańsko. - Poniekąd słusznie rozpoznałeś we mnie Gaskończyka. Tyle że pochodzę z drugiej strony Pirenejów. Jestem Baskiem, mój panie, i nienawidzę Hiszpanów jak zarazy, choć im służę. Poza tym łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a nie wróżę Godoyowi długiego pobytu na szczytach władzy. Jeśli więc zniknę ze skarbem, wcześniej zabiwszy chłopca, inkwizycja nie powinna szukać mnie zbyt gorliwie. To już nie te czasy, gdy jej macki sięgały do najzapadlejszych krańców świata. A ja znam się na swojej robocie. Od jutra więc rozpoczynam nowe życie i diabła zje, kto mi w tym zechce przeszkodzić.

- Czy pater Franciszek wie o twoich planach? - spytał Benesz drwiąco. -
Mogą mu się nie spodobać.

- Cóż, los często bywa niełaskawy dla fanatyków i padre Francisco będzie miał okazję się o tym przekonać. Imaginuj sobie, że jest on prawdziwym jezuitą, który za młodu pracował wśród dzikusów w Paragwaju³, dopóki król Karol III w tysiąc siedemset sześćdziesiątym ósmym roku nie nakazał wszystkim jezuitom opuścić misji. Ponad dwa tysiące misjonarzy uwięziono, trzymając w więzieniach nawet po parę lat, a potem załadowano na okręty płynące do Europy. Nie

Manuel Godoy, faworyt królowej i wszechwładny I minister króla Hiszpanii Karola IV. Santa Hermandad - Święta Policja, organ świecki, lecz podległy inkwizycji hiszpańskiej; brat Eleta - franciszkanin, spowiednik królewski i wysoki urzędnik św. inkwizycji. Przez 2 stulecia istniała w Ameryce Południowej tzw. Republika Guaranów, prowadzona przez ojców jezuitów, którzy cywilizowali miejscowych Indian Guarani. pozwolono im jednak wylądować ani w Hiszpanii, ani w Italii. Błąkali się nieszczęśliwi po morzu, o rzut kamieniem od Rzymu, gdzie papież właśnie rozwiązywał ich zakon. Kilkuset zmarło od poniewierki, nim wreszcie pozwolono im wylądować na Korsyce. Nieliczni tylko mieli szczęście wrócić do ojczyzny. Padre Francisco do dziś jest wdzięczny fray Elecie, że go przygarnął, i jego lojalność jest niezachwiana. Głupiec! Otworzyły się drzwi i wpadł do środka zadyszany Juan. Oczy wylaziły mu na wierzch z przerażenia.

- Carlos!

- Co się stało?

- Nie ma!

- Czego nie ma?
- Trumny! Krypta jest pusta!

Baskowi żyły nabrzmiały na skroniach. Chwyił Wacława za gardło i mocno potrząsnął.

- Psie! Albo wyjawisz mi zaraz, gdzieście ukryli skarb, albo wydam cię na takie męki, że...

W tej chwili przez wciąż otwarte drzwi wszedł ojciec Franciszek i zamknął je za sobą.

- Czyście poszaleli? Co to za hałasy? Stój, co chcesz uczynić? Pochwyił uzbrojoną w sztylet dłoń Colignaca, który szykował się do wydłubania oka jeńcowi. Bask opanował się z widocznym wysiłkiem. W końcu opuścił rękę.

- Miałeś obserwować dolny zamek - warknął.

- Nic tam się nie dzieje. Inkasy kręcą się na dziedzińcu, ale zaglądać na górę nie mają zamiaru.

- Nigdy nie wiadomo. Lepiej wracaj na posterunek.

- Zaraz. A co tu się stało?

- Te diabły jakimś cudem wynieśli stąd trumnę ze skarbem.

- Niemożliwe! Przecież cały czas byłem na miejscu...

- A jednak zrobili to. Przekłęte Inkasy i ich diabelskie sztuczki! Na szczęście mamy jego - wskazał Wacława. - On nam wszystko wyśpiewa.

- I dlatego chciałeś go zabić? - pogardliwie rzekł zakonnik, po czym zwrócił się do Benesza: - Baronie, okaż rozsądek. Ocalisz siebie i wiele istnień ludzkich. Jeśli dobrowolnie oddacie chłopca i skarb oraz zaniechacie pościgu, nikomu włos z głowy nie spadnie. Przyrzekam ci także, że w Hiszpanii chłopca nie spotka żadna krzywda i w spokoju

dokona swych dni.

Być może mówił szczerze, Wacław nie podejrzewał go nigdy o krwiożercze instynkta. Inna sprawa, że jego słowo nie miało żadnej wartości, o czym sam jeszcze nie wiedział. Dlatego Benesz milczał.

- Dobrze, sam tego chce - rzekł zniecierpliwiony Colignac.

- Wiesz, co tam stoi w kącie? - Wskazał palcem zardzewiałą konstrukcję, w której z trudem dało się dopatrzeć sylwetki tura lub byka.

- To żelazny byk, wynalazek Rzymian. Wkłada się do środka takiego uparciucha jak ty, a potem rozpala pod spodem ogień. Juan!

- Nic z tego - odparł osiłek z nutą żalu w głosie. - Już go sprawdzałem, jest zbyt stary i dziurawy. Żebyśmy tak mieli madre dolorosa, albo choć burro lub cordeles'... - znów się rozmarzył, wspominając ulubione rozrywki.

- Przestańcie! - zdenerwował się pater Franciszek. - Nie chcę słyszeć o podobnym bestialstwie. Musi być inny sposób...

- Zamilcz! - groźnie przerwał mu Bask. - Gdyby nie twoje głupie skrupuły, już dawno byłoby po sprawie.

Nagle jego ponura twarz rozpogodziła się, a na usta wypełzł wilczy uśmiech.

- Wiem, co dla niego będzie najlepszą torturą. Pamiętacie, co rzekł kiedyś nieodżałowany Torquemada? „Nękanie ciała jest dobrą metodą, o ileż jednak lepszą jest nękanie duszy”.

Wydobył z kieszeni zegarek.

Hiszpańskie nazwy narzędzi tortur: madre dolorosa - matka boleściwa - figura Matki Boskiej wewnątrz próżna i najeżona gwoździami; burro - figura osła z ostrym grzbietem, na którym sadzano skazańca, obciążając

mu nogi ciężarami; cordeles - wyciąganie na sznurach. Sławny z okrucieństwa Inkwizytor Generalny, działający w Hiszpanii w XV w.

- Juan, zaczekasz do północy, żebyśmy mieli pewność, że wszyscy już posnęli na dobre, po czym sprowadzisz tu z dworu dziewczynę. Spójrzcie tylko na niego! - zawołał tryumfalnie, wskazując na przerażoną minę jeńca. - Dziewka nie jest mu obojętna, więc kiedy ją ujrzy na mękach, powie wszystko jak na spowiedzi. Czyż nie, kawalerze?

Wacław wściekle szarpnął więzami.

- Nic nie wiem - teraz już miał pewność, że rozmowa, którą usłyszał na stypie, wcale mu się nie przyśniła; Inkowie uspili wszystkich, aby w sekrecie przenieść ciała i skarb ze starej kaplicy w jakieś tylko sobie znane miejsce. - Jeżeli Inkasy ukryli gdzieś trumnę ze skarbem, to uczynili to w tajemnicy przede mną. Musicie mi uwierzyć!

- Nie wierzę. Masz czas do północy, potem sprowadzimy tu señoritę Rubinowską i Juan zademonstruje wszystko, czego nauczył się w rozmaitych santas casas¹. Dziewczynie też przyda się nauczka, skoro nie jestem dla niej dość dobry.

Ojciec Franciszek stanął pomiędzy Beneszem a Baskiem.

- Na Boga, Carlos, cóż ci zawiniła ta miła panienka! - zawołał ze zgrozą. - Nie zapominaj, kto tu rządzi. Stanowczo zabraniam ci nękać pannę Rubinowską!

- Ty chcesz mi czegoś wzbraniać? - odparł z pogardą Colignac. - Obrzydły mi już do cna twoje biadania i skrupuły. Nie mam zamiaru znosić ich ani chwili dłużej. Nie jesteś mi już potrzebny. Juan...

Wacław krzyknął ostrzegawczo, lecz było za późno. Stojący za jezuitą wielkolud wbił mu sztylet między łopatki. Ojciec Franciszek z

niedowierzaniem przyglądał się żelastwu, które przeszło go na wylot i wyszło pod sercem.

- Żegnaj, padre - powiedział beznamiętnie Bask.

- Ty zdraj... - zdążył powiedzieć zakonnik, po czym źrenice mu zmatowiały i osunął się martwy na kamienie.

- Dobry wybór, Juan - pochwalił Colignac mordercę, który wyszarpnął sztylet z ciała i bezceremonialnie wytarł zakrwawioną broń

Santas casas (hiszp.) - święte domy, czyli lokalne siedziby inkwizycji hiszpańskiej.

w sutannę jezuitę. - Wyznam, że wcale nie byłem pewny, po czyjej stronie staniesz. - Znacząco pokazał swoją szpadę, tę o złoconej gardzie, do połowy wyciągniętą.

- Zawsze po stronie silniejszego, to moja dewiza.

- Bardzo słusznie. Ej, wy! - krzyknął do pozostałych opryszków, którzy raczyli się winem w strażnicy. - Pomóżcie Juanowi, a potem niech który skoczy na wieżę obserwować Inkasów.

Nie zareagowali. Dopiero gdy Juan huknął na nich po polsku, podskoczyli żwawo i uniósłszy Wacława oraz trupa, powlekli obu do ciemnicy, oddzielonej kratą od pozostałej części więzienia.

- Obróćcie go twarzą w dół!

W świetle łuczywa trzymanego przez Colignaca Benesz mógł spojrzeć w głąb jamy wydrążonej w skale. Do dna światło ledwie sięgało. Bask zaśmiał się szyderczo.

- Tu będziesz miał dogodne warunki do rozmyślenia. Bardzo stosowne to miejsce do tego celu, zwłaszcza że ponoć jest dziełem twych przodków.

Słyszałem, że kazali w dno tego lochu wmurować dziesiątki noży. Do dziś

nie ostał się ani jeden, ale na wszelki wypadek radzę ci uważać, jak będziesz spadał.

Skinął i zbiry cisnęli z rozmachem do dołu trupa, Wacława zaś położyli na krawędzi jamy, po czym odeszli.

- Posłuchaj - syknął inkwizytor, pochylając się nad jeńcem. - Jutro będę panem tego zamku, ale wcześniej odwiedzę cię tu razem z dziewczyną, żebyś sobie popatrzył, jak się z nią zabawiam, zanim z tobą skończę. A na razie adios, amigo!

To mówiąc, zepchnął więźnia w czeluść dołu i rzucił za nim dopalającą się pochodnię, która zasyczała i zgasła. Sam zaś, kierując się słabym światłem docierającym ze strażnicy, zamknął starannie kratę na kłódkę, cisnął klucze biesiadującym współnikom i opuścił kazamaty.

Ucieczka

Ciało ojca Franciszka przypuszczalnie ocaliło Wacławowi życie lub przynajmniej uchroniło go od ciężkiej kontuzji. Siła upadku potoczyła go dalej, nie spadł jednak na żaden ostry występ skalny, lecz szczęśliwie w zagłębienie wypełnione miękkim piachem. Niemniej bolało go całe ciało, a najbardziej głowa. Jamę wypełniała ciemność i cisza. Strażnicy skończyli ucztować i zapewne pokrzepiali się snem przed zaplanowanym na rano atakiem.

Szarpnęły więzami, ale trzymały mocno. Wyczerpany wysiłkiem i poczuciem bezsilności, pograżył się w niewesołych rozmyślaniach. Jeśli szybko się stąd nie wydostanie, wszyscy, na których mu zależy, będą zgubieni. Inkowie pewnie nie dadzą się zaskoczyć, jednak napadnięci z dwóch stron ulegną przeważającym siłom. Anna zaś nie miała

najmniejszej szansy na ucieczkę przed prześladowcami, których się przecież nie spodziewała. Bezpieczeństwo najbliższych zależało od Wacława. O siebie nie dbał. Bywał już w podobnych opałach i groźba nagłej śmierci nie robiła na nim wielkiego wrażenia. Wielu przyjaciół stracił na wojnie, niektórzy umarli mu na rękach. Nie mógł jednak dopuścić, by spotkało to Annę. Cokolwiek miało się wydarzyć, ona musiała ocaleć. Należał do ludzi, którzy nigdy się nie poddawali, nawet w najgorszych okolicznościach.

Nie wiedział, która godzina, ale do północy z pewnością nie zostało wiele czasu. Musiał się spieszyć. Zaczął gwałtownie przetaczać się z boku na bok, szukając czegoś ostrego. Przesunął nawet zwłoki jezuita, wszystko na nic. Nie znalazł niczego, o co mógłby przetrzeć pęta.

Zmęczony, oparł się o skałę, dysząc jak miech kowalski. Na czole skroplił mu się pot. I wtedy poczuł muśnięcie zimnego powietrza wdzierającego się do dołu tuż przy jego uchu. Wprost nie mógł w to uwierzyć. Czyżby i tu znajdowało się jakieś tajemne przejście? A cze mu by nie? Dawni budowniczywie lubowali się przecież w podobnych sekretach.

Odkrycie to dodało mu otuchy, bo choć wołał o tym nie myśleć, to przecież gdyby nawet udało mu się zerwać sznury, wyjścia z kazamatów bronili strażnicy, o solidnej kracie nie wspominając. Ze zdwojonym zapalem wznowił wysiłki, by pozbyć się więzów. Znów nadaremno. Zmordowany, upadł na plecy. Wówczas... Hej, grajcie surmy zwycięstwa! Między łopatki wciskało mu się coś twardego i ostrego. Przewrócił się na bok i namacał ów przedmiot palcami. Na pewno nie był to odłamek skalny. Długi na parę cali, szeroki na cal, cienki, nieco chropowaty...

Oczywiście. Zardzewiałe i z odłamanym czubkiem, było to wszak niewątpliwie jedno z tych ostrzy, którymi ongiś najeżono dno lochu i które zadawały okrutny skon zrzućanym na nie nieszczęśnikom. Czyżby teraz ostatnie z tych narzędzi bólu i śmierci, zainstalowane przez któregoś z Berzeviczych, mogło uratować życie ich potomkowi i kilku innym osobom?

Zaczął trzeć sznury, uważając, by nie złamać zbawczego ostrza, z pewnością mocno nadgryzionego zębem czasu. Co rusz tłumiał jęk bólu, gdy skorodowane żelazo zdzierało mu naskórek z rąk, to znów drżał z niepokoju i nasłuchiwał, kiedy nóż lekko uderzał w pochwę szabli.

Dźwięk był tępy i słaby, ale w jego uszach brzmiał hałaśliwiej od bicia dzwonu Zygmunta w wielkie święto. Minęły całe wieki, nim pęta rozluźniły się i mógł uwolnić dłonie. Kilka następnych stuleci zeszło mu na przywracaniu czucia sztywnym palcom i zdrętwiałym rękóm. Za to wyplątanie szabli, wyjęcie jej z pochwy i przecięcie więzów na nogach trwało zaledwie tydzień.

Podczołgał się tam, skąd wyczuł powiew. Wiało z niewielkiej szpary między dwoma złomami porowatego kamienia. Z gorączkowym pośpiechem przystąpił do kruszenia skały, posługując się końcem szabli i jednocześnie uważając, by nie narobić hałasu. Na szczęście od tej strony ściana dołu tylko udawała litą skałę, w rzeczywistości zaś składała się z wapiennych głazów zespojonych zaprawą. Wydobyć pierwszego odłamu zajęło mu najwięcej czasu, potem poszło dużo łatwiej. Wilgoć i upływ czasu osłabiły zaprawę, która miejscami sama się wykruszyła. Stąd wzięła się szczelina, która zdradziła Wacławowi istnienie sekretnego korytarza. Wkrótce odsłonił wejście do niego na tyle, by się precyzyjnie, bał się

jednak bez światła zanurzyć w mroczną nieznana czeluść. Gdyby teraz, po tyłu zachodach, miał skrócić kark, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

Wtedy przypomniał sobie pochodnię, którą Colignac, czy jak tam się ten łotr naprawdę nazywał, cisnął za nim do jamy. Na czworakach rozpoczął gorączkowe poszukiwania. Była! Niewiele jej pozostało, dobre wszak i to. Zaczął przetrząsać kieszenie. Fortunny oprócz pistoletów niczego mu nie odebrano. Wyjął hubkę i krzesiwo, skrzesał ognia i zapalił łuczywo.

Nieduży płomyk wydobył z mroku obraz nieregularnego wąskiego chodnika, ginącego gdzieś w głębi. Był tak wąski i niski, że człowiek mógł się w nim tylko czołgać.

Wkrótce chodnik wykręcił w prawo i zaczął się obniżać. Akurat gdy dogasająca pochodnia nie dawała się już utrzymać w ręku, zobaczył przed sobą... ścianę zamykającą wylot. Nie załamał się jedynie dlatego, że przez liczne spękania w murze przedostawało się nie tylko ożywcze powietrze, ale także słaba poświata księżycowa. Był zatem o krok od wolności. Nie zwlekając, rozpoczął dłubanie. Dzięki nabytej wcześniej wprawie poszło mu niemal błyskawicznie.

Wyjmując ostatni kamień, trącił kawałek zaprawy, który oderwał się i wypadł na drugą stronę. Wacław zamarł, dzięki czemu usłyszał plusk i zrozumiał, dokąd wyprowadził go sekretny korytarz. Do studni! Wystawił ostrożnie głowę. Nie pomylił się. Hen, w górze zobaczył krawędź cembrowiny wyraźnie odcinającą się od jaśniejszego nieba.

Tylko, bagatela, brakowało mu do niej dobrych pięciu sążni. Spojrzał w dół. Dna nie dojrzał. Mróz przeszedł mu po krzyżu.

Lecz szczęście tej nocy stało przy nim jak wierny pies. Pojął to, gdy jego zrozpaczony wzrok wypatrzył sznur od kołowrotu.

Pobłogosławił w duchu niedbalstwo Juraja, który jak zwykle zostawił wiadro moczące się w wodzie. Przypasał szablę do boku, po czym, niebezpiecznie wychylony, połową ciała zawisając nad przepastną głębią, dopiero za trzecią próbą dosięgnął sznura i przyciągnął go do siebie. Ciągnął za linę, dopóki kołowrót nie wykonał kilku obrotów, prawie przy tym nie skrzypiąc. Kiedy lina stawiała opór, rzucił się na nią całym ciężarem, zawisł, kręcąc się jak bąk dookoła własnej osi, a następnie rozpoczął mozolną wspinaczkę, która zdawała się nie mieć końca. Kompletnie wyczerpany osiągnął wreszcie krawędź cembrowiny i najpierw upewnił się, że nikogo na dziedzińcu nie widać, po czym wylazł ze studni i ukrył się w kącie między ocembrowaniem a murem zewnętrznym. Kiepska to była kryjówka, lecz nie zamierzał z niej długo korzystać.

Odпочywając, zastanawiał się, co dalej. Nie mógł przedostać się na dolny zamek normalną drogą, bo Colignac w sieni na pewno postawił strażnika. Sam zapewne zajął komnatę Waclawa, a jeśli nie, to i tak nie warto było ryzykować dotarcia do niej. Jak miał zatem wydostać się z zamku? Poczekać, aż wyrosną mu skrzydła? Wtem jego wzrok padł na studzienny kołowrót i już wiedział, co zrobi. Opuści zamek w ten sam sposób, w jaki Colignac się do niego dostał. Nastawiał pilnie uszu i zaczął szybko wyciągać wiadro, uważając, by nie obijało się o ściany studni. Wycieńczony poprzednimi przejściami ledwo podolał temu zadaniu. Nareszcie z ulgą pochwycił drewniany cebrzyk i zestawił go na ziemię. Łamiąc dwa paznokcie, odczepił od wiadra stalowy kabłąk i z najwyższym trudem wygiął go na kształt haka. Dowiązał doń odwiniętą z kołowrotu linę i robiąc potężny zamach, wyrzucił hak w górę. I tym razem fortuna

poklepała go przyjaźnie po plecach. Zaimprovizowany hak od razu zaczepił się o krawędź muru. Nie tracąc ani chwili, rozpoczął wspinaczkę, posykując z bólu za każdym razem, gdy obolałe dłonie chwyciły szorstki sznur.

Był gdzieś w połowie drogi, gdy skrzypnęły drzwi od kazamat i uzbrojony strażnik wyszedł na zewnątrz. Waclaw zamarł. Z całych sił starał się uczynić niewidzialnym, ale zdawał sobie sprawę, że w księżycowym świetle jego ciemna postać na tle ściany jest doskonale widoczna. Wystarczyło, by strażnik podniósł głowę. Tymczasem tamten przeciągnął się leniwie, wyginając ciało... Za chwilę musiał dostrzec uciekiniera, po prostu nie było innej możliwości.

Nagle, nie wiadomo skąd, na środku dziedzińcyka zmaterializowała się półprzezroczysta sylwetka kobiety w białych powłóczystych szatach. Nie mówiąc ani słowa, kobieta w bieli wyciągnęła ramiona i płynąc raczej w powietrzu, niż idąc, zaczęła się zbliżać do wartownika. Ten zmartwiały przerażony. W obronnym geście wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał odepchnąć zjawę. Próbował krzyknąć. Otworzył usta, lecz wydobył się z nich tylko chrapliwy skrzek. Wreszcie, gdy upiór prawie go dotykał, pod strażnikiem ugięły się kolana i upadł zemdłony.

Wcale nie mniej od niego przerażony Waclaw kurczowo ścisnął linę, na której wisiał, i tylko temu zawdzięczał, że nie odpadł od ściany prosto do studni. Tymczasem niesamowita dama w bieli obróciła się ku niemu i wówczas rozpoznał w niej Uminę¹. Zjawa nieznacznie uśmiechnęła się i uniosła rękę jakby w geście pozdrowienia, po czym rozplynęła się w powietrzu. Wstrząśnięty, nie bardzo dowierzając własnym oczom, znalazł się na blankach. Przełożywszy hak na drugą stronę, zsunął się do podnóża

zamku i nie zwlekając ani sekundy, pobiegł na przełaj w kierunku ekonomówki. Modlił się przy tym, by nie było za późno.

Ostrożnie nacisnął klamkę u wejścia. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Niedobrze. Wiedział, że strachliwa Hanka zawsze dokładnie zamykała dom na noc. Pełen złych przeczuć wyjął szablę i po omacku zaczął wspinać się po schodach. Wtem potknął się o coś miękkiego i bez sprawdzania wyczuł, że znalazł Hanke.

Kilku wiarygodnych świadków widziało snującą się nocami po zamku postać kobiety w bieli; owa Biała Dama z niedzickiego zamku na dobre już została zaliczona w poczet duchów polskich.

Namacał twarz i chudą szyję, do której przyłożył dłoń. Ledwo wyczuwał puls. Nie marudząc dłużej, przekroczył ciało i pobiegł wzdłuż korytarza, starając się czynić jak najmniej hałasu i zastanawiając się, które z licznych drzwi prowadzą do sypialni dziewczyny. Nie musiał długo szukać, bo tylko jedne były uchylone, wydostawała się zza nich smuga światła i dobiegały niewyraźne głosy. Przystawił ucho do szpary.

- Dość tego! - usłyszał poirytowany głos Juana. - Albo po dobrowoli idziesz z nami jak grzeczna panienka, albo stracimy cierpliwość i zabawimy się z tobą po swojemu. Ostatecznie Carlos nie mówił, w jakim stanie mamy mu ją dostarczyć, co, chłopcy?

Odpowiedział mu podwójny rechot.

- Nuże, zbieraj się!

- Wstydz się, Juan. Zdaje się, że narzucasz panie Rubinowskiej swą obmierzłą obecność, nie bacząc, że pora na wizyty jest wysoce niestosowna.

Trzech zbirów wytrzeszczyło oczy na niespodziewanego gościa, jakby

ujrzeli ducha. Ich przestach i zaskoczenie potęgował wygląd Wacława, z którego on sam nie zdawał sobie sprawy. Rozwichrzone włosy miał polepione krwią, na jednej połowie twarzy widniał ogromny siniak, druga była otarta i umazana ziemią. Wisiała na nim brudna i podarta odzież. Ale oczy, prawie niewidoczne spod opuchlizny, patrzyły z zimnym szyderstwem.

- Zechce pani wybaczyć najście - sumitował się przed dziewczyną. - Jak tylko ich zabiję, zaraz sobie pójdę.

- Wybaczam. - W tej chwili wybaczyłaby mu znacznie więcej, nigdy dotąd nie wydawał się jej równie piękny, niczym Anioł Stróż z obrazka dla grzecznych dzieci.

Trójca złoczyńców miała o przybyśzu zdanie diametralnie inne, chociaż go nie wypowiadała. Juanowi-mordercy towarzyszyli dwaj łotrzy o wilczych gębach. Jednego Benesz chyba gdzieś widział. Z pewnością należeli do bandy Łazarczyka. Odkąd usłyszał, jak dobrze Juan, mimo obcego akcentu, mówi po polsku, przestała go dziwić łatwość, z jaką słudzy inkwizycji weszli w komitywę z miejscowymi bandytami.

Zbiry szybko otrząsnęli się z szoku. Złapali w garście pałasze i sztylety i zaszli Wacława z boków. Juan puścił dziewczynę i ująwszy się pod boki, rzekł drwiąco:

- Chłopcy, czy ja śnię, czy tego muchacho1 zostawiliśmy na dnie lochu związanego jak barana? A może to nie on? Ten tu czarny jest jak Negr.

Bandyci roześmiali się przypochlebnie, a Wacław mimowolnie zerknął do lustra na ścianie. Gdyby nie znał siebie tak dobrze, też byłby się przestraszył.

- No, compadre² - ciągnął Hiszpan - w mojej ojczyźnie urządziłbym ci piękne auto de fe¹, a tak tylko poderżnę gardło. - Półtora roku nowicjatu pozwoliło mu w razie potrzeby udawać księdza, ale nie złagodziło jego wrodzonego okrucieństwa.

Najwidoczniej nic nie słyszeli o rycerskich regułach, bo zaatakowali równocześnie z trzech stron. Odbił cięcia i zanurkowawszy między napastnikami, przywarł do ściany. Rozwścieczeni pierwszym niepowodzeniem, rzucili się nań z zaciekłością. Łatwo mogli go zastrzelić, lecz pragnęli uniknąć hałasu. Jeden z pistoletów Wacława tkwił za pasem Juana, jednak sługa inkwizycji wyraźnie nie zamierzał go użyć. Była to szansa dla Benesza, choć niewielka, gdyż zaprawione w walce zbiry całkiem sprawnie posługiwały się orężem. Ani na moment nie mógł spuścić z oka żadnego z nich, bo natychmiast by to wykorzystali. Taka walka nie mogła trwać długo.

Wtem jeden z bandytów pośliznął się na wyświecowanej podłodze i Wacław skorzystał z dogodnej okazji, by przebić go na wylot czystym sztychem, co uczynił zręcznie i nie bez drobnej przyjemności. Łotr Muchacho (hiszp.) - chłopiec.

Compadre (hiszp.) - towarzysz.

Auto defe (hiszp.) - spalenie na stosie, w Polsce określenie to utrwaliło się w portugalskiej postaci: autodafe.

zginął, zanim zdążył upaść, lecz ten sukces tylko nieznacznie poprawił sytuację Benesza, gdyż Juan postanowił zmniejszyć ryzyko. Zostawił kompana zmagającego się z Wacławem, sam zaś odsunął się od nich, wydobył sztylet i czekał na dogodny do rzutu moment. Spostrzegłszy to

kątem oka, Waclaw nagle podskoczył ku swemu przeciwnikowi, zwał się z nim i zasłonił jak tarczą. Bandyta miał minę wielce zaskoczonego tym manewrem, ale krótko, bo po chwili krztusząc się i łapczywie chwytając powietrze w dziurawe płuca, wysunął się z objęć Benesza i upadł na twarz. Z pleców wystawała mu rękojeść puginału.

Hiszpan wydał okrzyk rozczarowania i wściekłości. Ściskając w rękę następny sztylet, skoczył na Waclawa. Nie dosięgnął go, stracił równowagę i nóż, lecz padając, podciął Beneszowi nogi. Sczepieni ze sobą przetaczali się po całej izbie we wszystkie strony. Szybko stało się jasne, że zmęczony ostatnimi przejściami Polak nie ma żadnej szansy w zapasach z hiszpańskim wielkoludem. Toteż wnet zbir usiadł mu na piersiach i z sadystycznym uśmiechem rozpoczął powolne duszenie ofiary. Waclaw jedną ręką próbował osłabić chwyt przeciwnika, drugą rozpaczliwie macał dookoła w poszukiwaniu sztyletu zgubionego przez oprawcę. Kiedy go namacał, było już za późno. Dusił się.

W ferworze walki obaj zapomnieli o Annie. Dziewczyna, początkowo sparaliżowana strachem, wnet otrząsnęła się z przerażenia, jak na córkę żołnierza przystało. Widząc fatalne położenie Waclawa, chwyciła z biurka ciężki srebrny lichtarz i trzymając go oburącz, z całych sił uderzyła nim w pochylony łeb Juana. Kiedy tylko uścisk łotra zelżał, półprzytomny Waclaw zebrał resztkę sił i wbił mu sztylet w bok. Hiszpan wrzasnął i potoczył się na stronę, rżąc i wijąc się na podłodze jak robak.

Benesz powstał chwiejnie i uczeplił się krawędzi toalety, żeby nie upaść na powrót. Kiedy mroczki przestały mu latać przed oczyma, zobaczył na wprost siebie dziewczynę, wciąż trzymającą w rękach uniesiony w górę świecznik. Oczy miała błędne, ze zgrozą

i równocześnie jakąś dziwną fascynacją wpatrzone w konającego w mękach zbrodniarza. Ten zaś rzeczywiście umierał długo i boleśnie.

- Umrzyj - zaapelował do niego Wacław ze znużeniem. - Okropnie hałasujesz.

Jak na zawołanie Juan znieruchomiał. Kiedy nareszcie skonał, cisza, która nagle zapanowała, wydawała się wręcz nieprawdopodobnie błoga.

- Chyba zaraz zemdleję... - ostrzegła Anna słabym głosem.

- Na folgowanie sobie jeszcze za wcześnie. - Odebrał od niej lichtarz i odstawił na toaletę. Dziewczyna ze szlochom przylgnęła mu do piersi.

Oprócz cienkiej koszuli nocnej nie miała na sobie nic, więc w normalnych okolicznościach nie odciągnięto by go od niej koźmi. Niestety, okoliczności nie były normalne, poza tym przecież zakazał folgowania zachciankom i musiał dać dobry przykład, zatem wykazawszy nadludzką siłę woli, oderwał się sam.

- Powiedzieli mi, żeś zginął - chlipnęła. Pogłaskał ją po włosach.

- I kiedy się bardziej zmartwiłaś? Wtedy czy kiedy ożyłem?

- Sama nie wiem. - Zielone źrenice odzyskały barwę i spoglądały trzeźwo jak zawsze. - A poza tym, co to za obyczaje, mój panie, pośrodku nocy wdzierać się do niewieściej sypialni? - Wstydliwie ściągnęła koszulę pod szyję.

- Widzę, żeś już całkiem doszła do siebie, więc wychodzę. Skoro świt banda Łazarczyka i wysłannicy inkwizycji napadną Inkasów. - Podniósł z podłogi szablę, odebrał Juanowi pistolet, a kiedy się do niej odwrócił, stała już przed nim kompletnie ubrana i z szuflady toalety wyciągała króciwę.

- Nie myślałaś chyba, że zostanę tu sama? - powiedziała stanowczo, rozglądając się po komnacie pełnej trupów. - Idę z tobą.

- Ale...

- Szkoda czasu, zaraz zacznie świtać. Krzyknęła, potknąwszy się o ciało na schodach.

- O Boże! Hanka! Zabili ją!

- Żyje, ogłuszona tylko. Nic jej nie będzie.

Zniósł starowinę na dół i ułożył na szerokiej ławie, po czym opuścili dwór. Nie zrobili nawet kilkunastu kroków, gdy z przydrożnych krzaków dobiegł ich cichy świst.

- Psst, to ja.

- Kto? - szepnął Wacław, wysuwając szablę z pochwy.

- Śpiewak. Chodźta sam, nim nas przyuważą. Przykucnęli koło niego.

- Nadeszli niedawno. Teraz są gdzieś pod zamkiem od południowej strony, ale nie wiem, co tam czynią.

- Tam jest wejście do podziemnego korytarza, którym można się przedostać do zamkowych piwnic. Odkrył go Baczyński alias Cymer.

- Aha, teraz pojmuje.

- A co ty tu robisz?

- Przecie wasza miłość prosiłeś mnie o pomoc. Tom czuwał i w końcu wypatrzył tych zatrąceńców, jak popod zamek chyłkiem się przebierali.

- A gdzie pozostali?

- Nie ma nikogo. Przecie żem mówił. Chłop za pana bić się nie pójdzie. Za ojczyznę to co inszego.

- A ty?

Chłop poskrobał się po głowie.

- Nie godzi się, aby insurgent insurgenta w potrzebie ostawiał, czyż nie? Co mamy czynić?

- Nasze zadanie jest proste. Uniemożliwimy bandytom ucieczkę tą samą drogą, którą wleżą. Resztą zajmą się Inkasy.

- Więc na co czekamy? Oni już ani chybi wleźli.

Ostrożnie, wykorzystując każdy krzak i każdą nierówność gruntu, niepostrzeżenie zakradli się pod basztę kapliczną, po drodze podziwiając, z jaką zręcznością radziła sobie dziewczyna. Ich przezorność okazała się zbędna. Bandyci byli tak pewni swego, że nie tylko nie postawili u wejścia straży, ale nawet nie zasunęli za sobą głazu maskującego przejazd.

- Pięknie - ucieszył się Śpiewak. - Mam tu coś w sam raz na taką sposobność.

Z ciężkiej torby, którą cały czas dzielnie taszczył, wydobył okrągły przedmiot.

- Co to jest? - zaciekawiła się Anna.

- Granat. Służyłem w grenadierach¹ krakowskich. Razem z Bartoszem Głowackim - odparł z dumą. - Mam tu jeszcze trochę podobnych zabawek. Miały być na Austriaków, ale i zbójnikom winny posmakować.

Teraz Waclaw był już spokojny o wynik starcia. Zapobiegliwość Śpiewaka niwelowała nierówność sił.

Wtem w podziemiach rozległ się odgłos wystrzału. To Inkowie nie dali się zaskoczyć. Jego dudnienie przetoczyło się przez loch i wydostało na zewnątrz, niweczając ciszę wstającego poranka.

- Zapalaj!

Śpiewak przystawił do podsuniętego mu płomyka końcówkę krótkiego lontu. Podziemny korytarz wypełniły jęki, nawoływania i tupot szybko zbliżających się bandytów, pragnących czym prędzej wydostać się z pułapki, skoro zaskoczenie zawiodło. Równocześnie na zamku rozpętała

się strzelanina. Widocznie Colignac ze swymi ludźmi, nieświadom, jaką niespodziankę zgotowano Łazarczykowi, zaatakował Inków od strony górnego zamku.

Kiedy ogień prawie dosięgał pocisku, chłop cisnął granat do wnętrza korytarza. Wszyscy troje rozpięchli się na boki i padli na ziemię. W tym momencie granat eksplodował. Część odłamków z wizgiem wyleciała przez otwór, siekąc listowie krzewów rosnących pod murem i dając blade wyobrażenie spustoszeń, jakie pocisk musiał wyrządzić w zamkniętym pomieszczeniu. Przeróżne krzyki i rozdzierające jęki, które wraz z kłębamii dymu wydostały się z korytarza, świadczyły o tym dobitnie. Jednak na wszelki wypadek Śpiewak posłał wrogom jeszcze jeden ładunek. Kiedy i po nim rozwiął się dym, Grenadierzy - żołnierze specjalnie szkoleni do ręcznego wyrzucania granatów.

z otworu na końcu muszkietowej lufy wystawiono białą niegdyś, a teraz skrwawioną koszulę na znak kapitulacji. Prawie w tej samej chwili ucichła palba na zamku.

- Jużemy myśleli, że cię zabili - powitał Wacława na zamkowym dziedzińcu Apu Atoc, wciąż jeszcze rozgorączkowany walką.

- Niewiele brakowało. Jak wam tu poszło?

Inka wskazał swoich wojowników zbierających poległych i układających ich na dziedzińcu w jednym rzędzie.

- Dobrze. Zaskoczyli nas ci z góry, ale na krótko. Żaden nie uszedł z życiem.

- A nasi?

Atoc pomarkotniał.

- Zginał Maypa. Kokchi ranny, ale wyliże się. Mogło być gorzej. Wasza pomoc przyszła w samą porę.

Indiańscy wojownicy zapędzili wziętych żywcem bandytów do wynoszenia z piwnic poległych towarzyszy. Ich także układano na dziedzińcu. W jednym z nieżywych Benesz rozpoznał Łazarczyka. Z grubsza doliczył się kilkunastu zabitych. Drugie tyle przeżyło, lecz tylko jeden nie był nawet draśnięty. Granaty Śpiewaka zebrały obfite żniwo.

- Gdzie ten zuch, który w pojedynkę wygrał bitwę? - rzekł Atoc. - Chętnie uścisnąłbym mu rękę.

- Pojechał odszukać kapitana Kaunitza, żeby zabrał jeńców i zabitych. Zdejmie nam kłopot z głowy i jeszcze zyskamy jego wdzięczność.

Oprócz Śpiewaka odesłał też Annę, chcąc oszczędzić jej przykrych widoków, poza tym dziewczyna niepokoiła się o swoją służkę. Odeszła więc Ochocz, zwłaszcza że poprosił ją, by przygotowała papiery potrzebne do uwłaszczenia Śpiewaka.

- A co z Colignakiem? To on przewodził wysłannikom inkwizycji.

- No, właśnie. - Atoc potarł czoło. - Musisz pan to sam zobaczyć. Tanaka, Kirkincho, chodźcie.

Wyszli przez bramę i przedzierając się ledwo widoczną wśród zarośli ścieżką, okrążyli basztę narożną i kapliczną, aż znaleźli się pod oknami komnaty Waclawa i poszli kawałek dalej. Skały dochodziły tu stromo aż pod sam mur górnego zamku, stąpali zatem ostrożnie po wąskiej ścieżynie tuż przy ścianie, gdyż każdy niedbały krok groził skręceniem karku, tak jak to się przytrafiło zmasakrowanym zwłokom spoczywającym poniżej.

- Odpadł od sznura - powiedział Inka, wskazując Waclawowi zwisającą z

góry linę, zapewne tę samą, którą na swą zgubę ojciec Franciszek spuścił Colignacowi i jego ludziom.

Zwinnie jak kozice dwaj górale andyjscy zeszli po ciało, po czym sprawnie wciągnęli je na ścieżkę.

- Musiał spaść na twarz - skrzywił się Atoc na widok pokiereszowanego do niepoznaki oblicza. - Nie spodziewaliśmy się ataku od strony górnego zamku, ale oni chyba jeszcze mniej powitania, jakie im zgotowaliśmy.

Pewnie liczyli, że dywersja z podziemi zaabsorbuje nas całkowicie. Tylko ten jeden zorientował się w porę w sytuacji i zdołał uciec. Niedaleko, jak się okazało.

Ukląkł przy zwłokach i obejrzał je dokładnie.

- To on - zawyrokował. - Jego peruka, odzienie, nawet sygnet na palcu... O, a to czy aby nie pański pistolet?

Wacław milczał. Potem pochylił się i odebrał swój pistolet.

- Uciekał w panice, pewnie przypadkiem wypuścił z rąk linę - zgadywał Atoc.

- Możliwe...

Wrócili na zamek. Inkascy wojownicy dołączyli przytaszczone ciało do kolekcji zgromadzonej na dziedzińcu i dla wszystkich problem definitywnie przestał istnieć. Tylko Wacława nie opuszczały nieokreślone wątpliwości. Coś nie dawało mu spokoju, lecz nie potrafił sprecyzować co. Może to, że Colignac nie wyglądał na takiego, który zginąłby w przypadkowy sposób. Nie rozchmurzył się nawet wtedy, gdy kapitan Kaunitz, rozplywając się w komplementach, dziękował mu za kolejną i najokazalszą z dotychczasowych dostawę bandytów, ani wówczas gdy Śpiewak przybył podziękować za nieoczekiwany dar.

- Rozchmurz się i chodź z nami świętować! - Klepnął Waclawa w plecy Sebastian. - Cieszymy się, bo przecież dziś znikło zagrożenie jak miecz Damoklesa wiszące nad nami od lat, a ty masz nos zwieszony na kwintę i minę, jakbyś się opił octu siedmiu złodziei...

W tej chwili Waclaw pojął, co go niepokoiło - przy trupie rzekomego Colignaca nie znaleziono jego szpady! A przecież z pewnością była dla niego równie cenna, jak batorówka dla Benesza. Czyżby poświęcił jednego ze swych ludzi, aby sfingować własną śmierć? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej nabierał przekonania, że jego domysł jest słuszny. Ale kto mu da wiarę? Wszyscy tak bardzo chcieli wierzyć w zlikwidowanie wszelkiego zagrożenia. Wystarczyło popatrzeć na rozradowaną wreszcie, pierwszy raz od śmierci Uminy, twarz Sebastiana. Nie miał serca pozbawiać go utęsknionego spokoju, a to oznaczało, że w pojedynkę musi nadal czuwać nad bezpieczeństwem ich wszystkich. Westchnąwszy ciężko, dał się poprowadzić do sali biesiadnej.

Testament

Domyślasz się zapewne, o czym chcemy z tobą porozmawiać?

Euforia sprzed paru tygodni, po rozbiciu połączonych sił wysłanników inkwizycji i pospolitych bandytów, już minęła. Ostatnio Sebastian i Inkowie wyglądali na zaaferowanych, natomiast prości wojownicy uwijali się jak w ukropie. Coś się szykowało i Waclaw nie zdziwił się, gdy został wezwany przed oblicze królewskiej rady. Mimo woli poszukał wzrokiem miejsca, gdzie podczas jego poprzedniej bytności znajdowała się srebrna skrzynia ze skarbami. Teraz stał tu zwykły, prosty stolik. Zniknął skarb, zginęła Umina i inni, wiele się zmieniło. Nie miał ochoty zgadywać, o

czym chcą z nim rozmawiać, dlatego milczał wyczekująco.

- Swego czasu deklarowałeś chęć zaopiekowania się Antoniem. No tak, mógł się domyślić, że o to chodzi. A już prawie zapomniał, że dał się zrobić w coś tak idiotycznego.

- Nie wycofuję się z tego, choć Bóg świadkiem, bycie piastunem to ostatnia rzecz, do jakiej się nadaję.

Sebastian poszukał wzrokiem Inków. Wszyscy trzej lekko kiwnęli głowami na znak zgody i zachęty. Kontynuował:

- Prześwietna Rada Emisariuszy Inków powzięła w tej materii postanowienie, z którym chcielibyśmy teraz cię zapoznać.

- Zamieniam się w słuch - odparł uprzejmie.

- Niebezpieczeństwo, które zagrażało nam przez tyle lat, nareszcie przestało istnieć. Bez wątpienia w znacznym stopniu zawdzięczamy to tobie - ciągnął stary Berzeviczy.

Inkowie znów potaknęli.

_ Kiedy ja...

_ Nie udawaj skromnego - przerwał mu niecierpliwie Sebastian. -

Skromność to piękna cecha, lecz nie należy z nią przesadzać. A teraz słuchaj i postaraj się nie przerywać. Inkasy wyjeżdżają. Skoro zniknęło zagrożenie, mogą wrócić do Peru, aby szykować grunt pod nastaną insurekcję.

_ Tak szybko? - zdziwił się Waclaw.

_ jak tylko się da - potwierdził Apu Atoc. - Chcielibyśmy wyruszać za kilka dni. Na długą podróż, która nas czeka, czas jest najwyższy. Jednak wszystko zależy od ciebie, seńor.

_ Mianowicie?

_ Czy podpiszesz i zaprzysięgniesz ten dokument.

Sebastian podsunął bratankowi dwa arkusze pergaminu. Jeden zapisany w języku Waclawowi nieznanym, drugi dziwną polszczyzną, znaną mu z listów stryja. Widać Sebastianowi łatwiej przyszło nauczyć się współczesnego języka ojczystego w mowie niż w piśmie. Zawity tekst brzmiał następująco:

„Ja, Waclaw Benesz de Berzeviczy, Baron de Dondangen, przysięgam wobec Męki Pańskiej, Prześwietnej Rady Emissaryuszy Inków i J.O. Stryja mego Sebastiana, uczynionych dzisiaj uchwałą ostatnich Prześwietnej Rady być kuratorem i rzetelnym wykonawcą. W szczególności obliguję się:

Antonia Inkasa legitime wnuka J.O. Stryja mego Sebastiana, sierotę jedną wiosną liczącą, dla uchronienia go jak i edukacji przystojnej za swego przyjąć, także do ksiąg wpisać, jakoż nazwisko nasze, tytuł i splendor rodu mu dać, by tym pewniej pochodzenie rzeczzonego Antonia zakryć, a od pościgu i prześladowców uchronić. Także obliguję się wydać rzeczzonego Antonia na każde wezwanie Prześwietnej Rady Inków, uczynione mi koncesye sobie, jak przyrzeczone*, zachowując.

Gdyby zaś żadne poselstwo Antonia Inkasa nie odebrało, za obowiązek sobie biorę, gdy do lat dojdzie, wszystko o krwi i pochodzeniu jego mu wyjawić, także odkryć przed nim powierzoną mi w tym celu tajemnicę Testamentu Inkasów, jako z trzech wieków i części złączonego. Pierwszej w Titikaka, drugiej pod Wiga zatopionej i ultimo przez Prześwietną Radę Emissaryuszy Inków złożonych tu nieużytych sum. Gdyby zaś Antonio Inkas, do lat pełnych doszedłszy, wolę miał do ojczyzny swej powrócić, za obowiązek biorę, spod władzy swej

opiekuńczej go uwolniwszy, w drogę bezpiecznie wyprawić wraz z należnym mu dziedzictwem Inków, przodków jego.

W razie zaś, co broń Boże, śmierci Antonia, obliguję się testamentu nie naruszając, tajemnicy wiernie dochować, a na poselstwo stosowne czekać.

Wręczony mi przez Prześwietną Radę testament za największą mając relikwię, pod ostatnim stopniem pierwszej bramy górnego zamku ukrywszy, samemu tylko Inkasowi Antoniowi zdać, gdy do lat dojdzie, poszukiwań żadnych na własną rękę nie czyniąc, przyrzekam.

Zamek Dunajecz, panom Horwathom Paloczayom odebrany w zamian za wypożyczone im sumy, obliguję się w stosownym czasie Inkasowi Antoniowi na azyl bezpieczny, a akademię uciekinierom i egzulom z jego ziemi i rodu zapisać"1.

- Nic z tego nie pojmuję - wyznał szczerze Waclaw, oddając papier.

- Don Sebastiano - wtrącił Tata Untu z dyskretnym uśmiechem - w może nieco wyszukanej formie, istotę rzeczy ujął wszakże w sposób należyty.

Pokrótkie idzie o to, byś pan usynowił prawnie Antonia i zapewnił mu stosowną do jego stanu edukację, na co otrzymasz gwarantowane sumy.

Jeśli zaś zjawią się gońcy z Peru, wydasz im chłopca wraz z jego dziedzictwem. Jeżeli zaś nikt się nie pojawi, nim Antonio dojdzie do lat sprawnych, wyjawisz mu tajemnicę jego pochodzenia, wydasz testament i godnie zaopatrzywszy, odeślesz do Peru, jeśli wyrazi taką wolę.

Dokument o zbliżonej treści został podobno odnaleziony w 1946 r. przez Andrzeja Benesza, potomka Waclawa i Antoniego Beneszów, w archiwum kościoła Świętego Krzyża w Krakowie (zob. Zamiast epilogu Legenda niedzicka).

Nawet po tłumaczeniu Untu Benesz potrzebował dobrych paru minut, by

dotarł do niego sens przedstawionej mu propozycji.

- O jaki testament chodzi i co to za dziedzictwo?

- Panie Untu, pokaż testament - powiedział Apu Atoc.

Mały uczoney położył przed Wacławem pęk wielobarwnych rzemieni, zgrupowanych w trzech rzędach. Każdy rzemień posiadał węzły o różnym kształcie i różnej wielkości. Trzy z nich były zakończone złotymi blaszkami z wydrapanymi na nich napisami: Titicaca, Vigo, Dunajecz.

- To jest kipu - uprzedził pytanie amauta - czyli pismo węzełkowe. W dawnych czasach nasi przodkowie potrafili w ten sposób zapisać niemal wszystko, co tylko zapragnęli.

- Tata Untu jest ostatnim z kipukamayoków - przypomniał Sebastian.

- Ale nawet ja nie potrafię już odczytać starych kipu ani sporządzić nowego - stwierdził uczoney ze smutkiem.

- No więc, co to jest? - Wacław naprawdę już nic nie rozumiał

- To nie jest prawdziwe kipu. Tamte były robione z wełny, a to jest rzemieńne. Sam je wykoncypowałem, nikt inny nie potrafi go odczytać, bo tylko ja wiem, co znaczą poszczególne węzły. To mój własny chiffr1. Po powrocie do Peru wybiorę sobie następcę, więc zawsze będzie ktoś, kto objaśni to kipu Jedyemu Ince.

Apu Atoc położył Wacławowi rękę na ramieniu.

- Wiesz już pan, że ukradkiem zabraliśmy trumnę Uminy razem ze skarbem z krypty pod starą kaplicą. Winniśmy ci przeprosiny. Późniejsze wypadki jednak pokazały, że mieliśmy słuszność, postępując w ten sposób i utrzymując rzecz w sekrecie, nawet przed tobą. Bez wskazówek zawartych w kipu nikt nie znajdzie grobu pani Uminy ani ukrytego w nim skarbu, bo to dziedzictwo Antonia. Tylko on, przy pomocy naszych

wysłanników, gdy nadejdzie czas, będzie mógł odczytać testament i podjąć spadek.

- To wyłącznie zabezpieczenie, a nie kwestia braku zaufania do ciebie - zapewnił Sebastian bratanka. - Zresztą kipu schowamy w twojej przytomności.

- Wybraliśmy już miejsce - dodał Atoc - a jeśli idzie o czas...

- Inti Raymi - ocknął się Inca Huallpa. - Najodpowiedniejszy czas nastanie wtedy, kiedy Inti, ojciec naszego młodego Sapay Inki, doszedłszy do północnego krańca swej drogi, pozostanie wśród nas przez najdłuższy dzień w roku, po czym zawróci do Tahuantinsuyu, by zanieść naszym ludziom radosną nowinę, że nowy władca znalazł w obcym kraju dobrą opiekę. Lecz jak Viracocha powróci, by przynieść wolność swemu ludowi. Tak, Święto Słońca będzie najodpowiedniejszą porą, by powierzyć ziemi sekret dziedzictwa Syna Słońca.

Chiffre (fr.) - szyfr.

Wygłosiwszy tę przydługą kwestię, starzec znów zapadł w drzemkę.

- Zatem czcigodny Inca Huallpa już zdecydował - powiedział Atoc, mrugając do Benesza. - Odpowiada to panu?

- Mnie odpowiada każdy termin. Panie Untu, bądź łaskaw wyjaśnić mi jedno. - Wacław powstrzymał amaute, który już zwijał kipu i chciał schować je do metalowej tulei. - Rozumiem, że węzły na rzemieniach zakończonych blaszką z napisem Dunajecz wskażą drogę do skarbu, ale co oznaczają pozostałe rzemienie? Skarby z Titicaca i Vigo wydają się bezpowrotnie stracone.

- Mylisz się pan - zaprzeczył stanowczo Atoc. - One też stanowią spuściznę Sapay Inki i kiedyś się o nie upomnimy. Zresztą słyszałem, że

wy, Polacy, także macie swoje „sumy neapolitańskie”¹, z których nie zamierzacie rezygnować.

- Dobrze - odparł Waclaw. - Poproszę papier, podpiszę go.

Ale Sebastian i obaj Inkowie (Inca Huallpa tym razem zasnął na dobre) chcieli, by podpisanie i uroczyste zaprzysiężenie aktu adopcji Antonia miało odpowiednią oprawę, stosowną do rangi wydarzenia, któremu przypisywali ogromne znaczenie. Udali się zatem we czwórkę do kaplicy i tam, z ręką na Biblii, Waclaw przysiągł co do joty zastosować się do treści dokumentu, a następnie potwierdził to na piśmie pod aktem adopcji:

„Zaprzysiężony wobec wzwyż wymienionych, Anno Domini 1797 Die Juny w kaplicy na Zamku Dunajecz. Waclaw Benesz de Berzeviczy Baron de Dondangen. Manu Propria”.

Polskojęzyczną wersję dokumentu zatrzymał Sebastian, drugą, sporządzoną w runa simi, mowie Inków, zabrał Tata Untu. Inkowie opuścili kaplicę, zostawiając stryja z bratankiem sam na sam.

- Pomódlmy się za duszę Uminy i powodzenie naszych zamiarów - zaproponował starzec.

Po modlitwie usiedli w ławce ramie w ramie.

„Sumy neapolitańskie” - olbrzymie pieniądze, wywiezione przez królową Bonę z Polski w 1556 r. i pożyczone następnie królowi hiszpańskiemu i neapolitańskiemu Filipowi II, których mimo 200-letnich starań dworu polskiego nie udało się odzyskać.

- Dziś jest ważny dzień dla nas obu - stwierdził Sebastian, wpatrując się w płonące na ołtarzu świece. - Ja mogę już spokojnie umrzeć, ale przed tobą całe życie. Co planujesz z nim uczynić?

- Zdaje się, że to już postanowione - odparł Waclaw nieco ironicznie. -

Będę sobie tu siedział i piastował Antonia.

- Sam?
- Z tobą.
- Nie o sobie myślałem.
- A o kim?
- O panie Rubinowskiej. Czyś prosił ją o rękę?
- Nieraz.
- Naprawdę? Mnie w swaty nie poprosiwszy, oświadczyłeś się sam.

Wacław zmieszał się.

- Niezupełnie, bo też ona nie chce o tym słyszeć. I dworuje sobie ze mnie przy lada okazji.

Sebastian spojrział na bratanka spod oka.

- No, to jestem kiep, jeśli ona ciebie nie kocha. A tobie naprawdę na niej zależy?
- Bardziej niż na czymkolwiek na świecie. Ciebie i Antonia nie wyłączając - odparł smętnie Wacław, który nie dalej jak poprzedniego dnia znów posmakował ostrego języka Anny. Zastanawiał się, ile razy jeszcze będzie musiał ją uratować, by zaczęła go traktować poważnie. A nie miał wiele czasu, bo dziewczyna zrobiła wzorowy porządek w folwarku i czekała tylko na zapowiedziany przyjazd Palocsaya, by razem z hrabią wrócić do Pławca.

Sebastian wstał i wyszedł z ławki. Poklepał bratanka serdecznie po ramieniu.

- Ergo nie zwlekaj zbyt długo, bo ją stracisz. Dobrze ci radzę.

Odszedł, a Benesz ukrył twarz w dłoniach, próbując w tym uświęconym miejscu znaleźć radę i pomoc w najważniejszej w swoim życiu sprawie.

Najkrótszą noc w roku Waclaw spędził wraz z Inkami w kaplicy.

Brakowało jedynie Inki Huallpy, który pozostał na dziedzińcu. Dołączyli do niego na chwilę przed wschodem słońca.

Gdy tylko jego pierwszy promień ozłocił wierzchołek słupa-in-tihuatany, Inca Huallpa uniósł ramiona w górę i wydał przenikliwy okrzyk, który podchwycili pozostali Inkowie. Zaraz potem wojownicy indiańscy uderzyli w bębny i zagrali na fletniach, wiekowy zaś Inka zaintonował monotonną pieśń. Gdy skończył, wszyscy uklękli, zrzucili obuwie i trzymając na wprost twarzy dłonie, ślali pocałunki w kierunku Słońca. Potem wstali i Inca Huallpa podniósł z ziemi przygotowane wcześniej czary z napojem. Naczynie, które trzymał w prawej ręce, podniósł do góry, jakby zapraszając Słońce do poczęstunku, po czym wylał płyn na ziemię, a czarę odstawił.

Wziąwszy inne naczynie, chwycił je oburącz i zbliżył się do Antonia.

Podtrzymywany przez Sebastiana chłopczyk siedział wygodnie rozparty na niskim tronie i ciekawie wodził dookoła czarnymi oczyma. Krzywiąc się, dziecko upiło nieco płynu z czarki, po czym kapłan puścił złoty krater w krąg.

Upił także Waclaw. Wziął udział w obrzędzie na prośbę Sebastiana, który utrzymywał, że prastare inkaskie święto Ziemi i Słońca, Inti Raymi, przy dozie dobrej woli można potraktować tak jak polskie sobótki, które choć niby poświęcone świętemu Janowi, też przecież mają pogański rodowód. Kiedy jednak na środku dziedzińca rozpalono ogień, by spalić w nim zabite przez arcykapłana śnieżnobiałe jagnię, Benesz uznał, że co za dużo, to niezdrowo, udał się do kaplicy i przebywał tam samotnie aż do zmierzchu, poczuwszy w sobie rzadki napad religijności.

Nie widział więc, jak stary Inka szukał w ciele ofiary znaków, które pozwoliłyby mu odczytać tajemnice przyszłości, i jak bardzo wstrząsnęło nim to, co zobaczył. Nie słyszał, jak wraz z upływem długiego dnia śpiew i muzyka stawały się coraz bardziej melancholijne, by wraz ze zmierzchem umilknąć całkowicie. Gdy zniknął ostatni błysk światła, Indianie i Sebastian wznieśli okrzyk bóleści, wyciągając ręce w górę w geście bezgranicznej rozpacz, jakby razem ze Słońcem opuściło ich w tym momencie wszelkie szczęście, a przyszłość rysowała się równie czarno jak nadchodząca noc.

Wacław nie należał do szczególnie pobożnych, więc cały dzień spędzony w kaplicy, i to na czczo, trochę go wymęczył. Dlatego gdy przyszli po niego, powitał ich prawie z radością. Na dziedzińcu nie pozostał ani jeden ślad niedawnego świętowania, nawet intihuatane zdemontowano.

Kirkincho, któremu wciąż doskwierała rana odniesiona w ostatniej bitwie, został wysłany na górny zamek, bramy wjazdowej podjął się pilnować Sebastian. W ten sposób zyskano pewność, że nikt niepowołany nie przeszkodzi w robocie.

Przy bramie wiodącej do sieni pod średnim zamkiem ustawiono latarnie, wierzeje zaś odchyłono i podparto kamieniami. Uzbrojeni w łopaty i stalowe łomy czterej Indianie oraz Atoc i Wacław usiłowali wymontować ciężki próg z portalu. Tata Untu za pomocą dodatkowej latarki przyświecał im, jak mógł najlepiej. Mimo to szło niesporo. Najtrudniej przyszło wysunąć próg z obu kamiennych futryn, został bowiem wpuszczony w odrzwia wyjątkowo solidnie. Najpierw spróbowali podkopać próg od strony sieni, z mizernym wszak efektem, gdyż wnet pokazała się skała, z którą cios był dokładnie zespojony. Tanaka i Kokchi zaczęli uderzać

łomami w spoiny, aby obluzować stopień, co udało im się po wielu wysiłkach. Podważyli stopień i zaczęli go wysuwać z uchwytów. Ledwie drgnął. Dopiero gdy wsparli ich pozostali, kamienna bryła ożyła.

Dwanaście ramion z najwyższym trudem zdołało odsunąć na bok potężny blok.

Pogłębienie wykopu łopatami było o wiele łatwiejsze, mimo iż dokopano się najwyżej na stopę głęboko, bo tylko tyle się dało. W powstałym zagłębieniu Waclaw osobiście złożył sklepaną z obu końców ołowianą tuleję, zawierającą kipu będące kluczem do tajemnicy skarbu. Był to jednak klucz, którym umiał się posługiwać zaledwie jeden człowiek na świecie - Tata Untu. Latarka trzymana przezeń na wysokości oczu oświetlała twarz małego uczonego, nieruchomą jak maska, z której można było wyczytać równie wiele, co z zaszyfrowanego przezeń kipu.

Przysypali rurę piachem, osadzili próg na miejscu, a świeżą zaprawę zabrudzili ziemią, aby za dwa, trzy dni nie pozostał żaden ślad ich działalności.

Ostatni tydzień czerwca był czasem pożegnań. Wyjazd Inków Waclaw przyjął z mieszanymi uczuciami. Zaprzyjaźnił się z Apu Atokiem, polubił Tatę Untu, a Inca Huallpa wzbudzał w nim coś na kształt lęku pomieszanego z rozbawieniem, co stanowiło zaiste dziwaczną kombinację. Z drugiej strony ich odmienność i osobliwe obyczaje sprawiały, że zawsze czuł się przy nich trochę nieswojo. Ale przywykł do ich obecności i rozstawali się z odrobiną smutku.

Odbyło się huczne pożegnanie, a to rzecz jasna za przyczyną hrabiego, który z niezwykłym wyczuciem objawił się wreszcie, i to razem z

cygańską kapelą wędrownych grajków, wyśmienitym humorem i Jungenfeldem na doczepkę. Uczta trwała bite trzy dni i wyczerpano podczas niej cały zapas trunków przywiezionych przez Horwatha, a także mocno nadwerężono zawartość zamkowych piwnic. W sumie, jak potem obliczono, wypito pięć i pół beczki wermutu, beczkę wina doborowego, pół beczki tokaju szamorodnego i sto trzydzieści flaszek esencji ponczowej¹.

Z tego morza trunku przeszło połowę wchłonął Sebastian do spółki z Jungenfeldem, którzy stoczyli porywający pojedynek na kielichy. Ostatecznie, po twardym boju, zwyciężył Prusak, lecz przez następne dwa dni nie był świadom ani swego sukcesu, ani niczego innego.

Rozstanie ze Śpiewakiem przebiegło o wiele skromniej. Wcześniej Waclaw zgodził się zamienić mu podarowaną ziemię na równowartość w gotówce, chłop nie chciał bowiem pozostać na wsi.

Autentyczne dane dotyczące jednego z hucznych przyjęć, jakich wiele Andrzej Horwath urządzał na zamku w Niedzicy.

- Nie mogę tu zostać - wyjaśnił. - Jeden wolny człowiek pośród niewolników. A poza tym wolę do miasta. Ksiądz Lorencs dał mi list instancjonalny do proboszcza fary w Nowym Targu, gdzie wakuje miejsce organisty.

- Powodzenia. - Waclaw uścisnął mu dłoń na pożegnanie i podarował dobrego wierzchowca.

Chłop był tak rozradowany, że wydał z siebie przeraźliwy okrzyk, wyrzucił w górę nieodłączną krakuskę, spiął konia i ruszył z kopyta, nie oglądając się za siebie.

Waclaw wbił smutny wzrok w porzuconą czapkę, poniewierającą się w

pyłe gościńca.

- Wszyscy mnie opuszczają - poskarżył się.

Anna, która również brała udział w pożegnaniu Śpiewaka, odezwała się cicho:

- Ja też wkrótce odjadę.

- Dlaczego? A bo ci tu źle?

- Wracam do Pławca razem z Andrzejem - upierała się, nie patrząc mu w oczy.

- Tu jesteś bardziej potrzebna. Pokręciła głową przecząco.

- Wcale nie. Pan Sebastian lepiej zna się na ekonomice, niżli się do tego przyznaje.

- A co z Antoniem? - zapytał. Ostatnio Anna dużo czasu spędzała z chłopcem, bardziej do niej przywiązany niż do mamki, którą dla niego znalazła we wsi.

Wciąż unikała jego wzroku, uparcie usiłując coś wypatrzyć pod stopami.

- Jemu jest potrzebna matka, nie niańka.

Miał na taką okazję przygotowaną płomienną mowę, a gdy przyszło co do czego, nic nie był w stanie z siebie wykrztusić. Dziewczyna obróciła się na pięcie i zniknęła w domu, a on wciąż stał jak wryty z pustką w głowie.

Pojedynek

W ostatnim dniu czerwca piękna dotąd pogoda trochę się popsuła. Słońce skryło się za chmurami, zaczął siąpić deszcz. Ustał wkrótce, lecz nadal było dość ponuro. Dokładnie odpowiadało to nastrojowi Wacława, choć go bynajmniej nie poprawiało.

Najpierw, z samego rana, dowiedział się przy śniadaniu, że poprzedniej

nocy ktoś rozkopał nieoznakowane groby na miejscowym cmentarzu. Wiadomość o profanacji rozeszła się po okolicy lotem błyskawicy, budząc powszechne oburzenie oraz pragnienie schwytania i ukarania sprawcy. Na wieść o tym omal nie udławił się właśnie przeżuwającym kęsem. Dałby sobie obciąć rękę, że ktoś plądruje groby w poszukiwaniu trumny Uminy z jej cenną zawartością. Wydawało mu się nawet, że wie kto. Po wyjeździe Inków łotr poczuł się pewniej, a teraz, czy odnajdzie skarb, czy nie, prędzej czy później spotkają się z Beneszem. Po raz ostatni. Zaraz po śniadaniu chciał pomówić z Anną, aby ostrzec ją przed niebezpieczeństwem, ale dowiedział się, że pojechała na przejażdżkę z Sebastianem. Niepokój o nich był drugim powodem jego podłego samopoczucia.

Trzeci zaś stał przed nim. Von Kaunitz i jego żołnierze zjawili się na zamku przed kwadransem. Zaproszenie na kieliszek wina oficer przyjął z ociąganiem, co zdziwiło Waclawa. Podejmowali go w jadalni samowtór z Horwathem, gdyż Jungenfeld odsypiał wieczorne pijaństwo.

- Winszuję - powitał go Benesz - panie pułkowniku! Kaunitz pokraśniał i nie zdołał powstrzymać się od pieszczotliwego muśnięcia nowych, kapiących od złota epoletów.

- Za pański awans! - dodał Palocsay, wznosząc kielich w górę. Wypili. Pułkownik otarł wąsy.

- Swój awans zawdzięczam w dużej mierze panu baronowi - skłonił się Waclawowi - który bardzo uprzejmie pozwolił mi przypisać sobie całą zasługę w rozbiciu band Baczyńskiego i Łazarczyka. Z tym większą przykrością przychodzi mi wypełnienie obecnego zadania.

Minę miał rzeczywiście niewyraźną.

- No, dalej, wyrzuć pan to z siebie nareszcie - zachęcił go hrabia, napelniając kielichy. - Ale wprzód wypijmy!
- Ciężko mi to mówić - oficer wpatrywał się w dno pucharu, jakby tam szukał natchnienia - lecz służba nie drużba. Idzie o to, iż niedawno nasza policja, do spółki ze służbami rosyjskimi, rozbiła tajną polską organizację zwaną Centralizacją, której ślady wiodą aż do Francji. I choć domniemany przywódca spiskowców, hrabia Dzieduszycki, nie wydał nikogo, to wielu pomniejszych agentów udało nam się ująć. Aresztowania zataczają coraz szersze kręgi. Dotarły nawet na Spisz.
- Co pan powiesz? - uprzejmie zdziwił się Horwath. - Czyżbyś przybył kogoś aresztować?
- Owszem - pułkownik podniósł wzrok i popatrzył na Benesza przepraszająco.
- Znowu? - zirytował się Palocsay. - Już raz to wyjaśnialiśmy, pamięta pan nieszczęsnego komisarza Schwarzfuchsa i jego chybione podejrzenia? Kaunitz nie wiedział, co zrobić z rękoma, które nagle zaczęły mu bardzo przeszkadzać.
- Tak, ale tym razem sprawa jest poważniejsza - odparł. - Doniesienie na pana barona złożyli Moskale. Znają pana z wcześniejszej działalności w niedawnej rebelii... pardon, powstaniu, i powiązali pańską obecność w tych stronach z działalnością polskiego agenta, niejakiego Brzozowicza...
- To śmieszne - przerwał mu hrabia z pogardą - i gołosłowne oskarżenie szanowanego obywatela, chyba zdaje pan sobie z tego sprawę, pułkowniku?
- Mamy także zeznanie wieśniaka, który przyznał się do przynależności

do miejscowego spisku.

- I to on mnie oskarża? - zdziwił się Wacław.

- Nie. On utrzymuje, że Brzozowicza znał jedynie niejaki Śpiewak.

Niestety, ów Śpiewak zniknął i nikt nie wie, gdzie go szukać.

- No to pięknie - rzekł hrabia. - Macie choć opis tego Brzozowicza?

- Owszem, mój informator raz go widział z daleka, rozmawiającego z tym Śpiewakiem. Średniego wzrostu, szczupły, dobry jeździec i to wszystko.

Niestety, był w pelerynie i kapturze.

- Taki opis może pasować choćby do mnie - zauważył Palocsay. - Albo do kogokolwiek.

- To prawda - zgodził się Kaunitz - ale mnie pan starosta kazał sprowadzić na przesłuchanie pana barona de Berzeviczy, więc z całym szacunkiem...

Rozległo się pukanie i do komnaty wszedł podoficer.

- Co jest? - Kaunitz groźnie zmarszczył brwi. - Zabroniłem przeszkadzać!

- Tak jest, panie pułkowniku, lecz złapaliśmy jakiegoś chłopaka, który koniecznie chce widzieć się natychmiast z panem baronem de Berzeviczy.

- Dawaj go tu.

Przepuszczony przez żołnierza zdyszany Juraj wpadł jak bomba do izby.

- Jaśnie panie! - wychrypiął na widok Benesza. - Nieszczęście!

Juraj powoził bryczką, którą Anna i Sebastian wybrali się na przejażdżkę, dlatego Wacław zbladł, podskoczył ku pacholcowi i zacisnął mu dłonie na ramionach.

- Mów!

- Wracali my ze Frydmana, gdy zaraz za Falsztynem wypadł na nas z lasa jakiś człek galopem jadący. Ułapił za pysk konia u bryki i wyjąwszy króciwę, nakazał panu starszemu schodzić i broń rzucić. Jaśnie pan nie

usłuchał i dobył szablicy. A ów diabeł jeno się zaśmiał i pozwoliwszy naszemu panu machnąć ze dwa razy, w pierś szpetnie go dziabnął i na ziemię powalił. Potem pannę na koń porwał, choć mocno się zapierała, i ruszył traktem na Łapsze...

Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Kiedy to się stało?
- A dopiero co.
- Co z panem Berzeviczym?
- Jeszcze dycha, ale źle z nim. Na księżą oborę patrzy. Strach go nawet z wozu ściągać... Poznałem tego łotra, jaśnie panie! Brodę teraz ma i wielki baus lecz bez ochyby to ten żabojad, Koliniak!

- On żyje?! - zdumiał się Palocsay.

- Panie pułkowniku, muszę natychmiast ruszać w pogoń! - Waclaw puścił pachołka i skierował się do wyjścia. - Każda chwila jest droga!

Oficer zastąpił mu drogę.

- Przykro mi, lecz nie mogę pana puścić - patrzył współczująco, ale mówił stanowczym tonem. - Proszę tu na nas zaczekać. Kapralu! Każcie ludziom szykować się do drogi. Już do was idę.

Kiedy podoficer i Juraj wyszli, dodał jeszcze:

- Liczę, że zastanę pana po powrocie. Proszę mnie nie zawieść
- była to uprzejma, niemniej pogróżka.

Wyszedł. Waclaw usiadł bez sił na krześle i z wściekłością rąbnął pięścią w stół.

- Ja może mógłbym ich jeszcze dogonić, Kaunitz na pewno nie
- powiedział z rozpaczą. Hrabia zerknął nań spod oka.

Baus (gwar.) - wąs.

- Faktycznie, znalazłeś się waść w pożałowania godnym położeniu - rzekł, bawiąc się kieliszkiem. - Ale być może znajdzie się rozwiązanie wszystkich pańskich kłopotów.

Benesz spojrział mu w oczy z niedowierzaniem.

- W jaki sposób?

- Prosty. Przecież Centralizacja współpracowała ściśle z Francuzami, czyż nie? A Colignac uchodzi za Francuza. Zjawił się w Dunajcu przed waszmością. Czyż nie pasuje doskonale do roli ajenta? Wystarczy jedynie podsunąć pułkownikowi taką myśl, a uchwyci się jej z wielką ochotą, pan zaś raz na zawsze oczyścisz się z wszelkich podejrzeń.

- Nic na mnie nie mają.

- Czyżby? - Horwath uniósł brwi. - Starosta i nasz poczciwy pułkownik to Austriacy. Nie znają węgierskiego, a tym bardziej polskiego. Dlatego jeszcze nic nie skojarzyli. Jednak ktoś w końcu wpadnie na to, że węgierskie nazwisko Berzeviczy na polski tłumaczy się Brzozowicz. Lepszego lica nie będą potrzebowali. Bardzo kiepskie wybrałeś sobie imionisko, baronie...

- Nie ja je sobie wybierałem - odparł Wacław ponuro.

- Przypuszczam. Jestem waści życzliwy, w co chyba nie masz powodu wątpić. Chętnie zatem obciążę swoimi zeznaniami Colignaca, ale... Zawiesił głos, a w Beneszu obudziła się nadzieja.

- Ale?

- Wszystko ma swoją cenę.

- Jaka jest pańska?

- Wiem, że pan nie lubisz Dunajca, a ja Kocham ten zamek. Mam pomysł, jak go odbudować... - Przerwał, unikając wzroku Wacława.

Wacław gwałtownym ruchem odpruł podszewkę koletu i wy dostał samotnie tam spoczywający, odkąd pozbył się instrukcji agenta Centralizacji, akt kupna zamku. Popchnął go w stronę Palocsaya.

- Bierz pan.

Hrabia już wyciągnął drapieżnie rękę, po czym ją cofnął, czerwieniejąc z zawstydzenia.

- Nie. Jednak nie mogę...

- Bierz waść. Masz słuszność. Nie lubię tego zamku i nigdy nie polubię. A teraz chodźmy do pułkownika, szkoda czasu.

Kaunitz sam się znalazł, wchodząc do komnaty akurat wtedy, gdy Horwath chował papier do kieszeni surduta.

- Ruszam, moi panowie! Głowa do góry, baronie, złapiemy łotra!

- Koniecznie, pułkowniku - wtrącił hrabia - bo ten łotr to nie kto inny, tylko poszukiwany przez ciebie agent.

- Cóż pan powiadasz? - wybąkał oficer, wybałuszając oczy.

- Wahałem się dotąd - rzekł Palocsay, robiąc stosownie zakłopotaną minę

- gdyż kawaler de Colignac był niegdyś moim przyjacielem, ale kiedy za cudze winy ma odpowiedzieć człowiek niewinny - wskazał Benesza -

honor nie pozwala mi milczeć. To Colignac jest tym, którego szukasz,

mości pułkownika. Podejrzewaliście Polaka, a kurierem okazał się

Francuz. Pamiętasz, że już świętej pamięci komisarz Schwarzfuchs

podważał jego tożsamość? Złapcie go, a będę przeciw niemu zeznawał.

- Nie czas na gadanie, na koń! - zawołał Wacław i omijając osłupiałego pułkownika, jak szalony wybiegł na dziedziniec.

Kaunitz z rozdziawionymi ustami przetrawiał nowe informacje. Jego niezbyt lotny umysł nie od razu mógł sobie poradzić z zaskakującą zmianą

sytuacji.

- Mnie tam za jedno - wybąkał w końcu. - Polak czy Francuz, jeden pies. Mówiąc między nami - zastrzegł.

- No to na co pan czekasz?! - ponaglił go hrabia, lekko popychając pułkownika ku drzwiom. - Nie chcesz chyba, żeby baron sam ujął groźnego przestępcę i odebrał ci należne splendory?

Na dziedzińcu oddział dragonów czekał w pogotowiu, Benesz zaś, przy pomocy Juraja, w gorączkowym pośpiechu kulbaczył Kuma. Hrabia podszedł do niego i szepnął:

- Colignac nie może wyjść z tego żywy.

- Wiem - odparł Wacław, dopinając popręg. - Choć czy ja, czy on, to dla waści żadna różnica.

- Mylisz się pan - zaprzeczył Horwath. - Anna kocha ciebie, nie jego. Musisz ją uwolnić. Będzie dobrą żoną, a ja wyprawię wam wesele.

Z rozmachem klepnął Kuma po zadzie, bo Benesz już siedział w siodle. Wacław jednak powstrzymał konia.

- Mam prośbę. Stryj umrze bez fachowej opieki. Możesz go pan natychmiast odesłać do szpitala duchaków w Krakowie? Ma tam przyjaciół, zajmą się nim.

- Nie trap się, wyekspediuję go osobiście. Spiesz się!

Jak wystrzelony z katapulty, Kum pomknął rażno przez bramę i w dół podjazdem. Kaunitz na czele dragonów pogonił za nim, wciąż kręcąc z niedowierzaniem głową i mrucząc pod nosem: - A to ci historia! - I śmiał się gromko za każdym razem, gdy wyobrażał sobie minę starosty słuchającego jego sensacyjnego raportu.

Wypoczęty Kum wprost pożerał przestrzeń. Wedle obliczeń Wacława Bask

wyprzedzał go co najmniej o godzinę. Było to sporo. Zupełnie wystarczająco, by ucieczka rokowała szanse powodzenia, ale nie przyjmował tego do wiadomości. Liczył na szczęśliwy przypadek i wierzył w swego wierzchowca. Kum nie należał do szybkobiegaczy, lecz na długich dystansach nie miał sobie równych. Jednostajnym, a przy tym rączym tempem mógł biec niemal w nieskończoność. Tym razem jednak Benesz zmuszał go od początku do najwyższego wysiłku. Colignac miał ze sobą brankę, nie mógł więc umykać zbyt prędko, chociaż nie dało się wykluczyć, że przygotował gdzieś rozstawne konie albo przynajmniej dobrą kryjówkę, by przeczekać pościg.

Odwrócił się. Rozsypani na kształt długiego węża dragoni coraz wyraźniej zostawali w tyle. A przecież Kum jeszcze nie pokazał nawet połowy swoich możliwości. Poklepał wierzchowca serdecznie po szyi, na której nie pojawił się najmniejszy ślad potu.

W tym samym momencie pułkownik von Kaunitz, z niedowierzaniem oglądając powiększający się, pomimo jego usilnych starań, dystans do Benesza, przypomniał sobie sztukę jakiegoś Anglika czy też Francuza, dawno temu oglądaną w Wiedniu, i wykrzyknął:

- Mein Gott! Za takiego konia oddałbym królestwo! - po krótkim namyśle dodając: - A może nawet mój patent oficerski.

U rogatek Falsztyna, przejeżdżając mimo znanej mu już karczmy Pod Rogaczem, Waław zwolnił, ujrawszy karczmarza, z żalosną miną oglądającego zagonionego zupełnie konia, który łeb miał zwieszony do samej ziemi i ledwo trzymał się na drżących nogach.

- Dawno odjechali?! - wrzasnął do arendarza.

- Dopiero co. Konia mi zabrał, dobry panie, pięknego konika, istny skarb

na czterech nogach. I co dał w zamian? Takie nic! Aja-jajaj! Co za strata, co za strata - lamentował Żyd.

Zamiana wierzchowców, dokonana przez Colignaca, zamiast zmartwić, ucieszyła Waclawa. Żyd mógł biadolić, lecz bez wątpienia skorzystał na zamianie. Koń Baska był szlachetnym i rączym zwierzęciem, koń karczmarza z pewnością mu ustępował pod każdym względem z wyjątkiem świeżości. Z nową nadzieją na rychłe dogonienie zbiega znów rozpędził Kuma. Podjazd na najbliższe wzgórze był jednak długi i wyczerpujący, więc musieli zwolnić. Kiedy wszakże osiągnęli wierzchołek wzniesienia, krzyknął gromko z radości.

Przed nim, oddalony zaledwie o staję1, znajdował się uciekinier. Jego obszerna peleryna rozchyliła się, a jej poły furkotały na wietrze. Z tej odległości wyglądał jak olbrzymi nietoperz polatujący tuż nad ziemią. Jego wierzhowiec nie szedł równym krokiem, jeździec też wykonywał nieskoordynowane ruchy. Powodowała to siedząca przed nim dziewczyna, szarpiąc się i próbując uwolnić na wszelkie sposoby. Teraz stało się jasne, dlaczego pościg dopadł ich tak szybko.

Waclaw spojrział w tył. Żołnierzy ani widu. Colignac także odwrócił głowę, a dostrzegłszy pogoń, zaczął kopać w brzuch nieszczęsnego wierzchowca. Benesz ruszył ze wzgórza, rozpędzając się z każdą chwilą. Pochylony nisko nad końską szyją, szeptał Kumowi

Staje, stajanie - ok. 1 km.

w ucho słowa zrozumiałe tylko dla nich obu. Dzielny rumak wyrywał jak chart, jakby nie czuł w nogach i płucach przemierzonego wcześniej dystansu. Gnał, jakby urosły mu skrzydła, a odległość między ścigającym a uciekinierem zmniejszała się błyskawicznie.

Gdy zbliżyli się do zbiega na rzut kamieniem, Waclaw sięgnął po pistolet. Nie mógł się jednak zdobyć na to, by strzelić wrogowi w plecy, poza tym lękał się o dziewczynę. Wystrzelił w powietrze.

Jeździec w dominie odwrócił się. Z jego wyciągniętej w tył dłoni trysnął płomień. Chybił, odrzucił bezużyteczną broń i ściągnął wodze umęczonego wierzchowca. Anna skorzystała z dogodnej okazji.

Gwałtownym szarpnięciem wyrwała się z objęć Baska i zeskoczywszy z konia, pobiegła w kierunku dwukółki, którą właśnie zatrzymywał samotny podróżny, zaskoczony hałasem za plecami. Waclaw rozpoznał w nim barona Gregora de Berzeviczy. Baron jednym rzutem oka ogarnął sytuację, po czym, nie tracąc przytomności umysłu, wyciągnął dwulufowy pistolet. Wodząc wylotem luf od Colignaca do zbliżającego się Benesza, spytał uprzejmie dziewczynę:

- Moja droga, doradź mi, którego pierwej mam zastrzelić?
- Spokojnie, kuzynie - zawołał Waclaw, bo Anna nie mogła wydobyć z siebie głosu. - Ja jestem ten dobry!

Colignac zsunął kaptur z głowy, klepnął końską szyję, zawracając spokojnie wierzchowca, i nagle dał mu ostrogę, jak piorun skacząc na nadjeżdżającego Benesza. Ten był czujny i nie dał się zaskoczyć. Stał brzęknęła dźwięcznie, gdy ostrze szpady napotkało ripostę szabli. Raz jeszcze skrzyżowali żelaza, po czym konie poniosły ich przed siebie w dwie różne strony. Zawrócili natychmiast. Tym razem główne się nie spotkały, gdyż każdy wybrał sobie inny cel. Sługa inkwizycji mierzył w gardło przeciwnika, lecz trafił tylko w ucho. Waclawowi natomiast udało się przeciąć popręg Colignacowi. Mimo ekwilibrystycznych wysiłków Bask nie zdołał utrzymać się w siodle. Natychmiast po upadku poderwał

się na równe nogi, odrzucił krępujący ruchy płaszcz i przyjął postawę. Nie wyglądał najlepiej. Z dawnej elegancji nie pozostało wiele. Zgubił gdzieś perukę, włosy miał posiwiałe i przyklepione do czaszki, ubranie brudne, twarz pooraną zmarszczkami i nagle postarzałą. Tułaczka mu najwidoczniej nie posłużyła. Obcy człowiek w obcym kraju, nieznający języka, był skazany na poniewierkę.

Polak także zeskoczył z konia. Krew z rozharatanego ucha spływała mu po szyi i plamiła koszulę, lecz nie zwracał na to uwagi. Natarli na siebie z zimną, nieodbierającą rozwagi wściekłością.

Ten pojedynek w niczym nie przypominał ich pierwszego starcia pod dębem Palocsayów. Tym razem Waclaw nie dał się zaskoczyć, znał umiejętności rywala i odzyskał zaufanie do swoich. Wciąż Colignac był zwinniejszy, lecz teraz Benesz górował nad nim siłą, a wytrzymałością co najmniej mu dorównywał. Po kilku minutach walki stało się jasne, że potrwa ona długo, a szanse obydwu są takie same.

Głośny tętent za plecami nie zdziwił Waclawa, lecz pan Karol odskoczył na bezpieczny dystans i wskazując końcem szpady nadciągających dragonów, powiedział:

- Mniemałem, że to sprawa tylko między nami dwoma. Co ci tu robią?
- Chcą aresztować ajenta Centralizacji, tego samego, którego daremnie poszukiwał komisarz Schwarzfuchs.
- Doprawdy? - Bask uniósł brwi. - A któż to niby ma być tym ajentem?
- Ten z nas, który zginie.
- Aaa, pojmuję - odparł Colignac po krótkim namyśle. - Bardzo sprytnie pomyślane, ale tuszę, że dostaną właściwego człowieka.

Żołnierze otoczyli ich szerokim koliskiem. Kaunitz już otwierał usta, lecz

Wacław powstrzymał go ruchem ręki. Austriak trochę się wahał, ale zamieniwszy kilka słów z baronem Gregorem, zsiadł z wierzchowca i stanął przy Annie, by razem śledzić pojedynek.

Wcześniej Bask mógł jeszcze się łudzić, że po Wacławie upora się jakoś z Madziarem. Teraz, choćby nawet zabił obu, nie miał żadnej szansy na ucieczkę, a jednak wcale nie odebrało mu to ochoty do walki. Był zeń urodzony gracz, a bił się jak szatan. Dwukrotnie dosięgnął Wacława, raniąc go w udo i kalecząc bok. Sam miał rozcięty policzek i bezwładną prawą rękę. W pewnym momencie, jak na komendę, odstąpili od siebie i ciężko dysząc, wsparli na żelazach.

- Winszuję, amigo - wychrypiał Bask. - Nauka na polanie nie poszła w las. Nierzadko nachodziła mnie ochota wyjść z krzaków i sprawdzić twoje umiejętności.

- Czemuś tego nie uczynił?

- Żeby teraz mieć większą uciechę. - Uniósł głowę i spojrzał w niebo. - Dla ciebie to niestety gorzej, bo dziś tak piękny dzień, że aż żal umierać. Zatoczył szpadą koło. Rzeczywiście, wypogodziło się. Niebo lśniło błękitem i bielą, aż oczy bolały od patrzenia.

- No, to komu pisane - powiedział Wacław i pojedynek rozpoczął się na nowo.

Ironiczny grymas nie schodził z ust Colignaca, który bił się z sobą właściwą, pełną wdzięku nonszalancją, choć coraz wyraźniej opadał z sił. Polak natomiast walczył ze skupioną determinacją, całkowicie skoncentrowany i zdecydowany zabić przeciwnika. Chwilami miał wrażenie, jakby to nie on się bił. Jakby stał z boku i patrzył na innego Benesza, zupełnie mu nieznanego, który, zaprogramowany jak automat, na

chłodno pragnął unicestwić inną ludzką istotę. Ogarnęła go żądza mordy, chciał wyciąć Colignacowi serce i patrzeć, jak razem z krwią uchodzi zeń życie.

Nawet nie zauważył, kiedy to się stało. Przed momentem Bask drasnął go w pierś, a za chwilę sam leżał w pyłe gościńca z rozplataną piersią.

Spoczywał na plecach, z szeroko rozrzuconymi rękoma, w lewej garści nadal ściskając szpadę. Jeszcze żył.

Wacław, wycieńczony do cna, osunął się na kolana, podpierając szablą, by nie upaść na twarz. Coś nie dawało mu spokoju. Kiedy mroczki przestały mu latać przed oczyma, zorientował się, że patrzy na rękę Baska zaciśniętą na rękojeści szpady. Była to lewa ręka, a gdy potykali się po raz pierwszy, bił się prawą!

Umierający pochwycił to spojrzenie, uśmiechnął się krzywo i puszczejac broń ze sztywniejących palców, poruszył nimi przyzywajaco. Wacław pochylił głowę jeszcze niżej, prawie przytykając ucho do ust rannego.

- Biłeś się dobrze - usłyszał szept cichszy od szmeru - ale nie dałbyś mi rady, gdyby nie to...

Wacław pobiegł za wzrokiem Colignaca i zobaczył, że rękawica na jego prawicy jest pełna krwi płynącej z głębokiej rany na przegubie. Przecięte żyły i uszkodzone ścięgna spowodowały całkowity bezwład ręki i musiały sprawiać śludze inkwizycji potworny ból.

- To jej dzieło - zdołał minimalnie poruszyć głową w kierunku, gdzie stała Anna. - Nie chciała ze mną uciekać. Wybrała ciebie...

Jakiś cień zasłonił im słońce. Pułkownik Kaunitz podszedł do konającego i stanął nad nim z rozkraczonymi nogami i rękoma założonymi w tył.

- Pułkowniku Brzozowicz, czy jak się tam naprawdę nazywasz, aresztuję

cię w imieniu Najjaśniejszego Pana! - odezwał się gromko z tak fatalnym francuskim akcentem, że Waclaw znał tylko jeden gorszy - własny.

Colignac obrócił wymizerowaną twarz w jasne niebo.

- Co za los... Umierać na końcu świata, z ręki nowicjusza, wzgardzony przez kobietę i na domiar nie pod swoim imieniem...

- Pułkowniku Brzozowicz! - zagrział oficer niecierpliwie, tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Czy przyznajesz się do spiskowania przeciw Najjaśniejszemu Panu?!

Ignorując go całkowicie, Bask znowu przekręcił głowę, popatrzył na Annę, wciąż stojącą nieruchomo na skraju drogi, przeniósł wzrok na Waclawa, potem jeszcze raz na dziewczynę, na usta wypełził mu cień dawnego szyderczego uśmiechu i powiedział wyraźnie i dobitnie:

- Przyznaję się. Czemu nie? Krew rzuciła mu się ustami i skonał.

- Zabierzcie go! - polecił pułkownik dragonom.

Kiedy żołnierze bez ceregieli przytracali trupa do końskiego grzbietu, baron de Berzeviczy, chowając pistolet, odezwał się do Waclawa:

- Baron de Dondangen, jak mniemam? Dobra robota, kuzynie.

- Po czym dodał, ogarniając wzrokiem Benesza i Rubinowską: - Widzę, że nic już tu po mnie. Zaproście mnie na wesele, wtedy poznamy się lepiej.

Uchylił kapelusza, skinął na pożegnanie pułkownikowi i zaciął konia.

Dwukółka potoczyła się naprzód, a Anna wolnym krokiem podeszła do Waclawa. Nic nie mówiąc, otworzył ramiona. Rzuciła mu się w nie z płaczem.

- Wiedziałałam, że po mnie przyjedziesz - powiedziała przez łzy.

- Tak się bałam, że cię zabije.

- Już nic nas nie rozdzieli - odparł, tuląc ją z całych sił. - Wyjdiesz za

mnie? - Grzebnął w kieszeni i wyjął połówkę cekina. - Mimo iż wciąż nie znalazłem drugiej?

Odsunęła się od niego. Otarła łzy i otworzyła zaciśniętą garść. Na dłoni leżała brakująca połowa cekina o zakrwawionych krawędziach, którymi Anna przecięła nadgarstek Colignaka, pozbawiając go szans na zwycięstwo.

- Ale ja znalazłam - powiedziała z szelmowskim błyskiem w oczach. -

Dawno temu, tylko nic ci nie mówiłam.

- Jesteśmy jak połowy tej samej monety. - Dołączył do jej połówki swoją.

-Wiedziałaś o tym, dlaczego więc się ze mną droczyłaś?

- Żeby cię wypróbować.

- I jak wypadł egzamin?

- Źle.

Pokazała mu przedmiot ukrywany w drugiej ręce - pierścień powstańczy.

- Zsunął ci się podczas walki - rzekła ze smutkiem i tak cicho, żeby Kaunitz nie dosłyszał. - Słyszałam, że pułkownik Brzozowicz miał taki sam. Nie mogę wyjść za człowieka, który cały czas mnie okłamywał.

Rzuciła mu pierścień i odwróciwszy się na pięcie, odeszła do wierzchowca, którego na rozkaz pułkownika zwolnił dla niej jeden z dragonów. Wysforowała się na czoło i nie oglądając się za siebie, pognęła naprzód co koń wyskoczy. Trochę potrwało, nim wyminął żołnierzy i ją dogonił.

- Zrozum - zawołał z żarem. - Nie mogłem postąpić inaczej. To nie była moja własna tajemnica. Takie są reguły konspiracji. Nie możesz tego brać do siebie...

Milczała.

- Dobrze - rzekł zrezygnowany. - Masz rację. Jest coś, co w samej rzeczy przed tobą ukrywałem. Mam syna.

To ją poruszyło. Obróciła się ku niemu.

- Mogłam była się tego spodziewać. Biedne dziecko.

_ To Antonio. Usynowiłem go.

_ Wiem. Pan Sebastian mi powiedział. I jeśli się jednak zgadzam za ciebie wyjść, to tylko ze względu na dziecko.

Wydawało mu się, że się przesłyszał. Kiedy jednak ujrzał jej uśmiech i wesołe oczy, błyszczące jak szmaragdy najczystszej wody, uwierzył.

- Naprawdę?! - zawołał. - Wyjdiesz za mnie?!

- Głuptasie - odparła i podrzuciła na dłoni obie części cekina. - Czyż nie pasujemy do siebie jak połowy tej samej monety?

Wrzasnął dziko i wychyliwszy się z siodła, przygarnął dziewczynę do siebie. Nareszcie miał jej oczy w takiej odległości od swojej twarzy, jak sobie wymarzył. I nawet nie próbował zgadywać, jakiego w tej chwili są koloru: zielone czy niebieskie. Na rozwiązanie tej zagadki miał teraz całe życie.

Jadący za nimi dragoni podnieśli radosną wrzawę. Ktoś wypalił z bandoletu.

Przywieziony do Krakowa Sebastian zmarł od zadanej rany i został pochowany przy kościele Świętego Krzyża. Antonio nie wyjechał do Peru i nikt się o niego nie upomniął. Anna i Wacław doczekali chwili, gdy wojska napoleońskie wraz z polskimi legionistami (i starym Rubinowskim) pod wodzą generała Jana Henryka Dąbrowskiego dotarły w 1806 roku do Polski i na krótko wyzwoliły jej część z rąk zaborców. Sami jednak do ojczyzny nie wrócili, osiedli w Krumłowie. Dopiero syn Antonia

przybył do kraju dziada i dzielnie walczył w powstaniu styczniowym.

Do dziś nie wiadomo, gdzie podział się skarb Inków.

KONIEC

Kraków 1988-1997-2002

Zamiast epilogu

Legenda niedzicka

Już po II wojnie światowej, w roku 1946, zjawił się na zamku w Niedzicy student Andrzej Benesz, który według wskazówek zawartych w tradycji rodzinnej, w obecności świadków wydobyl spod kamiennego progu zamkowej bramy ołowianą tuleję, a z niej dziwaczne rzemieńne kipu.

Trzeba nadmienić, iż zamek dopiero co w pośpiechu opuściła ostatnia dziedziczka - hrabina Salamon. W posiadaniu Salamonów zamek pozostawał około 100 lat i jako żywo nikt nigdy nie widział tam żadnego z Beneszów ani o takim nie słyszał. Gdy sprawa odnalezienia kipu nabrała rozgłosu, Andrzej Benesz ujawnił niesłychaną rodzinną historię, sięgającą końca XVIII stulecia. Oto członek zadomowionego w Polsce węgierskiego rodu Berzeviczych, Sebastian, po zawodzie miłosnym opuścił rodzinny Wołyń. Przeżywszy wiele awanturycznych perypetii, dotarł do Peru.

Ożeniony z Peruwianką wywodzącą się od Inków, miał z nią córkę Uminę. Ta wyszła za mąż za członka królewskiego rodu, krewnego Tupaka Amaru II, przywódcy antyhiszpańskiego powstania w Peru w latach 1780-1781.

Po klęsce powstania Sebastian, jego córka i zięć, wraz z osobami towarzyszącymi, uciekli do Europy, unosząc ze sobą część legendarnego skarbu Inków. W Wenecji, gdzie znaleźli schronienie, zginął zamordowany przez wysłanników hiszpańskiej inkwizycji zięć Sebastiana. On sam zaś,

wraz z córką i rocznym wnukiem Antoniem, udał się do dawnej siedziby rodowej Berzeviczych - zamku w Niedzicy, zwanego wówczas Dunajcem, który wykupił czy wydzierżawił od ówczesnych właścicieli, Horwathów de Palocsy.

I tu nie zaznali spokoju. W kaplicy zamkowej w tajemniczych okolicznościach zasztyletowano Uminę. W tej sytuacji liczący już dziewięćdziesiąt dziewięć lat Sebastian sprowadził na zamek swego bratanka, Wacława Benesza, mieszkającego wraz z żoną Anną w Krumlowie na Morawach. W obecności stryja i Prześwietnej Rady Inków Wacław zobowiązał się do usynowienia małego Antonia, by w przyszłości wykonał testament zakodowany w postaci kipu.

Wkrótce potem Indianie wrócili do Peru, a Sebastian, ranny w pojedynku o dziewczynę (!) i odwieziony do Krakowa, zmarł w szpitalu duchaków przy kościele Świętego Krzyża. Wacław Benesz zabrał Antonia do siebie, do Krumłowa. Antonio nigdy nie pojechał do Peru i nie zrealizował testamentu. Ożenił się z Polką, Barbarą Rubinowską (jej nazwisko nosi powieściowa Anna), ponoć córką oficera napoleońskiego. Jego syn natomiast osiadł w Galicji i wziął udział w powstaniu styczniowym. Nie wiadomo, gdzie ukryto skarb. Podobno jest tam, gdzie grób Uminy pochowanej w srebrnej trumnie. Tylko że miejsce pochówku inkaskiej księżniczki pozostaje nieznane. Nie było grobu pod starą kaplicą zamkową, jak mniemano. Za to kilka osób widziało ducha Uminy, snującego się nocami po niedzickim zamku pod postacią Białej Damy. Tyle historia, która nabrała rozgłosu jako legenda niedzicka i znajduje się w prawie każdym przewodniku po niedzickim zamku. Na potwierdzenie jej prawdziwości rodzina Beneszów posiada jedynie, oprócz ustnych

przekazów, kopię aktu adopcji Antonia, zachowaną w archiwum kościoła Świętego Krzyża, oraz sam testament, czyli wspomniane już kipu, znalezione w wyżej opisanych okolicznościach.

Z powodu szczupłości dokumentów ta niesamowita historia od początku jej ujawnienia stała się przedmiotem wielu dyskusji i sporów. Do dziś ma niemal tyle samo gorących entuzjastów, co zagorzałych przeciwników, negujących jej autentyczność. Szczegóły raczej przemawiają przeciw niej, za nią natomiast - kontekst historyczny.

Schyłek XVIII wieku był bowiem okresem niezwykle burzliwym, w którym zdarzały się rzeczy wręcz nieprawdopodobne. To wtedy byli i działali najślynniejsi awanturnicy wszech czasów: Cagliostro, Casanova czy Beniowski, z których każdy mógłby być swoistym alter ego Sebastiana de Berzeviczy.

W niniejszej powieści starałem się wykorzystać wszystkie wątki, w które obfituje niedzicka legenda. Do jakiego stopnia mi się to udało, pozostawiam ocenie Czytelników. Dociekliwym polecam literaturę przedmiotu, zamieszczoną poniżej, z którą warto się zapoznać przed wyruszeniem na poszukiwanie skarbu Inków.

Beletrystyka

Aleksander Rowiński, Spadek po Synach Słońca, Warszawa 1986. Jan Józef Szczepański, Kipu, Kraków 1978. Longin Jan Okoń, Przekleństwo Inków, Kielce 1998.

Literatura naukowa i popularno-naukowa

Anna Kowalska-Lewicka, Problem niedzickiej legendy, „Ziemia” 1956, nr 1-2.

Aleksander Rowiński, Pod klątwą kapłanów, Warszawa 2000. Mariusz

Wollny, Inkowie w Polsce -fakty czy fikcja?, „Tawacin” 1997, nr 2